

PETER W.
BRETT

OTCHŁAŃ

OSTATECZNE ZWYCIĘSTWO
NADEJDZIE Z GŁĘBI MROKU

I
Księga



PETER V. BRETT

Od dzieciństwa był fanem fantastyki, komiksów i gier fabularnych. W 1995 roku ukończył literaturę angielską i historię sztuki na Uniwersytecie w Buffalo. Następnie spędził ponad dziesięć lat, pracując w przemyśle farmaceutycznym. Mieszka na Manhattanie z żoną i dwiema córkami.

Autor bestsellerowego *Cyklademonicznego*. Powieścią *Malowany człowiek* rozpoczął inwazję na księgarskie rynki całego świata. Ledwie się ukazała, a prawa do wydania książki posiadały m.in. kraje Ameryki Północnej, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Grecja, Japonia, Rosja, Polska, Czechy, Hiszpania, Węgry, Serbia, Włochy i Turcja.

Podkreśla, że jego pierwszą znaczącą lekturą – pozaszkolną i bez obrazków – był *Hobbit*. Po starszym bracie odziedziczył też komiksy *X-Men*. Pisarz uważa, że te dwa z pozoru mało znaczące fakty ukształtowały jego dorosłe życie.

Otchłań to ostateczna walka z demonami, które dziesiątkują ludzkość.

Oficjalna strona: www.petervbrett.com

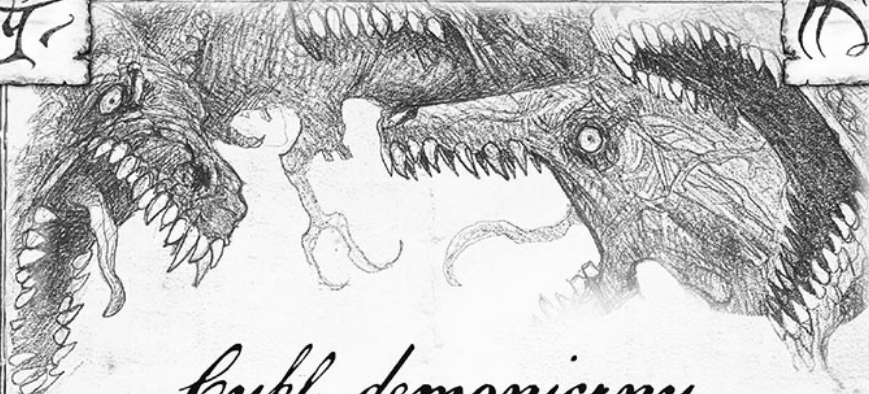
PETER V.
BRETT
OTCHŁAŃ

KSIĘGA PIERWSZA

PRZEŁOŻYŁ
MARCIN MORTKA

fabryka słów[®]

LUBLIN – WARSZAWA

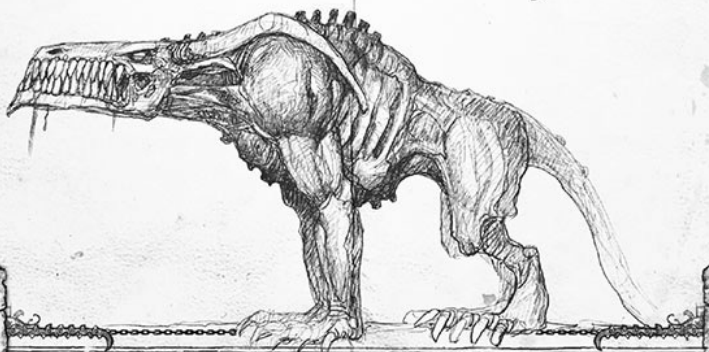


Cykl demoniczny

1. Malowany człowiek - księga 1
2. Malowany człowiek - księga 2
3. Pustynna Włócznia - księga 1
4. Pustynna Włócznia - księga 2
5. Wojna w Blasku Dnia - księga 1
6. Wojna w Blasku Dnia - księga 2
7. Tron z Czaszek - księga 1
8. Tron z Czaszek - księga 2
9. Otchłani - księga 1
10. Otchłani - księga 2

W świecie

Wielki Bazar / Złoto Brayana





**Dla Sireny Lilith,
która już zmienia moje życie na tysiące sposobów**



Prolog

Więzienie

334 ROK PLAGI

Nadejdzie czas roju – Alagai Ka, demon Małzonek, przemówił przez usta ludzkiego sługi, zwanego kiedyś Shanjatem.

Małzonek został uwięziony wewnątrz kręgu mocy, ale dokonał częściowego wyłomu i przejął kontrolę nad śmiertelnikiem, zanim ci, którzy go pojмали, zdolali w ogóle zareagować. Shanjat, po tym jak demon umysłu zmiażdżył jego wolną wolę, był właściwie już tylko kukiełką we władzy myślaka i Małzonek rozkoszował się bólem, jaki sprawił w ten sposób swym prześladowcom. Poruszył stopami śmiertelnika, przyzwyczajając się do nowego ciała. Człowiek nie był tak użyteczny jak zmiennokształtny, ale dzięki jego sile, prymitywnej broni z powierzchni oraz

emocjonalnej więzi z resztą oprawców Małzonek mógł zrobić z niego użytek.

– Na Otchłań, co to ma właściwie oznaczać? – zapytał Odkrywca, ten sam, którego nazywano Arlenem lub Par’chinem. Wywierał na innych silny wpływ, ale nie można było nazwać tego dominacją.

Małzonek znów skorzystał z aparatu mowy pochwyconego człowieka. Coraz lepiej posługiwał się prymitywnymi burknięciami, które wśród ludzi uchodziły za metodę komunikacji.

– Królowa niebawem złoży jaja.

Odkrywca spojrział słudze w oczy i skrzyżował ramiona na piersi. Runy wytatuowane na jego ciele migotały mocą.

– O tym już wiem. Co to ma za związek z jakimś rojem?

– Uwięziliście mnie i zabiliście moich najsilniejszych braci – odparł Małzonek. – Na dworze umysłów nie ma już nikogo, kto byłby w stanie powstrzymać młode królowe przed wyssaniem całej mocy z ich matki.

– Królowe pozabijają się nawzajem, tak? – Odkrywca wzruszył ramionami. – A najsilniejsza z nich przejmie władzę nad rojem? Cóż, lepsza młoda królowa od w pełni dojrzałej.

Sługa wpatrywał się w oczy Odkrywcy, a sam Małzonek przyglądał się austom reszty obecnych. Dziedzic, ów śmiertelnik, którego zwano Jardirem, władający płaszczem, koroną i włócznią Zabójcy Umysłów, był bez wątpienia najbardziej niebezpieczny. Gdyby Dziedzic postanowił zabić Małzonka, ten, uwięziony w runicznym kręgu, miał marne szanse na ocalenie życia, tym bardziej że zawładnięcie ciałem Shanjata rozjuszyło Dziedzica ponad miarę. Aura męczyzny zdradzała jednakże jego prawdziwe zamiary. Pragnął śmierci Małzonka, ale potrzebował go żywego.

O wiele ciekawsza wydała się demonowi sieć emocji rozciągająca się między Dziedzicem a Odkrywcą. Odnalazł

w niej zarówno miłość, jak i nienawiść, tak współzawodnictwo, jak i wzajemny szacunek, gniew i poczucie winy. Była to potężna, odurzająca wprost mieszanina i Małżonek analizował ją z prawdziwą przyjemnością. Dziedzic łaknął informacji. Istniało wiele rzeczy, o których jak dotąd Odkrywca nie zająknął się ani słowem, i aura Dziedzica błyskała irytacją. Nie mógł się pogodzić z tym, że ktoś inny przejął dowodzenie.

O wiele mniej przewidywalną osobą była Łowczyni, którą nazywano Renną. Zaciekła wojowniczką aż skrzyła od skradzionej magii, a jej ciało również było poznaczone wieloma runami mocy. Nie władała mocą tak dobrze jak mężczyźni i była skora do gwałtownych reakcji. Na razie panowała nad sobą, ale nie wypuszczała broni z ręki, gotowa w każdej chwili rzucić się do ataku.

Ostatnią osobą była sługa płci żeńskiej, Shanvah, która podobnie jak kukielka nie władała wielką magią. Gdyby własnoręcznie nie zabiła księcia demonów, Małżonek zapewne uznałby ją za nieistotną. Bez wątpienia była najslabszym ogniwem pośród tych, którzy go pojmal, ale miała cudowną, przepiękną wprost aurę. Kukielka była jej ojcem. Shanvah dysponowała silną wolą, dzięki czemu jej aura wydawała się niezmacona, ale w głębi duszy czuła rozdzierający ból. Małżonek nie mógł się doczekać chwili, gdy otworzy czaszkę tej sługi i wgrzyzie się w delikatne mięso jej mózgu.

Na razie musiał się jednak skupić na kwestiach bieżących. Sterowana przez demona kukielka roześmiała się, odciągając uwagę śmiertelników od niego samego.

– Młode królowe nie będą miały szans stanąć do walki. Skoro żaden z moich braci nie może przejąć kontroli nad pozostałymi, każdy porwie jedno jajo i ucieknie.

Odkrywca zamarł. Powoli zaczynał uświadamiać sobie prawdę.

– I wszędzie założą gniazda!

– Nie mam wątpliwości, że to już się zaczęło – rzekł Małzonek, a śmiertelnik w jego władzy zamachał włócznią, co zgodnie z oczekiwaniami przyciągnęło wzrok wszystkich zebranych. – Trzymając mnie tutaj, skazujecie swój ród na zagładę.

Ostrożnie naparł na łańcuchy, szukając słabego ogniwa, wyryte na nich runy zapłonęły i zaczęły zasysać moc demona, choć Małzonek szczelnie ją zasłonił. Zdołał już strzaskać jeden z zamków i uwolnić kończynę. Gdyby zniszczył kolejny, jego kukła mogłaby uszkodzić kręgi na tyle, by Małzonek zdołał uciec.

– Ile ksiąząt umysłu zostało w roju? – spytał ostro Odkrywca. – Zabiliśmy jak dotąd siedmiu, nie licząc ciebie. To już coś, jak sądzę.

– W roju? – powtórzył Małzonek. – Na razie żadnego. Myślę, że już wytyczyli swoje terytoria rozplodowe i będą je ujarzmiać przed wylęgiem.

– Terytoria rozplodowe? – spytała Łowczyni.

Kukła uśmiechnęła się.

– Niebawem mieszkańcy waszych Wolnych Miast przekonają się, że ich mury i runy nie są tak potężne, jak dotąd sądzili.

– Śmiałe słowa, Alagai Ka – rzekł Dziedzic. – Chyba zapomniałeś, że leżysz tu spętany.

Małzonek znalazł wreszcie to, czego szukał. Odkrył niewielką skazę w jednym z zamków, który po wielu miesiącach niewoli zaczynał rdzewieć. Gdyby go zniszczył, zdołałby zrzucić łańcuch, ale jego prześladowcy zapewne zwróciliby uwagę na jasny rozbłysk mocy.

– Wolno wam było zaludniać powierzchnię aż do tej chwili. – Kukła zrobiła krok w prawo. Spojrzenia powiodły za nią. – Moi bracia nie znają się na niczym poza polowaniem. Skrzykną swoich wojowników i zniszczą wasze

mury jak skorupy jaj, a potem zaczną napychać spiżarnie waszymi pobratymcami, żeby nasycić głód swoich wysiadających królowych.

– A w ich łonach rośnie zagrożenie dla Ala – rzekł Dziedzic. – Nie możemy na to pozwolić!

– Uwolnijcie więc mnie!

– Nie ma mowy – warknął Odkrywca.

– Tak naprawdę to nie macie innego wyboru – oznajmił Małzonek. – Mój powrót może was ocalić przed rojem.

– Jesteś księciem kłamstw – odparł Dziedzic. – A my nie jesteśmy głupcami i nie będziemy wierzyć twoim słowom. Istnieje inne rozwiązanie. Zejdziemy w głąb Otchłani i zabijemy Alagai'ting Ka raz na zawsze.

– Twierdzisz, że nie jesteście głupcami – rzekł Małzonek.

– A mimo to wierzysz, że jesteście w stanie przeżyć taką wyprawę? Nie dotrzecie nawet tak daleko jak Kavri, zanim się poddał i uciekł na powierzchnię.

Słowa odniosły zamierzony efekt. Dziedzic zeszywniał i zacisnął dłoń na włócznie.

– Kolejne kłamstwa! Kaji was pokonał!

– Zabił wiele pomniejszych demonów – przyznał Małzonek. – Uśmiercił też wielu książąt. Minęło kilka wieków, zanim rój odzyskał swoją poprzednią liczebność, ale nie zdołał jednak położyć kresu naszej dominacji. Nie lądźcie się, że dokonacie czegoś więcej niż Kavri! To nie pierwszy cykl i nie będzie też ostatnim.

– Powiedziałeś, że zaprowadzisz nas do Otchłani – rzekł Odkrywca.

– Równie dobrze mógłbyś chcieć wybrać się na powierzchnię dziennej gwiazdy – odparł Małzonek. – Zostaniecie zniszczeni na długo, zanim tam dotrzecie, i sam dobrze o tym wiesz.

– No to wskaż nam drogę do roju – polecił Odkrywca. – Na dwór umysłów. Do pieprzonej wylęgarni królowej

demonów.

– Ta wyprawa również zakończy się waszą zagładą. – Małżonek przesunął kukłę o jeszcze jeden krok.

– Zaryzykujemy – stwierdziła Łowczyni.

Wreszcie kontrolowany przez Małżonka śmiertelnik znalazł się we właściwym miejscu. Poderwał włócznie i cisnął nią w serce Odkrywcy, który, zgodnie z oczekiwaniami demona, rozplynął się w powietrzu. Włócznia przemknęła zaś dalej, mierząc w Dziedzica, który odbił ją bez trudu. Wówczas kukła złapała swą tarczę i z całej siły grzmotnęła nią w kamienie runiczne, które więziły Małżonka.

Łowczyni rzuciła się do ataku, ale Shanvah krzyknęła i zasłoniła ojca własnym ciałem. Zniewolony śmiertelnik zaś odwrócił się i ujął runiczny łańcuch, a Małżonek przywołał swą moc i posłał ją, by rozbić nadwerężone ogniwo.

Niczym pajak rozbierający uszkodzoną sieć, kukła odplątywała łańcuchy. Srebrne runy paliły skórę Małżonka, ale była to niewielka cena za wolność. Machnięciem pazura posłał kawałek rozszarpanego ogniwa prosto w Dziedzica i strącił mu z głowy koronę, by ten nie zdołał podnieść tarczy, która już raz demona uwięziła.

W tym czasie Łowczyni odepchnęła drugą kobietę i skoczyła, by powstrzymać kukłę, ale było już za późno. Zamachnęła się w momencie, gdy ciało Małżonka już się rozplynęło. Pozostał jedynie pojedynczy pazur, którym w ostatniej chwili rozpruł Łowczyni brzuch. Demon umysłu przemknął przez lukę, którą wyrąbała dla niego kukła, i odzyskał materialną formę na skraju zewnętrznego kręgu.

Łowczyni upadła z jękiem, próbując powstrzymać jelita wypływające z rany. Odkrywca skoczył swej samicy na pomoc. Małżonek wiedział, że Łowczyni nie potrafi skupić się na tyle, by samodzielnie zaleczyć swoje rany, a więc

Odkrywca będzie musiał zmarnować na to sporo cennego czasu i mocy.

Małzonek nakreślił w powietrzu run uderzenia i kamienie pod stopami Dziedzica eksplodowały. Próbujący sięgnąć po koronę człowiek zatoczył się, a wtedy kukła odrzuciła ją kopnięciem i zaatakowała Dziedzica, by zająć go jeszcze przez kilka oddechów.

Obracając się, Małzonek uniósł swój krótki, karłowaty wręcz ogon i rozrzucił naokoło ekskrementy, które oblepiły i unieszkodliwiły runy. Już miał zniknąć ponownie, gdy Dziedzic krzyknął:

– Dość tego!

Rąbnął tępym końcem włóczni w podłogę i posłał falę mocy, która przewróciła wszystkich. Małzonek szybko się poderwał, zdematerializował i już miał wydostać się na wolność, ale wtedy wkroczył do akcji Odkrywca, który sięgnął po swoją magię. Szarpnął zasłonę i na lukę między runami padło światło świtu. Dzienna gwiazda nie wynurzyła się jeszcze spoza horyzontu, ale jej blask przebił się przez magię Małzonka i wywołał niewyobrażalny ból. Demon nie śmiał zrobić choćby kroku.

Łowczyni rozplynęła się i na nowo przybrała materialną postać. Jej rany znikły. Wraz z Odkrywcą z wprawą wyrysowali w powietrzu serię runów, które przeszły niematerialne ciało kryjącego się przed światłem demona falami cierpienia. W tej formie Małzonek nie mógł sterować swą kukłą i jej szczenię błyskawicznie obezwładniło go mocnym chwytem. Dziedzic nałożył koronę i uniósł tarczę, na powrót więząc Małzonka.

Ten zrozumiał, że nie ma wyboru. Musi się poddać i negocjować, gdyż ci ludzie potrzebowali go żywcem. Małzonek przybrał więc materialną postać, schował szpony i zasłonił kły, po czym uniósł ramiona w ludzkim geście poddania się.

Łowczyni rąbnęła go w bok głowy. Runy uderzenia zadudniły Małżonkowi o czaszkę. Tą kobietą powodowały silne emocje. Małżonek spodziewał się, że inni okażą większe opanowanie, ale wówczas Odkrywca walnął z drugiej strony, rozbijając mu czaszkę. Siła uderzenia wypchnęła demonowi oko z oczodołu.

Małżonek zachwiał się, a wtedy przypadł doń Dziedzic. Cios tępym końcem włóczni okazał się potężniejszy od uderzenia skalnego sługi.

Każń nie miała końca i Małżonek zaczął już myśleć, iż ów dziki szal niechybnie doprowadzi do jego śmierci. Próbował się rozplątać, ale podobnie jak Łowczyni przed chwilą odkrył, że nie jest w stanie należycie się skupić. Wkrótce nie wiedział nawet, kto wymierza cios. Docierały doń jedynie głuchoe odgłosy uderzeń i kolejne fale cierpienia.

Później wszystko ogarnęła czern.



Małżonek obudził się, czując ogromny ból. Próbował pobrać nieco mocy ze swego wewnętrznego zapasu i wykorzystać ją do uleczenia ran, ale zostało jej bardzo niewiele, co oznaczało, że zapewne pobrał wyjątkowo dużo, gdy był nieprzytomny. Jego organizm podświadomie poradził sobie z najpoważniejszymi obrażeniami, a reszta będzie musiała zaleczyć się w naturalny sposób.

Na szczęście uwolnił się od tego przeklętego łańcucha. Być może właśnie naprawiali go w pośpiechu. Być może spodziewali się, że jeszcze przez jakiś czas pozostanie nieprzytomny.

Jeśli tak, to byli większymi głupcami, niż sądził. W oknie pojawiła się już z powrotem gruba zasłona, ale Małżonek

wyczuwał za nią mrok nocy. Ucieczka znów była w jego zasięgu. Uniósł szpon i przywołał nieco mocy ze swego szczupłego zapasu, by nakreślić run w powietrzu, lecz energia rozplynęła się, nim dotarła na czubek pazura. Znow przeszył go ból, aż zasyczał.

Pobrał ponownie, lecz moc znów go zawiodła i zapłonął cierpieniem. Wówczas Małżonek popatrzył na swoje ciało i dojrzał migotanie runów, a wówczas uświadomił sobie prawdę.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Naznaczyli mu skórę igłami i atramentem, tak jak to uczynił sam Odkrywca. Całe ciało Małżonka pokrywały runy. Runy umysłu, przypisane jego własnej kaście.

Uwięzili demona we własnym ciele. Nie był już w stanie się rozpuścić ani kontrolować niczego mocą swojego umysłu. Co gorsza, gdyby Małżonek – lub któryś z jego prześladowców – nasycił runy magią, te niechybnie by go zabiły.

Przypadł mu los o wiele gorszy od spętania łańcuchem. Małżonek nigdy dotąd nie słyszał o podobnej hańbie.

Niemniej każdy problem można było jakoś rozwiązać. Każda bariera runiczna miała swój słaby punkt. Z czasem na pewno go znajdzie.



I

I jedno, i drugie

334 ROK PLAGI

Leeszę zbudziły skurcze. Przerażona uniosła głowę. Po dziesięciu dniach na trakcie pod eskortą pięciu tysięcy Rębaczy była już przyzwyczajona do niewygód. Mogła teraz spać jedynie na boku, do czego ławka w wozie zupełnie się nie nadawała. Przeniosła się więc na podłogę, podobnie jak Amanvah i Sikvah, które spały wśród poduszek.

Jej mięśnie maciczne kurczyły się i rozprężały, szykując się do pracy, która je czekała, a dziewczynę zalewały fale bólu. Co prawda poród miał nastąpić dopiero za trzynaście tygodni, ale ciężarnym kobietom często przytrafiały się ataki przedwczesnego bólu.

„A każda z nich za pierwszym razem wpada w panikę” –

mawiała Bruna. „Myślą, że już się zaczyna. Przytrafiło się to nawet mnie, choć zanim wystękałam własne dziecko na świat, odebrałam dziesiątki porodów”.

Leesha zaczęła oddychać w szybkim, równym rytmie, by narzucić sobie spokój i załagodzić nieco ból, który zresztą ostatnio wciąż jej towarzyszył. Potężne kopniaki dziecka pozostawiły liczne sińce na skórze jej brzucha.

Kilkakrotnie w trakcie ciąży Leesha zmuszona była wykorzystać potężną moc runów, na co dziecko za każdym razem reagowało bardzo gwałtownie. Dzięki magicznemu oddziaływaniu ludzie nabywali ogromnej siły i wytrzymałości, starzy odzyskiwali młodość, a młodzi przedwcześnie osiąkali dojrzałość. Magia intensyfikowała emocje i kruszyła opanowanie. Człowiek pod jej wpływem stawał się skory do agresji, wręcz niebezpieczny. Jaki wpływ tak wielka moc mogła wywrzeć na nieuformowane jeszcze dziecko?

Ciąża nie weszła jeszcze w siódmy miesiąc, mimo to Leesha wyglądała, jakby jej termin się zbliżał, i tak też się czuła. Spodziewała się wcześniejszego porodu, nawet go oczekiwała, bo bała się, że dziecko okaże się zbyt duże, by urodziła je siłami natury. Ba, mogła się spodziewać wszystkiego, łącznie z tym, że potomek samodzielnie wybije dziurę w ścianie łona i wypełźnie na świat.

Leesha oddychała i oddychała, ale spokój nie nadchodził, a ból nie słabł.

„Istnieje tysiąc powodów, dla których pojawiają się przedwczesne skurcze” – uczyła Bruna. „Zacznijmy od tego, że dzieciak mógł wymierzyć kopa w pełny pęcherz”.

Leesha znalazła nocnik i załatwiła się, ale nie uśmierzyło to spazmów. Zerknęła na mocz. Był mętny i zabarwiony krwią. Zamarła zapatrzona, a jej myśli rozpoczęły gorączkową gonitwę, ale wówczas dziecko kopnęło raz jeszcze, i to mocno. Leesha krzyknęła z bólu. Nie miała już

wątpliwości.
Zaczęło się.



O świcie, gdy Wonda przybyła, by złożyć meldunek, Leesha siedziała wsparta o ławkę. Ogromna dziewczyna ściągnęła wodze, zsunęła się z siodła zręcznie jak kot i stanęła na pierwszym stopniu poruszającego się wozu. Otworzyła drzwi i z wdziękiem opadła na siedzisko naprzeciwko Leeshy.

– Już prawie jesteśmy w domu, pani, jeśli chcesz się ciut przygotować – rzekła. – Gar pojechał przodem, gdy spałaś. Właśnie rozmawiałam z jego posłańcem.

– Jest źle? – spytała Leesha.

– Bardzo źle. Zgromadzili cały dwór. Gar próbował im to wyperswadować, ale nie był w stanie. Powiedział, że prędzej wyrwałby pniaka gołymi rękami.

– Angieriańczycy i ich przeklęty ceremoniał – skrzywiła się Leesha.

Zaczynała już rozumieć, dlaczego księżna Araine mogła przejść przez gromadę kłaniających się służących i udawać, że wcale ich nie dostrzega. Czasem był to jedyny sposób, by dotrzeć tam, gdzie chciała.

– Co więcej, to nie tylko służba i wojsko – ciągnęła Wonda. – Czekaj na nas połowa rady miejskiej.

– Na noc! – Leesha ukryła twarz w dłoniach.

– Powiedz tylko słowo, a uformuję wokół ciebie kordon Rębaczy – zaproponowała Wonda. – I powiem wszystkim, że spotkasz się z nimi po tym, jak odpoczniesz.

Leesha pokręciła głową.

– Wracam do domu jako hrabina i nie chcę rozpoczynać

piastowania swojej godności od unikania wszystkich naokoło.

– Dobrze, pani – rzekła Wonda.

– Teraz inna sprawa. Muszę ci powiedzieć coś ważnego, ale obiecaj, że zachowasz spokój.

Wonda spojrzała na nią ze zdziwieniem, a potem szeroko otworzyła oczy. Zaczęła się podnosić.

– Wondo Rębacz, nawet nie próbuj podnosić tyłka! – Leesha wycelowała w nią palcem, jakby strzelała z bicia, i dziewczyna posłusznie klapnęła z powrotem na ławkę. – Skurcze występują co kwadrans i do porodu mamy jeszcze kilka godzin. Będę dziś zależna od twojej pomocy, moja droga, a więc wysłuchaj mnie uważnie i skup się.

Wonda z trudem przełknęła ślinę, ale pokiwała głową.

– Tak, pani. Powiedz mi, czego potrzebujesz, a zajmę się tym w okamgnieniu.

– Wyjdę z powozu statecznym, dostojnym krokiem i skieruję się ku drzwiom – rzekła Leesha. – Chcę rozmawiać tylko z jedną osobą naraz. Ani na moment nie będziemy się zatrzymywać ani zwalniać.

– Tak, pani.

– Oficjalnie mianuję cię dowódcą mojej straży przybocznej. Jeśli jest tak, jak mówisz, i wszyscy rzeczywiście znajdują się na dziedzińcu, będziesz mogła przejąć dowodzenie i posłać Rębaczki, żeby zajęły i zabezpieczyły rezydencję. Mają nie wpuszczać nikogo poza tobą, mną i Darsy.

– A Vika?

Leesha pokręciła głową.

– Vika będzie miała pierwszą od wielu miesięcy okazję, żeby ujrzeć swojego męża. Nie odbierajmy im tego. Poza tym Darsy jest równie kompetentna jak Vika.

– Dobrze, pani.

– Nie wolno ci zdradzić nikomu, co się właśnie dzieje.

Nikommu. Ani straży, ani nawet Garedowi.

– Ale... – zaczęła Wonda.

Leesha przerwała jej bez skrępułów:

– Nikomu.

Zaczęła się kolejna fala skurczy i Leesha zacisnęła zęby, przez co jej głos zabrzmiał jak dzikie warknięcie. Miała wrażenie, że wokół brzucha owinął się wąż, który zaciskał sploty.

– Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić na to, żeby ludzka paplanina zamieniła moją sytuację w przedstawienie Minstrela. Mam zaraz urodzić dziecko Ahmanna Jardira! Nie wszyscy dobrze mu życzą i po jego narodzeniu oboje będziemy... Cóż, bezbronni.

Oczy Wondy stwardniały.

– Nie. Przysięgam, że póki żyję, nic ci nie będzie grozić. Przysięgam na słońce!



Wonda opuściła wóz, z łatwością wsuwając stopę w strzemień idącego obok konia. Jej twarz była obojętna i nic nie wskazywało na to, że przed momentem dowiedziała się niezwyklej rzeczy.

Runiczne światło w powozie przygasło, gdy do środka wpadły promienie wczesnego słońca, ale rozjarzyło się na powrót, gdy Wonda zatrzasnęła drzwi. W tej samej chwili uaktywniły się również runy ciszy i Leesha wreszcie jęknęła głośno z bólu. Ułożyła dłoń na plecach, drugą wsunęła pod swój ciężki brzuch i podniosła się z trudem. Dzięki runom gorąca woda w czajniku niemal natychmiast się zagotowała. Leesha wylała jej nieco na ręcznik i przycisnęła go do twarzy.

Spojrzała na siebie w lustrze. Jej twarz była blada, a pod oczami malowały się ciemne kręgi. Leesha miała wielką ochotę sięgnąć do sakiewki z *hora* i pobrać nieco magii, by wzmocnić się przed oczekującym ją zadaniem, ale wiedziała, że to zbyt niebezpieczne. Bywały przypadki, kiedy rodzące się dzieci bardzo źle reagowały na magię, a ostatnią rzeczą, której teraz pragnęła, był trudny poród.

Zerknęła na swój zestaw do makijażu, ale malowanie twarzy nigdy nie wychodziło Leeshy tak dobrze jak kreślenie runów. Upiększanie twarzy było domeną jej matki. Mimo to zrobiła, co mogła, rozczesując sobie włosy i poprawiając suknię.

Drogi prowadzące przez zewnętrzne okręgi Zakątka Drwali wiły się i bezustannie zakręcały, w przeszłości zostały wytyczone wedle projektów wielkich runów, które ułożyła wraz z Arlenem Balesem. Zakątek składał się teraz z ponad tuzina okręgów i stanowił ciągle rozbudowującą się sieć połączonych wielkich runów, które co noc spychały demony coraz dalej. Leesha znała strukturę dróg i układ runów równie dobrze jak ciało kochanka i nie musiała nawet wyglądać przez okno, by wiedzieć, że przejeżdżają właśnie przez Nową Przystań.

Niebawem mieli dotrzeć do Zakątka Drwali, stolicy całego hrabstwa i serca sieci wielkich runów. Dwa lata wcześniej Zakątek był osadą zamieszkałą przez niecałe trzysta dusz i ledwie zasługującą na miejsce na mapie. Teraz dorównywał wielkością i znaczeniem każdemu z Wolnych Miast.

Leeshę pochwyliła kolejna seria skurczy. Pojawiały już częściej, co kilka minut. Kobieta czuła powiększające się rozwarcie, miała też wrażenie, że dziecko przesuwają się w dół. Oddychała wedle narzuconego sobie rytmu. Znała zioła, które mogły ulżyć cierpieniom, ale na razie nie miała odwagi ich warzyć. Postanowiła, że zaczeka, aż znajdzie się

w bezpiecznej komnacie.

Wyrzała z za zasłonki i natychmiast tego pożałowała, bo w odpowiedzi poniosły się wiwaty. Liczyła z początku na to, że przybywając do Zakątka przed świtem, nie wywoła wielkiej sensacji, ale przemarsz tak wielkiego oddziału wojska nie mógł nie przyciągnąć uwagi. Pomimo wczesnej pory na ulicach gromadziły się tłumy ludzi, by powitać długi orszak.

Nie mogła przyzwyczać się do myślenia o twierdzy Thamosa jako o swoim domu, ale była teraz hrabiną Zakątka i twierdza należała do niej. Pod jej nieobecność Darsy zamieniła chatę w Zagajniku Zielarek w główną siedzibę Akademii Zielarek, a sama Leesha miała nadzieję, że wkrótce w Zakątku pojawią się inne szkoły. Osobiście wolałaby wrócić do chaty i trenować adeptki, lecz wiedziała, że mieszkając w twierdzy, będzie mogła osiągnąć znacznie więcej.

Zmarszczyła nos, gdy forteca ukazała się jej oczom. Była to zwalista, otoczona murem budowla wzniesiona z myślą o obronie. Zmysłem estetyki podczas jej budowy nie kierowano się wcale, przynajmniej na zewnątrz. Wnętrza fortecy prezentowały się jeszcze gorzej, ich przepych był nie na miejscu w krainie, która podnosiła się z gruzów po wojnie. Leesha wiedziała, że teraz, gdy twierdza należała do niej, trzeba będzie uporać się zarówno z jednym problemem, jak i z drugim.

Wielkie wrota stały otworem, a wzdłuż drogi czekali w gotowości Drewniani Żołnierze, kawaleria Thamosa, z której ocalało ledwie pół setki wojowników. Pozostali wraz z samym hrabią polegli w bitwie o Dokowisko. Wyglądali olśniewająco na wspaniałych angieriańskich mustangach, które stały równie nieruchomo jak ich jeźdźcy. Oni sami zaś czekali w pełnym rynsztunku bojowym, jakby spodziewali się, że Leesha natychmiast poprowadzi ich do boju.

Ludzie zebrani na dziedzińcu wydawali się także przygotowani zarówno na powitanie hrabiny, jak i na wojnę. Po lewej czekali dosiadający koni kapitan Gamon i jego porucznicy, a za nimi setki wyprostowanych, patrzących przed siebie żołnierzy, uzbrojonych w oparte o ziemię i pochylone pod identycznym kątem ciężkie halabardy. Po prawej zgromadziła się służba, liczna niczym mała armia i trzymająca wojskową dyscyplinę. Ich liberie były czyste i wyprasowane.

Ciekawe, co by się stało z całą tą paradą, gdybym zaczęła rodzić tu przy nich, pomyślała kwaśno Leesha, ale wówczas dziecko kopnęło mocno, a jej samej odechciało się żartów.

Zgodnie z ostrzeżeniami Wondy przy schodach prowadzących do twierdzy oczekiwała na nich grupka ludzi. Na ich czele prostował się na baczność uzbrojony we włócznię lord Arther, obok niego Tarisa, piastunka hrabiego z czasów jego dzieciństwa, a teraz dama dworu Leesha. Był wśród nich Gared ze swą oblubienicą Rosal oraz jej matką, był Inkwizytor Hayes, Zielarki Darsy i Vika, jej ojciec Erny oraz... Na noc, Leesha dojrzała nawet swoją matkę Elonę, która z nienawiścią wbijała wzrok w plecy Rosal. Leesha miała wielką nadzieję, że tak wczesne przybycie uwolni ją od spotkania z tym demonem, ale Elona jak zwykle przybyła nieproszona.

Wonda wsunęła głowę przez szparę w drzwiach.

– Jesteś gotowa, pani?

Ciało dziewczyny przeszły kolejne skurcze. Było jej gorąco i pociła się, choć do środka wpadło mroźne zimowe powietrze. Uśmiechnęła się, nie okazując słabości. Nogi jej zdrząły, gdy się podniosła. Dziecko przesunęło się jeszcze niżej.

– Tak, moja droga. No, ruszajmy.

Gamon zeskoczył z konia, gdy powóz podjechał bliżej, i podał dłoń, gdy Leesha pojawiła się na schodkach. Na ten

sam pomysł wpadli Gared i Arther i teraz przepychali się przy stopniach, ale Leesha zignorowała ich wszystkich, złapała ramię Wondy i powoli zesła.

Nie mogę się przewrócić na oczach tych wszystkich ludzi! – pomyślała.

– Witamy z powrotem w Zakątku, hrabino! – Arther wykonał dworski ukłon. – Nie posiadamy się z radości, mogąc cię znów ujrzeć. Gdy dotarły do nas wieści o ataku na Angiers, obawialiśmy się najgorszego.

– Dziękuję – odparła Leesha wyniośle.

Wszędzie dookoła siebie widziała ukłony i dygnięcia. Przez moment stała wyprostowana jak struna, pozdrawiając wszystkich pełnymi godności skinieniami głowy, które wywołałyby uznanie nawet księżnej Araine. Potem ruszyła przed siebie.

Wonda, nadal podtrzymując Leeszę, wysunęła się bardziej do przodu, a dwie barczyste, potężnie zbudowane Rębaczki znalazły się z tyłu. Zaskoczeni mężczyźni usuwali im się z drogi, ale szybko odzyskiwali rezon i podążali za nimi. Jako pierwszy dogonił Leeszę kapitan Gamon.

– Moja pani, przygotowałem rozkład wart waszej straży...

– Dziękuję, kapitanie Gamon – odparła Leesha. Jej podbrzusze płonęło. Zacisnęła uda, bojąc się, że wody odejdą, nim wejdzie do środka. – Niech pan będzie taki dobry i przekaże ją kapitan Wondzie.

Gamon otworzył szeroko oczy i zatrzymał się.

– Kapitan Wondzie?

– Niniejszym podnoszę Wondę Rębacz do rangi kapitana i mianuję ją dowódcą mojej straży przybocznej – oznajmiła głośno Leesha, nie zwalniając. – To awans, na który od dawna zasługuje.

Gamon znów podbiegł za nimi.

– Jeśli moja służba nie spełniła waszych oczekiwań... –

zaczął.

Leesha uśmiechnęła się, nie wiedząc, czy uda jej się powstrzymać wymioty.

– Skądże znowu. Wasza służba była wzorowa, kapitanie, i nikt nie podważy tego, że służycie Zakątkowi z odwagą i poświęceniem. Zachowacie dowództwo Drewnianych Żołnierzy, ale moje osobiste bezpieczeństwo powierzam tylko i wyłącznie kapitan Wondzie. Proszę odwołać żołnierzy i przekazać im, żeby wrócili do poprzednich obowiązków. Nie spodziewamy się żadnych ataków.

Gamon wyglądał, jakby próbował połknąć kamień, ale Leesha, która spędziła w Angiers wiele miesięcy, nie mając pojęcia, czy jest gościem, czy może jeńcem, miała już dość Drewnianych Żołnierzy na każdym kroku. Wonda tymczasem dała znak wybranym wcześniej Rębaczkom, by zajęły wejście do rezydencji i przegoniły postronnych z komnat.

Arther podbiegł i zajął miejsce oszołomionego Gamona.

– Wasza służba...

– ...prezentuje się wspaniale i zapewne aż się pali, żeby wrócić do pracy – przerwała mu Leesha. – Nie zawracajmy im więc głowy.

Machnęła ręką, dając wszystkim sygnał do odejścia.

– Oczywiście, moja pani – rzekł Arther i spojrzał wymownie na zebranych. Tłum zaczął się rozchodzić. On sam chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz wówczas Leeszę dogoniła Elona, za którą podążał Erny.

Jej matka była w szóstym miesiącu ciąży, ale nosiła suknie z głębokimi dekoltami, które maskowały wystający brzuch i przyciągały spojrzenia gdzie indziej. Ludzie rozstępowali się przed nią, jakby była otchłańcem.

– Moja córka jest hrabiną Zakątka! – Elona rozrzuciła ramiona. Na jej twarzy jaśniało coś nowego... Czyżby duma? Jeśli Leesha się nie myliła, właśnie dokonała

przeróżającego odkrycia.

– Witaj, matko! Witaj, ojcze! – Leesha uścisnęła każde z nich, próbując opanować drżenie dłoni. Elona wyczuła to, i oczywiście zabrakło jej przyzwoitości, by odezwać się ciszej.

– Wyglądasz strasznie. Co się stało?

Leesha uścisnęła lekko ramię Wondy i obie znów ruszyły przed siebie. Większość ludzi bała się stawić czoła Elonie, ale Wonda była bezlitosna i obojętna niczym przewracające się drzewo. Elona ruszyła za nimi, zatrzymała się jednak, gdy Erny pociągnął ją za rękę. Spojrzała na niego ze złością, lecz ojciec Leeshy, podobnie jak Wonda, zawsze był po jej stronie.

– Witajcie w domu, hrabino. – Rosal dygnęła z wyćwiczonym wdziękiem, matka dziewczyny poszła w jej ślady.

– Emelia! – Leesha przypomniała sobie prawdziwe imię Rosal. – Cóż za miłe spotkanie. Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie!

Kobiety ruszyły za Leeshą po schodach. Dołączył do nich Gared.

– Hrabia kazał im obu pozostać w twierdzy ze względu na przyzwoitość! – wtrącił się. – Możemy znaleźć jakieś inne miejsce...

– Nonsens. – Leesha mrugnęła do Rosal. – W twierdzy jest mnóstwo miejsca. Czy przystoi, żeby przyzwoita, szanująca się młoda kobieta wprowadziła się do domu barona przed ślubem? Przecież wybuchłby skandal.

Gared zarumienił się.

– Dzięki – bąknął. – Mam kilka dokumentów dla ciebie. Mogłabyś je przejrzeć w chwili...

– Przyślij mi je rano – rzekła Leesha.

Była już prawie na schodach, gdzie podszedł do niej Inkwizytor Hayes. Jego akolita, Dziecię Franq, który

rzadko kiedy rozstawał się ze swoim panem choć na chwilę, był nieobecny, co natychmiast zwróciło uwagę Leeshy.

– Hrabino! Dzięki niech będą Stwórcy, że jesteś cała i zdrowa!

Na zewnątrz za powozem Leeshy zatrzymał się kolejny pojazd z ich karawany. Inkwizytor wybałuszył szeroko oczy, gdy drzwi stanęły otworem, a ze środka wyszedł Opiekun Jona. Vika krzyknęła i zapominając o całym świecie, zbiegła po schodach ku mężowi. Hayes przyglądał się scenie z zaskoczeniem i na twarzy Leeshy, pomimo z trudem skrywanego bólu, pojawił się szczery uśmiech.

– Wasza radość, Inkwizytorze, zapewne nie będzie miała granic, albowiem wasz przydział w Zakątku właśnie dobiegł końca. Jona podejmie obowiązki duchowego przewodnika hrabstwa Zakątko.

– To niedorzeczne! – parsknął Hayes. – Nie mam zamiaru oddawać mojej katedry...

– Waszej katedry? – Leesha uniosła brew. – Tej, która stoi w moim hrabstwie?

Nie zatrzymywała się. Drzwi do wnętrza twierdzy były coraz bliżej, choć Leesha miała wrażenie, że wciąż dzieli ją od nich mile. Hayes tymczasem musiał zapomnieć o godności. Uniósł szaty i pognął za dziewczyną.

– Przecież jedynie ksiązę Pether może mnie zwolnić...

Leesha ucięła wywód, podając mu pergamin z królewską pieczęcią.

– Inkwizycja dobiegła końca – rzekła.

– Przecież moje dochodzenie miało na celu ustalenie winy również innych heretyków! – sprzeciwił się Hayes. – Pozostaje jednak kwestia Arlena Balesa...

– ...o której będziecie mogli do woli rozprawić z Radą Opiekunów w Angiers – powiedziała Leesha. – Pasterz Jona będzie opiekował się wiernymi Zakątko.

Hayes był jeszcze bardziej zaskoczony niż wcześniej

Gamon.

– Pasterz?

– Jego Książęca Mość porzucił swój tytuł, gdy przyjął godność księcia – wyjaśniła mu Leesha. – Nie zapominaj też o tym, że w Zakątku mieszka więcej ludzi niż w Angiers. Pakt Wolnych Miast daje naszym Opiekunom prawo utworzenia nowego porządku.

Inkwizytor nie miał pojęcia, jak zareagować. Wziął list i pozostał z tyłu, za plecami idącej szybko Leeshy. Książęcy dekret dawał jej prawo do wybrania duchowego przywódcy hrabstwa Zakątko, ale podnosząc go do godności Pasterza, rzuciła Hayesowi wyzwanie. Podobne deklaracje niezależności z pewnością nie przypadłyby Bluszczowemu Tronowi do gustu, ale teraz, gdy Leesha wróciła do Zakątko, nie mogli nic na to poradzić.

Leesha dała dyskretny sygnał Darsy, potężna Zielarka podeszła bliżej i zasłoniła sobą Inkwizytora.

– Stwórcy niech będą dzięki! – odezwała się. – Dobrze, że jesteś już wśród nas, pani.

– Żebyś wiedziała – oznajmiła Leesha i przytuliła Darsy mocno, po czym wyszeptała jej do ucha: – Mam skurcze co dwie minuty. Jeśli natychmiast nie znajdę się w środku, urodzę dziecko na tych schodach. Wonda wysłała Rębaczki, żeby zajęły książęce komnaty.

Darsy skinęła głową, doskonale rozumiejąc powagę sytuacji.

– Mam iść z przodu czy cię prowadzić?

Leesha poczuła przyływ ulgi.

– Poprowadź mnie.

Darsy ujęła jej drugie ramię i ruszyły naprzód. Tymczasem na dziedzińcu zatrzymał się trzeci powóz, z którego z powagą wysiadły Amanvah, Sikvah i Kendall. Darsy przyjrzała im się z ciekawością.

– Pani, a gdzie Rojer?

Leesha, nadal oddychając głęboko i rytmicznie, wskazała trumnę ciągniętą przez Rębaczy za wozem. Darsy zatrzymała się jak wryta i wydała zduszony okrzyk. Gdyby nie Wonda, Leesha straciłaby równowagę i przewróciła się.

– Opanuj się, Darsy – warknęła Wonda. – Nie ma teraz na to czasu.

Zielarka zacisnęła zęby. Znów ruszyły.

Amanvah weszła płynnie po schodach, ignorując nieprzychylne spojrzenia Wondy i Darsy. Wystarczyło popatrzeć Krasjance w oczy, by Leesha uświadomiła sobie prawdę.

Ona wie.

– Hrabino Leesho – zaczęła *dama'ting*.

– Nie teraz, Amanvah – szepnęła Leesha, lecz Amanvah zignorowała zakaz i podeszła bliżej. Wonda drgnęła, by zastąpić drogę, ale *dama'ting* wbiła kłykcie w jej łokieć i ramię Wondy opadło bezsilnie.

– Muszę asystować przy porodzie – oznajmiła bez wstępów.

– Prędeż mnie Otchłań pochłonie! – warknęła Darsy.

– Rzuciłam kośćmi, pani – powiedziała cicho Amanvah. – Jeśli nie będę przy tobie podczas najbliższych godzin, umrzesz.

– Co to ma znaczyć? – warknęła Wonda, mrużąc niebezpiecznie oczy. – Grozisz?

– Przestańcie wszystkie! – przerwała im Leesha. – Ono zaraz przyjdzie na świat!

– Nie ma rzeczy, której bym nie potrafiła... – zaczęła Darsy.

– Nie ma na to czasu – jęknęła Leesha. Oddałaby wszystko, by się położyć.

Oparła stopę na schodach. Było ich zaledwie kilka, ale miała wrażenie, że przyszło jej wspinać się po zboczu góry.

Na szczycie czekała Tarisa. Leesha zdołała wejść bez

niczyjej pomocy, ale kobieta od razu domyśliła się, co się święci.

– Tędy – oznajmiła, obróciła się na pięcie i otworzyła drzwi, pstrykając palcami na pokojówki. Te zbiegły się wokół, a krocząca naprzód niczym generał Tarisa rozsyłała je naokoło z poleceniami. Leesha wiedziała, że teraz plotki rozejdą się błyskawicznie, jednak nie mogła nic na to poradzić. Skupiła się na rytmicznym oddychaniu i stawianiu kolejnych kroków.

Gdy opuściły wielką salę, Wonda skinęła na strażniczki. Te zwały szereg za ich plecami, a wtedy ogromna Darsy złapała Leeszę w ramiona niczym dziecko i poniosła.



– Przyj! – nakazała Darsy, ale jej polecenie nie miało właściwie znaczenia. Leesha poczuła kolejne ruchy dziecka w chwili, gdy towarzyszki oparły ją o krawędź łóżka. Noworodek przepychał się na świat bez względu na to, czy mu w tym pomoże, czy też nie. Osiągnęła pełne rozwarcie, jej wody płodowe przed chwilą obryzgały piękny drewniany pancerz Wondy. Czuła, że za chwilę będzie już po wszystkim.

Wtedy jednak dziecko poruszyło się gwałtownie i Leesha wrzasnęła z bólu. Darsy również krzyknęła, widząc zarys drobnych rączek i stópek napierających na brzuch od środka. Wszystkie miały wrażenie, że w łonie Leeshy miota się demon, który usiłuje przebić się na zewnątrz. Pośród niknących już sińców na brzuchu pojawiły się nowe.

– Widzisz je? – spytała Leesha.

Darsy wciągnęła powietrze i spojrzała między jej nogi.

– Nie, pani.

Niech to Otchłań, pomyślała Leesha. Tak niewiele już brakowało.

– Pomóż mi! – wykrztusiła i złapała Wondę za rękę. – Będzie łatwiej, jeśli ukucnę.

Przysiadła ostrożnie, usiłując wypchnąć dziecko na zewnątrz, ale ono znów kopnęło z całej siły. Leesha miała wrażenie, że dziki koń trafił ją kopytem. Wrzasnęła i zatoczyła się, Wonda pochwyciła ją i ułożyła z powrotem na poduszkach.

– Spełniają się moje obawy – powiedziała Amanvah. – Pani, muszę rozciąć łono.

– Nie ma mowy! – natychmiast wtrąciła Wonda, a potężna Darsy pochyliła się nad drobną *dama'ting*.

– Nie pozwolę ci na to, nawet gdybyś była ostatnią Zielarką na świecie!

– Leesho vah Erny am'Zakątek – rzekła Amanvah – przysięgam na Everama oraz Niebiosa, do których mam kiedyś nadzieję trafić, że twoją jedyną szansą na przeżycie tej nocy jest rozcięcie brzucha, czego tylko ja mogę dokonać.

W dłoni Wondy pojawił się nóż. Leesha doskonale wiedziała, jak szybko jej przyboczna potrafi nim władać, ale wówczas Amanvah zaskoczyła je wszystkie, robiąc coś, w co nikt nigdy by nie uwierzył. Opadła na kolana, ułożyła dłonie na podłodze i przycisnęła do niej czoło.

– Na krew, która nas łączy, pani. Proszę cię. Ala cię potrzebuje. *Sharak Ka* cię potrzebuje. Musisz mi zaufać.

– Krew, która was łączy? – prychnęła Darsy. – Czy tobie, na Otchłań, pomieszało się w...

– Zrób to! – wycharczała Leesha. Dziecko nie przestawało się miotać.

– Nie pozwolisz jej chyba... – zaczęła Darsy.

– Pozwolę, Darsy Rębacz, i przymknij się już! – warknęła Leesha. – Amanvah posługuje się nożem o wiele lepiej od ciebie i dobrze o tym wiesz, a więc przełknij swoją dumę

i asystuj jej!

Darsy skrzywiła się, ale potaknęła. Amanvah wyciągnęła kości z sakiewki.

– Uśpię zarówno dziecko, jak i ciebie – zaproponowała.

Leesha pokręciła głową.

– Wycisz dziecko, ale ja chcę pozostać przytomna.

– Nie ma czasu na warzenie ziół na uśmierzenie bólu!

– To daj mi coś, na czym mogę zacisnąć zęby.

Zasłona Amanvah skryła uśmiech, ale zdradziły go delikatne zmarszczki wokół oczu Krasjanki. Skłoniła się.

– Twój honor nie ma granic, córko Erny’ego. Ból to jedynie wiatr. Ugnij się jak palma i pozwól mu, żeby pomknął dalej.



Krzyki dziecka, otulonego w pieluszki i wciśniętego w ramiona Wondy, wypełniły komnatę, a Amanvah i Darsy kończyły pracę. Darsy zszywała ranę, Amanvah przygotowywała kości, by przyspieszyć leczenie.

Wonda stała sztywno niczym świeżo upieczony ojciec, przerażona, że może ścisnąć dziecko zbyt mocno i zrobić mu krzywdę. Spoglądała na drobną twarzyczkę o oliwkowej cerze, a Leesha wiedziała, że młoda kobieta od tej pory będzie gotowa oddać za nie życie.

Ramię Leeshy drgnęło. Odruchowo zapragnęła wyciągnąć ręce i przytulić dziecko do siebie, ale narzuciła sobie spokój. Wiedziała, że nie wolno jej się ruszać do czasu zakończenia zabiegu. Na razie niemalże wystarczała jej świadomość, że dziecko jest zdrowe i bezpieczne.

Niemalże.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytała Leesha.

Wonda poderwała głowę niczym uczennica złapana na snach na jawie.

– Co takiego, pani?

– Chodzi mi o moje dziecko – poprosiła Leesha. – Chłopiec czy dziewczynka?

Tak wiele zależało od odpowiedzi. Męski potomek Ahmanna Jardira zrodzony z kobiety z zielonych krain mógł stać się przyczyną otwartej wojny z Krasją, choć dziewczynka również może być celem politycznych intryg. Leesha ani przez moment nie wątpiła w to, że Krasjanie upomną się o dziecko, bez względu na przysięgi Amanvah. Niemniej czy zapragną go teraz, czy jakąś dekadę później, zależało od słów, które zaraz powie Wonda.

Ta ułożyła sobie dziecko na ramieniu i rozchyliła pieluchy.

– To chło... – zaczęła, ale zmarszczyła brwi i przyjrzała się baczniej, aż w końcu uniosła głowę. Na jej czole widniała bruzda. – Niech mnie Otchłań. Nie mam pojęcia, pani. Nie jestem Zielarką.

Leesha spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Nie trzeba być Zielarką, Wondo, żeby wiedzieć, które części ciała należą do chłopca, a które do dziewczynki!

– Sęk w tym, pani – na twarzy Rębaczki pojawiło się przerażenie – że dziecko ma i jedno, i drugie.



2

Olive

334 ROK PLAGI

Bodajże po raz pierwszy w życiu Leesha nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wpatrywała się w Wondę z otwartymi szeroko ustami, a jej myśli gnały jedna za drugą. W komnacie nadal rozbrzmiewały wrzaski noworodka.

Dzieci z organami obojga płci nie były całkowicie nieznanym zjawiskiem. Leesha czytała opisy udokumentowanych przypadków w naukowych księgach starego świata, ale widok takich aberracji u żywego dziecka był czymś zupełnie innym.

Tym bardziej że właśnie wyszło z jej łona.

Tarisa zerknęła nad ramieniem Wondy, krzyknęła cicho i odwróciła się.

Leesha wyciągnęła rękę.

– Pokażcie mi je.

Darsy złapała Zielarkę za rękę i ułożyła ją na stole.

– Jeszcze raz się ruszysz, zanim skończymy, Leesho, a cię przywiążę.

Ktoś krzyknął na progu. Leesha uniosła głowę i ujrzała kolejny koszmar – jedna ze strażniczek Wondy uskakiwała przed rozpędzoną, rozwścieczoną Eloną.

– Co to ma znaczyć, Bekka? – huknęła Wonda. – Mówiłam, że nikomu nie wolno wchodzić!

– Przepraszam, Won, ale ona uszczypnęła mnie w sutek i odepchnęła!

– I zaraz uszczypnę cię w jeszcze kilka miejsc, jeśli znów staniesz mi na drodze do córki! – warknęła Elona. – Dlaczego nikt mi nie...

Słowa uwięzły kobiecie w gardle, gdy Wonda odwróciła się i Elona ujrzała noworodka w ramionach Rębaczki. Podbiegła z wyciągniętymi rękami, ale Wonda zwinnie uskoczyła w bok. Spojrzenie, którym smagnęła ją Elona, przeraziłoby nawet otchłańca, lecz kapitan odsłoniła jedynie zęby.

– W porządku – odezwała się Leesha, a Wonda ustąpiła i niechętnie pozwoliła, by Elona ujęła dziecko.

W oczach Elony zaśniły łzy.

– Skórę ma jak ojciec, ale oczy są twoje – szepnęła i zaczęła odwijać pieluszkę. – To chłopiec czy... – zaczęła, zamarła jednak, opromieniona blaskiem runów leczniczych zaktywowanych przez Amanvah.

Nagły przyływ mocy był niczym łyk powietrza dla tonącego. Wniknął w ciało Leeshy, gojąc wszystkie rany i napełniając je nowymi siłami. Gdy światło przygasło, dziewczyna zaczęła się podnosić.

– Tylko się nie ruszaj! – odezwała się Darsy, ale Leesha zignorowała polecenie.

– Wonda, pomóż mi znaleźć się w łóżku.

Przyboczna podniosła ją bez wysiłku i zaniosiła do miękkiego, wyściełanego poduszkami łóżka. Tam Leesha wyciągnęła ręce, a Elona podała jej maleństwo. Dziecko spojrzało jasnymi, błękitnymi oczyma, a Leesha niespodziewanie pokochała je tak mocno, iż sama nie mogła w to uwierzyć.

Nie jedna Wonda Rębacz byłaby gotowa za ciebie zginąć, skarbie, pomyślała. Współczuję zarówno ludziom, jak i demonom, którzy będą próbować nas rozdzielić.

Ucałowała przepiękną, idealnie uformowaną twarz i uwolniła maleństwo z kocyka, po czym ułożyła je sobie na piersi, dzieląc się z nim ciepłem. Dziecko zaczęło szukać sutka i Leesha rozmasowała sobie pierś. Drobne usteczka rozchyliły się szeroko, a Leesha szybko wsunęła w nie sutek, by maleństwo zaczęło ssać.

Ilu matkom jak dotąd pokazała, jak to zrobić? Ile noworodków ułożyła przy matczynej piersi? Nic jednak nie równało się z chwilą, gdy sama doświadczyła po raz pierwszy, jak jej piękne dziecko zaczęło samodzielnie ssać. Westchnęła, zaskoczona siłą, z jaką to robiło.

– Wszystko w porządku? – spytała Darsy.

Leesha pokiwała głową.

– Jakie ono silne...

Wiedziała, że zniesie każdy ból, by je nakarmić. Tylekroć w czasie minionych miesięcy trzęsa się ze strachu o jego życie, ale w końcu znalazło się przy niej. Żyło i nic mu nie groziło. Po policzkach Leeshy płynęły łzy radości.

Tarisa pochyliła się nad Zielarką z wilgotną szmatką w rękę, by zetrzeć łzy i pot.

– Każda matka płacze przy pierwszym karmieniu.

Chwila płaczu przyniosła ulgę, ale Leesha wiedziała, że czeka na nią wiele pytań bez odpowiedzi i nie może ich odkładać w nieskończoność. Odczekała, aż jej oddech wróci

do normy, po czym Tarisa otarła ją po raz ostatni, a Leesha samodzielnie rozwinęła pieluszki.

Wonda się nie pomyliła. Na pierwszy rzut oka miała przed sobą zdrowego chłopca z w pełni uformowanym penitem i jąderkami, ale gdy uniosła mosznę, dostrzegła poniżej pochwę. Westchnęła, przykryła dziecko i zaczęła całościowe badanie.

Noworodek był na tyle duży, że nie zdołałby się przepchnąć przez kanał rodny, nie ryzykując przy tym własnego życia oraz życia rodzącej matki. Amanvah się nie pomyliła, cięcie uratowało ich oboje.

Maleństwo było silne oraz głodne. Na pierwszy rzut oka wydawało się okazem zdrowia i nic nie wskazywało na to, czy jest chłopcem, czy też dziewczynką.

Leesha nałożyła runiczne okulary i wejrzała w aureę dziecka, która okazała się niezwykle jasna. Równie intensywną widziała jedynie u Arlena i Renny Balesów. Wyczuwała w niej siłę, ale również wielką radość. Dziecko czerpało tyle radości z karmienia, co ona. Jej oczy znów wezbrały łzami i musiała je obetrzeć, by móc powrócić do badania.

Przyjrzała się podbrzuszu dziecka. Wstępna diagnoza nie okazała się błędem – maleństwo miało w pełni funkcjonalne, zdrowe organy płciowe, zarówno męskie, jak i żeńskie. Leesha spojrzała na Wondę i skinęła głową.

– Zgadza się – powiedziała. – I jedno, i drugie.

– Jak to jest, na Otchłań, w ogóle możliwe? – spytała Elona.

– Czytałam o podobnych przypadkach – rzekła Leesha. – Choć na własne oczy nigdy niczego takiego nie widziałam. Oznacza to, że w zapłodnieniu brały udział dwa jajeczka, ale jedno wchłonęło...

Leesha nagle poczuła ucisk w gardle, gdy uświadomiła sobie prawdę.

– To moja wina – wykrztusiła.

– Co znowu? – spytała Darsy.

– To przez magię! – Leesha miała wrażenie, że ściany komnaty zbliżają się i napierają na nią. – Zbyt często po nią sięgałam. Począwszy od tej nocy, gdy wraz z Ineverą walczyliśmy z demonem umysłu, zaraz po tym, jak ja i Ahmann po raz pierwszy...

Na jej twarzy pojawił się grymas rozpacz.

– Ja scaliłam oba jajeczka...

– Gówno tam – rzekła Elona. – A skąd niby ta pewność, co? Przecież powiedziałaś, że widziałaś coś takiego w książkach.

– Rzadko kiedy zgadzam się z Eloną, pani – odezwała się Darsy – ale w tym przypadku się nie myli. Nie ma powodu, żeby myśleć, że magia ma z tym coś wspólnego.

– Ale tak było! – upierała się Leesha. – Czułam to!

– No i co z tego? – spytała ostro Wonda. – Miałaś dać się zeżreć demonowi?

– Oczywiście, że nie – odparła Leesha.

– Bruna mawiała, że nie ma co szukać winnego, kiedy człowiek sam rwie się do bójki – oznajmiła Darsy. – Co się stało... Same wiecie.

– Już się nie odstanie – dokończyła za nią Leesha.

– A nawiasem mówiąc, czytałam te same księgi co ty – ciągnęła Darsy. – Pamiętam fragmenty o leczeniu czegoś takiego.

– Leczeniu? – spytała Elona. – A niby jak się to robi? Są zioła, które zamkną cipkę albo ususzą fiutka, żeby sam odpadł?

– Pewnie, że nie. – Darsy wzruszyła ramionami, wpatrując się w dziecko. – Trzeba będzie... Cóż, trzeba będzie zdecydować się na płęć. Dziewczyna może bez trudu uchodzić za chłopaka.

– A chłopak równie dobrze może uchodzić za dziewczynę

– sprzeciwiła się Elona. – To niczego nie rozwiązuje.

– Tak. – Darsy spojrzała na miejsce zabiegu, gdzie nadal uwijała się Amanvah. – Ale wystarczy kilka cięć i szwów, żeby...

– Wondo – odezwała się Leesha.

– Tak, pani?

– Jeśli ktoś poza mną będzie choćby próbował operować moje dziecko, masz go zastrzelić.

– Dobrze, pani. – Wonda założyła ramiona na piersi.

– Ale ja tylko... – zaproponowała Darsy.

Leesha jedynie machnęła ręką.

– Wiem, że nie masz na myśli nic złego, jednak takie praktyki to czyste barbarzyństwo. Nie ma mowy o zabiegach chirurgicznych, chyba że życie dziecka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Czy to jasne?

– Tak, pani – rzekła Darsy. – Ale ludzie będą pytać, czy to chłopak, czy dziewczyna. Co im powiemy?

Leesha spojrzała na Elonę.

– Nie patrz na mnie – odparła matka. – Nikt nie wie lepiej ode mnie, że nie mamy w tych sprawach nic do powiedzenia. Stwórca robi to, co mu się podoba.

– Dobrze powiedziane, żono Erny’ego – wtrąciła się Amanvah, która wreszcie odwróciła się od stołu. Uniosła ku Leeshy dłonie, nadal czerwone od krwi porodowej. – Nadeszła odpowiednia chwila, pani. Nie ma lepszego momentu na rzut *hora* niż chwila narodzin.

Leesha zastanowiła się. Wiedziała, że rzut kośćmi skąpanymi we krwi i wodach płodowych odsłoni przyszłość zarówno jej samej, jak i dziecka. Problem leżał w czymś innym. Nawet gdyby Amanvah okazała życzliwość i oddanie – z czego *dama'ting* bynajmniej nie słynęły – nie byłaby w stanie wyrazić całej wizji słowami i na zawsze skryłaby sekrety, których Leesha mogła w przyszłości bardzo potrzebować.

Niemniej w aurze Amanvah płonąła złotem troska o dziecko, które wszak było potomkiem jej rodzonego ojca. Chciała rzucić kośćmi po to, by je chronić.

– Pozwolę ci na to pod pewnymi warunkami – odezwała się Leesha – które nie podlegają żadnym negocjacjom.

– Zrobię, co zechcesz. – Amanvah pochyliła głowę.

Leesha uniosła brew.

– Po pierwsze, wygłosisz modlitwę po thesańsku.

– Oczywiście – odparła Amanvah.

– Po drugie, podzielisz się wszystkim, co ujrzysz, tylko i wyłącznie ze mną.

– Ale ja też chcę się tego dowiedzieć! – odezwała się Elona, ale Leesha nie spuszczała oczu z Krasjanki.

– Tak, pani – odparła *dama'ting*.

– Po trzecie, nigdy o tym nie zapomnisz. Jeśli za dwadzieścia lat zapytam cię o jakiś szczegół wizji, bez wahania udzielisz mi pełnej odpowiedzi.

– Przysięgam na Everama – rzekła Amanvah.

– Ponadto nie dotkniesz kości dopóty, dopóki nie zrobię kopii dla siebie.

Amanvah zamarła na moment. Nikt z zewnątrz nie miał prawa przyglądać się *alagai hora* należącym do *dama'ting*, chyba że próbował wyrzeźbić własne. Gdyby zgodziła się na tę prośbę, Inevera miałyby pełne prawo zażądać jej głowy na tacy.

Mimo to po chwili kapłanka skinęła głową.

– Mam gliniane kości, którymi możemy zastąpić moje.

– A potem nauczysz mnie, jak je odczytywać – oznajmiła Leesha.

W komnacie zapadła cisza. Nawet te spośród obecnych, które nie znały się na krasjańskich obyczajach, wyczuły, że Leesha właśnie postawiła niezwykle śmiały, wręcz zuchwały warunek.

Amanvah zmrużyła oczy.

– Tak.

– Co ujrzałaś, gdy rzuciłaś kośćmi dla dziecka w Angiers? – spytała Zielarka.

– Pierwszą rzecz, której matka kazała mi szukać.

Leesha rozstawiła naznaczone runami monety dookoła starego, zacnego mebla, który posłużył jako stół operacyjny. Po aktywacji magiczne symbole uczyniły przestrzeń wokół stołu całkowicie dźwiękoszczelną, a obie kobiety w skupieniu pochyliły się nad blatem, by przyjrzeć się jaśniejącym kościom.

Amanvah wskazała długim, pomalowanym paznokciem jeden z najważniejszych symboli – *ka*, krasjańskie słowo oznaczające „jeden” lub „pierwszy”.

Potem pokazała kolejny. *Dama*, czyli „kapłan”.

Następnie trzeci, *Sharum*. Wojownik.

– Pierwszy, kapłan i wojownik. – Leesha zamrugła. Zaparło jej dech w piersiach. – Shar’Dama Ka?

Amanvah przytaknęła.

– *Dama* oznacza „kapłan” – rzekła Leesha. – Czy to znaczy, że dziecko jest płci męskiej?

– Niekoniecznie. – Kapłanka pokręciła głową. – Należałoby to raczej tłumaczyć jako Pierwszy Wojownik Duchowny, ale słowa są rodzaju nijakiego i mogą oznaczać obie płcie w *Hannu Pash*.

– A więc moje dziecko jest Wybawicielem? – spytała Leesha z niedowierzaniem.

– To nie jest takie proste – odparła Krasjanka. – Musisz zrozumieć, pani, że kości mówią nam o naszym potencjale, ale prawie nigdy nie umiemy sięgnąć szczytu swoich możliwości.

Wskazała inny symbol.

– *Irrajesh* – rzekła.

– Czyli śmierć – przetłumaczyła Leesha.

Amanvah skinęła.

– Róg kości skierowany jest na północny wschód, widzisz? Istnieje spore ryzyko, że dziecko niebawem umrze.

Leesha zacisnęła zęby.

– Nigdy na to nie pozwolę!

– Ani ja – zgodziła się Amanvah. – Przysięgam na Everama i moje pragnienie, żeby wstąpić do Niebios. Nie ma na całej Ala większej zbrodni niż wyrządzenie krzywdy temu, kto może nas wszystkich zbawić. Ala. – Pokazała inną kość, która znieruchomiała po przekątnej *irrajesh*. – Nawet jeśli podejmiemy ryzyko, dziecko może zesłać zagładę na świat.

Leesha usiłowała przetrwać te słowa, lecz okazało się to za trudne. Odsunęła je od siebie.

– Jak postąpią twoi rodacy, gdy się dowiedzą, że dziecko nie jest ani dziewczyną, ani chłopakiem?

Amanvah pochyliła się bardziej, by przyjrzeć się nie tylko dużym symbolom w centrum kości, ale również tuzinom mniejszych, biegnących wzdłuż krawędzi.

– Wieści ich podzielą. Nie mogę póki co ogłosić, jakie przeznaczenie jest pisane temu dziecku, gdyż byłoby to zbyt niebezpieczne, jeśli jednak tego nie zrobię, wielu Krasjan uzna jego przypadłość za dowód, że Everam odwrócił się od plemienia Zakątka.

– I będą mieli pretekst, żeby zerwać pokój, do którego doprowadziłam wraz z Ahmannem – stwierdziła Leesha.

– A pamiętaj, że po tym, jak syn Jepha zrzucił Wybawiciela z klifu, mało kto potrzebuje takiego pretekstu.

– Amanvah pochyliła się nad inną kością. – Widzisz? – Wskazała symbol, który zwrócił się ku pozostałym. – To *ting*. Kobieta. – Przesunęła palcem wzdłuż krawędzi kości i dalej. Nakreślona przez palec linia przecięła *irrajesh*. – Na linii płci żeńskiej nie ma wielu punktów zbieżności. Jeśli ogłosisz, że dziecko jest dziewczynką, nie dojdzie do aż tak wielkiego zamieszania.



Nim Leesha i Amanvah skończyły, dziecko zostało wykąpane i przebrane. Elona drzemała na fotelu ze śpiącym maleństwem w ramionach, a Wonda czujnie stała nad nią. Darsy nadal chodziła niespokojnie od ściany do ściany. Tarisa, wymieniwszy zakrwawioną pościel na świeżą, przygotowywała kąpiel.

– To dziewczynka – oznajmiła głośno Leesha, wychodząc spoza runów ciszy.

Darsy zatrzymała się jak wryta. Rozbudzona Elona uniosła głowę.

– Co? Że co powiedziałaś?

Leesha nałożyła runiczne okulary i przyjrzała się austom zgromadzonych przed nią kobiet.

– Chciałam oficjalnie ogłosić na potrzeby was wszystkich, że właśnie urodziłam zdrową dziewczynkę – stwierdziła.

– Tak, pani – rzekła Wonda. – Ale sama powiedziałaś, że dziecka trzeba będzie pilnować przez cały dzień i noc! Co będzie, jak ktoś spojrzy nie tam, gdzie trzeba, podczas zmiany pieluszki?

Jej aurę zabarwił niepokój.

– Skoro już o tym mowa, Wondo Rębacz – roześmiała się Leesha. – Dekretem hrabiny Zakątka zostajesz zwolniona z obowiązku przewijania maleństwa. Wycierając mu pupkę, zwyczajnie marnujesz swój talent.

– Stwórcy niech będą dzięki! – odetchnęła Wonda.

– Osobiście odczytam aurę każdego członka naszej służby i straży, który będzie miał dostęp do mojej córki. – Leesha przeniosła spojrzenie na Tarisę. – Każdy, komu nie zaufam, będzie musiał znaleźć zatrudnienie gdzie indziej.

W aurze służącej pojawił się lęk, a Leesha westchnęła.

Świadomość, że prędzej czy później będzie musiała się z tym zmierzyć, wcale sprawy nie ułatwiła.

– Chcę, żeby prawdę poznały również Jizell i Vika – ciągnęła. – Dziewczynka musi być pod stałą opieką na wypadek pojawienia się nieoczekiwanych kłopotów zdrowotnych.

– Jasne – zgodziła się Darsy.

– Jeśli powiesz Jizell, księżna matka pozna prawdę kwadrans później – ostrzegła Wonda.

Jizell piastowała teraz rangę księżęcej Zielarki na dworze księcia Pethera i odpowiadała bezpośrednio przed księżną Araine.

Leesha spojrzała Tariesie w oczy.

– Przypuszczam, że prędzej czy później i tak dotrze do prawdy. Wolałabym, żeby dowiedziała się wszystkiego ode mnie.

– Przecież z nią będzie tak samo! – Darsy wycelowała palec w Amanvah.

– Nie mylisz się. – W aurze Amanvah nadal panował spokój. Słowa Darsy były jednak jak najbardziej uzasadnione. – Nie będę okłamywać swojej matki ani też ukrywać przed nią informacji, ale pamiętajcie, że mamy zbieżne interesy. Damajah będzie żywo zainteresowana zapewnieniem dziecku bezpieczeństwa i bez niej trudno będzie powstrzymać mojego brata od przejęcia bądź zabicia dziewczynki.

Elona otworzyła usta, jednak Leesha ucięła debatę krótkim:

– Ufam jej.

Potem przeniosła spojrzenie na Amanvah.

– Czy wraz z Sikvah zostanieie z nami?

Dama'ting pokręciła głową.

– Dziękuję, pani, ale w posiadłości mojego czcigodnego męża przygotowano dla nas wystarczająco dużo miejsca. Po

tak długim czasie w niewoli chcę się znaleźć pod własnym dachem i wśród rodaków.

– Oczywiście – rzekła Leesha i ułożyła dłoń na brzuchu Amanvah. Ta, wstrząśnięta, nie była w stanie wykrztusić słowa. – Ale zrozum, proszę, że my teraz też jesteśmy twoimi rodakami. Po trzykroć związane krwią.

– Po trzykroć związane – zgodziła się Amanvah i nakryła rękę Leeshy własną. Był to niezwykle intymny gest, wręcz nie do pomyślenia kilka miesięcy wcześniej. Choć trudno było w to uwierzyć, wspólny ból nierzadko wzbogacał bardziej życie w pokoju.

– A co to właściwie miało oznaczać? – spytała Darsy, gdy Amanvah wyszła z komnaty.

– To, że Amanvah i Sikvah noszą dzieci Rojera – odparła Leesha. – Radzę dobrze się zastanowić, zanim odmówicie którejś z nich pomocy w czymkolwiek. Każde ich życzenie ma być w okamgnieniu spełnione.

Darsy uniosła wysoko brwi, ale pokiwała głową.

– Tak, pani.

– A teraz, jeśli mogę prosić was o wybaczenie – rzekła Leesha – chciałabym już odłożyć córkę do kołyski i wreszcie się wykąpać.

Darsy i Wonda skierowały się ku drzwiom, Elona wyraźnie się ociągała. W jej aurze jaśniała niechęć do odłożenia wnuczki.

– Na noc, matko – odezwała się Leesha. – Przez godzinę przekazałaś temu maleństwu więcej czułości niż mnie przez całe życie!

– Może dlatego, że nie jest jeszcze takie pyskate. – Elona spojrzała na śpiącego noworodka. – Szczęściarz. Gdybym sama urodziła się z fiutem, rządziłabym teraz tym miastem.

– Fakt, byłabyś wspaniałym mężczyzną.

– Ale ja nigdy nie chciałam być mężczyzną – odparła

Elona. – Po prostu przydałby mi się fiut. Steave kiedyś mi zrobił jednego z drewna. Wypolerował do połysku i powiedział, że mam go używać, kiedy w domu nie będzie niczego sztywnego.

– Na Stwórcę! – jęknęła Leesha, ale Elona zignorowała słowa córki.

– Niby był dla mnie, ale to twój ojciec lubił, gdy...

– Na Otchłań, matko! – parsknęła Leesha. – Robisz to celowo!

– Oczywiście, że tak! – zachichotała Elona. – Raz na jakiś czas trzeba ci wyciągnąć kij z tyłka, a kto robi to lepiej ode mnie?

Leesha zasłoniła twarz dłońmi, a jej matka wreszcie ustąpiła i oddała dziecko.

– To tylko takie gadanie – stwierdziła. – Kobiety w naszym rodzie są groźne nawet bez fiutów.

– Z tym się zgodzę – uśmiechnęła się Leesha.

– Jak ją nazwiesz?

– Olive.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego to właściwie dziewczęce imię – stwierdziła Elona. – Przecież oliwki bywają twardsze od orzechów.



3

Hrabina Leesha

334 ROK PLAGI

Tarisa czekała na chwilę, gdy Leesha wreszcie oderwie spojrzenie od Olive, pogrążonej w twardym śnie w kołysce. Aura starszej kobiety nadal przywodziła na myśl wystraszonego królika, ale Tarisa nie pokazywała po sobie lęku.

– Musisz być wyczerpana, moja pani. Usiądź, a ja rozczeszę ci włosy.

Leesha dotknęła głowy i uświadomiła sobie, że nadal ma upięte włosy na okoliczność uroczystego powrotu, choć połowa spinek wisiała luźno bądź dawno odpadła. Miała na sobie jedynie przepoconą, zakrwawioną halkę, na którą narzuciła jedwabną koszulę nocną. Na policzkach dziewczyny wciąż widniały ślady łez.

– Muszę koszmarne wyglądać.

– Skądże znowu! – Tarisa zaprowadziła Leeszę do toaletki, gdzie zaczęła rozczesywać jej włosy. Swego czasu powtarzały ten rytuał tak często, iż Leesha poczuła przypływ nostalgii. Wszak znajdowała się w komnatach Thamosa, otaczała ją jego służba, siedziała pod dachem jego siedziby. Miała kiedyś nadzieję, że przyjdzie im dzielić to wszystko, niczym w bajce z książek dla dzieci, ale niestety, rola księcia została z niej wycięta.

Wszędzie dookoła siebie widziała ślady po Thamosie, wciąż żywe pamiątki po życiu, które zostało przerwane w najlepszym momencie. Na ścianach wisiały myśliwskie trofea oraz broń, a także ostentacyjne portrety rodziny książęcej. Pod ścianami, niczym milczący wartownicy, wznosiły się trzy lakierowane zbroje.

Leesha opuściła wzrok na podłogę, by nie widzieć niczego, co przypominało jej o Thamosie, ale wówczas zdradził ją nos. Pochwyciła bowiem zapach aromatycznych olejków, z których korzystał, zapach przypominający o miłości, pożądaniu i stracie. Tarisa dostrzegła jej ruch.

– Arther chciał wszystko wysprzątać, żebyś nie musiała na to patrzeć, pani. Żeby oszczędzić ci bólu.

– Dobrze, że tego nie zrobił – odparła Leesha, choć miała ściśnięte gardło.

Tarisa pokiwała głową.

– Powiedziałam, że oberżnę mu jaja, jeśli przestawi choć krzesło.

Leesha zamknęła oczy. Nie знаła wielu przyjemności, które przynosiły tak wielką ulgę jak czesanie włosów w wykonaniu Tarisy. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Uzdrowicielska magia Amanvah dała jej przypływ siły, ale moc powoli słabła, a poza tym magia nie mogła zastąpić snu.

Na razie jednak Leesha miała do załatwienia kilka

ważnych kwestii. Zmrużyła oko i przyjrzała się aurze Tarisy.

– Od jak dawna szpiegujesz dla księżnej matki? – zapytała.

– Dłużej, niż chodzisz po tym świecie, moja pani. – Aura służącej uległa wzburzeniu, ale głos Tarisy nadal był spokojny i wciąż koił. – Choć nigdy nie nazwałabym tego szpiegowaniem. Przydzielono mnie do opieki nad Thamosem, gdy ten był jeszcze niemowlęciem. Jednym z moich zadań było składanie meldunków na jego temat. Jej Książęca Wysokość kochała swojego syna, ale miała całe hrabstwo na głowie, a mąż zniknął na długo. Co wieczór więc, gdy młody książę zasypiał, opowiadałam jej o tym, co robił.

– Nawet gdy ów chłopiec stał się dorosłym mężczyzną?

– Zwłaszcza wtedy – parsknęła Tarisa. – Sama się przekonasz, moja pani, gdy Olive zacznie dojrzewać. Prawdziwa matka nigdy nie odpuszcza.

– O czym jej opowiadałaś?

– Głównie o jego życiu miłosnym. – Tarisa wzruszyła ramionami. – Jej Książęca Mość ze wszystkich sił próbowała doprowadzić do tego, żeby książę się ustatkował, dlatego chciała wiedzieć o każdej sukni, pod którą zaglądał. – Uniosła głowę i spojrzała Leeshy w oczy. – Ale istnieje tylko jedna kobieta, która przyciągnęła uwagę Thamosa na dłużej.

– I pewnie miała nieciekawą przeszłość? – domyśliła się Leesha. – Najpierw skandal z młodości, a potem cała ta gadanina o romansie z demonem pustyni...

Tarisa znów opuściła wzrok. Powolne, kojące ruchy jej szczotki nie zwalniały ani na moment.

– To tylko ludzka paplanina, moja pani. Plotki, które krążą po Cmentarzysku Otchłańców i wzdłuż ław Świętego Domu, w szeregach Rębaczy i w komnatach służby. Wielu

ludzi gadało o tym, jakimi spojrzeniami obdarzacie się z Naznaczonym, i o tym, jak pojechałaś do Krasji, żeby uwieść Ahmanna Jardira. Nikt nie potrafił udowodnić, że któryś z nich zaciągnął cię do łóżka, ale ludzie nie potrzebują dowodów, żeby szeptać między sobą.

– I nigdy nie potrzebowali – stwierdziła Leesha.

– Nie powiedziałaś księżnej niczego, czego nie usłyszałyby od innych – ciągnęła Tarisa. – Prosiłam ją jednak, żeby nie dawała temu wiary. Ty i księżę Thamos nie próbowaliście nawet zachować szczególnej dyskrecji i gdy twoje halki stały się przyciasne, założyłam, że to dziecko księcia. Wszyscy zresztą wyszli z takiego założenia. Służba wszak cię kocha. Z wielką radością opisałam swoje podejrzenia w liście do księżnej i przebierałam nogami z niecierpliwością, czekając, aż powiesz o wszystkim Jego Wysokości.

– Ale potem się rozstaliśmy – oznajmiła Leesha. – A ty uświadomiłaś sobie, że niepotrzebnie darzysz mnie miłością.

Tarisa pokręciła głową.

– Jak mogliśmy przestać cię kochać, skoro nasz pan nadal darzył cię wielkim uczuciem?

– Przypomnę ci, że Thamos mnie wyrzucił!

– Tak, a potem włóczył się po korytarzach niczym otchłaniec i godzinami gapił się w twój portret.

W przełyku Leeshy pojawiła się wielka włochata kula. Nie była w stanie jej przełknąć.

– Niektórzy nadal mają nadzieję, iż ogłosisz jutro, że Thamos ma dziedzica – mówiła Tarisa. – Marzą o tym, że księżę pozostawił odrobinę siebie, którą będzie można kochać i rozpieszcać. Niemniej nikt nie odwróci się od ciebie, gdy poznają Olive.

– Nie potrafię w to uwierzyć.

– Ja nigdy nie poznałam swojego syna – rzekła Tarisa. –

Pracowałam jako służąca w kuchni pomniejszego lorda i gdy okazało się, że jego żona nie może dać mu dzieci, zapłacili mi, żebym mu się oddała, a potem wyrzekła się dziecka.

– Tariso! – krzyknęła głęboko poruszona Leesha.

– Potraktowano mnie uczciwie – ciągnęła służąca. – Zapłacono mi, dostałam również list z referencjami i sugestią, żeby udać się do księżnej matki i tam zająć malutkim Thamosem. Szybko zaczęłam traktować go jak własnego syna.

Wyciągnęła dłoń i położyła delikatnie na brzuchu Leeshy.

– Nie możemy decydować o tym, jakimi dziećmi obdarza nas Stwórca, ale w tym domu wszystkie twoje dzieci zawsze będą kochane, moja pani.

Leesha nakryła jej dłoń własną.

– Skończ już mnie tytułować.

– Dobrze, pani. – Tarisa uścisnęła dłoń Leeshy raz jeszcze i podniosła się. – Woda na pewno będzie już gorąca. Pójdę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Wyszła, a Leesha odważyła się podnieść głowę i przyjrzeć rzeczom, które pozostały po utraconej miłości. I wybuchła płaczem.



Leesha nie rozsuwała zasłon przez cały dzień i przez runiczne okulary napawała się siłą i czystością aury swojego dziecka. Olive jadła dużo, ale spała niewiele. Wpatrywała się w Leeshę jasnoniebieskimi oczyma. W magii dziecka emanowało coś, co wykraczało poza miłość i uwielbienie, coś o wiele bardziej pierwotnego i czystego.

Pukanie do drzwi wyrwało Leeszę z zadumy. Wonda podeszła, by otworzyć, i przez moment toczyła z kimś cichą, mało wyraźną rozmowę. Po chwili zamknęła drzwi, przekręciła klucz i wróciła do sypialni.

– Arther czeka na zewnątrz – powiedziała. – Parokrotnie próbowałam mu wytłumaczyć, że jesteś zajęta, ale ciągle przyłazi z powrotem. Chyba ma jakąś palącą sprawę.

– W porządku. Widział mnie już w koszuli nocnej. – Leesha podniosła się. – Tarisa? Zabierz Olive do jej pokoiku.

Olive z wielką siłą zaciskała rączkę na palcu Leeshy i nie miała ochoty go wypuścić. Jej aura wywołała ból w sercu młodej matki.

Lord Arther zatrzymał się przed łóżkiem w narzuconej szacunkiem odległości i uklonił się.

– Proszę wybaczyć najście, hrabino.

– Nic się nie stało, Arther – odparła. – Zakładam, że nie zrobiłbyś tego, gdyby sprawa nie była nagląca.

– W rzeczy samej – odparł mężczyzna. – Gratuluję urodzenia córeczki. Rozumiem, że nastąpiło to... cóż, wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Mam nadzieję, że obie dochodzicie do siebie bez problemów?

– Tak, dziękuję – rzekła Leesha. – Choć przypuszczam, że o tym usłyszałaś już od Wondy.

– Tak, oczywiście – zgodził się Arther. – Staję tu przed tobą z inną ważną kwestią.

– Czyli?

Arther wyprostował się. Nie był wysokim mężczyzną, braki nadrabiał postawą.

– Z całym szacunkiem, hrabino, ale uważam, że jeśli zostałem pozbawiony zwierzchnictwa nad służbą i zwolniony z obowiązków, powinienem zostać o tym powiadomiony osobiście.

Leesha zamrugowała.

– A ktoś powiadomił cię nieosobiście?

– Twoja matka, pani.

– Na noc, moja matka? – zdziwiła się Leesha.

Arther uklonił się ponownie.

– Lady Elona wprowadziła się do twierdzy tydzień temu, gdy wieści o twoim nowym tytule dotarły do Zakątka. Problem w tym, że... cóż, z trudem udaje się sprostać jej wymaganiom.

– Co ty nie powiesz.

– Oczywiście ma takie prawo – ciągnął Arther. – Wszak ona, jak i twój ojciec to wysoko sytuowani członkowie twojej rodziny. Nie miałem żadnej informacji od ciebie, przez co założyłem, że kazałaś im wprowadzić się do twierdzy, żeby przygotowali wszystko na wasze przybycie.

Leesha pokręciła głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Moja matka przypuszczalnie zorientowała się, że w twierdzy są ładniejsze meble niż w domu mojego ojca.

– Nie mnie o tym decydować – odparł Arther. – Ale dziś po południu, gdy ogłoszono narodziny twojej córki, pani, lady Elona powiedziała mi, że moje usługi nie są już potrzebne, a cała służba będzie odpowiadać bezpośrednio jej.

– Ja ją chyba uduszę – jęknęła Leesha i przeniosła wzrok na Arthera. – Zapamiętaj, że prędej Otchłań zamarnie, niż ja oddam tej kobiecie władzę nad moim otoczeniem. Dowie się o tym jeszcze dziś.

– Twoje słowa przynoszą mi wielką ulgę – rzekł Arther. – Jednak po odesłaniu Gamona i Hayesa zastanawiam się, czy przypadkiem tak czy inaczej nie jestem kolejny na liście. Czy życzysz sobie mojej rezygnacji, pani?

Leesha przyjrzała mu się uważnie.

– A czy nadal życzysz sobie pozostać na mojej służbie, mimo śmierci Thamosa?

– Tak, pani – odparł Arther.

– Dlaczego? – spytała Leesha bez ogródek. – Nigdy nie aprobowałeś mojej polityki, a zwłaszcza decyzji w kwestii uchodźców.

W aurze dworzanina zajaśniało oburzenie, ale zachował spokój i uniósł jedynie brew.

– Moja aprobata bądź jej brak nie mają wielkiego znaczenia. Byłem odpowiedzialny za finanse księcia i chciałem, żeby jego pieniądze zostały należycie wydane. Kwestionowałem każdy wydatek zaproponowany przez radę, ponieważ chciałem dobrze wypełnić swoje obowiązki. Niemniej gdy Jego Wysokość podjął ostatecznie decyzję, wprowadzałem ją w życie bezzwłocznie. Zapewniam, że tobie będę służył równie sumiennie, jeśli zdecydujesz się mnie zatrzymać.

W jego aurze nie było widać fałszu, ale Leesha czuła, że Arther nie udzielił jej odpowiedzi na pytanie.

– Dlaczego? – powtórzyła. – Sądziłam, że sam złożysz rezygnację niedługo po moim przybyciu i powrócisz do rodzinnych interesów w Angiers.

W aurze Arthera błysnął nowy obraz, nieco zamazany, jednak Leesha udało się dostrzec wielką angieriańską kamienicę, ongiś wspaniałą, teraz zaniedbaną i częściowo zrujnowaną. Wokół Arthera jaśniał wstyd przemieszany z wielką dumą.

– Moja rodzina zastawiła kamienicę, żeby kupić mi patent oficerski w Drewnianych Żołnierzach – rzekł. – Dzięki ich poświęceniu oraz odrobinie szczęścia zostałem giermkim młodego księcia Thamosa i oddałem mu całe swoje życie, podobnie jak Gamon.

W jego aurze rozbłysło wyobrażenie ich trójki, Thamosa, Arthera i Gamona, nierozłącznych niczym bracia.

– Księcia jednak nie ma już wśród nas.

Aura rozbłysła rozpaczą, choć Arther nie dał tego po

sobie poznać.

– Angiers też nie jest już takie, jakim je opuściliśmy. Miasto znalazło się pod okupacją Górskich Włóczni Euchora, uzbrojonych w ognistą broń, a Drewniani Żołnierze niebawem będą zajmować się patrolowaniem ulic, łagodzeniem rodzinnych kłótni i rozpędzaniem nielegalnych przedstawień Minstreli bez licencji. Nie mamy tam już czego szukać, nawet gdybyśmy chcieli powrócić.

Leeshy nie przyszło to wcześniej do głowy.

– Dokąd byś się udał, gdybym poprosiła cię o rezygnację?

– Póki co pełnię obowiązki kwatermistrza Drewnianych Żołnierzy stacjonujących w Zakątku, chyba że z tego obowiązku również mnie zwolnisz, pani – odparł Arther. – Wróciłbym więc do koszar i poszukał dla siebie nowej pracy u któregoś z baronów. Niewykluczone, że u barona Rębacza.

– Nadal nie mam pewności, czy byłbyś wobec mnie lojalny, Artherze. Obawiam się, że muszę potraktować cię bezceremonialnie i poszukać odpowiedzi w twojej aurze – rzekła i postukała palcem w okulary.

Arther wbił w Leeshę spojrzenie, a potem zerkał to na lampy i zasłonięte okna, to znów na runiczne okulary. Jego aura była aktywna, lecz nazbyt wzburzona, by można ją było odczytać, jakby sam Arther nie mógł zdecydować, co sądzi o takim naruszeniu prywatności. W końcu pociągnął nosem i wyprostował się.

– Nie mam nic przeciwko bezceremonialnym czy ostrym pytaniom, które mi zadajesz, pani. Tak jak kwestionowanie twoich decyzji było moim obowiązkiem, testowanie mojej lojalności jest twoim.

– Dzięk... – zaczęła Leesha, jednak Arther przerwał jej, unosząc dłoń.

– Ale jeśli mamy współpracować w dobrej wierze, chcę, żebyś obiecała, że już nigdy nie poddasz mnie tej... –

machnął ręką w kierunku okularów Leeshy – tej osobiwej, niestosownej kontroli bez uzasadnionego powodu.

Leesha pokręciła głową.

– Wybacz, jeśli czujesz, że naruszyłam twoją prywatność, ale te okulary stały się częścią mnie. Nie będę ich zdejmować za każdym razem, gdy wejdiesz do komnaty. W Zakątku szykują się zmiany, Artherze. Każdemu człowiekowi z mojego otoczenia, któremu nie odpowiada runiczna magia, przygotuję znakomite referencje i hojną odprawę.

– Dobrze, pani. Przekażę służbie. Jeśli zaś chodzi o mnie, jeśli masz dodatkowe pytania co do mojej lojalności, pytaj i miejmy to już z głowy.

Aura Arthera kipiała od oburzenia. Jak dotąd uważał się za człowieka poza krytyką i brak zaufania hrabiny głęboko go uraził. Leesha wiedziała, że musi postępować ostrożnie. Arther mógł się okazać człowiekiem lojalnym i należało go jakoś zjednać. Całkowity brak zaufania niechybnie pchnąłby go do wyjazdu.

Założyła ramiona na piersi i rzekła:

– Ojcem mojej córki jest Ahmann Jardir.

W aurze Arthera nie zaszły żadne zmiany.

– Nie jestem głupcem, moja pani. Gdyby ojcem dziecka był Thamos, twoja matka wrzeszczałaby o tym z wież fortocy. Zresztą mój pan podzielił się ze mną tym sekretem kilka miesięcy temu.

– A mimo to chcesz pozostać na mojej służbie?

– Ahmann Jardir nie żyje – rzekł Arther. – Bez względu na to, co miało miejsce w przeszłości, twoje związki z Krasją umarły wraz z nim. Po bitwie pod Dokowiskiem nie ma już wątpliwości, że nowy przywódca Krasjan postrzega Zakątek jako wroga, a ja poznałem cię już dobrze, moja pani, i wiem, że mu się nie poddasz.

– Nie mylisz się, na Otchłań – wtrąciła Wonda.

– Mój pan również nie żyje – ciągnął Arther, a jego oburzenie ustąpiło miejsca coraz silniejszemu smutkowi. – Wiem, że darzyliście się wielkim uczuciem, ale wcześniej, zanim się poznaliście, byliście wolnymi ludźmi i każde z was miało prawo dobierać sobie partnerów. Nie mnie to oceniać.

– Wysyłałeś regularne raporty ministrowi Jansonowi.

– Wszyscy to robiliśmy, łącznie z Jego Wysokością – odparł Arther. – Thamos nie ukrywał niczego przed Bluszczowym Tronem.

– Ale Janson również nie żyje – stwierdziła Leesha. – A księgi rachunkowe Zakątka są zamknięte. Angiers, które znaleźmy, jak sam powiedziałeś, już nie istnieje. Zakątek musi ułożyć dla siebie nową przyszłość.

– Masz zamiar zostać księżną Zakątka? – odgwał Arther.

– A jeśli tak, to co? – spytała Leesha. – Komu okażesz wówczas lojalność? Mnie i Zakątkowi czy Bluszczowemu Tronowi?

Arther cofnął się o krok i ujął ceremonialną włócznie, którą nosił na plecach. Wonda drgnęła, ale Leesha zatrzymała ją uniesieniem dłoni, a Arther ułożył broń u stóp łóżka Leeshy i uklęknął.

– Tobie oraz Zakątkowi, pani. Przysięgam na Stwórcę i ponowię swoją przysięgę w blasku słońca.

Leesha wyciągnęła dłoń.

– Ja zaś przysięgam, że okażę się godna twojego zaufania, pierwszy ministrze – oznajmiła.

Arther ujął jej palce i ucałował.

– Dziękuję, moja pani.

Powstał płynnym ruchem, po czym wyciągnął tabliczkę z sakwy u boku.

– A więc, skoro tak się sprawy mają, wpisałem już wiele spotkań w twój kalendarz, a oprócz tego mamy serię spraw niecierpiących zwłoki...

Leesha westchnęła, lecz w duszy poczuła wielką ulgę. Zerknęła do pokoiku dziecięcego.

– Masz czas do przebudzenia Olive.



„Leesha córka Erny’ego, pani Zakątka”.

Plecy Leeshy znów przeszył ból. Miała wrażenie, że pisze te słowa po raz tysięczny. Krzesło Thamosa, ogromny, groźny mebel z rzeźbionego drewna, zostało wybrane raczej z myślą o wzbudzaniu respektu niż o wygodzie. Magia wydatnie przyspieszała proces gojenia, ale Leesha nie chciała się od niej uzależniać, tym bardziej że Olive chciwie ssała jej pierś kilkanaście razy na dobę.

Splotła dłonie z tyłu i przeciągnęła się. Podpisywała dokumenty od rana, a w oknie widziała już ciemniejące niebo.

Minister Arther sprawnie wyrwał Leeshy sygnowany arkusz i ułożył na stosie innych, a potem podsunął jej kolejny.

– Pięćdziesiąt tysięcy klatów za kropierz z herbem barona Rębacza – oznajmił i wskazał miejsce, w którym figurowała kwota, a potem nakreślił krzyżyk u dołu. – Proszę tu podpisać.

Leesha przejrzała szybko treść dokumentu.

– Przecież to jakiś absurd. Nie mam zamiaru aprobować takich wydatków. Baron może sobie stroić konie za własne pieniądze, bo my mamy głodnych ludzi do wykarmienia.

– Proszę o wybaczenie, pani – zaprotestował Arther – ale zamówienie zostało wykonane miesiąc temu. Baron ma już swój kropierz, a teraz należy zapłacić wykonawcy.

– Jak coś takiego przeszło bez niczyjej zgody? – spytała

Leesha.

– Jego Wysokość pozostawił Zakątek pod opieką barona Rębacza, a ten prędzej wsadzi drzewnego demona do klatki, niż chwyci za pióro. – Arther pociągnął nosem. – Najwyraźniej wśród mieszkańców Zakątka splunięcie na dłoń uważane jest za wiążący kontrakt.

– Większość z nich i tak nie potrafi pisać i czytać. – Leesha zacisnęła zęby, pochyliła się i podpisała papier, a potem przeniosła wzrok na wysoki stos pozostałych przysyłanych przez pisarza barona. – To wszystko podobne wydatki?

– Obawiam się, że tak – rzekł Arther. – Ludzie potrzebowali jakiegoś symbolu, kogoś, za kim byliby gotowi stanąć pod nieobecność twoją i hrabiego, tym bardziej że pan i pani Bales równie znikli bez śladu. Baron Rębacz godnie ich zastąpił jako przywódca, ale jako administrator... Cóż, w tej roli jego działania pozostawiają wiele do życzenia.

Leesha pokiwała głową. Trudno, żeby ją to zdziwiło, wszak znała Gareda przez całe życie. Ludzie go kochali i mu ufali. Był przecież jednym z nich, pierwszym Rębaczem, który odpowiedział na wezwanie Arlena Balesa, pochwycił za topór i skoczył w mrok. Od tej pory co noc rzucał wyzwanie demonom i wszyscy dobrze o tym wiedzieli. Ludzie spali lepiej ze świadomością, że dowodzi nimi Gared Rębacz, ale Leesha rozumiała również, że wydawanie pieniędzy przychodziło mu łatwiej niż ich liczenie. Mogła kazać wybić więcej klatów, ale ich wartość zależała od ludzkiego zaufania.

– Czy nadal chciałbyś się ubiegać o pracę u niego, gdybym poprosiła cię o rezygnację? – spytała.

Arther wypuścił powietrze przez nos.

– To była pusta groźba, pani. Baron Rębacz zmienia pisarzy równie często jak kufle piwa. Giermek Emet rzucił

posadę u niego po tym, jak baron zagroził, że powyrywa mu rękę.

– A gdybym kazała ci przejść do niego na służbę, a jemu poleciła, żeby cię przyjął? – westchnęła Leesha.

– Niewykluczone, że złamałbym wówczas przysięgę i przeszedł na stronę Krasjan.

Leesha parsknęła śmiechem tak głośnym, że aż rozboleło ją gardło, ale gdy spojrzała na stos papierów, wesołość znikła jak ręką odjął. Potarła skronie, próbując rozmasować tępy ból, który wnet, jeśli czegoś nie zje i nie spędzi choć godziny na osobności w ogrodzie, miał przeszyć ją do żywego.

– Gared potrzebuje pisarza, który nie będzie się go bał.

– Nie mam pojęcia, gdzie znajdziesz takiego mężczyznę – rzekł Arther. – Jedynym, który przychodzi mi do głowy, jest Arlen Bales.

– Nie miałam na myśli mężczyzny – oznajmiła Leesha. – Wondo?

– Nie patrz na mnie, pani – odparła Wonda. – Z papierami mam jeszcze większy problem niż Gar.

– Bądź tak dobra i sprowadź tu Emelię.

– Tak, pani. – Wonda uśmiechnęła się.



– Dziękuję, że znalazłaś chwilę, Emelio. – Leesha wskazała przybyłej jedno z krzeseł przy biurku. – Usiądź, proszę.

– Dziękuję, hrabino. – Rosal wykonała płynne, wyćwiczone dygnięcie i uniosła się z wdziękiem. Strzepnęła przy tym suknię tak umiejętnie, że gdy siadała, wszystkie fałdki ułożyły się w idealnej proporcji.

– Podaruj sobie ów tytuł, proszę – rzekła Leesha. – Herbaty?

Rosal pokiwała głową.

– Tak, chętnie, pani.

Leesha dała sygnał Wondzie. Jej przyboczna okazała się niebywale zręczną kobietą – potrafiłaby nawlec igłę strzałem z łuku – po chwili powróciła, niosąc w jednej ręce dwa spodeczki z filiżankami.

– Jak ci się podoba w Zakątku? – spytała Leesha, przejmując jedną z filiżanek.

– Bardzo. – Rosal wsypała nieco cukru do herbaty i zamieszała. – Miejscowi okazali mi mnóstwo życzliwości i wszyscy są podekscytowani ślubem. Nawet wasza matka zaproponowała pomoc przy planowaniu.

– Doprawdy? – Leesha wcześniej o tym nie słyszała. Trudno jej było uwierzyć, że Elona mogłaby zaproponować pomoc z dobroci serca komukolwiek, a już tym bardziej Emelii.

Rosal pokiwała głową.

– Przedstawiła mnie najlepszym krawcowym i kwiaciarzom, a potem podzieliła się kilkoma... kilkoma interesującymi radami co do sukni ślubnej.

– Tak, moja matka nie lubi zbyt obszernych ubrań – stwierdziła Leesha. – Zwłaszcza powyżej talii.

Rosal uniosła filiżankę i mrugnęła do Zielarki.

– Nosłam suknie, które waszej matce nie przyszłyby nawet do głowy, ale ten czas mam już za sobą. Rosal była przeznaczona dla innych mężczyzn. Gared dostanie pannę młodą prosto z baśni Minstrela!

– Gared nie dostanie niczego, póki w jego papierach nie zapanuje porządek. – Leesha wskazała stos na swoim biurku.

Rosal pokiwała głową.

– Dokumenty nie są jego mocną stroną – przyznała. – Po

ślubie będę mogła...

– To nie wystarczy, moja droga – przerwała jej hrabina. – Czy mam ci przypomnieć o twoim długu wobec mnie?

Rosal pokręciła głową. Leesha powstrzymała księżną Araine od wtrącenia Rosal do lochów po skandalu na dworze.

– Oczywiście, że nie, pani!

– Dobrze. Kości Amanvah wykazały, że będziesz lojalna wobec Zakątka i można ci zaufać. Dobrze się składa, bo potrzebuję teraz kogoś takiego jak ty po swojej stronie.

Rosal odstawiła filiżankę na spodeczek i wyprostowała się, ułożywszy dłonie na kolanach.

– W czym mogę pomóc?

Leesha oznajmiła:

– Powiedz swojemu narzeczonemu, że może zapomnieć o ściągnięciu spodni przed tobą, dopóki nie usiądzie i nie zaprowadzi porządku w swoich finansach. Ty masz go do tego zmusić.

Rosal uniosła brew, a przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

– Ależ baron nigdy dotąd nie ściągnął przede mną spodni! Nie jesteśmy małżeństwem, pani! Wyobrażacie sobie ten skandal? – Jej uśmieszek stawał się coraz szerszy.

– Ale póki co mam jego pniaka pod kontrolą. Powiedziałam mu, że nie chcę go widzieć, jeśli baron nie będzie związany, i tak oto, gdy tylko zostajemy sami, Gared natychmiast przynosi kajdany.

– Na Stwórcę, jesteś równie zepsuta jak moja matka. Uważaj na Gareda. W nocy jego siła rośnie i mógłby bez trudu zerwać łańcuchy!

Oczy Rosal błysnęły.

– Nie sądzę, żeby w głębi serca naprawdę mu na tym zależało, pani.

– A może zaczekam na zewnątrz, co? – wtrąciła Wonda.

– Wondo Rębacz, ty się rumienisz! – Rosal uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Nie lubię słuchać, jak opowiadasz o moim bracie – odparła Wonda.

– Sama mam dwóch braci – rzekła Rosal. – Wiem więcej o ich życiu miłosnym, niżbym chciała. – Mrugnęła do Wondy i dodała: – Ale dobrze wiedzieć.

– Czy mogę więc założyć, że zajmiesz się naszym problemem i wprowadzisz rządy – Leesha uśmiechnęła się wbrew sobie – twardej ręki?

Wszystkie trzy kobiety parsknęły śmiechem.

– Nie przejmuj się już tym, pani – rzekła Rosal. – Przypnę kajdany do jego biurka.



– Słońce już zaszło – oznajmiła Tarisa.

Leesha odsunęła Olive od piersi i oddała ją Elonie.

– Czy wszyscy już przybyli i zostali poczęstowani herbata?

Tarisa poprawiła jej dekolt i zręcznie nałożyła puder w kilku miejscach.

– Wielu z nich czeka od ponad godziny, pani – odparła Wonda.

Leesha skinęła głową. Thamos zawsze zmuszał rajców, by na niego czekali, żeby w ten sposób zaznaczyć swoje stanowisko i podkreślić władzę, a dziewczyna uznała, że na okoliczność pierwszego spotkania rady po jej przyjeździe warto do tej praktyki powrócić. Woląca też przeczekać zachód słońca, bo wówczas salę spotkań zalewały długie, oślepiające promienie wpadające przez okna.

Nałożyła runiczne okulary, wstała i dostojnym krokiem

wyszła na korytarz. Przebywała w Zakątku już od tygodnia i nie mogła tego odkładać dłużej.

– Leesha córka Erny’ego, pani Zakątka – oznajmił Arther, wprowadzając Leeszę przez książęce drzwi do sali narad, niemalże zasłoniętej przez ogromny, szkaradny tron Thamosa. Leesha planowała się go kiedyś pozbyć, ale na razie dobrze spełniał swoje zadanie, gdyż siedząc na nim, górowała nad zebranymi.

Brak tytułu hrabiowskiego przed jej imieniem nie był błędem Arthera. Godność została nadana Leeszy przez rodzinę książęcą z Angiers, a dziewczyna nie miała zamiaru długo im podlegać. Czuła, że nadszedł czas, by Zakątek stanął na własnych nogach.

Wszyscy podnieśli się i powitali ją ukłonem bądź dygnięciem. Leesha skinęła zebrany w odpowiedzi i ruchem ręki dała znać, by usiedli. Jedynie Arther nadal trzymał się z boku tronu.

Zielarka przyjrzała się zebrany. Jej ojciec Erny przemawiał w imieniu Gildii Patronów Runów, a Smitt w imieniu Gildii Kupców. Pasterz Jona zajął wielkie drewniane krzesło Inkwizytora, ale Hayes znalazł dla siebie inne, niemalże równie wielkie i wspaniałe, po czym ustawił je tuż obok Jony. U boku barona Gareda znalazł się kapitan Gamon. Na drugim końcu stołu siedziały Vika oraz Darsy, a obok nich Amanvah, Kendall i Rozkołysany Hary, mistrz Gildii Minstreli.

– Dziękuję wam za przybycie – rzekła Leesha. – Wiem, że czeka nas jeszcze wiele przygotowań przed dzisiejszą ceremonią, więc będę się streszczać. Przede wszystkim, jak już wiecie, lord Arther zachowa stanowisko pierwszego ministra.

Skinęła na niego.

– Ministrze?

Arther zrobił krok naprzód, trzymając w ręku tabliczkę.

– Zakątek składa się teraz z szesnastu baronii, pani, nie licząc Zagajnika Zielarek. Jedenaście z nich zostało wzniesionych na planie wielkiego runu, cztery płacą już podatki. Sytuacja w pozostałych jest... cóż, niestabilna, gdyż mieszkańcy nadal adaptują się do nowej sytuacji życiowej.

Większość mieszkańców nowych baronii stanowili uchodźcy z terenów zajętych przez Krasjan, napływający stałym strumieniem przez ostatni rok. Zakątek, przyjmując fale uciekinierów, rozrastał się w wielkim tempie. Wybijano pieniądze, by uruchomić gospodarkę na zajmowanych terenach, i zaopatrywano przybyszów we wszystko, czego potrzebowali, by wznieść dla siebie domy.

– Wszystkie baronie przysyłają rekrutów – wtrącił Gared. – Świeży ludzie codziennie zasilają nasze szeregi i bardzo się z tego cieszę. Demony są wypychane z wielkich runów, ale mniej ich się jakoś nie robi. Coś mi się wydaje, że robi się coraz gorzej.

– Korzystamy z form odlewniczych i matryc, żeby nanosić runy na broń i tarcze – rzekł Erny. – Nie są one tak dobrej jakości jak te ryte ręcznie, ale przynajmniej udaje nam się nastarczyć. Pracujemy również z belami materiału, żeby uruchomić masową produkcję płaszczy niewidzialności.

Leesha pokiwała głową i zapytała:

– A jak idzie odbudowywanie kawalerii?

– Jon od Ogierów ściąga nowe wierzchowce – odparł Smitt. – Kawaleria Drewnianych Żołnierzy...

– Kawaleria Zakątka, chciałeś powiedzieć – wtrąciła Leesha, spoglądając na Gamona.

– Że co? – zawahał się Smitt.

– Formacja Drewnianych Żołnierzy zostaje z tą chwilą rozwiązana – oświadczyła Leesha. – W to miejsce powołuję Obrońców Zakątka. Każdy z byłych członków Drewnianych

Żołnierzy, który będzie chciał wstąpić do Obrońców, zachowa swoją rangę i żołd pod warunkiem złożenia obietnicy na wierność Zakątkowi. Reszta zaś...

Gamon, który omówił już tę kwestię z Artherem, uniósł rękę.

– Rozmawiałem ze swoimi podwładnymi, pani. Nikt z nich nie ma ochoty na powrót do Angiers.

– Cieszę się. – Leesha skinęła głową. – Dołożę starań, żeby twój oddział wkrótce odzyskał pełną siłę, kapitanie.

Przeniosła spojrzenie na Jonę, który siedział obok sztywnego Inkwizytora Hayesa.

– A twoi Opiekunowie, Pasterzu?

– Minie sporo czasu, zanim nasz zakon wróci do poprzedniego stanu – odparł Jona. – Krasjanie przeprowadzali egzekucję na każdym Opiekunie i każdym Dziecięciu, które wpadło im w ręce. Została nas garstka, a wiernych mamy tłumy. Pragnę prosić cię, pani, o błogosławieństwo, żebym mógł wysłać Inkwizytora Hayesa z zadaniem przemawiania w imieniu pierwszej Rady Opiekunów Zakątka.

Leesha i Inkwizytor mierzyli się przez moment spojrzeniami. On też założył runiczne okulary, a Zielarka widziała migotanie runów biegnących wokół nich. Wiedziała, że wpatruje się w jej aurę równie intensywnie jak ona w jego.

To również zostało zawczasu ustalone. Dzięki okularom żadne z nich nie traciło twarzy, gdy odgrywali swoje role przed resztą rady.

– Jak, twoim zdaniem, zareaguje książę Pether na wieść o tym, że wyrzekasz się Kościoła Angiers i chcesz złożyć przysięgę niezależnemu Kościołowi Zakątka, w którym godność Pasterza przypadła Jonie?

Hayes nakreślił w powietrzu serię runów, wokół których rozpląnęły się fale magii. Jego umiejętności wywarły na

Leeshy spore wrażenie, on sam zresztą również wydawał się nieco zaskoczony tym, co właśnie uczynił.

Leesha uśmiechnęła się, uświadomiwszy sobie prawdę.

Opiekunowie władają większą mocą, niż im się wydaje, pomyślała.

Hayes otrząsnął się ze zdumienia i rzekł:

– Pethera szkoliłem osobiście. Mimo to uzna to za zdradę, a Kościół Angiers ogłosi mnie heretykiem i wyda edykt, który skaze mnie na śmierć w płomieniach, jeśli jeszcze raz postawię stopę na angieriańskiej ziemi.

– A mimo to nadal chcesz spróbować? – spytała Leesha.

– Wysłano mnie tutaj, żebym tępił herezję – odparł Inkwizytor Hayes. – Żebym zaprowadził tu na powrót władzę Pasterza Pethera i Kościoła Angiers. Niemniej przez ostatnich kilka miesięcy mojej służby w Zakątku poznałem ludzi, których wiara i odwaga nie mają sobie równych. Ujrzałem też rzeczy, których angieriańska Rada Opiekunów nie potrafi sobie nawet wyobrazić. Nie będę udawać, że znam plany Stwórcy, ale wiem jedno. Umieścił mnie w tym miejscu z jakiegoś konkretnego powodu, żebym stanął między tymi ludźmi a Otchłanią. Przywiódł mnie tutaj, żebym im powiedział, że Stwórca przygląda się nam wszystkim z dumą.

W jego aurze lśniło przekonanie. Leesha skinęła głową Jone.

– Nie potrzebujesz mojego błogosławieństwa, Pasterzu, ale i tak je masz.

– Dziękuję ci, pani – rzekł Jona. – Zaczniemy niebawem święcić nowych Opiekunów i gromadzić Dzieciątka, ale upłynie zapewne wiele lat, zanim odzyskamy poprzednią liczebność.

– Oczywiście – zgodziła się Leesha. – Może więc nastał czas, żeby wynieść do godności Opiekuna Dziecię Franqa?

Aury obu mężczyzn zmieniły kolory. Spojrzeli nerwowo

po sobie, a potem na Gareda. Aury pozostałych uczestników narady stopniowo również ulegały przemianie, aż Leesha uświadomiła sobie, że wszyscy – nawet Darsy! – wiedzą o czymś, o czym Leesha nie miała pojęcia.

– Co takiego? – spytała ostro.

– Franq jest drobnym elementem innego większego problemu – rzekła Darsy. – Który się szerzy jak chwasty wszędzie naokoło.

– Chodzi o Naznaczone Dzieci? – odgadła Leesha.

– Nie da się już przemówić im do rozumu! – Gared trzepnął ogromną dłonią w blat stołu, aż podskoczyły filiżanki na spodkach. – Nie stawiają się na zbiórki i nie słuchają nikogo poza rówieśnikami!

– Mieszkają w Zagajniku Zielarek – dodał Smitt. – Nie chcą spać pod dachem.

– Zupełnie jakby nie były już ludźmi – stwierdził Gared. – Jakby stawały się... czymś innym.

Tym razem to Leesha uderzyła w stół.

– Dość tego, baronie. Nie mówimy tu o demonach, ale o naszych braciach, siostrach i dzieciach naszych przyjaciół z Zakątka. O Evinie i o Callenie, synu Brianne.

Spojrzała na Smitta.

– O twoim synu Keecie i wnuczce Steli!

– Callen złamał rękę Siwemu Yonowi – rzekł Gared.

– A Keeta i Stelę złapałem na tym, jak wykradali mi różne rzeczy z magazynu – dodał Smitt. – Jedzenie, broń, narzędzia. Mój własny syn powalił mnie na ziemię, gdy próbowałem ich powstrzymać. Założyłem nowy zamek, a gdy przyszli ponownie, rozbili drzwi z grubego drewna złotodrzewa, jakby to była cieniutka sklejka.

– A co to wszystko ma wspólnego z Dziecięciami Franqiem?

– Uświadomiłem sobie, że Dzieci zaczęły się szkolić we własnym gronie i tworzyć własne rytuały – rzekł Hayes. –

Bałem się, że mamy do czynienia z nowym ogniskiem herezji, a więc wysłałem Franqą, żeby ich oświecił. Wedle raportów świadków Naznaczone Dzieci bardzo chciały nauczyć się kreślenia runów, a Franq doskonale się na tym zna. Wykorzystał tę umiejętność, żeby wkupić się w ich łaski.

– I? – spytała Leesha.

Hayes odetchnął.

– I dołączył do nich, pani.

Leesha zamrugnęła oczami.

– Chcesz mi powiedzieć, że Dziecię Franq, człowiek tak sztywny, jak gdyby składał się wyłącznie z krochmalu, stał się jednym z Naznaczonych Dzieci?

Hayes pokiwał głową z ponurą miną.

– Gdy widziałem go po raz ostatni, pani, miał na sobie zwykłą brązową szatę.

– W tym akurat nie ma jeszcze nic dziwnego – stwierdziła Leesha.

– Ale miała obcięte rękawy, przez co mogłem się przyjrzeć runom wytatuowanym na jego ramionach – dodał Hayes. – Co więcej, śmierdział potem i juchą.

– Muszę się z nimi spotkać – oznajmiła Leesha. – I to szybko.

– Kiepski pomysł, pani – odezwała się Wonda.

– Ona ma rację, Leesha – powiedział Gared. – Te dzieciaki są niebezpieczne.

– To ja je szkoliłam – rzekła Wonda. – Mnie posłuchają. Jestem tego pewna.

Leesha pokręciła głową.

– Muszę ujrzeć to na własne oczy. Zapewniam was wszystkich, że dobrze się do tego spotkania przygotujemy i nie zrobimy niczego, żeby ich sprowokować.

– Na pewno istnieje ktoś, kogo możesz wysłać, żeby wybadał sprawę! – zaproponowała Wonda.

– W innych okolicznościach byłoby to zadanie mojego herolda – odparła Leesha. – Niemniej po śmierci Rojera to stanowisko nie zostało jeszcze obsadzone.

Spojrzała na Kendall.

– Robota jest twoja, jeśli tylko tego zechcesz.

– Ja, pani? – Kendall zamrugła. – Przecież ja jestem tylko uczennicą...

– Nonsens – sprzeciwiła się Leesha. – Sam Rojer powtarzał, że nikt poza tobą nie jest w stanie dorównać mu w sztuce hipnotyzowania otchłanów. Po jego śmierci potrzebujemy w Zakątku kogoś, kto może go zastąpić, a jego rekomendacja wystarczy mi w zupełności. Mistrzu?

Hary uśmiechnął się, wyciągnął zwój i podał go młodej kobiecie.

– Oto twoja licencja Minstrela, Kendall Pieśni Demonów.

– Brzmi nieźle – mruknęła dziewczyna, biorąc dokument do ręki.

– Przyjmiesz więc posadę? – naciskała Leesha. – Licencja i tak należy do ciebie, bo nie ma nikogo innego, kto moim zdaniem zasługuje na to wyróżnienie.

Kendall spojrzała na Amanvah, a ta skinęła głową.

– Tak, pani. Oczywiście.

Hayes parsknął. Leesha uniosła brew i wbiła w niego wzrok.

– Coś cię dręczy, Inkwizytorze?

Hayes zacisnął usta.

– Nic poza tym, że dla twojego nowego herolda kapłanka Everama najwyraźniej stoi wyżej w hierarchii od ciebie.

Amanvah ściągnęła brwi, a jej aura zawrzała. Hayes, który również to dostrzegł, drgnął zauważalnie, ale Leesha uniosła dłoń, zanim Krasjanka zdążyła odpowiedzieć.

– Ufam Kendall bezgranicznie, Inkwizytorze, czego, niestety, nie mogę już powiedzieć o twoim osądzie. Co do Amanvah... – Przeniosła wzrok na *dama'ting* i powiedziała:

– Nie widzę sensu, żebyś wciąż trzymała to w tajemnicy.

Amanvah nabrała tchu i narzuciła sobie spokój.

– Wkrótce po pogrzebie naszego męża wracamy wraz z Sikvah do Lenna Everama. *Damaji'ting* plemienia Kaji zginęła podczas przewrotu zorganizowanego przez mojego brata. Mam zająć jej miejsce.

Wokół stołu rozległy się okrzyki zdumienia.

– *Damaji'ting...* – zaczął Jona.

– Najlepszym tłumaczeniem jest Pasterka – wyjaśniła Amanvah. – Choć w rzeczywistości nie oznacza tego samego, gdyż *Damaji'ting* jest również tytułem świeckim. Po przejściu tej godności będę sprawować bezpośrednią władzę nad wszystkimi *dama'ting* i innymi kobietami Kaji, największego plemienia Krasji.

– A więc jesteś zarówno Pasterką, jak i księżną. – Jona uklonił się Amanvah. – Przyjmij moje gratulacje, Wasza Wysokość!

Pozostali obecni również pospieszili z gratulacjami, a Amanvah dziękowała im iście królewskimi skinieniami głowy, aż znów spojrzała Leeshy w oczy.

– Nie mogę przemawiać w imieniu swojej matki i brata, pani, ale wiedz, że dzięki krwi, która nas łączy, zarówno ty, jak i Zakątek zawsze będziecie mieli we mnie sojusznika.

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Leesha przytaknęła.

Arther zacisnął usta, po czym przemówił, ostrożnie dobierając słowa:

– Wyspa nadal pozostaje wolna, choć liczba krasjańskich piratów na wodach rośnie.

– A brzegi? – spytała Leesha.

– Brzegi nadal pozostają pod kontrolą krasjańskiej armii – odparł Arther. – Ale jej pozycja staje się coraz słabsza. Resztki oddziałów księcia Jayana jeszcze nie powróciły i część wojowników zdezerterowała, żeby niczym watahy wilków napastować okoliczne wioski. Pozostali schronili się

za murami Klasztoru Nowego Świtu.

– A co z uchodźcami, którzy się tam zgromadzili? – spytała Leesha. Wcześniej wysłała Briara Damaja, by się przekonał, czy ktoś przeżył rzeź.

– Briar krąży po okolicy – odpowiedział Gared. – Sprowadził już pierwszą grupę. Tego wieczoru przybył z resztą niedobitków. W ich gronie znalazło się kilku milneńskich dygnitarzy, którym jego zdaniem powinnaś udzielić audiencji.

Leesha upiła łyk herbaty.

– Przygotujcie dla nich pokoje i przekażcie, żeby mnie odwiedzili, gdy odpoczną – rzekła i odstawiła filiżankę. – Amanvah, omówmy szczegóły dzisiejszego nabożeństwa.



Po zakończonym spotkaniu Leesha wyszła na korytarz, a tam ujrzała Elonę, przechadzającą się to w jedną, to w drugą stronę. Wystarczył rzut oka na jej aurę, by wiedzieć, że bynajmniej nie czeka na Erny'ego – ucałowała męża w policzek i szturchnęła, by wyszedł na dziedziniec, ale sama powiodła spojrzeniem za Garedem.

Nikt z wychodzących nie zwrócił uwagi na jej osobliwe zachowanie, nawet uzbrojony w runiczne okulary Hayes, gdyż każdy był po prostu rad, że Elona nie zwraca na niego uwagi. Wszyscy czym prędzej umknęli na zewnątrz, a w sali pozostał jedynie Gared, pogrążony w rozmowie z Gamonem i Artherem.

Gdy Elona weszła do środka, Arther i Gamon ulotnili się błyskawicznie, tak szybko, jak im pozwalała na to godność. Nim Gared zorientował się w sytuacji, Elona zatrzasnęła drzwi i tak oto baron znalazł się w potrzasku. Wówczas

kobieta odwróciła się ku córce, a Leesha poczuła we własnej aurze to, co przed chwilą widziała u innych – trudną do opanowania ochotę, by rzucić się do panicznej ucieczki. Zawsze miała wrażenie, że radzi sobie z matką lepiej od innych, ale aury nie kłamały.

– Mogę cię prosić o odrobinę prywatności, kochanie? – W głosie Elony pojawiła się niebezpieczna nuta.

Gared spoglądał na Leeshę z przerażeniem.

– Wybacz, Gar, ale masz z moją matką kilka spraw do omówienia i nie wymigasz się od tej rozmowy – oznajmiła dziewczyna, po czym odwróciła się i wraz z Wondą opuściły salę przez książęce drzwi. Zamknęły za sobą ciężkie wrota.

– Póki co dziękuję – rzekła Leesha. – Jesteś wolna.

– Jakże to tak, pani?

– Być może mimo wszystko będę musiała się wmieszać do tej rozmowy – powiedziała Leesha. – Naprawdę chcesz być wówczas blisko?

Aurę Wondy przeszła panika.

Na noc, czy jest ktoś, kto nie czuje panicznego lęku na widok Elony? – pomyślała Leesha.

– Nie – bąknęła Wonda. – Nie chcę.

– A więc zmykaj stąd i poszukaj Rosal, a jak ją znajdziesz, poproś, żeby zabrała swojego narzeczonego z sali narad.

Aurę Wondy zalała ulga. Odwróciła się i pobiegła korytarzem.

Po powrocie do Zakątka Leesha nie nosiła już fartucha z wieloma kieszeniami, który stanowił atrybut Zielarki. Araine powiedziała jej, że hrabinie nie wypada zakładać takich rzeczy, a Leesha z ogromną niechęcią musiała przyznać jej rację.

Nie miała natomiast najmniejszego zamiaru ukrywać przed ludźmi, kim naprawdę jest. Jej otoczenie miało obowiązek zwracać się do niej per pani, a jej szaty

obfitowały w stylowe kieszenie, w których nosiła zioła i runiczne przedmioty.

Wyjęła z jednej z nich piękny srebrny łańcuszek i srebrną kulkę pokrytą ciągiem delikatnie wygrawerowanych runów. Wsunęła kulkę do ucha, a łańcuszek owinęła wokół małżowiny, by nie wypadła. We wnętrzu kulki znajdował się ułamany kawałek kości demona. Druga część wprawiona była w drewno tronu, dzięki czemu Leesha mogła usłyszeć wszystko, co miało miejsce w sali narad.

– Unikasz mnie, chłopcze – oznajmiła Elona, ale w jej głosie próżno było szukać uszczypliwego tonu, który przybierała podczas rozmów z innymi. Mruczała niczym kot drzemiący przy mysiej dziurce.

– Miałem sporo na głowie – mruknął Gared.

– Tak, zawsze masz mnóstwo pracy – zgodziła się Elona.

– Chyba że ci pniak stwardnieje w portkach. Wówczas momentalnie zjawiasz się pod moimi drzwiami i zaczynasz skamleć jak ogar.

– Więcej już tego nie zobaczysz. – W słowach Gareda zabrakło stanowczości. – Obiecałem Leeshy i przysięgłem na słońce!

– Łatwo się składa takie przysięgi – rzekła Elona. – Trudniej ich tylko dotrzymać, wierz mi. Teraz jest wspaniale, bo ta angieriańska zdzira dba o to, żeby twoje nasienie regularnie strzelało na wiwat. Na początku zawsze tak bywa. Myślisz sobie, że już nigdy nie będziesz potrzebować innej kobiety. Tymczasem twojej wybrance kiedyś znudzą się obowiązki i nie będzie już tak często rozplątywać przed tobą halek. Nadejdzie dzień, kiedy poczujesz, że zaraz wybuchniesz tam w dole, a wtedy zaczniesz mnie szukać. Bo sam dobrze wiesz, że po spotkaniu ze mną nie pozostanie w tobie ani odrobiny spermy, a o sztuczkach, jakimi się posłużę, twoja uroczą

amatorka nigdy w życiu nawet nie słyszała.

Gared westchnął.

Czy ona go dotyka? – pomyślała Leesha.

– I co, chłopcze? – spytała Elona. – Potrafi cię opróżnić tak jak ja?

– Mmmy... my nie – wyjąkał Gared – my jeszcze tego nie robiliśmy.

– O rety! – Elona zaśmiała się z triumfem. – Musisz być pełen aż po pępek! Wiesz ty co? Wyświadczy twojej narzeczonej przysługę i utoczmy z ciebie co nieco, dobrze? W imię starych czasów.

Zaszurały przesuwane meble, ktoś się o coś potknął. Elona znowu parsknęła śmiechem.

– Mam wejść pod stół, co? Chcesz mnie wziąć w sekrecie? Przecież ludzie i tak już gadają!

Znów coś zaszurało.

– Między nami wszystko skończone! – warknął Gared. – Wybawiciel powiedział, że mogę stać się lepszym człowiekiem, i taki właśnie mam zamiar.

– A tymczasem robisz z siebie idiotę, chłopcze – wycedziła Elona. – Stać cię na kogoś o wiele lepszego od tej dziewczyny!

– Przecież ty jej nawet nie znasz! – oznajmił Gared.

– Wypiłam z tą prostytutką i jej głupią matką tyle herbaty, że można by w niej utopić demona wodnego – rzekła Elona. – Ona nie ma nic do zaoferowania, a moja córka znów jest wolna.

Na noc, matko, pomyślała Leesha. Jeszcze się nie poddałaś?

Odpowiedź Gareda tymczasem okazała się wielkim zaskoczeniem.

– Nie chcę Leeshy. Wiem, że kiedyś bardzo mi się podobała, ale nie było szans, żeby między nami powstało coś trwałego.

Trudno ci odmówić racji, stwierdziła Leesha.

– Przecież tu nie chodzi tylko o nią! – parsknęła Elona. – Jeśli ją poślubisz, będziesz mógł zostać księciem Zakątka. Na noc, któregoś dnia możesz nawet zostać królem Thesy!

Jej głos znów przeistoczył się w koci pomruk.

– Zakosztowała już kilku ostrych włóczyń, pora, żebyś jej pokazał prawdziwe drzewo. Na pewno jest na to gotowa. A zanim ona zacznie się na nie wspinać, pozwól, że ja się nim zajmę.

– A... a co z Ernym? – pisnął Gared.

– Eee tam – rzekła Elona. – Schowa się w szafie i jak zwykle będzie miętosił sam siebie, póki nie znikniesz.

Leesha usłyszała już dosyć. Zwinęła kulkę na łańcuszku i otworzyła drzwi. Gared, który schronił się po drugiej stronie stołu narad, przypominał znieruchomiałego ze strachu jelenia.

– Niech Stwórcy będą dzięki! – sapnął i podbiegł do niej.

Dziewczyna miała ochotę parsknąć śmiechem na widok ogromnego, muskularnego Gareda Rębacza, który kulił się za jej plecami.

– W porządku, trzymaj go w portkach, jeśli chcesz – warknęła Elona. – I tak niczego to nie zmienia. To, co się stało, już się nie odstanie.

– Zaraz, a co to niby ma oznaczać? – spytał Gared z nadramienia Leeshy.

– To, że noszę twoje dziecko, tępaku!

– Co takiego? A mnie się wydawało, że tylko przybrałaś trochę na wadze!

Gared nie mógł powiedzieć głupszej rzeczy. Aura Elony poczerwieniała, a ona sama wybałuszyła oczy, ale w tej samej chwili otworzyły się drugie drzwi i do środka weszła Rosal.

– Na noc! – Elona uniosła ręce. – Czy wszyscy w tej zasranej twierdzy podsłuchują?

– Nie, ja tylko szukam Gareda – rzekła Rosal z uśmiechem. – Ma sporo papierkowej roboty.

Gared pobladł, gdy Rosal znów spojrzała na Elonę.

– Nie myśl, że o was nie wiem. Gared reaguje w szczególny sposób za każdym razem, gdy padnie twoje imię.

– Naprawdę? – spytał Gared.

Rosal przeniosła na niego spojrzenie, wiążąc jego wzrok.

– Nie żywię do ciebie pretensji za cokolwiek, co się wydarzyło w przeszłości, a więc okaż odrobinę zdrowego rozsądku i bądź teraz cicho. Ja się tym zajmę.

– Dobrze, kochanie. – Gared odetchnął głęboko.

– Proszę, proszę. – Elona oparła dłonie na biodrach i wbiła w Rosal wzrok. – Okazujesz się bystrzejsza, niż sądziłam, dziewczyno.

Rosal dygnęła z drwiną.

– Wiem, że tu, w Zakątku, jesteś uważana za kogoś szczególnego, lady Elono, ale chodziłam do szkoły z całymi gromadami takich jak ty. Nie mam pretensji o to, że zawróciłaś Garedowi w głowie, bo po tym, co mu pokażę podczas naszej nocy poślubnej, rychło zapomni o twoich wieśniackich umizgach.

Ręka Elony wystrzeliła, by złapać Rosal za długie, gęste włosy, ale ta była gotowa i uskoczyła w bok z gracją tancerki. Leesha wiedziała, że gdyby tylko Rosal zechciała, mogłaby dać Elonie niezłą lekcję, ale na szczęście zachowała panowanie nad sobą.

– On już do ciebie nie należy – odezwała się cichym głosem, nie przestając się uśmiechać.

– Nie? – warknęła Elona. – Na Otchłań, noszę jego dziecko!

– Nosisz jakieś dziecko, co do tego nie ma wątpliwości – rzekła Rosal. – Ale czy to Gareda? A skąd mamy to wiedzieć? Przecież jesteś mężatką.

– A jeśli dziecko nie będzie wyglądać jak Erny? – spytała Elona.

Rosal wzruszyła ramionami.

– Wątpię, czy to kogoś zaskoczy. Na swoją reputację pracujesz od lat. Słyszałaś o „komu obciąga lady Elona”? To świetna zabawa biesiadna, służba za nią przepada.

Aura Elony znów pociemniała, ale kobieta tym razem nawet nie drgnęła.

– Ale... A co będzie, jeśli to dziecko jest naprawdę moje? – pisnął Gared.

Obie kobiety odwróciły się ku niemu.

– Obiecałem Wybawicielowi, że będę lepszym człowiekiem. – Głos Gareda powoli nabierał siły. – Nie zależy mi na skandalu, ale cóż byłby ze mnie za mężczyzna, gdybym się wyparł własnego dziecka?

Rosal podeszła do niego. Drgnął, gdy uniosła rękę, ale dziewczyna jedynie delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Rozumiem cię, mój drogi, i nigdy bym cię o to nie poprosiła. Niemniej jeśli dowiedziemy, że dziecko jest twoje, będziesz mógł się nim zająć na wiele sposobów.

– Naprawdę? – spytał Gared.

– Gdy dziecko przyjdzie na świat, będziemy już mężem i żoną – ciągnęła Rosal. – A wedle postanowień umowy małżeńskiej nasze dzieci będą pierwsze w linii dziedziczenia. Później, jeśli zechcesz, będziesz mógł również uznać dziecko urodzone przez Elonę.

Przeniosła dłoń na jego policzek.

– Choć niewykluczone, że częste odwiedziny i bogate podarki okażą się dla wszystkich najłatwiejszym rozwiązaniem.

Elona założyła ramiona na piersi.

– A jeśli sama rozpętam skandal?

– Puste groźby! – powiedziała Rosal. – Nie zrobiłabyś

tego, nawet gdybyś miała dowód na ojcostwo Gareda, którego nie masz. Nie jesteś tak przebiegła, za jaką się uważasz, lady Elono, ale nie jesteś też aż tak głupia. Masz wszak o wiele więcej do stracenia niż Gared.

– Mogę wezwać Amanvah, jeśli tylko zechcesz, matko – odezwała się wreszcie Leesha. – Wystarczy kropla twojej krwi i rzut kośćmi, a zyskasz niezbity dowód. Sprawa będzie zamknięta raz na zawsze.

– Ty też, dziewczyno? – Elona splunęła na dywan, okręciła się na pięcie i wypadła z sali.

Gared jęknął głucho, a Rosal poklepała go po ramieniu.

– Oddychaj głęboko, kochany. To pewnie nie koniec zamieszania, ale najgorsze mamy za sobą. Trzymaj się od tej pory z daleka od Elony i pozostaw ją mnie. – Odwróciła się do niego i uwięziła jego spojrzenie własnym. – A gdy staniesz się moim mężem, niech nie przyjdzie ci już nawet do głowy, żeby Elona kiedykolwiek wspięła się na twojego pniaka.

– Nawet teraz tego nie chcę – rzekł Gared.

Rosal złapała go za brodę i pociągnęła nieco w dół, by móc pocałować mężczyznę w policzek.

– No, mądry chłopak.

Gared nakrył dłonią jej rękę.

– Myślałem, że nigdy nie zrozumiesz. Przecież wiesz, co mam na sumieniu.

– Ustaliliśmy, że przeszłość to przeszłość – uśmiechnęła się Rosal. – Zarówno twoja, jak i moja.

Przeniosła spojrzenie na Leeshę.

– Dziękuję, pani.

– Otóż to, Leesh – dodał Gared. – Zjawiałaś się w porę niczym sam Wybawiciel.

– Przestańcie gadać.

– Na łajno demonów, przecież to nie po raz pierwszy! – rzekł Gared. – Zawsze zjawiałaś się wtedy, gdy ludzie

potrzebowali cię najbardziej, Leesh. Ty, Rojer i Arlen Bales. Przybyliście do Zakątko w chwili, gdy byliśmy pokonani, i postawiliście wszystko na nogi. Nie znam ani jednego człowieka, któremu nie odmieniliście życia.

– Ale Arlena już nie ma – odparła Leesha. – Rojera też, a ludzie zaczną sobie niebawem uświadamiać, że nie jestem Wybawicielką. Wystarczy, żeby ujrzeli głupie błędy, które popełniłam.

– Nikt niczego takiego nie zobaczy! – Gared machnął ręką lekceważąco. – Wygłodniali uchodźcy docierają do nas ze wszystkich stron, a pierwszą osobą, którą widzą, jest Leesha córka Erny’ego, która bez wahania przychodzi im z pomocą.

Leesha pokręciła głową.

– Nie, to ty jesteś pierwszą osobą, którą widzą.

– Tak, może na trakcie – przyznał mężczyzna. – Dzięki Rębaczom bezpiecznie docierają do celu, ale to nie nasze topory dają im miejsce do spania i napełniają brzuchy. To nie my leczymy im rany, odziewamy ich w ciepłe ubrania i przydzielamy pracę. To nie my dajemy im nowe życie, zanim sobie uświadomią, że stare właśnie się skończyło. To twoja zasługa, Leesh. I przestań się o wszystko obwiniać.

– Obwiniać? – spytała Leesha.

– Tak. Ciągłe zadrezczasz się tym, że Rojer zginął, a ty żyjesz. Że musiałaś latem otruć tych Krasjan, żeby nie zwrócili się przeciwko nam. Że spałaś z demonem pustyni. Zrobiłaś to, co zrobiłaś, po to, żeby pomagać ludziom. Nigdy o nich nie zapomniałaś. Nie jesteś nikim złym, nie jesteś egoistką i przestań już obarczać się winą o wszystko.

Leesha patrzyła na Gareda i usiłowała wrócić pamięcią do ich młodzieńczej miłości. Próbowwała odnaleźć w nim młodego człowieka, którego potem nienawidziła przez tyle lat, mężczyznę, który zniszczył jej reputację i zapewne również jej życie. Wpatrywała się w niego i odnajdywała

ślady przeszłości, ale nie miało to już znaczenia. Błędy, które popełnili za młodu, wyznaczyły im bowiem nowe ścieżki w życiu.

Nie były to ścieżki łatwe, ale nieuchronnie doprowadziły do tego, iż oboje stali się najważniejszymi postaciami w hrabstwie Zakątka, a Gared gdzieś po drodze stał się jej bliski jak brat. Nadal był czasami głupi jak wół, ale stał się dobrym człowiekiem, a ona nadal go kochała.

Wyciągnęła rękę i ujęła splecione dłonie Gareda i Rosal.
– Naprawdę cieszę się waszym szczęściem – rzekła.



4

Ragen i Elissa

334 ROK PLAGI

Na noc! – zawołał Ragen i ściągnął wodze konia, gdy gęste bory po obu stronach chronionego runami traktu Posłańców nagle się skończyły. Zbliżał się zmierzch, ale nadal było stosunkowo jasno. – Przecież jechaliśmy tędy niecały rok temu i wszędzie ciągnęły się nieprzebyte lasy! – rzekł.

– To Rębacze – wyjaśnił Briar. – Machają toporami dzień i noc.

Chłopak szedł pieszo, a mimo to jakimś sposobem nadążał za końmi. Ragen, choć siedział w siodle, nadal czuł jego zapach. Elissa zmuszała Briara do częstego mycia, ale woń jedzonego od lat lubczyku wniknęła w pot. Ów zapach chronił chłopaka w nocy przed demonami, lecz nie

przysparzał mu wielu przyjaciół wśród ludzi.

– Nie tylko wykarczowali las, ale wzniesli tu całe osady!
– stwierdziła Elissa. – Przecież jeszcze niedawno nikt tu nie mieszkał!

– Stworzyli wielkie runy – powiedział Briar. – Otchłaniaki nie są w stanie zaatakować Zakątka.

– Stwórcy niech będą dzięki – westchnęła Elissa. – Wyruszyłam aż z Miln, żeby zakosztować smaku nocy pod gołym niebem. Dostałam to, czego chciałam, i za kolejne atrakcje uprzejmie dziękuję. Teraz poproszę o dach nad głową, kąpiel i miękkie łóżko.

– Przez mury człowiek staje się miękki – rzekł Briar. – Zapomina, co jest na zewnątrz.

– Mam wrażenie, że bez trudu sobie wszystko przypomnę – stwierdził Ragen.

We czwórkę wraz z Derekiem opuścili Lakton przed kilkoma tygodniami, podróżując starymi, dawno nieużywanymi drogami Posłańców. Ragen miał sporo map, lecz po wybudowaniu wielkiego traktu Posłańców wiele starych szlaków padło ofiarą bagnisk.

Sam wielki trakt również nie był bezpieczny. Po bitwie o Dokowisko Krasjanie wysłali armię, by zająć Klasztor Nowego Świtu. Klasztor był najlepiej ufortyfikowanym miejscem, które Ragen widział w okolicach Lakton, nie licząc samego miasta. Wraz z Pasterzem Alinem liczyli na to, że uda im się wytrzymać oblężenie przez długie tygodnie, ale nawet wielkie mury nie okazały się przeszkodą dla wyposażonych w drabiny krasjańskich wojowników i już pierwszego dnia zostali zmuszeni do ucieczki do doków.

Krasjańscy piraci ścigali ich długo, ale nie potrafili sprostać kapitan Dehlii i jej „Lamentowi Sharum”. Niebawem stracili Krasjan z oczu, a wówczas spuścili na wodę łodzie i popłynęli do niewielkiej rybackiej wioski na

północy, skąd wyruszyli w drogę powrotną do Miln.

Krasjanie zajmowali wszystkie osady leżące w pobliżu traktu Posłańców, więc Ragen brnął na przełaj, od jednej zapomnianej przez świat wioski do drugiej, wzdłuż szlaków, które już od dawna nie zasługiwały na miano nawet ścieżki. Nawiązali po drodze wiele cennych kontaktów i skąd tylko mogli, wysyłali meldunki Euchorowi, choć jeden Stwórca wiedział, czy którykolwiek z nich w ogóle dotarł na miejsce.

Ragen pokręcił głową, gdy zbliżyli się do pierwszego z wielkich runów.

– Pamiętam czasy, gdy Zakątek Drwali był małą wioską, zamieszkałą przez niecałe trzy setki ludzi. Teraz niektórzy szacują jego ludność na setki tysięcy.

– A wszystko to jest zasługą Arlena – dodała Elissa.

– Naprawdę go znaliście? – spytał Briar. – Samego Naznaczonego?

– Czy my go znaleźliśmy? – roześmiał się Ragen. – My go właściwie wychowaliśmy! Był dla nas niczym syn.

Briar uniósł głowę i spojrział na nich, Ragen pochylił się i ścisnął chłopakowi ramię. Briar na ogół wzdragał się przed kontaktem cielesnym, ale na tyle się zgadzał, a nawet najwyraźniej zaczynał czerpać z takich drobnych gestów przyjemność.

– Zupełnie tak jak ty, Briar.

– W innym życiu zapewne mógłbyś nazywać go bratem – powiedziała Elissa, a jej głos zadrżał. – Szkoda, że Arlen już nie żyje.

– Żyje – rzekł Briar.

– Co takiego? – spytał Ragen.

– Przecież ludzie go widzieli – odparł Briar. – Kiedy przybyli Krasjanie. Pojawił się na trakcie, pomagał.

– To tylko plotki – stwierdziła Elissa. Ragen ujął jej dłoń i dodał:

– Ludzie wszak ciągle opowiadają różne głupoty.

Briar pokręcił głową.

– Różni ludzie, różne miejsca, a opowieść ta sama. Rysował runy w powietrzu, a otchłaniaki zaczynały się palić.

– Sądysz, że... – zaczęła niepewnie Elissa.

– Nie byłbym zaskoczony – odparł Ragen, choć sam nie miał śmiałości, by w to uwierzyć. – Ten chłopak był zbyt uparty, żeby po prostu zginąć.

Elissa roześmiała się, pociągając nosem. Nagle uniosła głowę.

– Słyszycie? Ktoś śpiewa.



– Tam! – Ragen przytknął soczewki przybliżające do oczu, choć Elissa nie miała pojęcia, co wypatrzył w gęstniejącym mroku.

– Co tam widzisz? – spytała.

Mąż przekazał lunetę jadącemu między nimi Derekowi, a ten podał ją Elissie.

– Wygląda to jak procesja pogrzebowa.

Dzięki instrumentowi Elissa widziała grającego na skrzypcach Minstrela, który kroczył w asyście dwóch Krasjanek w barwnych, zwiewnych szatach. Za Krasjankami szedł Opiekun oraz pięknie odziana dama, a za nimi ośmiu Rębaczy niosło drewniane nosze na potężnych ramionach.

Za orszakiem podążały setki, tysiące zwykłych ludzi, prowadzonych przez odzianych w pstrokate szaty Minstreli.

– Kim jest ten Minstrel na przodzie? – Elissa przyjrzała się czołu procesji. – Może to ten przyjaciel Arlena, ów skrzypek-czarodziej, Rojer Bezpalczy?

– Raczej nie. Chyba że Arlen nigdy nie zauważył, że Bezpalczy jest kobietą – stwierdził Ragen. – A do tego ze wszystkimi palcami.

Elissa wyteńczyła wzrok i przekonała się, że mąż się nie myli. Przyjrzała się baczniej kobietom. Ich muzyka była nieziemsko czysta i niosła się daleko, niczym wzmocniona magia.

– Dlaczego procesja pogrzebowa miałyby kierować się ku granicy wielkiego runu?

– Trza zabić siedem otchłaniaków – rzekł Briar.

Elissa spojrzała na niego.

– A po co?

– To krasjański rytuał – wyjaśnił Ragen. – Oni wierzą, że zabicie siedmiu demonów, po jednym za każdy filar Nieba, przynosi zaszczyt duszy zmarłego, przez co jest mu różniej podążać samotną ścieżką.

– Samotną ścieżką? – spytała Elissa.

– To droga prowadząca do Stwórcy – odparł zduszonym głosem Briar. – A tam czeka Jego osąd.

Zeszli z drogi przed nadciągającą procesją, a potem wmieszali się w tłum i podążyli wraz z nim. Pani Zakątka trzymała w ręku laskę, która z bliska wydawała się cienką kością pokrytą złocistą blachą. Na blasze wygrawerowano ciągi runów. Idąc, wymachiwała nią przed sobą i kreśliła runy światła, które przez moment wisiały w powietrzu niczym srebrne litery. Potem, gdy kobieta wykonywała gwałtowny ruch nadgarstkiem, znaki strzelały ku niebu i rozlewały się w jasną poświatę, która opromieniała procesję.

– Ragen – szepnęła cicho Elissa.

– Widzę – odparł jej mąż.

Słyszał już o tym, że Krasjanie opanowali sztukę czerpania magii z kości demonów, ale jak do tej pory nie miał pojęcia, na czym ona polega. Skoro po śmierci

otchłańca jego kości nadal przechowywały magię, każdy zdolny Patron Runów mógł dokonać tego, czym właśnie popisywała się pani Zakątka. A mało kto w Miln opanował sztukę rycia runów równie dobrze jak Ragen i jego żona.

Procesja zatrzymała się na skraju ogromnej polany, a tercet na czele zszedł z drogi, by stanąć w jej sercu. Ich pieśń zmieniała nastrój i niebawem na obrzeżach polany pojawiły się zwabione jej brzmieniem demony. Elissa zacisnęła dłoń na ramieniu Ragen, ale żadne z nich nie zdołało wykrztusić nawet słowa.

Kilkoro widzów powitało pojawienie się demonów okrzykami grozy, wówczas muzyka ponownie zmieniła nastrój. Szarżujące otchłańce zatrzymały się gwałtownie, a ich pazury wyryły głębokie bruzdy w ziemi. Skrzypaczka grała tę samą melodię, która powstrzymywała demony równie skutecznie jak runiczna bariera, a Krasjanki oddaliły się od niej, dzikimi wrzaskami wywabiając z polany niektóre spośród oczarowanych otchłańców. Wkrótce pozostało ich tylko siedem, po jednym z każdego rodzaju.

Ragen i Elissa nie mogli uwierzyć w widowisko, które przyszło im oglądać. Trzy kobiety sterowały potworami niczym marionetkami. Opowieści o wyczynach Bezpalcego, które słyszeli od Arlena, bledły w porównaniu z ich możliwościami.

– Musimy zabrać tę moc do Miln! – stwierdziła Elissa.

– Koniecznie – zgodził się Ragen.

– Bezpalczy zapisał tę muzykę na papierze – rzekł Briar.

– Widziałem Minstreli, którzy mieli kopie.

– Znajdę mistrza Gildii Minstreli – obiecała Elissa – i zapłacę mu za nuty tyle, ile będzie chciał.

– One są za darmo – wyjaśnił Briar. – Rojer powiedział, że muzyka jest dla wszystkich.

– Czy ty chcesz dać mi do zrozumienia, że... – zaczęła

Elissa, ale urwała. Przyjrzała się całunowi i dostrzegła wyhaftowane na nim symbole: skrzypce i smyczek. – Na noc – szepnęła.



Leesha spojrzała w kierunku, z którego dobiegały dudniące, coraz głośniejsze kroki, aż dostrzegła olbrzymiego skalnego demona, który wyłonił się z lasu po przeciwnej stronie polany, rozgarniając bezlistne drzewa niczym pływak trzcinę.

Rębacze zwarli szeregi za jego plecami. Siedem demonów zostało uwięzionych na polanie, a ich pobratymcy, gdyby chcieli się na nią dostać, musieliby przebić się przez ludzkich wojowników. Runiczne topory Rębaczy spoczywały jednak na ramionach. Tej nocy żadnego z nich nie spryskała jeszcze demonia jucha. Tej nocy ich wszystkich osłaniał śpiew.

Śpiewali „Niech płonie ogień w palenisku”, starą pieśń drwali, którą znali wszyscy mieszkańcy Zakątka. Śpiewali ją przy pracy, by w równym tempie opuszczać topory. Leesha pamiętała ową noc, gdy Rojer usłyszał ją po raz pierwszy. Jej przyjaciel nucił pieśń przez całe dni i opracowywał melodię na skrzypce, dokonując tu i ówdzie subtelnych zmian, aż zdołał w nią wpleść swą szczególną magię.

Teraz pierwsza zwrotka pomogła Rębaczom zachować rytm marszu i jednocześnie utrzymała demony na dystans. Druga przyciągnęła otchłańce bliżej, a trzecia odurzyła je i rozproszyła, przez co nie broniły się, gdy spadły na nich topory.

– Wciąż się o nas troszczy – szepnęła Leesha.

– Co takiego, pani? – spytała Wonda.

– Mam na myśli Rojera. Nadal nas ochrania, choć nie ma go już wśród nas.

– Pewnie, że tak – odparła Wonda. – Stwórca nie zabrałby Rojera do siebie, gdyby jego zadanie nie zostało wypełnione.

Leeshy nigdy nie podobało się przeświadczenie, że Stwórca decyduje o tym, kto ma żyć, a kto umrzeć. Czemu miałyby służyć Zgromadzenie, gdyby to była prawda? Mimo to świadomość, że Rojer trafił do Nieba, przynosiła jej ulgę.

Na polanie pozostało siedem demonów, po jednym na każdy filar krasjańskiego Nieba. U stóp skalnego demona tańczył ognisty. Nieopodal stał bagienny otchłaniec o pajęczych ramionach i drzewny z długimi kończynami, a dalej polny, smukły, przyczajony przy ziemi, i kamienny, ogromny, majaczący w mroku. Nad nimi krążył wichrowy.

Amanvah i Sikvah przerwały śpiew, a Kendall opuściła skrzypce. Kapłanka uniosła rękę.

– *Jaddah* – rzekła.

– To sygnał dla mnie! – oświadczyła Wonda i oddała Leeshy swój łuk, a następnie wkroczyła na polanę, podwijając rękawy. Runy wytatuowane na jej ramionach mieniły się łagodnym światłem. Wybrała bagiennego demona i przypadła do niego, nim ten zdołał ją pochwycić. Zabrakło mu zręczności, by rozprawić się z przeciwnikiem, który znalazł się tak blisko, a Wonda wspaniale wykorzystwała sytuację i wymierzyła mu kilka ciosów, wzmocnionych runami uderzenia na pięściach i łokciach. Serię zwieńczył kopniak runicznym butem, po którym otchłaniec zachwiał się i niemal stracił równowagę. Dziewczyna przyskoczyła do demona, kopnęła go w kolano i przewróciła na plecy, przygniatając i zasypując mu łeb gradem uderzeń. Ten zamachał ramionami, ale opór słabł. Runy dziewczyny jaśniały coraz mocniej, aż w końcu

czaszka potwora pękła z trzaskiem.

– *Avash* – rzekła Amanvah, gdy Wonda wreszcie się cofnęła, zbryzgana krwią, która syczała w kontakcie z runami.

Wtedy wkroczył Gared, który jako swój dar dla Niebios wybrał wielkiego demona drzewnego. Na plecach miał topór w pochwie, ale egzekucji postanowił dokonać za pomocą ogromnych runicznych rękawic. Jego ruchom brakowało gracji i szybkości Wondy, a otchłaniec, zatoczywszy się po pierwszym, jakże potężnym uderzeniu, natychmiast przybrał postawę obronną. Nie wytrzymał jednak tak długo jak bagienny.

– *Umas* – Amanvah nazwała trzeci z filarów Nieba. Wówczas na polanę wyszli uczniowie Rojera pod wodzą Rozkołysanego Hary’ego, którzy wybrali sobie na cel demona polnego. Ich muzyka doprowadziła go do szaleństwa i zmusiła do ataku na kamiennego. Naskakiwał na niego ze wszystkich stron i usiłował zacisnąć na nim szczęki, ale jego kły nie mogły przebić grubego pancerza. Wówczas kamienny otchłaniec kilkoma ciosami wbił polnego pobratymca w ziemię i zmiażdżył mu czaszkę ciężkim pazurem.

Amanvah pochwyciła spojrzenie Leeshy.

– *Rahvees*.

Leesha nabrała tchu, zrobiła kilka kroków i wycelowała różdżką w kamiennego demona. Szybkimi, ostrymi ruchami kreśliła w powietrzu srebrne runy zimna, które unieruchomiły bestię i zamieniły jej krew w lód. Runy lektryczności, które pojawiły się po nich, przeszły otchłanieca spazmami bólu.

– To za ciebie, Rojer – szepnęła Leesha i wyrysowała runy uderzenia. Demon rozpadł się na kawałki.

– *Kenji*.

Wystąpiła Kendall, kładąc smyczek na struny. Bez

wysiłku przywabiła do siebie ognistego demona i nakłoniła go muzyką, by nabrał tchu i przygotował ogniste plunięcie, po czym gwałtownie zmieniła melodię i zmusiła go, by je połknął. Łuski ognistych otchłańców były odporne na gorąco, ale o ich wnętrznościach nie można już było tego powiedzieć. Bestia, krztusząc się i dławiąc, padła na plecy i miotła się w agonii, gdy wypalały się jej organy.

Kendall zwiększyła tempo gry, okrążając miotającego się potwora. Kolejne dźwięki stawały się coraz ostrzejsze i bardziej zgrzytliwe, a demon skamlał i kulił się. Smyczek w rękach dziewczyny poruszał się tak szybko, że nie można było za nim nadążyć. Muzyka stała się niewyobrażalnie głośna. Bębny uszne Leeshy pulsowały bólem, choć podobnie jak inni uczestnicy procesji zabezpieczyła je woskiem.

W końcu ognisty demon wierzgnął po raz ostatni i zmarł w bezruchu. Muzyka Kendall ucichła, a Amanvah wskazała wichrowego demona.

– *Ghanith.*

Nadeszła pora na Sikvah. Krasjanka przywołała demona, który obniżył lot, by porwać drobną dziewczynę w szpony i wynieść ją ku niebu. Był coraz bliżej, gdy Sikvah niespodziewanie dotknęła swojego gardła i wrzasnęła tak przeraźliwie, że demon zatrzepotał gwałtownie skrzydłami i runął martwy na ziemię. Wówczas Sikvah odwróciła się ku siostrze-żonie i złożyła jej ukłon.

– *Horzha.*

Kolorowe szaty Amanvah załopotwały na wietrze, gdy ruszyła w stronę skalnego demona, intonując „Pieśń o Nowiu”. Jej głos nabierał mocy, zawładnął skalnym otchłańcem i nie wypuszczał. Krasjanka śpiewała coraz głośniej, okrążając nieruchomą bestię. Przytknęła dłoń do gardła, by uwolnić magię kryjącą się w naszyjniku, aż jej pieśń stała się tak głośna, że Leesha musiała zakryć uszy.

Kątem oka dostrzegła, że ludzie w promieniu kilkuset kroków robią to samo. Rezonans wzmagął się i miała wręcz wrażenie, że dostrzega vibracje w powietrzu.

Wówczas rozległ się głuchy trzask i martwy demon z łoskotem runął na ziemię.

– Czcigodny mężu, Rojerze asu Jessum am’Gospoda am’Zakątek! – Głos Amanvah ciągnął się nienaturalnie. – Rojerze Bezpalcy, uczniu Arricka Słodkiej Pieśni, niech nasza ofiara wezwie serafina, który poprowadzi cię samotną ścieżką do Everama, gdzie będziesz jadał u Jego stołu, aż twój duch będzie musiał wrócić raz jeszcze na Ala.

Leesha weszła obok Amanvah na Cmentarzysko Otchłańców. Sikvah i Kendall podążały dwa kroki za nimi, a dalej Pasterz Jona i Rębacze, niosący ciało Rojera na stos.

Zbieracze słomy wykonali doskonałą robotę. Na przystojnej twarzy Rojera malował się spokój i nic nie wskazywało na to, że zginął okrutną, bolesną śmiercią. Leżał ubrany w strój z pstrokatego jedwabiu i wyglądał, jakby miał lada moment zerwać się i wyciąć skoczny utwór na skrzypcach. Leżał na drzewcach toporów, wspartych o szerokie ramiona Gareda, Wondy i sześciu innych mieszkańców Zakątka: Duga i Merrema Rzeźników, Smitta, Darsy oraz Jowa i Evina Rębaczy.

Na Cmentarzysku przed stosem pogrzebowym zgromadziły się wielkie tłumy, które ciągnęły się daleko wzdłuż ulic. Wszak wszystkie trakty w Zakątku Drwali prowadziły aż tutaj, w samo serce wielkiego runu. Stos zaś wzniesiono przed muszlą akustyczną, która za życia Rojera była ogniskiem jego mocy.

Gared i Wonda nie kryli łez, gdy układali ciało przyjaciela na platformie wzniesionej nad stosem. Amanvah, Sikvah i Kendall padły na kolana na scenie, przejmująco zawodząc i szlochając, a młode krasjańskie dziewczyny zbierały ich łzy do niewielkich buteleczek

z runicznego szkła.

Leesha również chciała płakać. Łzy niejednokrotnie przynosiły jej ukojenie, a śmierć przyjaciela oplakała nie raz w samotności. Teraz jednak, gdy stała przed zgromadzonymi mieszkańcami Zakątka, miała wrażenie, iż nie pozostało jej nic, czym mogłaby się podzielić. Thamos nie żył. Arlen zaginął. Los Ahmanna był jej nieznanym. A teraz Rojer. Czyżby było jej pisane patrzeć na śmierć każdego mężczyzny, którego pokochała?

Po chwili Amanvah opanowała się na tyle, by stanąć na nogi, a wówczas uruchomiła naszyjnik.

– Jestem Amanvah vah Ahmann jiwah Rojer am’Gospoda am’Zakątek, Pierwsza Żona Rojera asu Jessum am’Gospoda am’Zakątek. Mój mąż był zięciem Shar’Dama Ka, ale nie ma wątpliwości, że i jego dotknął Everam. Palimy jego ciało, żeby uczcić waszą tradycję, ale w Krasji *sharik hora*, kości bohaterów, są czczone jako największa świętość. Kości mojego czcigodnego męża zostaną więc wyjęte z pogorzelniska i umieszczone w runicznym szkłe, aby poświęcić nową świątynię ku czci Stwórcy, która powstanie tu, na świętej ziemi Cmentarzyska Otchłańców.

Kendall zaczęła grać powolną, smutną melodię, a Amanvah oraz Sikvah przyłączyły do niej swój śpiew. Tercet oplótl tłum widzów swą muzyką i zaczarował wszystkich równie łatwo jak wcześniej otchłańce. Śpiewając, Amanvah wyjęła niewielką czaszkę ognistego demona i wycelowała nią w kierunku stosu. Jej palce prześlizgnęły się po runach, by zaktywować magię. Spomiędzy szczęk bestii wystrzelił płomień i ułożone starannie drewno stanęło w ogniu. Zbieracze słomy dodali do stosu odpowiednią ilość trocin oraz środków chemicznych, przez co zapłonął niemal natychmiast i opromienił cały tłum, oczarowany krasjańską pieśnią żalobną.

Gdy ta dobiegła końca, Leesha weszła na scenę i odkaszlęła. Nie miała magicznego naszyjnika tak jak Krasjanki, ale sama muszla również była nasycona magią, która daleko poniosła słowa.

Jej oczy wciąż były suche – nadal nie potrafiła uronić choć łzy – i była przekonana, że inni już to dostrzegli. Dlaczego nie płakała? Czyż go nie kochała? Czyżby przestało jej zależeć?

– Rojer obiecał mi, że jeśli kiedyś ta chwila nastąpi, mam zarządzić taniec i śpiewy, a teksty przemówień spalić wraz z nim.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy.

– Nie żartuję – powiedziała i wyjęła zwiniętą kartkę. – Naprawdę tak powiedział. „Leesho – zaczęła czytać – mam zamiar dożyć późnej starości i bawić moje prawnuki magicznymi sztuczkami, ale wiemy, że życie za nic ma nasze plany. Jeśli zginę, liczę na to, że dołożysz wszelkich starań, by mój pogrzeb nie stał się jakimś nudnym, przygnębiającym przedstawieniem. Powiedz wszystkim, że byłem chwatem co się zowie, i zaśpiewaj jakąś smutną pieśń, gdy będą podpalać stos, ale potem każ Hary’emu uderzyć w struny, a reszcie zamknąć się i tańczyć”.

Złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni sukni.

– Nie byłoby mnie tu z wami, gdyby nie Rojer Bezpalczy. Ba, wielu z was pewnie może powiedzieć to samo. Jego muzyka nieraz stanowiła ostatnią linię oporu dla Zakątka, dawała nam czas, żeby się przegrupować, stanąć na nogi i nabrać tchu. Gdy Arlen Bales spadł z nieba podczas Nowiu, skrzypce Rojera zwabiały w pułapkę jedną horde otchłańców za drugą. Gdyby nie on, nie doczekalibyśmy rana. Mnie jednak najbardziej zapadło w pamięć coś innego – ciągnęła Leesha. – Rojer zawsze służył dowcipem, gdy byłam smutna. Zawsze był gotów ze mną porozmawiać, gdy tego potrzebowałam. W jednej chwili potrafił być moim

spowiednikiem, by zaraz potem fikać już koziołki do tyłu. Gdy problemy zaczynały się mnożyć, a ja miałam wrażenie, że wkrótce wszystkiego nie udźwigniemy, Rojer ujmował skrzypce i zaczynał grać, a wtedy wszystko wydawało się łatwiejsze. Na tym polegała jego magia. Nie na kreśleniu runów czy ciskaniu błyskawicami. Nie na przewidywaniu przyszłości czy leczeniu ran. Rojer z Gospody zaglądał w serca zarówno ludzi, jak i demonów, i przemawiał do nich muzyką. Nigdy nie znałam nikogo takiego jak on i pewnie nigdy już nie poznam. Rojer był chwatem co się zowie...

Głos Zielarki zadrżał. Przytknęła dłoń do ust i nagle odnalazła swoje łyzy. Amanvah podbiegła, by je złapać, nim spadną na ziemię.

Leesha potrzebowała chwili, by wziąć się w garść, po czym odwróciła się ku przewodniczącemu Minstrelowi:

– Hary! Czas uderzyć w struny!



Elissa całą noc piła i tańczyła z mieszkańcami Zakątka. Ragen obracał ją w tańcu z werwą, jakiej kobieta nie widziała od czasów jego młodzieńczych zalotów, potem zdecydował się ją poprosić również Derek. Nawet Briar odważył się zatańczyć z Elissą – poruszał się zaskakująco zwinnie i szybko łapał rytm. Wszyscy czworo śmiali się tak, aż ich bolały mięśnie twarzy, czuli się bezpieczni i rozradowani po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Niebawem Minstrele zaczęli się rozchodzić, wiodąc uczestników zabawy do ich rodzinnych osad, tak jak ongiś Rojer prowadził otchłańce. Wkrótce śmiechy i muzyka rozbrzmiewały w całym Zakątku.

W głównej izbie gospody Smitta rozlegały się głuche jęki.

Blask świtu wnikał przez okna i opromieniał tace, na których piętrzyły się jaja, bekon i chleb oraz stojące obok dzbany z wodą. Przy każdym stole stały również wiadra dla najbardziej ubawionych.

Jeden z gości nie zdołał przypaść do niego na czas i zwrócił zawartość żołądka na podłogę. Na sam widok Elissie zrobiło się niedobrze, ale wzięła kilka głębokich oddechów i skupiła się na dzbanku z wodą, aż pokój wokół niej przestał wirować.

Stefny, żona gospodarza, pojawiła się błyskawicznie przy wymiotującym. Wręczyła mu mokry ręcznik, by miał czym obetrzeć usta, a potem szmatę, by po sobie posprzątał. Ten, wiedząc, że ze Stefny nie ma co żartować, posłusznie wziął się do pracy.

– Wszystko w porządku? – spytała Elissa Stefny. – Znam to spojrzenie. Wystarczy zobaczyć, jak ktoś rzyga, żeby samemu zachcieć pójść w jego ślady.

– Dam sobie radę – odparła Elissa i upiła łyk wody.

Stefny pokiwała głową.

– Wielkich interesów dzisiaj nie zbijemy – westchnęła. – A, pani Leesha przysłała gońca z wieścią, że przyjmie was jutro rano. – Pociągnęła nosem i zerknęła na Briara. – Dobrze by było odpocząć trochę i porządnie się wykapać, zanim udacie się na dwór.

Briar zmarszczył lekko brwi. Chłopak, który nadal cieszył się tężyzną młodego człowieka i prezentował najlepiej z całej ich trójki, skończył właśnie dokładkę śniadania i podniósł się.

– Znajdę was jutro rano.

– Mamy dla ciebie pokój... – zaczęła Stefny, ale Briar pokręcił głową.

– Nie lubię murów. W Zagajniku Zielarek mam swoje krzakowisko.

Bez słowa wyszedł na zewnątrz.



Następnego dnia Ragen opuścił ich pokój wczesnym rankiem.

– Wygląda na to, że Smitt prowadzi również miejscowy bank – powiedział do Elissy, która nadal odpoczywała w balii, choć woda zdążyła już wystygnać. – Ledwie wytrzeźwiał i skojarzył nasze imiona, a momentalnie wystawił nam kredyt, który pozwoli na powrót do Miln. Minie pewnie kilka tygodni, zanim zdołamy zatrudnić ludzi i zebrać zapasy, ale od tego momentu wszystko powinno już pójść płynnie.

– Oby Stwórca cię wysłuchał – rzekła Elissa. – Już zaczynałam się zastanawiać, czy dzieci nie dojrzeją przed naszym powrotem.

– Trudno jest się przygotować na wszystko – odparł Ragen. – A jeśli istnieje jakiś Stwórca, rzekłbym, że już dość dla nas zrobił. Wszak opiekował się nami podczas tej koszmarnej podróży.

Zgodnie z obietnicą Briar czekał na nich na ganku. Nadal zalatywało od niego lubczykiem, choć wydawał się czystszy niż wcześniej. Elissa widywała, jak nie wzdrygając się ani razu, kąpał się w lodowato zimnej wodzie jezior i strumieni, i ten widok wywoływał w jej sercu wielki smutek. Ragen planował zabrać chłopaka do miasta, a Elissa marzyła, by pokazać mu przyjemności kąpania się i zakładania czystych ubrań, ale oboje zdawali sobie już sprawę z tego, że to mrzonki. Briar był Briarem i nie istniała taka moc na świecie, by to zmienić.

W twierdzy hrabiny roiło się od straży. Wśród strażników było zaskakująco wiele kobiet, uzbrojonych równie dobrze jak mężczyźni i budzących podobny respekt.

Milneńscy byli wysokimi ludźmi, a mieszkańców Zakątka obok dużego wzrostu cechowała również barczysta budowa. Ragen i Elissa, strojni w bogate szaty, minęli niezatrzymywani posterunki zewnętrzne, lecz do wnętrza twierdzy, ku ich wielkiemu zdziwieniu, dostali się dzięki Briarowi.

– Briar! – krzyknął ktoś bowiem.

Cała trójka zatrzymała się jak wryta i obróciła, by ujrzeć za swoimi plecami ogromnego barona Rębacza. Chłopak się zdenerwował, jednak pokonał niechęć i uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń. Gared szarpnął mocno, przygarnął Briara do piersi i wyściskał go serdecznie. Ten wyslizgnął się zręcznie i dość szybko, a Gared odwrócił się ku Ragenowi i Elissie, którzy przyglądali się scenie z szeroko otwartymi ustami.

– Ten chłopak ocalił mi życie! Na noc, któż zliczy, ilu ludzi on uratował!

– Zabiłbyś tego otchłaniaka! – rzucił Briar, na co baron wzruszył ramionami.

– Pewnie tak, ale udarłby sobie najpierw ze mnie spory ochłap mięsa.

– Jak na chłopaka, który mieszka w lesie, Briar najwyraźniej zdobył całkiem potężnych przyjaciół – rzekł Ragen i wyciągnął rękę. Uściśnęli sobie przedramiona jak wojownicy. – Jestem Ragen, mistrz Gildii Patronów Runów z Fortu Miln. A oto moja żona, Matka Elissa, córka hrabiny Treshy z hrabstwa Poranka w Miln, zwierzchniczka Milneńskiej Giełdy Runicznej.

Elissa nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni dygnęła przed kimkolwiek, ale odruch był w niej nadal głęboko zakorzeniony.

– Miło mi cię poznać, baronie – oznajmiła.

– Lord Arther ma dziś pełne ręce roboty – rzekł Gared. – Wysłał mnie, żebym zaprowadził was do pani Leeshy.

Idąc za baronem, przemierzyli liczne korytarze, minęli salę audiencyjną i weszli do skrzydła mieszkalnego.

– Pani Leesha urodziła dziecko w zeszłym tygodniu i nie lubi się z nim rozstawać.

– Dziwi mnie, że w ogóle chce się z nami zobaczyć, skoro upłynął dopiero tydzień – stwierdziła Elissa.

– Skoro Briar mówi, że jesteście ważnymi ludźmi, to jesteście ważni – rzekł Gared, gdy podeszli do drzwi, strzeżonych przez jedną z największych kobiet, jakie Elissa kiedykolwiek widziała na oczy. Choć przebywali pod dachem, strażniczka miała na plecach łuk, a przy biodrze nosiła niewielki kołczan.

– Wybaczcie na moment – powiedział Gared. – Muszę sprawdzić, czy ten... – Poczzerwieniał lekko. – Czy nie karmi, czy coś tam.

Elissa zdusiła uśmiech. Mężczyźni mogli stawiać czoła demonom czy Krasjanom, ale widok niemowlęcia ssącego pierś matki był dla wielu z nich zbyt trudnym wyzwaniem. Baron zapytał o coś strażniczkę, a ta wślizgnęła się do środka i wróciła po chwili z informacją, że mogą wejść.

Biuro Leeshy było przestronną komnatą z wielkimi oknami. Wiszące nad nimi ciężkie zasłony zostały odsunięte, by wpuścić do środka poranne słońce. Pani Zakątka siedziała na tronie za ogromnym biurkiem z rzeźbionego, polerowanego złotodrzewa, ale podniosła się na ich widok i podeszła bliżej, by uściskać Briara, nie zważając na jego brudne ubrania i nadal obecny zapach. Trzymała go w objęciach przez długą chwilę i ucałowała w czubek głowy, a Elissa zrozumiała, że ma przed sobą kogoś, komu może zaufać.

Gdy Leesha odsunęła się od Briara, ten uniósł głowę i ujrzał kołyskę, stojącą w kącie komnaty.

– Czy to...?

– To Olive – rzekła hrabina. – Moja córka.

Na twarzy Briara rozlał się szeroki uśmiech.

– Czy mogę...?

– Oczywiście – odparła hrabina. – Ale zachowaj ciszę, bo właśnie usnęła.

Briar podkradł się do kołyski, cichy niczym kot, a Leesha odwróciła się ku gościom.

– Witajcie w Zakątku, mistrzu, i wy, Matko. Napijecie się herbaty?

– Dziękujemy, pani – rzekła Elissa i już łapała za brzegi sukni, by wykonać dworski ukłon, ale Leesha machnęła lekceważąco ręką i poprowadziła ich ku kanapom, między którymi stała ława.

– Mówcie mi po imieniu, proszę. Briar opowiedział mi, co zrobiliście dla Laktończyków. Wszelkie formalności między nami są zbędne.

– Zrobiliśmy tyle, ile w naszej sytuacji można było zrobić – powiedział Ragen. – I pozostaje mieć nadzieję, że przyniosło to korzyść.

– W waszej sytuacji większość ludzi uciekłaby do domu. Mało kto byłby gotów poświęcić większą część roku, żeby pomagać uchodźcom i ruchowi oporu – stwierdziła Leesha, czekając, aż służąca naleje herbaty. – Myślę, że ludzie wznoszący osadę Nowe Lakton nie przestają was wychwalać.

– Widzę, że przygotowałaś się do spotkania, pani – rzekła Elissa.

– Lubię być poinformowana – odparła Leesha.

– Proszę przyjąć kondolencje z powodu śmierci Bezpalcego – oznajmił Ragen. – Jego sława sięgała do Miln i o wiele, wiele dalej. Moc, którą pozyskali twoi poddani dzięki jego muzyce, jest doprawdy... oszałamiająca.

– Chcielibyśmy zabrać tę muzykę do Miln – powiedziała Elissa. – Pomogłaby ochraniać podróżnych i karawany.

– Oczywiście. – Leesha pokiwała głową. – Dzieląc się jego

muzyką najdalej, jak się da, przynosicie mu wielki zaszczyt. Nie ma lepszego sposobu, żeby uczcić jego pamięć. Przekażemy wam nuty dla waszych Minstreli.

– Dziękujemy, pani. – Elissa ukłoniła się. – Cóż za hojność!

– Przynajmniej tym się wam mogę odpłacić, zważywszy na naszego wspólnego przyjaciela – stwierdziła Leesha.

– Chodzi o Briara? – Elissa uniosła głowę.

– Mam na myśli chłopaka, którego Ragen znalazł na trakcie wiele lat temu i wychował jak własnego syna. Arlena Balesa.

Gared upuścił filiżankę, która roztrzaskała się na podłodze.



– Myślisz, że on nadal żyje? – spytała Elissa.

– Pewno, że tak – stwierdził Gared. – W końcu jest Wybawicielem, no nie?

– Nikt na całym świecie nie kocha Arlena Balesa bardziej ode mnie – rzekła Elissa. – Był cudownym chłopcem i wyrósł na niezwykłego mężczyznę. Ale ocierałam jego łzy i sprzątałam po nim, gdy chorował, kłóciłam się z nim, gdy upierał się przy swoich błędach, widziałam ból, który w sobie taił, i czułam, że obwinia o niego tylko siebie. Nie wiem, czy kiedykolwiek ujrzę w nim Wybawiciela.

– To, czy jest Wybawicielem, czy też nie, nie ma właściwie znaczenia – powiedziała Leesha. – Faktem jest tylko to, że to on pchnął cały świat w nowym kierunku.

– Jeśli to nie robota dla Wybawiciela, to nie mam pojęcia, co miałoby nią być – burknęła Wonda. – On na pewno żyje.

Zeżrę łuk i kołczan, jeśli jest inaczej. Ludzie widzieli go na trakcie! Pomagał uchodźcom z Lakton!

– Nikt nie widział jego twarzy – odparła Leesha. – To mogła być równie dobrze Renna.

– Żona Arlena – zgadła Elissa.

Żałowała wielu rzeczy w życiu, ale największy ból sprawiała jej świadomość, że nie była obecna na jego ślubie. Jeśli ktokolwiek na całym świecie zasługiwał na choćby odrobinę szczęścia, był to Arlen Bales.

– Na noc, prawda – stwierdził Ragen. – Nie miałem pojęcia, że istnieje na świecie kobieta, która zdoła usidlić tego chłopaka. Jaka ona jest?

Przez twarz Leeshy przemknął ból, Elissa dyskretnie trąciła męża stopą. Arlen opowiadał im wszak o Leeshy i mówił, co ich łączyło, a z jego słów przebijał lęk, a nawet panika.

Ragenowi brakowało subtelności, ale się nie mylił. Zdarzyło się już przecież, że Arlen Bales uciekł przed kobietą, która miała w sobie zbyt wiele radości, jak na jego udręczoną duszę. Kim była ta, która w końcu wdarła się do jego serca?

– Renna Bales ocaliła mi życie – rzekł Gared. – Ba, uratowała nas wszystkich po upadku Wybawiciela.

– Po upadku? – spytał Ragen. – Masz na myśli jego pojedynek z demonem pustyni? Gdy spadli z klifu?

– Nie, wcześniej. – Baron pokręcił głową. – Kiedy Zakątek został zaatakowany przez demony umysłu podczas Nowiu. Zaczęło się od tego, że wraz z Rojerem i Renną wyprawiliśmy się na zwiady. Szybko się okazało, że czekają nas nieliczne tarapaty, bo demony umysłu ryją własne wielkie runy.

– Na noc – westchnął z niedowierzaniem Ragen. – Otchłańce są do tego zdolne?

– Przypuszczalnie tylko demony umysłu – odparła

Leesha. – Ale przy ich sztuce nasze runy wyglądają jak dziecięce bazgroły.

– Walczyliśmy jak szaleni, ale było ich zbyt wiele – ciągnął baron. – Sam bym tam został, gdyby Renna mnie nie wyniosła. Rojer opowiedział panu Balesowi, co zobaczyliśmy, a wtedy ten wyskoczył w niebo.

– Co? – Elissa nie mogła uwierzyć.

– Wzbił się do lotu jak ptak – dodała Wonda. – Tysiące ludzi go widziało, jak płynął przez niebiosa i ciskał w demony błyskawicami, jakby sam był Stwórcą.

Ragen spojrzał na Elissę.

– Umiesz to jakoś wyjaśnić?

– Pobierał ogromne ilości mocy z wielkiego runu i posyłał ją w runy demonów, zanim te zdołały się w pełni aktywować – powiedziała Leesha. – Niemniej nawet wielkie runy mają swoje granice.

– Jaśniał niczym samo słońce, aż nagle... – Wonda odetchnęła. – Aż nagle zgasł jak świeca. Rozbił się niczym jajko o bruk.

Elissa zasłoniła usta dłonią.

– Myślałem, że już po wszystkim – rzekł Gared. – Nikt się nie poddawał, nikt nie przestawał walczyć, ale nadziei w nas nie było. I wtedy pojawiła się Renna Bales. Była naszą ostatnią linią obrony i nadal wytrzymywała napór demonów, choć opór pękał wszędzie dookoła. Wytrzymała do chwili, gdy zjawił się Arlen. Trzymali się za ręce i odpierali atak za atakiem, aż wreszcie odrzucili wrogów daleko w noc.

– On żyje – powiedziała Wonda. – Człowiek, który przeżyje coś takiego...

Leesha zacisnęła usta, a potem pokiwała do siebie i wstała.

– Gar, zamknij drzwi na klucz. Wondo, zasłony.

Ragen, Elissa i Briar przyglądali się zaskoczeni, jak

spowija ich ciemność. Zgrzytnął przekręcany klucz w zamku. Leesha otworzyła szufladę biurka i wyjęła przedmiot, który przypominał spory kawał obsydianu, lecz wszyscy obecni domyślili się jego natury, jeszcze zanim Leesha wsunęła go do otworu w ścianie, a ich oczom ukazała się magiczna sieć. Linie otoczyły pomieszczenie, przecinając się na suficie i podłodze. Mrok rozproszyła lekka emanacja mocy.

– Nikt nie usłyszy tego, o czym będziemy tu rozmawiać.

– Leesha wróciła na miejsce, ujęła filiżankę i upiła łyk, zamysłona. – Nikomu też nie wolno powtórzyć tego, co teraz powiem.

– Przysięgam na słońce – rzekł Gared.

– Oczywiście, pani – dodała Wonda, a Briar burknął pod nosem na znak, że się zgadza.

Ragen ujął dłoń Elissy i dodał:

– Masz nasze słowo.

– Renna Bales odwiedziła mnie tej nocy, gdy Krasjanie zaatakowali Lakton – powiedziała Leesha. – Wyznała mi, że Arlen żyje.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła Wonda, a Gared ryknął z radości i klasnął, aż echo poszło.

– Chwalmy Stwórcę – szepnął Ragen.

Jedynie Elissa milczała. Domyślała się, że nie usłyszeli jeszcze wszystkiego.

– Powiedziała mi też, że już nie wrócą – ciągnęła Leesha.

– Stali się bowiem zbyt potężni i przyciągają uwagę demonów umysłu do Zakątki. Ahmann wywoływał podobny efekt w Krasji. Potrzebowaliśmy czasu, żeby odbudować obronę, i Arlen zniknął, żeby go dla nas zdobyć.

– Sam to powiedział – rzekł Gared. – Powiedział, że Jardir jest ostatnią sprawą do załatwienia, a potem przeniesie wojnę do Otchłani.

– Co to ma oznaczać? – spytał Ragen.

– Arlen potrafi się przeistaczać w mgłę tak jak demony – wyjaśniła Leesha. – Renna, z tego, co się dowiedziałam podczas naszego ostatniego spotkania, również posiadała tę sztukę. Arlen wyznał mi też, że słyszy, jak Otchłań przyzywa go do siebie, i wiedział, że może wślizgnąć się do niej niczym demon o świcie. – Ze smutkiem pokręciła głową. – Mam jednak wrażenie, że nigdy się nie zastanawiał, czy udałoby mu się z Otchłani powrócić.

– Jeśli miałoby się to powieść komukolwiek, z pewnością byłby to on – rzekł Gared.

Ragen nie zdradzał swoich emocji, ale ścisnął rękę Elissy tak mocno, że kobieta poczuła ból. Wówczas delikatnie nakryła jego dłoń własną, aż z męża wolno uszło napięcie.

– Gared ma rację – powiedziała. – Ileż to razy Arlen okpił śmierć? Pojawi się znowu, gdy wszyscy stracimy już resztki nadziei, żebyśmy znów zaczęli się o niego martwić.

– Tak, to cały on! – zaśmiał się Ragen.

– Tymczasem musimy wypełnić jego wolę i zebrać siły – rzekła Leesha. – A nie uda nam się to, jeśli nadal będziemy toczyć walki między sobą. To na otchłańcach trzeba się skupić, a nie na naszych wewnętrznych sporach!

– To nie my rozpoczęliśmy tę wojnę, pani – odparł Ragen. – Krasjanie wierzą w to, że nadciąga *Sharak Ka*, a Evejah uczy ich, że świat musi uklęknąć przed Tronem z Czaszek. W przeciwnym razie ludzkość nie ma szans na przeżycie.

– Tak, to oni rozpoczęli wojnę – zgodziła się Leesha. – Jednak zanosilo się na nią od lat. Przecież Euchor potrzebował mnóstwo czasu, żeby zbudować swoją ognistą broń i wyszkolić ludzi.

– To prawda – rzekł Ragen. – Od dawna miał ochotę przejąć Bluszczowy Tron i zjednoczyć Theseę pod swoimi rządami, ale nigdy nie uderzyłby pierwszy.

– Zastanawia mnie więc, czy zatrzyma się na Angiers, czy też wykorzysta obecność Krasjan jako pretekst i ruszy

dalej na południe, żeby podporządkować sobie wszystkie Wolne Miasta – rzuciła Leesha.

Elissa i Ragen wymienili spojrzenia.

– Nie zatrzyma się. Co więcej, będzie się spodziewał, że uczynicie to samo co on i jeszcze podziękujecie mu za ten przywilej. Euchor będzie chciał jak najszybciej rozciągnąć swoją władzę nad Zakątkiem, tym bardziej że do Zakątka nadal rości sobie prawo Angiers.

– Mam już dość ludzi, którzy nigdy nie przelali za Zakątek ani kropli krwi, a mimo to wchodzą tu z butą i oczekują, że będziemy im się kłaniać! – rzekł Gared.

– Nie będziesz musiał się kłaniać przed nikim – oznajmiła Leesha. – Broń Euchora nie zadziała tu tak dobrze, jak mu się wydaje.

– Dzięki tobie – stwierdziła Elissa. – I twojej magii.

Leesha pokiwała głową.

– Zastosowałam sieci runiczne, które zdezaktywują użyte przez nich substancje chemiczne. Nie pozwolę na wykorzystywanie ognistej broni na moich ziemiach.

– Nauczysz nas czegoś o magii kości i o sposobach przechowywania *hora*? – spytała Elissa.

Gared i Wonda spojrzeli na swą przywódczynię, ale ta nie zawahała się ani chwili.

– Oczywiście. A jak myślicie, kto mnie tego nauczył? – stwierdziła, po czym przeniosła wzrok na Ragenę. – Wiem, że zrezygnowałeś z funkcji książęcego Pośłańca, mistrzu Gildii, ale chcę cię prosić, żebyś przyjął jeszcze jedno zlecenie i przekazał moje słowa przed obliczem Jego Wysokości księcia Euchora.

Ragen uklonił się nisko.

– Byłbym zaszczycony, pani. Jego Książęca Mość będzie się spodziewał pełnego raportu po naszym powrocie. Daję słowo, że nie podzielę się z nim żadnym sekretem, który powierzyłaś mi w zaufaniu, a negocjacje w twoim imieniu

poprowadzę w dobrej wierze.

Leesha również się ukloniła.

– To ja jestem zaszczycona. Omówimy szczegóły niebawem, a póki co zapraszam was, żebyście przenieśli swój dobytek do twierdzy.

– Dziękuję, pani – odparła Elissa. – Z radością przyjmujemy zaproszenie.

– Wspaniale – burknął Briar. – Dobrze, że mam swoje krzakowisko w Zagajniku Zielarek.

Leesha spojrzała zainteresowana, słysząc jego słowa.

– Śpisz w moim lesie?

– Uhm – odparł Briar.

– A znasz moje Naznaczone Dzieci?

– Widziałem ich parę razy. Jest ich wiele. Mieszkają w lesie, tak jak ja. Są odważni, ale... – zastanowił się, dobierając właściwe słowo – pełni złości.

– A mógłbyś się im przyjrzeć dla mnie tej nocy? – spytała Leesha. – Wróciłam do Zakątka po dłuższej przerwie i chciałabym wiedzieć, czego się po nich spodziewać, gdy ich odwiedzę.

– Pewno – skinął Briar.



5

Wataha

334 ROK PLAGI

Bosonogi Briar szedł przez Zagajnik Zielarek. Buty z miękkiej skóry, które założył z szacunku dla dywanów pani Leeshy, związał sznurowadłami i zarzucił sobie na plecy, a potem przykrył sfatygowaną tarczą ojca.

Bose stopy zdradzały mu bowiem to, co buty by przed nim ukryły. Dzięki bosym stopom wiedział, gdzie znajdzie pewne oparcie i nie narobi hałasu. Odnajdywał resztki ciepła w miejscach, gdzie jeszcze przed chwilą kręciła się zwierzyna. Czuł drgania pobliskiego strumienia i wibracje pospiesznych kroków. Dzięki rzeczom, które wyczuwał, stawał się częścią nocy, a nie tylko niezdarnym, brnącym przed siebie młodzieniaszkiem. Odgadywał to, co decydowało o życiu i śmierci.

Briar uwielbiał Zagajnik Zielarek. Był zbyt wielki, by dało się na jego powierzchni uformować magiczny symbol, przez co należał do nielicznych miejsc w Zakątku, których nie chroniła moc wielkiego runu. Po zmroku pojawiały się tu więc drzewne demony, które skakały wśród konarów i czaiły się wśród krzewów. W jeziorkach kryły się demony wodne, a nad polanami i szerszymi ścieżkami kołowały wichrowe.

Mimo to nawet w sercu wielkiej puszczy Briar dostrzegał delikatne zmiany wprowadzone przez panią Leeshę. Niektóre z nich rzucały się w oczy, jak choćby pokryte runami ścieżki z krety, bezpieczne niczym światło słoneczne, ale inne były tak subtelne, że zwykły człowiek nigdy by się nie domyślił, że znalazł się pod opieką pani Zakątka. Z tego właśnie powodu Briar ufał Leeshy bezgranicznie. Zadała sobie bowiem sporo trudu, by zrozumieć naturę otchłaniaków, i wiedziała dla przykładu, że pewien gatunek śliskiego mchu mógł odstraszyć drzewne demony od zagajnika, a łacha suchego piasku – ograniczyć zasięg działania bagiennego. Wiedziała, że drzewa owocowe i orzechy przyciągały polujące otchłaniaki, a inne rośliny zniechęcały je i odpędzały.

Wędrujący po lesie Briar pomagał Leeshy, jak mógł, ścinając łodygi lubczyku i sadząc go w strategicznych miejscach. Dziki zagon wyrósł wokół starożytnego złotodrzewa, którego konary opadały nad łodygami lubczyku niczym ramiona rodziców obejmujących swe dzieci. Zagon przecinał zamarznięty częściowo strumień, niknący wśród grubych korzeni. Powstała tam niewielka jama, którą Briar mógł pogłębić i poszerzyć. Ciężki zapach wilgotnej ziemi potrafił odpędzić zarówno ludzi, jak i demony.

Rozbudowywał bezpieczne kryjówki w lesie powoli, na każdym kroku okazując przyrodzie uczucie i dbając

o harmonię. Nie pozostawiał po sobie żadnych śladów ludzkiej działalności, a las odwzajemniał okazywaną mu miłość i dbał o miejsca, do których otchłaniaki nie miały dostępu.

Naznaczone Dzieci nie były jednak tak delikatne. Briar wciąż natrafiał na ślady ich bytności – połamane gałęzie, zdeptane rośliny, runy wyryte w korze żywych drzew. Niektóre z ich pułapek byłyby w stanie pochwycić otchłaniaka, ale większość stała się tak oczywista, że nawet demon mógł je rozgryźć.

Mimo to Briar widział je w walce. Naznaczone Dzieci, choć w jego odczuciu były niezdarne i mało inteligentne, w nocy demonstrowały pełnię swojej potęgi. Tylko głupiec mógłby je zlekceważyć. Pani Leesha okazywała więc wielką mądrość, skoro chciała je poznać lepiej.

Briar dotarł już w pobliże krzakowiska, ale nie wszedł od razu do środka. Najpierw okrążył swoją siedzibę kilkakrotnie, sprawdzając linię ochrony. Podobnie jak pani Leesha, nie przepadał za pułapkami. Wolał sadzić cuchnące rośliny, które zniechęcały demony. A wystarczyło posadzić w puszczańskej ziemi kilka kępek lubczyku i pozwolić mu się rozrosnąć, by polujący otchłaniak skręcił na inną ścieżkę.

Inne rośliny wywierały podobny efekt na ludzi. Nawet odważni śmiałkowie, którzy przemierzali Zagajnik Zielarek, nie mieli ochoty skręcać tam, gdzie rosło ziele skunksowe bądź gdzie cuchnęło zgnilizną. W jednym miejscu Briar zmienił nieco bieg strumienia, dzięki czemu ścieżka stała się grząskim piaskiem, niebezpiecznym zarówno dla ludzi, jak i drzewniaków.

Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, dopóki Briar nie odkrył nowego potrzasku. W tym miejscu kilka miesięcy wcześniej rozrzucił truchła zwierząt wypchane lubczykiem. W przeciwieństwie do zagonów

roślin czy przesuniętych koryt strumienia niektóre środki ostrożności należało raz na jakiś czas wymieniać. Tymczasem ścierwa znikły, a Briar dostrzegł kilka dowodów na to, że w okolicy na powrót pojawiły się demony.

Potrzask był niezłej jakości i dowodził, że przynajmniej jedno z Naznaczonych Dzieci uznało ten teren za własne terytorium łowieckie. Co więcej, poznało system nieprzyjemnych dla otchłaniaków roślin na tyle, by móc je wykorzystać przy zaganianiu demonów do pułapki.

Potrzask składał się z pętli leżącej w płytkim, wygrzebanym w ziemi dole, który przykryto liśćmi, mchem i trawą. Lina została nasączona żywicą i wysuszona. Tu i ówdzie sterczały z niej gałązki, upodabniające ją do pnączy opadających z gałęzi wiecznie zielonego drzewa. Briar musiał wspiąć się na konar, by odnaleźć ciężarki zapewniające przeciwwagę.

Nawet czujny wędrowiec mógł dać się złapać w tak przemyślnie skonstruowaną pułapkę, ale Briar znał tę część lasu jak własną kieszeń i pułapka była dlań dostrzegalna na pierwszy rzut oka. Zaniepokoiło go to, że któreś z Naznaczonych Dzieci działało tak blisko miejsca, gdzie układał głowę na spoczynek, ale dzięki temu polecenie pani Leeshy stało się łatwiejsze do wykonania. O zmierzchu łowca zajmie przecież pozycję i będzie czekał na łup. Briar zaś musiał jedynie patrzeć.



Chłopak przebudził się w chwili, gdy robiło się ciemno. Po dziesięciu latach za runiczną barierą nadejście nocy było dlań równie wyczuwalne jak nadciągająca fala chłodu. Jego

norka nie była wcale duża, ale za każdym razem powiększał ją nieco, dodawał otwór wentylacyjny lub podpierał ściany czy sufit. Ściany i podłoga były wyłożone twardymi, wyschniętymi łodygami lubczyku, które były wodoodporne i stanowiły wygodne posłanie. Co więcej, nawet gdyby jakiś otchłaniak odkrył wejście do nory, zapach zniechęciłby go do zapuszczania się do środka.

Rozciągnął mięśnie i wytężył słuch, zerkając po kolei przez wszystkie dziurki w ścianach. Gdy nabrał pewności, że w pobliżu nie ma nikogo, uniósł lekko klapę zasłaniającą wejście i wypełził w sam środek zagonu lubczyku.

Korzenie rośliny rosły gęsto przy sobie i tworzyły ubitą murawę, która zrywała się niczym dywan. Briar pospiesznie ułożył odpowiednio klapę i rozrzucił zerwane wcześniej liście, by zamaskować swoją obecność. Idąc przez zagon, zerwał tu i ówdzie kilka nowych. Część z nich zjadł, a pozostałymi uzupełnił swój zapas. Kierował się ku kolejnej klapie, kryjącej dół, w którym miał zwyczaj się załatwiać.

Następnie udał się ku pułapce, gdzie z zaskoczeniem dostrzegł łowcę, który czekał przy linie z nożem w dłoni, nawet nie myśląc o tym, by się schować. Pani Leesha powiedziała Briarowi, że Stela z Gospody nie była od niego wiele starsza, ale przerastała go wzrostem i wyglądała na dojrzałą, niż on się czuł. Magia uczyniła jej ciało silnym i zahartowanym, przez co nie zawracała sobie głowy wymyślnym strojem. Biodra obwiązała przepaską, piersi jakąś szmatą, a głowę rzemieniem.

Na jej nagiej skórze jaśniały pasma wytatuowanych runów, które zaczynały się na wysokości stóp, wiły po łydkach i udach, zakreślały na talii, a potem spływały wzdłuż ramion. Wpatrzony w dziewczynę Briar czuł, jak więźnie mu oddech w płucach, a na twarzy pojawia się gorący rumieniec.

Odepchnął wrażenie od siebie i okrążył Stelę uważnie. Spodziewał się odnaleźć kolejnych łowców, ale ku swojemu zdumieniu przekonał się, że Stela jest sama.

Zaskoczyło go to. Dotychczasowe doświadczenie mówiło mu, że Dzieci polują w watasze. Nigdy dotąd nie spotkał się z czymś takim.

Briar bezszelestnie przemknął za jej plecami i wdrapał się na drzewo, na którym wisiały ciężarki. Spomiędzy konarów widział jednocześnie Stelę i okolicę.

Łowczyni nie miała włóczni ani tarczy, ale przy nożu skrytym w pochwie wisiało kilka sakiewek i ozdób. Zamarła, gdy zapadły całkowite ciemności, lecz nadal nie czyniła najmniejszych nawet prób ukrycia się.

Wtem usłyszał ciężkie, zbliżające się kroki, które bez wątpienia należały do drzewnego demona. Potwór, który uznał tę część lasu za swoją, szedł ku nim z chrzęstem deptanej trawy i podnosił świeże truchła ułożone przez Stelę. Briar nadal się spodziewał, że dziewczyna będzie chciała się ukryć, ale ta ani drgnęła. Czyżby zamierzała wykorzystać siebie jako przynętę, by zwabić potwora w pułapkę?

Tymczasem otchłaniak, znalazłszy się bliżej, w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że ją dostrzega. Runy na skórze Steli mieniły się słabym światłem, a demon omiótł ją obojętnym spojrzeniem, jakby Steli wcale tam nie było.

Sztuczka przyniosła skutek. Otchłaniak wyminął Stelę i nieświadom niczego wdepnął w pułapkę.

Stela błyskawicznie kopnęła potwora w wewnętrzną część kolana i przewróciła go na ziemię, a potem zawirowała jak tancerka i cięła nożem po linii, która trzymała ciężarki. Sieć z ciężkimi kamieniami opadła, pętla wystrzeliła z ziemi, zacisnęła się na kolanie otchłaniaka i poderwała go ku konarom, aż zawisnął do góry nogami. Stela dobrze opracowała swą pułapkę, szpony otchłaniaka

przecięły powietrze tuż nad ziemią.

Dziewczyna cofnęła się, gdy kołyszące się ciało demona zbliżyło się do niej. Jej twarde, bezlitosne oczy wpatrywały się w szpony bestii. Gdy demon zaczął się oddalać, przyskoczyła bliżej i odepchnęła ramię przypominające konar na bok, by znaleźć się jak najbliżej, a wtedy wymierzyła serię błyskawicznych ciosów pięściami i łokciami. Każde z uderzeń wywoływało eksplozję magii. Nim demon się otrząsnął, dziewczyna odepchnęła go kopnięciem poza zasięg.

Zmieniła pozycję i znów do niego przypadła. Powtórzyła atak trzykrotnie, przez cały czas panując nad sytuacją i pogłębiając skrajne oszołomienie otchłanca. Niemniej drzewniaki należały do silnych przybyszów z Otchłani, a ich pancerz był gruby. Stela mogła zadać mu wiele bólu, ale magia demona błyskawicznie leczyła powierzchowne obrażenia. W ten sposób nie dało się go zabić. Chłopak zerknął na nóż wiszący u boku dziewczyny, ale ta wcale nie kwapiła się, by go wyciągnąć.

Ona ładuje swoje runy! – uświadomił sobie.

Z każdym ciosem symbole wytatuowane na skórze Steli rozjaśniały się nieco, a Stela, miast się męczyć, uderzała coraz szybciej i mocniej. Tańczyła wokół rozkołysanego otchłaniaka, tłukła go ze wszystkich sił i uskakiwała, nim ten mógł chlasnąć ją pazurami. Traktowała go jak manekin ćwiczebny, jaki ojciec Briara kiedyś zbudował w ogródku, by wprowadzać chłopców w tajniki *sharusahk*.

Wpatrzony w ruchy dziewczyny, wkrótce zauważył pierwsze prawidłowości i schematy, które zdradziły sporo na jej temat. Wiedział już, jaki ma zasięg ramion i w jaki sposób stąpa. Dobrze było to wiedzieć, gdyby kiedyś miał z nią stoczyć walkę, choć w głębi duszy pomodlił się do Everama, by nigdy do tego nie doszło. W miarę jak runy się rozjaśniały, Stela stawała się coraz bardziej rozjuszona, aż

wkrótce każdy cios rozrywał ciemności niczym błyskawica, a grzmiące echo niosło się między drzewami.

Briar spodziewał się, że dziewczyna zatłucze drzewniaka na śmierć, ale demon nadal się miotał, a światła oraz hałasy przyciągały uwagę innych nieproszonych gości. Na oczach chłopaka na sąsiednie drzewo wdrapał się polny demon i obrał punkt obserwacyjny równie dobry jak jego własny. Ślepią polniaka śledziły ruchy dziewczyny. Poznawał jej możliwości, tak jak Briar przed chwilą.

W pewnym momencie napiął mięśnie. Briar doskonale wiedział, jak wielką odległość potrafi pokonać polniak jednym susem. Otchłaniakowi wystarczył jeden skok, by wpić się w plecy dziewczyny.

Gdy demon wyskoczył, Briar krzyknął i cisnął tarczą. Otchłaniak uniósł wzrok i w tej samej chwili tarcza uderzyła go w pysk. Runy rozbłysły i odrzuciły bestię w tył. Stela również zadarła głowę i otworzyła szeroko oczy na widok zeskakującego Briara.

Cofnęła się poza zasięg rozkołysanego drzewnego demona. Ten wykorzystał sposobność, by chlasnąć linę pazurami, ale przekonał się, że tu i ówdzie wpleciono w nią niewielkie runiczne płytki, które udaremniły jego zamiar.

W ręku Steli pojawił się nóż, ale znów zamarła, jaśniejąc runami. Demony zamrugały, nie mogąc jej dostrzec, a dziewczyna po chwili zrobiła trzy szybkie, płynne kroki w lewo. Otchłaniące rozglądały się zdezorientowane, ale nagle przypomniały sobie o chłopaku, który nierozważnie zeskoczył na ziemię, by przyjść Steli z pomocą.

Polny demon wyskoczył tak szybko, że Briar nie zdołał nawet wycelować włóczni. Grzmotnął otchłaniaka drzewcem i odrzucił go na bok, a sam odtoczył się i poderwał na równe nogi. Demon chciał ponowić atak, ale potknął się, gdy Stela nadepnęła mu na ogon i chlasnęła nożem.

Czyste cięcie pozbawiło demona odwłoka i zbryzgało dziewczynę cuchnącą juchą, która zaskwierczała w kontakcie z runami. W sieci runów na ciele Steli znów zaiskrzyła moc, na jej twarzy pojawiła się dzikość. Gdy demon odwrócił się ku niej, kopnęła go prosto w pysk.

– Kim ty jesteś, na Otchłań! – wrzasnęła do Briara.

Chłopak nie miał czasu na odpowiedź.

– Uważaj! – krzyknął i wskazał coś włócznią.

W samą porę, gdyż drzewny demon wreszcie zdołał się podnieść na tyle, by przeciąć linę. Zwalił się na ziemię z łoskotem, a polny otrząsnął się z szoku i zaczął okrażać ludzi.

Stela skoczyła na drzewniaka, zanim ten się pozbierał. Runy uderzenia na jej dłoniach rozjarzyły się, gdy plasnęła potwora w uszy, a po lesie poniósł się huk. Osłupiały demon zamarł, dziewczyna wykorzystała okazję i błyskawicznie znalazła się za jego plecami. Zarzuciła mu na szyję naznaczone runami korale i ściągnęła je mocno. Demon poderwał się z wiszącą mu na plecach Stelą, ale ona nie puszczała i nadal zaciskała mu sznur na szyi.

Uwagę Briara nagle przyciągnęło głucho warknięcie. Odwrócił się ku podkradającemu się polniakowi i odpowiedział mu równie głośnym warkotem. Otchłaniak zasyczał, szeroko otwierając ślepią, a wtedy Briar splunął mu w pysk sokiem z przeżuwanych liści lubczyku. Polniak cofnął się z dzikim wrzaskiem.

Briar uniósł włócznię, by go wykończyć, ale wtedy usłyszał głośny krzyk. Drzewny demon zatoczył się w tył i przygniótł Stelę do pnia drzewa. Dziewczyna osunęła się bez tchu na ziemię.

Chłopak wiedział, że polny demon lada chwila dojdzie do siebie, ale odwrócił się i skoczył na drzewnego, który wzniósł już szpony, by rozchłastać bezbronną kobietę. Biegając, wrzasnął, co przyciągnęło uwagę potwora.

Chłopak wykorzystał moment i wbił mu broń w plecy. Runy wyrysowane na drzewcu zajaśniały i Briar poczuł, jak magia przepelnia go od stóp po czubek głowy.

Demon odwrócił się, by się zamachnąć, ale Briar miał już nad nim przewagę szybkości. Umknął przed jednym ciosem, a potem zasłonił się włócznią, nadal wbitą w ciało potwora, by odeprzeć kolejny. Magia wciąż napływała do ciała Briara, czyniąc go coraz silniejszym, a demona z każdą chwilą coraz słabszym.

Wyrwał włócznię i pchnął ponownie. Uniknął kontrataku i dźgnął po raz trzeci. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. Warczał i charczał, rozkoszując się cierpieniem demona i energią życiową, która wpływała do jego ciała.

Ocknął się, gdy usłyszał krzyk Steli. Dziewczyna przetaczała się w błocie, szcepiona w walce ze śmiertelnie groźnym polnym demonem. Jej boki, poszarpane pazurami otchłaniaka, ociekały krwią, ale się nie poddawała. Jedną ręką trzymała kłapiące szczęki z dala od siebie, wbiwszy naznaczony runami kciuk w oczodół przeciwnika, a drugą tłukła go bez litości.

Briar nachylił się pod kolejnym ciosem drzewnego demona i wyprostował, jednocześnie wbijając włócznię w podbródek potwora. Ostrze szybko sięgnęło mózgu. Otchłaniec szarpnął się i runął na ziemię w konwulsjach, wrywając chłopakowi broń z ręki. Briar odwrócił się, by pomóc Steli, ale ona już siedziała na grzbiecie demona i nie zważając na jego ostre pazury, pchała go raz za razem runicznym sztyletem. Wkrótce otchłaniak zaległ bez ruchu.

Briar podbiegł, by przyrzeć się ranom dziewczyny.

– Nieźle cię pochlastał.

Stela spojrzała mu w oczy, pokręciła głową i uniosła się nieco.

– To tylko draśnięcia. Magia to zaraz zaleczy.

Niemal udało jej się powstać, ale naraz syknęła z bólu

i zatoczyła się. Briar złapał ją pod ramię. Stela odwróciła się ku niemu.

– Ciebie nazywają Błotko, co? To ty poprowadziłeś hrabiego do Dokowiska?

Splunęła z pogardą na ziemię, a Briar nie miał pewności, czy miała na myśli jego, czy też Dokowisko, które stało się synonimem klęski.

– Jestem Briar – warknął. – Nie podoba mi się Błotko.

Stela, choć zdyszana, zaśmiała się z trudem.

– Dobra, tylko mi głowy nie odgryź. Nie miałam pojęcia. Do każdego z nas przykleja się jakieś przezwisko, którego nienawidzimy. Gdybym warczała na każdego, kto nazywa mnie Stelka, moi bracia i siostry robiliby to częściej.

– Pewno – przyznał Briar. Jego rodzeństwo w niczym się od nich nie różniło.

– Znasz jakieś miejsce, w którym można trochę odpocząć, Briar? – spytała.

Chłopak przytaknął. Skoro Stela zaczęła polować w tych okolicach, zrozumiał, że i tak będzie musiał je opuścić. Mógł więc bez przeszkód zaprowadzić Stelę do krzakowiska.

– Znam. Bezpieczne miejsce. Niedaleko.

Stela otworzyła szeroko oczy, gdy chłopak wprowadził ją w zagon lubczyku.

– Tu są ścieżki – zawołała. – Z zewnątrz ich nie widać.

– Otchłaniaki tu nie wejdą – wyjaśnił Briar. – Chorują od lubczyku.

– Tym właśnie splunąłeś temu demonowi w twarz?

Briar pokiwał głową.

– Nic dziwnego, że śmierdzi ci z gęby jak Zielarce z dupska – oznajmiła Stela.

Briar parsknął śmiechem, rozbawiony dowcipem.

– Wydawało mi się, że wlałeś na moje tereny łowieckie – powiedziała dziewczyna. – Tymczasem chyba było na odwrót.

– Nie poluję na otchłaniaki – zaprotestował Briar. – Tylko im się naprzykrzam, gdy mi przeszkadzają.

– Och, znasz się na naprzykrzaniu, znasz – stwierdziła Stela.

Briar wzruszył ramionami i wślizgnął się do swojej kryjówki. Wrócił z sakwą z ziołami, by przemyć dziewczynie rany, ale okazało się, że Stela miała rację. Powierzchowne zadrapania już znikły, a płytsze skaleczenia pokryły strupy. Tylko kilka ran wymagało szycia. Gdy się z tym uporał, ugniótł masę z lubczyku, którą następnie rozprowadził na ranach.

– Na noc! – warknęła Stela. – Ależ to piecze!

– Lepsze to od demoniej gorączki – odparł Briar. – Człowiek długo cierpi, nawet jeśli uda mu się pokonać chorobę.

Stela w odpowiedzi tylko zacisnęła zęby.

– Pewnie jesteś samotny, co? Nie masz Watahy, z którą mógłbyś polować i która ogrzewałaby cię w nocy.

– Mam rodzinę.

– Tu? – Stela spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie, w mieście.

– To czemu nie jesteś z nimi?

– Nie lubię murów.

– Arlen Bales mówił, że za sprawą murów człowiek zapomina, czym naprawdę jest noc – zgodziła się.

– Ja nie mogę zapomnieć – rzekł Briar. – Nigdy nie zapominam.

– Ja też mam rodzinę za murami – powiedziała Stela. – Kocham ich, ale to nie Wataha. Może chciałbyś ich poznać, gdy już odpocznę?

– Skoro są tacy wspaniali, to dlaczego polujesz sama?

Stela roześmiała się.

– Wataha jest jak rodzeństwo. Chcesz za nich zginąć, ale czasami doprowadzają cię do obłędu.

Rodzinę Briara pochłonięła noc ponad dziesięć lat temu, ale chłopak nie zapomniał niczego. Pamiętał, jak dręczyli go bracia i jak bardzo ich nienawidził. I jak chętnie oddałby wszystko, by do niego wrócili.

– Niech to Otchłań! – syknęła Stela na widok szwów. – Dopiero co zrobiłam sobie ten tatuaż, a już muszę go poprawiać?

Odsunęła nieco przepaskę biodrową, by lepiej przyjrzeć się wytatuowanym runom, naruszonym przez szwy, a Briar poczuł, jak twarz oblewa mu się gorącym rumieńcem. Odwrócił się, ale Stela złapała go za podbródek i obróciła jego twarz ku sobie. Uśmiechała się szeroko, jakby właśnie poznała sekret Briara.

– Masz coś do jedzenia? Od zabijania demonów robię się głodna. – Mrugnęła do niego. – I nie tylko głodna.

Briar pokruszył nieco liści lubczyku i podsunął dziewczynie. Ta wywróciła oczami.

– Tylko mi nie mów, że to wszystko, co masz! Przecież nawet ich nie umyłeś!

Briar wsunął liść do ust.

– To dobra rzecz. Wypcha ci żołądek i przegoni otchłaniaki.

Stela spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale wzięła kilka liści.

– Mama zawsze mówiła, że jak chcesz się całować z mężczyzną, który jadł czosnek, lepiej sama go trochę zjedz – oznajmiła i ugryzła lubczyk. – Smakuje jak sperma bagiennego demona.

– Właśnie! – Briar parsknął śmiechem.

– Nic już teraz nie czuję – dodała Stela, przełknąwszy, a potem rozgryzła kolejny liść. – Chyba nos przestał mi działać.

– Przyzwyczaisz się.

– Może to w sumie nic złego? Połowa Watahy nie kąpała

się od miesiąca, a po walce z demonami człowiek wcale nie pachnie fiołkami. To tam śpisz? – Pokazała darń na klapie kryjówki.

Briar pokiwał głową.

– Zmieszczą się dwie osoby?



Łodygi lubczyku zachrzęściły, gdy Briar przesunął się bliżej ściany, ale bez względu na to, gdzie się układał, Stela od razu wtulała się w niego. Leżała tyłem i przyciskała się do chłopaka krągłymi biodrami. Choć noc była zimna, w norze zrobiło się gorąco.

Nie mając pojęcia, co począć z rękami, Briar zarzucił je Steli na szyję. Przeszyło go mrowienie, gdy dotknął nagiej skóry dziewczyny. Stela przesunęła się nieco i nos chłopaka znalazł się wśród jej włosów. Kiedy wciągnął powietrze, aż zakręciło mu się w głowie od jej zapachu. Jego członek zaczął nabrzmiwać i Briar odsunął się odruchowo, nie chcąc, by to zauważyła.

Wtedy z ust Steli wyrwał się dźwięk, który był po części chichotem, a po części westchnieniem. Naparła na niego pośladkami. Briar jęknął, a wtedy dziewczyna obróciła się ku niemu.

– Nie polujesz – powiedziała i złapała go między nogami – ale od zabijania demonów robisz się równie sztywny jak każdy inny mężczyzna.

Przewróciła go na plecy, a Briar zamarł, nie wiedząc, co zrobić. Gdyby miał możliwość, uciekłby prosto w noc, ale nora była ciasna, a Stela skutecznie go przygwoździła. Bezsilnie przyglądał się, jak uwalnia go ze spodni, i nim zorientował się, co się święci, uniosła nieco biodra, złapała

jego męskość i usiadła na nim.

Briar sapnął i złapał ją za biodra, ale Stela w pełni panowała nad sytuacją. Nie mógł nic poradzić, gdy zaczęła unosić się i opadać.

– Och! – jęknął tylko.

Stela pocałowała go i przygryzła mu wargę.

– Ani się waz! – warknęła. – Ja jeszcze potrzebuję chwili.

Briar jęknął, gdy ogarnęło go doznanie, nad którym nie był w stanie zapanować. Rzucił się, wyginał i kopał, aż wytrysnął prosto w nią.

Spodziewał się, że Stela się wścieknie, ale ona znów roześmiała się chrapliwie i pochyliła nad nim jeszcze mocniej.

– Tak, to mi się podoba. Nie przestawaj!

Złapała go za ramię i naparła na niego całym ciałem. Drapała i gryzła, ale tym razem Briarowi to nie przeszkadzało. Trzymał Stelę mocno, gdy i ją przeszył spazm.

Leżeli zdyszani, wpici w siebie. W norze zrobiło się duszno. Stela poruszyła się, nadal czując go w sobie, wciąż twardego. Pocałowała go.

– Uff, dzięki, Stwórco. Wiesz co? Chyba nie mam jeszcze dosyć. Połóż mnie na plecach.

– Ale... – Briar przełknął ślinę, usiadł ze Stelą na kolanach. – Ale ja nie...

Stela roześmiała się i zaplotła nogi wokół jego bioder, po czym obróciła się tak, że chłopak nagle znalazł się na niej.

– Powoli. – Znow go pocałowała. – Nie spiesz się. Oboje mamy w sobie mnóstwo magii. Ty będziesz twardy, a ja wilgotna. Szkoda by to zmarnować.



Minęło sporo czasu, zanim wreszcie zaczęli zasypiać. Stela pochwyciła Briara za ramię i narzuciła je na siebie niczym koc, po czym zachrapała. Ich ciała były sklezione potem, wtulone jedno w drugie. Briar poczuł coś, czego nie doświadczył od dawna i co już zdążył zapomnieć.

Poczuł się bezpieczny.

Pamiętał, gdy miał sześć lat i spał między rodzicami, ciesząc się ich ciepłem. Pamiętał tę noc, kiedy obudził się z przeświadczeniem, że do ich domu wkradł się otchłaniec. Tę noc, kiedy podsycił ogień, by odpędzić cienie, ale zapomniał otworzyć komin.

Tę noc, kiedy jego rodzina spłonęła.

Pamiętał ciemny kontur ich chaty, spowitej pomarańczowymi językami ognia. Pamiętał kłęby duszącego dymu, które niosły się w noc, gdy on kulił się na zagonie lubczyku.

Ogień opromieniał demony, czekające, aż zgaśnie bariera runiczna. Rodzina Damajów krzyczała, gdy przebiły się przez drzwi.

Briar zerwał się gwałtownie i uderzył głową o niski sufit nory.

– Cosięzieje... – jęknęła Stela.

Briar nie mógł oddychać. Ściany napierały ze wszystkich stron, musiał się wyrwać. Czuł, że umrze, jeśli pozostanie choć chwilę w środku.

Odepchnął zaskoczoną Stelę, która próbowała go pochwycić, i wyczołgał się na świeże powietrze.

Tam mógł znów zaczerpnąć tchu. Oddychał łapczywie i nabierał potężne hausty zimnego nocnego powietrza, ale nie mógł się nim nasycić. Mięśnie łapały mu skurcze, klatka piersiowa zeszywniała. Miotał się, wymachiwał ramionami, przekonywał sam siebie, że dookoła nie ma żadnych murów. Zmysły miał wyostrzone jak nigdy, pochwytywał każdy dźwięk, każdy ruch – szept wiatru

wśród liści, cichy szelest nocnego życia, odległe wrzaski demonów. Był świadom wszystkiego, co go otaczało, gotów w każdej chwili zareagować na najmniejsze nawet zagrożenie. Zacisnął pięści i niemalże pożałował, że w okolicy nie ma żadnego zagrożenia, by mógł uwolnić napięcie, a ono rosło i rosło, aż Briar nabrał przekonania, że zaraz rozsadzi go na strzępy.

Usłyszał, jak Stela unosi klapę i wyłania się w ślad za nim. Przyszło mu do głowy, by rzucić się do ucieczki w noc.

– Briar? – zawołała go. – Nic ci nie jest?

– Nie – odparł, choć wiedział, że to kłamstwo.

– Wszystko w porządku – powiedziała Stela. – Nie musisz niczego wyjaśniać. Wiem, co czujesz.

Briar odwrócił się do niej plecami i wbił wzrok w ciemność.

– Nikt tego nie wie.

– Zacząłeś się odprężyć, co? A potem przypomniałeś sobie, co się dzieje z ludźmi, którzy się odprężają. Nagle nie mogłeś już oddychać. Mięśnie ci zeszywniały. Może wydawało ci się, że ściany cię zmiażdżą. Musiałeś wyrwać się na otwartą przestrzeń, a tam zaczęłeś się miotać jak przykuty łańcuchem nocny wilk.

Briar spojrzał na nią.

– Skąd ty...?

– W zeszłym roku zapadłam na zarazę – odparła Stela. – Choroba dotknęła połowę miasta, a to pociągnęło za sobą kolejną katastrofę. Chorzy upuszczali świece, przewracali lampy. Wszędzie wybuchały pożary.

– A ogień przyciąga otchłaniaki – rzekł Briar. – Schodzą się i czekają, aż bariera padnie.

Stela pokiwała głową.

– Pożar zaskoczył nas w gospodzie dziadka. Gdy pojawił się dym, udało nam się wydostać na zewnątrz. Biegliśmy, potykając się, ja, mój wujek Keet oraz moja mała siostra.

Keet musiał mnie podtrzymywać i demony pewnie by nas dogoniły, ale...

Odwróciła głowę, oddychając ciężko. Briar podszedł do Steli i wyciągnął ku niej rękę. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Dziewczyna wtuliła się w niego.

– ...ale moja siostra się potknęła – dokończyła. – Otchłańce dopadły ją zamiast nas.

Spojrzała na Briara oczami pełnymi łez.

– Nie ty jeden nienawidzisz murów i ścian. Nie ty jeden budzisz się w środku nocy i nie możesz złapać tchu. Arlen Bales mówi o tym w Nowym Kanonie.

– W czym? – spytał Briar.

– Brat Franq rozmawia z każdym, kto kiedykolwiek spotkał Arlena i Rennę Balesów – odparła Stela. – Spisuje ich nauki, żebyśmy niczego nie zapomnieli.

Obróciła się w jego ramionach.

– Nie jesteś sam, Briar, i czuje to każdy członek Watahy. Każdy z nas stracił kogoś bliskiego, każdy z nas widział na własne oczy, jak straszliwa potrafi okazać się noc. Wszystko to sprawia, że nie jesteśmy tacy sami jak ludzie w mieście, ale trzymamy się razem i wspieramy przy każdej okazji. Jeśli pozwolisz, przygarniemy cię do naszego grona.

Briar pokiwał głową. Nie potrafił sobie wyobrazić, by na czymś zależało mu bardziej.



Briar znał drogę do obozowiska Naznaczonych Dzieci, lecz oddał inicjatywę Steli i podążał za nią. Nadal było ciemno, a magia wciąż skrzyła w jego ciele, wyostrzając zmysły. Szedł za Stelą, kierując się nie tylko wzrokiem, ale również

węchem. Kręciło mu się w głowie na samą myśl o dziewczynie.

Usłyszał pierwsze Naznaczone Dzieci, gdy od obozu dzieliła ich jeszcze mila, a kiedy znaleźli się blisko, czyniony przez nie zgiełk niósł się daleko między drzewami. Rozległo się głośnie szczeknięcie i na kamień przy ścieżce wskoczył potężny ogar. Chwilę później pojawił się wartownik.

Wszyscy mieszkańcy Zakątka byli roślejsi od Briara, ale wartownik przerastał go niemal o głowę, a jego napęczniałe bicepsy wydawały się większe od głowy chłopaka. Miał na sobie drewnianą zbroję – hełm, napierśnik, rękawice i nagolenniki, co do jednego pomalowane lakierem i pokryte runami. Na szerokim srebrnym ostrzu jego włóczy, przytroczonej do pasa, nadal syczała wypalająca się jucha.

– Cześć, Stela! – zawołał olbrzym. – Zaraz będzie świt! Gdzieś ty się podziewała, na mrok nocy?

Stela odepchnęła mężczyznę ze śmiechem.

– Musiałam choć na chwilę odpocząć od twojego oślego smrodu, Callen.

Callen Rębacz zszedł dziewczynie z drogi, acz niechętnie. Briar zauważył, że uznaje jej autorytet.

– A to kto, na Otchłań? – spytał Callen, dostrzegając Briara.

Chciał trzepnąć go w plecy, ale chłopak pochwycił nadgarstek olbrzyma i wykręcił go sprawnie, posyłając Rębacza na ziemię. Ogar warknął i przykucnął, by wyskoczyć, lecz Briar spojrzał mu w ślepią i odpowiedział równie strasznym warknięciem. Pies zawahał się i zrezygnował z ataku.

W obozie przebywało prawie sto osób, wśród nich kilkoro dzieci i starszych ludzi, ale większość była w wieku Briara, nie ukończyła jeszcze dwudziestu lat. Briar rozpoznawał Milneńczyków, Angieriańczyków, Rizończyków,

Laktończyków, a nawet Krasjan. Niektórzy nosili szaty bądź fragmenty pancerzy, inni zaś odsłaniali swoje poznaczone runami ciała do granic przyzwoitości.

Pojawienie się Briara przyciągnęło uwagę wszystkich obecnych. Chłopak, gdy poczuł na sobie ciężar wielu spojrzeń, w panice chciał rzucić się do ucieczki, ale Stela położyła mu dłoń na ramieniu i ścisnęła lekko. Callen podniósł się z ponurym obliczem, jednak nie podszedł bliżej, odstraszone ostrzegawczym warknięciem dziewczyny.

Ta zaś rozejrzała się dookoła i oznajmiła głośno:

– To Briar Damaj! Gared powiedział, że to on właśnie ocalił Jego Książęcą Mość na szlaku.

– A potem powiódł go na rzeź! – rzucił brodaty mężczyzna. Jego gęste brązowe włosy zaplecione były w warkocz, który odsłaniał run umysłu wytatuowany na czole. Miał na sobie brązowe szaty Opiekuna, również pokryte runami, a w ręku trzymał rzeźbioną laskę. – Pamiętam go – dodał. – To Błotko. Krasjański zdrajca.

Briar odsłonił zęby.

– Nie jestem zdrajcą! Jestem Laktończykiem. Nie moja wina, że wyglądam jak oni!

Stela znowu ścisnęła mu ramię.

– Błotko – oznajmiła głośno. – Tylko ja mam prawo go tak nazywać. Każdy, kto się na to poważy, nie doliczy się przynajmniej jednego zęba. Razem przelewaliśmy juchę! On należy do Watahy!

Do Watahy.

Słowo to rozlało się niczym miód po sercu Briara, ale patrząc na posępne twarze wokół siebie, chłopak doszedł do wniosku, że same słowa nie wystarczą, by stał się członkiem ich grupy.

– A więc to tak teraz działa? – odezwał się ktoś inny, nie tak wysoki jak Callen i raczej szczupły. Nosił też lżejszą zbroję z wyprawionej skóry, na której wycięto runy. Był

nieco podobny do Steli. Ostrze jego włóczni jaśniało wewnętrzną mocą. – To ty teraz decydujesz, kto należy do Watahy, a kto nie? – zapytał, celując włócznią w Briara.

Stela oparła dłonie na biodrach.

– Jeśli natychmiast nie wezmiesz tej włóczni w zarazę, drogi wuju – ostatnie słowa wymówiła drwiącym tonem – wszyscy zobaczą, jak wbijam ci ją w dupę.

Keet się zawahał. Rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, kto stanąłby po jego stronie, ale nikt z obecnych najwyraźniej nie miał ochoty na konfrontację. Każdy tylko spuszczał wzrok, gdy Keet na niego spojrzał. Callen nadal wpatrywał się w Briara złowrogo, ale nawet on nie wydawał się skory, by rzucić Steli otwarte wyzwanie.

Stela pochyliła się w stronę Keeta.

– Briar należy do Watahy! – powtórzyła.

Po chwili Keet opuścił głowę.

– Chcesz zrobić z niego Runoskórego, proszę cię bardzo – burknął. – To nie moja sprawa.

– Urządzimy mu inicjację – zgodziła się Stela. – Ale potem będzie mógł szukać własnego przeznaczenia. Kto wie co będzie, gdy nasi się przekonają, do czego jest zdolny! Może pojawią się tacy, którzy zaczną się nazywać Błotkami!

Briar skrzywił się, a Stela mrugnęła do niego.

– Lepsze to niż Gębosmrodki.

Briar wbrew sobie parsknął śmiechem.

– Każdy z nas musi odnaleźć własną drogę w życiu – oznajmił człowiek w szacie Opiekuna, podchodząc bliżej. Stela zacisnęła mocniej dłoń na ramieniu Briara, aż ten poczuł ból, ale obcy jedynie złożył przed nim ukłon.

– Witaj, Briarze. Jestem brat Franq.

Stela rozluźniła uchwyt, pozostali członkowie Watahy również się odprężyli. Callen i Keet nie byli w stanie rzucić Steli wyzwania, ale brat Franq nie miałby z tym trudności.

– To ty piszesz Nowy Kanon – rzekł Briar.

Franq machnął lekceważąco ręką.

– Słowa należą do Arlena i Renny Balesów. Ja je tylko spisuję.

– Ale pomagasz nam odkryć ich sens – powiedziała Stela.

Franq ponownie uklonił się Briarowi.

– Wybacz, że nazwałem cię zdrajcą. Opiekunowie Stwórcy wpoili mi przekonanie, że należy osądzać innych, lecz Arlen Bales pokazał nam lepszą drogę. Wszyscy, którzy rzucają wyzwanie nocy, są braćmi i siostrami. Wszyscy jesteście Wybawicielami.

Słyszając to, członkowie Watahy nakreślili run w powietrzu i powtórzyli:

– Wszyscy jesteście Wybawicielami!



– Pani Leesha z początku podzieliła nas na trzy grupy – opowiadała Stela, prowadząc Briara przez obóz. – Najsilniejsi spośród nas mieli ćwiczyć, żeby dołączyć któregoś dnia do Rębaczy. Pani wręczyła im wszystkim włącznie ze szczególnym zestawem runów, odpowiednio krótkie, żeby można było łatwo pobierać moc. Nazywamy je ssawkami, bo wbija się taką w cielsko demona i po prostu wysysa z niego moc. Na czele Ssawek stoi Callen.

Briar obrócił lekko głowę i przyjrzał się grupie Callena, ale Stela już machnęła ręką w stronę innej części obozu.

– Ludzie Keeta są gorzej zbudowani od innych. Większość z nich próbowała dostać się do Rębaczy, ale ich odrzucono. Nazywamy ich Gnaciarzami, bo pani umieściła kawałki demonich kości we włącznie, żeby zwiększyć siłę ich mięśni. Udało się aż nadto. Moja grupa zaś to ludzie, którzy nie mieli żadnych wątpliwości, że nie nadają się do

walki z demonami. – Wskazała Briarowi inną gromadę, składającą się głównie z młodych kobiet, odzianych równie skąpo jak sama Stela. – Żadna z nas nie miała siły, żeby zamachnąć się toporem czy napiąć łuk tak jak przyboczne Wondy. – Uniosła przy tych słowach własną naznaczoną runami rękę. – Pani wyświadczyła nam największy zaszczyt, gdyż naniosła nam runy na skórę.

– Pani Leesha cię tatuowała? – spytał Briar.

Stela pokręciła głową.

– Wymalowała mi runy farbą na skórze, ale potem odeszła i gdy runy zaczęły płowieć, poprosiłam Ellę Rębacz, żeby je poprawiła igłą, zanim znikną na zawsze.

Briar patrzył, jak inni w obozie z szacunkiem schodzą Runoskórym z drogi. Podwładne Steli ustępowały mężczyznom wzrostem i posturą, ale nawet tu, w obozie, poruszały się niczym polujące drapieżniki.

– Wataha rozrosła się od tego czasu – ciągnęła Stela. – Tam mieszkają wdowy i dzieci *Sharum*, którzy zginęli podczas Nowiu.

Wskazała gestem namioty i studnię, z których korzystali Krasjanie. Choć nie toczyła się bitwa, wszyscy nosili nocne przesłony, nawet mężczyźni. Briar przyjrzał im się bliżej i zauważył, że kilkoro spośród nich miało jaśniejszą skórę, typową dla mieszkańców zielonych krain. Mimo to przyswoili sobie zwyczaj Krasjan.

– Potem dołączył do nas brat Franq i rozpoczął szkolenie Rodzeństwa.

Miała na myśli mniejszą grupkę, w całości ubraną w zwykłe, brązowe szaty.

Przed Krasjanami stanęła wysoka kobieta i pomachała do nich. Włosy, które wymykały się spod zawoju, były poznaczone siwizną, a w jej oczach kryła się wielka mądrość, ale nie poruszała się jak staruszka. Biły od niej siła i energia.

Stela podprowadziła Briara i złożyła kobiecie ukłon.

– Oto Jarit, Pierwsza Żona Mistrza Ćwiczeń Kavala. Dowodzi *Sharum* należącymi do Watahy.

Krasjanka przyjrzała się uważnie powalanej ziemią i brudnej od soku z lubczyku twarzy Briara, by dostrzec jej rysy.

– Jak się nazywasz? – zapytała po krasjańsku.

– Briar asu Relan am'Damaj am'Bogton – odparł chłopak.

– Damaj to nazwisko z plemienia Kaji – zauważyła Jarit.

– A mimo to twierdzisz, że nie jesteś jednym z nas?

– Urodziłem się i zostałem wychowany w Bogton – odparł Briar.

Jarit pokiwała głową.

– Pamiętam dzień, w którym zaginął twój ojciec. Wojownicy Kaji przeszukali całe miasto oraz Labirynt, nie mając pojęcia, czy został rozszarpany przez demony, czy może zginął od ostrza Majah. Kto by pomyślał, że umknął na północ?

– Znałaś mojego ojca?

Jarit pokręciła głową.

– Nie, mój mąż był jednym z najlepszych nauczycieli walki w naszym plemienu. Wiele mi opowiadał o tym, co się dzieje wśród wojowników. Wiele się też od niego nauczyłam.

– Jarit i jej wnuczka Shalivah zaczęły uczyć nas *sharusahk* – powiedziała Stela. – Po tym, jak Wonda Rębacz opuściła nas wraz z panią Leeshą.

Słowa te przywołały dziewczynkę w wieku około dziesięciu lat, która wyglądała bardziej na córkę Jarit niż na jej wnuczkę, ale Briar dobrze wiedział, że magia potrafi odjąć człowiekowi wiele lat. Rozejrzał się dookoła i uświadomił sobie, jak wielu spośród Krasjan było dziećmi. Dwóch krasjańskich młodzieńców nosiło jednocześnie nocną

przesłone i brązowe szaty Rodzeństwa.

– Opiekun nawrócił was tak jak mojego ojca? – odgadł Briar.

– Nadal modlimy się do Everama – rzekła Jarit.

Briar pokiwał głową.

– Mój ojciec mawiał, że Everam jest Stwórcą, a Stwórca jest Everamem.

– Twój ojciec był więc mądrym człowiekiem – uśmiechnęła się Jarit. – Nie zostaliśmy nawróceni przez Opiekunów ani też sami nie próbowaliśmy na nich wpłynąć. Wszyscy widzieliśmy, jak Arlen Bales ciskał błyskawice z nieba w dniu, gdy Alagai Ka zstąpił na ziemię. Jeśli ktokolwiek miał jakieś wątpliwości, znikły, gdy Arlen Bales zrzucił Ahmanna Jardira z klifu w *Domin Sharum*. Syn Hoshkamina był fałszywym Wybawicielem. To syn Jepha jest Shar'Dama Ka, a my musimy być gotowi na jego wezwanie.

Briar burknął, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Miast tego wskazał wstające słońce i zapytał:

– A czemu dalej nosicie zasłony?

– Everam wymaga, żebyśmy okazali skromność, gdy pada na nas Jego światło – odparła kobieta. – Arlen Bales pokazał nam, że powinniśmy odsłonić oblicza, dopiero gdy walczymy z Nie. To jej należy okazać dumę i hardość.

– Niech cię ta ich skromność nie zwiedzie – odezwała się Stela, gdy ruszyli ku części zajętej przez Runoskórych. – Współczuję otchłaniom, kiedy Jarit i jej *Sharum* opuszczają zasłony.

– Nie umiem współczuć otchłaniakom – splunął Briar.

– Co racja, to racja. – Stela znów ścisnęła go za ramię, aż chłopaka przeszył dreszcz. – Chodź, mamy sporo roboty przed twoją inicjacją.

– Jakiej znowu roboty? – spytał Briar.

Podeszli do drobnej blondynki, która zaplatała swoje

długie włosy. Była przypuszczalnie w tym samym wieku co Stela i, podobnie jak inne Runoskóre, zakrywała swą nagość ledwie kilkoma skrawkami skóry. Na jej ciele ciągnęły się wstęgi runów.

– To Ella Rębacz – przedstawiła ją Stela.

Ella skinęła Briarowi głową, ale nie przerywała splatania warkoczy. Jej palce poruszały się z wielką zwinnością.

– Nikt nie robi lepszych tatuazy od niej – dodała Stela.

– Wykąp się, chłopie. – Ella uśmiechnęła się. – I ogol. Pracuję na czystym ciele.

Stela zamachała dłonią przed nosem.

– Nie ma co zwlekać. Zostało ci trochę mydła?



– Nie wiem, czy to tak ma być – powiedział Briar.

Czuł się dziwnie po kąpieli. Stela znalazła gdzieś sztywną szczotkę i porządnie go wyszorowała, a inne Runoskóre chichotały i natrzęsały się z niego. Czysta, wysuszona już skóra mrowiła w zimnym powietrzu poranka.

Stela zignorowała jego słowa.

– Jak to możliwe, że ty nadal śmierdzisz lubczykiem?

– Jak jesz go często, to zacznasz wypacać – odparł Briar. – To nic złego. Odpędza otchłaniaki nawet po tym, jak ktoś cię zmusi do kąpieli.

Stela roześmiała się i dała mu czystą szatę, a potem zaprowadziła do namiotu, w którym Ella klęczała już przy niewielkim ognisku. Wokół niej leżały rozłożone narzędzia.

– Pokaż Elli dłonie – powiedziała Stela.

– Nie wiem, czy to tak ma być – powtórzył Briar. –

Powiedziałem, że przyjdę do obozu. Nie zgadzałem się na żadne tatuaże.

– Arlen Bales mówił, że ciało to jedyna broń, z którą nigdy się nie rozstajesz – powiedziała Ella.

– Pokaż jej dłonie. Na razie tylko tyle – zachęciła go Stela. – Każdy Runoskóry przez to przechodzi. Zyskujemy w ten sposób broń, której nigdy nie zgubimy.

Briarowi spodobały się te słowa. Nie opierał się więc, gdy Ella ujęła jego dłonie i zaczęła je oglądać. Palce dziewczyny były miękkie i delikatne.

– Najpierw je namalujemy – powiedziała, ujmując pędzel i dzbanek z atramentem. – Nie wierć się.

Szybkimi, śmiałymi ruchami namalowała run uderzenia na prawej dłoni, a run nacisku na lewej.

– Atak i obrona – wyjaśniła Stela. – Pierwsze narzędzia *gaisahk*.

Słowo pochodziło z krasjańskiego i oznaczało „walkę z demonami”, ale Briar nigdy dotąd go nie słyszał. Ella zakończyła pracę i spojrzała na Stelę.

– I co ty na to?

– Świetna robota. Na co czekasz?

Ella ustawiła między nimi niewielki stolik.

– Połóż tu rękę – rozkazała.

Briar spełnił polecenie, jednak gdy Ella ujęła skórzane paski zamocowane po bokach stolika, natychmiast cofnął rękę. Widział już kiedyś podobne, były narzędziem tortur.

Stela starała się go uspokoić.

– Te paski są po to, żebyś się nie wyrywał. Nawet najlepszym z nas zdarza się odruchowo cofnąć rękę. Jestem tuż obok ciebie, Briar, i nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Potem mocno zacisnęła paski na ramieniu, a Ella ujęła coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak mały pędzel. Dopiero potem Briar uświadomił sobie, że jest zakończony

nie włosiem, ale pękiem igieł.



– I co sądzisz? – spytała Ella, ścierając krew z lewej dłoni Briara.

Prawa została już opatrzona. Briar zacisnął dłoń i patrzył, jak run się zniekształca, a potem ją rozprostował i ułożył palce oraz kciuk w pozycji do walki *sharusahk*, tak jak uczył go ojciec.

– Jest piękny – rzekł.

Bronź, której nigdy nie zgubi, która będzie stanowić część jego osoby, jeszcze bardziej integralną niż pot cuchnący lubczykiem. Świadomość ta napełniła go nadzieją, jakiej nigdy dotąd nie zaznał. Gdy Ella obwiązywała lewą rękę, chłopak zerknął na jej długie nogi, pokryte ciągami runów. Pozazdrościł Elli potęgi i bezpieczeństwa, które przynosiły magiczne znaki.

Stela pacnęła go w tył głowy.

– Dobra, dosyć już tego. Idź i odpocznij sobie, a ja zamienię z Ellą kilka słów.

Briar pokiwał głową i wyszedł z namiotu. Słońce stało już wysoko na niebie i większość ludzi spała w cieniu obozu. Kilkoro spośród Naznaczonych Dzieci krzątało się jednak tu i ówdzie, a to wystarczyło, by Briar poczuł się przytłoczony. Musiał spędzić chwilę na uboczu.

Skręcił za namiot, żeby zagłębić się w Zagajnik Zielarek, nim ktokolwiek go zauważy.

– Naprawdę? – z namiotu dobiegł głos Elli. – Zerznęłaś tego małego brudasza?

– Żeby tylko to! – odparła Stela. – Rozprawiczyłam drania!

– Coś ty! Naprawdę?

– Ba! – Stela parsknęła śmiechem. – Nie miał pojęcia, co się dzieje!

Briar poczuł, jak zalewa go gorący rumieniec. Śmiech dziewczyny, jakże piękny zaledwie chwilę temu, teraz dopiekł mu do żywego.

– Czyli było kiepsko – stwierdziła Ella.

– Tego nie powiedziałam – odparła Stela, a Briar nadstawił ucha. – Mały śmierzuch nadrobił entuzjazmem. Za pierwszym razem spuścił się niemal od razu, ale mnie też niewiele brakowało, ale potem dopiero się działo. Rżnięcie, że hej, mówię ci.

Briar uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Czy wszyscy Krasjanie mają małe fiutki? – spytała naraz Stela.

Satysfakcja chłopaka wyparowała w okamgnieniu.

– Ja do tej pory jakoś nie narzekałam – odparła Ella. – No, Rębaczom dorównać nie mogą, ale do małych nie należą.

– Briar jest pół-Laktończykiem – powiedziała Stela. – Może to jest przyczyną?

– Mały, to znaczy jaki? – spytała Ella.

Stela przypuszczalnie oddała długość palcami, gdyż jej śmiech długo jeszcze towarzyszył uciekającemu z obozu Briarowi.



Chłopak zabrał kilka rzeczy ze swojej kryjówki i powrócił do jamy wykopanej pod korzeniami złotodrzewa, daleko od terytorium łowieckiego Naznaczonych Dzieci. Nie miał pojęcia, co czuje do Steli, ale postanowił, że już nigdy nie

będzie spać w pobliżu Watahy.

W jego głowie nadal panował chaos, gdy przybył do twierdzy pani Leeshy. Teren patrolowała straż, ale nikt z wartowników nie ujrzał Briara, który wspiał się po murze, przebiegł przez dziedziniec, a potem ruszył w górę po zacienionej ścianie rezydencji. Nie było to łatwe – obandażowane dłonie co rusz się ześlizgiwały, a ból przypominał chłopakowi o tym, co przeszedł tego dnia. Nie miał wątpliwości, że zwykła misja zwiadowcza całkiem odmieniła jego życie.

Przebiegł po dachu, pochylony nisko, by nikt go nie zauważył, aż znalazł się tuż nad pokojem pani Leeshy. Opuścił się na parapet, a potem ostrożnie zerknął do sąsiedniego okna, za którym widać było dwie czuwające przed drzwiami wartowniczkami. Wtedy wrócił pod okno Leeshy.

Leesha siedziała na kanapie z Olive w ramionach, odwrócona plecami. Chłopak nie widział ani nie słyszał, by prócz niej w pokoju był ktoś jeszcze. Uniósł rękę, by zapukać w szybę.

– Wskakuj, Briar! – odezwała się Leesha, zanim stuknął choć raz. – I szybko zamknij okno. Zimno jak w sercu demona.

Briar wsunął cienki drucik między szyby i otworzył zamek, a wtedy owionęło go ciepło huczącego w kominku ognia. Wślizgnął się do środka. Zimno, podobnie jak wiele innych rzeczy, rzadko mu przeszkadzało. Bez trudu przystosował się więc do ciepła panującego w komnacie. Stąpał ostrożnie, by nie zostawić brudu na pokrytej runami podłodze.

Pani Leesha miała rozwiązaną górę sukni, a trzymane przez nią niemowlę ssało pierś. Jeszcze wczoraj Briar nic by sobie z tego nie robił, ale teraz niespodziewanie poczuł, jak na jego twarz wypływa gorący rumieniec. Opuścił wzrok.

– Nie musisz się odwracać – powiedziała Leesha. – Czego tu się wstydzisz? Wszak to powód, dla którego Stwórca obdarował kobietę piersiami. Ludzie będą musieli się przyzwyczaić do tego widoku.

Wskazała nakryty stół.

– Nalej sobie herbaty i zjedz coś.

Na widok kanapek Briar poczuł, jak ślinka napływa mu do ust. Nie były to delikatne kanapeczki z pieczywa pozbawionego skórek, jakie serwowała księżna Araine, ale grube pajdy razowego chleba z grubymi plastrami mięsa. Wybrał sobie jedną i wgryzł się w nią z lubością, a drugą ręką wsypał garść suchych liści lubczyku do filiżanki i zalał gorącą wodą.

Następnie odwrócił się i nieufnie przyjrzał pustej kanapie stojącej naprzeciwko pani Leeshy. Niedawno się wykapał, ale nadal czuł się zbyt brudny, by siadać na tak wspaniałej tkaninie.

– Usiądź, Briar – powiedziała Leesha. – Elissa opowiadała mi o tym, jak to w Klasztorze Nowego Świtu nie chcieli, żebyś im wybrudził meble, ale tu jesteś moim gościem.

Briar usiadł sztywno, trzymając nogi ciasno przy sobie, by zająć jak najmniej miejsca. Pochylił się, żując kanapkę. Herbata stygła.

Leesha odkaslnęła.

– Chociaż nie oznacza to, że możesz jeść bez serwetki.

Briar błyskawicznie zerwał serwetkę ze stołu i rozłożył sobie na kolanach.

– Co ci się stało? Pokaż mi ręce! – zawołała Leesha i podniosła się nieco, przerywając karmienie, aż Olive zaczęła kaprysić.

Briar uniósł dłonie.

– Wszystko w porządku. Zadrapania, nic poważnego. Już umyte i opatrzone.

Chciał jej opowiedzieć o tatużach, ale nieoczekiwanie uświadomił sobie, że woli skłamać. Sam na razie nie wiedział, co one oznaczają i jak je należy odebrać, i chciał najpierw wszystko przemyśleć, a potem dzielić się sekretem z innymi.

Leesha jednak nie poddawała się. Znowu podała córce pierś.

– Nie należysz do niezguł, Briar. Co się stało?

– Natrafiłem na Stelę Rębacz. Walczyła z otchłaniakiem, to się wmieszałem – odparł Briar, pomijając szczegóły. – Zabrała mnie do obozu.

– Stela Rębacz polowała samotnie? – zdziwiła się Leesha. – Życie jej zbrzydło? Chce, żeby ją noc pochłonęła?

– Nic jej nie grozi – odparł Briar. – Jest silna. Przewodzi Dzieciom.

– Stela? – Leesha otworzyła szeroko oczy. – Przecież ona ma osiemnaście lat i jest tak drobna, że ledwie podmuch wiatru ją porywa!

– Ale wszyscy się jej boją. Jej i innych Runoskórych – rzekł Briar. – Udają, że jest inaczej, ale ja i tak to widzę.

– Dlaczego się jej boją?

Briar wzruszył ramionami. Zachowanie Steli po dotarciu do obozu zmieniło się diametralnie. Zarówno ona, jak i reszta Naznaczonych Dzieci nadal byli dla niego zagadką.

– Ile ich tam jest?

– Przynajmniej setka. Runoskóre, Gnaciarze, Ssawki, *Sharum* i Rodzeństwo. Nazywają się Watahą.

Olive zasnęła. Leesha delikatnie uwolniła pierś i wstała, by oprzeć niemowlę o ramię. Małeństwo beknęło z zadowoleniem przez sen, a Leesha przysunęła się do kołyski i ostrożnie odłożyła córeczkę. Wróciła chwilę później, już z zawiązaną górą sukni, i usiadła naprzeciwko chłopaka. Jej oczy koloru nieba przeszyły go na wylot.

– Opowiedz mi o wszystkim.



Niebo już ciemniało, gdy Briar wrócił do obozu Naznaczonych Dzieci. Opowiedział Leeshy wszystko, czego się o nich dowiedział, ale zataił niektóre szczegóły. To była jego prywatna sprawa.

Członkowie Watahy krzętałi się i przygotowywali do nadchodzącej nocy. Reperowali i składali sieci runicznych płytek, ostrzyli broń i malowali runy na ciele. Młoda Krasjanka Shalivah pokazywała techniki *sharusahk* sporej grupie adeptów, w której znaleźli się członkowie wszystkich frakcji Watahy. Dziewczyna przypominała węża i zmieniała pozycje z niewysłowioną gracją. Briar podszedł bliżej i wpatrywał się w nią z oszołomieniem.

– Everam pobłogosławił moją córkę – odezwała się Jarit, która stanęła za plecami Briara. – Przyglądała się Kavalowi, który uczył jej braci, i potajemnie go naśladowała. Raz ją na tym przyłapał. Natychmiast stracił cierpliwość i uderzył ją mocno. „Jeśli ośmielasz się naśladować święte ruchy, nie waz się ich kalać! Wykonuj je idealnie albo nie rób tego wcale!”, nakrzyczał na nią. „Co zrobisz, gdy obcy mężczyzna położy na tobie swoje łapy? Przyniesiesz hańbę rodowi czy złamiesz mu rękę?”

Jarit urwała i uśmiechnęła się.

– Mój czcigodny mąż kazał jej powtarzać każdy ruch setki razy i ciągle wysyłał do sprząwania sali treningowej – dodała.

– Wystarczy przejść pięćdziesiąt mil w dowolnym kierunku, żeby natknąć się na *Sharak Suun* – rzekł Briar, posługując się krasjańskim terminem na Wojnę w Blasku Dnia, podbój ludzkości, który wedle Evejah był niezbędnym, by zwyciężyć w *Sharak Ka*. – Po której stronie staniesz, gdy

wojna wciągnie i was?

– Wataha nie weźmie udziału w *Sharak Suun* – odparła Jarit. – Syn Jepha objawił nam, że rozlewanie czerwonej krwi nie przynosi nikomu honoru.

– Prawda, prawda – odezwała się Stela, która podeszła bliżej i klepnęła Briara w plecy. – Już zaczynałam się o ciebie martwić. Gdzie byłeś?

– Lubię samotność – odparł Briar.

– Jasne, kapuję – rzekła dziewczyna. – Ale już się zmierzcha. Pora na plac inicjacji.

Briar spojrział na Stelę z zaciekawieniem i podążył za nią do części obozu zamieszkałej przez grupę zwaną Runoskórymi. Liczyła nieco ponad dwudziestu członków, niemalże całkiem nagich i pokrytych runami, głównie drobnych dziewcząt o spojrzeniu drapieżnika.

Obok nich stał brat Franq, odziany jedynie w brązowe bido. Mimo że jego muskularne ciało pokrywały dziesiątki tatuaży, nie rozstawał się ze swoją laską.

Ruszyli w noc i wbiegli na wysoką skarpe, którą chroniły rozstawione dokoła runiczne słupy.

– Zaczekaj tu! – przykazała Stela Briarowi i nie czekając na jego odpowiedź, krzyknęła głośno, machnęła chwytnikiem na *alagai* i pomknęła za innymi w las.

Między drzewami wnet rozbłysły runy i chłopak usłyszał odgłosy bitwy. Miał ogromną ochotę skoczyć na pomoc walczącym lub rzucić się do ucieczki, ale poskromił ochotę i czekał cierpliwie. Zauważył tylko, że w miarę upływu czasu błyski i ryki demonów zaczęły się przybliżać.

Wkrótce Runoskóre wyłoniły się z lasu. Na ich czele kroczyli Stela i Franq, którzy prowadzili szamoczącego się drzewnego demona. Na karku potwora zaciskała się pętla chwytnika na *alagai* i co chwila uderzała w niego krzywa laska Franqa, przez co otchłaniec pochylał się nisko, niemal pełzając. Inne Runoskóre drwiły z bestii, kopały

i przewracały, a Stela uparcie wlokła ją do runicznego kręgu, gdzie czekał Briar.

Domyślił się już, na czym miała polegać jego „inicjacja”. Zaczął zdejmować bandaż z dłoni, a Runoskóre uformowały wokół niego krąg. Gojąca się skóra nadal nieco bolała, ale oba runy były wyraźne.

Zawlókłszy demona na szczyt wzniesienia, Stela spojrzała na Briara i oznajmiła:

– Inicjacja dobiegnie końca, gdy otchłaniec zginie.

Chłopak skinął głową, a wówczas dziewczyna rozluźniła pętlę chwytała, a Franq cofnął laskę i wyrysował run nad Briarem.

– Niech cię Wybawiciel prowadzi, Briarze Damaj!

Potem oboje zrównali się z kręgiem widzów.

Drzewny demon otrząsnął się z rykiem. Wciągał ogromne hausty powietrza i drapał się po gardle. Nie był poważnie ranny i było jasne, że dzięki swej magii za moment powróci do szczytu możliwości bojowych.

Briar nie miał zamiaru mu na to pozwolić. Doskoczył do demona i uderzył go otwartą dłonią w kolano. Run uderzenia rozjarzył się, otchłaniec padł z wrzaskiem na ziemię, a chłopak poczuł strumień ożywczej mocy, która wniknęła w jego ciało. Spojrzał na potwora i strzyknął mu w pysk sokiem z lubczyku, oślepiając go na moment. Runoskóre wiwatowały.

Briar cofnął się, a otchłaniak zerwał się na równe nogi. Mierzył ponad sześć stóp, a jego łapy były tak długie, iż mógłby wlec pazurami po ziemi. Wciąż oślepiony, nasłuchiwał uważnie, by zlokalizować Briara po dźwiękach, ale uniemożliwiły mu to wrzaski Watahy. Wówczas postanowił go wywęszyć – wciągnął mocno powietrze i kichnął, gdy poczuł woń lubczyku.

Podobnie jak ludzie, demony zaciskały powieki i garbiły się podczas kichania. Briar wykorzystał ten moment,

przypadł do otchłaniaka i lewą ręką złapał go za ramię. Run nacisku zadymił w kontakcie ze skórą i nappełnił ciało chłopaka nową siłą, a on sam, nie tracąc czasu, drugą ręką zgruchotał demonowi nadgarstek.

Otchłaniak zawył i jeszcze spróbował pochwycić Briara pazurami, ale chłopak wyslizgnął się spoza zasięgu i zaczął go okrążyć. Doświadczenie podpowiadało mu, że nie ma sensu się spieszyć. Z każdym uderzeniem stawał się coraz silniejszy i zadawał obrażenia szybciej, niż demon mógł je zaleczyć, tym bardziej że Briar pozbawiał go magii. Tylko dzięki ostrożności zdołał przetrwać tyle lat pod gołym niebem od szóstego roku życia.

Uderzył demona w kark, a ten stracił równowagę. Zatoczył się i zamachnął zdrowym ramieniem. Briar nachylił się, a potem wystrzelił naprzód i smagnął otchłaniaka otwartą dłonią w pysk.

Instynkt podpowiadał mu, by znów się cofnąć, lecz demon poruszał się już wolniej. Z każdą chwilą był coraz bardziej bezbronny. Zataczał się, a Briar napierał, zadając cios za ciosem. Zapomniał już o ostrożności. Zapomniał o obronie. Chciał zabijać.

Nie zauważył, kiedy drzewniak zamachnął się ogromnym, sękatym ramieniem i rąbnął go w pierś. Chrupnęły pękające żebra, a chłopak wyleciał w powietrze i wylądował z łoskotem nieco dalej. Wiwatujący tłum umilkł w jednej chwili.

Briar odkaszlnął krwią, potrząsnął głową, przetoczył się i podniósł. Magia już leczyła jego rany, ale świat zawirował, gdy spróbował zrobić choć krok. Tymczasem demon odzyskał siłę i skoczył na Briara.

Runoskóre wykrzykiwały słowa zachęty. Głos Steli przebijał się przez wrzawę, ale żadne nie zrobiło nic, by mu pomóc. Wszak była to część inicjacji. Nowy członek Watahy musiał zabić otchłaniaka albo paść z jego ręki.

Ramiona drzewnego demona były długie i mocne, ale poruszały się powoli. Briar, wciąż zbyt oszołomiony, by kontynuować walkę, padł na ziemię. Pazury śmignęły nad jego głową.

Chłopak leżał i czekał, aż magia krążąca w jego krwi wykona swoje zadanie. Świat wreszcie przestał wirować. Rozpędzony potwór zatrzymał się dalej. Spod pazurów drących ziemię strzeliły kawałki darni.

Zaryczał i znów rzucił się do ataku. Briar odczył się z linii natarcia w ostatniej chwili i wrzucił skórzany woreczek w rozdziawioną paszczę bestii. Demon kłapnął zębami, a wtedy jego paszczę i nozdrza wypełniły kłęby sproszkowanego lubczyku.

Zaczął się krztusić, parskać i wymiotować, a Briar powoli podniósł się na nogi. Przyglądał się otchłaniakowi przez moment, a potem ujrzał swoją szansę i wskoczył po sękatym kolanie demona na jego grzbiet. Nogami oplótł zdrowe ramię potwora, a lewą ręką złapał go za gardziel. Run nacisku zapłonął w kontakcie ze skórą, a uścisk Briara z każdym oddechem stawał się potężniejszy, aż chłopak mógłby wyginać stal. Szyję bestii chroniły potężne mięśnie i ścięgna, ale wszak były tylko ciałem.

Wówczas Briar przycisnął prawą rękę do karku demona. Run uderzenia rozjarzył się, obie dłonie zaczęły się do siebie przybliżać, miażdżąc gardziel otchłaniaka. Ten miotał się dziko, z rozpaczą po całej arenie, co rusz zbliżając się do widzów, ale ci nie przestawali wiwatować. Rozbłyskiwały runy, gdy odpychali bestię ku centrum placu.

Demon usiłował dosięgnąć Briara drugim ramieniem, ale złamany nadgarstek nie pozwalał mu chlasnąć człowieka jak należy. Tłukł go więc bezradnie, a Briar cierpliwie znosił ciosy i nie puszczał. Im więcej zasysał energii, tym czuł się silniejszy.

W końcu drzewniak rzucił się na ziemię i przetoczył, by pozbyć się agresora. Uderzenie wybiło Briarowi dech z piersi, ale chłopak wyczuł narastającą desperację potwora i zacisnął dłonie mocniej. Runoskóre milkły jedno po drugim i wstrzymały oddech. Czekały w napięciu, aż kark otchłaniaka pękł z wyraźnym trzaskiem.

Wówczas eksplodowały wiwaty. Wszyscy widzowie rzucili się ku Briarowi, który dźwignął truchło demona nad głowę i odrzucił je od siebie. Chwilę później dziesiątki ramion wyniosły go w górę i podrzuciły ku niebu.

– Runoskóry! – niosło się wołanie, kiedy Briar podlatywał. – Runoskóry! Runoskóry!

Briar nigdy w życiu nie czuł takiej radości z tego, że żyje.

Jedna z dziewcząt wyciągnęła fujarkę i zagrała wesołą melodię, cała grupa puściła się w tan. Briar, który miał już dosyć podrzucania, ześlizgnął się na ziemię, a wtedy ujrzał przed sobą Stelę z Gospody.

– Wiedziałam, że dasz sobie radę! – Ucałowała go mocno. Jej usta wciąż mrowiły od magii. – Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś rozprawił się z demonem tak szybko, a przecież nie wybrałam ci małego! – Mrugnęła do niego i dodała: – Chciałam, żebyś się popisał.

Briar wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Stał w miejscu i uśmiechał się do Steli głupkowato.

Wówczas dziewczyna wyciągnęła nóż, podrzuciła i złapała za ostrze.

– To jeszcze nie koniec – powiedziała i podała chłopakowi broń rękojeścią do przodu. – Musisz mu jeszcze wyciąć czarne serce.

Briar przez moment wpatrywał się w Stelę, nie do końca rozumiejąc, co właśnie usłyszał, ale otrząsnął się i ujął nóż. Podszedł do demona, chwycił krawędź jednej z płyt składających się na pancerz bestii i wsunął pod nią nóż.

Runy cięcia zajaśniały, gdy chłopak szarpnął za płytę, jednocześnie tnąc i drąc pancerz, by dostać się do serca.

Czarna jucha zalała runy na dłoniach, a te rozgorzały, wsysając magię i czyniąc Briara na powrót silnym. Upuścił nóż, złapał za sąsiednią płytę i oderwał ją gołymi rękami. Zmiażdżył klatkę piersiową bestii runem nacisku, a potem grzmotnął w nią runem uderzenia, gruchocząc kości.

Następnie wbił dłonie w tkanę i po chwili wyrwał serce. Uniósł je wysoko, a Runoskóre zawyły z ekstazą. Naraz pojawiła się wielka beczka piwa oraz liczne kufle.

– A pomyśleć, że mój wujek Keet w ogóle nie wierzył w naszego Błotka! – zagrzmiała Stela. – Sądził, że Briar Damaj nie nadaje się do Watahy!

W odpowiedzi rozległy się triumfalne wrzaski. Stela oparła dłonie na biodrach.

– Co mówią Runoskóre?

– Wataha! – huknęli członkowie grupy, unosząc pięści ku gwiazdom. – Wataha! Wataha!

Stela podeszła do Briara i położyła dłonie na sercu demona. Gdy je podniosła, były czarne od juchy.

– Wataha – oznajmiła i wytarła je o swoje piersi. Jęknęła z rozkoszy, gdy jej runy rozpromieniły się, absorbując moc.

– Wybawiciel żyje w tobie i jest silny! – zgodził się Franq, który jako drugi dotknął serca i podobnie jak Stela rozsmarował sobie krew na tatużach. Zadrzał, gdy zajaśniały, a potem odwrócił się ku Briarowi i wyciągnął czarny palec, by nakreślić run na jego czole. – Wataha – rzekł.

Runoskóre kolejno podchodziły do niego, dotykały serca i rozprowadzały juchę po swoich runach.

– Wataha! – szeptały.

– Pora na kolejną atrakcję – oznajmiła Stela. Ścisnęła serce nieco mocniej i wtarła wyciekającą juchę w runy na ramionach, jakby była to maść.

– Co, masz ochotę na gryza? – zawyła Ella Rębacz.
– Myślisz, że tego nie zrobię? – spytała Stela.
– Słyszaliście, Runoskóre? – wrzasnęła Ella. – Stela chce odgryźć kawałek demoniego serca!
– Śmiało! – krzyknął ktoś z tłumu.
– Gdzie tam, nie odgryzie! – zawołała jakaś dziewczyna.
– Trzeba mieć niezłe jaja, żeby to zrobić!
– Na pewno się porzygasz! – zaśmiał się jakiś wysoki, chudy młodzieniec.
– Zielarki mówią, że jucha to trucizna – dobiegł skądś głos.

Stela spojrzała na Franqę, ale ten nawet nie próbował jej powstrzymać. Zamiast tego wpatrywał się intensywnie to w Stelę, to w serce. W jego wzroku pojawił się głód.

– Gryź! – skandował tłum. – Gryź! Gryź! Gryź!

Stela uśmiechnęła się dziko, zacisnęła zęby na kawałku mięsa i oderwała go z pasją. Z jej ust pociekła czarna jucha, gdy zaczęła żuć. W oczach pojawił się szalony błysk. W pewnym momencie pochwyciły ją torsje, ale zdołała przełknąć kąsek.

– Wiecie, co to za smak? – krzyknęła. – Jakby mi otchłaniec nasrał do gęby!

Wszędzie rozległy się śmiechy. Stela odwróciła się ku Briarowi i wręczyła mu serce. Chłopak zawahał się, a wtedy przywódczyni Runoskórych złapała go za poły koszuli i przyciągnęła do siebie, po czym wycisnęła mu wilgotny pocałunek na ustach.

Jucha była lepka i smakowała paskudnie, mimo to Briar natychmiast poczuł jej moc. Wezbrała w nim zółć, ale opanował torsje. Moc krwi demona wnikała w jego ciało.

W końcu Stela go puściła, a wtedy Briar ujrzał, że idzie ku nim Franq. Spodziewał się, że potępi ich za bluźnierstwo, ale brat pochwycił Stelę za ramiona i pocałował, smakując juchę na jej ustach. Briar oczekiwał,

że dziewczyna go odtrąci, ale Steli, odurzonej magią, pocałunek najwyraźniej sprawiał mnóstwo satysfakcji.

Wtem Stela znikła Briarowi z oczu, gdyż zewsząd opadły ich inne Runoskóre, chętne, by wpić zęby w serce. To wkrótce zostało rozszarpane na strzępy. Członkowie Watahy śmiali się i wymiotowali, czarni na twarzach od demoniej krwi. Ci, którym wciąż było mało, przypadli do truchła otchłańca, by wyszarpnąć z niego strzępy mięsa.

Tymczasem kolejne Runoskóre zaczęły się całować, rozcierając na sobie nawzajem krew demona. Briar dostrzegł Ellę i chudego młodzieńca, którzy wspólnie podnieśli się znad trupa, oboje wysmarowani juchą. Ella zaśmiała się do Briara i pomachała mu najmniejszym palcem, a mężczyzna pchnął ją na ziemię i przypadł do niej.

Chłopak odwrócił się, czując palący rumieniec na twarzy, lecz wnet przekonał się, że wszystkimi świadkami jego inicjacji zawładnęło szaleństwo. Runoskóre zrywały swoje skąpe odzienie, runy jaśniały w mroku nocy.

Stela gdzieś znikła. Briar przeciskał się wśród rozhasanych, zdziczałych członków Watahy i szukał jej wszędzie. Magia przyćmiewała mu zmysły i czyniła scenerię jeszcze bardziej odrealnioną. Nie widząc nigdzie Steli, ruszył w dół zbrocza do lasu.

Wówczas usłyszał jej sapanie i przyspieszył kroku. Wypadł zza drzew i zobaczył nagą Stelę na czworakach, warcząca niczym zwierzę. Za nią klęczał brat Franq, który rzucił bido i odsłonił męskość trzykrotnie większą od Briarowej. Na oczach chłopaka złapał Stelę za uda i zaczął w nią wchodzić.

Briar zacisnął pięści. Instynkt wył, kazał mu skoczyć na Franqą, zabić go, rozpruć ciało i wyżreć serce, ale wówczas Stela uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Nie krępuj się, Briar! – krzyknęła. – Chodź do nas! Ciebie też gdzieś wepchnę!

Przerazony Briar zamarł. Na samą myśl o tym, że miałby się do nich przyłączyć, poczuł rosnącą grozę. Nie miał najmniejszego zamiaru kłać cudownego wspomnienia, które zostało mu po zeszłej nocy, ale choć czuł obrzydzenie, jego męskość zaczęła zdradziecko twarzenie. Pokręcił gwałtownie głową, odwrócił się i umknął w las.

– Briar, zaczekaj! – zawołała Stela. Franq zaryczał, gdy straciła go z siebie.

Briar przyspieszył, słysząc kroki za sobą. Kluczył między drzewami i choć ryki wściekłego Franqa szybko ucichły, Stela nie zamierzała się poddawać, wciąż za nim biegła.

– Na Otchłań, Briar! – krzyknęła. – Zatrzymasz się w końcu? Porozmawiasz ze mną czy nie?

Chłopak dalej pędził przed siebie, bez pomysłu, co należy począć. Znalazł się na nieznanym sobie terytorium, a jego myśli wciąż śmigwały chaotycznie. Stela zaczęła go doganiać, aż wreszcie złapała za rękę.

– Co w ciebie wstąpiło, na mrok nocy?

Briar odwrócił się ku niej z wściekłością.

– Ty... ty z nim...

– No i co z tego? – Stela skrzyżowała ramiona na piersi. – Nie stanowią twojej własności, Briarze Damaj, tylko dlatego, że mi wsadziłeś!

– Nic takiego nie powiedziałem! Przecież wiem, że potrzeba ci czegoś więcej niż małego śmierdziucha z krótkim fiutkiem.

Wyraz twarzy Steli złagodniał.

– Słyszałeś moją rozmowę z Ellą, co? Na noc, przykro mi, Briar. Nie chciałam, żeby to okrutnie zabrzmiało.

– A niby jak miało zabrzmieć? – Briar parsknął śmiechem.

– To tylko dziewczęce gadanie – rzekła Stela i znów obdarzyła go krzywym uśmiechem. – I nie oznacza to, że

nie doczekasz się wkrótce swojej kolejki.

– Że co? – Briar cofnął się i potknął, gdy Stela podeszła bliżej.

– Lubię cię, Briar – powiedziała. – Nie okłamałam cię. Naprawdę czułam się bezpiecznie, mając cię przy sobie.

Briar natrafił plecami na pień drzewa, a Stela nadal napierała na niego, strojna jedynie w tatuaże i zaschniętą juchę. Serce waliło mu jak młotem. Dziewczyna wsunęła dłoń między nogi Briara i ścisnęła jego męskość.

– No i nieźle ześ mi wygodził, gdy było po walce. Może i masz małego fiutka, ale nie wypuszczę mężczyzny, który potrafi najpierw skopać demonowi dupsko, a potem przerznąć mnie jak należy.

Znów go pocałowała. Jej oddech był gorący od magii i wciąż śmierdział juchą otchłaniaka. Stela uniosła wolną dłoń, złapała chłopaka za podbródek i zmusiła, by spojrzał jej w oczy.

– W Watasze nikt do nikogo nie należy. Będę się rżnęła, z kim chcę i kiedy chcę, a ty powinienesz brać ze mnie przykład. Ella może sobie żartuje, ale bądź pewien, że jest ciebie ciekawa po tym, co jej powiedziałam.

Rozwiązała spodnie Briara i uwolniła członek. Świat wokół chłopaka wydawał się wirować, ale ta jedna jedyna część jego ciała była sztywna i nieruchoma, a do tego gotowa eksplodować.

– Ale nie dziś – powiedziała Stela i wzięła go do ręki.

Briar zacisnął powieki i zęby, by nie krzyknąć.

– Dziś jest nasza noc, Runoskóry. Pora, żebym uszczknęła coś dla siebie, a potem możesz zrobić ze mną, co chcesz.

Przycisnęła go do drzewa i dosiadła na stojąco, bez pardonu, a potem sięgnęła dłonią między nogi, by popieścić jądra. Briar zawył, a Stela krzyknęła z rozkoszy, unosząc się i opadając. Owładnięci pożądaniem, wpijali się w siebie

i drapali po plecach w coraz szybszym tempie.

Gdy było już po wszystkim, Stela ześlizgnęła się z Briara i zrobiła kilka chwiejnych kroków, a potem obróciła się i opadła na czworaki. Przechyliła głowę i spojrzała chłopakowi w oczy z dzikim uśmiechem.

– Tego właśnie chciał Franq. Nie zaznał tego szczęścia, a więc do dzieła.

Jej słowa trąciły w Briarze pierwotną strunę i obudziły bezbrzeżną satysfakcję. Wszak odepchnął rywala i przejął to, co należało do niego. Bo niby dlaczego nie? Dominacja była elementem naturalnego porządku świata. Wilki o nią walczyły, otchłaniaki również!

Zaraz, a więc mam się stać taki jak oni? – pomyślał.

Spojrzał na Stelę, pokrytą schnącą krwią, wabiącą go, i poczuł narastający sprzeciw. Czy takiego życia pragnął?

Pokręcił głową i podciągnął spodnie.

– Nie.

– Nie? – Stela spojrzała na niego ze złością. – Co ci odbiło, na Otchłań? Jakże znowu nie?

Briar zawiązał tasiemki.

– Zeszłej nocy w krzakowisku myślałem, że...

– Że co, Błotko? – parsknęła Stela. Zerwała się na równe nogi. – Że jesteśmy jedną duszą, którą Stwórca rozdarł na dwie połowy?

– Że zrozumiałaś – rzekł Briar.

– Zabiliśmy dwa demony, a potem się różniliśmy – stwierdziła Stela. – Co tu rozumieć?

– Świat jest o wiele większy – powiedział Briar. – Ludzie żyjący z dala od Zagajnika walczą o życie, a Wataha...

– A Wataha zabija demony, które na nich żerują! – warknęła Stela, ale Briar pokręcił głową.

– Wataha sama na nich żeruje. Kradniecie jedzenie i piwo, nawet swoim bliskim. Nie zależy wam na tym, żeby ich chronić, gdy nadchodzi noc. Wy po prostu chcecie...

Wskazał ją gestem. Stela oparła dłonie na biodrach.

– No, Błotko? Czego chcemy?

W jej oczach błysnęło ostrzeżenie, ale Briar nie miał już zamiaru niczym się przejmować. Skoro zaczął mówić, należało skończyć.

– Chcecie się gzić i taplać we krwi – powiedział. – I posłać do Otchłani każdego, kto nie należy do Watahy.

Stela rzuciła się na niego. Magia zwiększyła szybkość dziewczyny, ale Briar również posmakował mocy. Zrobił błyskawiczny unik i cios wymierzony w jego twarz chybił.

– I co? – warknęła Stela. – Po prostu od nas odejdiesz, co? Nikt nie ma prawa porzucić Steli Rębacz, a zwłaszcza taki mały śmierdziuch z krótkim fiutem jak ty!

Znów się zamachnęła, a Briar odbił jej ramię prawą ręką. Run uderzenia pojaśniał gwałtownie i pchnął dziewczynę na ziemię.

Briar nie mógł uwierzyć w to, co właśnie ujrzał. Stela nie była demonem, ale teraz, gdy pokrywała ją jego krew, run zareagował tak, jakby miał do czynienia z otchłańcem. Briar nadal czuł paskudny smak juchy w ustach.

Splunął, odwrócił się i pomknął w noc, wciąż nie mogąc się pozbyć przerażenia.



Briar powrócił do twierdzy pani Leeshy, przekradł się niespostrzeżenie za plecami strażników i wniknął do jej osobistego ogrodu. Gdyby Stela bądź którekolwiek z Naznaczonych Dzieci nadal go szukali, nie przyszłoby im nawet do głowy, by tu zajrzeć.

Zagon z lubczykiem wabił go i kusił, ale Briar nawet nie pomyślał, by ułożyć się na spoczynek. Wręcz przeciwnie,

w jego ciele nadal kotłowała się energia, której nie był w stanie spalić. Krążył więc niespokojnie po ogrodzie, aż poznał wszystkie jego zakamarki. Prowadziły doń trzy wejścia – dwa wielkie i zapraszające, a trzecie niepozorne, ukryte wśród roślinności na ścianie rezydencji.

Nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić, wykopał na przyszłość niewielką norę w grządce lubczyku, a potem ćwiczył *sharusahk*. Musiał czymś się zająć, by jego myśli nie powracały do Steli Rębacz.

Pamiętał, że Leesha lubiła ogrody księżnej Araine i przechadzała się po nich przynajmniej dwa razy dziennie. Postanowił więc na nią zaczekać i nie pomylił się – gdy niebo nadal jaśniało, ukryte drzwi uchyliły się i pani Zakątka wymknęła się do świata ziół. Briar upewnił się, że jest sama, po czym wyszedł z ukrycia.

– One są niebezpieczne – powiedział.

Dłoń Leeshy wystrzeliła ku jednej z licznych kieszeni sukni, ale na szczęście w porę rozpoznała przybysza.

– Na noc, Briar! Jeszcze raz zrobisz coś takiego, a oberwiesz proszkiem oślepiającym!

Briar wskazał dzielący ich dystans.

– Nie da się rzucić proszkiem tak daleko.

Leesha zachnęła się i spytała:

– Nic ci nie jest?

Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Umył się starannie i starł z siebie całą krew demona, ale nadal czuł ją na skórze, a przede wszystkim w ustach. Zadrapania pozostałe po Steli również się zagoiły, lecz skóra w tych miejscach nadal swędziała.

– Kto jest niebezpieczny, Briar? – spytała Leesha.

– Dzieci. One nie walczą po to, żeby las był bezpieczny. One walczą dlatego, że sprawia im to przyjemność. Magia czyni nas niezwykłymi.

– Nas? – Leesha podeszła bliżej i ujęła dłoń chłopaka.

Krzyknęła cicho, gdy ujrzała wytatuowany magiczny symbol. Briar wyrwał rękę.

– Myślałem, że oni są tacy jak ja, ale jest inaczej. Nie mamy nic wspólnego. Nic a nic.

– Briar, co tam się stało?

– Dziś w nocy zjedli serce demona – odparł. – Zachowywali się potem jak pijani. Jak dzikie zwierzęta. A będzie jeszcze gorzej.

Leesha wydawała się całkiem zaskoczona.

– Cóż ze mnie za idiotka – szepnęła do siebie. – Przecież on sam nam to powiedział! Powiedział, że żywił się nimi!

Warknęła cicho i zacisnęła pięści.

– Że co? – spytał skołowany Briar.

– Myślisz, na Otchłań, że Arlen Bales może latać tylko dzięki runicznym tatużom? – spytała Leesha. – Nie, istnieje jeszcze jeden powód. On też jadał to przekłete mięso!

Briar patrzył na nią w oszołomieniu, nie mając pojęcia, jak należy rozumieć jej słowa. Po chwili Leesha doszła do siebie i spojrzała na Briara.

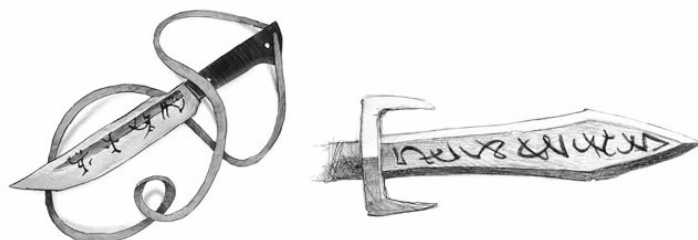
– Zrób coś dla mnie, Briar. Wróc do nich i przekonaj ich, żeby się ze mną spotkali.

Briar pokręcił głową.

– Nie. Nie wracam tam. Ani teraz, ani jutro, ani kiedykolwiek w życiu. Ruszam do domu.

– Do domu? – zdziwiła się Leesha. – Przecież Elissa i Ragen wyruszą na północ dopiero za kilka tygodni.

– Nie na północ – odparł Briar. – Wracam do domu. Do Lakton.



6

Everam to kłamstwo

334 ROK PLAGI

Renna zacisnęła zęby, przyglądając się, jak Shanvah nabiera na łyżkę ciekłą owsiankę i karmi swego ojca. Shanjat przełykał bezrozumnie i patrzył przed siebie, nie dostrzegając niczego. Jego aura nadal skrzyła życiem, ale była pusta i nieruchoma. Nie było w niej żadnych emocji.

Rennie robiło się niedobrze na ten widok. Jeszcze dwa dni temu Shanjat był potężnym mężczyzną w kwiecie wieku i o wiele lepszym wojownikiem od niej, a teraz? Nawet stara mleczna krowa Renny miała więcej woli od niego. Był w stanie iść, jeśli ktoś go prowadził, potrafił ukucnąć w wychodku i podetrzeć się, gdy dostał takie polecenie, umiał nawet samodzielnie się pożywić, jeśli postawiono przed nim miskę. Niemniej gdyby go

pozostawiono samego, stałby i wpatrywał się w pustkę, aż padłby na ziemię.

To, że piętro wyżej Arlen i Jardir toczyli właśnie zacieklą kłótnię, w niczym nie pomagało. Ba, to właśnie było najgorsze ze wszystkiego. Shanvah, zazwyczaj tak spokojna i zdystansowana, nie kryła łez i wzdragała się za każdym razem, gdy rozległo się kolejne wściekłe słowo.

– Nie trać nadziei – rzekła Renna. – Oni znajdą jakiś sposób, żeby sprowadzić do nas twojego ojca.

– Naprawdę? – spytała Shanvah i zebrała łyżeczką kroplę śliny, która ściekła z wargi Shanjata. Ucałowała go w policzek, wstała i odeszła na bok.

Renna podążyła za nią.

– Nie wszyscy dotrważą do końca *Sharak Ka* – powiedziała cicho Krasjanka. – Jeśli w ogóle komuś się to uda. Śmierć od pazurów *alagai* to zaszczyt, ale takie... – Wskazała ojca, który wpatrywał się w pustkę. – Takie półzycie? Co to właściwie jest? *Alagai Ka* uczynił z mojego ojca pustą skorupę i wykorzystał, żeby szeptać słowa pełne zła. Jeśli Wybawiciel nie będzie w stanie go uzdrowić, sama odbiorę mu życie.

Renna z trudem przełknęła ślinę i zamrugła, gdy w jej oczach niespodziewanie pojawiły się łzy. Nie były z Shanvah przyjaciółkami, lecz to nie miało już znaczenia. Krasjanie wierzyli, że wszyscy, którzy przelewali krew w walce pod gwiazdami, stawali się rodziną, i czy tego chciała czy nie, tym właśnie byli.

Shanvah wpatrywała się w Rennę, a w jej oczach kryło się wyzwanie. Czekwała, aż Renna się jej sprzeciwi, ale ta rzekła jedynie:

– Gdy przyjdzie do tego, sama będę łapać twoje łzy.

Shanvah znów wybuchła płaczem i zarzuciła na Rennę ramiona. Ta w pierwszym odruchu chciała się cofnąć, ale opanowała się, objęła Krasjanke i poklepała ją po plecach.

Gdy Shanvah pokonała wreszcie chwilę słabości, odsunęła się od Renny i pociągając nosem, poprawiła zawój, a potem podeszła do umywalki, by się obmyć. Gdy spojrzała w posrebrzane lustro, jej oczy błysnęły ponurą determinacją. Odwróciła się ku Rennie i wyciągnęła niewielki ostry nóż.

– Nie podzielę losu mojego ojca – oznajmiła.

Renna czujnie przyglądała się ostrzu.

– Jeszcze nie wiadomo, czy uda im się go uratować, czy też nie, Shan. Trochę cierpliwości, co?

– To nie dla niego. – Shanvah obróciła nóż w swych zręcznych palcach i skierowała go rękojeścią ku Rennie. – Tu chodzi o mnie. Chcę, żebyś mi wycięła runy umysłu na czole.

Renna pokręciła głową.

– Mogę ci je wymalować...

– Farba płowieje – stwierdziła Shanvah. – A jej zapas może szybko stopnieć, gdy ruszymy w głąb Otchłani. Sama słyszałaś ojca demonów. Ostrzegał, że czeka nas długa droga, a my jesteśmy śmiertelnikami. W pewnym momencie możemy stracić czujność, a on będzie wówczas wolny.

– Może i racja. – Renna zamrugwała. – Mogę ci wytatuować...

– Nie. Ewejah mówi, że nie wolno nam profanować własnych ciał atramentem, którego nie można zetrzeć. Chcę podążać za przykładem, który dał nam Shar'Dama Ka.

Renna dostrzegła w jej aurze siłę i determinację.

– Dobra, w porządku – powiedziała i ułożyła Shanvah na plecach. – Chcesz zacisnąć na czymś zęby?

Shanvah pokręciła głową.

– Ból to jedynie wiatr.



– Nie mamy wyboru – rzekł Par'chin. – Trzeba trzymać się planu.

Jardir spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Ależ oczywiście, że mamy wybór, Par'chin. Zawsze istnieje jakiś wybór. Miałeś wybór w chwili, gdy włamałeś się do Sharik Hora i wskazałeś nam tę ścieżkę, i tak samo jest teraz. Nie pozwól, żeby zaślepiły cię słodkie słowa Alagai Ka. Samo to, że nie próbuje ci wybić z głowy twojego szalonego planu, daje nam sporo do myślenia. On próbuje nas wywieść w pole! Chce, żebyśmy zapomnieli o naszej prawdziwej odpowiedzialności!

– A cóż to niby takiego? – spytał Par'chin.

– Mamy stanąć na czele naszych rodaków w dniu *Sharak Ka*, gdy rozgorzeje walka między Everamem i Nie.

– Na noc! – Arlen wywrócił oczami. – Ciągłe powtarzasz te bzdury? Everam to kłamstwo, Ahmannie. Nie to kłamstwo. Demon sam tak powiedział. To tylko bajki, rozprowadane po to, żeby ludzie przestali bać się ciemności.

Błuznierstwa Par'china nie budziły już zdumienia Jardira, ale zawziętość nadal zaskakiwała.

– Jak możesz wciąż mówić takie rzeczy po tym, co wspólnie ujrzeliśmy, Par'chin? Ile przepowiedni musi się spełnić, zanim obudzi się w tobie wiara?

Par'chin zamknął oczy.

– Mam wizję przyszłości. Sądzę, że jutro... jutro wstanie słońce.

Uśmiechnął się krzywo i otworzył oczy.

– Myślisz, że uda mi się porozmawiać ze Stwórcą, jeśli ta przepowiednia się sprawdzi?

– Nie okazywałeś takiej bezczelności, gdy byłem twoim

ajin'pal – rzekł Jardir. – Nie drwiłeś z tego, czego nie rozumiesz.

– To nie tak – odparł Par'chin. – Ja drwię z historii, które ty wymyślasz, próbując wyjaśnić rzeczy, których obaj nie rozumiemy. Dla tych istot jesteście bydłem, Ahmann, a *Sharak Ka* to tylko zamieszanie w gospodarstwie, zupełnie jakby młody byk spłoszył stado krów. Dodam, że to my jesteście tym bykiem. Do *Sharak Ka* dojdzie bez względu na to, co my pocniemy. Ja ufam swoim ludziom. Wierzę, że stawią opór koszmarom nocy i przetrwają. A ty?

– Moi ludzie toczą wojnę z demonami o wiele dłużej od twoich, Par'chin – przypomniał mu Jardir.

– To niech walczą dalej! – krzyknął Arlen. – Póki oni nadal władają powierzchnią, my mamy szansę, żeby wniknąć w dół.

– W otchłań Nie – rzekł Jardir. – A mimo to odrzucasz boskie nakazy Kajiego umieszczone w *Evejah*...

– *Evejah* to tylko księga – sprzeciwił się Bales. – Wielokrotnie przepisywana księga, w której i tak nigdy nie zawarto całej opowieści.

– A skąd ty ją znasz, Par'chin? – spytał Jardir. – Jak to możliwe, że ty, niewierny, wiesz więcej o Kajim niż jego święty zakon uczonych w piśmie?

– *Dama* to rozpolitykowane grono – rzekł Par'chin. – Mściwe i skorumpowane. To dlatego sam strąciłeś Andraha z tronu. Kapłani manipulują słowami zawartymi w księdze tak, żeby służyły ich potrzebom. Prawdziwa wersja tego, co się wydarzyło, jest wymalowana na ścianach Słońca Anocha. Czy raczej była, zważywszy na spustoszenie, jakiego dopuścili się wasi robotnicy.

Jardir skrzyżował ramiona.

– A zatem zamiast *dama* powinniśmy zaufać księciu kłamstw?

Par'chin wybuchł śmiechem.

– Nie ufam demonom i nie dopuściłbym do siebie żadnego bliżej niż na długość włóczni, ale zajrzałem do umysłu tego, który został wysłany, żeby mnie zabić. Znając obie wersje wydarzeń, łatwo jest odróżnić prawdę od wymysłów.

– A więc co się naprawdę wydarzyło trzy tysiące lat temu? – spytał Jardir. – Jakie wielkie sekrety skryli przed nami *dama*?

– Choćby to, że Kaji zawiódł – odparł Par'chin. – Nie dotarł do końca wędrówki. Nie zabił królowej. Nie bylibyśmy dziś w takiej opresji, gdyby tego dokonał.

– Zdobył dla nas tysiące lat pokoju! – zaprzeczył Jardir. – *Alagai* powróciły, dopiero gdy jego nauki zostały zapomniane. Czy to Kaji nas zawiódł, czy my zawiedliśmy jego?

– A cóż to ma za znaczenie? – Par'chin potarł czoło z frustracją. – Bez względu na to, czy mamy po swojej stronie Stwórcę czy nie, zbliża się wyląg, a my mamy dwie możliwości. Albo poprowadzimy nasze armie przeciwko rojom, które zaczną się pojawiać dosłownie wszędzie na naszych ziemiach, albo spróbujemy to powstrzymać i może, być może! dokonamy tego, co nie udało się Kajiemu!

Jardir się skrzywił.

– Myślisz, że potrafimy kontrolować *Alagai Ka*?

Par'chin wzruszył ramionami.

– Będę musiał znowu z nim pogadać.

– Ale jak? Po tym, jak wytatuowaliśmy na nim runy, *Alagai Ka* nie jest już w stanie dotknąć umysłu *Shanjata*, a bez tego nie będzie już mógł się odezwać.

– Runy uniemożliwiają mu przejęcie kontroli nad człowiekiem z pewnej odległości – wyjaśnił Par'chin – ale będzie mógł wejść do niechronionego runami umysłu, jeśli dojdzie do kontaktu cielesnego.

– Czyli chcesz raz jeszcze oddać mojego *kai* w szpony

Alagai Ka? – spytał Jardir. – Chcesz, żeby stał się kukłą rozpowiadającą jego kłamstwa? Bronią przeciwko nam?

– A masz inny pomysł? – odpowiedział pytaniem Par'chin.

Jardir zmilczał.



Lewa dłoń Renny trzymała twarz Shanvah, a prawa prowadziła ostrze noża po skórze czoła, wycinając w niej szerokie bruzdy. Blizny musiały być widoczne, by uformowany z nich run mógł pobierać i magazynować moc. Magia spływała po ramionach wojowniczkę, aktywując runy cięcia na ostrzu noża, które i tak było ostre jak brzytwa, i przyspieszając proces leczenia. Strupy tworzyły się zaraz po rozcięciu skóry.

Shanvah ani razu nie wzdrygnęła się z bólu, ale w jej aurze widać było lęk.

– Nie masz się czym przejmować – rzekła Renna. – Wiem, co robię. Nadal będziesz piękna, kiedy skończę.

– Noszenie blizn po *alagai'sharak* to wielki zaszczyt – odparła Shanvah.

– To dlaczego jesteś bardziej spięta od krowy prowadzonej na rzeź? – spytała Renna.

Krasjanka zerknęła na schody.

– Zamilkli.

Renna przerwała pracę. Skupiona na wycinaniu runu, nie zwróciła uwagi na to, że wrzaski dobiegające z góry nagle ucichły.

– Myślałam, że nie ma nic gorszego od odgłosów wścieklej kłótni między moim wujem a Par'chinem – rzekła Shanvah.

– Ale przynajmniej wiedziałyśmy, że się nie duszą nawzajem – zgodziła się Renna. – Nie martw się. Gdyby rzeczywiście mieli takie plany, pozabijaliby się już dobrych parę miesięcy temu.

– Nadchodzi *Sharak Ka*, przeto nasza wiara co dzień poddawana jest testom – oznajmiła Shanvah i odprężyła się, a jej aura ostygła.

– I proszę. – Renna wykonała ostatnie nacięcie. Obejrzała run ze wszystkich stron, docinając w kilku miejscach skrawki skóry, po czym odłożyła nóż na bok.

– Jak to wyg... – zaczęła Shanvah, nagle urwała i otworzyła szeroko oczy.

Renna odwróciła się i ujrzała Arlena oraz Jardira, którzy stanęli na schodach.

– Co wy tu wyprawiacie? – spytał ostro Jardir.

Shanvah skrzyżowała nogi, by lepiej się odbić, i wylądowała na klęczkach przed krasjańskim przywódcą. Ułożyła dłonie na drewnianej podłodze i przytknęła do niej czoło.

– Litości, Wybawicielu! Córka Harla na moje życzenie wzmacnia moje ciało runami!

Jardir pochylił się, wsunął palec pod podbródek dziewczyny i uniósł jej twarz ku górze.

– Twoja matka zwykła się szcycić twoją urodą i łatwością, z jaką znajdzie ci męża – rzekł.

– Szybko udałoby się znaleźć męża dla siostrzenicy Wybawiciela, bez względu na to, czy byłaby piękną, czy też nie – odparła Shanvah. – Ale w Otchłani nie będę szukać męża, a piękno jest pozbawione znaczenia. Tam czekają na nas jedynie *alagai* oraz *sharak*.

Jardir pokiwał głową.

– Twoja mądrość dorównuje odwadze, siostrzenico, a twój honor nie ma granic.

Shanvah nie dała tego po sobie poznać, lecz jej aurę

rozjaśniła wielka duma.

– Czy mogę teraz naznaczyć runem mojego ojca?

Jardir pokręcił głową.

– Obawiam się, że będziemy go jeszcze potrzebować. Musimy zadać księciu kłamstw kolejne pytania.

W aurze Shanvah, jeszcze przed momentem jaśniejącej czystym złotem, eksplodowała burza kolorów, które odpowiadały gniewowi, frustracji i upokorzeniu. Ujrzeni to wszyscy obecni, choć jedyną zauważalną reakcją dziewczyny było pochylenie głowy.

– Mów – rozkazał jej Jardir. – Widzę w twoim sercu wątpliwości i nie możemy pozwolić, żeby zaczęły się jątrzyć.

– Czy mój ojciec nie został już wystarczająco pohańbiony? – spytała Shanvah. – Wszak został uwieczniony w pozbawionym woli ciele. Czy musimy pozwalać Alagai Ka, żeby zadawał mu jeszcze większy gwałt? Honor mojego ojca nie ma granic! Błagam cię, Wybawicielu, jeśli nie można go uzdrowić, pozwól mi go wysłać w drogę po samotnej ścieżce.

– Nie każdemu wojownikowi pisane jest błogosławieństwo w postaci szybkiej śmierci od pazurów *alagai*, siostrzenico. Niezliczeni wielcy bohaterowie, tacy jak choćby Mistrz Ćwiczeń Qeran, który szkolił twojego ojca, dochodzili do siebie po odniesieniu ran, które miały ich wykluczyć na zawsze z *alagai'sharak*. Ofiarnie służyli Everamowi i musimy okazywać im szacunek nie mniejszy niż tym, którzy podążają samotną ścieżką.

Shanvah drgnęła.

– Sam powiedziałeś, Wybawicielu, że okaleczeni w bitwie są wykluczeni z *alagai'sharak*. Tymczasem ty sam posyłasz mojego ojca kalekę na pastwę demona.

– Nie ja pierwszy – odparł Jardir. – Setki okaleczonych wojowników na ochotnika wracało do Labiryntu i ginęło w chwale, zsyłając śmierć na demony.

– Nie mam wątpliwości, że twoje słowa są prawdą – naciskała Shanvah – ale mój ojciec na ochotnika się nie zgłosił. Nie mogę uwierzyć w to, że chciałby znów wejść w kontakt z tym... z tym wypaczeniem!

Renna ujrzała narastającą frustrację w aurze Jardira. Najwidoczniej krasjański przywódca nie przywykł do tego, by ktoś z jego poddanych, a zwłaszcza dziewczyna, która nie ukończyła jeszcze osiemnastego roku życia, kwestionował jego rozkazy. Odetchnął jednak, a w jego aurze na nowo zapanował spokój. Arlen próbował kiedyś nauczyć Rennę tej sztuczki, lecz porywczą dziewczyną nigdy jej nie opanowała.

– Przynosisz wielki zaszczyt swojemu rodowi, Shanvah vah Shanjat – odezwał się Jardir. – Ale ja znam twojego ojca lepiej od ciebie. Walczyliśmy razem w kolejce po jedzenie, gdy byliśmy zaledwie *nie'Sharum*, a później razem przelewaliśmy krew w Labiryncie. Jego honor i lojalność nigdy nie obudziły moich wątpliwości, przeto bez namysłu oddałem mu swoją siostrę, a twoją czcigodną matkę na Pierwszą Żonę.

Podkreślił swe słowa, unosząc Włócznie Kajiego, z którą nigdy się nie rozstawał. Widok świętego artefaktu osłabił nieco zdecydowanie Shanvah, co zdradziła jej aura.

– Klnę się więc na Everama, iż Shanjat asu Cavel am'Damaj am'Kaji nie odmówiłby mi, gdybym poprosił go, żeby dla zwycięstwa w *Sharak Ka* stał się głosem zła.

Shanvah znów oparła czoło o podłogę, nie kryjąc łez.

– Wiem, że Shar'Dama Ka się nie myli. Honor mego ojca jest bez skazy i moje wątpliwości przynoszą mu wstyd. Nie będę już kwestionować twoich słów, Wybawicielu, a gdybyś zażyczył sobie również i mojej ofiary, wiedz, że zawsze będę gotowa służyć ci w *Sharak Ka*.

– Nigdy w to nie wątpiłem, siostrzenico – rzekł Jardir.

– Pamiętajmy, że Alagai Ka może pchnąć mego ojca

przeciwko tobie, jak to uczynił wszak zeszłej nocy – ciągnęła Shanvah. – Pozwól mi być przy tym, jak księżę Nowiu znów nim zawładnie. Błagam cię, Shar'Dama Ka! Jeśli mojemu ojcu trzeba będzie odebrać życie, ja powinnam to zrobić.

Uniosła głowę i z zaskoczeniem skonstatowała, że Jardir składa jej ukłon.

– Oczywiście. Nigdy nie spotkałem wojownika, Shanvah vah Shanjat am'Damaj am'Kaji, którego honor byłby czystszy od twojego. Dusza twego ojca śpiewa z dumą. Gdy Shanjat wreszcie opuści swoje ciało i ruszy w drogę po samotnej ścieżce, stapał będzie z radością, wiedząc, że pozostawił po sobie godną spadkobierczynię.

Jego słowa ponownie oczyściły aurę Shanvah, a wzburzone, kotłujące się kolory zalało czyste, białe światło.



Zakuli ręce i nogi Shanjata w kajdany połączone krótkim łańcuchem, który pozwoliłby mu usiąść, ale nie wstać. Par'chin osobiście naniósł runy na łańcuchy, a Jardir widział wyraźnie, jak wielka kryła się w nich moc. Jeśli *kai'Sharum* czuł jakikolwiek dyskomfort z powodu tak ciasnych więzów, nie dał tego po sobie poznać, gdy Jardir poniósł go jak dziecko po schodach ku więzieniu Alagai Ka. Gdyby nie oddychał, można by go wziąć za martwego, gdyż w jego oczach na próżno było szukać życia.

Kiedy weszli do komnaty, demon uniósł głowę i przechylił ją lekko, gdy Jardir przekroczył runiczną barierę. Uzbrojona we włócznię Shanvah śledziła każdy jego krok. Ahmann ułożył Shanjata w samym środku

komnaty, a potem cofnął się poza runy, które więziły demona.

Ten jednak się nie poruszył. Nie zbliżał się do Shanjata, a miast tego przyglądał im się ogromnymi, nieludzkimi oczami. Jardir widział w nich bezkresny mrok Nie i za nic nie mógł odczytać myśli, które się w nich kryły.

Par'chin i jego *jiwah* odsunęli ciężkie zasłony. Zapadła już noc, ale nie było tak ciemno jak podczas Nowiu. Przez szpary w oknach wpadał blask księżyca i Alagai Ka zasyczał, pełznąc w kierunku środka komnaty.

Jardir poczuł dreszcze, gdy potwór owinał się wokół ciała Shanjata. Shanvah zacisnęła dłonie na drzewcu włóczni, a jej aura zdradzała ogromne napięcie. Miała wielką ochotę pchnąć i zabić zarówno demona, jak i swego ojca, ale należała do zaprzysiężonych Everamowi sióstr włóczni, a w jej żyłach płynęła krew samego Jardira. Z wprawą poskromiła ból i wściekłość.

Shanjat uniósł głowę, a w jego oczach znów pojawiło się życie. Odwrócił się ku Shanvah i wydał wargę.

– Niech mnie przeklnie Everam, że cię spłodziłem, żalсна dziewczucho. Co z ciebie za córka? Wszyscy wyszlibyśmy na tym o wiele lepiej, gdyby *tikka* wydała cię za męża, zanim trafiłaś do pałacu *dama'ting*. Żałuję, że nie rozbiłem ci głowy, gdy się okazało, że jesteś zaledwie dziewczyną.

Włócznia Shanvah ani drgnęła, lecz Jardir widział, że słowa kukły burzyły jej aurę.

– Twój brat by mnie ocalił – ciągnął Shanjat. – Albo przynajmniej uczyniłby mi zaszczyt i odebrał życie!

Łzy Shanvah połyskiwały w blasku księżyca, ale nadal panowała nad sobą.

– Nie słuchaj tych trujących słów, siostrzenico! – powiedział Jardir. – Przecież to nie twój ojciec je wygłasza!

– A któż by inny! – oznajmił Shanjat i roześmiał się. Tak

bardzo przypominało to niski rehot przyjaciela Jardira, że ten poczuł bolesne ukłucie w sercu. – To właśnie dodaje całej sprawie smaczku! Ten człowieczek chełpił się przed braćmi, że w łonie jego samicy dojrzewa silny syn, i gdy cię ujrzał – Shanjat zwrócił się do Shanvah – w pierwszej chwili poczuł obrzydzenie. Przyszło mu do głowy, żeby cię zabić i oszczędzić sobie wstydu.

– Zamknij się! – *Jiwah* Par’china podeszła bliżej. – Co prawda potrzebujemy cię żywego, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby odrąbać ci parę rzeczy, których nie będziesz już mógł zregenerować.

Demon przechylił głowę i przyjrzał jej się uważnie.

– A czym okaże się twoje jajeczko? – spytał ustami Shanjata. – Czy twój mąż pozwoli ci ruszyć w głąb Otchłani, gdy się dowie, co w sobie nosisz?

– O czym on gada, Ren? – spytał Par’chin.

– Niech mnie Otchłań pożre, jeśli wiem – odparła Renna.

– Ludzkie metody rozrodcze są tak nieskuteczne. – Shanjat cmoknął. – Pojedyncze jajeczko musi znieść dziesięć niebezpiecznych cykli, zanim wasze młode przyjdzie na świat. Nie bój się jednak. Nie pozwolimy, żeby coś ci się stało przed porodem. Umysł noworodka jest doprawdy smakowitym kąskiem, niczym delikatne jajeczko ptaka.

Renna warknęła i wyciągnęła nóż. Jardir ruszył, by zasłonić demona własnym ciałem, ale Par’chin okazał się szybszy. Rozpłynął się we mgle i zmaterializował na jej drodze.

– On chce nas wyprowadzić z równowagi, Ren! – wykrzyknął. – Chce nas wzburzyć, żeby któreś z nas przekroczyło barierę i dało mu szansę na ucieczkę. Póki runy wytrzymują, musimy go ignorować, bez względu na to, co będzie wygadywał!

Renna ciężko dyszała, z trudem poskramiając furie

tętniącą w jej aurze.

– Par'chin ma rację, siostró – rzekła Shanvah. – Sama mi powiedziałaś, że te książątka kradną nasze myśli, ale wygłaszają jedynie te, które naprawdę nas boją.

Renna wypuściła powietrze z płuc i wbiła w demona złowrogie spojrzenie.

– Mogę się założyć, że smakujesz jak gówno – oznajmiła. – Ale nic ci to nie da. Coś mi mówi, że to ja zeżrę twój mózg.

Jardir wyczytał z jej aury, że nie rzuca słów na wiatr i naprawdę nosi się z takim zamiarem. Wiedział, że demon również zdał sobie z tego sprawę, gdyż naraz przestał ją drażnić.

– Pytajcie – odezwał się głosem Shanjata. – Ten niewolnik będzie mnie niósł i przekazywał moje słowa podczas wędrówki po mrocznej ścieżce.

Par'chin zrobił krok naprzód.

– Gdzie znajdziemy wejście do owej ścieżki?

– Na północny wschód stąd – odparł demon. – W górach, niedaleko miejsca, w którym stoczyłeś z Dziedzicem swój prymitywny pojedynek o dominację.

– A więc na ziemiach, do których żadna ze stron nie rości sobie pretensji – rzekł Jardir. – To dobry początek wyprawy.

– To, że pretensji nie rości sobie nikt z was – oznajmił Shanjat – nie oznacza, że to bezpańskie ziemie.

– A więc do kogo należą?

– Nie interesuje mnie to, jakie podziały stosujecie na powierzchni. Nie znam nazwy tego ludu, ale wiem, że podczas ostatniej wizyty powiększyłem tam zapas świeżych umysłów w mojej spiżarni.

Jardir zacisnął pięść, lecz nie dał się sprowokować.

– Czy ścieżka jest strzeżona?

– Z przejścia o takich rozmiarach buchają ogromne ilości magii, co ściąga wielu niewolników mojego rodzaju, jednak

nie mają oni tak naprawdę pojęcia, czego strzegą.

– Jak długo będziemy szli do miasta demonów po odnalezieniu tej jaskini? – spytał Par'chin.

– Nawet zmiennokształtny potrzebuje długich tygodni – odparł Shanjat. – Ludziom o powolnych, niezdarnych kończynach droga zabierze wiele cykli.

– Jest po drodze jakieś jedzenie? – pytał Par'chin. – Albo czysta woda?

– Otacza was moc, a mimo to nadal nie macie pojęcia, jak z niej korzystać. Energia Otchłani jest w stanie utrzymać was przy życiu bez konieczności jedzenia.

– A więc nie musisz jeść? – spytała Renna. – No to po co ci spiżarnia? Po co urządzasz wypad na powierzchnię?

– A dlaczego wy pijecie napoje ze sfermentowanych owoców i ziaren? – uśmiechnął się Shanjat. – Dlaczego śpiewacie i tańczycie?

Par'chin pokręcił głową.

– Na pewno nie pożywiacie się tylko dla zabawy. Nie można mieć czegoś z niczego. Być może nie musicie jeść często, ale wszyscy potrzebujecie pokarmu, a przede wszystkim wasze królowe.

Demon pokiwał głową.

– Moi bracia potrafią się obyć bez jedzenia, ale żaden z nas nie zrobi tego chętnie. Królowe muszą też jeść podczas wylęgu, no i przede wszystkim musimy karmić nasze młode. Niebawem powierzchnię zaleją roje, a w każdym będzie wiele tysięcy głodnych, niedojrzałych demonów. Wymiotą wasze krainy ze wszystkiego, co żyje.

Renna zacisnęła zęby.

– Chcesz w ten sposób przekazać, że nie potrzebujemy zapasów?

– I tak weźmiemy ze sobą jedzenie – oznajmił Jardir. – Nie ufam słowom *alagai*.

– Dlaczego? – spytał Shanjat. – Czyżbyś od wielu lat nie

był pionkiem, o którego życiu decydują rzuty *hora*, wyciętymi z naszych kości przez wasze kobiety?

Jardir był zaskoczony tym, jak mocno i głęboko uraziły go te słowa.

– One mówią głosem Everama!

Shanjat parsknął śmiechem.

– To przecież zaledwie sztuczka Minstrela! Wydziwianie garstki amateerek nad drobnym fragmentem nieskończonej przyszłości!

– Owo wydziwianie amateerek doprowadziło nas do wielu zwycięstw w walce z wami! – zauważył Jardir.

– Być może – odparł Shanjat. – A może tocząca się gra jest o wiele większa, niż wam się wydaje, i nawet podczas swoich rzekomo wielkich zwycięstw byliście jedynie pionkami?

– Te pionki przyłapały cię z ręką w nocniku – wtrącił Par'chin. – Zamknęły cię w celi, do której w każdej chwili może wpaść słońce, a teraz mogą cię zabić, gdy się im znudzisz. To naprawdę wciąż element twojej gry?

– W każdej rozgrywce istnieje czynnik losowy – odparł Shanjat. – A gra dopiero się zaczęła.

– Na dziś jednak kończymy – rzekł Jardir.

Uniósł Włócznie Kajiego i narysował w powietrzu run, który pchnął w poskręcane mięśnie demona całą moc. Potwór zawył, cofnął się od Shanjata i runął na podłogę. Jardir, Par'chin i Renna ruszyli na niego, a za ich plecami Shanvah przekroczyła barierę, by zabrać ojca.



– Przeklęty otchłaniec nie kłamał. – Arlen klęczał przed brzuchem Renny i dokładnie studiował jej aurę. – Ledwie

widać iskierkę, ale nie gaśnie. Cały czas migocze.

– Jak widać, wyciąganie w porę nie zawsze działa – stwierdziła Renna.

Arlen wstał i spojrzał jej w oczy.

– Jeden Stwórca wie, że nie zawsze się udawało. – Pokręcił głową. – Powinienem być bardziej uważać.

– Dlaczego? – spytała Renna. – Jestem twoją żoną i mam ci rodzić dzieci. Stwórca dobrze wie, że sam temu nie podołasz. Nie mów tylko, że nie chcesz dzieci!

– Oczywiście, że chcę – odparł Arlen. – Nie ma rzeczy na świecie, której pragnąłbym bardziej, ale to niezbyt dobry moment!

– Dopóki po nocy snują się demony, moment nigdy nie będzie dobry – skonstatowała Renna. – I nie oznacza to, że mamy rezygnować z życia!

– Wiem – stwierdził Arlen. – Ale nie możesz zejść do Otchłani z naszym dzieckiem pod sercem.

– Nie mogę? – Renna założyła ramiona na piersi. – Zastanów się dobrze, Arlenie Bales. Czy jakakolwiek rozmowa, którą zacząłeś od „nie możesz”, skończyła się dla ciebie dobrze? Mogę zejść do Otchłani i zrobić to.

– Na noc, Ren! – krzyknął Arlen. – Jak mam niby skupić się na zadaniu, które mnie czeka, skoro przez cały czas będę się martwił o ciebie?

– A to niby tylko ty masz uczucia, co? Będziesz się czuć dokładnie tak jak ja za każdym razem, kiedy mnie zostawiasz, żeby zrobić coś niebezpiecznego.

– Tak, ale teraz będę się martwił o dwie osoby, nie o jedną.

– To tak jak ja! – wycedziła Renna.

Po miesiącach jedzenia mięsa demonów Renna była niemalże tak szybka jak Arlen, a ten zupełnie nie spodziewał się uderzenia. Policzek wymierzony mu przez żonę odbił się echem od kamiennych ścian wieży. Arlen

cofnął się o krok i przyłożył dłoń do policzka. Zaskoczony spojrział na żonę, a ta wycelowała w niego palec.

– To nie ty nosisz to dziecko, Arlenie Bales. Ono stanowi część mnie. Powiedz jeszcze raz, że nie będę o nie dbała najlepiej, jak umiem, a zatęsknisz za tym policzkiem!

– A więc w jaki sposób masz zamiar je chronić, skoro wybieramy się do samego serca miasta demonów? – zapytał Arlen. – Widziałas, do czego jest zdolny jeden z nich. Jakie mamy szanse w środku paskudnego roju?

Renna wzruszyła ramionami.

– A jakie szanse mamy tu, na powierzchni, skoro lada moment w całej Thesie zaczną pojawiać się roje?

– Nie wiemy, czy na pewno do tego dojdzie – zaprzeczył Arlen. – Przecież demon może kłamać! Może próbować namieszać nam w głowach, żebyśmy go wypuścili!

– Arlen, to szaleństwo od początku do końca. Musimy założyć, że demon mówi prawdę. Jeśli uznamy, że kłamie, misja nie ma sensu.

– Dobrze, a więc jak ty sobie wyobrażasz naszą wyprawę? – spytał Arlen. – Mamy zabrać ze sobą Zielarkę czy co?

– Wymów tylko to imię! – Renna obnażyła zęby.

– A czemu mielibyśmy jej nie wziąć? – zakpił Arlen. – Sama jest w ciąży. Mogłybyście założyć żłobek w Otchłani.

– Po co mi Zielarka, skoro mam dwóch Wybawicieli? Założę się, że ciężarne w całej Thesie modlą się do was o bezpieczny poród!

– To nie jest śmieszne, Ren.

– Sam powiedziałeś, że dziecko dopiero co zostało poczęte – rzekła Renna. – Cięża nie będzie mi przeszkadzać jeszcze długo, a do tego czasu na pewno zdołamy zakończyć zadanie. Albo i nie, ale wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

– A jeśli będziesz miała poranne nudności?

– Nie umiem sobie wyobrazić niczego gorszego od jedzenia mięsa demonów. Dam sobie radę. Poza tym potrzebujesz mnie.

– Ja... – zaczął Arlen, jednak Renną nie dała mu dokończyć.

– Jardir chce dobrze, ale ma inny punkt widzenia na świat, a poza tym już raz wrzucił cię do jamy z demonem. Gdy dojdzie do wniosku, że właśnie tego życzy sobie Stwórca, nawet się nie zawaha, żeby znów cię tam wepchnąć.

Arlen wypuścił powietrze z płuc.

– Nie myśl, że o tym zapomniałem.

– Shanjat to już tylko pusta skorupa – ciągnęła Renną. – Nadal oddycha, ale nie odzyska już świadomości, a nawet gdyby tak się stało, za nic bym mu nie zaufała.

– Co racja, to racja – rzekł Arlen.

– Shanvah wspaniale walczy, ale nie umie się zamieniać w mgłę i nie jest tak silna jak reszta z nas – mówiła dalej Renną. – Jeśli zależy ci, żeby doprowadzić swój zamysł do końca, weź mnie ze sobą, bo mnie potrzebujesz. Ba, świat mnie potrzebuje. Póki co proponuję więc przedłożyć sprawę świata nad własne. Dokładnie tego chcieliśmy od Shanvah, nieprawdaż?



Jardir przyglądał się Shanvah ze zdumieniem. Nie mógł uwierzyć, że czas płynie tak szybko. Wydawało mu się, że zaledwie kilka tygodni temu widział, jak nowo narodzona kwili w ramionach jego siostry. Zgodnie z krasjańską tradycją przez następne lata widywał ją rzadko, a potem, gdy jako dziecko weszła do pałacu *dama'ting*, kontakt

między nimi urwał się całkiem.

Teraz była już dojrzałą kobietą i dźwigała na swych ramionach ciężar, który załamałby najsilniejszego *Sharum*. Shanjat nie mógł już odczuwać wstydu, a więc Shanvah nosiła to brzemień za nich oboje, maskując je perfekcyjnie żelazną wolą.

– Chodź i usiądź przy mnie, siostrzenico – rzekł Jardir.

Pogardzał krzesłami, które stosowano na północy. Odrzucił poły szaty i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na gołej posadzce, a potem skupił się i aktywował moc Korony Kajiego. Gdy Shanvah podeszła bliżej, otoczył ich aurą ciszy, by ich słowa nie dotarły do uszu Shanjata.

Dziewczyna uklękła przed nim i pochyliła się, by oprzeć dłonie na podłodze.

– Unieś głowę – nakazał jej Jardir. – Jestem nie tylko Shar'Dama Ka, ale również twoim wujem. Skoro twój ojciec jest... cóż, nieobecny, podczas naszej wędrówki w głąb Otchłani będę przemawiał do ciebie zarówno jako przywódca, jak i też najbliższy członek rodziny.

Shanvah usiadła na piętach.

– Nie zasługuję na taki zaszczyt, Wybawicielu – rzekła.

Jardir pokręcił głową.

– Nie, dziecko. Zasługujesz na o wiele więcej za swoją ofiarną służbę, a moja życzliwość to zgoła nic w porównaniu z wielkimi wyrzeczeniami, o które muszę cię prosić.

– Rozumiem, wuju – powiedziała Shanvah. – Alagai Ka nie jest w stanie zaprowadzić nas do królestwa Nie bez głosu mojego ojca.

Ahmann przytaknął.

– Nie możemy też pozwolić demonowi na swobodę ruchu. Musi pozostać skuty.

Shanvah zamknęła oczy, oddychając rytmicznie.

– Alagai Ka powiedział, że mój ojciec ma go nosić. Jak wielbłąd!

– W rzeczy samej. Wydaje mi się, że nie ma innego wyboru. Wyobraź sobie zniszczenia, których Alagai Ka mógłby się dopuścić, gdyby przejął mój umysł bądź któregoś z *chin*. Każde zbliżenie się do tego demona wiąże się z wielkim ryzykiem!

– Nie możemy mu też pozwolić, żeby kontrolował mojego ojca bez nadzoru – powiedziała Shanvah.

– Tak. Będziemy ich rozdzielać przy każdej możliwej okazji – odparł Jardir. – Ale musimy założyć, że za każdym razem, gdy księżę kłamstw dotknie umysłu twojego ojca, dowie się wszystkiego, co Shanjat usłyszał i co widział. Nie możemy już rozmawiać swobodnie w jego obecności. Nie można też tracić przy nim czujności. Nie wiadomo bowiem, czy Alagai Ka nie zachowuje nad Shanjatem częściowej kontroli, gdy się ich rozdzielili.

Shanvah oparła dłonie na podłodze i nachyliła się, by dotknąć jej czołem, a potem się wyprostowała i znów spojrzała Jardirowi w oczy.

– Rozumiem swoją rolę w tym wszystkim, wuju. Nie zawiodę cię.

Jej aura zdradzała, że dziewczyna wie, o czym mówi. Była gotowa zapomnieć, że jej serce zostało złamane, i ponieść swoje brzemię na samo dno Otchłani. Jardir rozchylił ramiona, a Shanvah po chwili wahania przytuliła się do niego niezgrabnie. Mężczyzna mocno uściśnął siostrzenicę.

– Nie mam co do tego wątpliwości – rzekł.



Par'chin zauważył stworzoną przez Jardira sferę ciszy, gdy wrócił do grupy wraz ze swą *jiwah*. Skinął i usiadł między

Jardirem i Shanvah na podłodze. Renna zaś usiadła naprzeciwko niego, tak by wszyscy mogli na siebie patrzeć.

– Jeśli chcemy się za to wziąć, nie mamy ani chwili do stracenia – rzekł Par'chin.

– Zgoda – oznajmił Jardir. – Ale pośpiech nie jest wskazany.

– Co to ma oznaczać? – spytał Par'chin.

– To, że przed zejściem do Otchłani chcę się spotkać ze swoją *Jiwah Ka* – rzekł Jardir. – Chcę raz jeszcze wziąć ją w ramiona i poprosić, żeby rzuciła kości skropione moją krwią.

– Nie mamy na to... – zaczął Par'chin, ale Jardir przerwał mu ostrymi słowy:

– To nie jest prośba, synu Jepha! Czeka nas niebezpieczna misja i musimy zapewnić sobie każdą możliwą przewagę. Kości zaś mogą zdemaskować oszustwa księcia kłamstw.

– A jeśli kości niespodziewanie wskażą, że ona ma udać się z nami, na co zapewne liczysz? – spytał Par'chin.

– Wówczas z nami pójdzie – odparł Jardir. – Tak jak twoja *Jiwah Ka*. Nie będzie się chować w ukryciu, gdy wazą się losy Ala. Wszak Inevera podporządkowała całe swoje życie przygotowaniom do *Sharak Ka*.

Widział w aurze Par'china, że ten opanował pokusę, by wyklócać się dalej.

– W porządku. Ja i Ren również powinniśmy odwiedzić kilka miejsc. Musimy przekazać ludziom, czego mają się spodziewać, jeśli nie wyjdzie nam cud.



7

Eunuchy

334 ROK PLAGI

Ostra fala bólu między nogami wyrwała Abbana z owych rzadkich chwil nieświadomości, które w tej rzeczywistości uchodziły za sen. Ziemia była zimna. Zerwał się gwałtownie, przez co rozboleła go również noga. Zmrużył oczy w blasku ognia.

Hasik go wykastrował. Abban wiedział, na co się zanosi, i próbował się przygotować, ale nic tak naprawdę nie mogło przysposobić mężczyzny do takiego ciosu. Hasik oderwał Abbanowi męskość zębami i zmusił go, by ten się temu przyglądał.

Abban błagał Everama, by pozwolił mu wykrwawić się na śmierć bądź złapać gorączkę i umrzeć, ale wojownicy z takim doświadczeniem jak *Sharum* dobrze wiedzieli, jak

postępować z ranami. Hasik obwiązał kikut, a potem go wypalił.

Wilgoć między nogami kazała kupcowi sądzić, że rana otworzyła się na nowo. Jego łańcuchy szczęknęły, gdy niezgrabnie rozwiązywał rzemyk postrzępionych spodni, by zajrzeć do środka.

Gdy Hasik się nad nim znęcał, Abban modlił się o śmierć, ale teraz, choć pozbawiono go męskości, był gotów zrobić wszystko, by przeżyć. Odchylił materiał spodni. Bandaże nie były zakrwawione, ale pożółkłe i wilgotne.

Nie było w tym nic dziwnego. Abban oddawał teraz mocz przez rurkę wsuniętą w jego poczerwiałe, przypalone ciało i nie miał nad tym żadnej kontroli. Między nogami zawsze panowała wilgoć i bił smród moczu.

Hasik, siedzący po drugiej stronie ogniska, parsknął głośnym śmiechem.

– Szybko się do tego przyzwyczaisz, *khaffit*. Przywykniesz do mokrych gaci, które będą dla ciebie równie wygodne jak suche, a smród twoich szczyń stanie się dla ciebie czymś tak naturalnym, iż nie będziesz rozumiał, na co inni się skarżą.

– A więc przynajmniej jest jakaś nadzieja. – Abban zawiązał spodnie. Na razie nie miał w co się przebrać, a więc musiał jakoś ścierpieć wilgoć.

– Naciesz się tym, *khaffit*, póki jeszcze możesz. – Hasik wskazał machnięciem ręki jaśniejące niebo. – Niedługo wstanie słońce. Ile już minęło?

Abban zacisnął zęby, lecz wiedział, że musi odpowiedzieć. Hasik karmił się jego cierpieniem i niedolą jak *Sharum* magią. Kupiec wiedział więc, że czeka go mnóstwo tortur i lepiej nie pogarszać sytuacji.

– Czternaście – odpowiedział. – To święta liczba. Minęło czternaście dni od chwili, kiedy zamordowałeś syna Wybawiciela.

Hasik znów się roześmiał. Ostatnio często się śmiał. Abban nigdy dotąd nie widział wojownika w tak dobrym nastroju.

– I twojego syna. Zapewne uznałeś zatrute ostrze schowane w twojej lasce za dobry pomysł. Podobało ci się, jak wbiłem je Fahkiemu w dupę? Podobało ci się, jak się miotał i toczył pianę z ust?

Znów zachichotał, a Abban przełknął ślinę. Nie zdarzało mu się to często, ale nie wiedział, co odpowiedzieć.

Rozległ się trzask magii, rozbłysło światło. Samotny drzewny demon kręcił się dookoła ich kręgu i na próżno szukał w nim szpary. Nawet najgłupszemu *Sharum* wtłaczano do głowy, jak należy rozkładać krąg ochronny, na długo nim otrzymywał czarne szaty wojownika, a Hasik okazał się sprytniejszy, niż Abban założył.

Wojownik oparł się o siodło i wsunął dłonie pod głowę. Obok niego leżała pusta butelka po jakimś alkoholu produkowanym przez *chin*. Chłodne oczy Hasika wodziły za krążącym dookoła demonem.

– Czemu go nie zabijesz? – spytał Abban. – Czyż nie po to żyją *Sharum*?

Hasik splunął w kierunku demona.

– Tyle lat spędziłeś w *sharaj* i niczego się o nas nie nauczyłeś, co, *khaffit*?

– Nauczyłem się tego, że wasze zamiłowanie do rzezi przewyższa waszą nienawiść do *alagai* – odparł Abban. – Że wolicie słabych wrogów, zwłaszcza łagodnych *chin*, od silnych. Nigdy jednak nie sądziłem, że nawet pijany będziesz się bał samotnego demona.

Spodziewał się, że jego słowa wzburzą Hasika, jednak wojownik nawet nie drgnął.

– Nie boję się niczego, ale mam już dosyć głupiej wojny Everama.

– Teraz? Gdy niewiele dzieli nas od *Sharak Ka*? –

naciskał Abban.

Hasik pogrążył się w rzadkiej u niego zadumie i Abban zaczął się zastanawiać, czy nie dowie się przypadkiem czegoś, co zdoła później wykorzystać. Był kaleką i nie miał szans uciec Hasikowi. Jego jedyną nadzieją było to, iż uda się zmanipulować *Sharum* na tyle, by sam mógł przeżyć do chwili, kiedy pojawią się nowe możliwości.

– Wybawiciel miał nas poprowadzić do boju w dniu *Sharak Ka* – rzekł Hasik. – Ale Ahmann spadł z klifu w hańbie, a jego syn okazał się żalonym naśladowcą. Co z tego wynika? Nawet jeśli plotki okażą się prawdą i Par'chin nadal żyje, prędzej sam wskoczę do Otchłani, niż ruszę za nim do walki.

Machnął ręką ku *alagai*, który przyglądał im się pustym spojrzeniem wielbłąda.

– Będę walczył z demonami, jeśli będę mógł coś w ten sposób zyskać, ale mam dość zabijania ich w imię Everama. Cóż takiego Stwórcy kiedykolwiek dla mnie zrobił?

Abban pokręcił głową.

– O ile Stwórcy w ogóle istnieje, z pewnością nie brak mu poczucia humoru, skoro dopiero teraz zaczynamy się rozumieć.

– Może dlatego, że obaj nie mamy już fiutów – cmoknął Hasik. – Nigdy w życiu nie skosztowałem słodszy mięsa, *khaffit*, wierz mi. Kusi mnie, żeby wykroić sobie jeszcze coś.

– Mówisz tak, bo nigdy nie jadłeś wieprzowiny – rzekł Abban. – Jeśli naprawdę odwróciłeś się od Nieba i skłonny jesteś zaznać przyziemnych przyjemności, nie znajdziesz nic lepszego.

– Śmiałe słowa, *khaffit* – zaśmiał się Hasik. – Nie sądzę, żeby istniało jakiegokolwiek mięso, które mogłoby dać mi większą przyjemność niż cipki twoich żon i córek dziewic!

– Jak sam zauważyłeś, te dni obaj mamy już za sobą – powiedział Abban. – Jesteśmy eunuchami i musimy szukać

przyjemności tam, gdzie się da. Znajdź mi świnie, a przygotuję ci obiad, którego nigdy nie zapomnisz.

– Próbujesz mnie otruć od lat – rzekł Hasik. – Naprawdę myślisz, że teraz bardziej ci się poszczęści?

W istocie, gdy obaj jako chłopcy trenowali w *sharaj*, Hasik regularnie znęcał się nad Abbanem, aż ten postanowił się zemścić i dodał prześladowcy kroplę jadu pustynnej zmił do owsianki. Nie wystarczyło, by zabić, ale Hasik przez tydzień zwijał się z bóleści.

Nikt nie znalazł dowodu, że truciznę podał mu Abban, ale Hasik nie był głupcem. Nadal znęcał się nad Abbanem, wykazując coraz większe okrucieństwo, a ten ponawiał próby otrucia Hasika, chcąc rozwiązać problem raz na zawsze. Potężny wojownik jednak wyciągnął odpowiedni wniosek i zamiast stać posłusznie w kolejce po jedzenie, na chybił trafił wybierał któregoś z kolegów i odbierał mu miskę.

Nawet wśród *dal'Sharum*, których duma nierzadko zastępowała zdrowy rozsądek, niewielu było takich, którzy podejmowali wyzwanie. Ci, którzy bronili swojego jedzenia – często zachęteni łąpówką Abbana – łądowali pobici w pyle na oczach reszty.

– Zawsze trudno cię było zabić – przyznał Abban. – Ale to nie powinno mnie powstrzymywać przed kolejnymi próbami.

– Trzeba przyznać, że zostało ci trochę honoru, *khaffit*, choć nadal boisz się sam pochwycić za włócznię. – Hasik rozłożył ramiona. – Jak dojdiesz do siebie, zapraszam. Pozwolę ci uderzyć pierwszemu. Jeśli chcesz, możesz nawet zatruć ostrze swojej włóczni, a ja i tak będę miał wystarczająco dużo czasu, żeby wyłupić twoje oczy, a potem sprawić, żebyś je zjadł. Ha, zdążę nawet wyssać ci język z twojej gęby i odgryźć!

Abban wyrzucił swoje mokre kieszenie, aż brzęknęły

łańcuchy.

– Nie mam przy sobie trucizny, ale niech Everam będzie mi świadkiem, że potrafię upiec wieprzowinę tak, że od samego zapachu poczujesz zawrót głowy i pocieknie ci ślinka! Dobrze przypieczona świńska skóra twardnieje i pęka, śliska od tłuszczu, a na widok mięsa, które pod nią znajdziesz, pożałujesz, że nie wyrzekłeś się Niebios wcześniej.

– Na brodę Everama, *khaffit!* – zawołał Hasik. – Przekonałeś mnie. Dziś znajdziemy świnie i upieczemy ją, żeby uczcić nasze pierwsze wspólne dwa tygodnie. Ale najpierw – sięgnął za szeroki pas i wyciągnął niewielki młotek – pora na naszą poranną modlitwę.

Słońce wychynęło zza horyzontu, a drzewny demon rozwiął się i wślizgnął do Otchłani. Hasik wreszcie powstał. Ów młotek wcale nie był bronią godną *Sharum*, a jedynie zwykłym narzędziem, które pochwyił, uciekając po masakrze wojsk Jayana pod Angiers. Nic ponad kawałek żelaza zatknięty na twardym trzonku.

Mimo to Hasik posługiwał się nim równie precyzyjnie jak *dama'ting* cienkim nożem stosowanym podczas operacji. Zamyślony, obracał nim w palcach, klękając przy stopach Abbana.

– Błagam cię – odezwał się Abban.

– A co dziś mi zaoferujesz, *khaffit?* – spytał Hasik.

– Pałac! – odparł Abban. – Taki, który zawstydzi siedziby największych *Damaji!* Opróżnię swoje kufry i zbuduję ci wieże tak wysokie, że będziesz mógł rozmawiać z Everamem!

– Ależ ja rozmawiam z Nim codziennie! – stwierdził Hasik.

Na okaleczonej nodze Abbana nadal znajdował się but, drugi już dawno został wyrzucony, gdyż stopa zanadto spuchła. Hasik owijał ją szmatami, by nie zmarzła, ale

Abban nie miał nic przeciwko temu, by chłód poranka stępił świeży ból.

– Everamie, Dawco Światła i Życia – Hasik nakreślił run w powietrzu – dziękuję Ci i dziękować będę po kres swoich dni za to, że oddałeś mi w ręce mojego wroga. Składam Ci go w ofierze, tak jak Ci to obiecałem już dawno, kość po kości!

Abban zawył, gdy Hasik złapał go za opuchniętą, fioletową kończynę i macał ją brutalnie, szukając całej kości. Zmiażdżył mu już palce u stóp, potem zajął się kośćmi śródstopia, powoli przesuwając się w stronę kostki. Abban nie miał pojęcia, że człowiek ma tam tyle kości.

– Przestań skamleć, *khaffit* – rzekł Hasik z szerokim uśmiechem. – *Sharum* łamie sobie palce u nóg każdego dnia i żaden nawet nie burknie pod nosem. Poczekaj, aż przejdę do łydki. Aż zajmę się udem. A potem zębami.

– Trudno mi będzie wówczas prowadzić z tobą te wspaniałe rozmowy – stwierdził Abban.

Hasik zaśmiał się i opuścił młotek. Ból był nie do zniesienia, lecz Abban z tęsknotą spragnionego kochanka powitał nadciągającą ciemność.



Abban powoli odzyskiwał świadomość. Uzmysłowił sobie, że został przerzucony przez grzbiet ogromnego rumaka Hasika i leżał na nim niczym worek mąki. Każdy krok zwierzęcia przeszywał Abbana falami wściekłego bólu, któremu towarzyszyły zawroty głowy i mdłości. Zaszlochał, nie będąc w stanie znieść cierpienia. Wiedział, że jego płacz jest dla Hasika piękny niczym pieśń, ale nigdy nie dorównywał innym *Sharum* w sztuce poskramiania

cierpienia.

Mimo to nawet najgorszy ból z czasem staje się do zniesienia, zwłaszcza gdy rany znieczula zimno. W końcu nudności zelzały i Abban doszedł do siebie na tyle, iż poczuł śnieżynkę lądującą mu na policzku.

Otworzył oczy i ujrzał targane wiatrem obłoki śniegu. Na północy zbierały się ogromne chmury, co oznaczało, że zanoszą się na burzę.

Wędrowali wzdłuż Traktu Starego Wzgórza – brukowanej drogi Posłańców, która kiedyś łączyła Wolne Miasta Thesy z miastem *chin* zwanym Fortem na Wzgórzu, które niecałe sto lat wcześniej padło ofiarą *alagai*. Książę Jayan wykorzystał tę drogę, by przesunąć swe siły na północ i przeprowadzić atak na Angiers.

Abban miał wrażenie, że podróżują przez niekończące się cmentarzysko. Idący tym traktem Jayan złupił leżące w pobliżu angieriańskie wsie i gospodarstwa, a ich spalone zgliszczą zdawały się osądzać Abbana, który zachęcał księcia do realizacji szalonego planu.

– Jak człowiek nie potrzebuje świni – splunął Hasik – to widać ich całe stada.

– Skręć w lewo na kolejnym rozwidleniu – rzekł Abban.

Hasik odwrócił głowę i spojrział na niego.

– Dlaczego?

Znów brzęknęły łańcuchy, gdy Abban wskazał odległe dymy nad drzewami.

– Ludzie Jayana plądrowali okolicę w odległości mili, może dwóch od drogi, ale moje mapy wskazywały wiele bocznych traktów, którymi Posłańcy docierali do wiosek i osamotnionych gospodarstw leżących poza ich zasięgiem.

– Dobra wieść – rzekł Hasik. – Nie będę ci musiał niczego odkroić, żeby zjeść pożywną kolację.

– Obawiam się, że nie najadłbyś się jak należy. Sam tłuszcz i niewiele mięsa – odparł Abban.

Hasik zachichotał i skierował konia na wydeptaną ścieżkę, która nikła między potężnymi, starymi drzewami. W gęstym lesie po obu stronach ścieżki panował półmrok i choć nad ich głowami świeciło słońce, Abban zaczął obawiać się *alagai*.

Natknęli się na kilka gospodarstw po drodze, oaz wykarczowanej ziemi pośród nieprzebytych borów, ale każde z nich okazało się świecąca pustką ruiną. Domostwa zostały spalone, a bydło, trzoda i zapasy znikły bez śladu. Abban bynajmniej nie był zdziwiony. Tysiące *dal'Sharum*, najlepszych wojowników Jayana, straciło życie w masakrze u bram Angiers. Kiedy rozeszły się wieści o klęsce, *chi'Sharum* zwrócili się przeciwko swym panom lub uciekli, a reszta armii Jayana, około dziesięciu tysięcy *Sharum*, rozpieczęła się po świecie. Jeden Everam wiedział, czy kiedykolwiek uda się ich przegrupować i stworzyć ponownie liczącą się siłę, ale na pewno dezertków było tylu, że żadne gospodarstwo *chin* przez długie lata nie mogło się czuć bezpiecznie.

– Ognista broń *chin* pozwoliła im obronić bramę – rzekł Hasik – ale nie mają na tyle sił, żeby bronić mniejszych murów.

– Na razie – stwierdził Abban.

– Liczy się tylko to, co jest dzisiaj, *khaffit* – powiedział Hasik. – Jutro mogę się natomiast przekonać, ile mięsa zostało tak naprawdę na twoich kościach.

Kolejne napotkane przez nich gospodarstwo nie było opuszczone. Abban wyczuł dym, i nie był to bynajmniej ostry zapach żarłocznego pożaru. Pociągnął nosem i wyobraził sobie skwierczący tłuszcz, północne przyprawy i dym znad płonącego wesoło paleniska.

Tymczasem na miejscu natknęli się na dwóch *Sharum*, którzy chodzili wzdłuż płotów chroniących pola oraz podwórza i odgarniali śnieg z runów. Kilku innych

pilnowało pracujących na polu *chin*. Opierali się o włócznie beztrzesko, ze swobodą, lecz mieszkańcy zielonych krain wcale nie kwapili się do tego, by sprawdzić, jak szybko mogą za nie pochwycić. Z domostwa i stajni dobiegały jakieś odgłosy.

– Wygląda na to, że się zadomawiają – rzekł Abban.

– Nie zostaliśmy stworzeni, żeby znosić te północne zimy, *khaffit* – odparł Hasik, mimo że Abban nigdy nie widział, by kiedykolwiek choć wzdrygnął się przed zimnem.

– Być może należałoby... – zaczął, ale Hasik zignorował go i popędził konia.

Otworzył bramę i wjechał na podwórze, nim którykolwiek z *Sharum* zdążył krzyknąć. Po chwili dziewięciu z nich otoczyło przybyłych wieńcem włócznie.

Hasik splunął.

– Nie wystawiliście straży. Kto dowodzi tym motłochem?

– Ty jako pierwszy wyjawisz imię swojego ojca, wojownika – rzekł jeden z *Sharum*. Był potężniej zbudowany od pozostałych i wydawał się wzbudzać respekt grupy, choć tak jak pozostali nosił czarną zasłonę na szyi.

– Jestem Hasik asu Reklan am'Kez am'Kaji.

– Pies Jayana – rzucił dowódca *Sharum*. – I co teraz? Nie masz już do kogo się łąścić?

Pozostali Krasjanie parsknęli śmiechem. Hasik zignorował ich wesołość.

– Zgadza się, choć mam teraz własnego psa.

Wskazał Abbana ręką, a ten skulił się pod ciężarem wszystkich spojrzeń. Nie miał wątpliwości, że wojownicy zauważyli go dopiero teraz. W naturze *Sharum* leżało w pierwszej kolejności szukanie zagrożeń.

– *Khaffit* Wybawiciela – rzekł przywódca miejscowych. – Gdzie się podziała jego duma? Czy to prawda, że potrafi zamieniać piasek i wielbłądzie gówno w złoto?

– Tak, potrafi – odparł Hasik. – Potrafi też sprzedawać

wodę poławiaczom ryb i drewno drwalom.

Potężny *Sharum* przechylił głowę i spojrział Abbanowi w oczy.

– Choć nie uratowało go to przed złym losem. – Hasik odsłonił zęby. – Nic nie było w stanie go ocalić, gdy nadeszła moja chwila. Teraz, skoro znacie już nasze imiona, chcę poznać wasze.

– Jestem Orman asu Hovan am'Bajin – rzekł tamten. – Witajcie w moim *csar*. Do książęcego pałacu sporo mu brakuje, ale mamy niewolników i w bród jedzenia.

– Czyli Bajin nie wracają do Krynicy Everama? – spytał Hasik.

– Nie ci Bajin – odparł Orman. – Kto tam teraz dowodzi? Qeran? Ja nie mam zamiaru zostać piratem i spędzić całego życia na wodzie.

– A co z klasztorem? Nadal rządzi nim *dama* Khevat?

Orman pokręcił głową.

– Możliwe, lecz niedługo to potrwa. Nie ma dość wojowników, żeby go utrzymać. Połowiacze ryb dowiedzieli się o rozbiciu wojska Jayana i chcą odzyskać swój klasztor. To punkt wyjścia do ataku na Krynice Everama. Ale po co miałbym się tłuc przez tydzień przez tę zimną, rojącą się od demonów krainę, żeby walczyć w bitwie, której nie mamy szans wygrać, skoro tutaj jest ciepło i przytulnie? Zielone krainy są bogate i nie stawiają oporu!

– Mądre słowa – podsumował Hasik i rozejrzał się po gospodarstwie. – Macie świnię?

Orman pokiwał głową.

– Niewolnicy *chin* je jedzą. Chcesz nakarmić swojego *khaffit*?

– Jemu własny tłuszcz wystarczy na długo – odparł Hasik. – Sam chętnie bym skosztował świniny.

– Jeśli sobie życzysz – rzekł Orman. – Pod warunkiem że masz czym zapłacić. Mamy też kobiety. To *chin*, a więc nie

ma na co popatrzeć, ale w szatach z woalkami jedna nie różni się od drugiej, co nie?

Jeden z wojowników szepnął coś Ormanowi do ucha. Ten odrzucił głowę do tyłu i parsknął głośnym śmiechem, a potem spojrzał Hasikowi w oczy.

– Właśnie przypomniano mi, że pies Jayana został wykastrowany. Kobiety nie na wiele ci się zdadzą, co?

– Oj, pożalujesz tych słów, synu Hovana – syknął Abban i pokręcił głową.

Wojownik spojrzał na niego.

– Co ta...

Nagle stęknął i zgiął się wpół, zaciskając dłonie na rękojeści noża, którym cisnął w niego Hasik. Ostrze wbiło się prosto w genitalia Ormana.

Sharum rzucili się do ataku. Któryś z nich pchnął rumaka w szyję, a pozostali celowali w samego Hasika, ale ten nosił pod szatami zbroję z runicznego szkła, która odbiła ich ostrza. Wojownik zeskoczył ze stojącego dęba wierzchowca, łapiąc włócznię, a Abban grzmotnął o ziemię, oszołomiony bólem.

Walczący Hasik poruszał się tak szybko, iż nie sposób było nadążyć za nim wzrokiem. Potem rozmyli się jego przeciwnicy, a na końcu wszystko zasłoniła ciemność.



Abban obudził się na twardej drewnianej podłodze. W palenisku kilka kroków dalej płonął ogień, który pozbawiał jego okaleczoną nogę odrętwienia i na nowo rozniecał ból. Nad sobą ujrzał pochyloną kobietę, która ocierała mu czoło wilgotnym ręcznikiem.

– Żyjesz – powiedziała.

– Żyję – zgodził się Abban. – Choć przez chwilę miałem nadzieję, że jest inaczej.

– Cóż, dziękujemy za to Stwórcy – odparła kobieta. – Mój nowy pan powiedział, że każdy, kto zginie, ruszy po samotnej ścieżce w towarzystwie mojej rodziny.

Abban zmrużył oczy.

– Nowy pan? Hasik?

Kobieta pokiwała głową i dodała:

– Zabił trzech Bajin, a reszcie oberznął jaja. – Splunęła przy tych słowach. – Na nic innego nie zasługują.

– Założę się, że zmianę pana powitaliście z ulgą – rzekł Abban. – Jednak jak poznacie Hasika, rządy Bajin będą się wam wydawać błogosławieństwem.

– Dla nas nie ma już błogosławieństw – odparła kobieta.

– Wszak żyjemy w świecie fałszywych Wybawicieli. Mamy nadzieję jedynie na to, że uda nam się przeżyć.

– Zawsze trzeba liczyć na to, że uda się uciec śmierci – stwierdził Abban. – Ja już parokrotnie miałem wrażenie, że dostrzegam samotną ścieżkę, ale mimo to wciąż tu leżę i oddycham powietrzem Ala.

– Pan mówi, że jesteś jego kucharzem – rzekła kobieta. – Zabijemy dziś świnie, żebyś mógł ją upiec. Pan chce uczcić powstanie swojego nowego plemienia.

– Plemienia Eunuchów – oznajmił Abban i spróbował się podnieść. – Pewnie nie macie niczego, czym można by zatruć mięso?

– Gdybyśmy mieli, już dawno bym to wykorzystała. – Kobieta wyciągnęła rękę i pomogła kupcowi usiąść. – Mam na imię Dawn.

– Piękne imię – stwierdził Abban. – Ja jestem Abban asu Chabin am’Haman am’Kaji. Będę potrzebował twojej pomocy, jeśli mam przygotować ucztę. Obawiam się, że bez kul się nie podniosę, a nawet z nimi będę z trudem trzymał się w pionie.

– Mamy krzesło z kółkami, na którym sadzaliśmy mojego dziadka przed śmiercią – rzekła Dawn.

– Stwórcy niech będą dzięki – odparł Abban. – Będę ci wdzięczny, jeśli pomożesz mi na nim usiąść. Jeśli Hasik ma ochotę na ucztę, lepiej, żeby długo nie czekał.

Dawn skinęła głową i wyszła z izby, po czym wróciła z krzesłem na kółkach, prymitywnie skleconym, ale wystarczająco mocnym, by udźwignąć potężnego Abbana.

– Ilu wojowników zostało Hasikowi? – zapytał, gdy Dawn wjechała z nim do kuchni, gdzie dwie młodsze dziewczyny pod okiem starszej kobiety szykowały już wieczerzę. Na ich twarzach widniały sińce. Żadna nie unosiła wzroku.

– Sześciu nadal zdolnych do walki – odparła Dawn. – Choć wszyscy teraz ostrożnie stawiają kroki. Dwóch innych ma połamane kości, a trzech leży w śniegu.

Rozległ się przeraźliwy wrzask, a potem rozbłysło światło. Abban zerknął przez okno na gęstniejącą ciemność i śnieg owiewający szyby. *Sharum* bez wątplenia oczyszczali okolicę z demonów, by magia zaleczyła ich poranione krocza.

Nic wam nie odrośnie, pomyślał Abban. Dzięki magii zagoją wam się rany i pozrastają kości, ale to, co zostało odcięte, już do was nie wróci.

– A twoja rodzina? – zapytał.

– Zostało nas siedmioro. – Dawn skinęła na pozostałe kobiety. – Moja matka i córki, zięć, ojciec i teść.

– Bajin nie zabili nikogo? – Abban sięgnął po przyprawy i obwąchał je uważnie.

Dawn pokręciła głową.

– Nie znali ani słowa po thesańsku, ale nie było wątpliwości, że zależy im na niewolnikach, a nie na trupach.

Jedna z młodych dziewcząt rozszlochała się, słysząc słowa Dawn, a siostra przysunęła się, by ją pocieszyć.

– Pokładajmy nadzieję w tym, że przetrwamy – rzekł Abban.

– Nie przypominacie w niczym tych pozostałych – stwierdziła Dawn. – Obaj wraz z naszym nowym panem władacie naszą mową, a on traktuje cię jak...

– Jestem *khaffit* – odparł Abban. – Tchórz. Dla wojowników jestem wart tyle, co wy. I wierzcie mi, że gorzko za to zapłacimy, jeśli uczta nie przypadnie Hasikowi do gustu. Chodźcie, rzucimy okiem na świnie.

Abban zadrżał, gdy Dawn wyprowadziła krzesło na kółkach na wieczorny śnieg i podążyli przez oświetlone runicznymi lampami podwórze ku rzeźni. Wokół gospodarstwa czaili się *Sharum*, których raz na jakiś czas wydobywał z ciemności błysk runów.

Bajin zabili większość bydła, ale świniami wzgardzili. Było ich siedem, a wszystkie tłuste i zdrowe. Na ich widok Abbanowi napłynęła ślinka do ust.

Każda poszłaby za tysiąc draki, przyszło mu do głowy, ale zaraz otrząsnął się, odpędzając bezużyteczną myśl. Bazar był daleko stąd, a o tym, czy go jeszcze ujrzy, decydowała jedynie *inevera*.

Skup się na chwili obecnej, napomniał sam siebie. Bo nie będzie żadnej przyszłości.

Trzej mężczyźni *chin* przyszli do rzeźni w ślad za Dawn. Dwóch z nich było w kwiecie wieku, trzeci starszy, ale nadal krzepki. Wszyscy byli posiniaczeni i poruszali się sztywno.

– Tamta – Abban wskazał najlepszy okaz.

Młody, tłuściutki wieprzek zakwiczał zarzynany przez *chin*, a Abban, popychany przez Dawn, ruszył z powrotem do kuchni, gdzie mieli ustalić spis potraw. Na podwórzu natknęli się na Hasika.

– Cieszę się, że odzyskałeś przytomność, *khaffit*. Wciąż pamiętam o obietnicy, jaką mi złożyłeś – rzekł.

Wydawał się niemal radosny, jakby każdy wykastrowany przez niego mężczyzna przynosił ulgę jego hańbie.

– Ja zawsze dotrzymuję obietnic – odparł Abban. – Minie cała noc i kolejny dzień, zanim świnia zostanie należycie usmażona.

Hasik przytaknął i dotknął diamentu umiejscowionego w środku turbanu *kai'Sharum*. Wstawiono weń cząstkę demoniej kości, która wzmacniała głos.

– Plemię Eunuchów pości aż do zachodu słońca! Każdemu, kogo przyłapię na kradzieży jedzenia, obetnę język zaraz po fiucie.

– Ja też kiedyś wygłaszałem podobne groźby pod twoim adresem – rzekł Abban. – Przypomnij sobie, czym się to dla mnie skończyło.

Hasik wzruszył ramionami.

– Któregoś dnia będę słaby, a wówczas padnę ofiarą człowieka bądź *alagai*. Póki co jestem jednak silny i będę wygrażał, komu zechcę.

Spojrzał w mrok nocy.

– Ich rany już się zaleczyły. Post, a po nim uczta pomogą im pogodzić się z nowym życiem.

– Mądre słowa, *kai* – skinął głową Abban. – Szykuje się uczta, której długo nie zapomną.

– Dołóż wszelkich starań – rzekł Hasik. – W przeciwnym razie kobiety *chin* usmażą ciebie jako drugiego.



Abban usnął w oborze, rozparty na swoim krześle z kólkami, pławiąc się w zapachu pieczonej świni i ciepłe paleniska. Nie czuł się tak dobrze od chwili, gdy wpadł w ręce Hasika.

I być może przez to nagła eksplozja bólu wydała mu się tym straszliwsza.

Otworzył oczy i ujrzał Hasika, który klęczał przed nim ze swoim niewielkim młoteczkim. Przez otwarte drzwi obory wpadał blask świtu. Wojownik, nie budząc swego jeńca, zdołał uwolnić jego stopę z krzesła, oprzeć ją na pieńku i złamać kolejną kość w imię Everama. Parsknął śmiechem, gdy usłyszał przeraźliwy wrzask kupca.

– Ten dźwięk nigdy mi się nie znudzi, *khaffit!* – zawołał.
– Chcę, żebyś naprawdę wiedział, co oznacza budzić się co rano w udręce.

– Nie... – zakaszłał Abban.

– Tak? Co chciałeś powiedzieć, *khaffit?* – spytał Hasik.

– ...dałeś mi... nawet... czasu... – Abban ciężko oddychał i z trudem artykułował słowa. – Żeby... zaproponował... wykupne.

– A było to coś ciekawego? – uśmiechnął się Hasik.

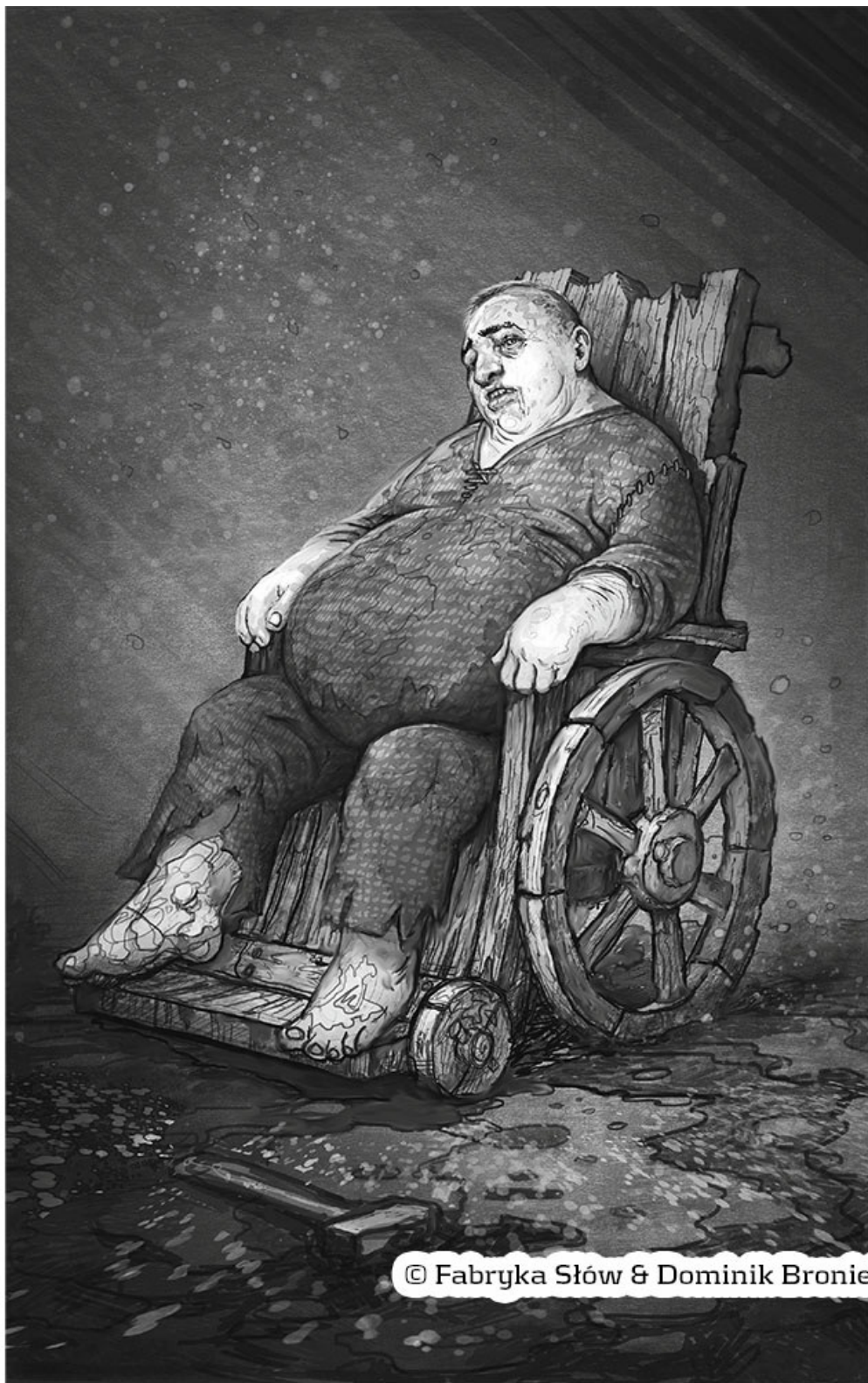
– Przyjemność... której nawet... nawet *Damaji*... boi się ulec.

Hasik wstał i założył ramiona na piersi.

– Słucham więc.

– Tuzin *heasah* – rzekł Abban. – Wybranych tylko dlatego, że wyglądają prawie tak jak *Damajah*. Tuzin *heasah*, które tańczą tylko dla ciebie.

Hasik poczerwieniał na twarzy, a Abban natychmiast zrozumiał swój błąd.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– A co niby miałbym zrobić z *heasah* bez fiuta?

– *Heasah* czasami zakładają sobie paski, na których zawieszają imitację męskiej włóczni – wyjaśnił Abban. – Nie kłamałem, gdy mówiłem, że mogę ci sprawić złotego fiuta, gładszego, większego i sztywniejszego niż ten, którego straciłeś!

– Gdybym pogodził się z hańbą i rzeczywiście założył sobie taką uprząż, na pewno nie chciałbym przerznąć Damajah – zadrwił z niego Hasik. – Nie, *khaffit*, to ciebie doprowadziłbym do wycia. Darłbyś się głośniejsze niż twoje żony i córki!

Wsunął młotek za pas.

– A teraz wracaj do przygotowywania mojej uczyty.

Everamie, gdybym miał choć kroplę jadu żmii tunelowej, pomyślał Abban, ale wiedział, że to niedorzeczne marzenie. Tu, wśród krasjańskich grabieżców, w samym środku zielonych krain, wyszedłby na skończonego głupca, gdyby próbował otruć Hasika. Był okaleczony i bezbronny, a potężny *kai'Sharum* stał się dla niego jedyną nadzieją na przetrwanie do chwili, gdy dotrą do krasjańskich ziem bądź siatki Abbana w Zakątku.

– Lepiej stracić jedną kość dziennie, niż poczuć włócznię wbijaną w plecy czy też pętlę *chin* na szyi – mruknął.

Piekl więc świnię z ogromną starannością. Przypiekana ostrożnie skóra szybko zamieniła się w twardą, przepyszną skorupkę, połączoną warstewką tłuszczu z wilgotnym, gorącym mięsem. Wydawał również instrukcje kobietom i uczył je, jak przygotować kuskus oraz inne potrawy odpowiednie dla krasjańskiego podniebienia. Bajin lubili pewną potrawę z groszku, którą można było przyrządzić z rosnącego na północy ziarna, i Abban kazał kobietom ugotować jej jak najwięcej, by uhonorować nowych ludzi Hasika.

Ten zaś przez cały dzień był w znakomitym nastroju.

Abban dopilnował, by *chin* również pościli, i zapachy drażniły podniebienia wszystkich obecnych. Po zachodzie słońca nawet pochmurni Bajin wydawali się okazywać entuzjazm, gdy zawołano ich na posiłek.

Sharum przejęli dwa duże stoły i skrócili im nogi, po czym kobiety zastawiły je po brzegi miskami. Gdy wojownicy weszli do izby, Hasik klęczał już na poduszkach na honorowym miejscu za stołem.

– Orman – powiedział i wskazał mu pojedynczą poduszkę po swej prawicy.

Przywódca Bajin obdarzył go wrogim spojrzeniem, ale nie miał ochoty rzucać Hasikowi wyzwania. Uklęknął ze spuszczoną głową, a pozostali wojownicy poszli w jego ślady i uklęknęli na gołej ziemi, po czterech z każdej strony stołu.

Wówczas Hasik wskazał drugą stronę stołu.

– *Chin* – rzekł.

Trzech Angieriańczyków próbowało trzymać się z daleka, ale na słowa Hasika uklęknęli we wskazanym miejscu, sztywne ze strachu. Bajin skrzywili się, a Orman rzucił:

– Mamy wieczerzać z *chin*?

Dłoń Hasika wystrzeliła, złapała Bajin za brodę i szarpnęła. Wojownik uderzył twarzą w stół. Ryczał i szarpał się, ale Hasik nie puszczał do chwili, gdy ten się uspokoił.

– Być może przyszło ci do głowy, że miejsce po mojej prawicy daje ci prawo do kwestionowania moich słów – powiedział. – Czy dalej trzymają się ciebie tak głupie myśli?

– Nie – wystękał Orman.

– Nie?

– Nie, panie.

Hasik burknął pod nosem i wypuścił brodę Ormana, zachowując się tak, jakby nic się nie stało.

– Usiądźcie, *Sharum* – rzekł.

Wojownicy płynnie zmienili pozycję. Ileż godzin trenowali to w *sharaj*? *Chin* tymczasem nadal klęczył, zgodnie z instrukcjami Abbana, co wydawało się udobruchać nieco Bajin.

To nie miejsce dla mnie, uświadomił sobie Abban, który cieszył się, że będzie zajęty w kuchni, a przez to niewidzialny. Komenderował kobietami, a one napełniały misy dymiącymi potrawami, które całkowicie przykuły uwagę głodnych mężczyzn. Oddychali głęboko i rozkoszowali się zapachami, podczas gdy w ich ustach zbierała ślina.

W końcu kobiety wtoczyły świnie, która nadal ociekała tłuszczem, skapującym na tacę pod pieczeniem.

– Przygotujcie swoje brzuchy na cud, o jakim nigdy nawet nie marzyliście! – rzekł Abban i uśmiechnął się, widząc spojrzenia, którymi ludzie obrzucali pieczeń. Nawet potężni *Sharum* miękli, owładnięci cudownym zapachem wieprzowiny. W jego własnym brzuchu głośno burczało, a dłonie Abbana trzęsły się z głodu.

– Usiądź więc po mojej lewicy, ale za mną, i patrz, jak będę smakował ów cud, *khaffit* – powiedział Hasik.

– Wielki *kai* czyni mi zaszczyt – odparł Abban.

– Bzdura – stwierdził Hasik. – Zależy mi jedynie na tym, żebyś nie przerwał postu. Jesteś za gruby, Abban. Sam niebawem zrozumiesz, że robię to dla twojego dobra.

Abban był tak głodny, że mógłby zaoferować kolejną kość za choćby kąsek wieprzowiny, ale dyskusja z Hasikiem mijała się z celem. W przypadku Ormana *kai'Sharum* ograniczył się jedynie do upokorzenia. Gdyby to Abban podważył jego słowa, Hasik musiałby go zabić.

Albo zrobić mi coś jeszcze gorszego, pomyślał Abban. Nabrał głęboko tchu. Na razie liczył się mniej od wojownika, ale wiedział, że jego wartość wzrośnie, gdy Hasik skosztuje pieczeni.

Tymczasem wojownik nadal nie dawał sygnału do jedzenia. Splótł dłonie i zacisnął powieki, a reszta obecnych natychmiast uczyniła to samo.

– Błogosławiony Everamie – zaczął Hasik – Panie nasz, który obdarzasz łaską silnych, dziękujemy Ci za ucztę, która stoi przed nami. Jedzenie mięsa świni jest być może przeciwko Twoim nakazom, ale pokazałeś nam, że prawa są dla słabych.

Urwał na moment.

– Ja też kiedyś byłem słaby. Zawładnęły mną cielesne pasje, których nie umiałem się wyrzec, choć raz za razem sprowadzały na mnie ból i nieszczęście. Doprowadziłem do tego, że rządziła mną najśłabsza część mojego ciała. – Wyprostował się. – Teraz gdy została już odrąbana, wreszcie jestem wolny. Wreszcie mogę oglądać wokół siebie świat pozbawiony słabości. Po raz pierwszy widzę ziarna piasku w wydmie i wiem, że jestem teraz silniejszy.

Spojrzał na Bajin.

– Nie mam wątpliwości, że przy pierwszej dogodnej okazji wbilibyście mi włócznię w plecy, ale niebawem się przekonacie, że wy również jesteście teraz wolni. Że staliście się naprawdę silni!

Przeniósł wzrok na Ormana.

– Czy w okolicy są jeszcze inni *Sharum*?

Ten pokiwał głową.

– Tuzin Khanjin przejęło farmę dalej wzdłuż traktu.

– Wraz ze swoimi ludźmi niebawem będziesz miał okazję, żeby podzielić się upokorzeniem ze swoimi braćmi w nocy – uśmiechnął się Hasik. – Przekonacie się, że nic tak nie łagodzi bólu jak dzielenie się nim.

Twarze Bajin pozostały ponure, ale Abban widział, że słowa nowego przywódcy obudziły głód w ich oczach. Hasik się nie mylił.

Kai'Sharum spoglądał teraz na *chin*.

– Everam uśmiecha się do was, *chin*. Nastął nowy porządek, a to oznacza, że nawet wy możecie zdobyć chwałę. Wybór należy do was. Możecie pozostać niewolnikami albo nauczyć się walczyć i stanąć po naszej stronie.

Młodszy mężczyźni znieruchomieli i spojrzeli na swego patriarchę, a ten zawahał się przez krótki moment, po czym ułożył dłonie na podłodze, tak jak go nauczył Abban, i dotknął jej czołem.

– Będziemy walczyć – rzekł.

– A więc uczcijmy to uczta! – zawołał Hasik.

Uniósł udziec wykrojony dla niego przez Abbana. Skóra popękała z cichym trzaskiem, gdy Hasik wbił w nią zęby i oderwał spory kawał mięsiwa. Otworzył szerzej oczy, zaskoczony smakiem, a wtedy przy stole wybuchł chaos, gdy ludzie rzucili się na jedzenie.

Abban przyglądał się ze zgryzotą, jak *Sharum* napychali żołądki, ale nie dał tego po sobie poznać. Wpatrywał się w Hasika obojętnym spojrzeniem, choć ten drażnił głodnego *khaffit*, pokazując mu otłuszczone palce. Pojawiło się miejscowe piwo, którego ucztujący wojownicy bynajmniej sobie nie żalowali. Wkrótce Bajin zaczęli się śmiać i nawet *chin* wydawali się rozluźnieni. Kobiety skwapliwie uzupełniały pustoszejące misy i wkrótce wojownicy zwolnili tempo i jedli już bardziej dla przyjemności, niż żeby zaspokoić głód. Hasik rozparł się na swoich poduszkach i słuchał pieśni wojowników.

W końcu kobiety uprzątnęły półmiski i wyniosły resztki świni. Wówczas Hasik skupił uwagę na *chin*.

– Zjedliście kawałek mojej świni – oznajmił. – Jest tylko jedna rzecz, która dzieli was od wstąpienia do plemienia Eunuchów.

Chin spojrzeli po sobie z zaskoczeniem, a Orman zaśmiał się i sięgnął po nóż.



8

Klasztor

334 ROK PLAGI

Tuzin grubych niewolników ubranych tak jak ja – obiecywał Abban. – Pierwszy z nich wpadnie w twoje ręce pierwszego dnia miesiąca, po czym będziesz go mógł torturować do woli, aż zabijesz w wymyślny, oryginalny sposób podczas Nowiu. Następnego dnia otrzymasz kolejnego i będziesz mógł zacząć na nowo.

– Całkiem niezła myśl, przyznaję – rzekł Hasik.

– Oszczędź mnie, a stanie się rzeczywistością – powiedział Abban, ale wojownik cmoknął z dezaprobatą.

– Niestety, dostrzegam pewien problem, *khaffit*. Mam przez dwanaście miesięcy udawać, że się mszczę na kimś, kto tak naprawdę właśnie zemsty uniknął?

– A więc oddam swoje życie w zastaw! – zaproponował

Abban. – Co Nów będziesz dostawał bliźniaczo podobnego do mnie niewolnika, aż ich łączna wartość sięgnie mojej. Potem będziesz mógł mnie zabić!

Hasik zacisnął usta.

– Ten pomysł jest w istocie intrygujący. Muszę go sobie dobrze przemyśleć, co zabierze mi pewnie kilka miesięcy.

Potem machnął młotkiem, a Abban znów wrzasnął.

Eunuchy i niewolnicy byli już przyzwyczajeni do kaźni i nauczyli się ignorować jęki oraz skamlenie Abbana. Raz, gdy w rany grubego kupca wdała się infekcja, która zagrażała jego życiu, Dawn poprosiła Hasika o okazanie litości.

Hasik wyrysował wówczas na nodze Abbana kilka runów i wysmarował ją cuchnącą krwią *alagai*. Jucha aktywowała moc runów, które w mig zaleczyły ranę. Abban odzyskał siłę i energię, a ból przestał mu dokuczać, ale potrząskane kości pozrastały się bez ładu i składu, przez co noga kupca przypominała teraz poskręcany kikut. Abban miał przecucie, że nawet sama Damajah, największa znana kupcowi uzdrowicielka, nie zdoła przywrócić mu możliwości chodzenia.

Potem Hasik odrąbał Dawn i jej córkom nosy. Widok ich kalekich twarzy miał na zawsze przypominać, by nikt więcej nie śmiał się nad Abbanem litować.

Gdy ból minął na tyle, że Abban mógł na powrót wspiąć się na krzesło, Hasik już znikł. Kupiec powoli ruszył przez obóz, w którym panowała gorączkowa krzątanina. Niewolnicy biegali to tu, to tam, służąc wojownikom. Przez ostatnie pięć tygodni plemię Eunuchów bardzo się rozrosło. Z początku szło powoli – łapano dezertersów pojedynczo, czasem dwójkami – ale niekiedy udawało się też pochwycić większe grupy. Ci, którzy dopiero co dołączyli do plemienia, z największą ochotą kastrowali nowych jeńców, zupełnie jakby odcięcie męskości innemu człowiekowi miało im

pomóc w gojeniu własnych ran. Plądrowali gospodarstwa i wioski, a ich liczebność oraz zasoby z wolna rosły.

Potem, co zakrawało na absurd, ludzie sami zaczęli się do nich zgłaszać. *Sharum*, którzy ruszyli na grabież, a posmakowali jedynie niedoli, ochoczo poświęcali swe genitalia w zamian za pełne brzuchy i poczucie, że stanowią część czegoś wielkiego.

Rozrost plemienia pociągnął za sobą zmiany na lepsze w życiu Abbana. Hasik uzdrawiał go teraz regularnie, gdyż potrzebował jego bystrych oczu i sprawnego umysłu. Miał nadzorować kuchnię, *khaffit* znalazł się znów w swoim naturalnym żywiole – sprawował pieczę nad księgami rachunkowymi Hasika i pełnił rolę kwatermistrza zarówno dla oddziałów wojska, jak i karawany niewolnych.

Dotarł do namiotu Hasika, gdzie zastał go na poduszkach. Wojownik zajadał jajka oraz bekon.

– Na czarne serce Nie, *khaffit* – powiedział. – Gdybym wiedział, że mięso świni jest tak pyszne, odwróciłbym się od praw Everama już dawno temu.

– Ja też czuję się o wiele lepiej po tym, jak odstawiliśmy Evejah, żeby jeść i pić to, co nam się żywnie podoba – zgodził się Abban.

Hasik odgryzł kolejny kawałek bekonu. Jego usta lśniły od tłuszczu.

– Czekam na sprawozdanie – rzekł.

Abban zacisnął zęby i podjechał do biurka.

– Masz trzech *kai'Sharum*, stu dwudziestu siedmiu *dal'Sharum*, ośmiuset siedemnastu *kha'Sharum*, dwustu sześciu *chi'Sharum* oraz czterystu trzydziestu sześciu niewolników. Mamy ponadto siedemset czterdzieści dwa konie...

Hasik splótł dłonie za głową i zamknął oczy, jakby słuchał muzyki. Dla dobrego przywódcy, takiego, jakim był Ahmann, podobne rozliczenia były jedynie ciężarem, ale dla

człowieka pokroju Hasika układały się w listę jego osobistego bogactwa. Abban zaś musiał przyznać, że majątek wojownika rozrósł się błyskawicznie w bardzo krótkim czasie. Hasik zgromadził tyle dobra, że wszyscy członkowie plemienia Eunuchów zaznali nieco dobrobytu. Nikt nie chodził głodny i nikt nie cierpiał chłodu. *Sharum* byli dobrze wyposażeni i posłuszni, nawet nowi *chi'Sharum* otrzymali dobrą broń, by ćwiczyć się w walce.

Kłapa namiotu odchyliła się i do środka zajrzał Orman, który teraz nosił na szyi białą chustę *kai'Sharum*. Wciąż pełnił rolę zastępcy Hasika i jak Abban zauważył, okazał się kompetentnym, lojalnym podwładnym. Bajin byli niewielkim plemieniem i Orman przypuszczalnie nigdy nie wspiałyby się tak wysoko jak wśród Eunuchów.

Orman uklonił się.

– Eunuch Ka, przybył posłaniec, który twierdzi, że cię zna.

– Posłaniec? – zdziwił się Hasik. – Od kogo?

– Od *dama* Khevata! – zagrzemiał jakiś *kai'Sharum*, który przepchnął się między wartownikami przy wejściu.

Abban natychmiast rozpoznał przybysza po bliznach na twarzy, niknącej powoli pamiętce po pazurach piaskowego *alagai*. Odniósł tę ranę niemal ćwierć wieku wcześniej podczas walk w wiosce Baha kad'Everam. Dzięki magii zachował młodość, ale wśród *Sharum* był teraz poważanym starszym.

Abban miał przed sobą Jesana, *ajin'pal* Hasika.

Wśród *Sharum* więź między *ajin'pal* była równie silna jak między członkami rodziny. Młodzieńcy w podobnym wieku często wykształcali związek braterski, ale starsi *Sharum*, zwani później Nocnymi Ojcami, tworzyli więź z młodszymi wojownikami, która przypominała relacje między ojcem i synem. Byli dla mniej doświadczonych towarzyszy broni mentorami i autorytetami.

W czasach, gdy Hasik był szwagrem Wybawiciela i szanowanym członkiem królewskiej rodziny, on i Jesan rzadko się rozstawali. Nie rozmawiali jednak, odkąd Hasik został pohańbiony.

– Jesan! – Hasik powstał i podszedł do gościa.

Żaden z nich nie sięgnął po broń, ale też żaden nie musiał. Obaj należeli swego czasu do Włóczni Wybawiciela i doskonale opanowali sztukę zabijania gołymi rękami. Zamiast tego uścisnęli się za ramiona, objęli mocno i roześmiali głośno.

– *Khaffit!* – zawołał Hasik, prowadząc Jesana ku poduszkom. – Podaj brandy dla mojego *ajin'pal!*

Sam zasiadł na środku, tam gdzie poduszki zalegały najgrubszą warstwą. Jesanowi wskazał miejsce po swej prawicy, a Ormanowi po lewicy. Pojawiła się Dawn, która w ciszy napełniła tacę i oparła ją o poręcz krzesła Abbana. Kupiec cieszył się w duszy, że kobieta rzadko unosiła głowę, dzięki czemu nie musiał patrzeć na ziejącą dziurę po jej nosie. Dawn znikła równie szybko, jak się pojawiła, a Abban podjechał do poduszek, wioząc tacę.

Hasik ujął kieliszek i wręczył go Jesanowi.

– Tak daleko na północy nie ma co szukać *couzi*, ale przekonałem się, że destylarnie *chin* produkują jeszcze lepszy alkohol.

– Mnie wystarczy woda, dziękuję – oznajmił sztywno Jesan.

– A może trochę bekonu? – Hasik wskazał talerz. – Everam nie stworzyłby tak pysznego jedzenia, gdyby nie chciał, żeby było jedzone.

Jesan zeszywniał.

– Być może dlatego zakazano nam to jeść.

– Doprawdy? – Pytanie Hasika wydawało się rzucone mimochodem, lecz w tonie głosu pojawiło się wyzwanie.

Jesan spojrzał Hasikowi w oczy, oddychając powoli

i głęboko, co zdradzało, że *Sharum* usiłuje zachować opanowanie.

– Żeby przypominać nam, że każdy ma pana nad sobą.

– Myślisz, że trzeba mi przypominać, kto jest moim panem? – spytał cicho Hasik.

– Nie jestem Stwórcą – odparł Jesan. – Wiem natomiast, że wszystko dzieje się dlatego, że życzy sobie tego Everam. Nie dbam o to, że pijesz *couzi*. Jest mi obojętne, że jesz mięso świni. Przelewałem z tobą krew pod gwiazdami i tylko to ma dla mnie znaczenie. Nie przybywam do ciebie jako starszy, żeby cię zbesztać, ale jako twój *ajin’pal*. Muszę omówić z tobą ważne kwestie.

– Oczywiście. – Hasik rozparł się na poduszkach, popijając brandy, którą przed chwilą chciał wręczyć Jesanowi. – Mów. Słucham.

– *Dama* Khevat przesyła swoje gratulacje. Jest pod wrażeniem tego, z jaką skutecznością przechwytyujesz dezertersów z bitwy pod Angiers – oznajmił Jesan.

Ciekawy punkt widzenia, pomyślał Abban.

– Ludzie stracili serce do walki, gdy *Sharum* Ka i jego najlepsi ludzie zginęli podczas szturm na bramy Angiers – pokiwał głową Hasik.

Kłamstwo przyszło mu z łatwością, a Abban, jedyny żyjący świadek ostatnich chwil Jayana i jedyny człowiek na świecie, który wiedział, że to Hasik go zabił, nie miał zamiaru się odzywać.

– Niesłusznie odebrano ci chwałę, bracie. – Jesan spojrzał na Abbana z obrzydzeniem. – Ale możesz ją na powrót odzyskać. Klasztor Nowego Świtu jest znów atakowany przez *chin* i nie utrzymamy go bez twojej pomocy.

– Jak to możliwe? – spytał Hasik. – Przecież Khevat miał tysiąc wojowników, nie mówiąc już o resztkach sił *Sharum* Ka.

– Spod Angiers wróciło dwadzieścia pięć setek – rzekł Jesan – ale miało to miejsce w środku zimy. Wody jeziora zamarły i brakowało nam żywności, a więc *dama* Khevat wysłał ich do Krynicy Everama. Wtedy nieoczekiwanie nadeszła odwilż. Poławiacze ryb wysłali pod osłoną ciemności spory oddział wojska, który zszedł z łodzi na brzeg, a wtedy kilku sprzedawczyków *chin* otworzyło im bramy.

– Na brodę Everama! – szepnął Abban.

Klasztor został wzniesiony na wielkim wzgórzu i można się było do niego dostać jedynie wąską ścieżką, do której prowadziły z doków wąskie schody. Mury były niemalże nie do sforsowania, ale jeśli ktoś otworzył bramę...

– Nim się zorientowaliśmy, że doszło do zdrady, wróg miał już przewagę liczebną – ciągnął Jesan. – Na szczęście syn Wybawiciela Icha skrzyknął naszych i odrzucił nieprzyjaciela. Odzyskaliśmy zarówno bramę, jak i doki.

– Oczywiście. – Hasik popijał swoją brandy. – Wszak to tylko *chin*.

– Ataki jednak nie ustawały – opowiadał Jesan. – Poławiacze ryb przejęli nasze okręty i wypłynęli poza zasięg skorpionów i katapult. Khevat skazał wszystkich niewolników *chin* na śmierć, niemniej poławiacze ryb nadal mieli sojuszników za naszymi murami. Nie mieliśmy pojęcia o tunelu, który kończy się w podziemiach klasztoru. Wiedzieli o nim jednak *chi'Sharum* z Lenna Everama, którzy całymi setkami przekradli się do środka, wzniecił serię pożarów i znów otworzyli bramy.

– A więc ludzie z zielonych krain potrafią okazać nieustępliwość – stwierdził Hasik.

– Khevat nadal skazuje na śmierć każdego złapanego *chin*, zarówno niewolników, jak i *Sharum*, a nasi ludzie wciąż się nie poddają, ale zostało zaledwie trzystu *Sharum*. Co gorsza, połowa z nich odniosła zbyt ciężkie rany, żeby

nadal brać udział w walkach.

– A nie mogą przyspieszyć leczenia, zabijając *alagai*? – spytał Orman.

Jesan pokręcił głową.

– Święci mężowie *chin* wykonali mocne runy. *Alagai* omijają to miejsce szerokim łukiem – rzekł i podał Hasikowi zwój, na którym widniały woskowe pieczęcie *dama* Khevata i Ichy, trzeciego syna Ahmanna Jardira, dwóch spośród najznacześniejszych Krasjan na północ od Lenna Everama.

Hasik, który nie potrafił czytać, przekazał list Abbanowi, a ten go rozwinął.

– „Bądź pozdrowiony, Hasiku asu Reklan am’Kez am’Kaji! Piszę te słowa w trzy tysiące siedemset osiemdziesiątym piątym roku Everama, a imię moje to *dama* Khevat asu...”

– Wiem, kim są Khevat i ten zasmarkaniec Icha. – Hasik machnął dłonią. – Przejdź do sedna.

Jesan najeżył się, a Abban przejrzał szybko treść listu.

– W gruncie rzeczy chodzi o to, że ty i twoi ludzie macie rozkaz porzucić bezbożne życie poza prawem i powrócić do *Sharak Suun*. Wasze grzechy będą wam wybaczone, odzyskacie również poprzedni status.

– Rozkaz? – spytał Hasik.

– Tak tu jest napisane – rzekł Abban.

Hasik przeniósł spojrzenie na Jesana, który oddychał rytmicznie.

– A kto taki wydał ów rozkaz? Nie mylisz się, ja naprawdę nie pamiętam, kto jest moim panem.

– Wybawiciel... – zaczął Jesan, ale Hasik mu przerwał:

– Wybawiciel wzgardził mną, a pozostał lojalny wobec *khaffit*. Niedługo potem został strącony w przepaść przez Par’china. Jego dziedzic okazał się idiotą, który traktował mnie jak psa, a dał się zabić *chin*.

– Księżę Asume jest teraz Shar'Dama Ka – powiedział Jesan. – Wyrznął *Damaji* i zabił Ashana w walce o Tron z Czaszek.

– Niech Otchłań pochłonie całą tę bandę z Asume na czele! Wszyscy odwrócili się ode mnie. – Hasik pochylił się ku dawnemu przyjacielowi. – Nawet ty, *ajin'pal*.

Jesan nawet nie drgnął.

– A więc twoja odpowiedź brzmi: nie?

Hasik odprężył się i rozparł z uśmiechem na poduszkach.

– Tego nie powiedziałem. Mam już dość spania w namiotach. Myślę, że forteca otoczona murami służyłaby Eunuchom o wiele lepiej. – Spojrzał na Ormana. – Wyślij zwiadowców do tego klasztoru i sprawdź, ile faktów jesteś w stanie potwierdzić.

Orman uderzył pięścią o pierś i zerwał się na równe nogi.

– Bezwzględnie, Eunuch Ka.

– Twoja armia dezertersów nie pójdzie za kimś, kto płwa na Tron z Czaszek – oznajmił Jesan.

– Moi ludzie są lojalni, o czym niebawem sam się przekonasz. – Hasik uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyciągnął ostry, zakrzywiony miecz zza pasa. – Czuj się zaszczycony, Nocny Ojczy! Tak jak ty wprowadziłeś mnie w szeregi *Sharum*, tak ja powitam cię w szeregach Eunuchów. Będziesz się tu cieszył szczególnym szacunkiem, a mnie przyda się więcej *kai*.

Spokój Jesana wreszcie legł w gruzach. Wrzeszczał i walczył, ale ludziom, którzy go przytrzymywali i zrywali mu spodnie, nie zrobiło to żadnej różnicy.



Hasik wiedział, że upłynie wiele dni, nim wrócą zwiadowcy

Ormana, ale mimo to kazał natychmiast zwinąć obóz. Przed świtem wszystko zostało spakowane, a w chwili, gdy Hasik uniósł swój młotek, niewolnicy zabierali się do składania namiotów.

Celem uderzenia był najmniejszy palec u nogi Abbana. Co wieczór Hasik leczył go za pomocą krwi *alagai*, a rano znów łamał. Palec był teraz poskręcany, bezkształtnym kikutem, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej groteskowy.

I choć Abban robił, co mógł, nie był w stanie przyzwyczać się do bólu.

– Żarłacze denne! – krzyknął.

– Co? – zatrzymał się Hasik.

– Jezioro *chin* jest tak wielkie i głębokie, że znalazło się w nim miejsce również na pancerne ryby, które nazywają się żarłaczami dennymi.

– No i co z tego? – spytał Hasik.

– To mięso zakazane przez Ewejah – kusił Abban. – Ja jednak go kosztowałem, Eunuch Ka. Mięso, odpowiednio przyprawione, nasączone tłuszczem i sokiem z cytryny, rwie się jak zwierzęce, ale rozpływa w ustach.

Hasik skrzyżował ramiona.

– Śmiałe słowa, *khaffit*. Jeśli to kłamstwo, łatwo się o tym przekonam.

– A jeśli nie? – spytał Abban.

– Wówczas zamiast twojej kości zmiażdżę kość Dawn, żeby nie złamać obietnicy, którą złożyłem Everamowi.

Była to przerażająca perspektywa, ale po chwili Abban doszedł do wniosku, że będzie umiał z tym żyć. Najważniejsze, że w jego układach z Hasikiem doszło do przełomu.

– Sam przygotuję ucztę po tym, jak zdobędziesz klasztor. Sam zobaczysz.

– Może – rzekł Hasik, poderwał młotek i opuścił go

błyskawicznie, tak szybko, że Abban nie zdołał się przygotować. Wrzasnął wniebogłosy.



Niedługo później karawana ruszyła w drogę, wlokąc się w ślimaczym tempie po Trakcie Starego Wzgórza w kierunku Klasztoru Nowego Świtu. Z tą prędkością dotarcie na miejsce zajęłoby około tygodnia, ale pięciuset jeźdźców Hasika było w stanie pokonać dystans w niecały dzień.

– Ty jedziesz z nami – powiedział Hasik, trzymając wodze silnego krasjańskiego rumaka.

Abban spojrział z powątpiewaniem na zwierzę.

– Nie przepadam za końmi, Hasik. Gdybym miał wielbłąda...

– Kiedyś podzielałem twoją niechęć do koni – odparł wojownik. – Do niczego się nie przydawały w Labiryncie i dopiero po najeździe na zielone krainy poznałem, czym jest ból tyłka po dniu jazdy. – Uśmiechnął się. – Przekonasz się jednak, że bez jąder jeździ się łatwiej.

– Pewnie – odparł Abban. – Ale przecież będę was tylko opóźniał. Nie lepiej by było, gdybym został z karawaną i dołączył do was dopiero po zdobyciu klasztoru?

– Nikogo nie będziesz opóźniał. Cóż z tego, że masz okaleczone nogi, skoro siedzisz na koniu? – spytał Hasik. – Poza tym nie miej mnie za idiotę. Nie mam zamiaru spuścić cię choć na chwilę z oczu, *khaffit*. Jeśli zginę w bitwie, udasz się samotną ścieżką wraz ze mną!

– Everamie, nie zasłużyłem na tyle łaski – mruknął Abban i z trudem, zaciskając zęby z bólu, wspiął się na grzbiet konia, gdzie przypiął się do siodła. Hasik się nie

mylił: siodło nie uwierało go tak jak kiedyś. – Cieszymy się drobnymi błogosławieństwami – westchnął, gdy ruszyli na południe. Lekkie rumaki szybko zostawiły karawanę w tyle.

Po południu natknęli się na jednego z powracających zwiadowców Ormana.

– Jest tak, jak mówił *kai* – oznajmił Bajin i skinął Jesanowi. Hasik trzymał bowiem swego byłego *ajin'pal* blisko przy sobie, jakby prowokował go do zemsty. – Co więcej, klasztor nadal jest oblegany. Okręty *chin* stoją w porcie, a ich wojska blokują główną bramę. Wezmą klasztor dziś bądź najpóźniej jutro.

– Na czarne serce Nie! – warknął Hasik. – Przekażcie ludziom, że ruszamy ostro z kopyta!

W chwili gdy Hasik wreszcie ogłosił przerwę, Abban naprawdę się cieszył, że został pozbawiony genitaliów. Konie były spienione i zlane potem, ale oddział dotarł na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się doskonały widok na leżący w oddali klasztor.

Zachodziło właśnie słońce i *chin* wrócili do swych namiotów i kręgów runicznych.

Nie musieli się spieszyć. Twierdzą można było zaatakować jedynie z wąskiej, prowadzącej prosto do bram drogi, którą blokował teraz wielki, choć prowizoryczny obóz. Traktem wracały tysiące ludzi.

– Wiedzą, że załoga klasztoru słabnie – powiedział Orman.

– A pomoc z Krynicy Everama nie nadciąga – zgodził się Hasik.

– Wcale nie zabezpieczyli tyłów – stwierdził Jesan. – Możemy ich zaatakować o świcie.

– O świcie? – zdziwił się Hasik.

– Zachodzi słońce, a nie wolno atakować ludzi po nocy!

– Nie mam pana nad sobą – rzekł Hasik. – Nie mam

nikogo, kto mi powie, że czegoś mi nie wolno. Poza tym poławiacze ryb postąpili z nami dokładnie tak samo podczas Nowiu.

– Nie możemy naśladować taktyki niewiernych! – sprzeciwiał się Jesan.

– Nie ma już czegoś takiego jak taktyka niewiernych. Wszyscy jesteśmy wolni – oznajmił Hasik i odwrócił się do Ormana. – Daj ludziom godzinę. Niech ich konie odpoczną co nieco. Potem ruszamy.



Godzinę później pięć setek najlepszych ludzi Hasika, pozostawiwszy swoich rozbrojonych *chin* w namiotach bądź skulonych wokół ognisk, runęło do szarży pod osłoną mroku.

Sprawili zaskoczonym *chin* rzeź i obrócili ich obóz w perzynę, ale Hasik okazał większą roztropność od księcia Jayana i nie pozwalał swym ludziom zaproszyć ognia w pobliżu wozów i namiotów z zapasami.

Potem zawrócili i ruszyli w górę drogi. Nie zwalniając, przebijali się przez szeregi poławiaczy ryb i pieli ku bramom. *Chin* wznieśli tam prowizoryczne fortyfikacje, lecz ich celem miało być odpieranie ataków z murów klasztoru, a nie od tyłu. Nie minęło wiele czasu, gdy plemię Eunuchów całkowicie zawiadnęło drogą. Wówczas Hasik wraz z Jesanem, Ormanem i Abbanem podjechali pod bramę.

Hasik nabrał tchu, ale w tej samej chwili zachrząściły łańcuchy i ogromny zwodzony most zaczął opadać, by wpuścić wojska Hasika do wnętrza.

Na dziedzińcu czekali na nich *dama* Khevat oraz *kai* Icha, obaj zboczeni krwią. Skoro nawet stary kleryk został

wciągnięty do walki, sytuacja w istocie przedstawiała się fatalnie.

Khevat powitał przybyszów płytkim, nacechowanym wyższością ukłonem, który *dama* rezerwowali dla *Sharum*.

– Everam przysłał cię w naszej najczarniejszej godzinie, synu Reklana – zaczął, ale Hasik go nie słuchał. Odwrócił się do Ormana i rzekł:

– Rozstaw stu ludzi na murach i pięćdziesięciu na dziedzińcu.

– Potrzeba mi również ludzi w podziemiach – wtrącił Icha. – W jaskiniach pod klasztorem roi się od *chin*, którzy próbują przebić...

– Pięćdziesięciu do piwnicy. – Hasik mówił do Ormana, nie zaszczycając syna Ahmanna ani spojrzeniem. – Przynajmniej resztę do kolejnego ataku.

Icha zacisnął pięść i zawołał:

– Zmiażdżymy ich o świcie.

Wtedy Hasik spojrzał na niego po raz pierwszy.

– Nie, chłopcze, zmiażdżymy ich teraz, gdy są rozproszeni i zdziśiatkowani. Teraz, zanim uciekną z zapasami, okopią się czy uderzą na tylną straż.

– Trwa noc... – zaczął Khevat.

Abban wywrócił oczami.

– *Dama*, błagam. Na twoim miejscu bym się już nie odzywał.

Khevat, trzęsąc się z wściekłości, przeniósł spojrzenie na Abbana.

– Czemu ten kawałek ścierwa jeszcze żyje? Sądziłem, że już dawno go zadusiłeś.

– Zawsze miałeś problemy z oceną rzeczywistości – rzekł Hasik.

– Przecież on odciął ci fiuta! – warknął Khevat.

– A ja pożarłem jego – zgodził się Hasik. – A potem odrąbałem fiuty wszystkim swoim ludziom, żeby nikt nie

uważał się za lepszego ode mnie.

Khevat pobladł.

– Przecież to obrzydliwość!

Hasik uśmiechnął się i wyciągnął swój krzywy nóż.

– Pomódl się więc do Everama, żeby pomógł ci się do niej przyzwyczaić, *dama*.



9

Majah

334 ROK PLAGI

Teraz krew, Damajah.

Inevera wzięła odkorkowaną fioletową fiołkę z rąk Ashii i wylała kilka bezcennych kropli na kości w dłoni. Potem z wprawą przetoczyła gładkie, wypolerowane kości to w jedną, to w drugą stronę, by każda ze ścianek została równo pokryta.

Gęsty płyn, trzymany w zamkniętej, schłodzonej fiołce i nigdy niewystawiany na światło słoneczne, nadal zawierał odrobinę magii i cząstkę zapachu duszy właściciela. Wystarczyło odpowiednio dostroić kości i spróbować być może wyrwać Everamowi kilka sekretów, dzięki którym uda się odnaleźć jakiś porządek wśród wirujących dziko wizji przyszłości.

Inevera przeprowadzała ten rytuał codziennie przed wschodem słońca, gdy wciąż panowały nieprzeniknione ciemności, lecz niektóre z wykrywanych przez nią linii czasu były nadal nieodgadnione. Kobieta dostrzegała zbyt wiele rozwidleń i punktów przecięcia, by mogła dojść do jakichkolwiek sensownych wniosków. Inne wizje urywały się gwałtownie, zwiastując jej śmierć.

– Czy mogę zadać pytanie, Damajah? – zapytała Ashia.

Inevera zerknęła na dziewczynę z poirytowaniem. Zachowanie Ashii uległo zmianie na kilka tygodni przed przewrotem księcia Asome, nazwanym później Nocą Hora, czemu nie należało się dziwić. Żadna kobieta nie pozostałaby sobą po tym, jak jej własny brat usiłował ją udusić, a mąż przyglądał się temu bezczynnie.

Nawet teraz, stojąc na straży sypialni swej pani, Sharum'ting Ka miała przepasaną chustę, w której spał jej malutki synek Kaji. Za nic w świecie nie zgodziłaby się rozstać z dzieckiem, nawet podczas pełnienia świętego obowiązku.

Inevera jednak przekonała się, że Kaji nie przeszkadza Ashii w niczym, o czym najlepiej świadczyła liczba trupów, które Ashia pozostawiła po sobie podczas przewrotu. Kaji, podobnie jak jego matka, potrafił być nadzwyczajnie cichy, gdy tego chciał. Inevera nieraz zaglądała w jego aurę i widziała, że serduszko zaczynało bić wolniej w chwilach, gdy jego matka spowalniała bicie własnego. Damajah czuła, że kiedyś stanie się wybitnym Wypatrywaczem.

Bywało jednak, że głos Kajiego niósł się daleko po komnatach *dama'ting*. Jego śmiech sprawiał, że ciężar obowiązków stawał się lżejszy, lecz wrzask potrafił nawet Ineverę wybić z koncentracji.

Mały Kaji przejmował powoli cechy matki, ale ona również uczyła się od niego i Inevera wiedziała, że nigdy wcześniej nie ośmieliłaby się zakłócić rytuału rzucania

kośćmi.

– Pytaj – rzekła Inevera.

Podczas Nocy Hora Ashia zaryzykowała wszystko, by sprowadzić Kajiego i jego babkę Kajivah do komnat Damajah. W tym momencie dla Inevery jej eunuchy oraz siostry włóczy byli przypuszczalnie jedynymi osobami w Krasji, w których pokładała całkowite zaufanie, a Ashia dobrze o tym wiedziała. Nic więc dziwnego, że teraz, gdy musiała się martwić nie tylko o Damajah, ale i o swoje dziecko, zaczynała odzywać się coraz śmieiej.

– Dlaczego marnujesz czas na poszukiwania *khaffit*, skoro wrogowie gromadzą się w tym właśnie pałacu? – spytała Ashia.

Bo mój mąż nie żyje, pomyślała Inevera, ale nie powiedziała tego na głos.

Czasem miała wrażenie, że Nie przygniata ją coraz to kolejnymi głazami, co do jednego pochodzącymi z fundamentów popękanych w chwili upadku Ahmanna. Nieoczekiwane wyzwanie, które rzucił Jardirowi Par'chin, wywołało taki zamęt, że dekady starannego planowania wydarzeń poszły na marne. Inevera związała swój los zbyt blisko z Ahmannem, pewna, że to on jest Wybawicielem. Przekonana, że on nie może ponieść klęski, a gdy połączą swój potencjał, ich wspólna potęga nie będzie miała granic.

Tymczasem już nie żył, a wraz z nim zginęło wielu innych. Ineverze zewsząd groziły włócznie, mierzące w samo serce tego, co zbudowała wraz z Ahmannem. Nawet jej *Jiwah Sen* nie zasługiwały już na zaufanie. Synowie wszystkich oprócz Beliny rządzą w tej chwili swoimi plemionami, a siostry-żony miały własne majątki i własną władzę. Stały się kapryśne i nieposłuszne i Ineverze kończyły się sposoby utrzymania nad nimi kontroli.

„Wasze losy są splecione” – powiedziały kiedyś kości o niej i o Abbanie. Musieli więc połączyć swoje siły, by

oprzeć się burzy po odejściu Ahmanna.

– Ponieważ Everam nie dba o to, jakie brzemie dźwigamy – rzekła Inevera. – Everam dba tylko o jedną jedyną rzecz.

– O *Sharak Ka* – pokiwała głową Ashia.

– Twój mąż całkiem o tym zapomniał – dodała Inevera. – Zależało mu jedynie na zrealizowaniu celów politycznych. Zdobył tron, ale nie ma pojęcia, jak toczyć Pierwszą Wojnę. Ktoś musi się na tym skupić. *Khaffit* to wielki atut, a my musimy wykorzystać każdą przewagę. Obawiam się, że jeśli Abban wkrótce nie powróci, jego krewniak Jamere odbierze mu wszystko i odda Asome.

Zacisnęła powieki i wyszeptała modlitwę do Everama. Czuła, jak *alagai hora* rozgrzewają jej palce, gdy ich magia przybierała na sile, dostrojona do aury Abbana. Zaczekała na odpowiednią chwilę i rzuciła kośćmi. Runy przepowiedni zapłonęły, a nieruchomiejące kości uchyliły na moment drzwi ku nieznanemu.

– Ma go mężczyzna, który nie jest mężczyzną – szepnęła Inevera, skupiona na utrzymaniu równowagi.

Jeśli Abban wpadł w ręce Hasika, przyszłość kupca nie przedstawiała się w różowych barwach, ale należało pamiętać o tym, że Hasik był brutalnym człowiekiem, czerpiącym mnóstwo satysfakcji z cierpień innych. Z pewnością nie zabił Abbana od razu. Bez wątpienia chciał się nad nim znęcać w nieskończoność, aż Abban wykrwawi się z tysiąca ran. Być może zostało im jeszcze trochę czasu.

– Hasik – rzekła Inevera.

Ashia nie potrzebowała dalszych poleceń. Bez wahania udała się do chłodnej komnaty, gdzie Inevera trzymała krew niemalże wszystkich ważnych mężczyzn, kobiet i dzieci w Krasji. W innej sytuacji oczyściłaby kości przed kolejnym rzutem, ale losy Abbana i Hasika były teraz związane i Damajah zdecydowała się pozostawić jego

esencję, by wzmocnić działanie zaklęcia.

Ashia powróciła z krwią Hasika. Inevera narzuciła sobie odprężający rytm oddechu i rozluźniona obróciła lepkie kości w świeżej krwi.

– Everamie, Dawco Światła i Życia – modliła się – Twoje dzieci szukają odpowiedzi. Błagam Cię, żebyś zdradził mi sekrety na temat Hasika asu Reklan am’Kez am’Kaji, byłego szwagra Shar’Dama Ka. Gdzie można go znaleźć?

Skupiła się.

– Potężniej niczym trucizna na Północy – mówiły kości.

– Rośnie w nim moc Nie. Odwrócił się od *Sharak Ka*...



– Shar’Dama Ka!

Wartownicy uderzyli włóczniami w podłogę, gdy Asome wkroczył do sali tronowej.

Inevera rozparła się na poduszkach ułożonych na podwyższeniu obok powleczonego elektrum Tronu z Czaszek. Przekonująco udawała rozluźnienie, obojętność i uległość, choć w głębi serca czuła jedynie napięcie.

Musiała jednak przyznać, że jej drugi syn prezentował się godnie. Podobnie jak ojciec, nakrywał białą szatą czarny strój wojownika i nosił idealne podróbki Włóczni oraz Korony Kajiego. Z odległości kilku kroków oba artefakty niczym nie różniły się od oryginałów, utraconych, gdy Par’chin cisnął Ahmanna w mrok.

Evejah zabraniało mężczyznom klerykom noszenia broni ostrej i nikt z nich, nie licząc Wybawiciela, od wieków nie nosił korony. Oba przedmioty były więc wyraźnym sygnałem, że Asome wyrósł ponad istniejące zasady.

Za jego plecami szedł trzeci syn Inevery, Hoshkamin,

który teraz otrzymał godność Sharum Ka, a dalej ich dziesięciu braci *Damaji*, z których każdy miał piętnaście lat i dowodził całym plemieniem. Wszyscy spoglądali na starszego brata z uwielbieniem i posłuszeństwem.

Gdy Asome podszedł bliżej, Inevera zauważyła, że zarówno włócznia, jak i korona nie dysponują nawet częścią runów, które wygrawerowano na oryginałach, ale gdy przyjrzała im się w świetle Everama, odkryła, że jaśnieją znaczną mocą, której nie należało ignorować. Insignia, wykonane z elektrum i ozdobione bezcennymi klejnotami, zawierającymi cząstki kości demonów, pokryte były rzędami runów, które wyszły spod ręki Melan i Asavi. Zdrada, jak widać, planowana była od dawna.

Czarne turbany *Damaji* ozdobione były pojedynczymi runicznymi klejnotami. Diamenty idealnie przewodziły i skupiały magię, a każdy z nich został naznaczony runami przez *Damaji'ting* i obdarzał chłopców drobnymi mocami.

Niemniej korona Asome, podobnie jak ta, którą nosił Ahmann, zwieńczona była siedmioma rogami, a w każdym z nich osadzony był inny klejnot. Nawet Inevera nie potrafiła oszacować rozmiarów mocy noszącego ją Asome, a nigdy dotąd nie widziała, by opuścił swoje skrzydło pałacu bez niej.

Przypuszczalnie nadal mogła go pokonać w magicznym starciu, ale nie przyszłoby jej to łatwo i wyzwanie na pewno wiązałoby się ze sporym ryzykiem. Asome również o tym wiedział. Działał ostrożnie, by nie musieć testować własnej magii w starciu z matką.

Ahmann, który był pewien swojej mocy oraz pozycji, zasłaniał okna sali tronowej, by wraz z Ineverą móc swobodnie korzystać z magii, lecz Asome kazał zerwać ciężkie zasłony. Komnatę zalały promienie słońca ze wschodu i zachodu, a Asome ogłosił, że będzie zasiadał na tronie jedynie w blasku słońca, który jest darem Everama.

Inevera bardzo chciała uwierzyć w to, że postąpił tak ze strachu przed nią, ale w głębi serca wiedziała, że czynami syna kierowała mądrość, a nie lęk.

Kryjesz w sobie tak wiele ze mnie, mój synu, pomyślała ze smutkiem Inevera.

– Matko – odezwał się Asome, który zatrzymał się u dołu schodów i uklonił lekko.

– Mój synu. – Inevera wyciągnęła ku niemu rękę.

Zasady uprzejmości nakazywały, by Asome ją ujął, ale był czujny i uważny niczym zaklinacz węży. Trzymał dłoń Damajah lekko, jakby spodziewał się szarpnięcia, a pochylił się nad nią po to, by pocałować powietrze nad jej skórą.

– Gdybym chciała stracić cię z tronu, zrobiłabym to już kilka tygodni temu – powiedziała Inevera cicho, nie chcąc, by ktoś inny to usłyszał.

Asome wyprostował się płynnie.

– A skąd mam wiedzieć, czy kości nie kazały ci zaczekać?

– Odwrócił się i podszedł do tronu. – Zawsze były dla ciebie o wiele ważniejsze od rodziny – dodał.

Przed nimi młodzi *Damaji* mierzyli się identycznymi spojrzzeniami ze swymi matkami *Damaji'ting*. Od wieków było ich zawsze dwanaście par, ale od Nocy Hora pozostało jedynie dziesięć.

Dama Jamere wstał zza biurka, które przez tyle lat zajmowane było przez Abbana. Od chwili zniknięcia wuja młody *dama* sprawował całkowitą kontrolę nad ogromnym majątkiem Abbana i odziedziczył po nim pałac na dworze Wybawiciela.

Jamere uklęknął przed stopniami, ułożył dłonie na podłodze, a potem przytknął do niej czoło.

– Zaszczycasz ten dwór swoją obecnością, Wybawicielu – rzekł.

Podobnie jak Abban, Jamere był całkowicie zepsuty, ale inaczej niż jego wuj. Deprawacja Abbana okazywała się

użyteczna zarówno dla Ahmanna, jak i dla Inevery, lecz Jamere był człowiekiem nieprzeniknionym i trudno było ustalić, wobec kogo tak naprawdę jest lojalny. Nawet skanowanie jego aury w świetle Everama nic Ineverze nie dało.

Asome i Jamere znali się z Sharik Hora i Inevera nie musiała zaglądać do ich aur, by wiedzieć, że kiedyś łączyła ich miłość. Asome i Asukaji nie otaczali swojej orientacji tajemnicą i gdy pobierali nauki jako *nie'dama*, wielu innych chłopaków było gotowych im się oddać w nadziei na przychylność potężnych rodzin. Asukaji już nie żył, a więc należało tylko czekać, aż Asome powróci do dawnych zwyczajów.

Inevera zerknęła na syna, który przyglądał się najbogatszemu mężczyźnie w Krasji leżącemu plackiem przed tronem. Na ustach Asome pojawił się lekki uśmiezek.

Być może już do nich powrócił, pomyślała Inevera. Muszę odnaleźć Abbana, i to szybko.

– Powstań, przyjacielu! – rzekł Asome i wykonał ruch włócznią. – Ten dwór wiele zyskał na tym, że zastąpiłeś tego *khaffit*.

– Mało kto potrafi tak skutecznie wyciskać pieniądze z innych jak mój drogi wuj – odparł Jamere. – Jeśli taka będzie *inevera*, wkrótce do nas powróci.

Asome pokiwał głową.

– Być może jednak zginął podczas niefortunnego ataku mojego brata na Leśną Fortecę, co wynosi ciebie do rangi stałego członka mojego dworu. To również *inevera*. Możesz wejść na szósty stopień.

Jamere podniósł się płynnie i z uśmiechem ruszył w górę po stopniach, aż zatrzymał się na szóstym i przedostatnim. Jego głowa znajdowała się nieco niżej niż głowa Asome, ale na tyle blisko, by mogli zacząć do siebie szeptać. Ich

rozmowa była tak cicha, że Inevera musiała mocno wyteńczyć słuch.

– Od czego zaczynamy? – spytał Asome.

Jamere spojrział na dokumenty przypięte do tabliczki, ale był to gest na pokaz. Podobnie jak jego wuj, pamiętał każde słowo.

– Od Kaji, Shar’Dama Ka.

Kaji, największe i najpotężniejsze plemię w Krasji, straciło podczas przewrotu obu przywódców. Asome i Inevera, którzy sami wywodzili się z Kaji, przejęli władzę w plemienu, ale osłabiało to ich bezstronność, tym bardziej że mieli przeciwko sobie zbuntowanych Majah.

Asome zwrócił się do Inevery, lecz jego słowa były słyszalne dla wszystkich członków dworu:

– Matko, kiedy moja siostra powróci z zielonych krain, żeby przywdziać czarny turban *Damaji’ting*?

– Wysłałam umyślnych – odparła Inevera. – Twoja siostra nie wyrzeknie się swojej odpowiedzialności.

– A więc gdzie jest? – spytał ostro Asome. – Powinniśmy mieć już od niej odpowiedź.

– Cierpliwości, synu – doradziła mu Inevera. – Wszak sam również nie znalazłeś jeszcze nowego *Damaji* dla Kaji.

– Mój syn będzie *Damaji* – rzekł Asome.

– Twój syn to niemowlę – przypomniała mu Inevera. – Cierpliwości – powtórzyła.

– W istocie – uśmiechnął się Asome. – Z tego względu postanowiłem wyznaczyć tymczasowego *Damaji*, który przywdzieje turban i będzie przemawiał na Radzie do czasu, gdy mój syn przywdzieje białą szatę.

Jamere dał sygnał, a wówczas strażnicy otworzyli wrota i wpuścili niewielką grupę mężczyzn, na których czele siedł *dama* Baden. Kleryk już dawno przekroczył siedemdziesiąty rok życia, a jego wydatny brzuch sterczał niczym u ciężarnej kobiety. Idąc, wspierał się na lasce, ale

jego wzrok pozostawał niezmałony. Z uśmiechem tryumfu zatrzymał się przed stopniami.

Za nim szedł jego wnuk i dziedzic, *Shar'Dama* Raji, kolejny młody człowiek z pokolenia Asome, a obok niego *kai'Sharum*, który chronił ich obu.

Cashiv.

Na jego widok Ineverze zrobiło się zimno. Przez lata nikt nie wiedział, że jej rodzina żyje na bazarze, a Damajah wierzyła w to, że nadal pozostaną anonimowi. Przecież wiele kobiet nosiło imię Inevera, a *dama'ting* zasłaniały twarze, by skryć swą tożsamość.

Tymczasem Cashiv był kochankiem Soliego, brata Inevery, a zarazem jednym z ostatnich ludzi na świecie, którzy pamiętali Ineverę jako dziecko oraz jej rodzinę. Kasaad, ojciec Inevery, zabił Soliego za to, że okazał się *push'ting*. Cashiv zaś, choć obawiał się *dama'ting* i poniechał zemsty, na pewno o niczym nie zapomniał.

Cashiv spojrzał jej w oczy, a Inevera zrozumiała, że ją rozpoznał.

– Baden zawsze był cierniem w boku Rady – powiedziała cicho do syna, nie chcąc, by ktoś jeszcze ją usłyszał. – Jest chciwy i żądny władzy. Nie jest godzien zaufania.

Jej słowa nie zrobiły na Asome wrażenia.

– Tymczasem zasłużył sobie na moje zaufanie.

– A co ci zaofiarował w zamian za przywrócenie mu roli przywódcy Rady? – spytała Inevera.

Asome uśmiechnął się.

– Coś, co nie ma ceny. – Odwrócił się do Jamere. – Skoro Rada jest już w komplecie, możesz wezwać Majah – rozkazał.

Baden oraz jego towarzysze ukłonili się z pokorą, po czym zajęli miejsce na czele młodych *Damaji*, a Jamere ponownie dał znak strażom.

Drzwi stanęły otworem i do środka wtargnął *Damaji*

Aleveran, mężczyzna niespełna sześćdziesięcioletni, pełen energii i niebezpieczny. Gdy Maji, należący do Majah brat Asome, nie zdołał zabić *Damaji* Aleveraka, Asome osobiście przeprowadził na nim egzekucję. Złamał tym samym postanowienia paktu pokojowego między Kaji i Majah, trwającego od czasu, gdy Ahmann przejął tron. Asome nie miał innego brata wśród Majah, którego mógłby wynieść do roli przywódcy, przez co czarny turban przejął najstarszy syn Aleveraka, Aleveran, co poparło niemal całe jego plemię.

Aleveran natychmiast opuścił Radę, uwięził Belinę i przywrócił stanowisko *Damaji'ting* starej, ale straszliwej Chavis, która sprawowała je poprzednio. Ta wkroczyła do sali tronowej w ślad za nim, równie wściekła jak *Damaji*. Aleverak cieszył się wszak ogromnym szacunkiem, a jego honor nie miał granic. Po zamordowaniu go w plemienu Majah zawrzało.

Trudno więc było się dziwić, że Aleveranowi i Chavis towarzyszyła niewielka armia *Sharum*. Nie byli tak liczni jak wojownicy Włóczni Wybawiciela, którzy stali szeregiem wzdłuż ścian sali, ale byli skupieni i gotowi do walki na śmierć i życie w obronie swych przywódców.

– *Damaji* Aleveran! – zawołał Asome bez wstępu. – Wzywam ciebie oraz twoją *Damaji'ting*, byście uklękli przed Tronem z Czaszek i zajęli należne wam miejsce. Zróbcie tak, a wasze winy zostaną wam wybaczone.

– Wybaczone? – warknął Aleveran. – To nie ja popełniłem przestępstwo, chłopcze. To nie ja pokalałem tę salę podłością!

– Bacz na słowa, *Damaji*! – ostrzegł go Hoshkamin, a wojownicy zeszywnieli, gotowi do walki. – Stoisz przed obliczem Shar'Dama Ka!

Aleveran wyglądał, jakby miał ochotę splunąć na posadzkę, ale rozmyślił się, gdy Chavis położyła mu rękę na

ramieniu.

– Shar'Dama Ka nie żyje – oznajmił. – A Majah nie pokłonią się uzurpatorowi, który sięga po magię kości, żeby mordować w nocy!

Hoshkamin zmrużył oczy, lecz Asome był mądrym człowiekiem i wiedział, że nie może doprowadzać do eskalacji przemocy.

– Zachowaj spokój, bracie – rzekł do Hoshkamina, a potem zwrócił się do Aleverana: – *Sharak Suun* trwa, *Damaji*, a nadciąga *Sharak Ka*. Jeśli chcemy osiągnąć zwycięstwo, Krasja musi stać zjednoczona. Nie chcę dalszego rozlewu krwi w tej sprawie. Chcę natomiast, żebyś reprezentował swoje plemię tak, jak czynił to twój ojciec.

– Jak mogę stawać przed obliczem człowieka, który go zamordował? – spytał ostro Aleveran.

– Dobre pytanie – odezwała się Inevera, przyciągając uwagę wszystkich zebranych. – Jak?

Wszyscy w pałacu, i przypuszczalnie również poza nim, wiedzieli, że Asome próbował zabić również i ją.

– Nie jesteś pierwszym *Damaji*, który stracił ojca w walce o tron. Wszyscy mamy obowiązek służyć woli Everama.

Damaji'ting Chavis zrobiła krok naprzód.

– W tym się zgadzamy, ale wola Everama zawsze jest i była tajemnicą. Poradziłam się *hora*, a Stwórca podsunął mi rozwiązanie naszego problemu.

Inevera zmrużyła oczy. Nie miała pojęcia, jaką grę prowadziła staruszka, i żałowała, iż nie może zaciągnąć zasłon, by wejrzeć w jej aurę.

– Interesujące – rzekła. – Mnie *hora* nie powiedziały niczego takiego.

– Mamy więc szczęście, że pozostały wśród nas takie, które mają więcej doświadczenia – oznajmiła Chavis i uśmiechnęła się do Damajah z życzliwą

protekcjonalnością.

Inevera odpowiedziała uśmiechem, ale w głębi duszy marzyła, żeby wyciągnąć różdżkę z *hora* i zamienić *Damaji'ting* Majah w kupkę dymiącego mięsa.

– Jak brzmi owo rozwiązanie? – spytał Asome.

Słowa Aleverana sprawiły, że w sali tronowej zapadła absolutna cisza, a w oczach obecnych pojawił się szok.

– Majah wezmą swoje łupy i wrócą do Pustynnej Włóczni.



Inevera i Asome klęczeli na poduszkach w prywatnej, sąsiadującej z salą tronową komnacie, która służyła im do rzutów kośćmi. W obu wejściach wisiały grube, ciężkie zasłony, które zatrzymywały blask słońca, opromieniający Tron z Czaszek. Otoczona ciemnością Inevera odprężyła się nieco, czując, jak wraca jej moc.

Ulga minęła w chwili, gdy zerknęła na syna. Asome mienił się w świetle Everama niemal równie intensywnie jak jego ojciec. Jego aura była płaska i równa, co bez wątpienia było wynikiem wielu lat medytacji. Aurę wielkich mistrzów *dama* pogrążonych w medytacji przepajała równa, niezmacona biel, ale nawet najlepsi spośród nich nie potrafili całkowicie zamaskować emocji przepływających przez powierzchnię aury w trakcie codziennych czynności. W chwilach, gdy Asome przyswajał nowe informacje, jego aura rozblęskiwała tu i tam.

Inevera zastanawiała się, co widział, gdy patrzył na nią, i do jakiego stopnia rozwinął swój talent odczytywania ustawicznie zmieniających się kolorów aury oraz odszukiwania wzorów oznaczających ukryte sekrety.

– Gdzie jest moja rodzina? – zapytała ostro.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – rzekł Asome.

Jego aura sugerowała, że właśnie skłamał, ale Damajah nie wiedziała, czy stracił nad sobą kontrolę, zaskoczony jej nagłym pytaniem, czy też po prostu pozwolił, by to ujrzała. Pobrała magię z wielkiej kości ukrytej w podłodze pod jej poduszką. Asome zmrużył oczy, gdy aura Inevery nagle pojaśniała. Na jego twarzy nie było znać żadnych emocji, lecz aura zdradzała strach.

– Nie okłamuj mnie, chłopcze – powiedziała Damajah.

Lęk znikł, gdy Asome rozejrzał się dookoła siebie.

– To ta sama komnata, w której ojciec kochał się z Leeshą córką Erny’ego, prawda?

Inevera zamrugła, gdy Asome spojrzał na swoją poduszkę.

– Może wziął ją właśnie w tym miejscu? Była tylko brudną *chin*, choć stosunkowo nadobną, oczywiście jeśli ktoś w takowych gustuje. Słyszałem, że przeprowadziłaś przemeblowanie za pomocą ognia, gdy już było po wszystkim.

Inevera musiała przyznać, że Asome dobrze wiedział, jak ją ugodzić do żywego. Pochyliła się przed nacierającym wiatrem. Jej twarz pozostała spokojna i niczego nie zdradziła.

– A ty gdzie uklęknąłeś, żeby possać Cashivowi fiuta?

Asome odpowiedział wrednym uśmiechem.

– Nie będę mu niczego ssał. Tym zajmie się dziadek Kasaad, jeśli nie oddasz mi Kajiego. Oczywiście do chwili, gdy Cashiv postanowi go zabić.

Inevera na moment utraciła swoją idealną równowagę. Odzyskała ją oddech później, ale Asome bynajmniej tego nie przeoczył. Jego aura rozbłysła zadowoleniem z niewielkiego sukcesu.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Twój ojciec wybaczył Kasaadowi jego grzechy – powiedziała Inevera. – Uda się na łono Everama z czystym sumieniem.

– Zamordował ci brata, gdyż ten był *push'ting* – rzekł Asome. – Czyż to nie dlatego postanowiłaś go przed nami ukryć? Uznałaś zapewne, że nie okażę takiego miłosierdzia jak ojciec.

– Shar'Dama Ka musi okazywać miłosierdzie – odparła Inevera.

– Jedynie miłosierdzie Everama nie ma granic. – Asome wzruszył ramionami. – Utrzymywałaś miejsce pobytu swoich rodziców w tajemnicy tak długo, że nie uronię ani łzy po ich śmierci.

Sama Inevera dopiero niedawno pogodziła się z ojcem po zbrodni, której był autorem. Serce krajało jej się na samą myśl o tym, co przyjdzie jej zrobić, ale nie miała wyboru. Jej więźniowie byli najważniejszą kartą przetargową w konflikcie z Asome i nie mogła ich wydać, nawet jeśli ceną miała być śmierć Kasaada.

– A co zrobisz z Manvah?

– Będzie bezpieczna w moim więzieniu, gdzie spłyną na nią wszelkie zaszczyty należne matce Damajah – rzekł Asome. – Mam nadzieję, że *tikka* traktowana jest z równym szacunkiem.

– Oczywiście. – Inevera skinęła lekko głową. – Omówmy teraz błędy, jakie popełniłeś, pnąc się na siódmy stopień. Mam na myśli przede wszystkim porażkę z Majah.

W aurze Asome zapłonęła irytacja, choć on sam zdobył się na uśmiech.

– Pamiętasz chwilę, gdy ojciec zasiadł na tronie? Czy naprawdę istnieje duża różnica między tym, co on zrobił, a co ja? Przecież ojciec również nie zdołał w pełni okiełznać Majah. Utrudniają nam pełne zjednoczenie od dnia, w którym Kaji pokonał Majah w *Domin Sharum* trzy

tysiące lat temu.

– Gdybyś zaczekał do chwili, gdy Maji podrośnie...

Asome machnął lekceważąco dłonią.

– Znałem mojego brata lepiej od ciebie, matko. Dorastałem wraz z nim w Sharik Hora i wiem, że nigdy nie stałby się na tyle potężny, żeby pokonać Aleveraka. Wiedziałem, że prędzej czy później poniesie porażkę. Taka była *inevera*.

– A jaki miałeś plan na tę ewentualność? – spytała Damajah.

– Skupmy się na chwili obecnej – rzekł Asome. – Istnieją jedynie dwa rozwiązania. Trzeba znaleźć coś, co udobrucha Majah na tyle, że zgodzą się przyjąć nowy porządek, albo zmusić ich do uległości.

– Jakim kosztem? – spytała Inevera. – Majah są zbyt liczni. Otwarta wojna wygubi nas i zdziesiątkuje, a przecież nadciąga *Sharak Ka*.

– Moglibyśmy pozwolić im odejść – powiedział Asome – ale to też nas osłabi. Wszak ludzie z zielonych krain już nas przewyższają liczebnie.

Inevera sięgnęła do sakiewki z kośćmi.

– A to są pytania do Everama.



Inevera wzniosła swój zakrzywiony nóż.

– Wyciągnij rękę – powiedziała.

Aura Aleverana była nieporuszona niczym kamień, ale zerknął na Chavis. *Damaji'ting* skinęła lekko głową, po czym Aleveran podwinął rękaw. Jego ramię ani drgnęło, gdy Inevera wykonała krótkie, płytkie nacięcie. Nie chciała wycisnąć ani kropli krwi więcej, niż to było konieczne do

rzucenia zaklęcia. Nie chciała jeszcze bardziej irytować Majah.

– Everamie, Stwórco Niebios i Ala, Dawco Światła i Życia, Twoje dzieci potrzebują wskazówek. Czy *Damaji Aleveran* powinien poprowadzić swoich ludzi z powrotem do Pustynnej Włóczni?

Turlające się kości zapłonęły, a Inevera i Chavis pochyliły się nad nimi, gdy znieruchomiały. Ich spojrzenia przeskakiwały od symbolu do symbolu i szacowały ułożenie *hora* wobec siebie oraz wobec wschodu, gdzie co dzień rodziło się światło Everama. Mimo to natychmiast pojawiała się wiele interpretacji i rozmaitych wizji przyszłości. *Dama'ting* przez całe życie doskonaliły sztukę odczytywania rzutów, ale często zdarzało się, że nawet najbardziej uzdolnione w tej dziedzinie przedstawiały odmienne wersje.

– Jeśli bramy Pustynnej Włóczni zamkną się za Majah, nie otworzą się ponownie bez rozlewu krwi – odczytała Inevera i spojrzała na Chavis, by się przekonać, czy ta się sprzeciwi jej interpretacji.

Staruszka burknęła jedynie pod nosem na znak, że się zgadza.

– To *inevera* – powiedziała Chavis. – Ahmann Jardir był fałszywym Wybawicielem, a jego armiom pisana jest klęska. Pustynna Włócznia jest naszą ostatnią nadzieją.

– Nie wiem, czego uczono w Komnacie Cieni, gdy byłaś młoda, *Damaji'ting* – rzekła Inevera. – Ale my uczymy *nie'dama'ting*, że nie wolno zakładać tego, czego kości nie mówią.

– Być może nasze armie stoją w obliczu zagłady dlatego, że Majah dezertują w decydującym momencie – powiedział Asome. – Umykają i chowają się niczym *khaffit* w chwili, gdy cała ludzkość jednoczy się przeciwko Nie.

– Nikt się nie jednoczy wokół ciebie, chłopcze – rzekł

Aleveran. – Twoja armia już jest zaledwie częścią tego, co zbudował twój ojciec, i kurczy się z dnia na dzień. Co jeszcze ci się marzy? Walki uliczne?

– Uczynię cię przywódcą Rady *Damaji* – zaproponował Asome. – Zajmiesz to samo stanowisko, które piastował twój ojciec. Będziesz odpowiadał tylko przed tronem.

Aleveran pokręcił głową.

– Niech Otchłań pozre tę całą Radę! Nie pochylę głowy przed człowiekiem, który złamał święte prawo i zamordował mojego ojca w środku nocy!

Inevera spojrzała na Chavis.

– Pora zadać kościom kolejne pytanie.

– Miałaś już okazję, żeby pomazać swoje *hora* krwią Aleverana – rzekła Chavis. – Pora, żeby Asome użył mi kropli własnej, żebym i ja mogła zadać pytanie.

Asome wyprostował się i zeszywniał.

– Jestem Shar'Dama Ka. Czy ty masz czelność prosić mnie o moją krew?

– Kropla twojej krwi może ocalić życie wielu twoim rodakom – odparła Chavis. – Skoro jesteś Shar'Dama Ka, zapewne twoja mądrość pozwoliła ci już to ujrzeć.

W aurze Asome zamigotała wątpliwość. Obrócił się ku Ineverze, gotów spytać o radę, ale rozmyślił się w porę. Podwinął rękaw i wyciągnął ramię, tak jak chwilę wcześniej zrobił to Aleveran.

– Everamie, Stwórco Niebios i Ala, Dawco Światła i Życia – zaintonowała Chavis, potrząsając kośćmi i pozwalając, by oblekła je krew – Twoje dzieci potrzebują wskazówek. Czy *Damaji* Aleveran powinien pokłonić się przed Asome asu Ahmann am'Jardir am'Kaji?

Kości potoczyły się, a obie kobiety znów się nad nimi pochyliły, by odczytać ich przekaz. Podobnie jak przed chwilą, jedna wizja okazała się wyraźniejsza od pozostałych.

– Nie – powiedziała Chavis.

Inevera pokiwała głową, potwierdzając wyrok starej *Damaji'ting*. Patrzyła przy tym na Asome, ale widziała, że ten jej nie ufa.

– Skoro nie możecie z nami zostać, udajcie się ku Krynicy Everama – zaproponował Asome. – To bogate ziemie, obfitujące w wodę, równie zielone jak Lenno. Oddaję je wam, żebyście zajęli je dla Everama.

Aleveran pokręcił głową.

– I co mamy tam robić? Zaczekać, aż stopnieje lód, a poławiacze ryb wznowią ataki? Nie mam ochoty stanowić buforu między tobą a ludźmi z zielonych krain, zwłaszcza po tym, jak rozbili armie twojego brata. Sam się tam udaj, a Lenno Everama pozostaw nam.

– Prędzej sięgnę po twoją głowę – warknął Asome.

– A więc co cię powstrzymuje? – rzucił mu wyzwanie Aleveran. – Wydaj nam bitwę albo pozwól odejść w pokoju, żebyśmy obsadzili ostatnią twierdzę, która stanie na drodze Nie.



IO

Sprawy rodzinne

334 ROK PLAGI

Miejcie się na baczności, siostry” – przekazały palce Jarvah. „Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Damajah była tak wściekła”.

Ashia odnalazła równowagę, w czym pomógł jej ciężar śpiącego w chuście syna. Zaraz do komnaty wpadła Damajah. Okna były szczelnie zasłonięte i w świetle Everama widać było, jak jej magia jaśnieje i skrzy.

– On ma moją rodzinę! – warknęła Damajah.

Ashia przechyliła głowę. Jej rodzinę? Ashia oraz pozostałe siostry włóczy łączyły z Damajah więzy krwi, ale wszystkie przebywały tutaj. Wybawiciel zaginął, Jayan nie żył, a Asome zasiadł na tronie. O kogo więc jej chodziło?

– Proszę o wybaczenie, Damajah, ale nie rozumiem.

Inevera odnalazła ją wzrokiem. Spojrzenie Damajah zawsze potrafiło wyprowadzić z równowagi, ale teraz płonęło z ogromną intensywnością. Ashia oddałaby wszystko za możliwość odwrócenia głowy.

– Chodzi o moją matkę i ojca, Manvah i Kasaada – odparła. – Oboje do niedawna toczyli zwykle życie na bazarze i nikt nie miał pojęcia, co ich ze mną łączy. Nawet sam Wybawiciel dowiedział się o nich niedługo przed swoim upadkiem.

Ashia zamrugała. Wraz z pozostałymi dziewczętami były dla Damajah niczym cienie, ale właśnie się okazało, że nawet one słabo ją znały.

– Czyżby Asome dowiedział się o ich istnieniu i wziął oboje na zakładników? – spytała Ashia.

– Cashiv, przyboczny *dama* Badena, wiedział o ich istnieniu. – Micha aż podskoczyła, gdy Damajah splunęła na podłogę. – Już dawno powinnam była go zabić. – A potem pokręciła głową. – Nie mogę na coś takiego pozwolić. Po zachodzie słońca zabierz swoje siostry włóczni do skrzydła mojego syna i odnajdź ich!

Ashia opiekuńczym gestem objęła wtulonego w jej pierś Kajiego.

– Nie mogę zabrać mojego syna do skrzydła Asome! Micha i Jarvah...

Oczy Damajah zapłonęły, a jej aura pojaśniała tak bardzo, że nie można było wręcz na nią patrzeć. Ashia zasłoniła dłonią oczy ze strachu przed oślepieniem.

– Oni. Mają. Moją. Matkę – wycedziła Damajah. Każde jej słowo było niczym smagnięcie biczem. – Już wystarczająco długo znoszę twoją bezczelność, Sharum'ting Ka. Nie będziesz wysyłać swoich siostrzyczek samotnie na spotkanie z niebezpieczeństwem! Wypełnisz moją wolę co do joty, a Kaji będzie bezpieczny w Krypcie wraz ze swoją babką!

Ashia osunęła się na kolana i przytknęła czoło do podłogi.

– Tak, Damajah.

– A some dał mi do zrozumienia, że są przetrzymywani w apartamencie książęcy – ciągnęła Damajah. – Bez wątpienia chce lepiej poznać swoich dziadków. Rozpocznijcie przeszukiwanie tam i schowajcie gdzieś *hora*, żebym mogła podsłuchiwać, co tam się dzieje.

– Oczywiście, Damajah – przytaknęła Ashia.

– Gdy będziecie miały pewność, gdzie są przetrzymywani, wróćcie do mnie. Uwolnię ich sama.

Ashia uniosła głowę, przerażona do granic. Ineverę nadal otaczał oślepiający nimb i dziewczyna czym prędzej zamknęła oczy.

– Ależ, Damajah! Nie możesz wystawiać się na niebezpieczeństwo!

– To *inevera* – odparła Damajah.



Ashia zagłębiła się w labirynt tajnych korytarzy prowadzących do Podpałacu Damajah, dopiero co wykutych w skale pod pałacem księcia zielonych krain. Na gładkich kamiennych ścianach migotały rzędy runów, chroniących zarówno przed atakami demonów, jak i nadmierną ciekawością śmiertelników. Właśnie tu Damajah opracowywała najgroźniejsze zaklęcia i kryła największe skarby.

– Na czarne serce Nie! – dobiegł ją wzmocniony echem głos. – Czy ktoś tu jeszcze logicznie myśli? Powiedziałam wyraźnie! Sok jabłkowy!

„Znowu któryś z jej nastrojów?” – Ashia zamigała

palcami, kierując pytanie do eunucha pilnującego drzwi.

„O ile się orientuję, ona ma tylko jeden” – odpowiedział ten gestami.

Ashia westchnęła, odnalazła równowagę i pchnęła drzwi. Komnaty Kajivah były wielkie i zbyt kornie urządzone, a gromada służących czekała, by spełnić każde jej życzenie. W tej chwili wszyscy klęczeli, a ich aury jaśniały strachem.

– Święta matko – powiedział jeden z nich – jeszcze nie zaczął się sezon! W całym Lennie Everama nie ma ani jednego jabłka.

Kajivah nabrała tchu, by niewątpliwie rozpocząć tyradę, jakiej podziemia dawno nie słyszały, ale dostrzegła Ashię na progu i wypuściła powietrze z sapnięciem, zapominając o swojej furii. Podeszła do dziewczyny, rozkładając ramiona.

– Podaj mi go!

Ashia zacisnęła mocniej zęby, zasłonięte rąbkiem szaty, ale posłusznie odpięła chustę, ułożyła sobie śpiącego synka na ramieniu i podała go Kajivah. Nastawienie staruszki, gdy tylko ujęła niemowlaka, natychmiast uległo gwałtownej przemianie i Ashia zrozumiała, że Kajivah nigdy nie pozwoli, by jej prawnuczce stała się krzywda. Zasłoniłaby go własnym ciałem przed wszystkimi demonami z Otchłani.

– Zajmiesz się nim na noc? – zapytała. Od Nocy Hora, kiedy Ashia walczyła z Kajim przy sobie, musiała zostawić go pierwszy raz.

– Oczywiście, oczywiście! – Kajivah nie odrywała spojrzenia od dziecka.

– Dziękuję, *tikka* – powiedziała Ashia.

Starsza kobieta uniosła głowę.

– Nie nazywaj mnie tak. Nigdy więcej tego nie rób.

Swego czasu Ashia była ulubioną spośród wielu wnuczek Kajivah i to upór staruszki zdecydował, że Ashia i jej

siostry włócznie trafiły do pałacu *dama'ting*, gdzie zaczęły się szkolić na *Sharum'ting*. Teraz była dla niej niczym.

Pochyliła głowę i ukloniła się.

– Jak sobie życzysz, święta matko.

Odwróciła się na pięcie i oddaliła szybkim krokiem, bojąc się, że lada moment opuści ją determinacja i na powrót przypadnie do dziecka.



Nawet w nocy wejście do skrzydła zajmowanego przez Asome nie było łatwe. Nowy Shar'Dama Ka odkrył i kazał zamurować sekretne tunele, którymi *Sharum'ting* przemieszczały się niespostrzeżenie po pałacu. Korytarze były patrolowane przez *Sharum* oraz uzbrojonych *dama*, którzy dzięki runom widzieli doskonale w świetle Everama. Na gobelinach, dywanach i kafelkach znajdowały się runy broniące przed *alagai*, ale Ashia dostrzegła również magiczne symbole podobne do tych, których używały *dama'ting*. Miały one na celu wszczęcie alarmu, gdy tylko jakiś człowiek przejdzie obok nich, oraz zasłonięcie drzwi i korytarzy przed oczami ciekawskich. Kości *hora*, którymi chciała się posłużyć Damajah, by podsłuchiwać rozmowy w skrzydle należącym do syna, były tu bezużyteczne, gdyż runy blokowały ich magię.

Niemniej Ashia, Micha i Jarvah miały na sobie szaty *kai'Sharum'ting*, na których wyszyto nicią z elektrum runy niewidzialności. Bez względu na to, czy patrzył na nie zwykły człowiek, czy taki, którego wzrok wzmacniały runy, dziewczęta zlewały się z otoczeniem równie łatwo jak piaskowy *alagai* pośród wydm. Można było je dostrzec dopiero wtedy, gdy zaczynały się szybko przemieszczać.

Ich biżuteria również kryła w sobie magię – pierścienie i bransoletki na dłoniach i stopach pozwalały im wspinać się po ścianach i sufitach jak pająki. Powoli, cierpliwie trzy wojowniczkę wnikały w głąb sanktuarium męża Ashii.

„Sprawdź niższe poziomy” – Ashia przekazała Jarvah, gdy pokonały runiczne bariery. „Asome ma własny podpałac. Odnajdź go i sprawdź, czy jesteś w stanie do niego wnikać”.

„Tak, Sharum’ting Ka” – odpowiedziała Jarvah i znikła.

Ashia i Micha przedzierały się zaś ku piętrům mieszkalnym. Pałac miał siedem poziomów – tyle, ile było filarów Niebios – jednak zewnętrzne schody prowadziły jedynie do szóstego, a wejścia do niego strzegł czujny *kai’Sharum*, jasno lśniący w świetle Everama.

Szóste piętro było przeznaczone dla rodziny książęcej i Ashia dobrze je znała. Obie z Kajivah miały tam komnaty. W teorii należały one do Asome, ale mąż odwiedził Ashię jedynie raz.

Damajah twierdziła, że jej błogosławiona matka jest również przetrzymywana na szóstym poziomie.

Na najwyższe piętro, które w całości należało do Asome, można było dotrzeć tylko po wewnętrznych schodach, które z pewnością były również dobrze strzeżone.

Młode kobiety zamarły, przyłgnąwszy do sufitu, i uważnie przyjrzały się wojownikowi pod drzwiami. Choć jego twarz przesłaniała biała tkanina, Ashia natychmiast rozpoznała swego kuzyna Iravena, pierworodnego syna Wybawiciela spłodzonego z jego żoną Majah. Pozbawiony rangi przez *Damaji Aleverana*, Iraven został odesłany do pełnienia warty przed komnatami starszego brata.

Micha puściła sufit jedną ręką i wykonała znak substancji nasennej, którą miały ze sobą. Należało wylać ją na szmatkę, a tę przycisnąć ofierze do ust i nosa, i to wystarczało, by nawet najsilniejszy mężczyzna stracił

momentalnie przytomność i budził się z niewyraźnymi wspomnieniami ostatnich chwil. Następnie Micha zgięła najmniejszy palec, co oznaczało pytanie.

Ashia pokręciła głową.

„Zbyt wolne” – przekazała palcami. „Pora na Precyzyjny Cios”.

Precyzyjny Cios, którego nauczył ich Enkido, mistrz *sharusahk*, należało wymierzyć w naturalne punkty zbieżności na ciele, czyli w miejsca, gdzie zbiegały się nerwy, mięśnie i żyły. Punkty te były małe i pozostawały w ciągłym ruchu, a co więcej, każdy człowiek dysponował innymi, ale dobrze wycelowane, mocne uderzenie mogło go na moment okaleczyć bądź całkowicie pozbawić przytomności.

Obie wojowniczkę powoli przesuwają się po suficie, aż znalazły się nad swym kuzynem. Podział obowiązków był jasny – Micha miała przytrzymać mężczyznę, a Ashia uderzyć. Ashia już miała dać sygnał do ataku, gdy pojawiła się para *nie'dama* niosących tacę z jedzeniem. Język ciała Iravena zdradził, że ten poznał chłopców i przepuści ich bez ceregieli.

Micha od razu domyśliła się, co zamierza Ashia, i bez wahania skoczyła za swoją dowódczynią, gdy tylko *nie'dama* otworzyli drzwi. Obie bezszelestnie wskoczyły do środka i przetoczyły się jednocześnie po przeciwnych stronach korytarza. Magiczne bransolety stłumiły każdy dźwięk. Ich szaty były przez moment widoczne, ale zwały się z otoczeniem w chwili, gdy obie wojowniczkę znieruchomiały, a chłopcy przeszli przez próg.

Po podłodze ciągnęła się kombinacja runów, po których należało stąpać w odpowiedni sposób, by uniknąć uruchomienia alarmu. Ashia zapamiętała kolejność, z jaką szli po nich chłopcy, ale sama z Michą podążyła za nimi wzdłuż ścian, zlewając się z ich barwą.

Wnet dotarły do wewnętrznych schodów, których strzegła para *dama* uzbrojonych w runiczne kije. Wówczas *nie'dama* rozdzielili się – jeden szedł dalej korytarzem, a drugi wspiał się na siódme piętro.

„Idź za nim” – przekazała Ashia, pokazując pierwszego chłopca.

Jej zadaniem było odnalezienie rodziców Damajah, ale skoro znalazła się w samym sercu twierdzy swego zdradzieckiego męża, nie mogła się oprzeć pokusie, żeby rozejrzeć się tu lepiej. Przyłgnąwszy do sufitu, przemieszczała się szybciej niż chłopiec idący po schodach. Towarzyszyła *nie'dama* niczym cień. Prześlizgiwała się w ślad za nim przez kolejne przejścia i mijała strażników, aż dotarła do przedpokoju, gdzie chłopak ułożył tacę na stole, zapukał i odszedł pospiesznie korytarzem.

Ashia już chciała zeskoczyć, ale nagle drzwi, do których zastukał chłopiec, otworzyły się, a w progu stanął Asome. Ten widok zaparł Ashii dech w piersiach i niemalże przegapiła swoją okazję. Czy kiedykolwiek wcześniej widziała, by jej mąż sam otworzył drzwi jakiemukolwiek gościowi? Przecież od tego były kobiety i służba!

Wówczas Asome zrobił coś nie do pomyślenia. Shar'Dama Ka i najwyższy przywódca Krasji pochylił się i sam podniósł tacę. Ashia wślizgnęła się w ślad za nim, gdy Asome odwrócił się, by wejść do środka. W jej głowie wirowały myśli. Czyżby Asome stał się samotnikiem po śmierci Asukajiego? Czyżby jego śmierć odebrała mu duszę? W głębi serca miała nadzieję, że się nie myli. Asome poznałby wówczas przedsmak kary, która oczekiwała na niego w Niebie.

– Obiad, moje słońce! – zawołał Asome.

Ashia zamrugła. Jego żona znikła, kochanek został zamordowany, a on już sobie kogoś znalazł? Nagła eksplozja gniewu zagroziła równowadze dziewczyny, ale

Ashia odepchnęła emocje i przemieściła się po suficie w ślad za mężem ku komnacie sypialnej. Nie miała pojęcia, kogo tam zastanie. *Dama* Jamere? *Cashiva*? Jednego z przyrodnich braci *Asome*?

Ostatnią osobą, którą spodziewała się tam ujrzeć, był jej własny brat *Asukaji*, któremu osobiście złamała kark.



– Nie jestem głodny – odparł *Asukaji* ochryłym szeptem. – Zabierz to.

Asome postawił tacę przy łóżku. *Asukaji* leżał nieruchomo, a jego aura była płaska, zastygła. Nie był martwy, ale nie można też było nazwać go żywym.

Na wysokości szyi aura niespodziewanie eksplodowała gniewem. *Ashia* zauważyła też, że oczy brata skrzą, a jego twarz wyraża dziesiątki emocji.

Jest sparaliżowany! – uświadomiła sobie z przerażeniem. Dla wojownika był to los stokroć gorszy od śmierci. *Ashia* nie życzyła mu takiej doli nawet mimo tego, że *Asukaji* próbował ją udusić. Wszak jako dzieci byli blisko ze sobą związani i w głębi serca nie przestała go kochać.

– Musisz jeść, ukochany – rzekł *Asome*. – Nie czujesz głodu, ale dojrzewa w tobie, a bez jedzenia szybko zmarniejesz.

– No i co z tego? – spytał ostro *Asukaji*. – Lepiej, żebym coś zjadł i za godzinę obsrał ci łóżko? Mogłem zginąć z honorem, a zamiast tego zmuszasz mnie, żebym kontynuował to beznadziejne życie. Jestem więźniem w tej nic niewartej skorupie!

Asome usiadł na skraju łoża i ujął jedną z bezwładnych rąk *Asukajiego*.

– Bez ciebie nie dam sobie rady. Połowa moich planów i forteli jest twojego autorstwa!

– Ale nie o tym myślałeś, gdy rznąłeś tę *heasah*! – Asukaji parsknął z taką siłą, że jego głowa przechyliła się w bok. Asome ujął ją, wyprostował i złożył pocałunek na czole.

– Ona jest twoją siostrą i sam nalegałeś na to, żeby stała się moją *Jiwah Ka*!

Policzek Ashii drgnął. Uspokoiła swój oddech, cicha niczym kamień.

– To ja jestem twoją *Jiwah Ka*! – krzyknął ochryple Asukaji. – Ona była tylko łonem! Miała za zadanie zrobić to, czego ja nie mogłem, czyli urodzić ci syna!

Asome uniósł pokrywkę znad tacy. Z misy z cienką owsianką, przypuszczalnie jedyną potrawą, którą jej brat mógł przełknąć, buchnęła para. Asome podmuchał na łyżkę niczym matka szykująca się, by nakarmić niemowlę.

– Potrzebujemy jej zaufania, kuzynie. Musi uwierzyć w to, że jestem lojalny wobec niej i okazuję pokorę matce. Może uda mi się spłodzić kolejnego syna dla nas.

Asukaji chciał splunąć na zbliżającą się do jego ust łyżeczkę, ale opluł sobie tylko brodę.

– Nie jestem głupcem, Asome. Nie chodziło ci o intrygi czy synów, gdy pochyliłeś ją przed sobą.

– A co to ma za znaczenie? – Asome ujął jedwabną chusteczkę i otarł Asukajiemu usta. – Ona nie jest w stanie zastąpić ciebie w moim sercu. Nikt tego nie dokona. Mogła stać się cenną *Jiwah Sen*, ale na drodze stanęła twoja zazdrość. Tak bardzo pragnąłeś ją zabić!

Złapał szczękę Asukajiego i zacisnął dłoń tak mocno, iż ten rozchylił zęby.

– Ale nie potrafiłeś jej pokonać, co, mój słodki Asukaji? – pytał Asome, wpychając owsiankę do ust kochanka. – A Melan i Asavi razem wzięte nie zdołały sprostać mojej

matce. Obie podążają już samotną ścieżką, ty leżysz bez życia, a ja muszę się dzielić władzą z matką, która na domiar złego uwięziła mi syna!

Przez moment masował gardło Asukajiego, aż ten przełknął kęs.

– Wkrótce powróci Amanvah, która obejmie władzę nad *dama'ting* Kaji. Przywiedzie ze sobą *Jiwah Sen* bez wątplenia równie groźną jak twoja siostra oraz męża pobłogosławionego przez Everama.

– To *chin* i *khaffit* – warknął Asukaji. – Ty wzięłaś Ashię, a Amanvah miała być moja! Taka była umowa!

– Jej mąż może i jest *khaffit*, ale nie ma wątpliwości, że potrafi kontrolować *alagai* – odparł Asome. – A zresztą co miałem powiedzieć ojcu, gdy ten postanowił mu ją oddać? W każdym razie po ich powrocie władza matki wzrośnie zauważalnie. Musimy zrobić coś, żeby zachować równowagę, i to teraz, póki jeszcze mamy czas!

Asukaji przestał się opierać i przez moment jadł w milczeniu. Asome okazywał mu czułość i uwagę. Masował jego przełyk po każdym kolejnym kęsie, aż miska była już pusta.

– Wybacz mi, kuzynie. – Asukaji zrobił żalostną minę, gdy Asome starł resztki owsianki z jego ust. – Zawiodłem cię. Everam osądził mnie i uznał niegodnym!

– Ale żyjesz – rzekł Asome. – Znajdziemy jakiś sposób, żeby cię uzdrowić. *Dama* już zrobili wielkie postępy dzięki magii *hora*. Niebawem odkryjemy wszystkie sekrety *dama'ting*. Wrócisz do pełni sił i otrzymasz kolejną szansę, żeby zdobyć chwałę.

– Damajah mogłaby mnie uzdrowić! – wychrypiął Asukaji. – Mamy jej rodziców. Nie ośmieli się odmówić!

– Nie powinniśmy ani przez moment lekceważyć mojej matki. Nie masz pojęcia, do czego ona jest zdolna – ostrzegł go Asome. – Któż może wiedzieć, ile ta *dal'ting* i jej *khaffit*

są dla niej warci.

– Z pewnością nie tyle, co... – Asukaji poczerwieniał, mówienie kosztowało go sporo wysiłku – co *tikka* czy Kaji. W przeciwnym razie umieściłbyś ich w Podpałacu.

Asome pokręcił głową.

– Nie chcę, żeby przebywali na dole, wśród eksperymentujących *dama*. Ostatnia eksplozja w laboratorium *dama* Shevaliego zakończyła się śmiercią jednego *nie'dama*, a inny stracił oko.

– Lepiej, żeby to się na coś zdało – wyrzęził Asukaji. – Już prehandlowałeś mój czarny turban, żeby odzyskać zakładników, i nic z tego nie przyszło. Skoro nie udało ci się odkupić w ten sposób naszego syna, oddaj matce moje bezwładne ciało!

– Nie możemy zdradzać się przed nią z taką słabością! – rzekł Asome. – Ona na pewno znajdzie sposób, żeby wykorzystać ją przeciwko nam. Turban wróci do ciebie, gdy wydobrejesz. Baden sądzi, że przechowuje go dla Kajiego. Wie, że nie uda mu się zatrzymać go na zawsze.

– Nie lekceważ Badena – szepnął Asukaji. – Wiem, jak wpływa na ciebie Cashiv. Przez niego tracisz czujność i zdrowy rozsądek.

– Z Cashivem umiem sobie poradzić.

– I to właśnie mnie martwi.

– A cóż to ma za znaczenie? – warknął Asome. – Chodziliśmy na przyjęcia organizowane przez Badena od czasu, gdy obaj byliśmy w *sharaj*, i żaden z nas jakoś nie zapomniał zabrać buteleczki z olejkiem. Pokładałeś się z Cashivem równie często jak ja.

– To ma znaczenie, bo wówczas sam mogłem cię zaspokoić – rzekł Asukaji. – Ponieważ to ja byłem wtedy twoją *Jiwah Ka*, pierwszą pochwą dla twojej włóczni.

– Nadal tak jest – odparł Asome.

– To weź mnie.

– Co? – Asome otworzył usta.

– I to szybko, zanim ta przeklęta owsianka przeze mnie przeleci! – błagał go Asukaji. – Odwróć mnie na brzuch i weź mnie!

– Asukaji... – zaczął Asome.

– Nie! – W oczach brata Ashii pojawiły się łzy. – Nie mogę cię powstrzymać przed sypianiem z innymi, ale przysięgam na Everama, że nigdy nie przełknę ani jednej łyżeczki, jeśli przestaniesz się ze mną kochać!

Asome nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Ashia nie mogła jednak patrzeć na to, jak bierze naczynie z oliwką i sposobi się do aktu. Wymknęła się z sypialni, gdy jej brat i mąż byli zbyt zajęci sobą, by to zauważyć.

Micha czekała na nią przy schodach. W głowie Ashii kotłowało się od myśli i odetchnęła z ulgą na widok znajomej twarzy.

„Melduj” – nakazała mową znaków.

„Odnalazłam ich” – odparła Micha. „Są tam strażnicy, ale razem mogłybyśmy...”

Ashia wykonała gest „nie”.

„Naszym zadaniem jest złożenie meldunku Damajah”.

W drodze w dół dołączyła do nich Jarvah.

„Podpałac Asome jest chroniony magią *hora*. Nie mogłam dostać się do środka”.

„To już bez znaczenia” – odpowiedziała Ashia. „Mamy informacje, które chciała otrzymać Damajah”.

Trzy *Sharum'ting* prześlizgnęły się za plecami strażników i opuściły skrzydło Asome.



II

Czarownicy

334 ROK PLAGI

Na oślizgłą cipę Nie! – Inevera zebrała kości. *Hora* nie ostrzegły jej przed tym, że matka znalazła się w niebezpieczeństwie, a teraz pokazywały jedynie złe wieści oraz najrozmaitsze dziwactwa.

Oddychała przez moment równo, próbując odzyskać równowagę, ale na próżno szukała w sobie spokoju. Czyżby wypadła z łask Everama? Jak On mógł pozwolić, by coś takiego stało się Manvah, najczcigodniejszej z żyjących kobiet? Przecież jak dotąd Everam zawsze ostrzegał Ineverę, gdy jej rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie.

Teraz jednakże mąż Damajah był martwy, a kości zaczynały zawodzić.

Usiadła i zaraz wstała, a w tej samej chwili poczuła

wibracje w kolczyku. Połączenie z Ashią i jej siostrami włóchni przerwało się, gdy dziewczęta zapuściły się do skrzydła Asome, co samo w sobie było złym znakiem. Asavi i Melan przekazały Asome i jego braciom sekrety magii *hora* i wyglądało na to, że ci robią szybkie postępy.

– Damajah! – Ashia szepnęła jej do ucha, choć znajdowała się po przeciwnej stronie pałacu. – Odnalazłyśmy ich, ale to nie wszystko. Musimy się natychmiast spotkać.

– Korytarz zachodni – rzuciła Inevera i ruszyła ku drzwiom.

Każdy, najdrobniejszy nawet element jej biżuterii był naznaczony runami, a sakiewka z *hora* ciężka od zaklęć. Nie miała najmniejszego zamiaru ulegać ponownie nadmiernej pewności siebie, którą dawała różdżka, jak wtedy, gdy Melan i Asavi przybyły, by ją zabić. Nie chciała popełniać tego samego błędu.

Miała na sobie matowe szaty z czerwonego jedwabiu, na których wyszyto runy nicią z elektrum. Jeśli sobie tego życzyła, pozostawała niewidzialna zarówno dla ludzi, jak i dla *alagai*, podobnie jak siostry włóchni Everama. Do pasa przytroczyła zakrzywiony nóż, który wykorzystywała do toczenia krwi potrzebnej przy przepowiedniach. Nie stworzono go z myślą o walce, ale jego klinga była ostrą brzytwą i w razie potrzeby mogła z niego skorzystać.

Sharum'ting czekały na nią w ukrytym tunelu prowadzącym do zachodniego skrzydła. Damajah zajęła dla siebie wschodnie, by móc być świadkiem świtu, a Shar'Dama Ka zachodnie, by spoglądać na zachód słońca.

– Asukaji żyje – oznajmiła Ashia.

Inevera skrzywiła się. Kolejna rzecz, o której nie powiedziały jej kości, choć musiała uczciwie przyznać, że nie pytała o nic takiego.

– Powiedziałaś mi, że go zabiłaś!

– Skręciłam mu kark – przyznała Ashia. – Ale udało mu się przeżyć. Leży sparalizowany, ukryty w komnatach Asome. Jest przekonany, że mogłabyś go wyleczyć, i chciałby oddać za to Manvah, ale Asome ci nie ufa.

– A ja nie ufam jemu – rzekła Inevera. – Twoje odkrycie nie pociąga za sobą żadnych zmian. Ruszamy, żeby uwolnić moich rodziców.

Ashia zastąpiła jej jednak drogę, uklękła i przytknęła dłonie do podłogi przed jej stopami.

– Damajah, nie musisz się osobiście narażać. Przeniknęliśmy przez ochronę mojego męża. Siostry włóczy Everama mogą samodzielnie przeprowadzić misję.

Inevera potrząsnęła głową. Przynajmniej w tej kwestii kości nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Jeśli udacie się same, zginiecie i wasza ofiara pójdzie na marne.

Aury trzech kobiet niespodziewanie pociemniały. Były najlepszymi wojowniczkami, jakie znała, ale ich duma przewyższała nawet ich honor.

– Czy misja zakończy się powodzeniem, jeśli Damajah uda się z nami? – spytała Ashia.

Inevera odetchnęła.

– Nie ma pewności.

– Damajah, musisz...

Inevera klasnęła w dłonie, przerywając wojownicze.

– Od kiedy to mówisz, co muszę zrobić, *Sharum*? Twoim obowiązkiem jest milczeć i wypełniać rozkazy!

Wyruszyły. Inevera pozwoliła, by siostry włóczy ją otoczyły – Ashia szła z przodu, Micha i Jarvah po bokach. Bezszelestnie mknęły przed siebie, a ich szaty zlewały się ze ścianami dekorowanymi barwnymi płytkami. Niespostrzeżenie prześlizgnęły się przez zewnętrzne korytarze i dotarły do klatki schodowej na szóstym piętrze,

gdzie nadal pełnił wartę Iraven.

Zgodnie z ostrzeżeniami Ashii chłopak okazał się poważną przeszkodą. Nie dość, że zachowywał czujność, to jeszcze miał na sobie niemal niezniszczalną zbroję z runicznego szkła, jaśniejącą w świetle Everama. Inevera dostrzegła demone kości w jego broni i pancerzu, które obdarzały go nieludzką siłą i szybkością.

Inevera wyciągnęła z za pasa swą różdżkę, kość księcia demonów powleczoną elektrum. Mocy, która się w niej kryła, wystarczyłoby do zmiecienia całego dachu z pałacu. Nadal wczepiona w sufit, nakreśliła w powietrzu serię runów, jednocześnie pobierając moc i kształtując zaklęcie, po czym pchnęła je w stronę niespodziewającego się niczego wojownika.

Ahmann być może wybaczyłby jej, gdyby doprowadzona do ostateczności zabiła mu syna, ale Iraven był ostatnią nadzieją na nawiązanie porozumienia z Majah. Zaklęcie Inevery miało więc jedynie zesłać na chłopaka głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Niemniej w chwili, gdy zaklęcie pomknęło ku Iravenowi, runy na jego pancerzu rozjarzyły się magią, a on sam, miast osunąć się na ziemię, rozstawił szeroko nogi i pochwycił włócznie, gotów do obrony.

– Pokaż się, sługo Nie! – krzyknął, rozglądając się w panice.

Nie zauważył żadnej z nich ani też nie wszczął jeszcze alarmu. Inevera wiedziała, że nie ma ani chwili do stracenia. Zeskoczyła i stanęła wyprostowana przed pasierbem.

– Uważasz Damajah za sługę Nie? – spytała.

Iraven otworzył szeroko oczy.

– Dlaczego przybywasz niezapowiedziana do komnat Shar'Dama Ka?

– A od kiedy matka potrzebuje zgody na spotkanie

z synem?

Iraven nie opuścił broni.

– Goście nie przemycają po suficie ani nie rzucają czarów na strażników. Jeśli przybywasz tu z jakąś sprawą, powiedz, o co chodzi.

– Dobrze wiesz, o co chodzi – rzekła Inevera. – Majah uwięzili twoją matkę, a moją siostrę-żonę Belinę, a mimo to stajesz mi na drodze do moich własnych krewnych, których również pozbawiono wolności.

Jej słowa nie zrobiły na Iravenie żadnego wrażenia.

– Zapewne byłbym bardziej skłonny ci uwierzyć, Damajah, gdybyś sama nie trzymała pod strażą *tikka*.

– Chronienie świętej matki jest moim obowiązkiem – odparła Inevera. – Nie mogę pozwolić na to, żeby została wmieszana w polityczne intrygi mające na celu usunięcie mnie z pozycji.

Iraven nie wydawał się przekonany.

– Bez wątpienia Asome w ten sam sposób pragnie chronić twoją matkę.

– Wszyscy chcemy dla własnych rodzicielek jak najlepiej – stwierdziła Inevera. – Udaj się zatem do własnej, zanim zostanie zabrana z Lenna Everama.

Aura młodzieńca zmieniła kolor, a potem przemknęło przez nią wyobrażenie Beliny, ciągnąc za sobą dziesiątki smug reprezentujących emocje, co było typowe dla każdej relacji między matką i synem.

– Nie mogę się z nią zobaczyć, tak jak nie mogę wpuścić tu ciebie – oznajmił z goryczą. – Samodzielnie jej nie uwolnię, a Asome nie zaangażuje się w misję, która doprowadzi do otwartej wojny.

– Szczyzny demonów – rzekła Inevera. – Myślisz tak, jak chce tego Asome.

– A gdzie wsparcie, Damajah? Dlaczego zjawiłaś się tu, a nie w pałacu Aleverana, żeby ocalić swoją siostrę-żonę?

W aurze chłopaka rozbłysło coś, co mogło przerodzić się w płomień.

– Gdyż to zadanie dla ciebie, Iravenie asu Ahmann am’Jardir am’Majah – odparła Inevera. – Czy twój ojciec kulił się ze strachu na widok problemu, który był w stanie rozwiązać własną włócznią? *Damaji* odebrał ci to, co należy ci się z tytułu urodzenia, co nie oznacza, że nie możesz tego odzyskać.

Iraven zamarł. Płomień w jego aurze rozszerzał się powoli, ostrożnie.

– Jak mam tego dokonać?

– Idź do Aleverana – rzekła Inevera. – Poddaj się jego woli, a on zabierze cię ze sobą, gdy Majah opuszczą Lenno Everama. Zdobądź wielką chwałę, żeby inni wojownicy zaczęli z podziwem szeptać twoje imię, aż jeden po drugim zgromadzą się wokół ciebie.

W sercu Iravena płonąła duma, a w jego aurze pojawiło się wyidealizowane wyobrażenie jego samego, wyprostowanego i gotowego do walki o cały świat. Niemniej po chwili pokręcił głową. Wizja się rozwiała.

– Mój brat powiedział mi kiedyś, że twoją bronią są słowa, Damajah.

– Ja mówię jedynie prawdę – oznajmiła Inevera. – Osobiście wyjęłam cię spod ręki twojej matki, a gdy przecięto ci pępowinę, rzuciłam kośćmi, żeby ujrzeć twoją przyszłość. Wciąż możesz zdobyć wielką chwałę, jeśli okażesz męstwo i zdecydujesz się po nią sięgnąć.

– Być może – rzekł Iraven. – Ale odwrócenie się od obowiązków tej nocy żadnej chwały mi nie przyniesie. Nie mam wątpliwości, że twoje *Sharum’ting* czają się gdzieś w pobliżu, gotowe zabić mnie, jeśli odmówię, ale żadne słowa, żadne groźby nie zmuszą mnie, żebym opuścił posterunek.

I wtedy uderzył tępym końcem włóczni w naznaczoną

runami płytkę. Inevera wiedziała, że aktywował w ten sposób ciąg runów biegnących przez tysiące płytek wokół drzwi i w efekcie uruchomił sieć runiczną.

Uniosła różdżkę *hora* i pobrała moc. Do uruchomienia alarmu pozostały dosłownie chwile.

Iraven otworzył szeroko oczy.

– *Acha!* – krzyknął. – Intruzi!

Jego krzyk powinien rozbrzmieć echem na klatce schodowej, lecz kilka pospiesznie wyrysowanych runów roztoczyło wokół nich strefę ciszy i zablokowało alarm. Inevera podeszła do młodego wojownika.

– Nie potrzebuję pomocy sióstr włóczni Everama, żeby przejść obok ciebie, Iravenie. Evejah głosi, że za uderzenie *dama'ting* bądź przeszkadzanie jej w jakikolwiek sposób grozi śmierć. Jak osądzi cię Everam, gdy zamierzysz się na samą Damajah?

Magia krążąca w ciele Inevery wyostrzyła jej zmysły i kobieta poczuła zapach potu chłopaka, zanim pierwsza kropla pojawiła się na jego czole. Współczuła mu, gdyż był rozdarty między powinnościami i lada moment miał się stać kolejną niewinną ofiarą konfliktu.

Niemniej po drugiej stronie drzwi więziono jej rodzinę, która znajdowała się w coraz większym niebezpieczeństwie.

Iraven zamknął oczy.

– Wybacz mi, Everamie – szepnął i zaatakował.

Inevera nie cofnęła się nawet o krok i odbiła mierzącą w nią włócznię zakrzywionym nadgarstkiem. Złapała za ostrze i szarpnęła, jednocześnie wyprowadzając uderzenie dłonią.

Sztynne płytki runicznego szkła nie zdołały zakryć punktu zbieżności u nasady szyi. Zbroję wykonano wszak po to, by zatrzymywała pchnięcia włócznią, a nie cios zagiętym palcem. Uderzenie było błyskawiczne, szybsze i potężniejsze niż zwykle dzięki magii *hora*.

Iraven jednakże najwyraźniej przejrzał zamysł Damajah, gdyż obrócił odpowiednio głowę, by przyjąć cios na szczękę. Moc uderzenia pchnęła chłopaka na ziemię, ale przetoczył się i wykorzystał pęd, by zerwać się i smagnąć włócznią po jej stopach.

Inevera była zaskoczona, ale nadal panowała nad sytuacją. Wskoczyła do tyłu i padła plecami na ziemię, by uniknąć ciosu, a jednocześnie kopnęła młodzieńca w szczękę po raz drugi.

Iraven zatoczył się, ale on również nie stracił kontroli. Zakręcił włócznią za plecami i znów rzucił się do natarcia. Jaśniał magią, był silny i szybki, a włócznia wydawała się lekka niczym piórko w jego dłoniach. Ashia i jej siostry opadły na podłogę, ale Inevera zatrzymała je syknięciem i wyrzuceniem dłoni.

Nigdy nie ceniła wysoko sztuki walki uprawianej przez *Sharum*, ale Iraven był szkolony przez jej męża oraz *Damaji Aleveraka*, dwóch największych mistrzów *sharusahk* w Krasji. Przemieszczał się i poruszał bronią w idealnej harmonii. Nie pozostawiał Ineverze wiele przestrzeni do ataku i sam precyzyjnie wychwytywał najgroźniejsze spośród jej ciosów, a inne, mniej niebezpieczne, przyjmował na pancerz. Jego uderzenia włócznią również układały się w precyzyjny schemat – Inevera wiedziała, że chce się znaleźć na tyle blisko niej, by kopnąć bądź założyć paralizujący chwyt nożny.

Był szybki, ale Ineverze dorównać nie mógł. Płynnie unikała jego pchnięć i kopniaków, a inne odbijała niemal bez wysiłku. Pochyliła się pod zamaszystym ciosem włóczni i jednocześnie wyprowadziła kopnięcie z półobrotu, celując w plecy chłopaka. Trafiony Iraven zatoczył się, a potem potknął, kiedy drugą nogą zahaczyła jego kostkę.

Na tym walka powinna się była zakończyć, ale młodzieniec zaskoczył ją ponownie, gdy zamienił upadek

w salto, a pęd skierował w uderzenie. Inevera złapała za drzewce włóczni, a Iraven pchnął ją kopnięciem na framugę.

Inevera wiedziała, że okazała mu wielką łaskę, walcząc nie magią, ale w stylu *sharusahk*. Tysiące runów na płytkach zapłonęło w zetknięciu z jej *hora*, napełniając klatkę schodową światłem i uruchamiając alarm w całym pałacu. Warknęła, gdy Iraven znów rzucił się do ataku. Kopnięciem pchnęła ostrze włóczni w dół, oparła jedną nogę na drzewcu, a drugą zaplotła wokół szyi Iravena, powalając chłopaka na ziemię. Ten nadal miotał się i walczył, ale Inevera ignorowała niegroźne już uderzenia, a sama wymierzała ciosy w punkty zbieżności. Błyskawicznie odcięła dopływ krwi do mózgu.

– Wyjedź z Majah – przykazała, gdy jego aura zaczęła ciemnieć – albo zatknę twoją głowę nad bramą miasta.

Iraven osunął się nieprzytomny na ziemię.

– Damajah, musimy uciekać! – Ashia wyciągnęła dłoń, by pomóc jej wstać, ale Inevera zignorowała słowa *Sharum'ting*, przyglądając się magii płynącej po płytkach. Nakreśliła skomplikowaną serię w powietrzu, a runy natychmiast zaczęły ciemnieć. Jej różdżka zaś pojaśniała.

– Zniszcz to. – Wskazała Ashii nieaktywną już płytkę. Ashia bez wahania rozbiła ją uderzeniem.

Inevera wyssała z mocy jeszcze dwa runy, kazała Ashii zniszczyć obie płytki, a sama uniosła różdżkę i nakreśliła run uderzenia, czym wyrwała drzwi z zawiasów.

– Zabijcie każdego, kto stanie wam na drodze – rozkazała wojownikom.

Sharum'ting sięgnęły po krótkie włócznie na plecach, wykonane z runicznego szkła nasyczonego elektrum, ostre jak brzytwy i praktycznie niezniszczalne.

W korytarzu pojawili się strażnicy. Inevera sięgnęła do sakiewki z *hora* i cisnęła w nich garścią szklanych kulek

zawierających cząstki kości demona błyskawic. Strzeliły iskry, a mięśnie nadbiegających wojowników sztywniały. *Sharum'ting* wdarły się między nich, powalając mężczyzn, jakby byli lalkami. Ich włócznie zajaśniały i Inevera wiedziała, że żaden ze strażników już się nie podniesie.

Przed drzwiami, za którymi trzymano jej rodziców, zgromadziło się kilku *kai'Sharum*, a za nimi dwóch *dama* wzniosło laski, błyszczące ostro w świetle Everama. Ashia i jej siostry wyrzuciły garść szklanych pocisków, ale jeden z *dama* w porę uniósł laskę i wyzwolił silny podmuch wiatru. Wicher pchnął pociski z powrotem na nacierające dziewczęta. Większość niegroźnie odbiła się od ich pancerzy, lecz jeden utknął między płytkami na udzie Jarvah. Wojowniczką nie wydała z siebie ani dźwięku i nawet nie zwolniła, jednak jej aura zdradziła Damajah, że została poważnie ranna.

Nim przypadły do strażników, drugi *dama* wznosił laskę i uwolnił niecelny, acz potężny strumień ognia, który rozprzestrzenił się błyskawicznie i pochłonął dwóch spośród wojowników. Ashia i jej siostry włócznie zasłoniły się szklanymi tarczami i bez wahania wskoczyły w płomienie. Runy na ich tarczach pochłonęły demoniczny ogień, a wojowniczki w okamgnieniu znalazły się wśród *Sharum*.

Rozległ się wrzask, gdy Micha wykluczyła jednego z nich z walki pchnięciem włócznie w nogę. Trysnęła krew, gdy Ashia pchnęła innego włócznią o dwóch ostrzach w gardło. Poniosło się głucho stęknienie, gdy Jarvah wepchnęła broń w szczelinę między płytkami zbroi.

Dywany i ściany płonęły, ale Inevera nie czuła gorąca, ponieważ jej runiczna biżuteria wchłaniała ich energię. Pierwszy *dama* pchnął w nią podmuch wiatru, ale Damajah odepchnęła wiatr na bok ruchem nadgarstka, zebrała za sobą i pchnęła prosto w kleryków. Ci unieśli laski w obronnym geście. Ich runy zapłonęły, gdy powtórzyli

manewr Inevery, ale ta już cisnęła w nich kolejnym czarem. Runy uderzenia rozbłysły, niszcząc fragmenty podłogi i zbijając ich z nóg. Jeden wypuścił laskę, którą Inevera odepchnęła daleko od niego. Drugi nadal trzymał swoją i przebierał po niej palcami niczym fleciarz, aktywując kolejne runy. Inevera uniosła więc różdżkę, by uniemożliwić klerykowi wykorzystanie zgromadzonej w lasce mocy, ale wówczas drzwi stanęły otworem, a Inevera ujrzała swą matkę.

Za jej plecami stał Asome, trzymając dłoń na gardle Manvah.

– Dość tego, matko – rzekł.



Inevera zamarła i uświadomiła sobie, że zaciśnięta na gorącej różdżce dłoń jest mokra od potu. Moc jej artefaktu wielokrotnie przewyższała możliwość nawet wielkich lasek noszonych przez *dama*, które z całą pewnością również zawierały kości demonów. Mogłaby nią zabić każdego człowieka w tym pałacu, ale to by nie wystarczyło, żeby uwolnić matkę.

Asome bez wątpienia zdążyłby wcześniej skrócić jej kark.

– Naprawdę sądziłaś, że to okaże się aż tak proste?

– Puść ją! – rozkazała Inevera. – To przecież twoja babka, a nie niewolnica *chin*.

– Dla mnie to obca osoba – odparł Asome. – Nigdy nawet nie próbowałaś nas sobie przedstawić, ona zresztą też nie. Dlaczego jej śmierć ma zrobić na mnie jakiekolwiek wrażenie? Ale nie martw się. Wypuszczę ją, jeśli oddasz mi syna, a także moją prawdziwą babkę.

Przechylił głowę i przyjrzał się Ashii. Dziewczyna miała

twarz zasłoniętą tkaniną, ale Asome, choć nie należał do czułych mężów, natychmiast ją rozpoznał.

– O, moja rzekomo martwa żona. Ją też chcę.

– Trzech zakładników za jednego? – spytała Inevera. – Twój *dama* to doprawdy beznadziejni czarownicy, ale sądziłam, że nauka prostej arytmetyki w Sharik Hora jeszcze im jako tako wychodzi.

Asome rozciągnął wargi w zimnym uśmiechu.

– Ciesz się swoją przewagą, matko. Melan i Asavi nauczyły nas wiele o magii *hora*, choć nie zrobiły tego umyślnie. Codziennie pomniejszamy waszą przewagę. Magia nie jest już tylko i wyłącznie domeną *dama'ting*.

– Co czynicie wbrew naukom zawartym w Evejah – rzekła Inevera. – Nie puście żadnego czarownika żywym, jak nauczał Kaji.

– Ja jestem teraz Shar'Dama Ka, matko. – Asome wzruszył ramionami. – Czas najwyższy odświeżyć nieco te zapiski.

– Wspięcie się na tron po trupach zamordowanych przeciwników nie czyni cię Shar'Dama Ka, chłopcze – odparła Inevera. – Dla własnych ambicji zdradziłaś całą Krasję i naraziłaś nas na klęskę w *Sharak Ka*.

Inevera spojrzała Manvah w oczy.

– Wybacz mi, matko, ale Pierwsza Wojna jest ważniejsza nawet od rodziny.

– Jesteś moją córką – rzekła Manvah. – Kochałabym cię, nawet gdybyś zgasła słońce.

Aura Asome rozjarzyła się gniewem. Skinął głową, a wówczas jego ochrona wypchnęła na korytarz Kasaada, potykającego się na drewnianej nodze. Za nim stanął uśmiechnięty ponuro Cashiv z nożem przy gardle kaleki. Ramię okrywała runiczna zbroja, a sam zasłaniał się cięższym od siebie Kasaadem.

– No to zaczynajmy – rzucił Asome. – Oddaj mi *jiwah*

albo Cashiv rozchlasta twojemu ojcu gardło.

Ineverę aż świerzbiły palce, by porwać za różdżkę, ale wiedziała, że niewiele jej to da. Jakikolwiek atak wymierzony w Asome czy Cashiva zagrażał życiu jej rodziców. Z głębi korytarza dochodził już odgłos kroków biegnących ludzi. Wiedziała, że zaraz pojawią się tu *dama* z kościanymi laskami oraz wielu, wielu *Sharum*.

– Nie rób tego, córko. – Kasaad nabrał pospiesznie tchu, gdy Cashiv przycisnął ostrze do jego szyi. – Wybawiciel wybaczył mi, a moja dusza jest czysta.

Inevera wejrzała w aurę ojca i uzmysłowiła sobie, że to prawda. Jako *Sharum* był pijakiem i tchórzem, ale teraz był już gotów na śmierć i osąd Everama. Jego dusza spoglądała już ku samotnej ścieżce, gotowa wyruszyć w drogę w imię rodziny. Zdawał sobie sprawę, że Asome widział w nim jedynie *khaffit*, a więc człowieka wręcz zbędnego. To *Manvah* reprezentowała tu prawdziwą wartość i wiedział, że wnuk nigdy jej nie zabije.

– Po tym, co zrobiłeś Soliemu, twoja dusza nigdy nie będzie czysta! – warknął Cashiv i napiął mięśnie, ale Asome uniósł dłoń i uspokoił go.

– Ja mu się oddam – rzekła Ashia.

Inevera narzuciła sobie nowy rytm oddychania i pokręciła głową. Wszystko dla *Sharak Ka*. Nic nie było ważniejsze. Kości zdradziły jej, że Ashia wciąż ma rolę do odegrania. Kasaad już nie.

– Próbowałeś już raz zamordować swoją żonę, synu. Drugiej szansy nie dostaniesz.

Asome machnął ręką. Cashiv przesunął nóż i na szyi Kasaada pojawiła się szrama, szybko wzbierająca ciemną, gorącą krwią. Inevera krzyczała i patrzyła, jak jej ojciec zachłystuje się i osuwa na ziemię, dławiąc się własną krwią.

W chwili gdy Cashiv został odsłonięty, Inevera uniosła

różdżkę i dosłownie wyrwała z niego życie. Dymiące ciało wojownika upadło na ziemię parę kroków dalej, ale cofnąć czasu już się nie dało.

Z ust Manvah wyrwał się zduszony szloch. Asome błyskawicznie przyciągnął kobietę do siebie i zasłonił się jej ciałem, po czym wciągnął ją do pomieszczenia. Jego ludzie zwarli szeregi, by zatrzymać pościg.

– Pozabijać je! – wrzasnął Asome i zatrzęsął drzwiami kopnięciem.

Inevera pozwoliła im odejść, ciesząc się, że przynajmniej przez chwilę Manvah nic nie będzie groziło. Wolną ręką przekazała meldunek swym *Sharum'ting*:

„Nie oszczędzajcie nikogo”.



Postąpiłam głupio, pomyślała Inevera, gdy powróciły do jej skrzydła, zakrwawione i przypalone.

Zostawiły po sobie dziesiątki zabitych *Sharum* i *dama* w korytarzach Asome, ale nie miało to żadnego znaczenia – wszak jej syn miał na swoje rozkazy tysiące wojowników. Teraz potroi strażę, a ona nie otrzyma już kolejnej szansy.

Ze wszystkich osób, które widziały konfrontację, przeżyli jedynie Asome, Manvah oraz siostry włóczy, ale w żaden sposób nie umniejszało to rozmiarów klęski Inevery. Okazała arogancję i pozwoliła, by zawładnął nią gniew. Nie posłuchała chłodnego, wyrachowanego rozumowania kości, a teraz jej ojciec nie żył, a sama Damajah powątpiewała, czy kiedykolwiek jeszcze uda jej się ujrzeć matkę. A przy tym Asome uzyskał potwierdzenie tego, co już podejrzewał – Ashia żyła.

A co zyskała?

Nic.

– Damajah! – Ashia pokłoniła się, gdy wróciły do prywatnych komnat Inevery. – Czy mogę udać się do syna?

Inevera zerknęła na niespełna dwudziestoletnią dziewczynę i ujrzała w jej aurze strach. Ashia bynajmniej nie bała się o siebie – była gotowa na śmierć w walce bądź w ofierze – ale spotkanie z mężem na powrót napełniło ją lękiem o syna. Inevera ujrzała wyobrażenie Asome, które wisiało w aurze wojowniczkii niczym prześladowający upiór. Ashia zdawała sobie sprawę z tego, że Asome byłby gotów zabić każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Krasji, by odzyskać Kajiego.

Inevera wyciągnęła ku niej rękę i Ashia zeszywniała, a w jej aurze pojawił się szok. Czyżby Damajah chciała ją objąć?

Inevera jednak tylko dotknęła szaty Ashii w miejscu, gdzie dziewczyna została ugodzona przez włócznię *Sharum* podczas ucieczki. Rana zdążyła się już zagoić, ale Inevera cofnęła dłoń mokrą od krwi.

Uklęknęła, wyciągnęła kości i przetoczyła je po dłoni, pokrywając krwią wojowniczkii.

– Everamie, Dawco Światła i Życia, Twoje dzieci potrzebują wskazówek. Co należy uczynić, żeby jak najlepiej ochronić Twojego czcigodnego syna Kajiego asu Asome am’Jardir am’Kaji, żeby zarówno on, jak i jego matka mogli Ci służyć w *Sharak Ka*?

Alagai hora pojaśniały, a wówczas Inevera potoczyła je po podłodze i z chłodnym skupieniem przyjrzała się skomplikowanemu wzorowi, jaki utworzyły. Minęła dłuższa chwila, nim go rozgryzła.

„Musi odszukać *khaffit* przez ojca swego ojca i znaleźć twojego zaginionego kuzyna”.

Inevera zamrugnęła. To, że Abban miał nadal rolę do odegrania, nie zaskoczyło jej wcale, ale wysłanie Ashii

z Lenna Everama mogło w istocie być jedynym sposobem na zapewnienie jej bezpieczeństwa. Ojcem ojca Ashii był *dama* Khevat, który kiedyś objął dowództwo nad klasztorem i zapewne nadal w nim przebywał.

Ale kuzyn? Jaki kuzyn?

Tym razem Inevera nacięła własną dłoń. Kości powiedziały, iż chodzi o jej własnego kuzyna, a nie kuzyna Ashii. Być może jej własna krew udzieli odpowiedzi, których nie zdobyła dzięki krwi Ashii? Kości jednak, jak zwykle, zamiast podsuwać rozwiązania, stworzyły jeszcze więcej pytań.

„Poznasz go po zapachu”.



– Wyślizgniesz się podczas zamieszania, które powstanie, gdy Majah będą szykować się do wymarszu – rzekła Inevera. – A some nigdy nie przyjdzie do głowy, że mogłam cię odesłać. Udaj się ku Krynicy Everama. Klęska, którą poniósł Jayan, pozostawiła tam wiele wdów z dziećmi. Jeszcze jedna nie przykuje niczyjej uwagi, a poza murami stolicy nikt nie rozpozna ciebie czy też Kajiego.

– A co mam zrobić, gdy dotrę na miejsce? – spytała Ashia. – Jak mam znaleźć tego *khaffit*?

– Znajdź najpierw Qerana – poleciła jej Inevera. – Mistrz Ćwiczeń zarządza teraz miastem, jego korsarze rządzą wodami miasta, a przynajmniej tak było jeszcze wiosną. To jedyny człowiek, który może ci pomóc w odnalezieniu zaginionego Abbana. Ten przecież był jego panem. Będę codziennie rzucać kośćmi i przekazywać ci nowe informacje, jeśli coś się pojawi. Minie wiele dni, zanim znajdziesz się poza zasięgiem kości, którą umieściłam w twoim kolczyku.

Potem będziesz już zdana na siebie.

– A ów zaginiony kuzyn? – zapytała Ashia.

– Poznasz go po zapachu. – Inevera wzruszyła ramionami.

– Słaby punkt zaczepienia – uznała Ashia.

– Musimy pokładać wiarę w Everamie – rzekła Damajah.

– Kości nie pozostawiają wątpliwości. Jeśli chcesz odegrać swoją rolę w *Sharak Ka*, musisz ich odnaleźć.

Ashia przytknęła czoło do podłogi.

– Jak każesz, Damajah.

Po czym wstała i udała się pożegnać z siostrami włóczy, które w milczeniu czekały na zewnątrz. Wiedziały, że Ashię czeka wyprawa, ale żadna z nich nie miała pojęcia, dokąd się udaje i w jakim celu.

– Siostrzenico! – odezwała się Inevera. Ashia zatrzymała się jak wryta i odwróciła się, by spojrzeć Damajah w oczy. – Wiedz, że nawet gdybyś była moją rodzoną córką, nie mogłabym być z ciebie bardziej dumna. Nie ma drugiej osoby na całym świecie, która udźwignęłaby ten ciężar, jaki zesłał na twoje barki Everam.

Następnie Inevera rozłożyła ramiona, a całkiem zaskoczona Ashia wpadła w nie po raz pierwszy w życiu.



I2

Pozbawieni mocy

334 ROK PLAGI

Bekka ich widzi! – Wonda przechyliła głowę, słuchając dźwięku, który dochodził ze złamanej kości demona i rozbrzmiewał echem we wnętrzu hełmu. – To Stela i Keet! Przekradają się w kierunku magazynu Smitta!

Leesha pokiwała głową. Ci dwoje zawsze przybywali po tym, jak do magazynu dostarczano świeży towar, nawet jeśli Smitt zmienił harmonogram. Ktoś przekazywał im informacje.

Leesha naciągnęła rękawice i narzuciła płaszcz na ramiona.

– Chodźmy więc. Przekaż, żeby Bekka i pozostali nie schodzili z dachów i zwolnili cięciwy. Jedna wypuszczona strzała i ktoś będzie musiał szukać sobie innego zajęcia.

– Tak, pani – rzekła Wonda. – Ale jeśli któreś z nich zrobi coś, co mi się nie spodoba, sama naszpikuję go strzałami. Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze i nie mam zamiaru ryzykować.

Leesha poklepała sakwę z kośćmi *hora*.

– Ja również nie.

Bruna uczyła ją, że bieganie nie licuje z honorem prawdziwej Zielarki, ale Leesha miała długie nogi i ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Naznaczone Dzieci potrafiły się błyskawicznie poruszać pod osłoną ciemności.

Wonda ponownie dotknęła hełmu.

– Dobra, kapuję – powiedziała i odwróciła się ku Leeshy.

– Nie ma co się spieszyć. Spacerują leniwie, jakby zarządzili tym miastem.

Leesha zacisnęła usta, gdy dojrzała Smitta, stojącego z założonymi ramionami przed potężnymi drzwiami do swego magazynu. Drzwi zostały wzmocnione runami i niezniszczalnym szkłem.

– Spróbuj ich nie prowokować – powiedziała, stając obok niego.

– Ich? – spytał Smitt. – Syn i wnuczka regularnie okradają mnie co dwa tygodnie, a ty się martwisz, że ich sprowokuję?

– W tym, co mówi, jest trochę sensu – mruknęła Wonda.

– W porządku – zgodziła się Leesha. – Ale oni są upojeni magią, a nam nie zależy na walce. Chcemy jedynie porozmawiać.

– Mam nadzieję, że oni też – oznajmiła Wonda.

Moment później Stela i jej wuj wyszli z za rogu, na widok Leeshy stanęli jak wryci. Oboje lśnili magią, Stelę otaczała jaśniejsza emanacja, nie tak intensywna jak u Renny Bales, ale jaśniejsza niż u każdego, kogo Leesha widziała, nie licząc oczywiście Arlena i Jardira. A minęło zaledwie pół roku.

To moja sprawa, zbeształa się w myślach. Arlen mnie ostrzegał. Ba, błagał, żebym tego nie robiła, ale ja byłam tak pewna siebie, że zignorowałam wszelkie rady.

Keet przynajmniej miał w sobie tyle przyzwoitości, by okazać skruchę. Stela jedynie zachichotała.

– Wydaje ci się to zabawne? – spytał ostro Smitt. – Zapewniałem wam pożywienie i dach nad głową przez całe wasze życie, a wy odpłacacie się, obrabowując mnie?

– Och, dajże spokój, dziadziu! – odparła Stela. – Stwórca dobrze wie, że cię na to stać. My stajemy co noc do walki i krwawimy za was, a ty jedynie tyjesz i tyjesz!

– Mnóstwo ludzi krwawi co noc – rzekła Wonda. – To żaden powód, żeby zostać bandytą.

– Nigdy nikogo nie skrzywdziliśmy – oznajmił Keet. – Bierzemy tylko kilka worków i beczek. Wolałbyś, żebyśmy cierpieli głód?

– Kiedyś zarabiałaś na swoje utrzymanie – powiedział Smitt.

– I nadal tak jest! – rzuciła ostro Stela. – Bronię was wszystkich!

– Ścierwo demona! – odparł Smitt. – Nikomu nie pomagasz. Walczysz z demonami dla siebie.

– Twój dziadek ma rację – rzekła Leesha. – Nie wytatuowałam wam runów po to, żebyście się upajali magią i rżnęli po krzakach w moim lesie.

– Racja, nie! – parsknęła Stela. – Dałaś nam jedynie posmak magii, a potem nas zostawiłaś! Arlen Bales powiedział, że wszyscy jesteśmy Wybawicielami, a ty chcesz zatrzymać całą moc dla siebie.

– Ostrożnie! – warknęła Wonda. – Nie odzywaj się w ten sposób do pani Leeshy!

– Daj spokój, Stel – odezwał się Keet. – Chodźmy już stąd.

Stela go zignorowała. Rozstawiła nogi, skrzyżowała

ramiona i wbiła wzrok w Wondę.

– Albo co?

Pancerz Wondy zaskrzypiał, gdy ta zacisnęła pięści.

– Albo sprawię ci niezłe lanie, mały obszcymurku!

Przez aurę Steli przemknęło wspomnienie Wondy, jak powalała ją na ziemię podczas treningu. Najwyraźniej dziewczyna miała ochotę na rewanż.

– No, zapraszam, brzydulo! Spróbuj swoich sił! Myślisz sobie, że jesteś kimś szczególnym tylko dlatego, że Leesha zrobiła z ciebie swojego psa łańcuchowego? Może czas, żeby ktoś na nowo wepchnął cię do budy!

Aura Wondy również się rozjarzyła, Leesha uspokoiła przyboczną, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Nie porzuciłam was – powiedziała do Steli. – Książę rozkazał mi, żebym udała się do Angiers. Cóż miałam zrobić? Przecież to dzięki zasadom jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, o czym najwyraźniej zapomnieliście.

– Tak, zasady – stwierdziła Stela. – Tak jakby ciebie którakolwiek z nich powstrzymała przed zrobieniem tego, na co akurat miałaś ochotę.

– Wszystko, co robię, robię dla dobra Zakątki – oznajmiła Leesha.

– Naprawdę? – zripostowała Stela. – To dlatego trzymasz dziecko demona pustyni w twierdzy?

Wonda warknęła głucho. Tym razem Leesha musiała położyć dłoń na jej piersi, by zatrzymać dziewczynę.

– Tak, to też. Chciałabyś, żeby przez Zakątek przeszła jego armia? Chcesz, żebyśmy podzielili los Rizon i Lakton?

Stela parsknęła śmiechem.

– Czyli zabawa w niegrzeczną dziewczynkę nie przypadła ci do gustu, tak? Nie zaciskałaś dłoni na pościeli, jak przyszło co do czego?

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

– Pewnie, że nie – oznajmiła Stela. – Przeklęta Leesha córka Erny’ego nie musi się przed nikim tłumaczyć! Wyjeżdża z miasta na siedem miesięcy, a po powrocie ustawia ludzi po kątach, jakby ktoś uczynił ją hrabiną!

– Dość tego – rzekła Leesha. – Naznaczyłam twoją skórę runami i wręczyłam twoim ludziom broń pod pewnymi warunkami. Złamałaś zarówno te warunki, jak i prawo kraju Zakątka. Zostaniesz aresztowana i odpowiesz przed sądem za swoje przewiny.

– A macie tu gdzieś jakąś armię? – parsknęła dziewczyna.

Leesha uniosła rękę. Stela i Keet spojrzeli za siebie i ujrzeli Rębaczy, którzy strzegli wyjścia z alejki. Zachowywali odpowiedni dystans, ale skutecznie blokowali parze Naznaczonych Dzieci drogę ucieczki. Stela skrzywiła się i znów spojrzała na Leeszę.

– Tyłu ma wystarczyć? Kpisz chyba ze mnie!

Wyskoczyła i jednym susem pokonała dzielący ich dystans kilkunastu kroków, ale choć była szybka, Wonda Rębacz okazała się szybsza. Błyskawicznie zasłoniła sobą Leeszę, potężna i niewzruszona niczym skalny demon, i grzmotnęła opadającą Stelę w pierś. Cios wybił dziewczynie powietrze z płuc i posłał ją na ziemię.

Runy wytatuowane na ciele Steli rozjarzyły się równie mocno jak jej aura, w której kipiał gniew. Odepchnęła się od ziemi, ale Wonda nie dała jej czasu na zrobienie choćby kroku. Kopnęła Stelę brutalnie w brzuch i wykręciła dziewczynie ramię. Ta wrzasnęła głośno, ale wówczas wmieszał się Keet, który grzmotnął Wondę w głowę drzewcem włóczni z taką siłą, że pękł pasek, a hełm spadł na ziemię.

– Uciekajmy! – wrzasnął Keet i szarpnięciem podniósł Stelę. Zewsząd biegli na nich Rębacze.

– Nie ma mowy! – Stela odtrąciła ramię wuja. –

Najpierw wepchnę gębę tej brzyduli w błoto!

Wonda, chwiejąc się, próbowała właśnie powstać, kiedy Stela przypadła bliżej i zamierzyła się do ciosu. Zapłonęły runy uderzenia, gdy grzmotnęła ją pięścią w szczękę.

Gdyby Wonda była zwykłym człowiekiem, a nawet Rębaczem, cios przypuszczalnie odebrałby jej życie. Na szczęście na skórze dziewczyny również znajdowały się rozliczne runy, a drewniana zbroja, którą nosiła, była nasycona mocą ukrytych w niej *hora*. Mimo to Leesha usłyszała trzask pękających kości.

Wyciągnęła swą różdżkę, ale Wonda się nie poddawała. Uniknęła drugiego ciosu Steli, złapała dziewczynę za nadgarstek i wykorzystując jej pęd, skierowała na siebie. Stela zderzyła się z Wondą z impetem, od którego pękały żebra.

Keet z początku nie miał specjalnej ochoty na walkę, ale teraz, gdy znalazł się w sytuacji bez wyjścia, jego aura zapłonęła równie mocno jak Steli. Odepchnął jednego z nacierających Rębaczy kopnięciem tak, że ten wpadł na biegnącą obok niego kobietę, a trzeciego rąbnął w twarz. Rok temu był bezbronnym chłopakiem, niewinnym i nieco naiwnym, teraz jednak poruszał się niczym atakujący drapieznik. Uderzał tam, gdzie wróg był najsłabszy, i ani na moment nie tracił czujności, stawiając skuteczny opór usiłującym go osaczyć napastnikom.

Stela miała rację. Nie zabrali ze sobą wystarczającej liczby wojowników.

Wonda i Stela walczyły niczym demony, wymieniając potężne ciosy. Emocje wzięły już dawno górę, przez co ich *sharusahk* straciło wiele ze swojej finezji i zamieniło się w brutalną wymianę kopniaków, ciosów i rzutów. Wonda przewróciła przeciwniczkę na ziemię, usiłując założyć chwyt, ale Stela wbiła w nią łokieć. Zalśniły runy uderzenia, a olbrzymia Rębaczka została odrzucona do tyłu.

Tym razem to Stela spróbowała ją obezwładnić, ale Wonda zabiła przeciwniczkę z nóg celnym kopniakiem.

– Dość tego! – krzyknęła Leesha, unosząc różdżkę.

Stela odwróciła się ku Zielarce z oczyma lśnącymi jak u otchłańca i ruszyła prosto na nią.

Widząc to, Leesha nakreśliła w powietrzu serię runów równie łatwo jak własne imię. Mogła co prawda skierować moc różdżki przeciwko Steli, ale rozumiała, że to, co się dzieje z dziewczyną, nie jest jej winą, a w każdym razie nie całkiem. Zamiast tego więc postanowiła pobrać moc Steli.

Stela wrzasnęła, gdy poczuła, jak magia opuszcza ją gwałtownie. Runy przygasły, a różdżka w ręku Leeshy zaczęła się rozgrzewać. Wonda chciała złapać Stelę, ale krzyknęła, gdy sama znalazła się w zasięgu pobierania.

– Dam sobie radę! – krzyknęła Leesha. – Zatrzymaj Keeta!

Nic jednak nie wskazywało na to, że kontroluje sytuację. Stela na powrót złapała równowagę i ruszyła ku Leeshy, pochylona, z błyszczącymi oczami. Smitt cofnął się o krok, widząc zbliżającą się wnuczkę.

Różdżka była już gorąca, ale Leesha zacisnęła zęby i nie cofnęła się ani o krok, choć czuła moc sunącą przez jej wzmocnione specjalnymi runami rękawice i ramię. Magia sprawiała, że była silniejsza, ale też potęgowała gniew i frustrację.

– Jak śmiesz! – krzyknęła. – Byłaś nikiem! Szarą myszą błakającą się po moim przytułku! Dałam ci moc, żebyś mogła stanąć do walki pod gwiazdami, a ty co z nią robisz? Tak mi odpłacasz?

Nakreśliła kolejne runy w powietrzu, przyspieszając pobieranie, a wtedy aura Steli niespodziewanie zgasła niczym zdmuchnięta świeca, a ona sama, nieprzytomna, osunęła się na ziemię.

– Na noc!

Widząc to, Leesha nagle oprzytomniała. Przerwała pobieranie i podbiegła do leżącej nieruchomo dziewczyny, odurzona już nie tylko magią, ale i narastającą paniką. Nie chciała wyszarpnąć ze Steli tak dużo magii! Nie chciała jej zabijać!

Ciało dziewczyny było nadal ciepłe, ale nie oddychała. Serce przestało bić, a aura zgasła. Leesha pospiesznie przytknęła nadal gorącą różdżkę do jednego z runów na piersi Steli, by oddać jej część tego, co zostało zabrane. Run chciwie wessał przekazaną porcję magii, która rozbiegła się po reszcie runów i wniknęła pod skórę.

Ciało dziewczyny przeszył spazm. Zerwała się z otwartymi szeroko oczami i głośno wciągnęła powietrze, a potem znów padła na ziemię, oddychając ciężko. Aura Steli pozostawała ciemna, ale Leesha widziała znów bijące serce i miała już pewność, że dziewczyna przeżyje.

W tym czasie Wonda wraz z Rębaczami obezwładnili Keeta i odzierali go teraz z broni i pancerza. Wonda najwyraźniej leczyła już swoje obrażenia, ale jej szczeka była nieco krzywa. Leesha czuła, że będzie trzeba ją złamać, by poprawnie nastawić.

– Keet i Stela z Gospody! Jesteście aresztowani! – oznajmiła Leesha. – Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała wykorzystać lochów, które zbudował hrabia Thamos, lecz nie pozostawiacie mi wyboru.

Stela kaszlnęła i splunęła krwią, ale nie przestawała się uśmiechać.

– Nie na długo. Wataha dowie się o tym. Przyjdą po nas.

– Jakoś was pomieścimy.

Wiedziała jednak, że jeżeli pozostałe Naznaczone Dzieci również jedzą mięso demonów, powstrzymanie ich do łatwych nie będzie należało. Niemniej żeby coś poszło dobrze, najpierw musiało pójść źle.



– I po co to wszystko? – odezwała się Darsy, gdy popijały wraz z Leeshą herbatę, patrząc na Obrońców Zakątków wkraczających na teren Akademii Zielarek.

Chata, w której siedziały, kiedyś należała do Leeshy, a teraz stanowiła biuro administracyjne Darsy, zwierzchniczki Akademii. Leesha dziwnie się czuła jako gość w swoim dawnym domu.

– Modlę się, żeby to wszystko okazało się zbyteczne – rzekła Leesha. – Ale obóz Naznaczonych Dzieci znajduje się w odległości zaledwie kilku minut stąd i wkrótce dowiedzą się, że zatrzymaliśmy Keeta i Stelę. To tylko kwestia czasu. Ich emocje potęguje magia, przez co trzeba liczyć się z tym, że zaatakują kogo popadnie i gdzie popadnie.

Darsy pokiwała głową, patrząc na Zielarkę ze zrozumieniem.

– To nie twoja wina, Leesha. Nie wiedziałaś, że do tego dojdzie.

– Nie? – spytała Leesha. – Arlen przestrzegał mnie przed tatuowaniem ciała. Na noc, błagał mnie, żebym tego nie robiła. Zdawał sobie sprawę z tego, co magia robi z ludzkim umysłem. Doszłam do wniosku, że nas nie docenia, ale teraz jestem już przekonana, że to ja nie doceniałam jego. Jaką trzeba mieć siłę woli, żeby się oprzeć tak wielkiej mocy? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby tego dokonać?

Darsy odetchnęła.

– Z początku miałam wrażenie, że Renna jest już stracona dla świata, ale jakoś pokonała swoje uzależnienie od magii, no nie?

– Chyba tak, ale ona przez cały czas miała Arlena Balesa przy sobie. Dzieci zaś mają tylko siebie.

Leesha upiła łyk herbaty.

Z kuchni wyszła Melny, niosąc tacę.

– Ciasteczko, pani?

– Tak, poproszę. – Leesha ujęła jedno. – Wspaniale pachną!

Na twarzy Melny pojawił się uśmiech. Była piękną, młodą kobietą o nabrzmiałym biuście i wydętym brzuchu, ledwie opiętych przez suknię z tkanego ręcznie materiału. Widząc, jak zajmuje się domem Darsy, nikt by się nie domyślił, że była księżną Angiers, potajemnie wyprowadzoną z miasta wraz z uczennicami Leeshy po tym, jak jej mąż zginął podczas krasjańskiego ataku.

– Czy mogę ci coś jeszcze podać, pani? – spytała.

– Herbata jest odrobinę zbyt słodka – rzekła Leesha. – Następnym razem nie dodawaj mi cukru.

– Mogę przygotować nową filizankę...

– Nie, nie trzeba, skarbie. Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze, pani. Mistrzynie Darsy nauczyła mnie tylu rzeczy!

– Szkoda, że nie słuchała, gdy uczyłam ją pieczenia – mruknęła Darsy, gdy dziewczyna wyslizgnęła się z pokoju, nucąc do siebie.

Leesha spojrzała na ciastko. Krawędź w istocie była przypalona, a środek zbyt gruby. Ugryzła i natychmiast się przekonała, że w środku ciastko było surowe.

– Większość uczennic, które sprowadziłaś, rokuje wielkie nadzieje. – Darsy pokręciła głową. – Ale ta...

– Widziałam śmierć męża Melny – przerwała jej Leesha. – Nie ma nikogo bliskiego, a ja obiecałam, że się nią zajmę.

Nie było to do końca prawdą. Gdyby księciu Petherowi nie udało się spłodzić potomka z księżniczką Lorain z Miln, dziecko noszone przez Melny było kolejne w linii dziedziczenia. Leesha wiedziała, że być może kiedyś będzie musiała wykorzystać je jako narzędzie polityczne,

i nienawidziła się za to.

– Dziękuję, że ją przygarnęłaś.

– Nie jest szczególnie bystra i wciąż nie wie, jak dobrze zamiatać. – Darsy wzruszyła ramionami. – O tym, co wyczynia w kuchni, nie chcę nawet mówić, ale dobrze sobie radzi z igłą i jest zawsze rozpromieniona. Uśmiecha się do każdego, a ludzie ją uwielbiają i nadskakują, tym bardziej że spodziewa się dziecka.

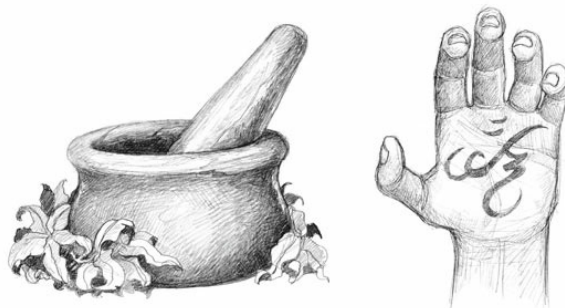
– A jak się miewają nasi milneńscy goście?

– Więcej my uczymy się od nich niż oni od nas – przyznała Darsy. – Mistrz Ragen i Matka Elissa przez cały tydzień wykładali nam sztukę kreślenia runów. – Pokręciła głową i dodała: – Choć nie jestem przekonana, czy powinniśmy uczyć mężczyznę magii kości. Jakoś mi to nie pasuje.

– Będziesz się musiała przyzwyczaić, Darsy – rzekła Leesha. – Tak jak mężczyźni muszą przywyknąć do tego, że kobiety chwytają za włócznie. Od urodzenia Olive często zastanawiam się nad podziałami, które sami stwarzamy. Dlaczego mężczyzna nie mógłby zostać Zielarzem, jeśli ma ku temu zdolności i wyraża ochotę?

– Pojęcia nie mam, na Otchłań – westchnęła Darsy. – Tylko że dziwne to trochę. Jeszcze chwila, a zaczniemy ich uczyć sekretów ognia.

– Słyszałaś, co się stało podczas bitwy o Angiers – powiedziała Leesha. – Mężczyźni z Miln już zawładnęli sekretami ognia, ale nawet cały zapas broni ognistej na świecie nie ocali ich, jeśli demon umysłu weźmie ich na cel. Mistrz Ragen wychował Arlena Balesa. Jeśli uznamy, że nie jest godny naszego zaufania, możemy właściwie od razu porzucić wszelką nadzieję.



I3

Ostatnia wola Arlena Balesa

334 ROK PLAGI

Jestem pewna, że się wścieknie – ostrzegła Renna.
– I to jeszcze jak – zgodził się Arlen. – Ale ma do tego prawo, wiesz.

– Naprawdę nie chcesz, żebym z tobą poszła? – spytała Renna.

Nie powiedziała tego na głos, lecz przez jej aurę przemknął obraz Arlena i Leeshy obejmujących się z pasją. Oczywiście nawet nie przyszło jej do głowy, że Leesha mogłaby nadal być jej rywalką – wszak byli z Arlenem małżeństwem – jednak nie mogła zapomnieć o tym, co się kiedyś wydarzyło.

– Wkrótce do ciebie wrócę, Ren – powiedział – ale Leesha ma prawo się na mnie powydzierać, a sam lepiej to zniosę.

– Pod warunkiem że na wrzasku się skończy – rzekła Renna. – Nikt poza mną nie ma prawa tłuc cię po głębie.

– Och, cóż ze mnie za szczęściarz. – Arlen mrugnął do niej, a potem wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je powoli, rozplywając się we mgle. Demony nazywały ten moment stanem-pomiędzy, gdyż istniały wówczas jedynie w formie energii. Zewsząd oddziaływały na nie prądy magii, a w jednym miejscu utrzymywały się tylko dzięki sile woli.

Arlen skupił się i odnalazł pasmo magii, które sączyło się z głębi ziemi. Pochwycił się go i wniknął pod powierzchnię, gdzie natychmiast pojawiły się przed nim kolejne. Tworzyły skomplikowany labirynt, ale Arlen nie zawahał się ani chwili i popłynął naprzód. Choć wielkie runy Zakątka znajdowały się setki mil stąd, bez trudu wyczuwał ich oddziaływanie. Ogromne magiczne symbole pobierały magię z całej okolicy, a ta tworzyła ogromny wir.

Arlen pozwolił zatem, by wielkie runy pobrały i jego, aż znalazł się w obrębie tworzonej przez nie sieci. Emanująca z niej moc groziła rozerwaniem na strzępy, wyteżył więc siłę woli i zaczął wirować wokół serca kompleksu. Wówczas uświadomił sobie, że zewsząd napływa do niego wiedza o tym, co się dzieje na powierzchni. Pograżył się w niej, próbując dowiedzieć się jak najwięcej o wszystkim, co miało miejsce podczas jego nieobecności, aż wykrył pojedynczą znaną sobie aurę. Runął ku niej z ogromną prędkością.

Runy, które Leesha rozmieściła wokół twierdzy hrabiego, imponowały swą mocą, ale miały odpędzać demony i w niektórych przypadkach ludzi. Arlen zaś nie był ani jednym, ani drugim i bez trudu wnikał w szczeliny między magicznymi symbolami. Był niewidzialny dla każdego, kto nie wzmocnił swego wzroku runami, a ci, którzy to zrobili, ujrzeliby jedynie większą ilość magii przyciąganej przez runy na ścianach.

Arlen prześlizgiwał się przez barierę. Sam nauczył Leeshę sztuki kreślenia runów i doskonale pamiętał jej styl. Przemykając wśród stworzonych przez nią znaków, miał wrażenie, że muska jej ciało, co przywołało wspomnienia ich wspólnych chwil namiętności, które, zdawałoby się, miały miejsce w innym życiu. Cieszył się teraz, że nie było z nim Renny. Gdy rozpływali się we dwoje, ich emocje i uczucia stawały się widoczne jak na dłoni.

Odkrył Leeshę w biurze hrabiego. Zmaterializował się wśród cieni i przemieścił część swojej mocy w runy niewidzialności, wytatuowane wzdłuż kończyn. Ukryty przed oczami ciekawskich, pobrał nieco magii z otoczenia, by odczytać jak najwięcej szczegółów.

Przede wszystkim nie było to już biuro hrabiego. Thamos nie żył od kilku miesięcy, a wystarczyło spojrzeć na aurę Leeshy, by wiedzieć, że to ona była tu teraz panią. Blask władzy oraz związanych z nią udręk spowijał postać Zielarki niczym płomień, a dookoła krążyły obrazy i wyobrażenia przywodzące na myśl demony.

Arlen przypomniał sobie, że należy oddychać, i stłumił ból w sercu wywołany emocjami i wspomnieniami Leeshy. Hrabia Thamos, mimo swej próżnej, krzykliwej natury, okazał się dobrym człowiekiem, a takich w tych czasach ze świecą szukać. Świat nie skorzystał na jego śmierci.

Leesha nie była sama, w pobliżu stała Wonda. Spod jej podwiniętych rękawów wypływały wymalowane farbą runy. Potężna łuczniczka również emanowała mocą, a jej widok sprawił Arlenowi wielką przyjemność. Spoglądał bowiem w życiu w niejedną aurę, ale mało która okazała się równie czysta i nieskomplikowana jak aura Wondy Rębacz.

Nic jednak nie mogło równać się z jasnością bijącą z kołyski. Dziecko Leeshy i Jardira promieniało niczym małe słońce. Arlen przełknął wielką, włochatą kulę

w gardle i uniósł dłoń, by otrzeć łzę.

Na ścianach pokoju znajdowały się nieczynne runy ciszy. Arlen nakreślił w powietrzu symbol i aktywował je wszystkie.

Leesha zeszywniała, wyczuwając zmianę, i natychmiast pochwyciła różdżkę wiszącą u pasa. Wonda, jak zwykle czujna, wyciągnęła nóż.

– Wszystko w porządku, pani? – spytała.

– Sprawdź drzwi – rzuciła Leesha. – I łap za łuk.

– Nie ma potrzeby, Won. – Arlen wyszedł z cieni.

Leesha zerwała się na równe nogi i wykreśliła dłońmi run broniący przed zmiennokształtnymi.

– Żaden ze mnie demon, Leesh – powiedział Arlen. – To ja. Naprawdę.

– Wybawiciel... – Wonda opadła na jedno kolano.

Arlen wywrócił oczami.

– Ile razy jeszcze będę musiał powtórzyć, żebyś dała sobie spokój z tym przedstawieniem, Wondo Rębacz?

Ta wzruszyła ramionami i podniosła się z dywanu.

– Jeszcze z tysiąc, jak sądzę.

– A więc przynajmniej wiem, że połowę mamy już za sobą – uśmiechnął się Arlen.

– Cieszę się, że cię widzę, panie! – rzekła Wonda. – Wiedziałam, że żyjesz!

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odparł Arlen. – Jestem z ciebie dumny, Wondo. Chciałem porozmawiać z tobą i kilkoma innymi, ale to nastąpi za chwilę. Póki co mam do ciebie inną sprawę. Czy mogłabyś stanąć przed drzwiami i dopilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał?

– Tak jest! – Wonda ujęła łuk oraz kołczan i skierowała się ku drzwiom.

– Tylko nie piśnij nikomu ani słowa! – dodała Leesha.

– Tak, pani! – rzuciła Wonda i zamknęła za sobą drzwi.

– Hrabina Leesha – rzekł Arlen, gdy zostali sami. – Mam

się uklonić czy co?

Leesha wsunęła różdżkę za pas i rozłożyła ramiona.

– Przestań gadać głupoty i uściskaj mnie.

Arlen objął Leeszę delikatnie, a wówczas nozdrza wypełnił mu zapach przyjaciółki – zapach ziół i mydła, słodczy jej mleka oraz niepowtarzalna woń ciała. Z trudem opanował pokusę, by zanurzyć twarz we włosach Leeshy i odetchnąć ich zapachem, jak raz kiedyś, dawno temu.

Stali objęci przez chwilę i z niechęcią odsunęli się od siebie, ale wówczas nastawienie Leeshy uległo całkowitej zmianie. Odepchnęła go ze wszystkich sił.

– Niech cię Otchłań pożre, Arlenie Bales! Aleś ty nas wszystkich przeraził! Niech noc porwie ciebie i te wszystkie twoje zasrane sekretne plany. Ahmann też żyje?

Arlen podrapał się po szyi.

– Pewnie, że tak, Leesha. Nikogo nie zabiłem. Przecież Renna ci to powiedziała.

– A właśnie że nie! – Leesha niemal wypluła te słowa. – Powiedziała za to, że on już nie wróci, podobnie jak ty!

Rąbnęła Arlena pięścią w pierś. Mógł ją powstrzymać, zrobić unik lub rozpląnąć się w powietrzu, ale nawet nie drgnął.

– Wyrzuc to z siebie, Leesha. Wiem, że sobie zasłużyłem.

– Zasłużyłeś, na Otchłań! – warknęła, lecz bierna postawa przyjaciela zdawała się wywierać dobroczynny wpływ na jej furję. Choć zdarzało się, że dawała upust swoim emocjom, jej sercem niepodzielnie rządziła chłodna logika. Nie mogła wszak zadawać pytań, gdy powodował ją gniew, a tych miała sporo.

Niemowlę drgnęło i rozległ się płacz.

– Zobacz, co narobiłeś – rzekła Leesha. – Dopiero co ułożyłam ją do snu.

– To nie ja się wydzieram.

Leesha ruszyła ku kołysce, Arlen ją wyprzedził i podniósł

dziecko, nawet nie próbując ukryć szerokiego uśmiechu na twarzy.

Zerknął na Leeshę i dostrzegł panikę w jej aurze. Sama myśl o tym, że Arlen dotknie dziecka, obudziła w Zielarce lęk, ale nie dała tego po sobie poznać. Nie odezwała się ani słowem. Arlen podsunął maleństwu palec, a ono złapało go mocno, natychmiast zapominając o płaczu. Przyglądało się mężczyźnie z ciekawością malutkimi oczkami.

Wówczas Arlen wejrzał głębiej w aurę dziecka i odkrył, czego Leesha tak naprawdę się boi.

– Cóż, nie zdarza się to często – rzekł.

W aurze Leeshy pojawiła się czujność.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

Arlen zignorował pytanie.

– Jak ma na imię?

– Olive.

W aurze Leeshy pojawiło się wyobrażenie przegryzionej oliwki, z której wystawała pestka. Arlen roześmiał się głośno.

– Oliwki bywają twardsze od orzechów – oznajmił.

– To samo powiedziała moja matka.

– Dobre imię – rzekł Arlen. – Spodoba jej się.

W aurze Leeshy ostrożność ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

– A dlaczego wychodzisz z założenia, że to dziewczynka?

Arlen znów spojrział na dziecko, zastanawiając się nad pytaniem. Sięgnął głębiej, przepuścił przez Olive odrobinę magii i znów ją wchłonął, odczytując wszelkie doznania. W aurze dziecka tańczyły rozmaite obrazy, więcej, niż Arlen kiedykolwiek widział. Nie mógł ich nazwać myślami czy wspomnieniami, wszak dziecko było na to za małe. Miały się nimi dopiero stać.

– Nie wiem – powiedział w końcu. – Ale czuję, że mam rację. Olive będzie podawać się za dziewczynę, choć w głębi

duszy zawsze będzie wiedzieć, że nie jest ani dziewczyną, ani chłopakiem.

Aurę Leeshy przeszył ból, a oczy wezbrały łzami. Zielarka zasłoniła usta dłonią, by stłumić szloch. Arlen ułożył sobie dziecko na jednym ramieniu, a drugie wyciągnął, by zacisnąć palce na ręce Leeshy.

– To nie ma znaczenia. Ona pozostanie Olive i wkrótce wyrośnie poza wszelkie kategorie, a świat będzie musiał się po prostu do niej przyzwyczaić.

Leesha zaśmiała się z trudem.

– Moja mama też tak mówi.

– Twarda babka z twojej mamy – stwierdził Arlen. – I nazywa rzeczy po imieniu. Olive bez wątpienia czekają ciężkie chwile, ale nie zapominaj, że jest równie szczególna jak jej rodzice. Ba, może nawet bardziej. Poradzi sobie ze wszystkim, czym życie w nią ciśnie.

Leesha uniosła głowę. Jej oczy były pełne łez.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Arlen spojrział na wyobrażenia i obrazy wirujące wokół Olive i wzruszył ramionami.

– Sporo teraz widzę. Czasami dostrzegam ludzkie myśli, a czasami... czasami coś innego. Zupełnie jakbym rzucał krasjańskimi kośćmi. Nie widzę tego, co się wydarzy, ale to, co wydarzyć się może. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że wszystkim nam nie zostało wiele życia, ale jeśli przebrniemy przez to, co nadchodzi...

– Gdzie jest jej ojciec? – spytała Leesha.

– Trzyma wartę i czeka, aż powrócę – rzekł Arlen. – Potem będzie chciał załatwić własne sprawy w Lennie Everama, a gdy się z nimi upora... Cóż, wówczas znowu ruszamy.

– Jakie sprawy? – dopytywała Leesha. – Dokąd wyruszacie? I co nadchodzi?

Arlen odetchnął.

– Wbiliśmy kij w gniazdo szerszeni, Leesh. Niedługo pojawi się kolejny rój i to w sumie moja wina.

W oczach Leeshy dojrzał błysk bólu. Zielarka przycisnęła dłoń do skroni, szukając ulgi.

– No, wreszcie mówisz jak Arlen Bales, którego znam – powiedziała i z powrotem zasiadła na swoim krześle. – Napijesz się herbaty?

– Tak, dzięki.

Olive zamknęła oczy, Arlen, nie puszczając jej, usiadł ostrożnie na kanapie naprzeciwko Leeshy. Ta napełniła filiżanki. Gość wolną ręką ujął swoją. Herbata była oczywiście gorzka, co nie powinno go zdziwić. Leesha nie narzucała sobie żadnej diety, po prostu nigdy nie przyszło jej do głowy, że ktoś mógłby herbatę słodzić.

Mrużąc oczy, przyjrzała mu się przez runiczne okulary.

– Na noc, Arlen. Jeśli chcesz posłodzić herbatę, wystarczy to powiedzieć! – Uśmiechnęła się.

– Stajesz się coraz lepsza w czytaniu aur.

– Nie trzeba być demonem umysłu, żeby wiedzieć, co ci chodzi po głowie. W tej chwili widzę w twojej aurze gigantyczną cukierniczkę!

– Nie dopatruj się w aurach obrazów, bo jeszcze musisz się wiele nauczyć – rzekł Arlen.

Leesha machnęła lekceważąco ręką, jednak zauważyła, że przyjaciel jest pod wrażeniem.

– Widzę to, co widzę. Czy to oznacza, że zawsze miałeś ochotę na odrobinę cukru, ale nigdy nie powiedziałeś ani słowa?

– Nigdy nie stawiasz cukierniczki na stole, jeśli ktoś o nią nie poprosi. – Arlen wzruszył ramionami. – A ja nie chcę robić zamieszania. Piłem w życiu gorsze rzeczy od gorzkiej herbaty.

– Juchę? – spytała Leesha, a Arlen poczuł, jak jego krew zamienia się w lód. Utrzymał neutralny wyraz twarzy

i wniknął w aurę Zielarki, chcąc wybadać, ile się dowiedziała. Odetchnął i odstawił filiżankę.

– Jak to odkryłaś?

– Niczego nie odkryłam – odparła Leesha. – Zrobiła to za mnie Stela z Gospody. Zamknęliśmy ją w lochu w chronionej runami celi, ale w Zagajniku Zielarek nadal szaleją tuziny młodych ludzi, którzy upijają się magią i pożerają mięso demonów.

– Na noc... – Arlen zasłonił twarz dłonią.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć – rzekła Leesha. – Mogłeś mi zaufać!

– Chcesz rozmawiać o zaufaniu? – warknął Arlen. – A przecież prosiłem cię, żebyś nie tatuowała ludziom skór. Ostrzegałem, że wchłonięcie zbyt wielkiej ilości magii może się dla człowieka źle skończyć! Widziałas przecież, czym się stałem, Leesha! Żyłem w dziczy jak zwierzę i zapomniałem, że tak naprawdę jestem człowiekiem. Pamiętasz ów dzień, gdy odnalazłem cię i Rojera na szlaku? Mało brakowało, a porzuciłbym was na śmierć, a był to przecież jeden z moich lepszych dni.

Leesha założyła ramiona.

– A Rennie to nie przeszkadzało?

– Renna postąpiła dokładnie tak jak ty i całkowicie zignorowała moje ostrzeżenia – skrzywił się Arlen. – Otaczają mnie kobiety, które zupełnie mnie nie słuchają.

Leesha uśmiechnęła się do niego.

– Może to dobrze? W przeciwnym razie zacząłbyś zachowywać się jak głupiec.

– Może to i racja? – Arlen zaśmiał się wbrew sobie.

Leesha wstała i podeszła do stolika, na którym stał prosty, gliniany serwis do herbaty.

Najwyraźniej, choć jest hrabiną, nie lubi otaczać się zbytkiem, pomyślał Arlen, patrząc, jak wraca z cukierniczką. Ujęła szczypcę, wrzuciła dwie grudki cukru

do jego filiżanki, a potem odstawiła cukierniczkę i usiadła.

– A teraz powiedz mi, gdzie byłeś i co robiłeś.

– Ufam ci, Leesho córko Erny’ego – oznajmił Arlen. – I zawsze ci ufałem, ale tak jak ty odmówiłaś mi, gdy kiedyś poprosiłem cię o wyjawienie sekretów ognia, ja również zachowam kilka kwestii w tajemnicy. Każdy z nas ma prawo, żeby działać wedle własnego osądu.

Leesha zacisnęła usta, ale nie sprzeciwiła się.

– Dobrze – westchnął. – Nie wiem, czy uda nam się jeszcze kiedyś spotkać, a więc tajenie sekretów nie ma sensu. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale chcę, żebyś mi poprzysięgła, i to na głos, że zachowasz wszystko w tajemnicy. Jeśli ktoś dowie się o tym, co chcę ci powiedzieć, a potem dorwie go jakiś demon umysłu, cały świat znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Leesha nie wahała się.

– Przysięgam na dziecko, które śpi na twoim ramieniu, że twoje sekrety są u mnie bezpieczne.

Arlen pokiwał głową.

– Demony umysłu nie napadły na mnie oraz na Jardira przez przypadek. Traktują ten cały interes z Wybawicielami o wiele poważniej niż Opiekunowie. Nazywają nas Zjednoczycielami i zbierają otchłance w ruch oporu. Dopóki chodzimy po świecie, dopóty będą atakować.

– Renna powiedziała mniej więcej to samo – rzekła Leesha.

– Sądziłem, że możemy z nimi walczyć tak jak kiedyś – ciągnął Arlen. – Ale potem wpadłem w ich pułapkę podczas Nowiu. Demony umysłu złapały mnie i przetrząsnęły mi mózg jak stary kufer z rupieciami. Słyszałem ich gadaninę w swojej głowie. Oglądały sobie moje życie i plany i śmiały się ze mnie. Uznały mnie za porażkę. Ale niespodziewanie – Arlen postukał się palcem po czaszce – wbrew swojej woli zdradziły mi jedną rzecz.

– Co takiego? – spytała Leesha. Widział, jak dziewczyna z trudem opanowuje niecierpliwość.

– Dowiedziały się, skąd wzięłem runy. Ujrzały Słońce Anocha i postanowiły wrócić tam podczas kolejnego Nowiu, żeby zrównać to miejsce z ziemią.

Leesha zmrużyła oczy.

– A więc odkryłeś, gdzie będą.

– Zrozumiałem też, że nie mogę zabić Jardira. Demony, przetrząsając mój umysł, natrafiły bowiem na ten plan, a więc musiałem zrobić coś, czego nie będą się spodziewać.

– A więc *Domin Sharum* od samego początku był fortelem – odgadła Leesha. – Porwałś Ahmanna i zabrałeś go tam!

Arlen pokiwał głową.

– Razem z Renną, Shanvah i Shanjatem.

Leesha zacisnęła pięść, a w jej aurze buchnął gorący gniew.

– Ale nie wzięłeś mnie! Nie zabrałeś Rojera, Gareda czy...

– Nie mogłem ryzykować – rzekł Arlen. – Chciałem, żebyśmy zaczęli się w niewielkim grobowcu i zaczękali na demony umysłu, aż zjawią się, żeby obsrać sarkofag Kajiego. Każda kolejna osoba zwiększała prawdopodobieństwo, że nas zauważą.

– I co się stało?

– Korona Jardira roztacza runiczną strefę ochronną. Demony nie mogą przez nią przeniknąć, nie są w stanie też z niej uciec. Zabiliśmy kilka pomniejszych otchłańców, a na końcu uwięziliśmy największego z ich grona.

– Czy ty masz na myśli...? – Leesha otworzyła szeroko oczy.

– Alagai Ka. – Arlen pokiwał głową. – On istnieje i jest równie realny jak ty czy ja.

– Zabiliście go? – zapytała Leesha.

Arlen rozejrzał się, by mieć pewność, że runy ciszy nadal działają, po czym na wszelki wypadek dodał jeszcze kilka, wzmocnionych o runy dezorientacji i niewidzialności. Leesha przyglądała się cierpliwie jego poczynaniom.

– Skurwysyn wytarł nami podłogę – rzekł Arlen. – Dosłownie. Ja, Jardir i Renna musieliśmy wyteńczyć wszystkie siły i sięgnąć po każdy fortel, żeby jakoś go wreszcie zmóc i spętać.

– Spętać? – Leesha rozchyliła usta.

– Żyje. To jego właśnie pilnuje teraz Jardir.

– Ale po co?

– Nie spodoba ci się moja odpowiedź – ostrzegł Arlen.

– Mówże! – Leesha smagneła go ostrym spojrzeniem i skrzyżowała ramiona.

– Chcemy go zmusić, żeby zabrał nas do Otchłani. Chcemy zabić królową demonów.

– Na noc...!

Aura Leeshy zdradziła Arlenowi, że dziewczyna chce go solidnie zbesztać, ale słowa nagany uleciały jej z głowy, gdy w pełni zrozumiała to, co właśnie usłyszała.

– A demony wyroją się po to, żeby was powstrzymać?

– Nie do końca... – Arlen pokręcił głową.



– Na noc! – powtórzyła Leesha, gdy Arlen dokończył swoją opowieść. Zawsze miała go za szaleńca, ale to... – Nadal uważasz, że zejście na samo dno roju to dobry pomysł?

– A masz może lepszy? – spytał Arlen.

Olive nadal spała na jego ramieniu. Emanowała spokojem i ufnością, a aura Arlena otaczała ją opiekuńczo.

Czy naprawdę nigdy go nie pozna? Czy nigdy nie spotka swojego ojca? – pomyślała Leesha.

Nie osiągnęła takiej biegłości w odczytywaniu aur jak Arlen, ale wniknęła w jego myśli i zdołała odkryć najważniejszą: był przekonany, że nie wrócą z Otchłani.

– Powiedziałaś, że pomniejsze demony umysłu już dojrzewają. Przecież moglibyście zabić króla demonów, a potem powybijać jego młodszych kuzynów, jednego po drugim. Moglibyśmy wspólnie toczyć wojnę z demonami tak jak zawsze. W tradycyjny sposób.

– Podczas Pierwszej Wojny z Demonami ludzie byli o wiele liczniejsi – rzekł Arlen. – Kaji miał pod sobą miliony wojowników. Nam tymczasem już brakuje włóczni, a co będzie wtedy, gdy królowa złoży sto tysięcy świeżych jaj? – Odetchnął i dodał: – A może właśnie to jest owym tradycyjnym sposobem? Wedle Ewejah Kaji przeniósł wojnę pod ziemię, co zresztą potwierdził Alagai Ka.

– Kaji zabił królową demonów? – spytała Leesha.

– Próbował. Był już blisko, ale coś mu przeszkodziło w ostatniej chwili. Stwórca jeden wie co.

– A od kiedy to niby wierzysz w Stwórcę?

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. – Arlen wzruszył ramionami.

– A skąd wiesz, że demon nie poprowadzi was prosto w pułapkę? – spytała Leesha.

Arlen znów wzruszył ramionami, i to w ten sam sposób co zwykle. Leeshę doprowadzało to do szału.

– Trzeba się z tym liczyć, ale otchłańce nie wiedzą, że nadchodzimy, a dzięki płaszczom przypuszczalnie nas nie zobaczą. Tatuś demon został przez nas wytatuowany i porządnie skutny, przez co raczej nie wyrządzi nam większej krzywdy.

– Z tego, co powiedziałaś, wynika, że można się spodziewać po nim o wiele więcej, niż z początku

zakładałeś.

Arlen pokiwał głową.

– Nie będziemy ryzykować, jeśli nie będzie ku temu potrzeby, ale nie możemy siedzieć bezczynnie i czekać, aż noc zapadnie na dobre.

– Fakt – przyznała Leesha. – Nie możecie.

– Demony umysłu chcą się rzucić na Wolne Miasta i rozłupywać je niczym jajka – ostrzegł Arlen. – Będą potrzebować świeżego mięsa, żeby nakarmić królowe składające jaja. Każde większe osiedle zostanie zaatakowane, gdy demony podzielą między siebie terytoria.

– A co się stanie, kiedy nas pozabijają, a potem skończy im się jedzenie? – Leesha masowała się po skroniach.

– Wówczas rozszerzą zakres działania – rzekł Arlen. – Nie jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, a to nie będzie jedyny rój.

– A więc jak mam to rozumieć? – zapytała Leesha. – Zabijemy królową i odeprzemy atak roju, a wszystko to tylko działanie tymczasowe?

– Nie, jeśli nadal będziemy budować wielkie runy. Dzięki nim udało nam się przetrwać cały rok, a jeśli wciąż będziemy je tworzyć, za kilkanaście lat otchłańce nie będą mogły zmaterializować się nigdzie w całej Thesie!

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała Leesha.

– W nic nie wierzę bardziej – odparł Arlen, a w jego aurze nie było cienia kłamstwa. – Gdy byłem mały, nikt nie wierzył, że można walczyć z demonami. Udowodniłem, że wszyscy się mylą. Potem nikt nie dawał wiary w to, że Krasjanie i Thesańczycy mogą działać wspólnie, ale to przekonanie również obaliłem. Każdy z nas potrafi utkać własne przeznaczenie pod warunkiem, że znajdzie w sobie odwagę i zaciętość.

Olive zagugała cichutko i umościła się wygodniej na ramieniu Arlena. Leesha zacisnęła dłoń.

– Dobrze, a więc zajmijmy się tym. Czego potrzebujesz?

– Będziemy musieli przekazać wieści do innych miast – odparł Arlen. – Uda ci się załatwić to z Angiers? Euchor na pewno nie będzie chciał słuchać, ale mam innych przyjaciół w Miln, którzy...

– Nie masz – przerwała mu Leesha.

– Co takiego?

Leesha rozkoszowała się chwilą.

– Nie masz przyjaciół w Miln, bo Ragen i Elissa są tutaj, w Zakątku.

Szeroko otwarte oczy Arlena przez moment wydawały się większe od spodeczków.

– Przebywali w Lakton w chwili ataku Krasjan. Mieszkają w tej oto twierdzy, skąd szykują się do powrotu do domu.

– A więc mam do wykonania jedną wyprawę mniej – rzekł Arlen, który zdołał już odzyskać panowanie nad sobą, ale Leesha nadal widziała w jego aurze radość wywołaną jej słowami.

Na Stwórcę, niech się cieszy choć przez chwilę. Nie wiem, czy ktokolwiek zasłużył sobie na to bardziej, pomyślała.

– Czy możesz poprosić Wondę, żeby ich tu sprowadziła? – odezwał się. – Ja muszę wrócić po Ren. Rojera i Gareda również, dobrze?

Leesha zamarła. Na jej twarzy nadal malował się spokój, lecz nie miało to znaczenia, bo przecież Arlen mógł spoglądać prosto przez nią. Zerknął nad ramieniem Zielarki, gdzie bez wątplenia niczym duch wznosiło się wspomnienie muzyka. Radość Arlena znikła bez śladu.

– Rojer nie żyje?

Olive na jego ramieniu zaczęła płakać.



Arlen nadal ocierał łzy, gdy wraz z Renną zmaterializowali się na nowo w osobistym biurze Leeshy. Na miejscu czekali na nich Ragen, Elissa, Derek, Wonda oraz Gared.

– Na noc! – mruknął Gared do Wondy. – Nigdy bym nie uwierzył, że Wybawiciel może płakać.

Leesha smagnęła go ostrym spojrzeniem, ale Arlen miał słuch niczym nietoperz.

– Jestem człowiekiem, tak jak i ty, Gar – warknął. – Odmawiasz mi prawa, żebym uronił łzę po przyjacielu?

– Skąd! – odparł Gared. – Ja tylko chciałem...

– Tylko chciałeś pokazać, że wciąż rozpowszechniasz te przekłętą farmazony o Wybawicielu, co?

Spokój i opanowanie, które zawsze widniały na twarzy Wybawiciela, znikły bez śladu. Jego oczy zapłonęły jak wcześniej u Steli, a aura zajaśniała wściekłą czerwienią, co ujrzeli wszyscy obecni.

Arlen zrobił krok ku Garedowi, ten zaś skulił się, a jego kolana zdrząły. Aura Arlena zapłonęła jeszcze mocniej.

– Jeśli choć spróbujesz ukłęknać, Garedzie Rębaczu...

Leesha ruszyła ku Balesowi, ale wyprzedziła ją Renną, której oczy też były wilgotne i czerwone od płaczu. Położyła mężowi rękę na ramieniu i szepnęła:

– Oddychaj!

Arlen zatrzymał się i nabrał głęboko tchu, a gdy wypuścił powietrze, gniew powoli opuścił jego aurę. Zebrani odetchnęli z ulgą.

– Przepraszam, Gar – bąknął Arlen.

– Zasłużyłem sobie – zarumienił się Gared i machnął ręką, jakby chciał puścić zdarzenie w niepamięć. – Choć w sumie mógłbym założyć świeże gacie.

– Na nic sobie nie zasłużyłeś – rzekł Arlen. – To nie na ciebie się wściekłem. Powinienem z wami pozostać, powinienem...

– Zgadza się – odparł Gar. – Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał. Nie powinienem był wyjeżdżać z miasta. Nie powinienem był zostawić go w tym więzieniu.

– Wszystkich nas prześladowają wyrzuty sumienia – powiedziała Leesha. – Ale nikt się nie spodziewał, że Janson może okazać taką zuchwałość.

Tym razem to aurę Renny załała czerwień.

– Mam nadzieję, że ten cały Janson już nie oddycha?!

Leesha się rozejrzała. Po tym, jak żony Rojera powróciły do Krasji, sekret przestał mieć znaczenie.

– Sikvah poderżnęła mu gardło w pałacowej toalecie.

– Mała Sikvah? – Gared zamrugał z niedowierzaniem. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Lepiej uwierz – powiedziała Wonda. – Stanełam jej tamtej nocy na drodze i zanim się zorientowałam, już leżałam na ziemi.

– Niech go szlag trafi! – Renna splunęła na podłogę. Leesha ugryzła się w język.

– Żałuję, że przegapiłem pogrzeb – rzekł Arlen. – Leesha powiedziała, że było na co popatrzeć.

– Cały Zakątek wyległ na ulice – przytaknęła Wonda. – Dziesiątki tysięcy ludzi. Wszyscy śpiewali pieśni Rojera i błagali Stwórcę, żeby go pobłogosławił w Niebie.

– A my dotarliśmy do Zakątka w chwili, gdy wszystko się zaczynało – rzekł Ragen.

– Nigdy nie widzieliśmy niczego tak pięknego – dodała Elissa.

Arlen przełknął ślinę.

– Przynajmniej ktoś z mojej rodziny wziął udział w pogrzebie – stwierdził.

On i Ragen wyciągnęli ku sobie dłonie, ale

w okamgnieniu zapomnieli o tym i padli sobie w objęcia, poklepując się po plecach.

Ech, mężczyźni, pomyślała Leesha, walcząc z ochotą, by wywrócić oczami.

Wówczas Elissa rozłożyła ramiona, a Arlen wpadł w nie bez wahania. Jego ciało przeszył dreszcz, a pozostali odwrócili wzrok, by dać im chwilę prywatności. Renna wypatrzyła swoją plwocinę na podłodze i usunęła ją, kreśląc palcem run parowania.

Arlen i Elissa odsunęli się wreszcie od siebie, a wtedy kobieta wyjęła jedwabną chusteczkę i otarła oczy przybranemu synowi. Leeshy trudno było uwierzyć, że Arlen, którego znała, mógł pozwolić komukolwiek na tak intymny gest, ale mężczyzna jedynie pociągnął nosem. Elissa zaś otarła oba kąciki, a potem go pocałowała.

Wówczas Arlen odwrócił się i wskazał Rennie.

– A oto moja żona. Renna Bales.

Dziewczyna zrobiła krok naprzód, jednak nie unosiła twarzy. Jej aura mieniła się wstydem, a wokół wirowały rozmaite obrazy. Stosowna sukienka. Kąpiel. Renna sprzed czasów, gdy obcięła włosy nożem, by nie przeszkadzały jej w walce.

Na Stwórcę, ależ ona się zmieniła przez ostatni rok, pomyślała Leesha i pokręciła lekko głową. Na noc, a któż z nas jest taki, jaki był kiedyś?

Odczucia Renny dało się zrozumieć, zwłaszcza przed Matką Elissą, urodzoną arystokratką, ale zarówno w aurze Elissy, jak i na jej obliczu nie było ani śladu dezaprobaty. Rozłożyła szeroko ramiona i przyciągnęła do siebie zaskoczoną, opierającą się nieco młodą kobietę.

– Dobrze się opiekowałaś moim chłopcem? – spytała cicho.

Renna pociągnęła nosem i przytaknęła.

– Robiłam, co mogłam – powiedziała i odsunęła się od

Elissy, a potem spojrzały sobie w oczy. – Byłam przy Arlenie, gdy stracił mamę – dodała. – Opowiedział mi o tobie i Ragenie. Mówił, jak go wspieraliście, choć nie wiedział, że tego potrzebuje. Dziękuję wam za to.

Tym razem to Elissa się rozplakała. Obie kobiety znów się objęły.

Wtedy wystąpił Derek. Wpatrywał się w Arlena, próbując przejrzeć przez tatuaże, które pokrywały twarz Balesa. W jego aurze wirowały obrazy z przeszłości i Leesha ujrzała młodego Arlena o jasnych włosach i gładkich policzkach, bez śladu runów. Był pięknym młodzieńcem i Leesha znów poczuła ból w sercu.

Derek wyciągnął rękę.

– Sporo czasu minęło – rzekł.

Arlen odtrącił dłoń i przygarnął mężczyznę mocno do piersi.

– Zbyt wiele, moim zdaniem. Jesteś teraz Posłańcem, rety! Kto by pomyślał?

Derek uśmiechnął się.

– Potrzebowałem kopniaka, który wyrzuci mnie za drzwi. Gdyby nie ty, wciąż gniłbym w tej kopalni!

Arlen machnął ręką.

– A Stasy i Jef? Co z nimi?

– Mają się dobrze, choć rzadko ich widzę – odparł Derek.

– Hrabia Brayan trzyma ich w swojej fortecy i zaledwie spędzę z nimi kilka dni, a hrabia daje mi do zrozumienia, że czas wyruszyć w drogę!

– No to zdobądź własny ką! – zaproponował Arlen.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – odparł Derek. – Stasy i Jef mają szlacheckie pochodzenie, a ja nie. Nie mogę zapewnić im takiego życia jak hrabia Brayan, o ile on w ogóle będzie kiedyś chciał ich wypuścić. Pozostaje mi pracować najciężej, jak mogę, a może kiedyś uda mi się zarobić tyle, żeby ich wreszcie odzyskać.

– Kiedyś? – cmoknął Arlen. – Nie masz na co czekać, chłopie! Nie po to ryzykowałem życie nas obu, żeby teraz Brayan miał tobą pomiatać. Jesteś wart dziesięć razy tyle co on! – Spojrzał na Leeszę. – Mogę skorzystać z twojego biurka?

Ta pokiwała głową. Arlen usiadł na krześle, rozłożył przed sobą świeży arkusz pergaminu i z wprawą zanurzył pióro w kałamarzu. Spojrzał na Ragenę.

– Przypomnij, ile zostawił mi Cob w swoim testamencie?

– Pięćdziesiąt jeden procent interesu runiarskiego – odparł Ragen. – I dwa z pięciu miejsc na Giełdzie Runicznej, jego własne oraz twoje, które jak dotąd wynajmowaliśmy. Jesteś wart miliony słońc, jeśli kiedykolwiek się po nie stawisz.

Arlen pokiwał głową. Nachylił się nad pergaminem i wypisał kształtnymi, zamaszystymi literami: „Ostatnia wola Arlena Balesa”.

– Miejsce Coba oddaję tobie i Elissie – powiedział Ragenowi. – Wraz z trzydziestoma procentami z moich pięćdziesięciu jeden. – Następnie przeniósł spojrzenie na Dereka. – Moje miejsce oraz dwadzieścia jeden procent przechodzą na ciebie.

Derek otworzył szeroko oczy, a jego aura pobieliała od wstrząsu.

– Ty chyba żartujesz!

– Jestem równie poważny jak zmierzch – rzekł Arlen. – Wyszedłeś poza runiczną barierę, żeby mnie odnaleźć, bo uznałeś, że potrzebuję pomocy. Teraz tobie przyda się pomoc, a ja z przyjemnością ci jej udzielę.

– No tak – wykrztusił Derek. – Ale miliony słońc? A co będzie, jak sam kiedyś będziesz tego potrzebować?

– To raczej mało prawdopodobne, zważywszy na to, gdzie się wybieram – odparł Arlen. – Poza tym mam jeszcze sporo złota pochowanego tu i ówdzie.

– Prawda – rzekł Gared. – Widziałem parę baryłek.

– Trzymasz złoto w beczkach? – Derek rozdziawił usta.

– A co? Na podłodze ma leżeć? – spytał Arlen, podpisał się i dmuchnął na atrament, by szybciej wyschnął. – Teraz potrzebujemy świadków. Leesha? Gar?

Leesha ujęła pióro, pozostawiła podpis i przekazała je Garedowi, który zmarszczył brwi i pochylił się nad dokumentem. Ręka trzęsła mu się lekko, ale zdołał wypisać swoje imię, co oznaczało, że lekcje Rosal nie idą na marne.

– Wspaniale. – Arlen posypał dokument piaskiem i zwinął go starannie. – Ciekawe, czy Brayan i tym razem podziękuje ci za gościnę.

– Sęć w tym, że to testament, a ty wciąż żyjesz – rzekł Derek.

– Dla całego świata jestem już dawno martwy – odparł Arlen. – Nic się nie bój, Derek. To nie żart ani podstęp. Te pieniądze są twoje.

– Ja... – Derek pokręcił głową. – Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

– Może zacznij od „dziękuję”? – podpowiedziała Elissa.

Derek uścisnął Arlena ze wszystkich sił.

– Dzięki! – wyszeptał.

– Gratulacje, partnerze! – Ragen klepnął Dereka w plecy. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że będziemy razem pracować!

Minął jeszcze kwadrans, nim Leesha zdołała zagonić wszystkich do stołu, gdzie czekała na nich herbata. Tym razem pamiętała, by postawić tam również cukierniczkę.

Arlen wyciągnął kolejny list i wręczył Ragenowi.

– To dla Opiekuna Ronnella. To jeden z tych, którzy mają obsesję na punkcie Wybawiciela, ale dzięki temu mam gwarancję, że mnie wysłucha. Co do Euchora takiej pewności już nie mam.

Ragen wziął list i zapytał:

– Mamy mu powiedzieć, że żyjesz?

– Nikt poza wami nie musi tego wiedzieć – powiedział Arlen, patrząc po kolei na wszystkich obecnych. – Ragenie, wszak ty i Elissa wyjechaliście z Miln krótko po moim zniknięciu. Wystarczy, jeśli powiecie, że zabraliście ten list i mój testament podczas pierwszej wizyty w Zakątku i od tej pory woziliście je ze sobą.

– Przez ostatnich kilka miesięcy wymieniliśmy wiele listów z Miln – zauważyła Elissa.

Arlen wzruszył ramionami.

– No to powiedzcie mu, że dostaliście je od Rojera, a ten poprosił was, żebyście nikomu ich nie powierzali – rzekł.

– Tajna wiadomość wysłana chwilę przed twoim tajemniczym zaginięciem? – powiedziała Elissa. – Takie okoliczności tylko wzmocnią wiarę Ronnella w to, że jesteś Wybawicielem.

– Nic mu tego nie wybije z głowy – zauważył Arlen. – Wiara ustępuje równie niechętnie jak skalny demon.

– Oj, tak – zgodziła się Elissa. – Spójrz na siebie. Sam utrzymujesz, że nie jesteś Wybawicielem, równie uparcie jak ci, którzy cię nim obwołali.

Arlen wywrócił oczami.

– Na noc, tylko nie to. Ty też?

– Nie ma sposobu, żeby ustalić, czy ktoś jest Wybawicielem, czy też nie – rzekł Ragen.

Arlen spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Przecież sam mnie uczyłeś, że nie ma kogoś takiego jak Wybawiciel.

– Niczego takiego nigdy nie mówiłem – odparł Ragen. – Powiedziałem ci natomiast, że wielcy przywódcy pojawiali się w chwilach, gdy ludzkość najbardziej ich potrzebowała, a ich istnienie jest udokumentowane, Arlenie. To fakt! Stwórca nie zstąpił z Nieba, żeby potwierdzić, że przywódcy ludzkości to Wybawiciele, i raczej się nie spodziewam, że

zrobi to teraz, ale niezbitym faktem jest to, że cały nasz świat uległ zmianom tylko i wyłącznie dlatego, że Arlen Bales to straszny uparciuch.

– Święta racja, na Otchłań! – rzekł Gared i nawet Leesha musiała przyznać, że to sensowny argument. Czy Arlen Bales był Wybawicielem? A Ahmann? Co z nim? Czy duchowe namaszczenie miało jakiegokolwiek znaczenie, skoro i tak zdecydowali się stanąć na czele ludzi?

– Nie chcę, żeby ludzie czekali, aż ich ocalę – oznajmił Arlen.

– A ja już nie chcę o tym słuchać – odezwała się Wonda. – Wierzę w ciebie od samego początku i dodaje mi to tylko energii do walki.

– Mnie również – powiedział Gared.

– Podobnie jak większości mieszkańców Zakątka – wtrąciła Leesha.

Arlen obrzucił ją pochmurnym spojrzeniem i odwrócił się ku Rennie.

– A jakie to ma na dobrą sprawę znaczenie? – spytała jego żona. – Mamy zadanie do wykonania i tyle!

Coś w aurze Arlena stopniało, gdy usłyszał te słowa, a jego upór ustąpił miejsca zadumie.

– Wiara Ronnella i pozostałych Opiekunów może okazać się dla Miln jedynym ratunkiem – rzekł. – Wielkimi krokami nadciąga ogromna zawierucha. Euchor pokłada całą nadzieję w ognistej broni, ale to nie wystarczy. Gdy demony przebiją się przez mury, Święte Domy szybko staną się najbezpieczniejszymi miejscami w mieście.

Ragen i Elissa spojrzeli po sobie, blednąc.

– Myślisz, że będzie aż tak źle? – spytał Ragen.

– Mury Miln nadal trzymają dlatego, że nigdy nie zostały poddane prawdziwej próbie – odparł Arlen. – Skoro Jednoręki zdołał się przez nie przebić, demony umysły nie będą miały z tym żadnych problemów. Świątynie chronią

mocniejsze runy, ale niewiele to da, gdy skalne demony zaczną rzucać głazami. Szukanie kryjówki też nie pomoże. Ludzie muszą być gotowi do walki.

Szybko przedstawił reszcie większość tego, co wcześniej Leeshy. Opowiedział o schwytaniu księcia demonów, zbliżającym się wylęgu i jego planach zaatakowania roju. Gared, gdy tylko to usłyszał, zerwał się na równe nogi.

– Idę z wami.

– Nie ma mowy – zaprotestował Arlen.

Wonda również się podniosła.

– Nie puścimy was tam samych!

– Nie jesteśmy sami – odparła Renna. – Będą nam towarzyszyć Jardir i Shanvah, a oni potrafią przyłożyć tak, żeby zabolalo. Wy zaś bardziej przydadcie się na powierzchni niż na dole.

Gared pokręcił głową.

– Nie dość, że nadal nie mogę się pogodzić z tym, co się stało z Rojerem, to teraz...

– Ten sam los spotka hrabstwo Zakątka, jeśli podczas Nowiu zabraknie tu Gareda i Wondy Rębaczów – przerwał mu Arlen. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że chcielibyście się z nami wybrać, ale Renna ma rację. To nie wasza walka.

– Chociaż ktoś mógłby się zająć Obietnicą – dodała Renna. – Jakoś ciężko mi sobie wyobrazić, żebym miała zabrać konia do krainy mroku.

– Jasna sprawa – rzekła Wonda.

– Obietnica wymaga silnej ręki – Renna mówiła teraz zduszonym głosem niczym matka, która musi wyrzec się dziecka – ale walki się nie boi.

– Zajmiemy się nią – przytaknęła Wonda. – Przysięgam na słońce.

– Przyda wam się każdy atut – stwierdził Arlen. – Demony umysłu uderzą bez litości. Będziecie musieli

rozsądnie i uważnie rozegrać każde starcie i wykorzystywać wszelkie przewagi. Chrońcie Zakątek, ale odnajdźcie też miejsce, gdzie dochodzi do wylęgu, i nie pozostawcie tam kamienia na kamieniu, jeśli będziecie w stanie. Przypuszczam, że będzie to gdzieś w pobliżu jakichś podziemnych jaskiń, na tyle blisko, żeby można było łatwo sterować atakiem na Zakątek, ale też na tyle daleko, żebyście nie natrafili na wyląg przez przypadek.

– O świcie wyśle grupy zwiadowców – obiecała Leesha.

– Szkoda, że nie macie już Amanvah i jej kości – stwierdził Arlen.

– Amanvah wróciła już do Krasji, ale obiecała, że przyśle inną *dama'ting*, żeby utrzymywać z nami kontakt.

– Nie ufałem tej Amanvah, ale przynajmniej była żoną Rojera – oznajmił Gared. – A teraz mamy zaufać jakiejś innej kapłance, której nic nie wiąże z Zakątkiem?

– Wiem, co czujesz, Gared – powiedział Arlen. – Naprawdę. Ale musimy w końcu zacząć sobie ufać. To kiepski moment na walki we własnym gronie. Zresztą żaden dobry sługa Everama nie ucieknie się do kłamstwa, jeśli w pobliżu znajdzie się jakiś księżę demonów.

– Kolejny Nów wypada za niecały tydzień – rzekła Renna. – Ta nowa kapłanka zdąży tu dotrzeć?

Leesha pokręciła głową.

– Nie, ale Amanvah nauczyła mnie podstaw sztuki czytania z rzutów kośćmi i od jakiegoś czasu pracuję nad własnymi. Być może uda mi się wskazać kierunek.

– Wiesz, co robisz? – spytał Arlen.

– A ty? – odparła Leesha z uśmiechem.

Gared i Wonda wydawali się oburzeni pytaniem, lecz Arlen parsknął jedynie śmiechem.

– Skądże!

– Zakątek zapewne da sobie radę – rzekł Ragen – ale w okolicach Miln znajduje się pewnie z tysiąc jaskiń,

w których demon umysłu może skryć się przed słońcem.

– Miln jak dotąd nie doczekało się własnego Wybawiciela. – Arlen mrugnął do niego. – Demony umysłu będą więc traktować was z lekceważeniem. Może któryś okaże się na tyle głupi, żeby się ujawnić.

– A jeśli nie? – spytała Elissa.

– Pozostawicie mi fiolkę waszej krwi – zaproponowała Leesha. – Może będę w stanie rzucić dla was kośćmi lub przekonać ową *dama'ting*, żeby zrobiła to dla was.

– Dobry pomysł. – Arlen pokiwał głową. – Zamienię parę słów z Jardirem, zanim ten wróci do Krasji. Zobaczymy, czy uda mi się uzyskać od niego jakąś pomoc w tej materii.

– A co z Angiers i Lakton? – spytała Leesha.

– Lakton nie jest narażone na krytyczne niebezpieczeństwo – odparł Arlen. – Przynajmniej samo miasto. Woda to słaby przewodnik dla magii, a demony umysłu nie potrafią kontrolować swoich żołnierzy z brzegu. Obroną reszty terenów będą się musieli zająć Krasjanie. A co do Angiers... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem dużo o księciu Petherze i nie sądzę, żeby mnie wysłuchał, gdy wślizgnę się do jego komnaty tak jak tutaj.

– Niestety, nie mylisz się – rzekła Leesha. – On uważa cię za zagrożenie i czynnie podburza Radę Opiekunów przeciwko tobie.

Arlen odetchnął i spojrzał na Ragenę.

– Spędziłeś tam więcej czasu niż ktokolwiek z nas. Znasz kogoś, kto mógłby posłuchać głosu rozsądku?

– Zazwyczaj prowadziłem interesy z Rhinebeckiem i Jansonem – odparł Ragen. – Kilkakrotnie wybrałem się na polowanie z braćmi księcia, ale każdy z nich miał własny orszak i własny dwór, a Petherę poznałem najslabiej. Przypuszczalnie pamięta mnie na tyle dobrze, żeby udzielić mi audiencji, ale nie sądzę, żebym zdołał go przekonać wizjami rychłej zagłady, których nijak nie mogę

udowodnić. Z pewnością pomogliśmy mistrzowi Gildii Patronów Runów nabić sobie kabzę, ale pamiętajcie, że Opiekunowie mają własnych Patronów, a teraz, gdy Pether zasiadł na tronie, Gildia wypadła z łask.

Leesha spojrzała na Eliszę.

– Będziesz musiała się zobaczyć z Araine.

– Z księżną matką? – spytał Arlen. – W jaki sposób ta tępa stara kuropatwa ma nam pomóc?

– Księżna matka nie jest tępa – odezwała się Wonda. Jej słowom nie brakowało szacunku, lecz w jej aurze rozjarzyła się bezgraniczna lojalność i Leesha wiedziała, że Arlen też to dostrzegł. – Zawsze popierała sprawę Zakątka – dodała.

– I jest sprytniejsza, niż się wydaje – zgodził się Gared. – Ale to nie przyda nam się na wiele podczas wojny.

Leesha westchnęła. Jeśli sytuacja w istocie była tak beznadziejna, jak przedstawił to Arlen, utrzymywanie czegokolwiek w sekrecie przestawało mieć sens.

– Do chwili, gdy Rhinebeck padł ofiarą morderstwa, a Sikvah zabiła Jansona, to księżna matka sprawowała prawdziwą władzę w Angiers.

– Jak to? – zamrugął Arlen.

– Zawsze mówiłeś, że angieriańscy arystokraci nie potrafią zawiązać sobie butów bez Jansona – odparła Leesha. – Okazało się, że byłeś bliższy prawdy, niż sądziłeś, ale istnieje jedna rzecz, o której nie miałeś pojęcia. Ba, nikt zresztą o tym nie wiedział. Otóż Janson składał raporty bezpośrednio przed Araine.

Arlen wpatrywał się w Zielarkę i wnikał w jej aurę. Bez wątpienia wiedział, że usłyszał prawdę.

– Pamiętasz, kiedy niespodziewanie „zniknęłam” przed waszą audiencją u księcia? Zrobiłam to po to, żeby spotkać się z księżną i omówić warunki dla Zakątka. To, co się wydarzyło na waszym spotkaniu, było dokładnie wyreżyserowane przez Araine. Rhinebeck miał w kwestiach

księstwa tyle do powiedzenia, co koń Posłańca w sprawie kierunku podróży.

– Ha – rzekł Arlen. – A teraz, gdy Rhinebeck i Janson nie żyją?

– Nie wiem – przyznała Leesha. – Gdy odjeżdżaliśmy, księżna Lorain zyskiwała coraz silniejszą pozycję, a Pether był przekonany, że to Stwórca posadził go na tronie.

– Czy będzie skłonna nam uwierzyć bez dowodów? – spytała Elissa.

– Napiszę kilka listów – oznajmiła Leesha. – Moja stara nauczycielka Jizell jest teraz nadworną Zielarką. Była w Zakątku i widziała, z czym się mierzymy. Mam nadzieję, że nas wysłucha.

– Na noc! – zżymał się Arlen. – Nie mamy czasu na politykę i szeptanie sobie spraw do ucha! Przyda nam się dosłownie każdy sojusznik!

– Sojusznicy czekają w pobliżu – rzekła Leesha. – Ale nie poprą nas bez twojej pomocy. Chciałabym, żebyś porozmawiał z Naznaczonymi Dziećmi.

– Nie ma mowy! – Arlen pokręcił głową.

– Przed chwilą powiedziałeś, że przyda się każdy sojusznik – naciskała Leesha. – I każda przewaga. Oni są silni, Arlen, i uwielbiają cię. Jesteś jedynym, który mógłby poprowadzić ich do boju.

Arlen ponownie pokręcił głową.

– Nie po to upozorowałem własną śmierć i przesiedziałem kilka miesięcy w więzy, żeby teraz paradować przed jakąś zgrają. Nie mogę pozwolić na to, żeby ktokolwiek poza wami dowiedział się, że żyję. Nie możemy ryzykować, tłumaczyłem! Poza tym to twój bałagan, Leesha, i to ty musisz go posprzątać.

– O co chodzi? – spytała Renna.

Arlen odwrócił się ku niej i wyjaśnił:

– Leesha postanowiła wymalować runy na kilku

dzieciakach, a tym odbiło i przestali słuchać zdrowego rozsądku.

– I to ma mnie poruszyć? – spytała Renna.

– Aż pewnego dnia zgraja pożarła serce demona w ramach próby odwagi – dokończył jej mąż.

– Na noc... – mruknęła Renna.

– A to nie jest trucizna? – Gared zauważalnie pozieleniał.

Arlen odetchnął i rzekł:

– Chciałem, żeby ludzie tak właśnie myśleli. Zastanawialiście się może kiedyś, dlaczego ja i Ren władamy swoimi mocami w blasku dnia? Albo dlaczego Cień, ogar Evina, dorównał rozmiarami nocnemu wilkowi?

– Arlen... – zaczęła Elissa.

Bales spojrzał jej w oczy, a przez jego aurę przemknął ból.

– Nie miałem wyboru. Krasjanie porzucili mnie na śmierć w sercu pustyni i nie pozostawili mi nic do jedzenia. Pomyślałem sobie wówczas, że skoro demony tyle nam zabierają, dlaczego również im czegoś nie odebrać?

– Zaraz się chyba zrzygam – stwierdziła Wonda.

– Cicho! – napomniała ją Leesha.

– Nie przejmuj się, Won – rzekł Arlen. – Rozumiem twoją reakcję i trudno, żebym cię miał o cokolwiek obwiniać. Ale pamiętasz może, jakie uczucie towarzyszy chwili, gdy ktoś ci tatuuje skórę?

– W łeb można dostać – odparła Wonda. – W człowieku budzi się szaleństwo.

– No właśnie. A dodam, że miało to miejsce tuż po tym, jak odkryłem runy bojowe. Nie interesowało mnie, czy robię dobrze, czy źle. Chciałem tylko przetrwać na tyle długo, żeby przekazać tajemnicę innym.

– A ja dodam, że jeśli twoim zdaniem rycie runów na skórze rodzi szaleństwo, to nie masz pojęcia, z czym wiąże się jedzenie mięsa demonów – odezwała się Renna. – Ja

zaczęłam to robić, żeby nadążyć za Arlenem, tuż przed naszym powrotem do Zakątka. Pamiętacie, jak wówczas wyglądałam?

– Strach się bać – rzucił Gared i aż się cofnął, gdy Renna odwróciła się ku niemu. – Bez urazy!

– Sama siebie się bałam – uśmiechnęła się Renna. – I czasem nadal tak jest. Każdy nowy dzień oznacza bój z samą sobą. Na szczęście miałam Arlena, który pomógł mi dojść do siebie.

– Stela i pozostali cię potrzebują! – powiedziała mu Leesha.

– Nie mogę trzymać wszystkich za ręce – odparł Arlen. – Świat otrzymał jasny przekaz: Arlen Bales nie żyje i kropka. Chcę, żeby tak pozostało.

– Stela przebywa w naszych lochach – naciskała Leesha. – Prędzej czy później pozostali przybędą, żeby wyciągnąć ją z niewoli, a wówczas czeka nas wojna domowa. Akurat teraz, gdy musimy się zjednoczyć!

Arlen odwrócił się od nich i zacisnął pięści.

– Wiem, że to twoje biuro, pani, ale chciałabym zamienić z mężem kilka słów na osobności. – W aurze nad Renną zamajaczył obraz jej samej w chwili, jak tłucze Arlena w tył wygolonej głowy. Wyglądało to tak komicznie, że Leesha musiała opanować uśmiech.

– Oczywiście – powiedziała.



Arlen nie musiał wnikać w aurę Renny. Wystarczyło, że rozpoznał jej ton, gdy poprosiła innych, by wyszli. Kiedyś zmusił żonę, aby mu poprzysięgła, że zawsze wybije mu z głowy durne pomysły, gdy tylko uzna to za stosowne, i jak

do tej pory Renna nie zawahała się ani razu. Zawsze dotrzymywała obietnic i lubiła poprzeć słowa uderzeniem.

Odwrócił się, gotów odtrącić jej rękę, ale Renna stała spokojnie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. W jej aurze nie było gniewu, a jedynie rozczarowanie.

– Odwracasz się od ludzi, którzy potrzebują twojej pomocy? – spytała. – Nie takiego mężczyznę poślubiłam!

Jej słowa zabolowały, i to mocno.

– A co niby mam zrobić? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ledwie zdołałem zapanować nad tobą jedną, gdy ci odbiło od jedzenia mięsa otchłańców. Jeśli wierzyć Leeshy, tych całych Naznaczonych Dzieci jest kilka tuzinów. Nie mam na to czasu!

– Czyli machniesz na nich ręką, tak? – dopytywała się Renna. – Na ludzi z Zakątka? Na Stełę z Gospody? Callena Rębacza? My powinniśmy przeżyć, ale oni już nie? Nie zasługują na to, tak?

– To nie jest takie proste – odparł Arlen.

Renna pokręciła głową.

– Mówiłeś, że wszyscy jesteśmy Wybawicielami. Naprawdę wierzysz w te słowa czy to tylko dyrdymały, dzięki którym udało ci się namieszać kilku wystraszonym drwalom i pociągnąć ich za sobą w noc?

– Oczywiście, że wierzę!

– No to znajdź dla nich czas – przycisnęła Renna. – Na pewno stać cię na to, żeby oddać im kilka godzin.

– Kilka godzin nic nam nie da! – skrzywił się Arlen. – Ja pracuję nad sobą od dwóch lat, a mimo to o mały włos nie urwałem Garedowi łba, gdy powiedział coś, co mi się nie spodobało. Słyszałaś, co mówiła Leesha. Franq nakładł im do głów bzdur o Wybawicielu i przekręca nasze słowa na swoje potrzeby.

– No to trzeba mu spuścić lanie – zaproponowała Renna.

– Na oczach wszystkich. I rzucić kilka słów, których

przekreślić nie da rady. Stwórca jeden wie, że nie wpatruję się w Leeszę z tym samym uwielbieniem co reszta Zakątka, ale nawet ja jestem za tym, żeby przeciągnąć Naznaczone Dzieci na naszą stronę. Niech jej pilnują, póki nie rozprawimy się z rojem.

Arlen odetchnął.

– Założmy, że tak zrobię. Założmy, że wezmę Stełę, Franę i kogo tam jeszcze trzeba do jakiejś szopy, a tam powiem im, żeby przestali kraść, strzegli przywódców Zakątka i kontynuowali walkę z demonami. I założmy też, że stanie się cud i zostanę wysłuchany. A potem, dajmy na to, któryś nie wytrzyma i zacznie paplać o tym, że mnie widział. Albo wpadnie w łapska demona umysłu. Cały nasz plan obróci się wniwecz. Długie miesiące pracy, przygotowań i wyrzeczeń pójdą na marne. Książęta demonów nie są idiotami, Ren. Domyślą się, co sobie zaplanowaliśmy, i będą na to gotowi.

Renna oparła dłonie na biodrach.

– W porządku. W takim razie ja się tym zajmę.

– To zbyt niebezpieczne... – zaproponował Arlen, ale Renna splunęła na podłogę.

– Te dzieciaki nie znają jeszcze rozmiarów własnej mocy. Minęło wiele miesięcy, zanim ja nauczyłam się zamieniać w mgłę, i mało przy tym nie straciłam życia. Pora ustawić tę zgrają do pionu i przywrócić ich słońcu. Myślisz, że demony umysłu boją się nas? – Uśmiechnęła się szeroko. – To pomyśl, co zrobią, gdy pojawią się dziesiątki takich jak my!

Powoli Arlen również zaczął się uśmiechać.

– Ich uwagę przykuje to, co będzie się działo na powierzchni. I przestaną nas szukać.



I4

Lanie

334 ROK PLAGI

Shanvah siedziała dokładnie tam, gdzie Renna się jej spodziewała – medytowała przed celą swego ojca.

Shanjatowi, którego umysł przejął demon, nie można już było ufać. Został zakuty w kajdany w celi, gdzie też był trzy razy dziennie karmiony i myty przez córkę. Drzwi pozostawały wciąż zamknięte, a Shanvah zamieniła niewielki korytarzyk przed nimi w swój dom. Ułożyła tam matę, na której mogła klęczeć i medytować, ćwiczyć *sharusahk* bądź polerować broń, i spędzała na niej większość czasu, chyba że miała coś ważnego do załatwienia gdzie indziej.

Miała zamknięte oczy, gdy zjawiała się Renna, ale natychmiast wyczuła jej obecność i rozchyliła powieki.

Uniosła się w okamgnieniu i podeszła bliżej.

– Siostrze, czy wszystko w porządku? – spytała.

– Nie – odparła Renna. – Pozostały ci jeszcze jakieś buteleczki na łzy?

– Oczywiście, siostrze.

Shanvah nachyliła się nad sakwą leżącą przy macie i wyciągnęła z niej niewielką szklaną fiolkę, której szyjka przechodziła w cienką łopatkę, służącą do zbierania łez spływających po policzkach. Uklękła po jednej stronie maty i wskazała Rennie miejsce obok siebie.

– Jestem zaszczycona, że mogę ci towarzyszyć podczas twojej porannej modlitwy. Kto ruszył w drogę po samotnej ścieżce?

– Nie ma czasu na modlitwy – powiedziała Renna, ale mimo to uklękła, nie dowierzając już swoim drżącym kolanom. – Mamy ważne zadanie do wykonania i tyle. Jeśli się uda, nikt już nie będzie musiał bać się o życie.

– Twój honor nie ma granic – odparła Shanvah. – I odniesiesz swoje zwycięstwo.

– Tak, może – rzekła Renna. – Póki co jednak wiem tylko tyle, że jeden z moich przyjaciół stracił życie, a ja nie...

Shanvah nie odezwała się ani słowem, gdy Renna usiłowała zdusić w sobie narastający szloch. Oczy piekły ją od łez.

– Nie chcę, żeby myślał, że miałam zbyt wiele spraw na głowie, żeby uronić dla niego choć łzę.

– Oczywiście – powiedziała Shanvah.

– Ale pomyślałam sobie, że jeśli będę nosić jedną z tych buteleczek w kieszeni...

– ...jego honor będzie ci towarzyszył podczas zmagania, które cię niebawem czekają – dokończyła Shanvah.

– Tak, właśnie – rzekła Renna. – O to mi chodziło.

– Wyjaw mi jego imię, żeby Eve... znaczy się Stwórca mógł je usłyszeć. – Krasjanka wzniosła buteleczkę.

– Rojer – odparła Renna. – No, syn tego tam... syn Jessuma z rodziny z Gospody z kraju Zakątka.

Dłoń Shanvah opadła.

– Chodzi ci o Rojera z Gospody? Tego Minstrela?

– Tak, Minstrela. Znałaś go?

– Stał się moim kuzynem dzięki małżeństwu z moją siostrą włóczni Sikvah i kuzynką Amanvah. Czy nic im nie grozi?

Renna zamrugła oczami. Jak to możliwe, że nigdy się tego nie dowiedziała, choć spędziła z Shanvah tyle czasu? Często toczyły rozmowy, ale niespodziewanie dotarło do niej, jak niewiele o sobie wiedziały.

– Amanvah i Sikvah mają się dobrze – zapewniła Renna.

– Obie są w ciąży z Rojerem, a teraz wracają do Inevery.

– Dziękuję. – Shanvah wyciągnęła kolejną buteleczkę. – Spotkałam kuzyna Rojera jedynie raz, ale będę płakać wraz z tobą.

– Jak ty chcesz płakać po kimś, kogo ledwie poznałaś? – spytała Renna.

– Och, siostro – odparła ze smutkiem Shanvah. – Nietrudno jest znaleźć łzy w takiej chwili. Opowiedz mi o synu Jessuma.

– Pamiętam swój pierwszy przyjazd do Zakątka – zaczęła Renna. – Byłam pijana magią i wściekła jak osa. Nic dziwnego, że nikt nie chciał ze mną rozmawiać, tym bardziej że wszyscy chcieli, żeby Arlen wziął za żonę nadętą pannę Leeshę.

– Leeshę córkę Erny’ego? – zapytała Shanvah. – Tę dziwkę z Północy, która uwiodła mojego wuja?

Renna parsknęła głośnym śmiechem.

– Dziewczyno, co ty gadasz! Stanowczo musimy częściej rozmawiać.

Potem przypomniała sobie, dlaczego klęczą, i poczuła ukłucie winy w sercu.

– Trudno się dziwić, że wszyscy w Zakątku patrzyli na mnie spode łba – podjęła opowieść. – Wszyscy z wyjątkiem Rojera z Gospody. Przy pierwszym naszym spotkaniu pocałował mnie w rękę i traktował jak prawdziwą osobę, podczas gdy dla Leeshy i innych byłam tylko kawałkiem gówna na bucie. – Pokręciła głową. – Nie wiem, ile razy ocalił mi życie podczas Nowiu. Straciłam rachubę. Uratował zresztą nie tylko mnie. Jego „Pieśń o Nowiu” chroniła tysiące ludzi, zarówno na polu bitwy, jak i poza nim. Gdyby nie Rojer z Gospody, hrabstwo Zakątko uległoby zagładzie.

Nagle uniosła głowę i zapytała:

– Ty i Sikvah jesteście siostrami?

Shanvah przytaknęła.

– Kuzynkami, ale wspólnie odbierałyśmy szkolenie w pałacu *dama'ting*.

– Leesha powiedziała, że to wojowniczką – stwierdziła Renna.

– I to wielką – zgodziła się Shanvah.

– Nie miałam pojęcia. Nigdy nie widziałam jej w walce, ale byłam świadkiem tego, jak demony uciekały przed nią ze strachem. Powiedziałaś, że ćwiczyłyście razem. Czy to oznacza, że umiesz śpiewać?

– Oczywiście, że tak.

– Śpiewano ponoć „Pieśń o Nowiu” na pogrzebie Rojera – rzekła Renna. – Nie było mnie na nim, niestety. W chwili, gdy potrzebował mnie najbardziej, również byłam daleko.

Shanvah wyciągnęła rękę i wsunęła jedną z fiolek w dłoń Renny.

– A więc zaśpiewaj ze mną, siostrze, żebyśmy mogły wspólnie poprowadzić syna Jessuma po samotnej ścieżce.

Ich rozmowa przyniosła Rennie spokój i dziewczyna zaczęła się obawiać, że nie zdoła rozplakać się na życzenie, ale wtedy Shanvah otworzyła usta i zaintonowała pieśń.



Renna przycisnęła palce do piersi i wymacała buteleczkę wiszącą tam na rzemyku. Szła powoli za Wondą, która zwalniała strażę pilnujące lochów, i syciła magią runy niewidzialności na swojej skórze. Czowała się jak kruk na nocnym niebie, niewidoczna dla każdego, kto nie wyteżył wzroku. W towarzystwie ogromnej Wondy, która przyciągała uwagę wszystkich, miała niemal pewność, że nikt na nią nie spojrzy.

– Teraz trzeba iść w dół – odezwała się Wonda i otworzyła ciężkie drzwi ze złotodrzewa, wzmocnione runiczną stalą. Oczom Renny ukazały się nierówne kamienne stopnie, które wiodły w mrok.

– Dzięki, Won.

– Przykro mi, że to spadło na ciebie – powiedziała Wonda. – To ja szkoliłam Stelę i innych.

Opuściła wzrok.

– Nie wiem, czy uda ci się zobaczyć te jej tatuaże, bo sprawiłam jej kilka sińców. Była gotowa mnie zabić, gdy ją tu przyniesiono zeszłej nocy.

– Nie bierz tego do siebie – rzekła Renna. – Mnie też odbijało, gdy magia krążyła mi we krwi. Parę razy próbowałam zranić Arlena.

– Naprawdę? – Wonda rozdziawiła usta.

– Mógł mnie wówczas zabić – przytaknęła Renna. – Na noc, czasami żałuję, że tego nie zrobił, ale wiem, że nie byłam wtedy sobą. Jakoś wzięłam się w garść i już panuję nad emocjami. Stela też da sobie radę. Silna z niej dziewczyna.

– A jak jej się nie uda? – zapytała Wonda.

Renna zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– Jeśli Stela bądź którykolwiek z jej towarzyszy straci panowanie nad sobą, zajmę się tym od początku do końca i zafunduję twojej pani czyste sumienie.

Wonda nie przyjęła słów Renny z zadowoleniem, ale w jej aurze pojawiło się coś na podobieństwo ulgi. Renna nie miała wątpliwości, że ogromna Rębaczka kocha swą panią, ale wiedziała też, że jej pani nie umiałaby skazać nikogo na śmierć, nawet jeśli sytuacja by tego wymagała.

Renna ruszyła w dół po schodach. Włoski na jej karku uniosły się, gdy rozległ się huk zamykanych drzwi, a po nim szcęk zasuw. Otaczały ją ciemności, które rozpraszała jedynie runiczna emanacja.

Natychmiast poczuła ssanie magicznych znaków umieszczonych na podłodze i w ścianach, układających się w wielką, potężną sieć pozbawiającą mocy więźniów. Przyspieszyła kroku, bo czuła, że jeśli nie utrzyma ścisłej kontroli nad swoją magią, runy Leeshy również tę pobiorą.

Idąc korytarzem, Renna odniosła wrażenie, że miejsce jest niewykończone, nawet jak na lochy. Hrabia Thamos zbudował mury i podłogi z odpowiednio ociosanych gładów, by otchłańce nie miały możliwości zmaterializować się we wnętrzu fortecy, ale zginął przed ukończeniem prac, a Leesha, która nie miała w naturze więzić ludzi w zimnych, ciemnych celach, aż do niedawna losem lochów nie interesowała się wcale. Kamienie były nierówne, a w większości cel brakowało krat. Sieć runiczna była wymalowana, a nie wryta.

Prowizorka, pomyślała Renna.

– Kto idzie? – zawołała Stela, więziona na końcu korytarza. Jej głos nie przypominał już nieśmiałego głosiku, który Renna zapamiętała sprzed kilku miesięcy. Był teraz głębszy, mocniejszy, emanował pewnością siebie. – Mówiłam, że nie mam nic do powiedzenia, aż Runoskóre przyjdą, żeby mnie zabrać!

– Tak, ale myślę, że ze mną porozmawiasz – oznajmiła Renna i stanęła przed kratami celi.

Stela zmrużyła oczy. Bez wątpienia potrafiła dojrzeć intensywną emanację Renny. Była brudna i zaniedbana, ale większa i lepiej zbudowana niż kiedyś. Spod rękawów jej więziennego stroju wysuwały się rzędy wytatuowanych symboli. Aura dziewczyny była słaba i pozbawiona mocy, ale Renna zauważyła zmiany, być może nieodwracalne, wywołane jedzeniem demoniego mięsa.

Ja naprawdę myślałam, że uda mi się to ukryć przed Arlenem? – pomyślała. Cóż ze mnie za idiotka.

Cela wydawała się stosunkowo wygodna. Wiadro z nieczystościami zasłonięte było firaną, a na łóżku znajdowała się pościel, ale nie było widać niczego, co mogłoby służyć jako broń bądź pomoc w ucieczce. Pręty wykonano z grubego żelaza i mocno osadzono w kamieniu.

– Renna Bales! – Stela rozdziawiła usta i padła na kolano.

– Skończ z tymi przekłętymi bzdurami! – warknęła Renna, zaskoczona tym, że zabrzmiała zupełnie jak Arlen. – Na ścierwo demonów! Ludzie mówią, że podobno spisujecie wszystko, co Arlen bądź ja kiedykolwiek powiedzieliśmy, ale jakoś nie przypominam sobie, żeby któreś z nas kazało ludziom klękać! Albo kraść! Albo zwracać się przeciwko najbliższej rodzinie!

Stela się podniosła. Jej aura emanowała niepewnością.

– Oni nas nie rozumieją...

– To wy nie rozumiecie siebie samych! – wycedziła Renna. – Zachowujecie się jak banda szaleńców! Upajacie się magią i rozrabiacie, bardziej podobni do demonów niż do ludzi!

Stela cofnęła się w głąb celi, a Renna widziała, że jej słowa trafiły w sedno. W aurze dziewczyny pojawiły się wstyd i strach.

Dobrze, pomyślała, podeszła bliżej i złapała za kraty. Pobrała nieco mocy zgromadzonej w sobie i rozgięła je bez wysiłku, jakby były wierzbowymi witkami. Weszła do środka, minęła przerażoną Stelę i usiadła na łóżku. Poklepała miejsce obok siebie.

– Usiądź, proszę. Stwórca mi świadkiem, że wraz ze swoją bandą dopraszasz się wręcz o porządne lanie pasem po tyłku, ale póki co nie mam zamiaru nic takiego robić. Chyba że mnie zmusisz.

Stela podeszła ostrożnie i usiadła.

– Wiem, przez co przechodzisz – powiedziała Renna. – Gdy po raz pierwszy naniosłam runy na swoją skórę, nie byłam w stanie myśleć o niczym oprócz zabijania demonów. Zaczęłam uważać innych ludzi za słabych i znajdowałam dla nich jedynie pogardę. Odcięłam dłoń jednemu gnojkwowi, który wsadził mi ją pod spódnicę.

Stela splunęła na podłogę.

– Zasłużył sobie.

– Może – odparła Renna. – Ale zrobiłam to nie dlatego, że ten drań sobie na to zasłużył, ale dlatego, że ledwie nad sobą panowałam. Byłam tak upojona magią, że nie potrafiłam myśleć.

Wsunęła palec pod podbródek Steli i uniosła jej głowę.

– Tak zachowują się zwierzęta, Stelo z Gospody. Tak walczą otchłańce. Gwałtowne emocje i ani odrobiny refleksji. I to właśnie dlatego podczas bitwy o Zakątek Drwali garstka przerażonych Rębaczy urządziła im masakrę, a niedobitki rozpędziła na cztery wiatry. – Cofnęła palec, patrząc dziewczynie w oczy. – Niemniej podczas Nowiu, gdy pojawiły się demony umysłu, otchłańce nie walczyły już w bezrozumnym szale. Już nie były takie głupie. Atakowały wedle planu, tak jak i nam trzeba. Bo demony umysłu powrócą. To pewne jak wschód słońca.

W oczach Steli pojawiły się łzy.

– Próbowałam, pani Bales. Naprawdę próbowałam, ale wszystko pożarła Otchłań. Poznałam chłopaka, fajnego, dobrego chłopaka... Nigdy wcześniej nikt mi się tak nie podobał, ale... ale byłam tak pijana magią, że bez wahania zrobiłam mu krzywdę. A gdy odwrócił się do mnie plecami...

– Chciałaś na niego skoczyć – dokończyła za nią Renna.

– Tak – rzekła ze smutkiem Stela.

– Wciąż żyje?

– Tak. Mimo wszystko. – Stela pociągnęła nosem.

– Zabiłaś już kogoś? – spytała Renna, zaglądając głęboko do wnętrza aury dziewczyny. – Tylko mi nie kłam!

– Nie – odparła Stela, a aura potwierdziła jej słowa. – Choć czasami naprawdę tego chciałam. Złamałam już parę kości, ale nikogo jeszcze nie zabiłam.

– A więc nie jest za późno – stwierdziła Renna. – Możesz jeszcze powrócić do względnie zwyczajnego życia i znów nad sobą panować. Pożarłaś serce demona, a więc całkiem normalna to ty już nigdy nie będziesz, ale nauczysz się trzymać instynkt na wodzy, tak jak ja i Arlen.

Stela spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Wybawiciel też tracił nad sobą kontrolę?

– On sobie nie życzył, żeby tak na niego mówiono, i dobrze o tym wiesz, ale odpowiedź brzmi: tak – rzekła Renna. – Nigdy nie panował nad sobą do końca, ale to dobrze. Czasami przecież człowiek potrzebuje wyzwolić swoją pasję. Czasem potrzebuje pokazać agresję. Czasem, gdy widzisz naprzeciwko siebie szpony demona, nie ma innej broni niż furia. Niemniej musisz przez cały czas pamiętać, kto jest prawdziwym wrogiem, Stelo z Gospody. Nigdy nie możesz o tym zapominać.

– Demony – szepnęła Stela.

– Zgadza się. Ty tymczasem obracasz swoją moc przeciwko zwykłym ludziom, co czyni cię nie lepszą od nich. Tego tak naprawdę chcesz?

Stela pokręciła głową.

– Nie, proszę pani.

– A pozostali?

– Oni są zagubieni, pani Bales. – Stela się zgarbiła. – Tak jak ja kiedyś. Gdy pani Leesha pozbawiła mnie mocy, wróciło mi trochę zdrowego rozsądku, ale oni nadal są opici juchą i nie wiem, czy posłuchają kogokolwiek. Nawet ciebie.

Renna położyła dłoń na rękę dziewczyny.

– No to ich zmusimy, żeby nas posłuchali.



Wonda zeszywniała, gdy otworzyła drzwi i ujrzała Stelę za plecami Renny, ale nie skomentowała tego ani słowem i cofnęła się, by zrobić im miejsce. Przechodząc obok, Stela spojrzała na Wondę, a w jej aurze pojawił się ból.

– Nie byłam sobą, Wonda. Wiem, że to niczego nie wyjaśnia, ale... Nie byłam sobą i przykro mi za to.

Rębaczka zacisnęła usta.

– Wiem, co czujesz, Stel. Wiem, jak to jest, naprawdę. A mój ojciec zawsze mawiał, że jeśli jest ci przykro, to już jesteś w połowie drogi do naprawienia wszelkiego zła.

– Właśnie ruszamy, żeby owo zło naprawić – powiedziała Renna. – Przekaż Leeshy, że wpadnę do niej po tym, jak rozmówię się z Dziećmi.

– W porządku – rzekła Wonda.

– A co z Keetem? – zainteresowała się Stela.

– On może poczekać – stwierdziła Renna. – Muszę mieć pewność, że będziesz grzeczna. Poza tym chcę wykorzystać pewną sztuczkę, która na niego nie podziała.

Ujęła Stelę za rękę, a ich runy wytatuowane na skórze na moment się zetknęły. Obie poczuły mrowienie, gdy

Renna wpuściła nieco magii w ciało dziewczyny, a potem tę moc pobrała, by móc ją odczytać. Wykryła zmiany, które zaszły w krwi Steli. Być może nie umiała jeszcze niczego kontrolować – przynajmniej na razie! – ale można było już spróbować...

Rozpłynęła się i pociągnęła Stelę za sobą, wnikając w głąb wielkiego runu. Pomknęły w stronę Zagajnika Zielarek i zmaterializowały się chwilę później na skraju lasu. Projektując sieć wielkich runów, Arlen i Leesha pozostawili przesiekę, gdyż przekształcenie tak wielkiej liczby drzew wiązało się z ogromną pracą, a poza tym chcieli sobie zostawić miejsce, gdzie mogliby swobodnie eksperymentować z demonią magią.

– Chyba się zrzygam – wychrypiała Stela i padła na czworaki, po czym jej ciałem wstrząsnęły torsje. Minęła dłuższa chwila, nim złapała oddech i otarła usta. – To zawsze tym się kończy? – spytała.

– Ja jakoś nigdy tego typu problemów nie miałam. – Renna wzruszyła ramionami. – Ale z drugiej strony jadłam mięso demonów o wiele dłużej od ciebie, zanim spróbowałam po raz pierwszy. Przypuszczalnie jest łatwiej, kiedy to ty kierujesz.

– Pewnie tak – zgodziła się Stela. – Miałam wrażenie, że capnął mnie wichrowy demon i porwał ku niebu. Z tym wyjątkiem, że nie było żadnego nieba.

– Rozstaw szeroko nogi i pobierz trochę mocy – rzekła Renna. – Będzie ci łatwiej.

– Co mam zrobić?

– Pobrać moc. To trochę tak, jakbyś chciała stopami wycisnąć wilgoć z kamienia – wyjaśniła Renna. – Nabierz głęboko tchu i pociągnij ku sobie nieco magii z wielkiego runu. Niedużo, wystarczy odrobina.

Stela uniosła brew, a potem zacisnęła powieki i zwarła zęby, oddychając łapczywie. Wyglądała przy tym niemalże

zabawnie. Nie udało jej się pobrać, a jej aura pozostała ciemna.

– Nie, nie w ten sposób – rzekła Renna i znów ujęła dziewczynę za dłoń. – Spróbuj tak.

Z tymi słowy pobrała moc z wielkiego runu, przeciągając ją przez ciało Steli. Aura Steli natychmiast pojaśniała, a ona się wyprostowała.

– Czuję się o wiele silniejsza! – sapnęła ze zdumieniem. – Jak tego dokonałaś?

W aurze pojawiło się ożywienie, przywodzące na myśl ponownie rozbudzone łaknienie uzależnionego.

– Nauczę ciebie i pozostałych – obiecała Renna. – Ale musicie zachować ostrożność. Wielkie runy kryją w sobie mnóstwo magii. Wystarczy, że któreś z was się zapomni i pobierze nieco za dużo, a zapłonie jak pochodnia maczana w smole.

Stela przełknęła ślinę. W jej aurze błysnął lęk.

– A teraz zabierz mnie do obozu Naznaczonych Dzieci – poleciła Renna.

Magia dawała im nadludzką siłę oraz szybkość. Kobiety pędziły z taką prędkością, że mijane drzewa zlewały się ze sobą. Renna spędziła trochę czasu w Zagajniku Zielarek, ale Stela знаła tu każdy pień. Uplęnęło zaledwie kilka chwil, gdy Renna, której oczy wzmacniały runy, dostrzegła narastającą jasność pośród mroku lasu i odkryła, że zbliżają się do obozu. Niespodziewanie złapała Stelę za nadgarstek i zatrzymała ostrym szarpnięciem.

– Wyciągnij ręce! – rozkazała.

Stela wydawała się zdziwiona, lecz spełniła polecenie, a Renna szybko nakreśliła runy niewidzialności na jej nogach, ramionach i piersiach, wlewając w nie nieco mocy. Potem uaktywniła własne runy i kobiety zwały się z mrokiem nocy.

Nim Stela stała się całkowicie niewidzialna, Renna

złapała ją za rękę i obie ruszyły naprzód wolniejszym krokiem.

Nikt nie pilnował obozu. Dzieci zgromadziły się wokół podwyższenia, po którym kroczył to w jedną, to w drugą stronę brat Franq i wykrzykiwał jakieś słowa. Przed podwyższeniem zaś stało w szeregu pół tuzina młodych braci i sióstr i mierzyło zebranych surowymi spojrzeniami.

Święty mąż w niczym nie przypominał sztywnego Dziecięcia, które Renna zapamiętała. Jego broda i włosy, ongiś starannie przystrzygane, rozrosły się teraz dziko, a piękne szaty ustąpiły miejsca zwykłej, brudnej szacie Opiekuna. Spod obciętych rękawów wypływały tatuaże, które mieniły się jasno, a aura mężczyzny wręcz gorzała. Nikt z zebranych dookoła nie emanował tak intensywnym blaskiem.

– Czy chcecie na to pozwolić? – pytał ostro Franq. – Chcecie pozwolić, żeby trzymali naszego brata i naszą siostrę w łańcuchach tylko za to, że chcieli biegać pod gwiazdami jako wolni ludzie?

– Nie! – krzyknęli bracia i siostry chórem, a wiele spośród Dzieci powtórzyło okrzyk. Ich aury płonęły gniewem. Renna bez trudu wychwyciła wzrokiem Runoskóre, których aury jaśniały niemalże równie intensywnie jak ta należąca do Franqa, oraz Gnaciarzy, uzbrojonych we włócznie z częstkami kości demonów. Obie frakcje utraciły swoich przywódców i kipiały zniecierpliwieniem. Przez ich aury przepływały wizje szturm na twierdzę Leeshy i wyłamywania drzwi. Zważywszy na moc, jaką tętniła cała grupa, Renna miała wrażenie, że mogłoby im się to udać.

Nie wszystkich jednak przekonały słowa Franqa. *Sharum* nie uczestniczyli w ogólnym ożywieniu, a aury Jarit i jej wnuczki, stojących na czele grupy, były spokojne i obojętne. Nic nie wskazywało na to, iż miałyby ochotę

poprzec plan ataku. Członkowie Ssawek wahali się, ale wydawali się skłonni stanąć murem za Runoskórymi i Gnaciarzami. Ich przywódcy, Callen Rębacz oraz Jas Rybak, stali z założonymi ramionami, obaj gniewni i poruszeni, lecz bardziej opanowani przez to, że wchłonęli mniej magii od pozostałych grup. Nie było też słyhać, by dołączyli do pokrzykiwań.

– Bracie Callenie! – zawołał Franq, który dobrze wiedział, kogo musi przekonać. – Czy wątpisz w nasz słuszny zamysł?

– Podobnie jak wszyscy, chcę, żeby Stela i Keet wrócili – odparł Callen. – Ale nie oznacza to, że chcę wywazać drzwi pani Leeshy!

– Bywają chwile, kiedy mężczyźni i kobiety połączeni wspólną wiarą muszą przeciwstawić się niesprawiedliwości! – krzyknął Franq. – Byłem świadkiem, gdy sam Arlen Bales powiedział Inkwizytorowi Hayesowi: „Jeśli przywiążesz cudzołożnika do słupa, złamię każdy słup na kolanie. Jedną częścią rozbiję twoje drzwi, a drugą drzwi hrabiego!”. W ten oto sposób Wybawiciel przekazał nam, że tych, którzy stawiają czoła nocy, nie obowiązują prawa ludzi!

Renna pamiętała te słowa. Arlen wypowiedział je w gniewie, podczas kłótni, którą, co ciekawe, zaczęło samo Dziecię. Franq wykpił brak manier Renny, gdy podał drogą wino w kryształowych kieliszkach. Teraz role się odwróciły i to on sam przypominał nieokrzesanego dzikusa, który próbował podburzyć tłum do agresji, cytując słowa jej męża.

Dość tego, pomyślała i wygasła runy niewidzialności.

– Ja też tam byłam! – krzyknęła, przepychając się przez tłum. Naznaczone Dzieci odwracały się ku niej i otwierały szeroko oczy. Cofali jej się z drogi i wpadali na siebie, a Renna parła zdecydowanym krokiem ku podium.

– To Renna Bales! – szeptali wszyscy dookoła, lecz

dziewczyna nie zwracała na nich uwagi. Nie spuszczała spojrzenia z Franqa.

– Patrzcie! – Franq wskazał ją z gracją Minstrela. – Patrzcie i podziwiajcie! Oto Renna Bales, żona samego Wybawiciela, powraca, żeby poprowadzić nas słuszną ścieżką!

– W ataku na Zakątek nie ma nic słusznego! – warknęła Renna.

Franq zawahał się, ale jedynie na moment.

– Czy wątpisz w to, co powiedział Wybawiciel? A rzekł on: „Choć pozwalasz sobie na wiele, musisz wiedzieć, gdzie kończy się bariera runiczna!”.

Renna rozplynęła się w powietrzu i pojawiła błyskawicznie na podwyższeniu obok Franqa. Złapała go za szaty, obróciła się i wykonała rzut. Franq wylądował na plecach w samym środku coraz większej grupy gapiów.

– Chcesz wiedzieć, gdzie się kończy bariera? – huknęła Renna. – O, tu się kończy! Nie będziesz mi powtarzał tego, co powiedział mój własny mąż! Nie będziesz cytował jego słów z awantury, którą sam wywołałeś!

Ruszyła ku schodom, wciąż buchająca gniewem i wpatrzona we Franqa, ale na jej drodze stanęli młodzi akolici. W ich aurach kłębiły się zdumienie i niepewność. Wpojono im nabożny szacunek wobec Renny, ale przecież szkolił ich Franq. To on ich znał, trenował i budował ich lojalność. To on dał im moc.

Renna wiedziała, że będzie musiała się z nimi uporać – a być może z jeszcze kilkoma – ale trzeba było zacząć od rzeczy najważniejszych. Nakreśliła w powietrzu run uderzenia i rozrzuciła akolitów na boki, a sama ruszyła ku ich przywódcy, skradając się niczym nocny wilk.

Brat Franq ukucnął. Nie odniósł żadnych obrażeń, gdyż magia wzmacniała jego ciało, aura mężczyzny kipiała furją.

Dobrze, pomyślała Renna. Podchodziła do niego, udając

brak czujności, czym chciała go sprowokować do ataku. Kleryk złapał przynętę i zerwał się, chcąc pochwycić kobietę i rzucić na ziemię. Renna z łatwością wykonała unik, złapała Franqa w przelocie za ramię i obróciła się, wykorzystując jego pęd, by cisnąć nim poza krąg widzów.

Franqowi nadal nic się nie stało, ale na razie Renna nie przejmowała się tym zbyt. Miała wielką ochotę spuścić mu potężny łomot, jednak pamiętała, że przede wszystkim musi urządzić spektakularne widowisko. Zależało jej na tym, by widzowie ujrzeli sprawiedliwą walkę, z której wyłoni się jako zwycięzca.

Aura Franqa jaśniała magią, a on sam był od Renny o wiele cięższy, ale opanował jedynie podstawowe techniki *sharusahk*. Renna kiedyś również walczyła w podobnym stylu, pokładając zaufanie w czystej sile i zaciekłości. W starciu z bezrozumnymi demonami najczęściej to wystarczało.

Wspólne treningi z Shanvah pozwoliły Rennie jednak wzbić się ponad ten poziom. *Sharum'ting* upokarzała ją dopóty, dopóki dziewczyna nie nauczyła się przykładac większej wagi do obrony oraz sposobu myślenia przeciwnika. Co więcej, Shanvah nauczyła Rennie wykrywania punktów zbieżności na ludzkim ciele, gdzie zbiegały się i rozbiegały linie energii. Był to największy sekret *sharusahk* uprawianego przez *dama'ting*, a dla Renny, uzbrojonej w runiczne widzenie, punkty zbieżności w ciele Franqa jaśniały niczym gwiazdy na niebie.

Brat zaatakował ze zdwojoną furją. Tym razem miał się na baczności, ale jego pięść trafiła w pustkę, gdy Renna wygięła ciało do tyłu i z półobrotu kopnęła go w punkt zbieżności na udzie. Franq osunął się na ziemię niczym szmaciana kukła, a wówczas Renna oplotła ramieniem prawy biceps mężczyzny i wygięła mu rękę za plecami. Przewróciła Franqa na ziemię kopnięciem w wewnętrzną

część kolana, ale jednocześnie nie przestała wyginać ramienia, aż to pękło z wyraźnym trzaskiem.

Franq ryknął z bólu, emocje kotłujące się w aurze Opiekuna zdradziły Rennie, że walka bynajmniej nie dobiegła końca. Odepchnął się od niej i zdołał się poderwać na równe nogi, a wtedy przewaga Renny natychmiast zmaląła. W *sharusahk* najistotniejszym czynnikiem była waga przeciwników i szukanie pozycji dogodnych do rzutów, a dla odurzonego magią ogromnego Franqa Renna ważyła tyle, co lalka.

Puściła go więc i oparła dłonie na biodrach. Z drwiącym uśmieszkiem patrzyła, jak kuca i zaciska zęby, wyprostowując ramię, by zaleczyła je magia. Wiedziała, że lada moment odzyska pełną sprawność. Skoczyła, by rozprawić się z Franqiem, nim do tego dojdzie, ale wtedy rozległ się okrzyk i uświadomiła sobie, że rzucili się na nią akolici Franqa. Ich zaskoczenie minęło i pędzili teraz na Rennę niczym demony niewolnicy gotowi chronić swego księcia.

Renna nabrała tchu, przywołała równowagę i skupiła się na punktach zbieżności w ich aurach. Jakaś dziewczyna próbowała ją kopnąć, ale Renna złapała nogę przeciwniczki i wbiła dwa kłykcie w udo, przewracając ją na ziemię. Inny zamachnął się pięścią i zaraz potem odkrył, że został wyrzucony w powietrze. Renna zaś kontynuowała swój obrót, przypadając do ziemi i przewracając chłopaka, którego z pewnością raz widziała, jak wywoził gnój ze stajni.

Ostatnim z akolitów był młody Krasjanin, który walczył sprawniej od reszty, ale nie dorównywał Rennie siłą. Wojownicza cofnęła się dwa kroki, blokując jego uderzenia i kopnięcia, aż znalazła się w odpowiedniej pozycji, by pogruchotać mu miednicę.

I znów miała drogę wolną do Franqa, który doszedł do

siebie. Jego aura płonęła gniewem, ale wiedział już, że walka wręcz z Renną jest złym pomysłem. Zamiast tego uniósł rękę i nakreślił w powietrzu jaśniejący run uderzenia. Nie potrafił jeszcze dobrze kontrolować takich zaklęć i wkładał w nie o wiele za dużo mocy.

Renna rozplynęła się w porę, a moc runu śmignęła z hukiem przez miejsce, w którym stała, i powaliła jednego z akolitów Franqa na ziemię. Znad zwęglonych zwłok uniósł się dym.

Teraz to już przesadziłeś! – pomyślała Renna ze złością.

Zamieniona w obłok, pomknęła niczym podmuch wiatru. Franq wzdrygnął się i zaczął okładać mgłę pięściami, ale mógłby równie dobrze boksować powietrze. Renna zmaterializowała się za plecami mężczyzny, otoczyła jednym ramieniem jego gardło, a drugie wsunęła mu pod pachę. W innej sytuacji mogłaby go udusić, ale Franq był zbyt silny, a ona sama chciała przekazać inną wiadomość.

Zamiast dusić, uaktywniła na swojej skórze runy, które połączyły się z runami Franqa, po czym zaczęła pobierać z niego moc. Mięśnie brata drżały, a on sam wierzgał i podrygiwał, jakby został trafiony przez demona błyskawic, ale Renna trzymała mocno i zwiększyła jedynie pobieranie. Jej własne runy zaczęły się mienić, a potem jarzyć, aż poczuła ich gorąco. Oczy, gardło i wnętrze nosa wyschły, płonęły, ale Renna nie przestawała ssać magii przeciwnika. Jego aura ciemniała, jej ból zaś narastał, aż miała wrażenie, że całe ciało stanęło w ogniu. Nie puszczała jednak, aż aura Franqa przygasła.

Wówczas wymierzyła mu kopniaka w tyłek, a osłabiony Franq osunął się na ziemię. Cierpienie Renny było nie do wytrzymania – pchnęła więc jak najwięcej magii ku niebu, jednocześnie kreśląc run światła, który zamienił noc w dzień. Nadal tętniąc mocą, zamieniła się w mgłę i znieruchomiła nad krasjańskim akolita, któremu

złamała miednicę. Wejrzała w jego aureę, nastawiła kości i posłała w ciało młodzieńca część swojej magii, by przyspieszyć gojenie.

Przemknęła do młodego akolity, który został trafiony mocą Franqa, ale ten był już martwy, a jego aura zgasła niczym zdmuchnięta świeca.

Niech to Otchłań! – pomyślała wściekła.

Wówczas Renna zdecydowała się odegrać kolejną sztuczkę Arlena. Zamieniła się częściowo w mgłę i wystrzeliła ku niebu, po czym zawisała nad oszołomionymi, zastygłymi w niemym zachwycie Dziećmi, opromieniona runem światła. Dzieci mrużyły oczy i zasłaniały je dłońmi, próbując dojrzeć Rennę wśród jasności.

Na noc! – pomyślała. Ależ oni są młodzi!

– Arlen Bales nigdy nie powiedział ani słowa o rabowaniu ludzi! – Renna nakreśliła run, który wzmacnił jej głos do tego stopnia, że drzewa zadygotały. – Nie mówił o wyciąganiu przestępców z więzień! Wymagał od wszystkich szacunku wobec siebie i sam dawał tego najlepszy przykład. Co więcej, pokładał ogromne zaufanie w pani Leeshy, gdyż w najtrudniejszych chwilach Zakątka nikt nie stał przy nim tak wytrwale jak ona! Nikt nie okazał się tak dobrym, sprawiedliwym przywódcą jak ona! Arlen dobrze o tym wiedział i ja również to wiem. Pora więc, żebyście i wy się tego dowiedzieli. Pamiętajcie, że wystarczy jedno słowo pani Leeshy, a wszyscy macie wyprężyć się na baczność i wypełniać rozkazy! Każdy, kto się choć zawaha, oberwie tak, że lanie, które właśnie zafundowałam Franqowi, będzie przy tym przypominać klapsa na tyłek!

Dziesiątki twarzy wpatrywało się w nią w oszołomieniu. Renna unosiła się nad tłumem, rozświetlona runiczną jasnością.

– Jeśli słyszycie to, co mówię, wykrzyknijcie: tak! –

warknęła.

– Tak! Tak! – dobiegło ze wszystkich stron. – Tak!

Wówczas Renna wycelowała palcem i nakreśliła inny, mniejszy run, który opromienił Stelę. Dziewczyna wkroczyła do kręgu, by pomóc podnieść się Franqowi.

– Stelo z Gospody, powiedz: tak! – rozkazała Renna i wyrysowała kolejny run.

– Tak! – huknęła Stela głośniejsz od pozostałych.

Renna zacisnęła pięść, a jej runy buchnęły jasnością.

– Bracie Franq, pora na ciebie!

Ten uniósł głowę, a w jego aurze wreszcie pojawił się lęk.

– Tak – wychrypiał cicho, ale Renna wzmocniła to słowo, by nikt nie miał wątpliwości, co właśnie usłyszał.

Następnie powoli ruszyła ku ziemi, gasząc blask za sobą i wyciszając swój głos.

– Wiem, co czujecie. Magia utrudnia wam logiczne myślenie, a każdą emocję zamienia w dziką burzę. Przechodziłam kiedyś przez to samo. Arlen zresztą również.

Jej stopy dotknęły wreszcie ziemi. Obróciła się powoli, spoglądając każdemu z Naznaczonych Dzieci w oczy.

– Ale właśnie w takich chwilach nie możecie zapomnieć, że jesteście ludźmi. Otchłań szykuje się do kolejnego uderzenia, a wy musicie być gotowi do walki, nie tylko o Zakątek, ale o całą ludzką rasę. Drugiego podejścia już nie będzie.

Spojrzała w oczy Jarit.

– *Sharak Ka* nie nadejdzie, bo już się rozpoczęła.

Rozłożyła ramiona i dodała:

– Wszyscy dysponujecie teraz wielkimi mocami, ale żadne z was nie ma bladego pojęcia, w jaki sposób należy z nich korzystać. W takich sytuacjach, niestety, dochodzi do tragedii.

Urwała i wskazała skurczone ciało martwego akolity.

– Mogę wam pomóc, ale nie zdziałam niczego, jeśli sami

nie będziecie chcieli sobie pomóc.



W aurze Leeshy widać było odprężenie, które natychmiast zamieniło się w napięcie, gdy uświadomiła sobie, że to Renna materializuje się w jej biurze, a nie Arlen.

Dobrze, pomyślała wojowniczką. Jeszcze zaczniesz się czuć przy mnie zbyt pewnie.

Kobiety wpatrywały się w siebie przez chwilę, ale Leesha szybko odwróciła spojrzenie.

– Dziękuję, że przybyłaś. Herbaty?

– Tak, dzięki – odparła Renna. – Ale nie zostanę długo. Muszę przed świtem wrócić do Arlena.

Opadła na jedno z miękkich krzeseł hrabiny i ułożyła stopy na stole. Leesha oczywiście zauważyła to, lecz nie powiedziała ani słowa. Wonda zaś w milczeniu zajęła się nalewaniem herbaty.

– Widziałaś je? – spytała Leesha.

– Tak – odparła Renna.

– No i? – naciskała hrabina.

– Stela miała rację – odpowiedziała po chwili Renna. – Byli gotowi ruszyć na Zakątek i rozbić twoje bramy.

– Na noc! – zaklęła Wonda. – W jakiej sile? Kiedy?

Przez jej aurę przemknęły obrazy szeregów kobiet z napiętymi kuszami na murach fortecy. Renna machnęła dłonią, rozpraszając wizję.

– Uspokoiliam ich, tak jak wam obiecałam – rzekła i odwróciła się ku Leeshy. – Nadal będą wrzodem na tyłku, ale z tym będziesz musiała sama sobie radzić.

– Cóż takiego zrobiłaś, jeśli wolno spytać? – Leesha wyglądała, jakby właśnie połknęła cytrynę.

Twarz Renny była obojętna, jednak przez jej aurę przemknął cyniczny uśmieszek, co z pewnością nie umknęło uwadze Leeshy.

– Największym problemem okazał się Franq – powiedziała. – Zwyczajny krzykacz i podżegacz, owładnięty marzeniami o potędze. Przeinaczał słowa Arlena tak, żeby pasowały do jego zamierzeń, ale wybiłam mu je z głowy, i to na oczach pozostałych. Natchnęłam ich lękiem przed Stwórcą. Nie mogę ci obiecać, że będą długo grzeczni i posłuszni, ale w razie potrzeby staną po stronie Zakątka, a ich napady ustaną.

– Co możemy zrobić, żeby ten stan rzeczy się utrzymał? – spytała Leesha. – Mają jakieś żądania?

Renna pokręciła głową.

– Ciągłe piorą gatki po pokazie, jaki im urządziłam, choć to nie potrwa długo. Planuję odwiedzić ich jeszcze parokrotnie, żeby postawić tę zgrają do pionu. Pora, żebyś i ty okazała znak dobrej woli. Rankiem wypuść Keeta. Na twoim miejscu spróbowałabym rozdzielić Watahę na mniejsze grupy. Znajdź miejsce dla Ssawek i Gnaciarzy między Rębaczami, być może należałoby też przydzielić Franqowi miejsce w nowej Radzie Opiekunów utworzonej przez Jonę.

– Przecież właśnie sama powiedziałaś, że to on najbardziej podzega! – odezwała się Wonda, ale Leesha pokiwała głową.

– Tym bardziej należałoby go umieścić gdzieś, gdzie będziemy mogły mieć na niego oko. Porozmawiam z Joną i poproszę, żeby Rada spotykała się za dnia.

– Sprytne posunięcie – przyznała Renna. – Problemem będą natomiast Runoskóre, gdziekolwiek je umieścisz. Trzymaj je gdzieś blisko, ale lepiej nie wpuszczaj do twierdzy.

– Coś wymyślę – odparła Leesha.

– Nie wiem tylko, co począć z *Sharum* – ciągnęła Renna.
– Spytaam Jardira, co o tym myśli, zanim wyruszy, żeby odwiedzić swoją żonę.

Leesha drgnęła, słysząc te słowa, a Renna przeklęła w myślach własną głupotę. Kiedyś być może powiedziałaaby coś takiego celowo, by dopiec Zielarce, ale teraz...

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam...

– Jest, jak jest, i nic tego nie zmieni – rzekła Leesha i wsunęła rękę do jednej ze swoich licznych kieszeni, skąd wydobyła zapieczętowany list. – Czy oddasz mu to przy najbliższej okazji? Wolałabym, żeby dowiedział się o dziecku ode mnie.

Renna pokiwała głową i wzięła kopertę.

– Pewnie.

Leesha westchnęła.

– Wiem, że nie zawsze się dogadywałyśmy...

Renna machnęła lekceważąco ręką, przerywając jej.

– Dość już tych głupich gadek. Nie przepadam za tobą, a ty za mną, co nie oznacza, że nie jesteśmy po tej samej stronie. Możesz mi zaufać, tym bardziej że chodzi o twoje dziecko.

Odruchowo pogładziła się po swoim wciąż płaskim brzuchu, myśląc o życiu, które właśnie tam dojrzewało.

– I słusznie – rzekła Leesha, ale naraz przechyliła lekko głowę i wejrzała głęboko w aurę Renny. Studiowała ją na tyle długo, że po skórze wojowniczkki spłynęły ciarki, a ona sama straciła cierpliwość.

– Co znowu? – warknęła.

– Wondo – odezwała się Leesha – czy mogłabyś nas na moment opuścić?

– Tak, pani. – Wonda zdjęła łuk ze ściany i wyszła z komnaty, a gdy zamknęła za sobą drzwi, Leesha natychmiast uaktywniła runy ciszy.

Renna zerwała się na równe nogi, nie mogąc usiedzieć

ani chwili dłużej.

– Co się dzieje? – parsknęła ze złością.

– Jesteś w ciąży – oznajmiła Leesha.

Rennie zrobiło się zimno. Ostro ściągnęła swoją aurę i zasłoniła ją przed Leeshą, a sobie narzuciła surowy rytm oddychania, by nie stracić opanowania. Nie wiedziała, co ma teraz począć. Zaprzeczyć? Klócić się? Powiedzieć Leeshy, że to nie jej zafajdana sprawa?

Cóż, dziecko Renny nie powinno Leeshy interesować, ale przecież niespełna pół roku temu Renna sama z ochotą wytknęła Zielarce jej wybryk. Wypuściła powietrze z płuc.

– Jestem mężatką, Leesha. Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć.

– Nie musisz. – Leesha wstała i podeszła do dziewczyny, rozkładając dłonie. W jej oczach widać było spokój, a głos wręcz koił, ale w aurze pojawił się niepokój. – Niemniej wykorzystywanie magii w ciąży wpłynęło na moje dziecko. Proszę cię, ze względu na twoje, pozwól, żebym cię zbadała.

Renna czuła, jak jej mięśnie się napinają. Zaciśnęła pięści i musiała włożyć mnóstwo siły woli w to, by ponownie rozchylić palce. Zapomniała już o lekcji, jakiej przed chwilą udzieliła Naznaczonym Dzieciom – magia w jej krwi szumiała, wrzeszczała, nakłaniała do ucieczki bądź rzucenia się na Leeshę, do uciszenia jej na zawsze, zanim zdradzi sekret komukolwiek. Nie była w stanie nawet drgnąć – stała nieruchomo i oddychała ciężko.

Choć ze wszelkich sił próbowała ukryć swoją aurę, Leesha bez wątpienia dostrzegła walkę, jaką toczyła w duszy. Zielarka nie powiedziała jednak ani słowa. Po prostu czekała, aż burza minie.

– Dobrze – wykrztusiła po chwili Renna. – Myślę, że to dobry pomysł.



Renna zmaterializowała się w kuchni ich wieży.

– I jak poszło? – spytał Arlen znad stołu, przy którym jadł śniadanie wraz z Jardirem i Shanvah.

– Złamałam parę kości i urządziłam im widowisko ze światłem i płomieniami – odparła Renna. – Nauczyłam ich na powrót lęku wobec Stwórcy i nakładłam trochę oleju do głowy, choć będą jeszcze potrzebowali paru lekcji. Na razie nie panują nad swoimi mocami i nie są gotowi na nadejście roju. Muszę tam jeszcze parokrotnie wrócić.

Spojrzała na Jardira.

– Jest wśród nich kilku Krasjan. To wdowy po wojownikach z eskorty Leeshy i ich dzieci. Malują sobie runy na skórze i chyba jeszcze nie jedli mięsa demonów, ale są zagubieni, Ahmann. Zakątek stał się ich nowym domem, ale nie pasują do niego.

– Trudno się dziwić – rzekł Jardir. – Jakże mieliby się dopasować? Z drugiej strony nie opuszczą ziemi, którą ich mężowie i ojcowie poświęcili własną krwią.

– Leesha powiedziała, że byłaby zobowiązana, gdybyś dał jej jakąś radę, co z nimi zrobić – oznajmiła Renna.

– A kto nimi dowodzi?

– Jarit.

– *Jiwah Ka* Kavala. – Jardir pokiwał głową. – Zaglądałem w głąb jej duszy i wiem, że jest czysta. Zebrała naszych rodaków i chwala jej za to. Porozmawiam o niej z Ineverą. Będzie musiała przysłać jakąś *dama'ting* do Zakątka, a wraz z nią oddział *Sharum* jako eskortę. Nasi bracia i siostry w Zagajniku Zielarek nie zostaną zapomniani.

– To nie wszystko. – Renna wyciągnęła list. – Leesha

poprosiła mnie, żebym ci to dała.

Jardir otworzył szeroko oczy. Złapał kopertę, przysunął ją do nosa i wciągnął głęboko powietrze.

– Dziękuję ci, Renno jiwah Arlen am'Bales am'Potok.

Uklonił jej się raz, a potem pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

– Opowiada o swojej żonie, a chwilę później wciąga zapach perfum Leeshy. – Renna pokręciła głową.

– Nie pojmujemy istoty małżeństwa tak jak mieszkańcy zielonych krain – powiedziała Shanvah. – Evejah uczy nas, że miłość nie ma granic, a honor Damajah nie ucierpi, jeśli jej czcigodny mąż będzie się dzielił uczuciem z innymi kobietami. Wszak nawet cząstka nieskończoności pozostaje nieskończona.

– To działa w obie strony? – spytała Renna. – Czy miłość kobiety może być nieskończona na tyle, żeby posiadała dwóch mężów?

– Masz kogoś konkretnego na myśli? – spytał Arlen.

Shanvah nie powiedziała ani słowa, lecz wyraz jej twarzy zdradzał, że sama myśl o tym oburzyła ją do głębi.

– Tak właśnie myślałam – rzekła Renna.



Renna przyglądała się, jak Ragen dosiadł Nocnego Tancerza i ostrożnie objeżdżał wybieg, próbując wyczuć rumaka. Był potężnym mężczyzną i znakomitym jeźdźcem, ale Tancerz wyróżniał się wśród innych koni. Był o głowę wyższy od zwykłych mustangów, a przecież te zdawały się olbrzymami w porównaniu z ciężkimi destrierami, ulubionymi przez milneńskich Posłańców. Arlen długo się nad tym zastanawiał, ale nie znalazł nikogo, kto bardziej

od jego przyjaciela zasługiwałyby na to, by otrzymać jego bezcennego rumaka. Wszak Ragen nauczył Arlena jeździć konno.

Obietnica zaś była zaręczynowym prezentem Renny. Z początku oboje planowali, że rozmnożą rumaki i przez to powiększą rodzinę na więcej sposobów. Arlen ze łzami w oczach patrzył, jak Renna opuszcza wieżę z końmi.

Widząc zbliżającą się Wondę, Renna poczuła to samo co jej mąż. Pogładziła Obietnicę po karku i wtuliła twarz w jej grzywę. Koń najwyraźniej wyczuwał napięcie, parskał i tupotał. Renna położyła dłoń na pysku Obietnicy i powiedziała przez łzy:

– Wrócę po ciebie. Przysięgam na słońce, a tymczasem Wonda zajmie się tobą. Nie ma na świecie nikogo, kto zasługiwałby na ten przywilej bardziej od niej.

Wonda zbliżyła się do rumaka pewnym krokiem, ale Renna wyczuła w jej zapachu odrobinę lęku. Wszak konie Arlena i Renny były w Zakątku owiane legendą.

– Siodła nie ścierpi – powiedziała Renna. – Mam specjalną uprzęż, dzięki której mogę przytroczyć juki i jakoś utrzymać się na grzbiecie, ale o wodzach też zapomnij. Jak będzie chciała cię zrzucić czy pójść swoją drogą, nie bój się mocno szarpnąć za grzywę. Wytrzyma to, nie ma się co przejmować.

Wonda przełknęła ślinę, jednak skinęła głową.

– Mój ojciec miał roboczego konia. Nie mieliśmy pieniędzy na siodło, nauczyłam się jeździć na oklep.

– Nie pozwalaj jej na nic, póki nie nauczy się szacunku do ciebie – poradziła Renna. – A wtedy wszystko się poukłada.

Obietnica zmierzyła Wondę chłodnym spojrzeniem, ale pozwoliła jej położyć sobie dłoń na karku. Ów prosty gest uzmysłowił Rennie, że lada chwila naprawdę przyjdzie jej się rozstać z koniem, a wówczas poczuła ucisk w gardle.

– Najbardziej lubi zielone jabłka – wykrztusiła. – Kwaśne. Tak jak charakter.

– Kupię dziś całą beczkę – obiecała Wonda.

– Nie wzgardzi też odrobiną miodu w owsie – dodała Renna.

– Mamy ule w twierdzy.

Renna nie mogła już wytrzymać napięcia. Szlochając, objęła Obietnicę po raz ostatni, po czym uciekła z podwórza.



– Wielki run to nasza największa przewaga, ale też najgorszy wróg – oznajmiła głośno Renna, krocząc po deskach audytorium Akademii Zielarek. Na podłodze zbudowano miniaturowy wielki run, który zasilają kości demonów umieszczone w ścianach.

Leesha i Wonda stały z boku i przyglądały się bacznie Naznaczonym Dzieciom, siedzącym w ławkach. Obie jaśniały mocą, co z pewnością nie umknęło uwadze gości. Renna zagwarantowała im bezpieczeństwo, ale nie miały zamiaru ryzykować.

– Pamiętacie, jak Arlen unosił się na niebie? – pytała Renna. – Albo jak ciskał błyskawicami w demony?

Niektóre z Dzieci zaczęły klaskać, inne wiwatować. Renna pokiwała głową, czekając, aż wrzawa ucichnie.

– A pamiętacie, jak spadł z nieba? – spytała.

Zapadła martwa cisza. Chwila ta była najczarniejszym momentem Zakątką.

– Runy pobierają magię i przechowują ją – ciągnęła Renna. – A to, w jaki sposób ją oddają, zależy od ich kształtu. Niemniej kiedy staniecie w obrębie tych linii – przekroczyła granice wielkiego runu – możecie ładować

runy mocą jedynie własnego umysłu.

Pobrała moc i zaczęła jaśnieć, aż zamieniła się w kulę światła tak intensywnego, że niektórzy ze słuchaczy musieli zasłonić sobie oczy. Gdy uznała, że przekaz dotarł do wszystkich, wpuściła moc z powrotem w symbol.

– Wielkie runy Zakątka kryją w sobie ogromną magię. Jest jej tak wiele, że każdy z was może poczuć się jak sam Stwórca, ale my, ludzie, nie zostaliśmy stworzeni do tego, żeby przepuszczać przez siebie tak wielką ilość mocy. Nie potrafię tego ja, nie potrafił tego nawet Arlen Bales. Wciągnął w siebie zbyt wiele magii i się wypalił. Spadł na bruk i potrzaskał się jak jajko.

Renna wskazała palcem Leeshę i dodała:

– Nie przeżyłby, gdyby pani Leesha natychmiast do niego nie przypadła, żeby poskładać go do kupy.

Leesha skinęła na potwierdzenie tych słów. Ów prosty gest wystarczył, by przypomnieć zebrany o jej potędze.

– Stelo z Gospody! – zawołała Renna. – Zejdź tu na dół i pobierz trochę mocy z tego runu!

W aurze Steli pojawiła się obawa, mimo to pokonała wahanie i ostrożnie, powoli zeszła na audytorium, gdzie czekała na nią Renna.

– Zdejmij sandały – poleciła jej. – Na początku dobrze by było, gdybyś stanęła prosto na którejś z linii runu.

Stela strąciła sandały i stanęła na jednej z grubszych linii, po czym zamknęła oczy.

– A teraz postępuj tak, jak cię uczyłam – rzekła Renna. – Pobieraj delikatnie. Z wyczuciem. Nie za dużo!

Stela oddychała rytmicznie, ale jej serce waliło głośno. Dziewczyna z trudem panowała nad zalewającą ją, narastającą ekstazą.

– Ile to za dużo?

– Dość już – oznajmiła Renna, gdy runy Steli zajaśniały, co było widoczne nawet dla tych, których wzroku nie

wspomagała magia. – Jeśli pobierzesz więcej, zaczniesz czuć swędzenie na całym ciele. Wyschną ci oczy, gardło i nos, a potem uświadomisz sobie, że coraz trudniej ci się skupić. Po chwili swędzenie przerodzi się w ból i pojawią się problemy z myśleniem. To ostatnie ostrzeżenie, jeszcze trochę pobierania i spłoniesz żywcem.

– Jak się pozbyć nadmiaru magii? – W głosie Steli pojawił się niepokój, a w aurach Dzieci zamigotał lęk.

– Wielki run zasysa ją nawet w tym momencie – rzekła Renna. – Zatrzymujesz ją w sobie tylko dzięki sile woli. Jeśli pobierzesz za dużo, wypuszczaj powoli i równo, zupełnie jakbyś wylewała wrzącą wodę z imbryka.

Stela zacisnęła oczy, by usunąć z siebie magię, lecz włożyła w to zbyt wiele energii i zamiast pozwolić, by wielki run pobrał jej moc, sama ją z siebie wypchnęła. Potężny, wielki run zassał chciwie i Renna w ostatniej chwili złapała dziewczynę za rękę. Musiała powstrzymać pobieranie, by Stela nie utraciła wszystkiego.

– Nieźle – pochwaliła. – Wracaj teraz na miejsce. Ello Rębacz, twoja kolej.

Pociągnęła nosem, gdy jasnowłosa zeszła na audytorium. Runoskóre nadal jadły mięso demonów, a Renna jak dotąd jeszcze im tego nie zakazała.

Jak je nauczyć panowania nad sobą? – pomyślała.



I5

Powrót sióstr

334 ROK PLAGI

Jeden z wielu kolczyków Inevery zaczął wibrować. Przesunęła palcem wzdłuż małżowiny prawego ucha, by go odnaleźć. Drugi od góry.

Odetchnęła z ulgą.

Nareszcie, pomyślała i obróciła kolczyk, aż runy znalazły się w odpowiednim ułożeniu, a wówczas wibracje ustały.

– Witaj, córko – szepnęła.

– Niech błogosławieństwo Everama cię nie opuszcza, matko – rzekła Amanvah. – Cieszę się, mogąc znów słyszeć twój głos.

– Moja radość również nie ma granic – odparła Inevera.

– Widać, że Everam czuwał nad tobą.

– Być może – westchnęła Amanvah. – Wracam do Lenna

Everama niecały rok po wyjeździe i już jestem wdową.

– To *inevera*. Kości zdradziły mi, że nosisz potomka syna Jessuma.

– Sikvah również – powiedziała Amanvah. – Choć ciąża nie jest jeszcze widoczna.

– Dobrze więc, że wracacie do domu. Czy Sikvah jest z tobą?

W tej samej chwili zaczął wibrować jeden z kolczyków na lewym uchu Inevery.

– Jestem, Damajah – odezwała się Sikvah, gdy Inevera dostroiła runy.

– Kiedy wrócicie? – zapytała. Kolczyki nie działały na długie dystanse.

– Przypuszczalnie jutro, najpóźniej pojutrze.

– Wyślę wam eskortę – zaproponowała Inevera. – Na jej czele postawię Jarvah. Nie ufajcie nikomu innemu.

– Czy sytuacja naprawdę jest tak poważna, że nie mogę zaufać wojownikom swojego brata?

– Jest gorzej, niż myślisz. Asome próbował zabić Ashię podczas przewrotu.

– Nie! – westchnęła z przestraczem Sikvah.

– Ashia okazała się zbyt silna i Asukaji gorzko za to zapłacił. Utracił władzę nad własnym ciałem.

– Przynajmniej Asome nie będzie już próbował mnie za niego wydać – rzekła Amanvah.

– Być może – zgodziła się Inevera. – Niemniej pamiętaj, że w jego oczach to właśnie stanowiło twoją największą wartość. Nie zawaha się zabić cię, jeśli uzna, że to mnie osłabi.

– Póki żyję, Amanvah nie stanie się żadna krzywda – odezwała się Sikvah.

– Ty również możesz okazać się celem, siostrzenico – odparła Inevera. – Ashia została odesłana z Lenna Everama, a Shanvah jak dotąd nie powróciła. Jesteś teraz

Sharum'ting Ka.

Zapadła cisza, gdy dziewczyny trawiły nowe informacje. Jako pierwsza odezwała się Amanvah:

– Gratulacje, siostrze. Błogosławieństwo Everama cię nie opuszcza.

– Nie jestem godna! – zaprotestowała Sikvah.

– Dobrze jest okazywać pokorę w obliczu Everama – rzekła Inevera – ale prawda jest taka, że w chwili obecnej jesteś najlepszą siostrą włóczyni. Byłam świadkiem twoich postępów i znam twoją wartość.

– Nie zdołałam uchronić swojego męża przed śmiercią – powiedziała Sikvah. – Jego krew plami mój honor.

– Bzdura – odezwała się Amanvah. – Przecież byłam przy tym, siostrze. Zrobiłaś tyle, ile mogłaś, a to, że udało nam się ujść z życiem, żeby urodzić jego potomków i pomścić jego śmierć, zawdzięczamy tylko twoim umiejętnościom.

– Kości oznajmiły swoją wolę – rzekła Inevera. – Micha i Jarvah złożą ci przysięgę na wierność, gdy się spotkacie. To wielka odpowiedzialność, siostrzenico, a nie płaszcz, który możesz odłożyć na bok. Nadciąga *Sharak Ka* i wszyscy musimy być gotowi na wezwanie Everama.

– Tak, Damajah – powiedziała Sikvah. – Zrobię wszystko, żeby okazać się godną tego zaszczytu.

– Już jesteś godna – odparła Inevera.

– Czy to oznacza, że możemy przestać udawać, że moja siostra-zona to jakaś słaba *dal'ting*? – spytała Amanvah.

– I to natychmiast – stwierdziła Inevera. – Mało kto na dworze jest zresztą na tyle głupi, żeby samemu do tej pory na to nie wpaść.

– Dobrze – rzekła Amanvah. – Będę się czuła o wiele lepiej, nosząc zbroję, która ochroni potomka mojego męża w moim łonie.

– Czy przynosicie jakieś wieści z Zakątka? – spytała

Inevera. – Co z dzieckiem, które nosi Leesha?

Amanvah dobrze znała moc widzenia swej matki i nawet nie przyszło jej do głowy, by zapytać, skąd o tym wie.

– Dziecko już przyszło na świat – powiedziała. – Osobiście przyjąłam poród.

– Tak szybko? – Inevera nie mogła ukryć zaskoczenia. – Przecież minęło zaledwie sześć miesięcy...

– Pani Leesha używała potężnej magii – wyjaśniła Amanvah – co przyspieszyło rozwój dziecka. To ostrzeżenie dla mnie i mojej siostry-żony. Musimy również na to uważać.

Korzystanie z silnej magii w ciąży w istocie łączyło się z niebezpieczeństwem, ale Inevera nie poświęciła temu ani jednej myśli, zafrapowana wieściami, które przywoziła Amanvah. Narodziny dziecka Leeshy mogły zmienić losy wojny.

– A co z tym dzieckiem? – zapytała. – Chłopiec czy dziewczynka?



– *Nie'Damaji'ting* Amanvah vah Ahmann am'Jardir am'Kaji, pierworodna córka Shar'Dama Ka oraz Damajah, księżniczka całej Krasji! – zawołał *dama* Jamere, gdy Amanvah stanęła przed Tronem z Czaszek.

Miała na sobie szatę *dama'ting* z białego jedwabiu, która płynęła za nią niczym dym, a jednocześnie podkreślała jej budowę ciała na tyle, by nikt nie miał wątpliwości, że jest córką Inevery. A some nadal zwoływał swój dwór w blasku dnia i złote promienie słońca połyskiwały na runach, wyszytych nicią z elektrum. Jej twarz zasłaniała jednakże nie biała, ale czarna tkanina, co zwiastowało fakt, o czym

wszyscy zebrani doskonale wiedzieli, że po ukończeniu osiemnastego roku życia Amanvah miała objąć przywództwo *dama'ting* z plemienia Kaji.

– *Kai'Sharum'ting* Sikvah vah Hanya am'Jardir am'Kaji – ciągnął Jamere. – Pierworodna córka księżniczki Hanyi, trzeciej siostry Shar'Dama Ka.

W prezentacji Sikvah zabrakło imienia jej pohańbionego ojca Hasika, co przypominało wszystkim o jego zbrodniach. Mimo to Sikvah, odziana w czarną szatę *Sharum* z białą przesłoną, robiła imponujące wrażenie. Na plecach nosiła wielką okrągłą tarczę, a pod nią dwie krótkie skrzyżowane włócznie, po które mogła w każdej chwili sięgnąć. Jej broń wykonana była z niezniszczalnego runicznego szkła wyłożonego elektrum. Drobną dziewczyna kroczyła z wdziękiem drapieźnika, a szklane płyty pancerza, zakryte szatami, sprawiały, iż wydawała się większa i potężniejsza, zwłaszcza w porównaniu ze smukłą Amanvah.

– Niech Everam błogosławi wam, siostró i kuzynko! – zawołał Asome, choć spochmurniał na widok Sikvah w stroju wojownika.

Inevera przyglądała się scenie z wyłożonego poduszkami podium, nawet nie próbując ukryć uśmiechu. Na oczach całego dworu obie kobiety uklękły, przyłożyły dłonie do podłogi i dotknęły jej czołami, a potem podniosły się jednocześnie i uniosły wzrok ku tronowi. Amanvah dotknęła palcem gardła, a jej słowa, wypowiedziane łagodnym, melodyjnym głosem, rozbrzmiały echem w komnacie:

– Przybywamy na wezwanie Tronu z Czaszek, czcigodny bracie, by zająć należne nam miejsce na dworze Wybawiciela.

– Kobiety plemienia Kaji potrzebują twojej mądrości i twojego przywództwa, siostró – oznajmił Asome, a jego słowa zabrzmiały przekonująco. Potem przeniósł jednak

wzrok na Sikvah i rzekł: – Ale ciebie nie wzywałem, kuzynko.

– Ja to uczyniłam – wtrąciła się Inevera, która wykorzystwała swą runiczną biżuterię, by wzmocnić głos podobnie jak przed momentem Amanvah. Znaczna część jej magii nie działała w blasku słońca, ale dobrze było przypomnieć zarówno Asome, jak i pozostałym mężczyznom, że *dama'ting* nie były całkowicie bezsilne. – Po śmierci twojej czcigodnej żony i zniknięciu Shanvah biały zawój Sharum'ting Ka zostanie przekazany Sikvah.

Asome skrzywił się, a Baden wystąpił z grona zebranych *Damaji* i wykonał pokłon przed Tronem z Czaszek.

– Proszę o wybaczenie, Damajah, ale nie ma ku temu żadnego uzasadnienia. Czcigodna kuzynka Shar'Dama Ka nigdy nie zabiła *alagai* w bitwie. Nie zasłużyła sobie jeszcze na prawo noszenia włóczni, nie mówiąc już o stanięciu na czele sióstr włóczni Everama.

Amanvah spojrzała na niego wzrokiem zarezerwowanym dla robaka, którego zamierza rozdeptać.

– Z całym szacunkiem, *Damaji*, ale sam jakoś nie słyniesz z ochoty, żeby wyjść w noc, nawet teraz, w czasach *shar'dama*. Kim ty jesteś, by kwestionować czyny mojej *Jiwah Sen* w *alagai'sharak*?

Omiotła wzrokiem całe zgromadzenie i znów aktywowała naszyjnik wzmacniający słowa:

– Na moją cześć i nadzieję na wstąpienie do Niebios, oświadczam przed majestatem Everama oraz Tronu z Czaszek, że Sikvah vah Hanya am'Jardir am'Kaji pokazała słońce większej liczbie *alagai* niż jakikolwiek *Sharum* w całej Krasji.

– Niedorzeczne stwierdzenie! – oznajmił Baden, a zewsząd dobiegły pomruki aprobaty. – W armii Wybawiciela jest wielu *Sharum*, którzy zabijali *alagai* już pięćdziesiąt lat przed narodzinami tej dziewczyny.

Obrażasz ich wszystkich swoimi słowami!

Asome uderzył włócznią w podłogę.

– Przeproś, siostro!

Amanvah uniosła głowę i spojrzała bratu w oczy.

– Nawet ty, Shar'Dama Ka, nie możesz mi rozkazać, żebym przedstawiała fałszywe świadectwo przed Tronem z Czaszek. W tercecie z naszym mężem ja oraz moja siostra-żona odbieraliśmy resztki rozumu całym legionom *alagai*, po czym słaliśmy je prosto na ostrze plemienia Zakątka. Nawet zmiennokształtny, który zabił Mistrza Ćwiczeń Enkido, uległ naszemu śpiewowi, dzięki czemu nasi towarzysze zdołali odebrać mu życie.

Asome znieruchomiał. Wielu wojowników z Lenna Everama było świadkami wspaniałej magii, którą wyzwalaly skrzypce syna Jessuma, i widziało, jak jego muzyka prowadziła demony na rzeź niczym bydło. Asome zazdrościł mu tej mocy, a jedynie Amanvah i Sikvah mogły podzielić się z nim jej sekretem.

– Być może – zgodził się Baden. – Ale *Sharum* walczą włócznią, a nie magią!

– Czy chcesz może sprawdzić, jak dobrze moja siostra-żona posługuje się włócznią, *Damaji*? – uśmiechnęła się Amanvah.

– Prosisz mnie, żebym uderzył kobietę na dworze Wybawiciela? – zachnął się Baden.

– Nigdy w życiu, czcigodny *Damaji* – odparła Amanvah.

– Chciałabym, żebyś wybrał kogoś w swoim zastępstwie. Może jednego z owych dzielnych mężów, którzy, jeśli wierzyć twoim słowom, zabili więcej *alagai* niż moja siostra?

Odwróciła się i przyjrzała tłumowi.

– A może twojego osławionego wnuka, *shar'Dama Rajiego*?

Wszyscy spojrzeli na Rajiego. Młody *shar'Dama* był

zaledwie kilka lat starszy od Sikvah, a już zasłynął jako nieustraszony pogromca *alagai*. Nie rozstawał się z bronią nawet za dnia – na dłoniach nosił srebrne runiczne kastety i opierał się lekko na runicznej lasce, która przyniosła mu sławę. U pasa nosił zwinięty ogon *alagai*. Był ogromnym mężczyzną, o wiele potężniejszym od drobnej Sikvah, ale ta nie zawahała się ani chwili. Obróciła się ku niemu, skrzyżowała pięści nad sercem i oddała mu ukłon wojownika.

Raji uśmiechnął się i zrobił krok naprzód. Zerknął przy tym na dziadka, prosząc go wzrokiem o zgodę na zmiżdżenie uzurpatorki, lecz *Damaji* wyczuł pułapkę. Baden od wielu dekad współpracował blisko z *dama'ting* i dobrze wiedział, że nie wolno ich lekceważyć. Męstwo i niezwykle umiejętności Ashii obrosły już legendą w pałacu i jeśli Sikvah dorównywała jej talentem, mogła pokonać jego dziedzica na oczach całego dworu, a wówczas on sam utraciłby twarz. Milczał, a każdy oddech wahania kosztował go odrobinę godności, którą tak bardzo starał się zachować. A some również to zauważył.

– Dość tego. Mój ojciec nie tolerował przemocy na dworze i ja też nie mam na to ochoty. *Dama* Baden ma rację. Nikt nie będzie kwestionował potęgi... eee... magicznego śpiewu, ale *Sharum* są tym, kim są, dzięki walce włócznią, a Sikvah nie zabiła jeszcze w bitwie demona na oczach innych.

– A więc nastąpi to dziś – zaproponowała Amanvah. – Ilu świadków sobie życzycie?

– Nawet jeśli Sikvah zdoła zabić demona uzbrojona w niepokonaną włócznię i pancerz Damajah, nie zostanie to uznane za sukces. *Sharum'ting* Ka musi okazać się godna, żeby stanąć na czele wojowników w *Sharak Ka*. Tron nie uzna jej za przywódcę.

– A więc czego musiałyby dokonać, żeby zasłużyć na uznanie *Shar'Dama* Ka? – zapytała Amanvah.

– Musi zwyciężyć tak, jak przystało na prawdziwego *Sharum* – rzekł *Asome*. – Tak, jak za młodu dokonał tego nasz ojciec, gdy walczył, żeby zasłużyć na szaty wojownika, ubrany ledwie w bido, a zbrojny we włócznię bez runów.

– *Shar'Dama Ka* oznajmił swoją wolę – powiedziała *Inevera*. – A *Damajah* wyraża aprobatę. Dziś w nocy *Sikvah* przyłączy się do *alagai'sharak* ubrana w bido i zbrojna w zwykłą włócznię. Jutro o świcie położy przed tronem głowę demona, żeby ta spłonęła w słońcu. Jeśli tego nie dokona, znajdziemy inną kandydatkę na przywódczynię sióstr włóczni *Everama*.

Wśród zgromadzonych, a zwłaszcza *Damaji'ting*, poniosły się gniewne pomruki. Nie podobało im się to, że kobieta miałaby być zmuszona do zrezygnowania ze skromności na oczach mężczyzn, lecz *Sikvah* nie miała zamiaru protestować. Opadła na kolana i przytknęła czoło do podłogi.

– Na *Everama*, spełnię twoją wolę, *Shar'Dama Ka*.



Inevera przyglądała się kościom, które *Amanvah* umieściła na gipsowej płytce, zaznaczając ich orientację wedle stron świata.

– Jesteś pewna, że precyzyjnie oddałaś ich układ? – spytała.

W aurze *Amanvah* zafalowało oburzenie typowe dla dziecka usiłującego się wyrwać spod cienia rodziców. *Inevera* wiedziała, że będzie musiała uważać, jeśli jej córka ma sprawdzić się w roli *Damaji'ting*, ale w chwili tak ważnej nie dbała o jej urażoną dumę.

– Tak, matko – odpowiedziała *Amanvah*.

– Wiesz, co to oznacza. – Tym razem Inevera wyraziła myśl w zdaniu oznajmującym, a nie w pytaniu. Jej córka nie była głupia.

– Wiem – odparła. – Oznacza to tyle, że Asome zrobi wszystko, żeby zabić to dziecko, jeśli kiedykolwiek pozna prawdę, w oczach Everama bowiem Olive jest prawdziwym dziedzicem Ahmanna Jardira. Oznacza to też, że dziecko przypuszczalnie jest odrodzonym Wybawicielem.

Prawda była gorzka, jednak Inevera musiała się z nią zgodzić. Spała z Wybawicielem tysiące razy i dała mu czterech synów oraz trzy córki, ale żadne z nich nie miało takiego potencjału. Tymczasem ta dziwka z Północy zabawiała się z nim przez tydzień, a potem urodziła pierwszego potencjalnego kandydata na Shar'Dama Ka w całym pokoleniu. Inevera pokręciła głową.

– Wybawiciele się nie rodzą, córko. Oni są tworzeni.

Amanvah spojrzała uważnie.

– Skoro tak, to dlaczego nie stworzyć ich wielu? Dlaczego nie zbudować z nich całej armii, do czego zachęca Par'chin?

– Daj spokój – rzekła Inevera. – Po zaginięciu twojego ojca i Par'china to dziecko jest przypuszczalnie jedynym Wybawicielem, o którym wiemy. Być może jedynym na całym świecie.

– Należy więc je chronić – stwierdziła Amanvah.

– Ją – poprawiła Inevera. – Udzieliłaś Leeshy słusznej rady. Dziecko będzie bezpieczniejsze, gdy wszyscy uwierzą, że jest dziewczynką. Czarodzieje Asome nie wykryją w tym kłamstwa, nawet jeśli opanowali jakąś formę przepowiadania przyszłości.

– Ją – zgodziła się Amanvah.

– Czego pani Leesha zażądała w zamian za twój rzut? – zapytała Inevera.

Kości nakazały jej zadać to pytanie, gdy znajdzie się z Amanvah twarzą w twarz. Zdradziły również, że

odpowiedź bynajmniej jej się nie spodoba. W istocie, aura córki ostygła niczym u złodzieja złapanego na gorącym uczynku.

Amanvah zamknęła oczy i wyregulowała rytm oddechu. Szybko odzyskała równowagę i rzekła:

– Rzuciłam kośćmi pokrytymi krwią pani Leeshy, zanim dziecko przyszło na świat – odparła. – Dowiedziałam się, że poród będzie trudny, a dziecko szczególne. Zrozumiałam, że być może będzie ono tym, czego z twojego polecenia szukam od lat.

– Nie odpowiedziałas na pytanie – naciskała Inevera.

Amanvah odetchnęła raz jeszcze i oznajmiła:

– Leesha zażądała, żebym nauczyła ją odczytywać *alagai hora*.

– Co takiego? – krzyknęła Inevera.

Amanvah zachowała spokój, nie otwierając oczu. Nadal klęczała na poduszkach w prywatnej komnacie matki z dłońmi ułożonymi na kolanach i oddychała rytmicznie.

– Wiem, że masz powody jej nienawidzić, matko – powiedziała. – Czyż nie dodałam trucizny do jej herbaty na twój rozkaz? – Otworzyła oczy i nawiązała kontakt wzrokowy z Ineverą. – Ale mylisz się co do niej. Jest wielkim wrogiem Nie i doprawdy nie znam wielu, którzy uczynili tyle, co ona, żeby przygotować świat na *Sharak Ka*, nawet przed wydaniem tego dziecka na świat. Jeśli Pierwsza Wojna ma się zakończyć naszym zwycięstwem, trzeba jej pomóc najbardziej, jak się da.

Inevera oddychała szybko przez nos, co było jedyną zauważalną oznaką kipiącego w niej gniewu. Amanvah przekroczyła swoje kompetencje, przekazując sekrety *dama'ting* czarownicy z zielonych krain, gdyż w ten sposób naruszyła autorytet matki jako Damajah. Niemniej w jej postępowaniu kryło się też sporo racji.

Inevera ugięła się przed wichrem własnych emocji

i w pełni przejrzała na oczy.

– Po raz kolejny muszę przyznać ci rację, córko – rzekła.

– Obawiałam się, że jesteś zbyt młoda, żeby zasłonić twarz czernią, ale widzę teraz, że mój lęk był bezpodstawny. Zostaniesz wspaniałą *Damaji'ting*.

Aura Amanvah zajaśniała dumą, ale odpowiedziała jedynie prostym ukłonem.

– Zaszczycasz mnie, matko.

– Opuściłaś Zakątek niedługo po porodzie. Nie sądzę, żebyś przekazała pani Leeshy wiele z naszej wiedzy – oznajmiła Inevera.

Amanvah pokiwała głową.

– Pozostawiłam jej odpowiednie fragmenty *Evejah'ting*, ale będzie potrzebowała dobrego nauczyciela. Obiecałam, że wyślę *dama'ting*, która zajmie moje miejsce w Zakątku. Miałam na myśli Jaię albo może Selthe.

Inevera zacisnęła usta.

– Są zbyt niedoświadczone. Można wysłać którąś z nich do pomocy, jednak uczenie Leeshy to ważne zadanie i należy przydzielić je komuś mądrzejszemu.

– Która z nas jest godna zaufania? – zapytała Amanvah.

– Większość *dama'ting* bez wahania poderznęłaby Leeshy gardło, przejęła dziecko i obwołała się drugą *Damajah*.

– To wielkie ryzyko – zgodziła się Inevera. – Będziemy musiały poradzić się kości. Sama zabiłabym Leeshę i odebrała jej maleństwo, ale ten pałac nie byłby dla niego bezpiecznym miejscem, przynajmniej póki twój brat zasiada na tronie. Im dalej jest od niego, tym większą ma szansę dorosnąć, przejąc płaszcz *Shar'Dama Ka* i ocalić *Ala*.

– Albo zniszczyć – rzekła Amanvah, a Inevera pokiwała głową.

– Oto brzemień, które spoczywa na barkach Wybawiciela.



Sikvah klęczała przed Tronem z Czasek odziana jedynie w bido, zwykły pas czarnego sukna, który oplatał jej biust i krzyżował się między nogami. Twarz oraz włosy wojowniczkki były odsłonięte, nie miała też na sobie runicznej biżuterii. Rozstała się nawet ze swoim słynnym naszyjnikiem. Obok dziewczyny leżała zwykła włócznia z drewnianym drzewcem i metalowym ostrzem. Nie było na niej ani jednego runu, a mimo to pokryta była juchą, która syczała w porannym słońcu.

Nagość Sikvah naruszała wszelkie granice przyzwoitości i Inevera nie mogła się nacieszyć wzburzeniem mężczyzn. Połowa z nich odwracała spojrzenie ze zgorszeniem, reszta pożerała Sikvah wzrokiem, a żaden nie był w stanie logicznie myśleć.

Za Sikvah klęczało siedmiu *Sharum* z twarzami zasłoniętymi czarnym suknem. Każdy z nich trzymał worek z grubego czarnego aksamitu.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Nie sprecyzowałeś, jakiego rodzaju *alagai* rozśławi cię najbardziej, czcigodny Shar'Dama Ka – rzekła Sikvah. – A więc przyniosłam ci siedem różnych łąbów, żeby uczcić każdy z filarów Nieba.

Na dany im znak wojownicy otworzyli worki i uwolnili odrąbane łąby demonów: wichrowego, ognistego, skalnego, polnego, bagiennego, kamiennego i brzeźnego. łąby potoczyły się po marmurowej posadzce i wybuchały płomieniami, nieruchomiejąc w zasięgu światła słonecznego.

Jeśli ów pokaz poruszył Asome, ten nie dał tego po sobie poznać.

– Powstań, Sharum'ting Ka – rzekł.

Amanvah podeszła do Sikvah i ułożyła na jej głowie hełm owinięty białym turbanem. Następnie Sikvah powstała i niespiesznie przywdziała zwykłą czarną szatę.

– Dość już zajmowania się *ting*. – Asome zakreślił w powietrzu łuk włócznią, odsyłając je obie. – Pora zająć się Majah.

Strażnicy otworzyli bramy do sali tronowej i wpuścili do środka *Damaji* Aleverana i jego świtę. Towarzyszyła mu Chavis, za którą potulnie szła Belina, ponownie odziana w biały zawój i czarną przesłonę *nie'Damaji'ting*. Szedł też z nimi Iraven, który nie unosił wzroku. Jeden Everam wiedział, na jakie ustępstwa zgodzili się Aleveran i Chavis, by przywrócić młodzieńcowi jakieś pozory statusu w plemienu, ale był to dobry znak, jeśli Majah nadal liczyli na szansę nawiązania porozumienia z resztą plemion.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami na podłodze sali tronowej ustawiono stół. Asome i Inevera zeszli z podwyższenia, by powitać delegację Majah. Asome prezentował się po królewsku dzięki włóczni i koronie, ale na Aleveranie, który bezzwłocznie chciał przystąpić do meritum sprawy, nie zrobiło to wrażenia.

Jamere przedłożył im dwie kopie długiego kontraktu, który dawał Majah prawo do opuszczenia Lenna Everama i powrotu do Pustynnej Włóczni.

Inevera miała ochotę udusić Asome za to, że zmusił Majah do tak desperackiego kroku, ale nikt nie mógł już nic na to poradzić. Asome i Aleveran przekłuli swoje palce i ścisnęli je, aż na skórze pojawiły się krople krwi, po czym zanurzyli w nich pióra, by podpisać dokumenty. Pozostali *Damaji* poszli w ich ślady, w tym również ci, którzy reprezentowali plemiona podległe Majah. Te miały pozostać w Lennie Everama i nadal służyć Asome. Utrata pomniejszych sojuszników jak Sharach nie stanowiła dla Majah uszczerbku, lecz Wypatrywacze Nanji służyli Majah od kilku wieków. Na twarzy Aleverana malowała się gorycz, gdy brat Asome z plemienia Nanji podpisał kontrakt i zerwał wielowiekową więź.

– To kończy naszą współpracę – rzekł Aleveran, zwijając swoją kopię i zamykając w runicznym cylindrze. – Rozstajemy się w pokoju, ale nie spodziewaj się po nas wybaczenia. Ala jest wielka i niech cię Everam broni przed kolejnym spotkaniem z nami.

Ruszył ku drzwiom, pstryknąwszy palcami. Belina i Iraven raz jeszcze spojrzeli na Ineverę i pospieszyli w ślad za Aleveranem.



Następne dni okazały się długie i męczące. Przed tronem wiły się nieskończone kolejki petentów, spośród których część ubiegała się o stanowiska zwolnione po odejściu Majah, inni szukali protekcji, a jeszcze inni domagali się renegocjacji praw własności do ziemi. Majah zabrali ze sobą

wszystko, co zabrać się dało, ale tereny pod ich dotychczasową władzą były rozległe, pełne bogatej gleby, za której sprawą mieszkańcy zielonych krain stali się tak słabi.

Z początku Asome odprawiał interesantów godzinę przed wezwaniem na modlitwę o zachodzie słońca, ale dzień po dniu czynił to coraz później, aż w końcu dwór pracował po zapadnięciu zmroku. Inevera w pierwszej chwili myślała, że padła ofiarą zwykłego złudzenia, ale gdy uaktywniły się runy w jej wysadzonym klejnotami turbanie, a ona sama zaczęła widzieć w świetle Everama, zrozumiała, iż to nie przypadek.

Damaji co do jednego jaśnieli od magii. Na ich palcach i w turbanach skrzyły się runiczne klejnoty, w rękach trzymali powleczone złotem różdżki, a u pasów sakiewki z *hora*. Czarownicy *dama* nawet nie kryli się ze swymi ciężkimi laskami z demonimi kośćmi, dającymi im ogromną moc.

Asome dostrzegł wzrok matki i obdarzył ją drapieżnym uśmiechem. Władza, którą *dama'ting* roztaczały nocą, powoli słabła. Ile czasu upłynie, nim Asome uzna, że już jej właściwie nie potrzebuje?

Inevera oddychała miarowo, próbując odbudować swój spokój. To ona jako pierwsza zaczęła burzyć dotychczasową równowagę między płciami, dając kobietom prawo do noszenia włóczni, ale nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, by zastąpić mężczyzn w plemienu.

Asome tymczasem mógł mieć inne zdanie. Wielu członków jego dworu wierzyło, że należy wrócić do dawnych tradycji, w myśl których kobiety nie miały prawa głosu.

Gdy były posłuszne.

Gdy były niewolnicami.

Zadrzała. Chwilę później uświadomiła sobie, że to drży jeden z jej kolczyków.

Uniosła rękę i przesunęła starannie wymodelowany paznokieć wzdłuż ucha, licząc je, by ustalić, kto próbuje się z nią skontaktować. Z pewnością była to ważna sprawa – nikt nie zawracałby Damajah głowy błahostkami wtedy, gdy dwór wciąż pracował.

Bez wątpienia nie była to jedna z jej sióstr-zon czy *Sharum'ting*. Nie była to też żadna z jej córek. W końcu palec dotknął płatka usznego, a wówczas serce Inevery zamarło.

Ten kolczyk nie zadrżał od wielu miesięcy. Był nieruchomy od chwili, gdy Ahmann spadł w mrok.



I6

Ukochana

334 ROK PLAGI

Par'chin towarzyszył Jardirowi w drodze z wieży na polanę.

– Myślisz, że dasz sobie z tym radę? – spytał.

W aurze Par'china pojawiła się troska, co było ujmujące. Jardir dwukrotnie już próbował go zabić, a mimo to brat z zielonych krain wciąż się martwił o Ahmanna.

– Nic mi nie będzie, Par'chin – oznajmił, tłumiąc własne wątpliwości.

– Jeśli mocniej powieje, musisz być gotów na...

– Dość tego, Par'chin! – zachichotał Jardir. – Mam nadopiekuńczą matkę i piętnaście żon. Ty też chcesz mnie karmić piersią?

– Miałem nadzieję, że się zarumienisz! – rzekł Par'chin

i wyciągnął dłoń, ale Jardir gardził takimi gestami. Zrobił krok i mocno objął swego *ajin'pal*. – Czas gra na naszą niekorzyść – dodał Par'chin. – Zajmij się swoimi sprawami, ale nie daj się w nic zaangażować.

– Ty też, Par'chin – odparł Jardir. – I trzymaj swoją *jiwah* daleko stąd. Honor Shanvah nie ma granic, lecz jej miłość do ojca to słabość, którą Alagai Ka wykorzysta przy pierwszej dogodnej okazji.

Par'chin pokiwał głową.

– Rozumiem i będę pamiętał. Tylko... wracaj szybko, co?

– Obiecuję – rzekł Jardir, po czym zdjął Włócznie Kajiego z pleców i wznosił ją ukośnie niczym *dama* szykujący się do wychłostania grzesznika. Na drzewcu i ostrzu broni, które zostały wykonane z elektrum, znajdowały się tysiące runów. Podobnie jak w przypadku korony, Jardir znał już zastosowanie wielu z nich, ale całe mnóstwo nadal stanowiło dla niego zagadkę, a niektóre dopiero co rozgryzł.

Oparł kciuki na runach powietrza i skupił swą wolę, przywołując moc skrytą w starożytnej broni, po czym wyskoczył w powietrze. Natychmiast pojawił się wiatr, który zgęstniał i wyniósł mężczyznę ku niebu.

Jardir wznosił się coraz wyżej i śmiał się, patrząc na ziemię znikającą pod jego stopami. Rozkoszował się chłodnym wiatrem, który owiewał mu twarz, głęboko wciągał ożywcze powietrze. Gwiazdy jaśniały nad jego głową i Jardir nigdy dotąd nie poczuł tak wielkiej jedności z pięknem dzieł Everama.

Ostrzeżenia Par'china okazały się słuszne – wysoko na niebie prądy były silniejsze. Radził sobie z nimi dobrze do momentu, gdy wpadł w nisko płynący obłok. Niespodziewanie oślepiony, smagany wodą i lodem, Jardir przekoziółkował i pomknął ku Ala.

Zdołał odzyskać kontrolę i w ostatniej chwili przywołał moc, która pomogła mu zamortyzować upadek. Miękkie

lądownie jednakże nie wyszło – Jardir potoczył się, miażdżąc wysokie, częściowo zamarznęte trawy, aż zatrzymał się i zerwał na równe nogi, przeklinając i plując źdźbłami. Pospiesznie się otrzepał. Magia zgromadzona w jego ciele uchroniła go przed obrażeniami, ale płaszcz niewidzialności, sprezentowany Jardirowi przez Leeszę, nieco się pobrudził. Świadomość, że pokalał w ten sposób honor ukochanej, sprawiła mu ból. Przepuścił przez materiał nieco swej mocy, wypalając wczepioną weń zeschniętą trawę oraz paprochy, które wyparowały niczym krople wody z rozgrzanej patelni.

Przynajmniej spadłem na tyle daleko, że Par'chin tego nie zobaczył, pomyślał.

Zaczął się koncentrować przed kolejnym etapem lotu, kiedy niespodziewanie usłyszał głuchoe warknięcie. I zaraz przyczajony polny demon wybił się do skoku, ale Jardir, który zwalczał *alagai* od dekad, nie potrzebował więcej czasu na reakcję. Zawirował i nadział skaczącą bestię na ostrze swej włóczni, pobierając jego magię, jakby ssał przez słomkę.

Ponownie wyskoczył ku niebu i chwiejnie nabrał wysokości, w końcu wyrównał lot i przyspieszył. Wśród chmur było zimno, więc Jardir pobrał jeszcze trochę mocy, by się ogrzać, po czym pomknął na północny zachód, w stronę Lenna Everama.

Niespodziewanie do jego uszu dotarł rozdzierający wrzask. Jardir odwrócił się i ujrzał trzy ścigające go wichrowe demony. Ich wielkie skórzaste skrzydła były mocno, a potwory robiły wszystko, by zmniejszyć dzielącą ich odległość.

Mógł jeszcze przyspieszyć, ale miał wrażenie, że uciekanie przed potworami jest poniżej jego godności. Nie powinien pozwolić, by wyszły cało ze starcia i kontynuowały polowanie na Ala. Skreślił więc ostro

w górę, po czym wykonał pętlę, by znaleźć się za demonami. Każdy nieostrożny gest mógł naruszyć delikatną równowagę między runami na włócznie i pobieraną mocą, która utrzymywała go w powietrzu, więc powoli i starannie wycelował ostrzem w jednego z demonów i pchnął w niego wiązką magii. Chybił za pierwszym razem, ale posłał kilka następnych pocisków, aż wreszcie przedziurawił bestii skrzydło. Ta runęła ku ziemi, od której dzieliła ich cała mila. Jardir wiedział, że nawet potężne umiejętności regeneracyjne *alagai* nie pozwolą mu ponownie się podnieść po upadku z takiej wysokości.

Pozostałe demony już go dostrzegły i zawróciły, by natrzeć na niego od przodu. Sunęły z rozcapierzonymi szponami wystającymi ze skrzydeł. Jardir nie chciał ryzykować kolejnego niecelnego strzału, nie miał też ochoty na zderzenie z latającymi bestiami w powietrzu, co mogło się zakończyć kolejnym upadkiem.

Na szczęście istniały jeszcze inne opcje. Gdy jeden z *alagai* zanurzył się w chmurze, Jardir nakreślił run zimna. Wilgoć, która przylgnęła do skórzastych skrzydeł potwora, natychmiast zamarzła i zamieniła się w lodową powłokę. Demon runął ku ziemi niczym głaz.

Ostatni *alagai* nadciągał szybko. Jardir nie próbował nawet uderzać czy uciekać, a zamiast tego po prostu unosił się w powietrzu najlepiej, jak umiał, udając łatwy cel. Przywołał moce swej korony i utworzył wokół siebie barierę nieprzenikalną dla sług Nie.

Demon uderzył w nią z impetem, który pogruchotał mu puste kości niczym u ptaka wpadającego w grubą szybę. Jucha zbryzgała niewidzialną tarczę, ale znikła, gdy nieżywy potwór runął ku ziemi, a Jardir usunął barierę.

Lot sprawiał mu teraz coraz mniej trudności. Jardir pochylił się, by stwarzać jak najmniejszy opór wobec wiatru, a potem dostrzegł trakt Posłańców, wijący się

w dole niczym cienka nitka.

Wiedział, że zanim skontaktuje się z Ineverą, musi się znaleźć odpowiednio daleko od wieży. Istniało bowiem ryzyko, że słudzy Nie wychwycą rezonans w powietrzu, a ostatnią rzeczą, której pragnął, było zdradzenie miejsca uwięzienia Alagai Ka. Wraz z Par'chinem ustalili, że godzina powinna wystarczyć, lecz na takiej wysokości trudno było zmierzyć upływ czasu, a poza tym i tak nie mieli żadnej pewności, czy to odpowiedni margines.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Od Lenna Everama nadal dzieliły go setki mil. Jardir wiedział, że malutka kość demona w jego kolczyku nie zadziała na taką odległość, ale po raz pierwszy w życiu w pełni władał swoją mocą i dogłębnie rozumiał, w jaki sposób ów magiczny drobiazg działał. Musiał się jedynie skoncentrować i zwiększyć potencjał kolczyka dzięki mocy korony. Wówczas był w stanie uruchomić bliźniaczy kolczyk, tkwiący w uchu *Jiwah Ka*.

Był przekonany, że Ineverę ogarnie szal, ale mimo to uśmiechnął się na myśl o niespodziance, jaka ją czeka. Świadomość, że niebawem usłyszy głos żony, sprawiła, że serce zaczęło mu bić szybciej.

Minęła długa chwila, zanim poczuł, jak oba magiczne przedmioty nawiązują ze sobą kontakt. Magia płynęła swobodnie od kolczyka Inevery do jego.

– Kto to? – spytała ze złością. – Kto się ośmiela...

– Spokojnie, *jiwah* – rzekł Jardir. – A kogo się spodziewałaś, jeśli nie swojego męża?

– Ahmann Jardir nie żyje! – warknęła Inevera. – I nie dam się omamić jakiemuś kusicielowi, który zawładnął jego głosem!

Jardir zmarszczył brwi. Wyobrażał sobie wiele sposobów reakcji, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że Inevera może zakwestionować jego autentyczność.

– To naprawdę ja, żono. Spotkaliśmy się w pawilonie *dama'ting* po tym, jak Hasik złamał mi rękę. Nauczyłaś mnie sztuki radzenia sobie z bólem. Olśniłaś mnie swoim pięknem, a ja przez długie lata nosiłem w sercu wspomnienie twojej twarzy, aż ujrzałem ją ponownie w dniu naszego ślubu.

Na moment zapadła cisza, a potem Jardir usłyszał cichutkie słowo, wypowiedziane tak nieśmiałym głosem, iż trudno było uwierzyć, że padło z ust jego nieustraszonej żony.

– Ahmann?

Jardir poczuł ucisk w gardle.

– Tak, ukochana.

– Co to za odgłos? – Głos Inevery drżał. – Czy przemawiasz do mnie z Niebios?

Minęła chwila, nim Jardir uświadomił sobie, o co jej chodziło.

– Nie, *jiwah!* – roześmiał się. – To tylko wiatr, przez który się przedzieram, mknąc ku tobie.

– Jak to możliwe? – pytała Inevera. – Kości powiedziały mi, że nie żyjesz.

– Naprawdę? – zdziwił się Jardir. – Sama mnie uczyłaś, że *alagai hora* nie kłamią, ale czasem przedstawiają prawdę, która nawet nam nie przyjdzie do głowy.

– Powiedziały, że pół roku temu *alagai* rozwłóczyły i znieważyły ciało Shar'Dama Ka.

– Tak, ale to nie mnie chciały zbezczęścić – odparł Jardir.

– Nie chodzi też o Par'china – rzekła Inevera. – Gdybyś go pokonał, wróciłbyś od razu.

– To nie był Par'chin – zgodził się Jardir. – Książęta *alagai* zgromadzili się w Słońcu Anocha, by obrócić miasto Kajiego w perzynę i nasrać na jego szczątki.

Świst wiatru niemal zagłuszył okrzyk lęku Inevery. Słyszając to, Jardir odruchowo zwiększył prędkość. Nie mógł się doczekać, aż znów weźmie swoją *Jiwah Ka* w ramiona.

– Nie mogłeś na to pozwolić – odgadła.

– I tak, i nie – odparł Jardir. – Wiedza o tym, gdzie uderzą książęta *alagai*, pozwoliła na utworzenie sojuszu, który w innych okolicznościach okazałby się niemożliwy. Par'chin i ja udaliśmy się do Słońca Anocha wspólnie i zaczekaliśmy, aż demony nawiedzą miejsce spoczynku Kajiego.

– I co się stało? – spytała Inevera.

– Nie mogę na razie mówić. Wyjaśnię ci wszystko, gdy

znów się spotkamy i otoczy nas bezpieczna aura mojej korony – rzekł Jardir. – Opowiedz mi o sobie. Miesiące mojej nieobecności musiały być dla ciebie trudne, ale nie ma drugiej osoby na całej Ala, która uniosłaby taki ciężar z godnością. Czy nic ci nie jest?

– Mam złamane serce, ale nic nie złamało mojej woli.

Jardir odetchnął z ulgą, słysząc słowa Inevery.

– Twoja chwała nie ma granic – powiedział. – Czy osadziłaś Ashana na tronie?

Nastąpiła długa przerwa, tak długa, że Jardir pchnął odrobinę mocy, by upewnić się, czy kolczyk działa i połączenie nie zostało zerwane.

– Żono?

– Może o tym również porozmawiamy dopiero w chwili, gdy znów spojrzymy sobie w oczy? – odezwała się w końcu Inevera.



Inevera czekała na dachu pałacu wzniesionego na wielkim wzgórzu w samym sercu Lenna Everama. Jej półprzezroczyste czerwone szaty powiewały na nocnym wietrze, rozświetlone blaskiem biżuterii. Lądujący Jardir widział, jak jedwab przylega do ciała kobiety i uwydatnia pyszne krągłości, nie pozostawiając niczego wyobraźni.

Kiedyś nienawidził tych szat, które przypominały mu, że nie ma całkowitej władzy nad swoją Pierwszą Żoną. Teraz jednak, po miesiącach rozłąki, nie był w stanie myśleć o niczym poza pięknem Inevery. Wciągnął powietrze w płuca i wyczuł zapach perfum w nocnym wietrze. Jego męskość stwardniała.

Ledwie dotknął stopami dachu, a Inevera wpadła mu

w ramiona. Zmiażdżył ją w uścisku. Ciało *Jiwah Ka* było miękkie i powabne, ale kryło siłę. Jardir dobrze pamiętał, jak twarde są jej napięte mięśnie. Miał swojej żonie tyle do powiedzenia, ale na moment odepchnął na bok wszelkie myśli. Zanurzył nos w naoliwione włosy i rozkoszował się zapachem.

A potem połączył ich namiętny, łapczywy pocałunek. Jardir słyszał huk własnego serca. Odsunął się od Inevery na moment i uruchomił moce korony, by roztoczyć wokół sferę ciszy.

– Drogi są pełne Majah – rzekł. – Co...

– Później – szepnęła Inevera i wpiła miękkie usta w wargi Ahmanna. Szarpnęła za jego pas.

– Tu? Teraz? – spytał.

Inevera wyciągnęła pas z głośnym trzaskiem.

– Nie mam zamiaru czekać ani chwili dłużej.

Zerwała z jego ramion płaszcz niewidzialności i rzuciła na dach niczym koc na piaszczystą wydnię.

Z dzikim warknięciem Jardir poderwał Ineverę i ułożył na płaszczu. Nie protestowała, gdy ściągał jedwabie, rozrywając te, które stawiały opór. Płeć Inevery była starannie ogolona i naoliwiona. Wszedł w nią, rozkoszując się śliską wilgocią.

Nie było czasu na sztuczki *dama'ting*, siedem kroków czy taniec wśród poduszek. Obojgiem zawładnęła dzika, zwierzęca niemal pasja, którą uwalniali miesiące frustracji. Kąsali skórę, drapali się, uderzali, a wszelkie potrzeby i pragnienia wyrażali warknięciami i pchnięciami. Jardir wiedział, że powinien utrzymać swój powrót w tajemnicy, ale w tej chwili nie liczyło się dla niego nic poza Ineverą, jego Pierwszą Żoną. Nie liczyło się nic prócz miłości.

Gdy było już po wszystkim, zalegli spoceni na zimnym nocnym powietrzu, skuleni wśród strzępów swoich ubrań. Jardir wpatrywał się w twarz Inevery i spijał jej piękno

niczym mężczyzna umierający z pragnienia. Musnął palcami policzek, a potem ucho, trącając kolejno kolczyki. Każdy z nich reprezentował jedną z jego pozostałych żon. I jego siostrzenic. Teraz, gdy rozumiał już ich moc, nie potrafił wprost uwierzyć, że nie wyczuł jej wcześniej.

– Powiniennem się złościć na ciebie, że ukrywałaś te kolczyki w tajemnicy – rzekł.

– Zadaniem Pierwszej Żony jest strzeżenie męża – uśmiechnęła się Inevera. – Gdybyś wiedział, znalazłbyś sposób, żeby wyciszać je w chwilach, które chciałbyś zachować w tajemnicy.

– Jak te chwile wśród poduszek z Leeshą córką Erny’ego? – spytał Jardir.

Twarz Inevery nawet nie drgnęła, ale nie była w stanie ukryć uczuć w swej aurze. Zajrzał głęboko w duszę swojej *Jiwah Ka* i odkrył w niej ból.

– Słyszałaś wszystko – stwierdził.

– Jak mogłam się od tego odwrócić? – spytała Inevera. – Traciłam cię na rzecz tej...

Jardir ujął twarz Inevery w dłonie i znów ją ucałował.

– Nigdy, ukochana. Jesteśmy ze sobą związani zarówno w tym życiu, jak i w następnym. Rozumiem już, dlaczego oddawałaś się Andrahowi. Wybaczam ci, choć nie trzeba wybaczać temu, kto przedkłada *Sharak Ka* nad wszystko inne.

Inevera wybuchnęła płaczem, a Jardir przytulił ją do siebie.

– Potrzebuję cię, żono, i nigdy nie potrzebowałem cię bardziej. Musimy się zjednoczyć i stanowić całość. Nie możemy już mieć przed sobą sekretów. Dość kłamstw i półprawd. Wazą się losy całej Ala, a nie mam na niej nikogo, komu ufałbym bardziej od ciebie.

Inevera pocałowała męża i odsunęła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Rozumiem, dlaczego kochałeś się z Leeshą córką Erny’ego. Wybaczam ci, choć nie trzeba wybaczając temu, kto przedkłada *Sharak Ka* nad wszystko inne. Jestem twoja, a ty jesteś mój. Kości przepowiedziały, że twój powrót będzie zwiastował *Sharak Ka*, a my stawimy temu czoła jako jeden umysł i jedno serce. Nie będzie już sekretów. Dość kłamstw i półprawd. Przysięgam na Everama i moją nadzieję na wstąpienie do Niebios.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła kolczyka.

– Dlaczego nie mogłam cię usłyszeć po upadku?

– Par’chin jako pierwszy odkrył związek między kolczykami – rzekł Jardir. – Zablokował ich moc, a potem znaleźliśmy się poza zasięgiem.

– Par’chin! – splunęła Inevera. – Powinnam była go zabić, gdy miałam okazję.

Jardir pokręcił głową.

– I zapewne skazałabyś Ala na zagładę. To on nauczył mnie, jak wykorzystać Koronę Kajiego tak, by zwiększyć moc kolczyka i skontaktować się z tobą z odległości wielu setek mil.

Inevera otworzyła szeroko oczy.

– Umiesz zrobić coś takiego?

Jardir pokiwał głową.

– To nic trudnego. Mogę cię tego nauczyć. Par’chin pokazał mi wiele rzeczy, gdy trzymał mnie w niewoli.

– W niewoli? – warknęła Inevera. – On ośmielił się...

– Spokojnie, żono. – Jardir uniósł dłoń. – Syn Jepha zrobił to, co zrobić musiał, żeby zyskać przewagę w *Sharak Ka*. Niczym się w tym od ciebie nie różni.

– Nie wierzę w to – rzekła Inevera, ale Jardir ujął łagodnie jej dłonie i spojrzał w oczy.

– Wejrzyj w moją duszę, *jiwah*. Jeśli nie wierzysz już w nic, uwierz mi, gdy zapewnię cię, że Par’chin nie myśli o niczym innym poza *Sharak Ka*. Zabiłbym go w *Domin*

Sharum, ale jemu zależało na czymś innym niż moja śmierć. Miał o wiele większe plany. Wspaniałe, chwalebne plany.

– Chciał zaatakować księżątka Nie w Słońcu Anocha? – spytała Inevera.

– Och, *jiwah* – uśmiechnął się Jardir. – To dopiero początek.



– Damajah! – odezwała się Micha, gdy Inevera otworzyła drzwi prowadzące na dach. – Twoje szaty...

Suknie w istocie były w strzępach, ale nic nie mogło odebrać Ineverze władczości i królewskiej postawy, nawet resztki jedwabów przytrzymywanych dłonią nad biustem.

– To drobiazg. Oczyść drogę do moich komnat.

– Na rozkaz, Damajah – odparła Micha.

Jardir z dumą patrzył na córkę, która z drapieżną gracją przemieszczała się w czarnych szatach *Sharum'ting*, ale sam skrywał się pod płaszczem niewidzialności, który wzmacniał własną magią. Micha oraz druga córka-wojowniczką, Jarvah, która dołączyła do nich, gdy znaleźli się w korytarzu, nie zdawały sobie sprawy z jego obecności. Wspólnie dotarli do prywatnych komnat, a wówczas Inevera rzekła:

– Dopilnujcie, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Następnie zamknęła drzwi i uruchomiła potężną sieć magiczną, która powstrzymałaby całą armię ludzi i *alagai*. Wówczas odwróciła się i ponownie uścisnęła Jardira.

– I znów jesteśmy sami. Możemy się cieszyć całkowitą prywatnością do chwili, gdy wybierzemy najlepszy sposób na ogłoszenie twojego powrotu.

Jardir westchnął.

– Obawiam się, że na to jeszcze za wcześnie, ukochana. Nie mogę na razie sięgnąć po Tron z Czaszek. Być może nigdy już tego nie zrobię. Nikt poza tobą nie może wiedzieć o moim powrocie, a ja muszę cię opuścić, zanim światło dnia zwiąże mnie z Ala.

– To niemożliwe – zaprotestowała Inevera. – Przecież dopiero co wróciłeś!

– Mimo to nie mam wyboru.

– Ty niczego nie rozumiesz! Tutaj wydarzyło się tyle rzeczy!

– Wszystko błędnie wobec zobowiązania, które mnie czeka – oznajmił Jardir. – Na naszych barkach spoczywa ciężar *Sharak Ka*.

Inevera oddychała miarowo, a jej aurę ogarniał spokój, aż wyciągnęła ręce i ujęła dłonie Jardira.

– Ashan nie żyje – powiedziała.

– Co? – Jardir zamrugął.

– Jayan również – ciągnęła Inevera, zaciskając dłonie mocniej, gdy wypowiadała imię ich pierworodnego. – Nie żyją wszyscy członkowie Rady *Damaji* oraz twój syn Maji. Zostali zamordowani w mroku nocy przez Asome, który zasiadł później na Tronie z Czaszek.

Jardir otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk. Śmierć każdego z tych ludzi byłaby dla niego wielkim ciosem, ale wieść o odejściu wszystkich naraz całkowicie go ogłuszyła. Opanował narastającą rozpacz i ścisnął dłonie Inevery.

– Opowiedz mi o wszystkim.

Z niedowierzaniem słuchał żony, która mówiła mu o wydarzeniach w Krasji od chwili jego zniknięcia. Wiedział, że koalicja wszystkich plemion jest chwiejna, ale nie zdawał sobie sprawy, że pozbawiona jego rządów rozpadnie się tak szybko.

– Wyniesienie Asukajiego do godności spadkobiercy Kaji okazało się wielkim błędem – rzekł Jardir. – A some zrozumiał wówczas, że musi sięgnąć jeszcze wyżej.

Inevera pokręciła głową.

– To była słuszna decyzja, mężu. Nie mogłeś wiedzieć, że kryje się w nim tak niebezpieczny morderca.

– Żeby sięgnąć po *hora*, by zdobyć tron w środku nocy! – Jardir zacisnął pięść. – Okrył hańbą to, co czyniło nas wielkimi.

– A przez jego czyny porzucił nas jeden z najsilniejszych sojuszników – powiedziała Inevera. – Niemniej teraz, po twoim powrocie, być może uda się sprowadzić Majah z powrotem.

– Nie mogę tego uczynić bez ujawniania się. – Jardir pokręcił głową. – Tego zaś muszę się wystrzegać, ukochana.

– Dlaczego? – spytała ostro Inevera. – Cóż może być ważniejszego od zjednoczenia naszej armii przed nadciągającą *Sharak Ka*?

– *Sharak Ka* nie nadciąga, ukochana – rzekł Jardir. – Ona już się zaczęła. *Alagai* rosną w siłę, a w zielonych krainach powstają kolejne roje. Muszę dotrzeć do samego źródła i tak je powstrzymać.

Inevera spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie masz chyba na myśli otchłani Nie?

Jardir pokiwał głową.

– Udaliśmy się do Słońca Anocha bynajmniej nie po to, żeby powstrzymać *alagai* przed zbezczeszczeniem ziemi naszych przodków. Wręcz przeciwnie, pozwoliliśmy, żeby do tego doszło.

– Dlaczego?

– Zastawiliśmy pułapkę na *Alagai Ka*, ukochana – rzekł Jardir. – I odnieśliśmy wielkie zwycięstwo!

– Niemożliwe!

– Prawie mu ulegliśmy. Połączyłem siły z Par'chinem

i jego *Jiwah Ka*, Shanjatem i Shanvah, a mimo to z najwyższym trudem udało nam się go okiełzać.

– Czyli Shanjat i Shanvah was znaleźli?

– Tak – odparł Jardir. – I jestem ci wdzięczny, ukochana, że ich wysłałaś. Gdyby nie tych dwoje, nigdy by się nam nie udało. Ich honor nie ma granic. Shanvah może się teraz poszczycić zabiciem księcia *alagai*.

– A Shanjat?

Jardir westchnął i opowiedział żonie o próbie uciezki podjętej przez Alagai Ka, podczas której demon zmiażdżył umysł ich szwagra. Opowiedział jej także o przesłuchaniu i planie Par'china.

– To szaleństwo – rzekła Inevera.

– Za to piękne szaleństwo – odparł Jardir. – Chwalebne szaleństwo. Szaleństwo godne samego Kajiego. To śmiały plan, który uderza Nie w samo jej serce.

– A więc chcesz uwierzyć księciu kłamstw na słowo? – spytała ostro Inevera. – Na jaja Everama, mężu, ależ z ciebie głupiec!

– Oczywiście, że nie! – Jardir podwinął rękaw i odsłonił przedramię, pokryte setkami blizn po nacięciach wykonanych zakrzywionym nożem Inevery. – Podjęliśmy ryzykowną grę, żeby ocalić Ala, a ja przebyłem taki szmat drogi z powrotem do Lenna Everama, żeby Damajah mogła rzucić kośćmi i pomóc mi w osiągnięciu zwycięstwa.



Jardir opanował chęć podrapania się po ramieniu, kiedy goiły się skaleczenia po ostatnim cięciu Inevery. Miał wrażenie, że *Jiwah Ka* domagała się jego krwi równie łapczywie jak nasienia, gdyż rzucała kośćmi raz za razem,

a każdemu rzutowi towarzyszyło kolejne nacięcie. Były one powierzchowne, a Jardir zalecał je bez trudu, korzystając z metody, której nauczył go Par'chin, jednak zrastająca się skóra swędziała niemiłosiernie, co z jakiegoś względu było trudniejsze do zniesienia od bólu.

– I co widzisz? – zapytał, nie mogąc już opanować niecierpliwości.

– Śmierć – odparła Inevera, wciąż wpatrzona w kości. – Rozbieżności. Oszustwo.

– Te słowa niewiele mi pomagają, ukochana – rzekł Jardir. – Czy plan Par'china ma szansę na powodzenie?

– Niewielkie – odparła Inevera. – Ale i tak musisz z nim wyruszyć.

Te słowa całkiem go zaskoczyły. Sądził bowiem, że Inevera jest gotowa powiedzieć wszystko, byle tylko zatrzymać go w Krasji.

Ach, ukochana, pomyślał. Znów cię nie doceniłem.

– Widzę rozmaite wersje przyszłości – ciągnęła Inevera. – Wśród nich takie, w których giniesz w Otchłani, daleko od swojego celu. Są też inne, w których spotykasz Alagai'ting Ka i ulegasz jej w walce. Są takie, w których przybywasz za późno, już po wylęgu.

– Ale sukces jest możliwy! – Jardir zacisnął pięść.

– Możliwy – zgodziła się Inevera. – Tak jak możliwe jest odnalezienie pojedynczego ziarenka piasku na pustyni. A jeśli nawet zdołasz dopiąć swego i zwyciężyć, nie wrócisz żywy.

– To bez znaczenia – oznajmił Jardir. – Nasze życie to mizerna cena za przetrwanie Ala.

– Niech ci się tak nie spieszy, żeby zostać męczennikiem – powiedziała Inevera. – Musisz być bardzo czujny! Zdrada czeka na każdym kroku.

– Ale muszę się wybrać z Par'chinem? – upewnił się Jardir.

Inevera pokiwała głową.

– Jeśli tego nie zrobisz, skazesz nas wszystkich na zagładę. Par'chin uwolnił rzekę, a ta nie zatrzyma się, póki nie dotrze do morza.

Jardir sięgnął do specjalnej kieszeni w swej szacie, z której wydobył cztery fiołki i ułożył je na poduszce przed Ineverą. Wypełniał je ciemnoczerwony, lepki, lgnący do ścianek płyn.

– To krew Par'china, jego *jiwah*, Shanvah i Shanjata – oznajmił.

Inevera sięgnęła po nie skwapliwie.

– Niech ci Everam błogosławi, mężu – powiedziała, a wówczas Jardir wyciągnął piątą. W przeciwieństwie do poprzednich była wypełniona płynem czarnym jak smoła.

Oczy Inevery zapłonęły, a jej aura ostygła.

– Czy to... – zaczęła.

– Tak, to jucha – potwierdził Jardir. – Którą utoczyłem z Alagai Ka wbrew jego woli.

Dłoń Inevery zadrżała lekko, gdy ujęła ostatnią fiołkę.

– Będę potrzebowała czasu, żeby przygotować kości do nowego rzutu i sformułować pytania.

Jardir pokiwał głową.

– A ja w tym czasie zajmę się innymi sprawami.

– Myślę, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, będę musiała udać się z tobą – rzekła Inevera. – Tak jak *jiwah* Par'china.

– Nie ma mowy – rzucił Jardir, być może zbyt szybko. Inevera zmrużyła oczy. – Krasja cię potrzebuje – dodał. – O wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Była to prawda, ale nie do końca, i Inevera natychmiast to dostrzegła.

– Siły Nie potężnieją i to ty będziesz musiała zjednoczyć nasz lud przed czekającymi nas bitwami. Nigdy nie byłem tak dobry w polityce jak ty.

– Być może – odpowiedziała jego żona. – Zapytam kości również i o to. Ale jeśli się okaże, że moja obecność choć w najmniejszym stopniu może się przyczynić do twojego zwycięstwa...

– Wówczas trzeba będzie wykonać nowy rzut i sprawdzić, czy po naszym zwycięstwie nie ujrzymy tysięcy trupów naszych rodaków, których wyrżnięto, bo nie było komu stanąć na ich czele – odparł Jardir.

Inevera zacisnęła dłoń na fiolkach i pokiwała ze smutkiem głową. Potem odłożyła je na bok, podeszła do skrzynki z wypolerowanego drewna i wróciła z igłą oraz tuleją.

– Będę potrzebować jeszcze trochę krwi. Na teraz i na później, gdy znów znikniesz.

Jardir odruchowo podrapał się po ramieniu.



Później, gdy Inevera napełniła wszystkie fiolki, znów zaczęli się kochać, ale tym razem ich miłość nie miała nic wspólnego z szaloną, pełną pasji kopulacją pod gwiazdami. Ułożyli się na jedwabnych poduszkach, które dzielili jako mąż i żona od wielu lat, i tam oddali się sobie z uczuciem i delikatnością.

Inevera zatańczyła dla Jardira wśród poduszek, zrzucając kolejno swe szaty, aż była ubrana już tylko w migoczące klejnoty. Następnie sięgnęła po tubkę z olejem, objęła włócznie męża i wykonała na niej siedem świętych ruchów opisanych w Ewejah'ting, a potem dosiadła go i zaczęła ujeżdżać wedle pradawnego rytmu, czym wyniosła ich aż pod same Niebiosy. Minęło sporo czasu, nim znów wylądowali na Ala.

Leżeli wśród poduszek i oddychali powoli, aż niespodziewanie żołądek Jardira zaburczał głośno.

– Mogę leczyć swoje rany, ukochana, ale magia nie sprawi, że ciało będzie się regenerować samo z siebie.

Inevera pokiwała głową.

– Oczywiście. Ale wiedz, że choć magia nie może odtwarzać ciała i krwi z niczego, może w ten sposób tworzyć jedzenie i picie.

– Co? – zdziwił się Jardir.

– To jeden z pierwszych czarów, które *dama'ting* musi opanować przed przywdzianiem szaty – rzekła Inevera. – Co okaże się bezcenną umiejętnością podczas naszej wyprawy.

Podeszła do wielkiej glinianej urny i nałożyła czystego białego piasku do dwóch dużych misek. Wygładziła ich powierzchnię, a potem długim, wymodelowanym paznokciem nakreśliła serię skomplikowanych runów, czemu Jardir przyglądał się z ogromnym zainteresowaniem. Chwilę później jedna miska była pełna czystej, chłodnej wody, a drugą wypełnił parujący kuskus.

Jardir spróbował i otworzył ze zdumienia oczy.

– Nigdy dotąd nie kosztowałem czegoś równie...

– Doskonałego – dokończyła za niego Inevera. – Jeśli popełnię błąd, woda i jedzenie okażą się trucizną, ale gdy nakreślę runy prawidłowo, otrzymamy potrawy idealne niczym światło Everama.

W istocie, wygłodniały Jardir zaspokoił apetyt raptem jednym kęsem i łykiem wody.

– Par'chin utrzymuje, że podróż na dno Otchłani może nam zabrać długie tygodnie. Obawiałem się, że będziemy musieli taszczyć zapasy na całą podróż.

Inevera pokręciła głową.

– Z błogosławieństwem Everama wszystko okazuje się możliwe. A teraz porzuć te żałosne szmaty. Skoro masz

wyruszyć do Otchłani, musisz przywdziać strój odpowiedni dla Shar'Dama Ka, żeby wzbudzić lęk w sercach sług Nie.

Jardir spojrział na siebie. Całkiem zapomniał, że przybył w zwykłej brązowej szacie typowej dla *khaffit*, którą wręczył mu Par'chin, gdy go uwięził. Być może próbował w ten sposób upokorzyć Jardira – być może Jardir sam sobie na to zasłużył – ale teraz nie było już potrzeby, by dłużej ją nosił. Istniały też inne powody, dla których powinien przywdziać swoje prawdziwe szaty.



Jardir oparł dłoń na drzwiach Krypty. Czuł, jak bransoleta podarowana mu przez Ineverę napełnia go ciepłem. Ogromne wrota – kilkanaście ton skały wzmocnionej runami wyłożonymi elektrum – otworzyły się bezszelestnie za jednym pchnięciem. Panowała cisza jak w grobowcu. Korytarz, który odsłoniły, był skąpany w świetle runów. Na ścianach oprócz wyrytych symboli brakowało innych ozdób.

Gdy wrota zamknęły się za nim, Jardir owinał się płaszczem niewidzialności i ruszył przed siebie, aż dotarł do rozgałęzienia. Przed drzwiami, do których zmierzał, stał strażnik – pozbawiony języka eunuch w czarnych szatach *Sharum*. Jego kostki i nadgarstki skuwały złote łańcuchy.

Strażnicy eunuchy byli mistrzami *sharusahk dama'ting*, wojownikami szybkimi i błyskawicznie zadającymi śmierć. Jardir nakreślił w powietrzu serię runów i tchnął w nie moc korony. Chwilę później powieki eunucha zaczęły opadać. Dzielnie walczył ze snem, potrząsał zapamiętałą głową, ale nie dał rady oprzeć się takiej mocy. Oparł się plecami o ścianę, wsparł na włócznie i zasnął na stojąco.

Dzięki mocy korony Jardir zajrzał do wnętrza komnaty

równie łatwo, jak gdyby zamiast ciężkich drewnianych drzwi miał przed sobą szybę. W środku zobaczył swoją matkę. Instruowała swoje synowe, jego żony Everalię i Thalaję, które układały jej włosy. Komnata została bogato wyposażona, ale nadal była więzieniem.

– Nie tak mocno, głupia dziewczko! – Kajivah parsknęła na Everalię, zaplatającą perfekcyjny warkocz. – Ile lat jeszcze będziesz się tego uczyć? A ty co? – zwróciła się do Thalaj, która rozczesywała lśniące nieskazitelnie włosy kobiety. – Powiedziałam ci, że życzę sobie sto pociągnięć! Tymczasem naliczyłam dziewięćdziesiąt siedem. Od nowa.

Jardir poczuł smutek, że jego żony *dal'ting* muszą dzielić niewolę z jego matką – zostały wszak niewolnicami, mimo że nikt ich tak nie określił – choć dzięki ich obecności dola Kajivah z pewnością była teraz bardziej znośna. Wciąż nie mógł się nadziwić, na ile rzeczy z własnego wyboru pozostawał dotąd ślepy, zarówno dotyczących rodaków, jak i rodziny. Czy mógłby jakoś powstrzymać chorobę toczącą jego najbliższych, gdyby wcześniej zwrócił uwagę na ciężkie próby, jakim matka poddawała jego żony? Lub na ambicje swych synów?

Pokręcił głową. Rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie prowadziło. Nadszedł czas, by spoglądać przed siebie. Nakreślił kolejne runy i uspił Everalię i Thalaję tak jak wcześniej eunucha wartownika. Kajivah uświadomiła sobie, że kobiety przerwały pracę. Odwróciła się i ujrzała, że obie oddychają rytmicznie z zamkniętymi oczami.

– Wy bezczelne dziewczki! Macie czelność spać, gdy przemawia święta matka?

Jardir uniósł dłoń i przesunął zasuwę po drugiej stronie drzwi. Wszedł do środka, gdy Kajivah już miała uderzyć Everalię.

– Nawet nie próbuj dotknąć mojej żony, matko – rzekł. – Nie może cię usłyszeć. Zesłałem na moje *jiwah* mocny sen,

żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

Wystraszona Kajivah poderwała się, spojrzała na niego i wykrzyknęła:

– Ahmann, mój synu! Mój synu! A więc powróciłeś z Otchłani!

Podbiegła do Jardira, szlochając z radości, i zarzuciła mu ręce na szyję, a on przytulił ją z całej siły. Przez krótką chwilę pozwolił sobie na zapomnienie. Nie chciał pamiętać o swojej misji i celach, chciał po raz ostatni poczuć się synem, który jest bezpieczny w ramionach matki.

Ale potem Kajivah się odezwała.

– Dzięki niech będą Everamowi, że wróciłeś, mój synu! – szlochała. – Ta *heasah*, którą poślubiłeś, trzyma mnie pod kluczem niczym *khaffit* przyłapaną na kradzieży chleba. Powinieneś ją wychłostać za tę bezczelność. Zawsze uważałam, że jesteś wobec niej nazbyt pobłażliwy. Dlaczego pozwalasz, żeby ubierała się na dworze jak zwykła tancerka? Dlaczego...

Jardir ujął dłonie staruszki i odsunął ją od siebie na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy.

– Dość, matko! Mówisz o Damajah Krasji, a nie o jednej z twoich służących *dal'ting*! O Damajah, która przez całe swoje życie walczy z siłami Nie, podczas gdy ty jedynie narzekasz i łajasz swoje służące i kobiety z naszego rodu! Takim zachowaniem okrywasz wstydem nasz ród!

Zaskoczona Kajivah otworzyła szeroko oczy.

– Ale...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał jej Jardir. – Twierdzisz, że jestem człowiekiem pobłażliwym, i przyznam ci rację, ale to wobec ciebie powinienem zachować o wiele większą stanowczość!

– Nie mów takich rzeczy! – krzyknęła Kajivah. – Zawsze byłam lojalna wobec ciebie!

– To ja umieściłem Ineverę na podwyższeniu obok Tronu

z Czaszek – ciągnął Jardir. – I ja pozwoliłem jej wybrać mojego następcę. Ja powierzyłem jej wielką odpowiedzialność, jaką jest dbanie o bezpieczeństwo naszych rodaków podczas mojej nieobecności. Twierdzisz, że jesteś lojalna, a gdzie było twoje poparcie?

– Wspierałam twoich synów i następców! – odparła Kajivah.

– Moi synowie są zbyt młodzi, żeby udźwignąć brzemień rządów! – parsknął Jardir. – Myślisz, że Asome, który zabił swojego brata i wyrznął połowę Rady, służy Krasji lepiej od Inevery?

– A czego ta kobieta dokonała poza tym, że odebrała mi ciebie? – zapytała Kajivah. – Odebrała mi córki i siostrzenice, wręczyła kobietom włócznie...

– Na czarne serce Nie, matko! – krzyknął Jardir. – Czy ty w ogóle umiesz myśleć o kimkolwiek poza sobą? Mam na głowie *Sharak Ka*, a ty jesteś gotowa zatruć cały dwór babskimi intrygami? Poza tym to ja wręczyłem kobietom włócznie, a nie Inevera, a gdybym nie „odebrał” ci Shanvah, ta stałaby się pozbawionym jakiegokolwiek wartości cielęciem. Na szczęście Inevera włada darem widzenia, zesłanym jej przez samego Everama. Wiedziała, co mnie czeka, wyszkoliła tę dziewczynę i przysłała mi ją na pomoc w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowałem. Gdyby Shanvah wraz z ojcem nie osłonili moich pleców, nie rozmawialibyśmy teraz. Zginąłbym, a cała Ala przepadłaby wraz ze mną.

– Ale Ashia mnie uderzyła! – zaprotestowała Kajivah. – Zabiła *Sharum* i wprowadziła mojego wnuka.

– To Ashia jest jego matką, nie ty – odparł Jardir. – Nie może kraść czegoś, co należy do niej. Ta dziewczyna zdobyła większą chwałę niż najwspanialsii wojownicy Włóczni Wybawiciela i to przez ciebie została zmuszona do ucieczki z Lenna Everama.

Aura Kajivah ostygła.

– Kajiego już tu nie ma?

– Nie ma – potwierdził Jardir. – Został zabrany z Lenna, bo w przeciwnym razie Asome wykorzystałby go jako pionek w swojej grze. Ciebie również by wykorzystał, żeby usunąć Damajah Everama i zastąpić ją głupią staruchą, która nie ma pojęcia, na czym polega rządzenie.

– Nigdy się tak do mnie nie odzywałeś! Przecież to ja cię urodziłam! Ssałeś moje piersi! Wychowywałam cię po tym, jak twój ojciec udał się w drogę po samotnej ścieżce. Cóż ja takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na twój gniew?

– To moja wina – przyznał Jardir. – Byłem tak skupiony na walce z naszymi wrogami, że nie zwracałem zupełnie uwagi na kobiety na dworze. Pozwoliłem, żebyś rządziła nad innymi, żebyś się szarogęsiła i wrzeszczała na każdego, kto ośmieli się podać ci niewłaściwy sok lub zapleść warkocz zbyt mocno. Pozwoliłem ci uwierzyć w to, że skoro znalazłaś się w pałacu, wszyscy powinni ci służyć, a przecież powinno być na odwrót.

Każde słowo Ahmanna sprawiało, że Kajivah kuliła się coraz bardziej, a Jardir widział w aurze kobiety, że sprawia jej ból. Mimo to nie miał zamiaru przestać. Wiedział, że więź, która kiedyś łączyła go z matką, już nigdy nie powróci, i był z tym pogodzony, ale przyszedł tu w innym celu. Czuł, że to być może ostatnia szansa, by poruszyć serce Kajivah i uczynić z niej sojusznika, a nawet przywódczynię, której Krasja potrzebowała.

– Posłuchaj moich słów, matko, i wbij je sobie do głowy – rzekł. – Ala stanęła w obliczu zagłady i muszę wiedzieć, czy mogę liczyć na twoje prawdziwe wsparcie podczas mojej nieobecności. Potrzebuję cię. Krasja cię potrzebuje.

Kajivah osunęła się na kolana.

– Oczywiście, mój synu! O niczym innym nie marzę! Powiedz mi, co mam uczynić, a zrobię to!

– Za każdym razem, gdy rozgniewasz Damajah, cierpi cała Krasja – rzekł Jardir. – Jutro znów wyruszę w drogę i mogę nie powrócić przez wiele miesięcy, o ile w ogóle uda mi się powrócić. Do czasu mojego powrotu będziesz posłuszna Ineverze. Nie Asome. Nie moim synom i wnukom. Tylko i wyłącznie Ineverze.

– A jeśli nie wrócisz? – spytała Kajivah. W aurze staruszki zapłonęła udręka, ale Jardir nie miał czasu, by się nad nią użalać.

– Masz być jej posłuszna do śmierci. – Uniósł Włócznie Kajiego i ułożył na jej ramieniu. – Poprzysięgnij. Złóż przysięgę na Everama!

– Przysięgam – oznajmiła Kajivah.

– Co przysięgasz, matko? – zahuczał Jardir.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Przysięgam przed Everamem i synem moim Shar'Dama Ka, że będę we wszystkim posłuszna wobec Damajah, Inevery jiwah Ahmann am'Jardir, od tej chwili aż do twojego powrotu bądź do mojej śmierci.

Wpiła dłonie w rąbek szaty Jardira.

– Ale musisz powrócić, Ahmannie! Nie mogę cię stracić tak jak twojego ojca, a potem Jayana.

– To *inevera*, ukochana matko – rzekł Jardir. – Musisz wierzyć w wielki plan Everama. Nie sprzedam tanio swojej skóry, ale jeśli moja śmierć miałaby ocalić Ala, nie zawaham się ani chwili.

Kajivah wybuchła płaczem, gdy usłyszała słowa syna, ale Jardir uklęknął na jedno kolano i objął ją. Czekał cierpliwie, aż kobieta skończy szlochać, a potem powstał i podniósł ją razem z sobą.

– Muszę cię teraz opuścić, a gdy odjadę, odzyskasz wolność. Pamiętaj jednak, że nikt, nawet moje *Jiwah Sen*, nie może wiedzieć o tym, że się spotkaliśmy.

– Ale dlaczego? – spytała Kajivah. – Na wieść o tym, że

żyjesz, ludzie odzyskaliby nadzieję!

– Ponieważ nawet w tej chwili sładzy Nie próbują mnie odszukać – odparł Jardir. – Wieści o moim powrocie naraziłyby cię na niebezpieczeństwo i ściągnęłyby na nas uwagę książąt Nie, podczas gdy ja chcę, żeby spoglądali gdzie indziej.

Podszedł do Thalai i Everalii, nadal pogrążonych we śnie, i ucałował je obie.

– Niech wam Everam błogosławi, moje słodkie żony.

Idąc ku drzwiom, odwrócił się raz jeszcze ku matce.

– Od tej chwili będziesz okazywać moim żonom, córkom i siostrzenicom należy im szacunek.

– Oczywiście, mój synu. – Kajivah ukloniła się.

Zatrzymał się i długo wpatrywał w aurę Kajivah, a dziecięca miłość walczyła w nim z doświadczeniem dorosłego. Bolało go, że teraz spoglądał na matkę inaczej niż kiedyś.

– Kocham cię, matko, i nigdy w to nie wątp, choć zagłębiam się w otchłanie Nie.

– Nigdy nie zwątpię – powiedziała Kajivah. – A ty zaś pomnij, że nikt nie jest bardziej z ciebie dumny i nikt nie kocha cię mocniej ode mnie!

Wówczas Jardir skinął i znikł.



Wyszedł z komnaty i pobrał moc, która utrzymywała jego żony i strażnika przed drzwiami we śnie. Nim się obudzili, Jardir zatrzaskał już za sobą drzwi Krypty.

Ponownie narzucił na barki płaszcz niewidzialności i szedł korytarzami pałacu, aż natrafił na okno pozbawione krat. Wyślizgnął się na zewnątrz i wzbił w powietrze. Znów

poczuł zimny podmuch wiatru na twarzy, a gwiazdy i księżyc ruszyły mu na spotkanie. Jego serce wypełniła szalona radość, aż napomniał się surowo w duchu: moc lotu to dar Everama! Święta umiejętność, nie zabawa!

Przeleciał na drugą stronę pałacu, ku komnatom, które kiedyś należały do niego, a teraz zostały przejęte przez jego syna-uzurpatora. Okien broniły kraty oraz mocne runy – bez wątpienia Asome obawiał się zabójców i miał ku temu uzasadnione powody. Pnąc się na tron, dopuścił się wielu haniebnych czynów, które rozgniewały niejednego spośród potężnych mężów w Krasji.

Miast wdzierać się przez okno, Jardir wybrał zewnętrzną ścianę, za którą ciągnął się rzadko używany korytarz, i wyrysował na niej serię runów, jakie z niemałym trudem poznał podczas starcia z Alagai Ka. Tworzące ścianę kamienie zamieniły się w błoto, a to spłynęło na ziemię, otwierając szerokie wejście.

Gdy znalazł się w środku, nakreślił kolejny run, by zabezpieczyć wyrwę przed jakimś śmiałym *alagai*. Choć pałac reprezentował centrum krasjańskiej potęgi, Jardir nie chciał ryzykować i pozostawiać po sobie jakiegokolwiek słabego punktu.

Raz jeszcze nasycił mocą płaszcz i bezszelestnie ruszył korytarzem ku komnatom syna. Tam ze smutkiem, ale bez zaskoczenia skonstatował, że Inevera w niczym się nie pomyliła – w środku znajdowali się sparaliżowany Asukaji, w którego aurze pozostało doprawdy niewiele życia, oraz Asome, który zajmował się kochankiem, nie zdejmując repliki Korony Kajiego. Nie było tam żadnych służących, z czego Jardir tylko się cieszył.

Mimo znakomitego kamuflażu Jardira Asome wyczuł, że coś jest nie tak. W jego aurze pojawił się niepokój, młody uzurpator znieruchomiał i wyteżył słuch. Obrócił się i rozejrzał uważnie, a jego korona zajaśniała gwałtownie.

Inevera ostrzegła Jardira, że chłopak nabrał wielkiej wprawy w posługiwaniu się artefaktem, a ten, choć nie dorównywał mocą Koronie Kajiego, nadal krył wielką potęgę.

– Kto tam? – spytał ostro Asome i odwrócił się w kierunku ściany, przed którą stał Jardir, próbując coś wypatrzeć. Wstał i ujął włócznie, kolejną replikę lśniącą mocą.

Wówczas Jardir, który uznał, iż dalsze ukrywanie się nie ma sensu, odrzucił płaszcz.

– Witaj, synu.

Oczekiwał zaskoczenia, a nawet przerażenia ze strony Asome. Nigdy nie przyszło mu do głowy, iż ten może zaatakować. Asome wznosił lśniącą włócznie i pchnął z szybkością wścieklej zmi.

– Precz, kusicielu! Mój ojciec nie żyje!

Jardir ledwie zdołał poderwać swoją włócznie i odbić mierzące w niego ostrze. Asome bynajmniej to nie zraziło – atakował wciąż i wciąż z osłepiającą szybkością, za każdym razem pod innym kątem, z desperacją usiłując przebić się przez gardę ojca.

Był młody, lecz jego umiejętności nie budziły zdumienia Jardira. Przecież bez broni stawiał czoła demonom w środku nocy i po trupach wspinał się na Tron z Czaszek. Jardir wyszkolił Asome osobiście, wpajając jemu i jego bratu połączenie najbardziej śmiertelnych *sharukin* z rozmaitych plemion. Jayan był potężniejszy od Asome i silniejszy, odziedziczywszy budowę ciała po samym Jardirze. Przez jakiś czas miał więc przewagę nad bratem, póki ten nie udał się na naukę do Sharik Hora, gdzie wypracował własny styl. Jego ruchy były szybkie i śmiertelne, a zmęczenie trzymało się od niego z daleka. Włócznie i korona syciły ciało młodzieńca magią, która dawała mu niezwykłą siłę.

Któryś z ciosów, szczęśliwie obroniony przez Jardira, trafił w marmurową kolumnę na tyle grubą, że dorosły mężczyzna nie zdołałby jej objąć. Natychmiast rozbiegła się po niej sieć pęknięć, widocznych aż po drugiej stronie.

Zaskoczony zajadłością syna, Jardir skupił się na obronie, co nie przychodziło mu łatwo. Nie był gotów zabić swojego drugiego syna, tym bardziej że właśnie dowiedział się o śmierci pierwszego. Asome tymczasem walczył wedle nauk ojca i nigdy nie powtarzał tego samego ataku. Jego stopy nie przestawały się poruszać, przez co zwykły wojownik nie potrafiłby odgadnąć jego intencji.

Jardir jednakże nie był zwykłym wojownikiem i również wywalczył sobie drogę do Tronu z Czaszek. Co więcej, choć Asome potrafił już wykorzystywać moce korony, nie osiągnął jeszcze mistrzostwa swego ojca. Aura młodzieńca wydawała się nieporuszona, ale Jardir dostrzegał w niej fale energii przechodzące do kończyn i po chwili potrafił już rozgryźć schemat kolejnego ataku.

Gdy Asome pchnął ponownie, Jardir uskokzył w bok i jedną ręką złapał drzewce broni syna. Jednocześnie szarpnął i wymierzył mu potężne kopnięcie w biodro. Asome zgiął się, puścił broń i uderzył plecami w ścianę.

– Asome! – wychrypiał Asukaji ledwie słyszalnym głosem. Jego aura wiła się i miotała w udreće, usiłując zmusić okaleczone ciało, by przyszło ukochanemu z odsieczą.

– Może jednak porozmawiamy, synu? – zapytał Jardir, ale nieustraszony Asome znów ruszył do ataku.

Jardir odrzucił obie włócznie daleko od siebie. Gdyby chciał, w każdej chwili mógłby przywołać własną pojedynczym runem, lecz nie chciał przypadkowo zranić chłopaka, więc przygotował się do walki bez broni.

– Wynoś się, zjawo! – wrzasnął Asome. – Nie dręcz mnie!
Jardir nie był w stanie przechwycić pierwszego

uderzenia, ale zauważył już ruchy energii i przewaga Asome natychmiast zmaląła. Jardir, blokując kolejne uderzenia, wejrzał w duszę syna, szukając powodów, dla których ten wykrzyczał swe słowa, a moc Korony Kajiego natychmiast przywołała obrazy. Jardir ujrzał Asome, jak miota się we śnie, krzyczy i wymachuje ramionami. Raz uderzył Asukajiego i od tej pory spali osobno. Innej nocy, również pogrążony we śnie, o mało nie udusił Jamere, nim młody *dama* go przebudził. Asome w istocie był dręczony i wystarczyło, że zamknął oczy, a natychmiast widział twarz ojca, wpatrującego się weń z dezaprobatą.

No i tak być powinno, pomyślał Jardir.

Przyjął kolejne uderzenie, by znaleźć się bliżej syna. Złapał go za szatę i kopnął w udo. Wyprostowane kolano Asome zeszywniało i chłopak utracił na moment swą perfekcyjną równowagę. Jardir wykorzystał moment, by cisnąć go na ziemię. Zmagali się teraz w bliskim zwarciu, zbyt szybkim i nazbyt agresywnym, by któremukolwiek przyszło do głowy czytanie aury. Toczyli zaciekle, bezlitosny pojedynek o dominację, co dla Jardira stanowiło drugą naturę. Asome również miał za sobą takie walki, ale jako krasjański książę żył w przekonaniu, że przeciwnicy zawsze będą się bali zadać mu śmierć.

Jardir zaś, pnąc się w kierunku Tronu z Czaszek, nigdy nie cieszył się podobnymi przywilejami. To dzięki temu pokonał tyłu *dama* podczas podboju Pustynnej Włóczni i dzięki temu osiągnął sukces. Krok po kroku zyskiwał coraz większą przewagę, aż wreszcie usiadł na synu i przygniótł go w talii, przez co Asome nie mógł już wykorzystywać nóg. Wykręcił mu jedną rękę za plecy i unieruchomił drugą, zaciskając przedramię na gardle syna.

Mógł wykręcić głowę chłopaka na bok – wszak odebranie możliwości ujrzenia przeciwnika dawało w walce ogromną

przewagę – ale Jardir wiedział, że ze wszystkich rzeczy na świecie Asome najbardziej boi się Jardirowego niezadowolenia. Pozwolił więc synowi ujrzeć grymas skrajnej dezaprobaty.

– Nie jestem zjawą, a ty nie jesteś pogrążony we śnie. Powróciłem i przekonałem się, że w ciągu kilku krótkich miesięcy mojej nieobecności doprowadziłeś dwór do upadku! Zamieniłeś go w przeklętą ruinę!

Asome miotał się coraz gwałtowniej – widać panika i skrajne przerażenie dodały mu sił – ale Jardir ani myślał go wypuścić. Młodzieniec nie miał dobrego punktu oparcia, a Jardir był od niego większy, cięższy i silniejszy. Po chwili zwolnił napór i wstał. Asome poderwał się również, a wówczas Jardir pochwycił go i grzotnął jego głową o podłogę.

– Nie przybyłem tu, żeby walczyć! – warknął. – Nie chcę zabić własnego syna, choć mam ku temu wystarczający powód!

Raz jeszcze uderzył głową Asome o podłogę, rozbijając płytki.

– Ale zrobię to, jeśli nie pozostawisz mi wyboru.

Szamotanina Asome wreszcie osłabła, choć Jardir nie wiedział, czy wymógł na nim uległość, czy też odciął mu dopływ powietrza. Mimo to dusił i tłamsił, aż aura syna przygasła, a jego powieki zatrzepotały. Wtedy go puścił, powstał i cofnął się kilka kroków. Nakreślił w powietrzu run, a Włócznia Kajiego błyskawicznie znalazła się w jego ręku. Asome, krztusząc się i parszcząc, próbował się podnieść, choć jego osłabłe ręce drżały.

– Daję ci wybór – rzekł Jardir. – Pozostań na kolanach i pogódź się z moim sądem bądź wstań i uderz ponownie, a wówczas wyślę cię po samotnej ścieżce przed oblicze samego Everama.

Aura Asome zamigotała i przez moment nawet Jardir nie

miał pewności, którą z tych dwóch opcji wybierze. Widział, że chłopak pogodził się już z tym, że ma przed sobą własnego ojca, i rozumiał, że przejęcie tronu było niewybaczalnym błędem, przed którym nie ma już ucieczki. W końcu ułożył rozdygotane dłonie na podłodze i przytknął do niej czoło. Trząsał się na całym ciele.

– Co ze mną poczujesz, ojcze?

– Tej decyzji jeszcze nie podjąłem – odparł Jardir. – Musisz odpowiedzieć za swoje zbrodnie, ale nie wykluczam, że będzie z ciebie jakiś pożytek podczas *Sharak Ka*.

– A jakie zbrodnie popełniłem, ojcze? – Asome uniósł głowę i wpatrywał się w aurę ojca. Przez cały czas pobierał moc ze swej korony i leczył rany. Jardir wiedział, że lada moment będzie znów gotowy do walki. Przygotował się na wypadek, gdyby głupiec natarł na niego ponownie.

– Naprawdę musisz o to pytać, mój synu? Zdradziłeś swojego brata, posyłając go na pewną śmierć, i zabiłeś swojego wuja, żeby przejąć tron, na którym siedział zgodnie z prawem.

– I czym się to różni od epizodów z twojego chwalebego życia, ojcze? – spytał Asome. – Czyż nie zdradziłeś Par'china i nie posłałeś go na pewną śmierć? Nie zabiłeś *Damaji Amadeverama*, który trenował cię w Sharik Hora, i wszystkich jego synów, gdy wspinałeś się na Tron z Czaszek? Nie przekłuteś Andraha tak, jak *khaffit* nadziewa świnie?

– To były inne okoliczności – odparł Jardir, ale sam nie był pewien, czy mówi te słowa do syna, czy też do siebie.

– Dlaczego inne? – naciskał Asome.

– To była *inevera*.

– Masz na myśli wolę Everama czy może mojej matki?

– I jedno, i drugie – oznajmił Jardir. – Andrah był skorumpowanym, zepsutym głupcem, który posyłał naszych ludzi na śmierć. Amadeveram był dobrym

człowiekiem, ale stanowił część zepsutego systemu i nie miał zamiaru go opuścić. Jego śmierć nie zsyła na mnie hańby.

– Mój brat również był zepsutym człowiekiem – odparł Asome. – Jego głupota doprowadziła do śmierci wielu naszych ludzi! Wciągnął nas w wojnę, na którą nie byliśmy gotowi, gdyż pożywał nowych ziem i chciał pokazać wszystkim, że jest godnym następcą tronu! Gdybyśmy pozwolili, żeby zasiadł na tronie, Krasja ucierpiałaby pod jego rządami.

– Być może – odparł Jardir.

– Być może Par'chin zbrojny we Włócznię Kajiego powiódłby nas ku chwale w Labiryncie! – ciągnął Asome. – Dokonujemy takich wyborów, jakie uznamy za najlepsze dla naszych poddanych, ojczyste. Sam mnie tego nauczyłeś. Zabicie mojego wuja nie sprawiło mi przyjemności, ale stanowił część zepsutego systemu, a jego śmierć nie zsyła na mnie hańby. Nie sięgnąłem po *hora*. Wyzwałem jego i *Damaji* na oczach innych, zgodnie z naszym prawem.

– W nocy! – warknął Jardir. – Gdy wszyscy mężczyźni są braćmi! Co więcej, zachęciłeś innych moich synów, żeby podczas świętych pojedynków pomagali sobie kośćmi demonów. Żeby oszukiwali!

Asome ponownie wzruszył ramionami.

– Czy Par'chin kłamał, gdy mówił o twojej zdradzie przed *Domin Sharum*? Czy nie odwróciłeś się od niego w nocy? Nie rzuciłeś go na pastwę demonów?

Jardir zacisnął zęby.

– Tak, uczyniłem to. I jest to najbardziej haniebny czyn, jakiego się dopuściłem. Gdyby Par'chin nie okazał się silniejszy, niż sądziłem, ucierpiałaby cała Ala.

– W jaki sposób? – Asome przechylił głowę.

– Zawarłem z Par'chinem pokój. Wspólnie pochwyciliśmy do niewoli Alagai Ka i mamy zamiar zabrać go do Otchłani

jako zakładnika.

Jeśli te słowa jakkolwiek zaskoczyły Asome, nie dał tego po sobie poznać.

– Po co?

– Chcemy, żeby poprowadził nas przez labirynty Otchłani, wśród nieskończonych zastępów Nie, aż staniemy przed Alagai'ting Ka.

Asome zamrugął.

– Czy to w ogóle możliwe?

– *Alagai hora* utrzymują, że jestem Wybawicielem – rzekł Jardir. – Ja albo Par'chin. Jesteśmy więc jedynymi ludźmi na Ala, którzy mają na to choć cień szansy.

– Istnieje jednak spore ryzyko, że nie powrócisz – zauważył Asome.

– Czyli zamierzasz zatrzymać skradziony tron – powiedział Jardir.

Asome spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa, ojcze.

– Zadałeś *Damaji* i Andrahowi honorową śmierć. – Jardir pokiwał głową. – A twojego brata zgubiła jego własna głupota.

Niespodziewanie ruchem szybkim jak myśl złapał syna za gardło, a drugą ręką zdarł mu koronę z czoła, po czym cisnął ją o ścianę. Asukaji wydał z siebie ochryply okrzyk przerażenia, a Asome miotał się bezradnie, usiłując wyrwać się z żelaznej dłoni ojca.

– Ale jest jedna zbrodnia, o której dotąd nie rozmawialiśmy – warknął Jardir. – Jedno przestępstwo, którego nigdy ci nie wybaczę.

Przysunął syna do siebie tak blisko, że ich nosy się zetknęły.

– Próbowalesz zabić swoją matkę!

Naraz, wciąż trzymając Asome za gardło, podniósł go z ziemi i uderzył nim o marmurową kolumnę.

– Każdy człowiek, który próbuje zabić własną matkę, zasługuje, żeby skazać go na wieczne męki w Otchłani. Ale Inevera to Damajah, *Jiwah Ka* samego Everama!

Zacisnął dłoń jeszcze bardziej. Twarz usiłującego zaczerpnąć tchu Asome robiła się fioletowa.

– Za czyn tak haniebny odarcie cię z białych szat i wyrzucenie przez okno na śmierć byłoby aktem łaski! Ba, okazałbym ci łaskę, nawet gdybym przykuł cię nagiego na bazarze, żeby *khaffit* mogli na ciebie szczać! Żeby wrzucili twoje ciało w płomienie, na których smażą swoje świny!

Asome uderzał słabnącymi dłońmi po ramionach ojca, ale ten nawet tego nie zauważył. Z początku zakładał, że odegra jedynie wielki gniew przed synem, lecz nagle uzmysłowił sobie, że jego wściekłość jest prawdziwa. Miał ogromną ochotę zabić zdradzieckiego syna, nim ten jeszcze bardziej zniesławi Tron z Czaszek oraz swoich poddanych. Z dzikim rykiem cisnął go na poduszki obok nieruchomego Asukajiego.

– Ale oszczędzę cię, jeśli zdołasz znaleźć w sobie honor.

Asome znów krztusił się, chrypiał i usiłował nabrać tchu, jednak bez swojej korony nie był w stanie pobrać magii i wolniej odzyskiwał siły. Jardir czekał cierpliwie, choć robiło się coraz później.

– Nie byłeś gotowy na tron, mój synu – rzekł Ahmann, gdy oczy Asome na powrót stały się przytomne. – Twoja zdrada tylko to potwierdza. Niemniej, czy tego chcesz czy nie, *Sharak Ka* już się zaczęła, a *alagai* się zbierają. Alagai'ting Ka niebawem złoży jaja, a na powierzchni zaroi się od jej potomstwa. Książęta właśnie są zajęci tworzeniem nowych rojów i będą wzywać swoje legiony, żeby ich bronić. Krasja potrzebuje przywódcy.

Asome chciał się podnieść, lecz potknął się i przewrócił niezgrabnie. Zdołał jednak uklęknąć i oddychając z trudem przez zmiążdżone gardło, dotknął podłogi czołem.

– Żyję, żeby być ci posłusznym, ojcze.

Jardir wejrzał do aury syna. Nie umiał stwierdzić, czy młodzieniec mówi prawdę, ale widział już wizje, w których Asome wychodzi w noc i niszczy księżęta *alagai*. Chłopak był spragniony chwały. Pragnął odkupienia, modlił się o to, by wreszcie okazać się synem godnym swego ojca.

Jardir nakreślił run w powietrzu i przywołał włócznie Asome. Wsunął ją do uchwytu na własnych plecach, a potem wezwał do siebie jego koronę i przywiązał sobie do pasa.

– Jutro na oczach całego dworu wejdiesz na siódmy stopień i padniesz na kolana przed poduszkami Damajah. Będziesz ją błagał o wybaczenie za swoje zbrodnie i złożysz uroczystą przysięgę, i będziesz jej służył tak, jak służyłbyś mnie aż do końca swoich dni. Jeśli uczynisz to ze szczerością w sercu, Damajah z pewnością to ujrzy, a wówczas odda ci włócznie i koronę. Jeśli zawiedziesz i okażesz fałsz, zapomnij nawet o Niebiosach.

W aurze Asome znów zawirowały emocje, a wśród nich wątpliwości. Wszak Jardir żądał, by pohańbił się na oczach całego dworu!

– Ona przetrzymuje mojego syna i twoją matkę!

– Kaji jest ze swoją matką. Z twoją *Jiwah Ka* – oznajmił Jardir i odwrócił się do okaleczonego Asukajiego, którego aura zapłonęła wstydem. – Z twoją starszą siostrą, którą próbowałeś zamordować. – Znów spojrzął na Asome. – Nie masz prawa domagać się zwrotu dziecka. Twój plan, żeby Asukaji stał się drugim z jego rodziców, okrył cię hańbą, a ja nigdy bym się na to nie zgodził. Tylko Ashia może ci zwrócić prawa do syna, a żeby to nastąpiło, musisz sobie zasłużyć na jej wybaczenie. Na to dobrodziejstwo zaś będziesz długo pracował.

Aura Asome pomroczyła, a Jardir uświadomił sobie, iż być może wymaga zbyt dużo. Niemniej chłopak ponownie

dotknął czołem podłogi.

– Jako rzekniesz, Wybawicielu.

– Moja święta matka odzyska wolność – rzekł Jardir. – Już się tym zająłem. Ani tobie, ani Ineverze nie będzie wolno jej uwięzić. Manvah również zostanie uwolniona i przedstawiona twojej matce na oczach dworu, gdy będziesz prosił o wybaczenie.

– Oczywiście, ojcze.

Wówczas Jardir przeniósł wzrok na Asukajiego.

– A ty, siostrzeńcze? Ty, który podniosłeś rękę na ojca i siostrę? Ty, za którego sprawą moja najstarsza siostra jest wdową? Chcesz dalej tak leżeć, zgorzkniały i kaleki, podczas gdy twoja dusza kurczy się i gnije niczym czarne serce Nie?

Asukaji opanował zamęt w swojej aurze.

– Nie, Wybawicielu – szepnął. – Gotów jestem wyruszyć w drogę po samotnej ścieżce, żeby usłyszeć osąd Everama.

Jardir wejrzał w głąb aury młodzieńca, przebierając wśród jego nadziei i marzeń niczym wśród szat wiszących w garderobie. Asukaji pożądał wielkości i chwały w tym samym stopniu co jego kochanek i obaj odegrali równie wielką rolę w zdradzie podczas Nocy Hora.

Asukaji został tej nocy upokorzony. Wspomnienie klęski, którą poniósł z rąk własnej siostry, zostało wypalone w jego duszy i pozostawiło bliznę, której nic już nie mogło zaleczyć. Miesiące paraliżu zaś doprowadziły go na skraj rozpacz. Gdyby znał sposób, by odebrać sobie życie, już dawno by to zrobił.

W głębi jego duszy tkwiła jednakże jaśniejsza iskierka. Nie kłamał, gdy mówił o swojej gotowości, by stanąć przed obliczem Everama, ponieważ wreszcie zrozumiał, dlaczego poniósł klęskę. Wychowani w uprzywilejowanym rodzie, zarówno on, jak i Asome uznali swoje prawo do rządzenia za coś oczywistego, ale nadal chcieli wspólnie zmierzyć się

z Nie.

Jardir ukucnął przy poduszkach, na których leżał chłopak.

– Nie będzie to aż tak proste, siostrzeńcze. Czy przysięgasz, że wyrzekniesz się Nie zarówno w tym życiu, jak i w kolejnym?

– Przysięgam, Wybawicielu – rzekł Asukaji.

– Czy przysięgasz, że będziesz służył Damajah? Że poprosisz ją o wybaczenie, tak jak musi to uczynić Asome?

W duszy Asukajiego zapłonął drobny promyczek nadziei.

– Tak, przysięgam, Wybawicielu.

– Czy obiecujesz, że będziesz służył ludziom, zamiast oczekiwać, że będą służyć tobie? – pytał Jardir. – Od *dama* po najpodlejszego *chin*?

Pytanie było nazbyt rewolucyjne, by chłopak mógł zrozumieć je jak należy, ale nie zawahał się i rzekł:

– Przysięgam, Wybawicielu.

Wówczas Jardir ułożył dłoń na czole Asukajiego i pchnął własnego ducha w głąb ciała kaleki w poszukiwaniu miejsc, w których linie zbieżności zostały strzaskane. Szybko natrafił tam, gdzie splatały się blizny i pozrywane nerwy, tworzące barykadę między ciałem a umysłem.

Jardir skupił się i rozniósł barierę potęgą swojej woli, a potem połączył to, co zostało zerwane. Asukaji krzyknął, najpierw z bólu, a potem z bezgranicznej radości. Śmiał się i szlochał jednocześnie, wymachując osłabłymi ramionami.

Jardir cofnął się o krok. Asome podbiegł do kochanka i go objął. Łzy spływały po ich policzkach i mieszały się ze sobą. Jardir pokiwał głową, owinał się płaszczem i uaktywnił runy. Nim którykolwiek z młodzieńców oderwał wzrok od ukochanego i odwrócił się ku Ahmannowi, ten wyszedł w noc i pomknął ku skrzydłu Damajah.



Jardir wkroczył do komnat Inevery przez okno i odetchnął powietrzem nasyconym perfumami. Rozkoszował się przez moment wonią i wbił ją sobie do głowy. Evejah uczyła, że Otchłań cuchnie siarką, śmiercią i rozpaczą.

Podszedł do stolika z perfumami. Unosił delikatne fiołki jedną po drugiej i wdychał ich zapachy, aż natrafił na ten, który najbardziej kojarzył mu się z *Jiwah Ka*. Wsunął fiołkę do kieszeni. Pośród niekończącej się nocy Nie zapach jego żony mógł okazać się bronią równie skuteczną jak każdy run.

Zastał Ineverę pogrążoną w głębokiej medytacji, wpatrzoną w rozrzucone przed nią kości. Jej aura była równa i niezmacona. Wiedział, że jest świadoma obecności męża, ale nie odezwał się ani słowem. Stał w ciszy i czekał cierpliwie, aż Inevera zakończyła rytuał i usiadła na piętach. Cienki jedwab opiął się na jej biodrach.

Choć kochali się tej nocy dwukrotnie, Jardir czuł, jak znów narasta w nim podniecenie. Spędził zbyt wiele czasu z dala zarówno od niej, jak i jakiegokolwiek innej kobiety, by jedna noc mogła go zadowolić.

Inevera spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Wkrótce, ukochany. Posiędziesz mnie raz jeszcze, zanim odejdiesz.

Jardir miał wrażenie, że jego puls przyspiesza.

– A więc zmieniłaś zdanie? Zostajesz?

Inevera ze smutkiem spojrzała na kości.

– Twoje lęki się potwierdziły. Gdybym udała się wraz z wami, szanse na zwycięstwo wzrosłyby odrobinę, ale nawet gdybyśmy odnieśli sukces, nie mielibyśmy do czego wracać. Nasz lud uległby zagładzie. Nie potężnieje,

ukochany. Cała Ala zadrży, gdy ogarnie ją gniew.

– Czego jeszcze się dowiedziałaś? – spytał Jardir.

– Alagai Ka jest pradawny – rzekła Inevera. – Choć zwa-
go księciem kłamstw, nie okłamał was, gdy oświadczył, że
żył w czasach Kajiego.

– Jest ojcem demonów – stwierdził Jardir. –
Niewykluczone, że zawsze nim był, od chwili gdy ohydna
trucizna Nie po raz pierwszy rozlała się po Ala.

Inevera pokręciła głową.

– Wedle miar przyjętych przez jego gatunek w czasach
Kajiego był bardzo młodym osobnikiem, niedługo po
wykluciu. Od nastania Nie było wielu ojców demonów.

– Par'chin uważa, że są jeszcze inni – rzekł Jardir. – Jego
zdaniem, nawet jeśli zwyciężymy, spalenie Nie przetrwa.
Być może gdzieś za morzem. Może za górami albo za
śniegami Północy.

– Everam i Nie toczą walkę od zawsze – oznajmiła
Inevera. – Zarówno na powierzchni, jak i w głębi ziemi.

Jardir pokiwał głową.

– Nic nie jest równie cenne i równie ulotne jak pokój.
Czyli Alagai Ka został Małżonkiem Matki Demonów
w czasach Kajiego. Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?

– W przypadku istoty tak długowiecznej można ujrzyć
jedynie przebłyśki – odparła Inevera. – Ale wiem, że się boi.
Być może po raz pierwszy w życiu.

– O siebie? – spytał Jardir. – Czy o Alagai'ing Ka?

– O siebie – rzekła Inevera. – Nie dba o Matkę
Demonów. Liczy się dla niego tylko pozycja i władza, jaką
daje mu bycie Małżonkiem. Boi się śmierci z waszych rąk
oraz intryg rywali pod swoją nieobecność.

– Czy możemy mu zaufać, że doprowadzi nas do otchłani
Nie?

– Zaufać? – zaśmiała się Inevera. – Powinniście wątpić
w każde jego słowo i podważać każdy motyw. Nie mam

wątpliwości, że będzie próbował was zdradzić, ale jestem pewna, że zabierze was do Otchłani, choć z własnych powodów, nie waszych.

– A więc pułapka – stwierdził Jardir.

– Być może – powiedziała Inevera. – Lub podstęp. Alagai Ka kłamie nawet wtedy, gdy mówi prawdę, a na pewno nie wyjawia wam wszystkiego. Musicie być gotowi na dosłownie wszystko.

Jardir zacisnął usta. Rada była dobra i równie niejasna, co oczywista.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci czegoś więcej, ukochany – rzekła Inevera. – Ale rysuje się przed tobą wiele rozgałęzień i rozwidleń. Kroczysz wzdłuż cienkiej linii wyrysowanej w piasku, podczas gdy dookoła szaleje burza.

– Mówiłaś o filarach pośród piasków – naciskał Jardir. – O stałych pośród chaosu przyszłości.

– Odnajdziesz cząstkę Kajiego – odparła Inevera. – Dar od swojego przodka, który poprowadzi cię przez mrok.

Jardir pochylił się ku żonie zaintrygowany.

– Cząstkę? Jaką? Gdzie?

– Nie mogę tego ustalić – odparła Inevera. – Szukanie jej nie jest twoim zadaniem, ale twoim przeznaczeniem jest jej znalezienie. Być może Wybawiciel w swojej mądrości przewidział, że może ponieść klęskę, i pozostawił ślad dla swojego następcy?

– Trzy tysiące lat temu? – spytał Jardir.

– Czas nie ma znaczenia dla Everama – odparła Inevera.

– Wszak On istnieje ponad takimi zjawiskami, skąd przemawia do swoich proroków.

– A Par'chin? – zapytał Jardir.

– Musi dokonać wyboru między obowiązkiem a swoją *jiwah* – padła odpowiedź. – Wszystko od tego zależy.

– Ona nosi dziecko pod sercem – rzekł Jardir, a Inevera pokiwała głową.

– Tak, chłopca o niezmiernym potencjale, którego czeka życie pełne rozpaczy. Zrodzi się w ciemności i na zawsze będzie ją w sobie nosił.

– A więc będzie żył – stwierdził Jardir. – Wniosek z tego, że Renną przeżyje na tyle długo, żeby móc go urodzić, a to już coś.

– Być może – odparła Inevera. – Przy założeniu, że Renną vah Harl am’Bales am’Potok uda się z wami w ciemność, są wizje, w których jej syn żyje, ale są i takie, w których ginie. Natrafiłam na wizje, w których oboje trafiają do niewoli i służą za pokarm dla Alagai Ka. Widziałam też, jak rodzi się jako sierota, wycinany z jej stygnącego ciała.

Jardir zacisnął pięść. *Jiwah* Par’china była arogancka i nie miała szacunku dla świętości, ale otaczała ją wielka chwała, ustępująca jedynie tej, którą mogła poszczycić się Damajah.

– A jeśli pozostanie na Ala? – zapytał.

– Wówczas poniesiecie klęskę – powiedziała Inevera bez emocji. – A cała Ala zostanie pochłonięta.

– A więc musimy pokładać w Rennie wiarę – rzekł Jardir. – Zajrzałem w duszę córki Harla i wiem, że się nie zawaha.

– Nie musimy się o to modlić – zgodziła się Inevera.

– Par’chin również nie zbczy z kursu – ciągnął Jardir. – Wrazi włócznię w serce Nie, nawet jeśli przyjdzie mu za to zapłacić życiem żony czy dziecka.

– Nie byłabym tego taka pewna – rzekła Inevera. – Bez względu na uczucia, jakimi go obdarzasz, bez względu na to, co widziałeś, gdy wejrzałeś do jego serca, pomnij, że to mężczyzna, a ci są chwiejni, zwłaszcza gdy chodzi o ich ukochane.

Przed oczami Jardira stanęła siniejąca twarz Asome, którego dusił własnymi rękami za to, że zamierzył się na

jego *jiwah*.

– W twoich słowach kryje się wiele mądrości, ukochana. Nie zapomnij, że będę przy Par'chinie, żeby w razie potrzeby przypomnieć mu o jego misji. Czy jest jeszcze coś?

– Jak dotąd nic – odparła Inevera. – Rzucę kośćmi ponownie, ale najpierw muszę pomedytować chwilę nad tym, co kości już mi pokazały.

– Dzięki mocy swoich kolczyków będziesz mogła rozmawiać ze mną do czasu, gdy zagłębimy się pod ziemię – rzekł Jardir. – Później magia nie będzie w stanie pokonać rezonansu.

– A póki co mamy jeszcze inne sprawy do omówienia – oznajmiła Inevera.

Jardir wyjął koronę i włócznię Asome.

– Asome i Asukaji uklękną przed tobą jutro rano. Będą błagać cię o wybaczenie i prosić, żebyś im zwróciła potęgę. Jeśli zdołają cię przekonać, wszyscy obecni uznają, że obaj są podlegli twojej woli.

Inevera odetchnęła mocno, aż tkanina na jej twarzy zafalowała niczym dym.

– A moja matka?

– Zostanie uwolniona i przybędzie wraz z nimi. Moja matka również. – Jardir obrzucił Ineverę ostrym, nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem. – Żadne z was nie będzie już jej więzić.

– Oczywiście, ukochany. Nie kłamałam, gdy mówiłam, że uwięziłam Kajivah dla jej bezpieczeństwa. Nigdy bym nie skrzywdziła świętej matki.

Ukłon Inevery wydawał się szczery, ale z aury Damajah można było wyczytać, że coś ukrywa.

– A mnie się wydawało, że nie będziemy się już okłamywać, ukochana – rzekł Jardir.

Inevera spojrzała mu w oczy.

– Nie ma dla mnie nic ważniejszego od *Sharak Ka*, mężu.

Uwięziłam Kajivah, żebym nie musiała jej skrzywdzić, jeśli Asome próbowałby strącić mnie z piedestału.

Jardir zacisnął zęby, ale opanował emocje. Nie mógł winić żony za takie myślenie. Kochał swoją matkę, ale zupełnie nie nadawała się do roli Damajah. Zmienił temat, by przerwać napięcie.

– A gdzie Abban?

– Kości mi mówią, że żyje – odparła Inevera. – Myślę, że Hasik zabił Jayana, żeby dopaść i wykraść Abbana. Ashia w tej chwili ich szuka.

– Cóż ze mnie za głupiec – skrzywił się Jardir. – Nie powinienem był zostawić Hasika przy życiu. Żałowałem za każdym razem, gdy okazałem mu łaskę.

– Nigdy nie powinno się żałować okazanego miłosierdzia – stwierdziła Inevera. – Niewykluczone, że Hasik ma jeszcze odegrać jakąś rolę w *Sharak Ka*.

– Być może – zgodził się Jardir. – A mnie się kończy czas. Czym jeszcze mam się zająć?

W odpowiedzi Inevera dotknęła jednej ze swoich bransolet. Szczęknęła odciągana zasuwa i otworzyły się drzwi, zza których wyszły Amanvah i Sikvah. Jardir spojrzał na żonę z irytacją.

– Miałaś nikomu nie mówić.

Mimo gniewu w swych słowach nie mógł opanować radości na widok najstarszej córki w czarnym zawoju i siostrzenicy w bieli. Łagodna Sikvah w skrytym pod szatami pancerzu prezentowała się groźnie, zbrojna we włócznię i tarczę, co obudziło w Jardirze wielką dumę.

– Amanvah i Sikvah mają dla ciebie ważne wieści – rzekła Inevera. – Będziesz chciał usłyszeć o tym bezpośrednio od nich.

– Ojcze! – Amanvah uklęknęła przed nim i ułożyła dłonie na podłodze. – Moje serce śpiewa z radości na wieść o tym, że powróciłeś do nas cały i zdrow. Zawsze miałam Par'china

za człowieka honoru i cieszę się, że mój osąd nie okazał się błędny.

Jardir rozłożył ramiona.

– Powstań, ukochana córko, i obejmij mnie.

Amanvah rzuciła się na niego skwapliwiej, niż nakazywała to tradycja, ale Jardir zaśmiał się tylko i przytulił córkę do piersi. Kiedy po raz ostatni tak ją trzymał? Pewnie zanim została wysłana do pałacu *dama'ting*, ponad dziesięć lat temu. Wraz z Ineverą tak bardzo skupili się na przygotowywaniu swych dzieci do ról przywódców, iż zapomnieli okazywać im rodzicielską miłość.

Dla wielu spośród jego dzieci było już za późno, ale na ten krótki moment Jardir pozwolił sobie zapomnieć o godności Shar'Dama Ka i wcielił się w rolę ojca.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, córko. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie zapomnę, ojcze – odparła Amanvah i cofnęła się od niego równie niechętnie jak on od niej. Jej oczy zwilgotniały od łez.

Jardir, nadal obejmując córkę jednym ramieniem, wyciągnął drugą rękę do Sikvah.

– Ty również napełniasz mnie dumą, siostrzenico. Oplakuję waszą stratę. Syn Jessuma przejdzie do legendy, a jego honor jest niezmierny! Ala bez niego to miejsce o wiele ciemniejsze, lecz bez wątpienia Niebiosa lśnią teraz jak nigdy wcześniej.

Maska srogiej wojowniczkki opadła i Sikvah znów stała się delikatną dziewczyną, którą pamiętał. Wraz ze swą siostrą-żoną wtuliła się w objęcia Jardira, nie kryjąc już łez. Dzięki koronie, która wzbogacała wzrok, Ahmann widział magię przyciąganą ich emocjami i wsiąkającą w łzy. Nie potrafił wysłować, jak piękne były, gdy spływały po policzkach niczym strumienie światła.

Inevera wyjęła buteleczkę i zaczęła zbierać cenne łyzy, a gdy ta się wypełniła, zatknęła korek. Fiolka lśniła mocą równie intensywnie jak noszona przez Ineverę biżuteria z *hora*.

– Oto upominek dla ciebie, który wraz z fiolką moich perfum będzie ci towarzyszył w drodze na dno Otchłani – powiedziała z krzywym uśmiechem. – Będzie ci przypominał o miłości w miejscu, w którym króluje bezdenna rozpacz.

Jardir uklonił się żonie, ujął z czią buteleczkę i wsunął do kieszeni.

– Czy to prawda, że Shanvah uda się z tobą w mrok, wuju? – spytała Sikvah.

– Tak, siostrzenico. Twoją siostrę włóczni otacza niewysłowiona chwała. Jej ostrze odebrało życie księciu demonów, a przez długą chwilę, gdy ja i Par'chin zmagaliśmy się z Alagai Ka, samotnie stawiała czoła hordom Nie.

Sikvah ponownie uklęknęła i zsunęła z pleców lśniącą włócznię oraz tarczę wypolerowaną jak lustro. Jej oręż, wykonany ze szkła przesyconego elektrum i wzmocniony licznymi runami, był dziełem samej Inevery. Następnie Sikvah ściągnęła pierścienie, naszyjniki oraz bransolety z nadgarstków i kostek. Zebrane razem artefakty jaśniały wielką mocą. Wzrokiem spotęgowanym przez koronę Jardir widział ciągi skomplikowanych runów autorstwa żony i córki.

– Na taką wyprawę moja siostra włóczni musi wziąć najlepszą broń, Wybawicielu – oznajmiła Sikvah. – Byłabym zaszczycona, gdybyś to jej przekazał, wraz z moim błogosławieństwem i wyrazami miłości.

Jardir położył jej dłoń na ramieniu.

– Uczynię to z dumą, Sharum'ting Ka.

– Przekaż Shanvah, że „Pieśń o Nowiu” będzie ich

strzegła w środku nocy – rzekła Amanvah. – Jeśli jej głos zachował siłę, będzie chronić was wszystkich podczas wędrówki do królestwa Nie.

– Syn Jessuma dostrzegł to, o czym myśmy zapomnieli. W pradawnych pieśniach modlitewnych, które kierowaliśmy do Everama, kryje się prawdziwa broń na Nie. Gdy staniemy w Niebie, ujrzymy waszego męża, jak siedzi przy stole Everama.

Na te słowa po policzkach obu dziewcząt spływały nowe łzy, ale nie było już czasu na rozpacz. Całą czwórką uklękli na poduszkach, spoglądając na siebie. Runy Inevery były silne, ale Jardir nie chciał ryzykować i otoczył ich wszystkich ochronnym polem swojej korony.

– Pani Leesha urodziła twoje dziecko, ojcie – rzekła Amanvah. – Osobiście przyjąłam poród.

Jardir wiedział o tym z listu Leeshy, mimo to słuchał w skupieniu. Zerknął na Ineverę, ale jej aura pozostała spokojna i nieporuszona.

– Rzuciłam kośćmi umazanymi w krwi porodowej, ojcie – ciągnęła Amanvah.

Jardir zacisnął pięść, by opanować nagłe napięcie. Był ojcem wielu tuzinów dzieci. Dlaczego los tego jednego miał dla niego tak wielkie znaczenie?

– I co ujrzałaś?

– Potencjał – odparła Amanvah.

– Wszystkie dzieci Everama mają potencjał – odparł Jardir.

– Ale to jedno może kiedyś zostać Shar'Dama Ka – wtrąciła Inevera. – Tylko ono może zbawić ten świat bądź skazać go na zagładę.

Jardir spoglądał to na Ineverę, to znów na Amanvah.

– Jesteście tego pewne?

– Na tyle, na ile można być pewnym czegoś, co zdradzą kości – rzekła Amanvah.

– Nasza córka ma bystre oko, ukochany – dodała Inevera. – Sama zbadałam układ kości po rzucie i przyznaję jej rację. Dziecko jest takie jak ty. Jak Par’chin.

– A więc Wybawiciel – stwierdził Jardir.

– Wybawiciele się nie rodzą. Ich się tworzy – oznajmiła Inevera. – Pytanie tylko, czy możemy zaufać twej *chin heasah*? Czy ona na pewno nauczy swoje dziecko tego, co powinno wiedzieć?

– Ani się waż nazywać tak Leeshę córkę Erny’ego! – warknęła Jardir.

Jego słowa smagnęły aurę Inevery niczym szorstki bat, ale nie potrafił stłumić tak silnych emocji.

– To matka mojego dziecka i zawzięty wróg Nie! – ciągnął. – Co więcej, przynajmniej raz zdołała pokrzyżować twoje plany, gdy próbowałaś ją zabić bądź uciszyć. Nie musisz okazywać jej miłości ani uprzejmości, ale, na Everama, zasłużyła sobie na twój szacunek!

Inevera zacisnęła zęby, lecz ukloniła się.

– Wybacz, ukochany. Za każdym razem, gdy mowa jest o twojej *jiwah* z zielonych krain...

Jardir uniósł rękę.

– Rozumiem wszystko, ukochana, a twoje reakcje nie budzą mojego zdziwienia, ale pomnij, że zaczęła się *Sharak Ka*! Musimy się wznieść nad nasze uprzedzenia i zawrzeć pokój z naszymi kuzynami z Północy, jeśli ludzkość ma przetrwać.

– Oczywiście. – Inevera oddychała głęboko, a jej równowaga powracała. – Zawrę więc pokój z moją północną... *zahven*, tak jak ty uczyniłeś to ze swoim.

Zahven. Słowo to oznaczało „rywal”, jednak w tym kontekście należało je rozumieć jako „równy”. Inevera nigdy wcześniej nie określiła Leeshy w ten sposób i Jardir wiedział, że sporo ją to kosztowało.

– Dziecko powinno pozostać z matką – mówił dalej

Jardir. – I będzie bezpieczniejsze z dala od naszych intryg. Nawet jeśli Asome odnajdzie w sobie honor, wielu innych będzie próbowało wykorzystać to dziecko.

– Lub je zabić – zgodziła się Inevera.

– Co nie oznacza, że nie możemy wysłać jej nauczycieli – rzekł Jardir. – Oraz strażników. Niech kości wskażą tych, którym można zaufać, że nie zdradzą powierzonego im sekretu.

– Olive będzie wychowywana jako dziewczynka – powiedziała Amanvah. – Możemy umieścić w jej otoczeniu zamaskowaną *Sharum'ting*, tajną strażniczkę, która będzie jej służyła, tak jak Sikvah mnie.

Jardir spojrzał na Sikvah.

– Kogo polecisz?

– Najbardziej nadaje się Micha – rzuciła Sikvah bez wahania. – Jest najstarsza po mnie i ma krew *Sharum* po samym Wybawicielu. Co więcej, jest przyrodnią siostrą Olive córki Leeshy. Jest gotowa poświęcić za dziecko życie i na pewno nauczy ją walki.

– Dobrze – rzekł Jardir i spojrzał na Ineverę. – A kto będzie za nią rzucał?

– Wyślemy do plemienia Zakątka trzy *dama'ting* – odparła Inevera. – Dziewicę, matkę i staruszkę.

– Kto stanie na ich czele? – spytał Jardir.

– Stara Favah słygnęła z umiejętności rzutu kośćmi, jeszcze gdy sama nosiłam bido – powiedziała Inevera. – Jest surową kobietą i na pewno nie będzie się kłaniać przed *chin*, ale dziecko potrzebuje takiej nauczycielki.

Jardir wiedział, o kim Inevera mówi. Stara Favah potrafiła samym spojrzeniem wyprowadzić z równowagi nawet jego, ale miała niezłomną duszę.

– Kim będzie matka?

– *Dama'ting* Shaselle, która studiowała ze mną w pałacu *dama'ting* – odparła Inevera.

Jardir pokiwał głową. Shaselle służyła jako jedna z najbliższych doradczyń Inevery, gdy piął się na tron.

– A dziewica?

Inevera odwróciła się ku Amanvah, a dziewczyna zastanowiła się. Po chwili sięgnęła do sakiewki i rzuciła *alagai hora*, uważnie studiując ich układ.

– *Dama'ting* Jaia – oznajmiła po chwili. – Dopiero co przywdziała białe szaty i nie urodziła jeszcze potomka, ale kości przepowiadają, że natrafi na godnego ojca w zielonych krainach, co scementuje nasze więzi z plemieniem Zakątka.

– Doskonale – rzekł Jardir. – Nadciąga świt, a nam pozostała jeszcze jedna kwestia do omówienia.

– Majah – odgadła Inevera. – Ruszyli w drogę powrotną do Pustynnej Włóczni.

– Co takiego? – pobladł Jardir.

– To *inevera*! – odparła Damajah. – Tak chciały kości.

– To nie do przyjęcia!

Inevera wzruszyła ramionami i rzekła:

– Jeśli chcesz, spróbuj ich dogonić. Złap Aleverana i przemów mu do rozsądku, tak jak uczyniłeś to ze swoim synem, a być może uda ci się ich zawrócić.

Jardir potrząsnął głową.

– Nie mogę. Naraziłbym wówczas wszystko to, o co walczyliśmy.

– A więc musimy zawierzyć woli Everama – oznajmiła Inevera i odwróciła się do dziewcząt. – Pozostawcie nas samych.

Sikvah i Amanvah wyszły. Jardir wyjrzał przez okno i dostrzegł już pierwsze kolory rozlewające się na wschodzie.

– Zatrzymałaś mnie do świtu.

Inevera uśmiechnęła się.

– Czym jest dzień wypoczynku w bezpiecznym miejscu przed tym, co cię czeka w Otchłani?



Chłodny wiatr owiewał twarz Jardira, gdy znów zapadła noc, a on oderwał się od dachu pałacu. W pierwszej chwili chciał lecieć prosto ku wieży, ale złapał się na tym, że pragnie skrócić na północ. I już leciał w kierunku Zakątka. Nie planował swoich odwiedzin, ale porażka, jaką poniósł, wychowując swych synów, ciążyła mu na sumieniu. Jeśli im się nie uda, Olive być może okaże się ostatnią nadzieją Ala. Poza tym czuł, że nie będzie potrafił zejść w ciemność, jeśli choć raz nie weźmie córeczki w ramiona i nie wyszepta nad nią swojego błogosławieństwa.

Nocą w Zakątku, bezpiecznym dzięki wielkim runom, tętniło życie, lecz jego mieszkańcy na szczęście nie mieli w zwyczaju spoglądać ku niebu. Jardir bez trudu odnalazł twierdzę, którą opisała mu Amanvah, po czym owinął się płaszczem, przywołał moce korony i przeniknął wzrokiem ściany oraz okna. Po krótkiej chwili poszukiwań odnalazł właściwy pokój. Stała w nim kołyska, z której biła aura niewinności.

Pokoju broniły potężne runy, ale ich celem było zatrzymywanie *alagai*, a nie ludzi. Jardir wykorzystał część swojej mocy, by odsunąć zasuwkę okna i wślizgnąć się do środka. Pozostawił sandały przy parapecie i bezszelestnie podkradł się do kołyski, by przypadkiem nie obudzić dziecka.

Niepotrzebnie tak się starał. Gdy zerknął na Olive, ta odwzajemniła spojrzenie. Oczka miała szeroko otwarte, jakby spodziewała się jego odwiedzin.

Jej aura była bardzo jasna – Jardir nie widział nigdy takiej poświaty u nikogo poza Par'chinem i jego *jiwah* – ale zauważył też, że jest niezwykle czysta. Aura dziecka była

wolna od wstydu, poczucia porażki czy niechęci wobec kompromisów.

A potem, nieledwie z zawstydzieniem, Jardir spojrział na dolną część ciała dziecka.

To, co tam ujrzał, całkiem go zaskoczyło. Gdy dowiedział się o Olive, uznał jej przypadłość za słabość, której dziecko nigdy nie przewycięży, zupełnie jakby dysponując atrybutami obu płci, nie reprezentowało żadnej z nich.

Niemniej gdy wniknął w głąb duszy córeczki, uzbrojony w magiczny wzrok korony, ujrzał niezliczone obrazy i wyobrażenia, które tańczyły wokół Olive. Nigdy nie widział ich aż tylu w jednej aurze. Przed jego oczami przemykały podobne zjawom wizje tego, czym Olive może się stać, a Jardir uzmysłowił sobie, że dziecko wcale nie jest połową jednej osoby. Nie, jego możliwości były dwakroć większe.

Olive zagruchała cicho, gdy uniósł ją z kołyski, a piękno tego dźwięku sprawiło, że oczy Jardira zasły łzami.

– Niech ci Everam błogosławi, córeczko.

Maleństwo zmarszczyło nosek, ziewnęło i wtuliło się w niego. Przez moment mężczyzna nie miał pojęcia, co począć. Jeszcze nigdy nie trzymał żadnego dziecka z taką czułością.

A szkoda, pomyślał. Może wówczas nasze dzieje poukładałyby się inaczej.

– Twoja matka uważa, że jestem kiepskim ojcem – szepnął. – I być może trzeba jej przyznać rację. Zawsze skupiałem się bardziej na *Sharak Ka* niż na własnej rodzinie. Zawiodłem swoich najstarszych synów i ledwie poznałem córki.

Olive uniosła rączkę, wsunęła paluszki w jego brodę i szarpnęła z zaskakującą siłą.

– Nie mogę ci obiecać, że z tobą będzie inaczej, Olive vah Ahmann am’Jardir am’Zakątek. Wyruszam na wyprawę,

z której mogę nie powrócić, ale czynię to z miłości. Z miłości do ciebie i wszystkich ludzi mieszkających na Ala. Modłę się, żebyś nigdy się nie dowiedziała, na czym polega moje brzemię, ale jeśli kiedyś spadnie również i na twoje barki, niech Everam da ci siłę, żebyś je uniosła.

– Vah Leesha – rozległ się jakiś głos za jego plecami.

Zaskoczony Jardir zawirował i odruchowo przybrał obronną postawę, zasłaniając dziecko i łapiąc za włóczęnię.

Leesha córka Erny'ego stała z założonymi ramionami, wsuniętymi w szerokie rękawy koszuli nocnej. Nie stanowiła żadnego zagrożenia. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał – była piękna niczym świt i dumna jak góra.

– Nie jesteśmy małżeństwem, Ahmann. To Olive córka Leeshy, a nie Jardira.

– Ona jest moja, Leesha – rzekł Jardir. – Ma to wypisane w aurze. Chcesz mi jej odmówić?

– Oczywiście, że nie – odparła Leesha. – Nie mam zamiaru ukrywać tego, kim ona jest, ale wystarczy, żeby któryś z twoich dziedziców poczuł się zagrożony, a wokół Olive zaroi się od zabójców.

– Ukróciłem ambicje Asome – oznajmił Jardir. – Nie będzie...

– Masz ponad siedemdziesięcioro dzieci, Ahmannie. Czy możesz poręczyć za każde z nich przez następne lata?

– Nie, ale za *alagai* również nie poręcę. Wiem, że Nie dołoży wszelkich starań, żeby dopaść i zniszczyć wszystkich takich jak ona, ale... Cóż, *inevera*. Wierzę, że okaże się silniejsza. To żadne wyjaśnienie.

– Ja nie potrzebuję wymówek – odpowiedziała Leesha. – Nie jesteśmy małżeństwem, a prawo w tej kwestii jest jasne. Trzymasz na ręku Olive córkę Leeshy. Czemu miałyby się nazywać inaczej? To ja ją urodziłam. Ja nosiłam ją w brzuchu, ja ją karmiłam własnym mlekiem. To ja

jej bronię. I ja ją wychowam.

– Moje imię oraz moje błogosławieństwo to jedyne rzeczy, którymi mogę ją obdarzyć, zanim zstąpię w ciemność – rzekł Jardir.

Leesha uśmiechnęła się w końcu.

– To może niech się nazywa Olive Jardir córka Leeshy.

Jardir zgodził się na ustępstwo i znów spojrzał w oczy córeczki.

– Niech cię błogosławi Everam, Olive Jardir córko Leeshy.

Leesha podeszła do Ahmanna i pocałowała go delikatnie w policzek.

– Powołaliśmy do życia piękne dziecko.

Olive nadal ciągnęła go za kosmyki brody, usiłując wpakować je sobie do ust.

– W istocie – odparł Jardir. – Przepiękna.

– Czy słusznie zakładam, że mnie samej byś nie odwiedził?

– Po prawdzie to nie wiedziałem, czy byłbym mile widzianym gościem – rzekł Jardir. – Twój list nic o tym nie mówił. Chciałem jedynie pobłogosławić dziecko.

Leesha położyła delikatnie dłoń na główce Olive, gładząc jej piękne czarne włosy.

– Już to zrobiłeś.

– A później jej matkę – dodał Jardir. – Wciąż piękną niczym najbłękitniejsze z niebios.

Leesha parsknęła śmiechem.

– I znów próbujesz mnie oczarować. Czy ty się kiedyś zmienisz? Tylko sobie nie myśl, że zaciągniesz mnie jeszcze do łóżka. Raz wystarczyło.

Jardir poczuł, jak zalewa go gorący rumieniec.

– Ja.. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby...

Leesha znów się roześmiała i ujęła go za podbródek.

– Tylko się z tobą drocę, Ahmann.

Jardir niespodziewanie zapragnął znów wziąć Leeszę w ramiona. Szybko spojrzął ponownie na Olive.

– Inevera przyśle do Zakątka trzy *dama'ting*, które będą wam doradzać i uczyć. Wraz z nimi przybędzie moja córka Micha. Niech cię nie zmylą jej szaty *dal'ting*. Podobnie jak Sikvah pobierała nauki u Enkido. Będzie się troszczyć o bezpieczeństwo swojej przyrodniej siostry. Możesz jej całkowicie zaufać.

– I tak się stanie – obiecała Leesha. – Dziękuję.

Jardir delikatnie odłożył Olive do kołyski i wyswobodził brodę spomiędzy jej paluszków.

– Muszę cię już opuścić – powiedział.

Odwrócił się, ale Leesha złapała go za rękę i przyciągnęła do siebie. Przytulił ją mocno po raz ostatni, wdychając zapach jej włosów. Dziewczyna oparła dłoń na jego piersi.

– Uważaj na siebie, Ahmannie. Wróc cały i zdrow, żebyśmy mogli wspólnie patrzeć, jak twoja córka dorasta.

– Tanio skóry nie sprzedam – obiecał Jardir. – Niech cię Everam błogosławi, Leesho vah Erny am'Zakątek.

Pocałował ją. Muśnięcie jego ust było lekkie, niemalże niewyczuwalne, ale pozostało z Zielarką, gdy Jardir się cofnął.

Podszedł do okna, wzuł sandały i wyskoczył w noc.



I7

Leśna Forteca

334 ROK PLAGI

Słońce zaczynało się już kryć za horyzontem, gdy Ragen zacisnął dłonie na wodzach Nocnego Tancerza. Wyraźnie wyczuwał napięcie w mięśniach rumaka. Potężne zwierzę gotowało się do walki, na którą on sam nie miał ochoty.

– Dziwne uczucie – oznajmił Derek. – Pomyśleć, że będę jeździł po zapadnięciu zmroku!

Jego runiczna zbroja została wypolerowana do połysku, ale trzymał dłoń w pobliżu uchwyty na włócznię przy końskim boku.

– Przyzwyczaisz się – oznajmił Siwy Yon, przywódca Rębaczy, którzy stanowili ich eskortę. Był ogromnym, muskularnym mężczyzną. – Drogi są chronione runami,

a ty masz za sobą dwie dziesiątki dzielnych chłopów.

– Kiedy dotrzemy do miasta, jeśli będziemy jechać również nocą? – spytała Elissa. Miała na sobie runiczny płaszcz, który kupiła w Zakątku, oraz nową skórzaną odzież do jazdy konnej. Ragen miał wrażenie, że przez dwadzieścia lat małżeństwa ani razu nie widział jej w spodniach, ale przyzwyczał się zarówno do tego, jak i do wprawy, z jaką kierowała swą kłaczą.

– Tak po prawdzie to nie wiem – przyznał Yon. – Mam ósmy krzyżyk na karku, a ani razu zem nie odszedł od wsi dalej niż na parę mil. Jutro miniemy najdalsze miejsce, do którego dotarłem.

Ragen zamrugał. Ósmy krzyżyk? – pomyślał. Ten człowiek wydaje się młodszy ode mnie!

– To dlaczego zgłosiłeś się na ochotnika, żeby zaprowadzić nas do Miln? – zainteresowała się Elissa.

Yon pogładził się po długiej brodzie, ciemnej wokół jego twarzy, stalowoszarej w połowie długości i bielutkiej przy końcu.

– Syn i wnukowie już wyrosli, a żonę ułożyłem na stosie pogrzebowym szesnaście lat temu. Magia dała mi drugie życie. Mam zamiar obejrzeć jeszcze to i owo na świecie.

– Jeśli interesuje cię praca Posłańca, właśnie zwolnił się etat – rzekł Derek. – Spędziłem dwadzieścia dwa lata życia w Złocie Brayana. W osadzie nie było więcej niż sześćdziesiąt dusz, a przejść całą można było w kwadrans. – Odetchnął ciężko. – Ale naoglądałem się już świata i nie mam ochoty na więcej. Służący znają mojego syna lepiej ode mnie. Rodzina żony zapewne życzy sobie, żebym trzymał się z daleka, ale gdy wrócę do Miln, nie mam już zamiaru wyjeżdżać.

– Otóż to – rzekł Ragen. – Najwyższy czas wracać do domu, ale mamy przed sobą długie mile. Kiedyś co roku pokonywałem tę trasę. Bez towarzystwa mógłbym dotrzeć

do Miln w dwa tygodnie, ale tak sporej grupie zabierze to z miesiąc, jeśli nie przyspieszymy. Kilka godzin jazdy stąd znajduje się obozowisko. Jeśli tam dotrzemy, będziemy pół dnia drogi do przodu.



Twarz Elissy pozostała nieporuszona. Pół dnia drogi to, zdawałoby się, niewiele, ale skoro trasa do Miln mogła im zabrać cały miesiąc, Elissa była gotowa zrobić wszystko, by skrócić ten czas. Kilka godzin jazdy przez mrok wydawało się niewielkim wyrzeczeniem.

Twoje dzieci cię potrzebują, pomyślała.

Marya i mały Arlen. Jak oni się czują po tym, kiedy ich rodzice znikli na prawie rok? Listy zapewniały ich, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale nie zastępowało to ani ojcowskiej miłości, ani też matczynej opieki.

Była gotowa jechać nawet i przez całą noc, by do nich wrócić.

Pogładziła sakwę z aksamitu, która wisiała przy jej pasie. Obecność srebrnego pióra dodawała Elissie otuchy. Narzędzie było owocem ich studiów w Akademii Zielarek i Gildii Runicznej Zakątka. Mieszkańcy Zakątka wykorzystywali różdżki z *hora*, by kreślić runy w powietrzu, ale zdaniem Elissy była to praktyka nieporęczna i mało precyzyjna. Osobiście wolała kreślić runy piórem.

Gdy pani Leesha hojnie obdarowała ich *hora*, by mogli wykonać własne różdżki, Elissa, Ragen i Derek zrobili dla siebie pióra. Kości demonów umieścili w ich środku, a następnie obłożyli srebrnymi płytkami i zwieńczyli stalówkami z elektrum. Dotykając runów

wygrawerowanych na rączce, Elissa mogła regulować pobieranie mocy przez stalówkę i uzbrajać pióro w odpowiednią ilość magii.

Istniała jednak ogromna różnica między ćwiczeniami w kreśleniu runów, które odbywały się pod dachem bezpiecznej Akademii, a rysowaniem ich przed pyskiem szarżującego demona. Jakiś otchłaniec wrzasnął w oddali i Elissa zacisnęła uda tak mocno, iż niemal poczuła, jak klacz traci oddech.

Jechali jeszcze długo, a wieczór stał się czarną nocą. Słupy runiczne otaczała mdła emanacja, która kończyła się na skraju drogi. W ciemnościach słyhać było dzikie wrzaski, warknięcia i tupoty, ale żaden z demonów nie miał ochoty na sprawdzenie wytrzymałości bariery.

Nocny Tancerz parskał i tłukł kopytami. Ragen z niemalym trudem panował nad potężnym ogierem. Derek założył tarczę na ramię i nawet Yon wydawał się spięty i co rusz muskał dłonią stylisko topora, przytroczonego w pochwie do końskiego boku.

– Niedawno był Nów. Nic dziwnego, że tyle otchłańców się tu pałęta.

Nów. Elissa poczuła dreszcz spływający po plecach. Arlen mówił, że otchłańce, które rzadko kiedy stać na rozsądne działanie, potrafią atakować w skoordynowany sposób, gdy znajdują się pod kontrolą potężniejszych demonów umysłu. Uniosła rękę i dotknęła złotego diademu, by przesunąć palec po runach umysłu. Pozostali mieli identyczne symbole na hełmach.

Na Stwórcę, niech do tego nie dojdzie.

– Przyspieszmy – zaproponował Ragen. – Obozowisko nie może być daleko stąd.

Jechali w ponurym milczeniu, z największą prędkością, na jaką było stać konie ciągnące wozy, a mrok dookoła rozbrzmiewał rykami i wrzaskami. Wkrótce Elissa

dostrzegła sylwetki przemykające wzdłuż pobocza. Czyżby ich śledzono?

Napięcie narastało do tego stopnia, że Elissa nie mogła już go znieść. Wsunęła rękę do sakwy i wyciągnęła srebrne pióro, przenikając wzrokiem ciemność. Wreszcie dojrzała jakiś ruch i pospiesznie wyrysowała run światła, wyzwalając jedynie cząstkę mocy.

Światło zapłonęło, a Elissa natychmiast tego pożałowała.

Byli otoczeni. Dziesiątki otchłańców rozbiegło się na widok rozbłysku, ale w mroku bez wątpienia kryło się jeszcze wiele innych.

– Rębacze! – zawołał Yon. – Łapać za topory i napinać kusze, ale niech mi żaden nie strzela, jeśli nie ma wyłomu!

Strach dodał im sił. Popędzili traktem i niebawem dojrzelili otoczone słupami runicznymi obozowisko, w którym przebywali już podróżni, lecz wystarczyło miejsca dla ich wozów oraz koni. Elissa odetchnęła z ulgą.

Chwilę później ziemia zaczęła drżeć pod ich stopami.

– Skalne demony! – parsknął Yon. – Wszyscy do środka! Kuszniczy, rozstawić się dookoła! Szybko!

Rębacze byli spokojni i posłusznie wypełniali polecenia, ale bynajmniej nie uśmierzyło to coraz większego lęku Elissy. Odważyła się wyrysować kolejny run światła, a wówczas ujrzeli dwa kilkustopowe skalne demony, których pancerze przypominały granitowe płyty. Jeden z nich dźwigał pień sosny niczym maczugę. Jej połamane gałęzie sterczały na wszystkie strony, a wśród korzeni wisały grudy wilgotnej ziemi. Za nimi gromadziły się hordy otchłańców.

Drugi taszczył głaz wielkości beczki na deszczówkę.

Na Stwórcę...

Elissa uświadomiła sobie zagrożenie, gdy demon zamachnął się długimi ramionami i cisnął głazem prosto w obóz. Pocisk zakreślił łuk w powietrzu, a Elissa

wpatrywała się w niego jak oczarowana i dopiero po chwili przypomniała sobie o swym piórze. Pospiesznie wyrysowała run uderzenia. Nie miała czasu, by obliczyć ilość mocy potrzebnej do zatrzymania kamienia, a więc pchnęła wszystko, co miała.

Pióro plunęło mocą, która rozbiła głaz w pył, a siła odrzutu zrzuciła kobietę z konia. Zderzyła się z ziemią, pióro wypadło z jej odrętwiałych palców. Na obozowisko spadały kamyki oraz pył.

– Elissa! – Ragen zeskoczył z Nocnego Tancerza i przypadł do próbującej usiąść żony, ale ta odpędziła go machnięciem ręki.

– Nic mi nie jest! Demonami się przejmuj!

Derek wyciągnął własne pióro i starannie kreślił runy światła, by oświetlić wroga. Kusznicy uwalniali bełty, ale te odbijały się od pancerzy otchłańców, wzmagając jedynie ich gniew.

– Trza będzie wyskoczyć, żeby się z nimi uporać! – Yon uniósł topór. – Jase! Lary! Za mną!

– Stój! – zawołał Ragen. – Jest ich zbyt wiele! Nie wychodźcie poza barierę!

– Runy nie wytrzymają długo, jak te dwa zaczną tłuc w nie pniakami! – odkrzyknął Yon. – Do roboty!

– Niech to Otchłań! – Ragen skoczył, by wyprzedzić Rębaczy. Demon taszczący drzewo zamachnął się, by cisnąć nim w słupy runiczne, na co Ragen wyciągnął swoje pióro i wyrysował run ognia.

Błysnęła magia, gdy pchnął moc w symbol, ale rezultat okazał się rozczarowujący. Połowa drzewa poczerniała zwęglona, od pnia odpadło też kilka żarzących się węgielków, ale nie powstrzymało to otchłańca.

– Demonie łajno! – warknął Ragen i podjął drugą próbę, lecz tym razem pchnął zbyt wiele mocy. Pień eksplodował płomieniami, które pochłonęły demona i rozświetliły noc.

Drugi otchłaniec zasłonił pysk pazurzastymi łapami, a Rębacze na nowo podjęli ostrzał. Po chwili potwór splótł jednak łapy przypominające głazy i rąbnął nimi z całej siły w ziemię. Próbująca powstać Elissa zatoczyła się. Inni dookoła tracili równowagę i przewracali się. Pociski z kusz miały cel z daleka.

Elissa z rozpaczą szukała pióra. Wiedziała, że jeśli skalniakom uda się przerwać barierę, demony wedrą się hurmą do obozu. Na szczęście po chwili odnalazła swą broń. Oczyszczyła z kurzu, podbiegła do słupów i wyrysowała starannie run uderzenia, przydając mu umiarkowaną moc. Tym razem przygotowała się na odrzut, przez co zniosła go o wiele lepiej, a symbol zapłonął i uderzył demona prosto w pierś.

Otchłaniec przewrócił się na plecy, choć wyglądało na to, że nie odniósł poważniejszych obrażeń. Derek nakreślił wówczas runy zimna i nasycił je wielką mocą. Syknął i upuścił pióro ze zdrtwiałych palców, ale nogi leżącego demona pokrył biały szron. Wtedy Ragen wycelował w nie serię potężnych runów uderzenia – dwa nie wyrządziły mu krzywdy, za to trzeci wywołał potężny trzask i jedna kończyzna rozsypała się w drobny mak.

Płomienie, które objęły pień drzewa, przygasły wreszcie i okazało się, że trzymający je demon również jest cały i zdrow. Przypuścił atak na barierę, ale Elissa, Ragen i Derek byli już gotowi i jednocześnie zaczęli kreślić symbole. Elissa przewróciła go na ziemię, Derek zamroził jego korpus. Niska temperatura sprawiła, że uprzednio rozgrzane do czerwoności płyty pancerza zaczęły pękać. Wtedy do akcji wkroczył Ragen, który kolejną serią runów uderzenia pogłębił ranę i zmiażdżył demonowi serce.

Pozostałe otchłanice, widząc śmierć największych pobratymców, umknęły i przyczaiły się na skraju runicznego światła.

– Sprytnie to rozegrały, trza przyznać – splunął Yon. – Podobno demony nie potrafią korzystać z broni, jeśli w pobliżu nie ma myślaka, a tu patrzcie. A przecież Nów był trzy dni temu.

– Nadal nie wiemy o nich wszystkiego – rzekła Elissa. – Pani Leesha mówiła, że zmiennokształtne również potrafią dowodzić.

– Zgadza się – oznajmił Yon. – Ale jeśli któryś przebywa w okolicy, chyba nie ma ochoty nam się pokazać.

– Być może – odezwał się Ragen.

– Tak czy owak, ryzykować już nie będziemy – zdecydował Yon. – Będziemy zatrzymywać się przed zapadnięciem zmroku, rozbijać obóz i przez całą noc trzymać straż.

– Przyzwyczajiliśmy się do myślenia, że to Krasjanie stanowią problem, a nie otchłańce – zauważyła Elissa.

– I chyba czas to zmienić – stwierdził Yon. – Noc staje się coraz silniejsza.



Przez następnych kilka dni nikt się dobrze nie wyspał, lecz ich życie nie znalazło się już w niebezpieczeństwie. Zatrzymywali się przed zapadnięciem zmroku, by wzmocnić runy, i demony wołały już nie sprawdzać ich wytrzymałości. W końcu dotarli do „Pniaka Farmera”, ulubionej gospody Ragen, gdzie zjedli kolację i przespali noc w łózkach. Następnego dnia zaraz po śniadaniu wyruszyli w dalszą drogę i przed południem dotarli do Fortu Angiers.

Wielkie drewniane wrota, zniszczone częściowo podczas szturm Krasjan, były właśnie łątane świeżymi belkami. Wzdłuż murów wznosiły się rusztowania, co oznaczało, że

oprócz napraw nowy książę podjął się również rozbudowy.

– Pogrubiają mury – rzekł Ragen. – To dobry znak.

– Może wystarczy na Krasjan – stwierdził Yon. – Ale niech przyjdzie kilka skalnych demonów z pociskami, a szybko się rozpadną.

Żołnierze Górskich Włóczni w dobrze znanych Ragenowi mundurach strzegli bramy oraz patrolowali ulice. Ich bagnety były ostre i zabójcze niczym ostrza włóczni, ale pełniły raczej funkcję dekoracyjną. Wszyscy dobrze pamiętali, jak niszczycielska jest ich ognista broń, przez co nikt nawet nie myślał, by wchodzić im w drogę. Angieriańscy Drewniani Żołnierze, którzy z włóczniami przewieszonymi przez plecy wyglądali przy nich na formację zacofaną i prymitywną, zajmowali się podrzędnymi zadaniami, takimi jak przepytywanie podróżnych i przetrząsanie ich wozów.

– Jak się zwiesz i po co przybywasz do miasta? – zapytał jeden z nich, podchodząc do Ragen.

– Nazywam się Ragen i jestem mistrzem milneńskiej Gildii Patronów Runów – odparł ten i wyjął dokumenty z pieczęcią samego Euchora. Strażnik otworzył szeroko oczy i podbiegł do swego zwierzchnika, żołnierza Górskich Włóczni.

– Angieriańscy żołnierze odpowiadają teraz przed Milneńczykami? – zdziwiła się Elissa.

– Brat Rhinebecka zasiadł co prawda na tronie – rzekł Ragen – ale wygląda na to, że to Euchor sprawuje w Angiers realną władzę.

– Będziemy musieli trzymać się na baczności – stwierdziła Elissa. – Miejscowy dwór musi aż kipieć ze złości.

Gdy pokonali bramę, ich oczom ukazał się generał Górskich Włóczni, dosiadający nieskazitelnie białego ogiera.

– Ragen! – zagrzemiał wesoło. – A więc to jednak ty! Już rano miałem wrażenie, że od południa zalatuje smrodem!

– Bruz! – wykrzyknął Ragen i zsunął się z siodła. Oficer poszedł w jego ślady. – Nie miałem pojęcia, że Euchorowi aż tak zbrzydła twoja gęba, że posłał cię do Angiers!

Objęli się mocno, zderzając napierśnikami i tłukąc się po plecach.

– Ha, dowodzę eskortą księżniczki! – wyjaśnił Bruz.

Generał był jednym z najbliższych doradców wojskowych Euchora i od wielu lat przyjaźnił się z Ragenem. Ten trącił naramiennik oficera i rzekł:

– I awansu się doczekałeś, jak widzę.

Bruz pokiwał głową.

– Po tym, jak rozbiliśmy natarcie Krasjan, Euchor posłał na południe dodatkowe trzy tysiące Górskich Włóczy wraz z proklamacją i kufrem złota, który nieomal przygniótł niosącego go muła.

– Imponujące – oznajmił Ragen.

– To samo można powiedzieć o tobie! – rzucił Bruz. – Cała Północ ma dług wobec ciebie i Matki Elissy za informacje przesyłane z tyłów Krasjan. Euchor bez wątpienia wynagrodzi was za wysiłki. Póki co rozgośćcie się w pałacu. Pozostańcie z nami tak długo, jak chcecie.

– Obawiam się, że nie zabawimy tu długo – odparł Ragen. – Muszę dostarczyć na dwór pilne wieści, ale Elissa i ja bardzo się stęskniliśmy za dziećmi. Chcemy wracać najszybciej, jak się da.

– Jasne, jasne! – zawołał Bruz. Gwizdnął głośno, a wówczas jego podwładni zaczęli pokrzykiwać i spychać na bok innych podróżnych, by zrobić miejsce dla karawany Ragen.

– To wcale nie jest konieczne! – oznajmiła Elissa, gdy któryś ze strażników pchnął opieszalego kupca na ziemię.

– A właśnie że jest! – rzekł Bruz. – Te tępaki muszą się

nauczyć, że na gwizdek Górskiej Włóczni trzeba się usunąć na bok! Gdyby nie my, byłiby dziś martwi albo w krasjańskiej niewoli.

Ragen zacisnął usta, spojrział Elissie w oczy i znacząco pokręcił głową. Kobieta na szczęście nie wróciła do tematu.

– Przybywam tu jednak z nieco bardziej urzędową misją – podjął Ragen. – Od dawna nie pełnię już roli książęcego Posłańca, ale hrabina Leesha namówiła mnie, żebym na moment zawiesił stan spoczynku i przemówił w imieniu Zakątka na dworze księcia Pethera.

Bruz uniósł brew.

– Mistrz milneńskiej Gildii przemawia w imieniu angieriańskiej hrabiny? Czy to aby nie konflikt interesów?

– To trudne czasy. – Ragen wzruszył ramionami. – Trudno winić panią Leeshę o to, że nie ma ochoty wysłać następczyni Bezpalcęgo do Angiers tak szybko po tym, jak zginął jej mistrz.

– Euchorowi się to nie spodoba – zauważył Bruz.

– Och, Jego Książęca Mość już nie raz się na mnie złościł – rzekł Ragen, a Bruz parsknął śmiechem.

– Mało powiedziane!

Wkrótce dotarli do pałacu, gdzie przy wejściu dostrzegli kolejną znajomą twarz.

– Stwórco, wybaw mnie – mruknął Ragen, gdy Keerin, słynący z głupoty książęcy herold, ruszył im na powitanie.

– Ragen! – zawołał Keerin, idąc ku niemu z szeroko otwartymi ramionami, jakby chciał powitać dawno niewidzianego przyjaciela, choć ich stosunki ledwie zasługiwały na miano poprawnych. Piętnaście lat temu, gdy Ragen pracował jeszcze jako Posłaniec, wybrali się we dwóch na wyprawę, ale bynajmniej nie zacieśniło to więzi między nimi. Keerin zbudował swą popularność głównie dzięki temu, że przypisał sobie zasługi Arlena, a gdy ten ośmielił się zaprotestować przy innych, uczniowie Keerina

pobili Balesa i jego przyjaciela Jaika.

Ragen wyminął otwarte ramiona Keerina, a herold udał, że tego nie zauważył.

– Dobrze cię znów widzieć, stary przyjacielu.

Ragen zacisnął zęby.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Keerin?

– Miałem nadzieję, że znajdzie się miejsce w twojej karawanie idącej do Miln.

Ragen pokręcił głową i powiedział:

– Euchor wysłał cię tu jako swojego herolda i nie mam zamiaru ingerować w jego dyspozycje, chyba że sam książę wyda mi takie polecenie i zapłaci za twój przejazd.

– Och, doprawdy! – Bruz z trudem tłumił rozbawienie. – Mistrz Keerin już dawno wypełnił swoje obowiązki w Forcie Angiers. Zwyczajnie brakuje mi ludzi, żeby zapewnić mu eskortę do Miln, a on sam, pomimo swojej legendarnej odwagi, z niechęcią podchodzi do pomysłu samotnego powrotu do domu.

Keerin przełknął ślinę, słysząc słowa generała, ale nie podjął zaczepki. Zamiast tego zwrócił się do samego Ragen, mówiąc cicho, by jego słowa nie dotarły do nikogo innego:

– Słyszałeś, co powiedział. Nikt mnie tu nie potrzebuje, a na tym dworze panuje wysoka śmiertelność wśród Minstrelów. Najpierw zostali zamordowani Jasin Złotogłosy i jego uczniowie, a po nich nieszczęsny mistrz Bezpalczy, który zginął w Wieży Południowej. Euchor może mnie zwolnić z urzędu, jeśli tego chce. Mam to gdzieś. Ja po prostu chcę wrócić do domu.

Ragen zerknął na Elisę, która również nie przepadała za Keerinem. Kobieta położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, jak się czuje człowiek, który oddałby wszystko, żeby wrócić do rodzinnego domu. Oczywiście, że możesz do nas dołączyć.

Twarz Minstrela rozpromieniła się. Ujął dłonie Elissy i ucałował je kilkakrotnie.

– Dziękuję ci, Matko! Niech ci Stwórca błogosławi! Natychmiast zacznę się pakować!

Pisnął z radości, wykonał salto w tył i popędził korytarzem, a jego pstrokaty ubiór błyskawicznie zniknął im z oczu.

– Będziemy tego gorzko żałować – stwierdził Ragen.

– Być może – odparła Elissa. – Ale po tylu miesiącach w dziczy nie mam zamiaru stawać na drodze komuś, komu zależy tylko na powrocie do domu.

Podbiegł do nich młody chłopak. Bruz machnął dłonią w jego kierunku.

– Wybaczcie, muszę się zająć kilkoma sprawami. Rodzina książęca przyjmie was na wieczornej audiencji, a póki co waszymi potrzebami zajmie się Mały Minister.

– Mały Minister? – zdziwił się Ragen.

Chłopiec uklonił się.

– Mam na imię Pawł. Pan generał nazywa mnie tak dlatego, że moim ojcem był pierwszy minister Janson.

– Nie ja wymyśliłem to przezwisko, ale idealnie do niego pasuje. – Bruz zmierzwił chłopakowi włosy. – Bez niego nigdy nie rozczytalibyśmy ksiąg rachunkowych jego ojca.



– Tędy! – Pawł prowadził Eliszę, Ragen, Dereka i Yona korytarzem. – Wasze komnaty będą wkrótce gotowe. Póki co przygotowaliśmy na wasze przybycie bawialnię, w której możecie zaspokoić głód i nieco odpocząć.

– Oto pierwsza oznaka bogactwa – burknął Yon. – Masz oddzielny pokój do zabawy.

Pomieszczenie rzeczywiście okazało się zbyt kownie urządzone, a na stole czekały na nich rozmaite przekąski, parujący serwis do herbaty, woda, wino i nawet dzbanek piwa. Po tygodniach spędzonych na szlaku widok poczęstunku pochłonał ich do tego stopnia, że Elissa dopiero po chwili ujrzała starszą panią, która popijała herbatę na kanapie. Wystarczył jeden rzut oka na jej jedwabie i klejnoty, a Elissa natychmiast zrozumiała, kogo ma przed sobą. Dygnęła pospiesznie i trąciła łokciem Ragen, który również zorientował się w sytuacji i uklonił się wraz z nią. Yon i Derek, którzy nie rozumieli zachowania towarzyszy, zamarli zaskoczeni.

Księżna matka machnęła ręką z irytacją.

– Dość tego! Przecież nie będę powstrzymywać głodnych ludzi od jedzenia! Smacznego, chłopcy!

Ragen i pozostali uklonili się szybko i przypadli do stołu.

– Niech ci się przyjrzę, moja droga – księżna matka zwróciła się do Elissy. – Moje oczy nie są już takie dobre jak kiedyś.

Elissa podeszła bliżej i z trudem opanowała pokusę, by dygnąć ponownie, zwłaszcza gdy Araine podniosła się, by ją powitać.

– Wasza Książęca Mość!

– Możemy pozostawić tytuły za drzwiami, Elisso – powiedziała Araine. – Korespondowałam z twoją matką na długo przed twoim urodzeniem. Od dawna przyjaźnię się z hrabiną Treshą. Nie wspominała ci nigdy o mnie?

Jej słowa całkiem Elissę zaskoczyły, jak zawsze, gdy ktoś wspominał jej matkę.

– Rzadko rozmawiamy z hrabiną.

– Łagodnie to ujęłaś – parsknęła Araine. – Pomówimy o tym przy herbacie.

Pawl przysunął Elissie krzesło, a potem podał filizankę z herbatą oraz talerz z delikatnymi kanapkami.

– Mam dla ciebie list – powiedziała Elissa, gdy paż odsunął się i stanął pod ścianą.

– A więc od razu przechodzisz do interesów. Masz o wiele więcej wspólnego z matką, niż ci się wydaje.

Komentarz zirytował Elissę, lecz nie dała tego po sobie poznać. Bez słowa wyciągnęła kopertę, w której znajdował się list Leeshy. Księżna matka podważyła pieczęć ostrym paznokciem i szybko omiotła wzrokiem treść, po czym westchnęła.

– Obawiam się, że nie mogę zaoferować wiele ponad kilka rad.

Elissa zamrugwała.

– Leesha utrzymuje, że to ty sprawujesz prawdziwą władzę w Angiers.

– Kiedyś tak było. Zanim zamordowano Jansona, a Euchor kupił Bluszczowy Tron, płacąc za niego naszą krwią. Lorain zagarnęła niemalże całą władzę, a resztę uprawnień przejął Pether. Kiedyś w mojej wyszywalni spotykało się całe Angiers, a teraz pozostało w niej jedynie kilka niewykończonych tkanin.

– To może okazać się problemem – rzekła Elissa. – Gdyż Lorain i ja...

– ...nie dogadujecie się najlepiej od tej waszej awantury w dzieciństwie – dokończyła za nią Araine. – Kiedy to młody Sament zaprosił cię na Bal Równonocy.

– Na Bal Przesilenia – poprawiła ją Elissa. – A ja mu odmówiłam.

– A córka księcia Miln tak czy owak poczuła się kandydatką numer dwa.

– Skąd to wiesz? – spytała Elissa.

– Tresha opowiada najrozmaitsze historie o tobie od czasu, gdy zwolniła twoją pierwszą mamkę – odparła Araine. – Jest z ciebie bardzo dumna.

Tym razem Elissa już nie zdołała się opanować.

– Skoro tak myślisz, znak to widomy, że wcale nie znasz mojej matki tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Nie bądź tego taka pewna, moja droga – rzekła Araine.

– Wywołałaś niezły skandal, gdy umknęłaś z Halli Wschodzącego Słońca, żeby poślubić Posłańca. Ona chciała dla ciebie jak najlepiej.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób wydziedziczenie mnie mogło jej w tym pomóc – odparła Elissa. – Na szczęście moje siostry posłusznie wyszły za baronów, których matka spraszała do naszych ogrodów.

Araine machnęła ręką.

– Tresha nigdy wprost się do tego nie przyzna, ale zaimponowało jej to, jak się jej przeciwstawiłaś. Żadna z twoich pokornych sióstr już tego wyczynu nie powtórzyła. Wystarczy, że poprosisz, a matka natychmiast cię poprze.

– Poprze mnie. – Elissa zgrzytnęła zębami. – Tak jakby ślub z najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam, był przestępstwem, za które należy odpokutować. Nie zależy mi na jej „poparciu”! Niech się dalej bawi w swoje dworskie intrygi!

Araine pociągnęła nosem, nieco zdeprymowana.

– Obawiam się, że możesz nie mieć wyboru w tej kwestii. Widziałaś zbyt wiele i dokonałaś zbyt wiele, żeby teraz wrócić do zamykania sklepu z runami. Spodziewam się, że po powrocie zostaniesz wezwana przed Radę Matek, żeby zdać im pełny raport ze swoich przygód na mokradłach. Dobrze znam tę zgraję złośliwych staruch, a twoja matka stoi na ich czele. Bez względu na to, co o niej myślisz, lepiej mieć w niej sojuszniczkę niż wroga.

Elissa przełknęła ślinę. Rada Matek Miln była niemal tak potężna jak sam książę Euchor i odpowiadała za większość codziennych funkcji miasta. Elissa z goryczą uświadomiła sobie, że jeśli chcą z Ragenem wprowadzić jakiegokolwiek zmiany w mieście, nim będzie zbyt późno,

Rada Matek musi stanąć po ich stronie.

– Niewykluczone, że masz rację. Dziękuję za radę – powiedziała. Słowa pozostawiły kwaśny smak na języku, ale Elissa zdołała je wyartykułować z uprzejmym uśmiechem.

– Oczywiście obie wiemy, że twoja matka nie jest wcale najważniejszym z twoich problemów rodzinnych. – Araine wzięła małą kanapkę i zjadła ją szybko w dwóch kęsach.

– Doprawdy? – spytała Elissa.

– Poznałam w zeszłym roku młodego pana Balesa – odparła Araine. – Zanim jeszcze zaczęła się ta cała awantura z demonem pustyni. Był niższy niż w opowieściach, ale wydał mi się zacnym chłopakiem. Być może nazbyt wielki z niego idealista, ale młodym z tym do twarzy.

– W istocie, zacny był z niego chłopak – potwierdziła Elissa, ostrożnie dobierając słowa.

– Zacny chłopak, przez którego Euchor wyszedł na idiotę – rzekła Araine. – A teraz, gdy już wiadomo, że wasz podopieczny stał się Naznaczonym, na dworze pojawiły się pytania, ile o tym wiedziałaś i kiedy się tego dowiedziałaś. Proponuję, żebyś baczyła na słowa i ustaliła ze swoim mężem tę samą wersję wydarzeń.

– Mogą mnie pytać, o co chcą – powiedziała Elissa. – Nie mamy nic do ukrycia.

– Oczywiście. – Araine postukała listem od Leeshy w swoją filizankę. – Wierzysz w to, dziewczyno? Że demony się wyroją?

– Tak – odparła Elissa. – Otchłańce rosną w siłę, choć Krasjanie i wojownicy z Zakątka zabijają je tysiącami. Próbowwały nas osaczyć na trakcie.

Skrótowo opowiedziała księżnej o skalnych demonach, które usiłowały rozbić barierę.

– Para demonów, które sprawdzały wytrzymałość runów,

jeszcze nie świadczy o tym, że Otchłań coś szykuje – stwierdziła Araine. – Tu nie zauważyliśmy żadnych zmian w ich zachowaniu. Być może prowokuje ich to, co się dzieje w Zakątku?

– Naprawdę chcesz to zignorować? – spytała Elissa.

– Prawdziwym wrogiem są Krasjanie – rzekła Araine. – Zabili mi trzech synów, braci Petherera. Zabili męża Lorain. Zabili tysiące mężów, żon i dzieci w okolicach Wolnych Miast, o wiele więcej niż w tym samym czasie demony, a teraz dezercerzy z bitwy o Angiers łączą się w zbrojne kupy i dopuszczają okropnych zbrodni. Kastrują młodych mężczyzn i chłopców, a potem wciągają ich w swoje szeregi. Pozostawiają po sobie jedynie krew i popiół. Żadna z wsi na wschodzie nie może czuć się bezpieczna.

– I tylko ich obecność powstrzymuje Euchora przed obwołaniem się królem – powiedziała Elissa.

– Nie mam pojęcia, co mogłoby go powstrzymać – odparła Araine. – Dobrze to wszystko rozegrał. Będzie przesyłał kolejne oddziały Górskich Włóczy do fortów budowanych wzdłuż traktu na południe, aż zgromadzi ich tyle, żeby mógł posłać spory kontyngent. Połączy go z oddziałami, które Pether wezwie z Zakątka, i wraz z nimi zmiażdży Krasjan raz na zawsze.

Elissa popijała herbatę, patrząc na podłogę.

– Hrabina Leesha wierzy, że największym zagrożeniem są demony. Nie sądzę, żeby poparła atak na sąsiadów.

– Leesha buduje własną politykę – zgodziła się Araine. – Ale być może nie będzie miała wyboru. Ty jednak masz własne problemy. Uważaj na każdy krok po powrocie do domu.



– I stąd właśnie zwieemy go demooonią fuuuujarą! – zakończył Keerin i po raz ostatni trącił struny lutni, a Elissa odetchnęła z ulgą. Minstrel był tak szczęśliwy, iż wreszcie opuścił Angiers, że od chwili wyjazdu ani razu nie odłożył instrumentu.

Dzięki niech będą Stwórcy, pomyślała.

Audycja z Petherem i Lorain nie przebiegła dobrze, a Elissa nie mogła zapomnieć o ostrzeżeniu Araine. „Uważaj na każdy krok po powrocie do domu”.

Nie zdążyła się jeszcze nacieszyć chwilą ciszy, gdy Keerin rozpoczął kolejną pieśń. Elissa opanowała chęć zasłonięcia uszu.

– Zapłaciłabym tysiąc słońc, żeby się zamknął.

– Ostrzegałem – powiedział Ragen.

– Nie jest tak źle – rzekł Yon, który wraz z innymi mieszkańcami Zakątka czerpał sporo przyjemności ze śpiewu Minstrela i przyłączał się do refrenów. – Do Bezpalczego sporo mu brakuje, ale w Zakątku lubimy rudowłosych Minstreli. Kiedyś piłem piwo w tej tawernie w Rzczułce i jeden gość imieniem Feller powiedział mi, że Keerin odciął ramię cholernemu skalnemu demonowi. Nie musiał nawet sięgać po muzykę. Wyobrażacie sobie tego mikrusa, jak staje twarzą w twarz ze skalniakiem?

– Fakt – zgodził się Ragen. – Brzmi to idiotycznie.

Yon uśmiechnął się z zadumą.

– Dużo bym dał, żeby to zobaczyć – dodał.

Ragen otworzył szeroko oczy.

– To ty wierzysz w tę historię?

– A czemu nie? – spytał Yon. – Przez ostatnich kilka lat widziałem rzeczy, przy których błędnie wszelka gadanina przy piwie, a ten gość na pewno nie został ksiązęcym heroldem dzięki kłamstwom.

Oszołomiony Ragen przez moment nie był w stanie sformułować odpowiedzi. Nim otworzył usta, Elissa

położyła mu dłoń na ramieniu, a wówczas się uspokoił.

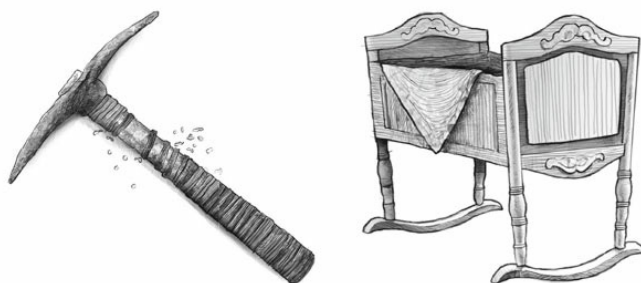
– Nie mogliśmy go pozostawić – rzekła. – Angiers szykowało się do wojny, a oboje wiemy, że z Keerina żaden wojownik, bez względu na to, co mówią o nim w tawernach.

– Na jego szczęście Euchor zbudował wzdłuż traktów forty, żeby zaopatrywać swoje Górskie Włócznie w Angiers – odparł Ragen. – Nasi przyjaciele z Zakątka nie będą więc mieli okazji ujrzeć męstwa, którym wykazuje się w nocy.

W istocie, ostatnich kilka nocy spędzili za potężnymi, wzmocnionymi runicznie murami fortów przydrożnych, obsadzonych przez liczne załogi Górskich Włóchni, wyposażonych w ognistą broń. Widok fortów sprawiał Elissie wielką ulgę co wieczór. Od jakiegoś czasu nie minęli bowiem żadnych wsi ani miasteczek i dobrze było ujrzeć na noc mocne bariery runiczne. Równie dobrze było usłyszeć milneński akcent po tak długim pobycie na południu.

Z miejsca, w którym się znajdowali, już było widać kolejny fort, wzniesiony na wysokim wzgórzu, zapewniającym dobrą widoczność. Grube, mocne mury oraz dym unoszący się z komina obiecywały ciepły, bezpieczny wieczór z dala od demonów.

Gdy podjechali bliżej, Elissa ujrzała wyłom w murach. Podmuch wiatru przywiał bijący stamtąd zapach, a wówczas kobieta uświadomiła sobie, że dym unoszący się nad fortem bynajmniej nie wydaje się już taki nęcący.



I8

W domu

334 ROK PLAGI

Jeph Bales siedział w swoim ulubionym bujanym fotelu, pykał z fajki i spoglądał na podwórko. Jego dzieci stały przy balustradzie i rozglądały się we wszystkich kierunkach, a słońce powoli chyliło się ku zachodowi. W środku słyszał już krzątanicę Norine i Ilain, które szykowały kolację.

Cienie rozlewały się coraz dalej i Jeph oparł się pokusie sprawdzenia runów kolejny raz. Rozparł się wygodnie i ponownie pociągnął, aż w fajce znów się rozżarzyło.

Zdumiewał go własny spokój. Zachód słońca zazwyczaj wyzwalał wszelkie lęki, które ludzie tłumili za dnia, a Jeph zawsze był tchórzem. Jeszcze rok temu chodziłby po domu i bez końca sprawdzał wszystkie zamki i runy.

Piętnaście lat temu z tego właśnie miejsca patrzył bezsilnie, jak demony zabijają jego żonę Silvy. Nie zrobił nic, by jej pomóc. Zaciskał jedynie uda, by nie zsikać się w spodnie.

Wszystko odmieniło się rok temu latem, gdy ujrzał na swoim podwórzu wrzeszczącą Rennę Tanner. Tłumione przez lata wstyd i napięcie uwolniły się wreszcie i pękły, a Jeph złapał za siekiere, zbiegł z ganku i zrobił to, co powinien był zrobić dla Silvy wiele lat temu.

Potem pojawił się wytatuowany Posłaniec ze swą runiczną bronią. Od tego czasu Jeph zabił lub pomógł zabić trzydzieści siedem demonów. Jego ulubioną metodą walki – a przy okazji najbezpieczniejszą – był potężny cios w łeb, zanim otchłaniec zdołał się w pełni zmaterializować. Jeph trzymał wówczas mocno swą broń i nie wyszarpywał jej z rany, by magia pozbawiła demona mocy.

Dzielił otchłance na dwie grupy, rutyniarzy i włóczęgi. Demony należące do pierwszej grupy zawsze pojawiały się w tym samym miejscu i uderzały w runy z cierpliwością istoty nieśmiertelnej, czekając na tę jedną nieuniknioną noc, kiedy kryjący się za barierą ludzie czegoś nie dopilnują i otchłance zdołają się wedrzeć do środka.

Te, które zaliczał do drugiej, przemieszczały się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zdobyczy. Na ogół unikały terytoriów rutyniarzy, chyba że zwabiło je zamieszanie.

Jeszcze nie tak dawno temu na podwórzu o zachodzie słońca roilo się od mglistych kształtów powstających demonów, ale Posłaniec przetrzebił je runicznymi strzałami. Jeph zajął się pozostałymi rutyniarzami, niszcząc je powoli i skutecznie, zupełnie jakby plewił pole.

Jego ziemie były od dawna wolne od prześladowających je bestii, ale leżące na uboczu gospodarstwa, które woniały ludźmi i bydłem, zawsze przyciągały włóczęgi, a te mogły zostać rutyniarzami, jeśli ktoś im nie przeszkodził.

– Tam! – pisnęła mała Silvy i wskazała zagrodę, w której za dnia przebywała trzoda. W istocie, mglisty kształt, przywodzący na myśl obłok dymu bądź letnią mgiełkę, pojawił się ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie zginęła imienniczka dziewczynki.

Jeph splunął, wytrzepał żar z fajki i rozgniół go obcasem.

– Te przekłete otchłańce stają się gorsze od wilków – oznajmił. – Ledwie człowiek zaczyna się odprężyć, a tu znowu coś!

– Zajmę się tym, tato! – Młody Jeph założył runiczną strzałę na cięciwę.

– Nie wrywaj się. – Jeph złapał stylisko swojej ciężkiej siekiery. – Zostań na ganku i miej oko na wszystkich. Ja go załatwię.

Jephowi podobał się duch bojowy syna, ale chłopak miał dopiero czternaście lat i nie strzelał tak dobrze, jak mu się wydawało. Demony szybko się regenerowały. Gdyby nie zdołał zabić otchłańca, ten mógłby umknąć, zaleczyć rany i wrócić po chwili, by zaatakować z furją.

Jeph wyszedł na podwórko, nadal nie mogąc się nadziwić zmianom w swoim życiu. Kiedyś wyjście poza barierę w kierunku materializującego się demona oznaczało pewną śmierć. Teraz był to tylko kolejny obowiązek na gospodarstwie, co prawda niebezpieczny, ale wiele rolniczych prac wiązało się z niebezpieczeństwem, jeśli nie podchodziło się do nich z uwagą.

Jeph zaś był zawsze uważny. Nie spuszczał oczu z formującego się demona, jednocześnie rozglądał się po podwórzu. Istniało przecież prawdopodobieństwo, że otchłaniec ściągnie przyjaciół.

Mgła skupiła się wreszcie w kształt polnego demona. Otchłaniec otworzył pysk, by syknąć, jednak zbliżający się Jeph nie usłyszał żadnego odgłosu – materializacja nie

dobiegła jeszcze końca i przez kilka chwil demon nie mógł wyrzucić mu krzywdy.

Jeph natomiast miał pełną swobodę działania. Z wprawą uniósł siekierę nad głowę i opuszczył na łeb potwora z siłą, która pozwoliłaby na rozszczepienie kłody drewna. Normalne ostrze odbiłoby się od opancerzonej czaszki demona, nie czyniąc mu krzywdy, za to doprowadzając go do wściekłości, ale Jeph osobiście naniósł na nie runy. Ostrze wgryzło się głęboko w kości. Magiczne symbole rozbłysły przy uderzeniu, a w górę ramion mężczyzny pomknęła fala magii.

Jeph aż zadrżał, uczucie, które temu towarzyszyło, mieściło się gdzieś między przyjemnością a pożądaniem. Rozlewająca się po ciele magia czyniła go silnym, wręcz niezwykłym. Miał prawie pięćdziesiąt lat, ale czuł się sprawniejszy, niż kiedy skończył trzydziestkę. Jego zmysły wyostrzyły się nagle – słyszał wyraźnie głosy dzieci na ganku i kobiet w środku, a nawet zwierząt zamkniętych za ciężkimi wrotami obory po drugiej stronie podwórza.

Nasłuchiwał, czy nie zbliża się inny demon. Nawet miał nadzieję, że się jeszcze jakiś pojawi, by znów mógł poczuć gwałtowny napływ mocy. W głębi duszy pragnął coś demonom odebrać, tak jak one odebrały coś jemu. Obnażył zęby.

„Jephie Bales, weźże się w garść, ty stary durniu!” – odezwał się w głowie głos jego ojca, który zawsze emanował rozsądkiem. „Tylko skończony kretyn marzy o tym, żeby na jego podwórku pojawiły się kolejne demony!”

Otrząsnął się i odzyskał panowanie nad sobą. Zabijał otchłance, ale w przeciwieństwie do wielu innych ludzi z Potoku nigdy tak naprawdę tego nie polubił. Strumień magii sprawiał mu niezrównaną przyjemność, lecz nie był warty utraty kontroli. Dzięki opanowaniu ludzie żyli dalej. Ci, którzy o nim zapomnieli, płonęli na stosach

pogrzebowych.

– Tato! Uważaj! – zawołał młody Jeph.

Jeph odwrócił się i ujrzał kształt materializujący się ledwie kilka kroków dalej. Dziwne, gdyż demony zazwyczaj pojawiały się tuż po zachodzie słońca.

Ten pewnie zasnął, pomyślał.

Widział już, że formujący się otchłaniec był dwunożny i miał wyprostowaną sylwetkę, co zdradzało, iż mógł to być mały demon drzewny.

Jeph przypadł do niego, żeby wyrwać również i tego chwasta, ale ledwie wznosił siekierę, gdy kątem oka ujrzał kolejnego otchłanca, powstającego tuż obok pierwszego. Zawahał się.

„Z dwoma nie dasz sobie rady” – szepnął mu ojciec w głowie. „Uciekaj. Uciekaj!”

Młody Jeph wydawał się podzielać jego lęki.

– Tato, nachyl się!

Napiął łuk i posłał strzałę w bliższego demona, gdy ten skoczył na Jepha, materializując się z zaskakującą, niespotykaną do tej pory szybkością. Brzęknęła cięciwa.

Jeph zamrugał. Tuż przed nim stał Posłaniec z ponurą twarzą. W rękę trzymał strzałę, którą złapał, zanim wbiła się w głowę Jepha.

Znikły brązowe szaty Opiekuna, które nosił podczas ostatniej wizyty, ale gospodarz rozpoznał go dzięki tatuażom. Przybysz miał na sobie rozpiętą koszulę ze spranej białej bawełny oraz drelichowe spodnie. Był bez butów, a rękawy podwinął po łokcie.

Odwrócił się w stronę ganku z ponurym spojrzeniem.

– Skoro jeszcze się nauczyłeś, że nie wolno strzelać, gdy ktoś stoi ci na drodze, lepiej odłóż ten łuk, młody Jephie!

– Posłaniec? – wykrzyknął chłopak. – Myślałem, że jesteś demonem!

– Chłopak ma rację! – Jeph odwrócił się do przybysza. – Ta mgła niczym się nie różniła od...

Urwał, gdy uświadomił sobie, że drugi z materializujących się otchłanców okazał się młodą kobietą. W pierwszej chwili niemalże jej nie poznał. Skróciła włosy, rozcięła suknię aż po talię i wymalowała sobie runy na całym ciele, ale wiedział, że nigdy nie zapomni tych oczu i rysów twarzy, tak bardzo przypominających te, które należały do jego żony.

– Renna? – zapytał. – Renna Tanner?

– Teraz już Renna Bales – odparł Posłaniec.

– Że co? – Jeph odwrócił się na powrót ku niemu.

Posłaniec zerknął na runy na strzale, burknął coś pod nosem, a potem położył dłoń na ramieniu Jepha i popatrzył mu w oczy. W jego spojrzeniu zaśniło coś znajomego, czego Jeph nie potrafił rozpoznać, dopóki przybysz znów się nie odezwał.

– Mamy sporo do obgadania, ojcze.

Na podwórzu było ciemno, ale siekiera Jepha mieniła się magią, która wnikała w jego ramię i wyostrzała wzrok. Skupił się i przeniknął przez runiczną emanację, która otaczała przybysza, tak jak to przed chwilą zrobił z Renną. Niespodziewanie ujrzał w twarzy Posłańca podobieństwo do rysów Silvy, która zginęła piętnaście lat temu dokładnie w tym miejscu.

Kolana ugięły się pod Jephem, a wypuszczona z rąk siekiera wbiła się w ziemię u jego stóp. Zakręciło mu się głowie i wsparł się na stylisku, by nie upaść na ziemię. Powietrze nocy stało się gęste, otoczyło go ze wszystkich stron niczym woda.

– Arlen? – wyszeptał.

Nie mógł oddychać. Nie mógł ustać.

Posłaniec złapał go w ostatniej chwili i uchronił przed upadkiem.

– Tak, ojcze. To ja.



Oszołomiony Jeph wprowadził syna oraz Rennę na ganek, usiłując ustalić, kim Renna jest teraz dla niego.

Szwagierką czy synową? – myślał.

– Do środka! – rozkazał dzieciom. – Umyjcie się przed kolacją! I powiedzcie mamie, żeby przygotowała jeszcze dwa nakrycia!

Dzieciaki stały jak oczarowane i wpatrywały się w przybyszów, aż Jeph klasnął w dłonie.

– Już! Ruszajcie!

Nie dziwił się dzieciom, które w końcu drgnęły i rozbiegły się po domu, potykając się o własne nogi. Odsunął się, by wpuścić gości, i pospiesznie otaksował wzrokiem mężczyznę, który był jego synem. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie dostrzegł tego wcześniej, ale w tej chwili miał już absolutną pewność. Podobieństwo było uderzające, bez względu na runy.

Arlen żył.

Jego syn powrócił jako dorosły mężczyzna.

Podczas kolacji panowała cisza, jakby wszyscy się obawiali, że jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo może skruszyć czar i para gości rozplynie się niczym mgła, jakby nigdy nie istnieli. Norine odmówiła modlitwę, a potem w milczeniu zabrali się do jedzenia. Nawet dzieci wyczuwały napięcie – nie było tradycyjnych przepychanek, podszcypywania się pod stołem czy opowieści o tym, co kto dziś robił.

– Możesz mi podać ziemniaki? – Arlen zwrócił się do Choliego, a chłopak podskoczył, jakby ujrzał ducha, choć

w sumie tak właśnie było. Patrzył na ducha swojego starszego brata, który niespodziewanie powrócił i miał ochotę na ziemniaki.

W końcu Ilain uznała, że nie może już tego dłużej wytrzymać.

– Będę musiała się do ciebie jakoś przyzwyczaić, Ren. Przecież jesteś teraz moją synową!

– To nie powinno być trudne – odparła Renna. – Przez wiele lat zachowywałam się, jakbyś była moją matką.

W tonie wojowniczkii kryło się coś niejasnego, jakby szykowała się, by wygłosić zarzut. Jeden Stwórca wiedział, że obie kobiety mogły mieć do siebie wiele pretensji. Ich matka umarła, gdy Renna była młodą dziewczyną, a Ilain uciekła z Jephem zaledwie kilka lat później, pozostawiając swoje siostry pod opieką ojca rodem z Otchłani.

Ilain była spięta i dało się zauważyć, że czeka na kolejne ostre słowa, ale Renna przełknęła wszystko, co miała zamiar powiedzieć, i zmusiła się do szerokiego uśmiechu. Spojrzała na jej potomstwo.

– Zresztą sama liczba dzieciaków mówi, że masz prawdziwy talent do bycia matką.

Ilain odetchnęła i odwzajemniła uśmiech.

– Dzięki Stwórcy nauczyłam się wiele na własnych błędach – rzekła i pospiesznie odwróciła się do Arlena, by któraś z nich znów nie zburzyła nastroju. – Widzę, że mimo wszystko dotrzymałeś słowa i wróciłeś po Rennę.

Jeph zacisnął zęby. Czy ta przeklęta głupia kobieta nie mogłaby się już zamknąć? Czy zależało jej na tym, żeby goście wyszli i już nie wrócili?

Arlen jednakże uchwycił się tych słów niczym liny rzuconej tonącemu.

– Nie wróciłem po Rennę. Wróciłem po to, żeby raz jeszcze ujrzeć rodzinny dom i upewnić się, że wasze runy trzymają. Żeby mieć pewność, że to, co przytrafiło się... –

urwał jak przed chwilą Renną i zastanowił się nad doborem słów. – Że to, co przytrafiło się tylu rodzinom w Potoku – skinął Norine – nie będzie już musiało mieć miejsca. Ale kiedy ujrzałem Ren przywiązaną do pala... – Pokręcił głową. – Przecież nie mogłem się temu biernie przyglądać, prawda?

Wokół stołu zapadła niezręczna cisza. Wszak ludność całej osady nie zrobiła nic ponad to – wszyscy stali i przyglądali się bez słowa.

– Oczywiście, że nie. – Jeph odnalazł wreszcie rezon i spojrzał synowi w oczy. – Nigdy nie umiałeś stać w miejscu i patrzeć, dzięki Stwórcy. Okryłeś nas wszystkich wstydem, ale dokładnie tego potrzebowaliśmy.

Arlen skinął ledwie dostrzegalnie.

– Nigdy nie zapominałem o Ren – rzekł. – Myślałem o niej często nocą, gdy byłem... gdy byłem daleko. Wspominałem, jak mnie pocałowała tuż przed śmiercią mamy. – Pokręcił głową. – Jakoś nie wierzyłem, że wystarczy, by ojcowie uścisnęli sobie ręce, żebyśmy zostali sobie przyrzeczeni. Sądziłem, że taka kobieta szybko znajdzie sobie kogoś innego. – Odwrócił się ku Rennie, ujął ją za rękę i spojrzał w oczy. – Byłem w Miln, byłem na krasjańskiej pustyni i odwiedziłem każde miejsce między nimi warte zobaczenia. Wielu ludzi próbowało znaleźć mi żonę i nakłonić do osiedlenia się, ale jakoś nikomu się nie udało. Kto mógł wiedzieć, że ta, która jest mi pisana, czeka na mnie na końcu drogi?

– Ja to wiedziałam. – Renną ścisnęła jego dłoń. – Ale Arlen Bales zawsze był uparciuchem.

– Mało powiedziane! – zgodził się Jeph. Śmiech, jaki wybuchł dookoła stołu, wydawał się niemalże naturalny.

– A ja myślę, że to strasznie romantyczne – powiedziała Jeni Szwaczka, ujmując dłoń młodego Jepha. Byli sobie przyrzeczeni, tak jak kiedyś Arlen i Renną, choć miało

jeszcze upłynąć sporo czasu, nim dojrzeją do małżeństwa. – Czy ty też przemierzyłbyś cały świat, żeby po mnie wrócić, Jephy?

Chłopak pozieleniał na twarzy i wykrztusił coś, co zabrzmiało jak potwierdzenie. Jeni najwyraźniej nie zauważyła jego konfuzji, gdyż nadal promieniała uśmiechem.

– Wróciliście już na dobre? – spytała Ilain. – Chcecie założyć rodzinę? Ostatnio często rozmawiamy o wybudowaniu nowego domu i wynajęciu parobków. Ludzie ze Słonecznych Pastwisk napływają do Potoku. Tutaj żyje się trochę lepiej, nawet pomimo naszych kłopotów.

– Jakich kłopotów? – Arlen uniósł głowę.

– Cholie, Silvy! – odezwał się Jeph. – Posprzątajcie ze stołu i wstawcie wodę na herbatę, a potem idźcie się pobawić.

– Upiekłam dziś rano słodkie ciasto – rzekła Norine. – Chciałam je co prawda zostawić na mszę Dnia Siódmego, ale to przecież szczególna okazja. Jeni? Idź z młodym Jephem, żeby ukroić dla nas kilka kawałków.

– Ja chcę zostać – jęknął młody Jeph.

– Możecie wrócić, gdy ukroicie ciasta i zrobicie dla nas herbatę – zgodził się Jeph. – A teraz jazda stąd.

Dzieci pobiegły do kuchni, a Jeph wstał, by sięgnąć po fajkę i kapciuch z tytoniem.

– Mam gdzieś drugą fajkę – powiedział, podsuwając kapciuch synowi.

– Nie trzeba, dzięki. – Arlen machnął ręką. – Bywało, że paliłem fajkę, gdy pracowałem jako Posłaniec, bo wówczas wracałem myślą do domu. Teraz zaś, gdy już tu jestem... – Wzruszył ramionami i dodał: – Jakoś mi to już nie pasuje.

Jeph pokiwał głową, ciesząc się, że ma pretekst, by pochylić się i skupić na nabijaniu fajki. Rozniecił ją i pykał

przez moment, aż tytoń się rozjarzył, a jego samego otoczyła chmura wonnego dymu. Usiadł wówczas i rzekł:

– Od czasu, gdy wyjechałeś, nie ma już spokoju. Potok prosperuje, ale ludzie są...

– Trudniejsi – przyszła mu z pomocą Ilain.

– Wreszcie znaleźli w sobie odwagę, żeby walczyć z otchłańcami – powiedziała Norine. – Ale niektórzy... Cóż, polubili to aż za bardzo.

– Nie dziwi mnie to. – Arlen pokiwał głową. – Powodują kłopoty?

– Selia jak dotąd radzi sobie ze wszystkim. – Jeph znów pyknął. – Utworzyła miejscową milicję i oczyściła okolice Ryneczku i Pagórka Bogginów z większości demonów. Brine ma trochę większe problemy w Osadzie przy Borach, ale rąbanie otchłańców wkrótce przypadło drwalom do gustu. Mogliby nie robić nic innego.

– To też nie zaskakuje – rzekł Arlen. – I założę się, że produkują więcej drewna niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zgadza się – odparł Jeph z fajką w zębach. – Niemal wszyscy radzą sobie teraz lepiej. Nikt w Potoku nie chodzi już z pustym brzuchem.

– To dobre wieści – stwierdził Arlen. – Przyda wam się drewno na nowy płot.

– Jaki znowu płot?

– Pokażę wam nowy sposób budowania bariery runicznej, który opracowaliśmy w Zakątku Drwali – rzekł Arlen. – Przepędzi demony z waszych ziem raz na zawsze.

Jeph wyjął fajkę z ust i wydmuchnął obłok słodkiego dymu.

– Brzmi zbyt dobrze, żeby było to prawdą.

– Złe wieści też przynoszę – zasępił się Arlen. – Ale przejdziemy do tego. Najpierw chciałbym usłyszeć więcej o Potoku. Wciąż macie problemy z Zakątkiem Rybaków?

– Było trochę zamieszania na początku. – Jeph rozparł

się na krześle. – Ale szybko się okazało, że runy na rybackich oszczepach w sumie mogłyby się przydać. Bo ci, co je mieli, stali się...

– Silniejsi – odpowiedział Arlen. – To efekty zabijania demonów.

Jeph pokiwał głową.

– Fisherowie nie byli już w stanie pomiatać innymi. Raddock próbował nadal rządzić żelazną ręką, ale jego sąsiedzi chcieli, żeby milicja broniła ich również, i przegłosowali go. Nadal jest Mówcą, ale nie ma już takiego znaczenia jak kiedyś.

– Nie podoba mi się to, co zrobili – powiedziała Norine. – Ale biorę Stwórcę na świadka, że to kiepskie czasy dla Rybaków. Bywa, że milicja daje im czasem niezły wycisk, a zdarza się, że biorą od nich więcej ryb, niż powinni.

– Trzeba to powstrzymać, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli – stwierdził Arlen.

– A moim zdaniem mają to, na co sobie zasłużyli – rzekła Renna.

Nie mogła zapomnieć, że to mieszkańcy Zakątka Rybaków podburzyli ludność Potoku po tym, jak jej ojciec zabił Cobiego Fishera. Niedługo po tym została przywiązana do pala, gdzie miały się nią zająć demony.

– To Sędzia Raddock sobie zasłużył, Ren – zgodził się Arlen. – I może Garric Fisher. Ale pokazano im, na czym polegały ich błędy, i na tym wszystko powinno się zakończyć. Nic dobrego nie przyjdzie z tego, że cała osada zostanie ukarana za przewiny kilku przygłupów. W walce z demonami wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Wyglądało na to, że Renna ma ochotę na kłótnię, lecz skończyło się tym, że pokiwała lekko głową.

– Po deserze popłynę do Selii i pogadam z nią o tym – rzekł Arlen.

– Popłyniesz? – zdziwił się Jeph.

– To taka... magiczna sztuczka, której nauczyłem się podczas swoich podróży – wyjaśnił Arlen. – W ten sposób dotarliśmy tu wraz z Ren.

– Pojawiłeś się niczym mgła – rzekł Jeph.

Na noc, jak ja mogłem o tym zapomnieć! – pomyślał.

– Wyrosłeś spod ziemi niczym demon – dodał. – Widzę, że zrezygnowałeś z tego wielkiego, straszego...

Urwał, a Arlen zachichotał.

– Tak, Tancerz, kiedy ma przerwę w rozbijaniu demonom czaszek, potrafi napędzić niezłego stracha również ludziom. To najszybszy koń na świecie, ale to naprawdę niewiele w porównaniu z prędkością, z jaką człowiek przemyka podziemnymi prądami.

– Jakimi znowu prądami? – spytała Ilain.

– Prądami magii – wyjaśniła Renna. – Biegają prosto z Otchłani niczym strumienie wokół jeziora. Wystarczy pojąć zasady, a człowiek śmiga po nich jak łódeczka z papieru.

– Żarty sobie stroicie – stwierdziła Norine.

– Później wam pokażemy – rzekł Arlen, a jego rzeczowy ton wyciszył sprzeciw kobiety. Nie próbował jej nawet do niczego przekonywać. Mówił o rzeczy niemożliwej, jakby był to nowy lemiesz, który chciał im zaprezentować po deserze.

– To największy z waszych problemów? Przeszkadza wam to, że ludzie dokuczają Fisherom?

– Nie. – Jeph pokręcił głową. – Największy problem mamy z Jeorje'em.

Arlen zmarszczył brwi, lecz zachował spokój, kiedy Jeni i młody Jeph powrócili z herbatą i ciastem. Jeorje ze Strażnicy, Mówca i Opiekun Południowej Strażnicy, pełnił rolę sędziego, gdy rada miejska postanowiła rzucić Rennę na pastwę demonów.

Arlen czekał, patrząc ojcu w oczy. Gdy młodzi rozstawili talerzyki i filiżanki, a potem usiedli wśród nich, Jeph

podjął opowieść.

– Południowa Strażnica oddzieliła się od Potoku niedługo po tym, jak otrzymali runy wojenne.

– Zaczniemy od tego, że tak naprawdę do Potoku nie należeli – zauważył Arlen, dodając łyżeczkę miodu do herbaty.

– Gdy byłam młodą dziewczyną – wtrąciła się Norine – Strażnica stanowiła część Potoku w tym samym stopniu co pozostałe wsie, ale Jeorje wdał się w kłótnię z Mówcą osady, którym był podówczas ojciec Selii. Miało to miejsce wtedy, gdy jedna z jego wnuczek padła ofiarą otchłańców w Ryneczku. Mieszkańcy Strażnicy przestali potem nas odwiedzać, chyba że musieli pohandlować lub wezwał ich wielki róg. Nikt o tym głośno nie mówi, ale ponoć obie strony żywią do siebie urazę.

– Kiedy to było? – spytał Arlen.

– Dokładnie to nie wiem. – Norine wzruszyła ramionami.
– Mniej więcej pięćdziesiąt lat temu.

– Sporo czasu, jak na zwykłą awanturę – zauważył Arlen.

– Niechęć i nienawiść z czasem jedynie potężnieją – stwierdził Jeph. – Stają się coraz cięższe, aż człowiek nie może już ich udźwignąć, a wówczas szlag go trafia.

– Cóż takiego zrobił Jeorje? – spytał Arlen, odrywając nożem kawałek ciasta.

Jeph rozparł się na krześle i znów pyknął.

– Zajął Grząskie Mokradła.

Arlen, który właśnie zamierzał wbić zęby w ciasto, otworzył szeroko oczy.

– Co takiego?

– Mieszkańcy Grząskich Mokradeł zawsze byli dziwnymi ludźmi. – Jeph pociągnął z fajki. – Trzymali się we własnym gronie, wszystko robili po swojemu i nie podobało im się, gdy ich młodzież przybywała do Ryneczku. Zbyt

wielu z nich chciało tam zostać, wystarczyło, żeby błoto obeschło im na butach. Co więcej, na bagnach mieli własne demony. Nie takie jak te u nas.

– Zgadza się – rzekł Arlen. – Plwocina demona bagiennoego może się przebić przez żelazo, a uwijają się po gałęziach jak wiewiórki. Torfowe zaś są powolne, ale potrafią się zamaskować na tle pni drzew i mają przerażająco daleki zasięg. O tym, co mieszka w wodzie, nie chcę nawet mówić.

Jeph przełknął ślinę.

– No właśnie. Mieszkańcy Grząskich Mokradeł mieli z nimi niezłe przejścia, gdy próbowali oczyścić swoje terytorium. Stracili kilku ludzi i zaczęła ich ogarniać gorycz. Wówczas Jeorje przedstawił im swoją ofertę.

– Cóż za ofertę? – Głos Arlena ostygł.

– Zaproponował im ochronę, tak jak milicja Selii chroni Rybaków.

– A w zamian? – naciskał Arlen.

– W zamian mieli się nawrócić i uznać Jeorje'a za swojego Opiekuna i Mówcę, a oprócz tego oddać mu kilka młodych żon i płacić tygodniową daninę.

Jeph spojrzał synowi w oczy i dodał:

– Jeorje uznał się za Wybawiciela.

– A niech to Otchłań pochłonie! – Arlen cisnął widelcem.

– Możesz winić tylko siebie – rzekła Norine. – Sam wbiłeś mu ten głupi pomysł do głowy, a jemu się spodobało.

– To był sarkazm. Sarkazm! – warknął Arlen.

– Ja to wiem – odparła Norine. – Podobnie jak wszyscy na północ od Mokradeł. W Południowej Strażnicy mają jednak inne przekonania.

– A co, jeśli on jest Wybawicielem? – spytał młody Jeph.

Ojciec spojrzał na młodzieńca.

– Że co?

– A co, jeśli naprawdę nim jest? – powtórzył jego syn.

– Nie ma mowy – stwierdził Arlen.

– Ma sto jedenaście lat – wtrąciła Jeni. – Mimo to ludzie mówią, że wciąż ma ciemne włosy i sam prowadzi wojowników do boju. W Południowej Strażnicy nie ma ani jednego żywego demona.

– To sprawka magii – wyjaśnił Arlen. – Od zabijania demonów starcy stają się młodszy i silniejsi, ale nikt nie staje się przez to Wybawicielem!

– Włosy Selii zrobiły się na powrót żółte przy skórze – rzekła Norine. – A jest starsza ode mnie. Nie staje się jednak Wybawicielem.

– Na Stwórcę, ja też to czuję! – stwierdził Jeph. – Podczas orki plecy bolały mnie do tego stopnia, że czasem nie mogłem się poruszać, a teraz ciągnę leziesz sam! Nie potrzebuję konia!

– Posłuchaj mnie lepiej, Jeph – Arlen zwrócił się do czternastolatka. – Posłuchaj mnie jako swojego brata i człowieka starszego od ciebie. Nie ma czegoś takiego jak Wybawiciel. Nie możesz liczyć na to, że ktoś przyjdzie i wybawi cię od demonów. To praca, którą każdy mężczyzna i każda kobieta musi wykonać samodzielnie. Naucz się wybawiać sam siebie i innych, jeśli będziesz w stanie.

Stary Jeph pokiwał głową.

– Brat udzielił ci dobrej rady.

– A co do Jeorje'a, jeśli nie położycie temu kresu, do Potoku zawitają prawdziwe kłopoty – rzekł Arlen. – Nie wszystkie otchłańce są bezmózgimi potworami. Niektóre potrafią dostrzec, że charyzmatyczny przywódca zbiera ludzi, żeby wybić te spośród nich, które regularnie nawiedzają jakiś obszar. Niebawem przyciągniecie do siebie zainteresowanie, na jakie nie jesteście gotowi.

– A może udałoby się przemówić mu do rozumu? – spytała Renna.

– To nazbyt ryzykowne – stwierdził Arlen. – Mieszkańcy

Strażnicy wysławiają Jeorje'a pod niebiosa i gdyby ktoś spróbował przetrzepać mu skórę, jak ty postąpiłaś z Franziem, moglibyśmy ich zbuntować!

Jeph poczuł narastający lęk.

– O jakim zainteresowaniu mówisz?

– Macie jakiś papier? – spytał tymczasem Arlen.

– Wieprz ostatnio sprzedaje papier po wysokiej cenie i nas nie stać.

Arlen spojrział na stół, a potem przeniósł wzrok na Ilain.

– Wiem, że to zaprzeczenie dobrych manier, ale musiałbym coś namalować na obrusie. Nie poprosiłbym o to, gdyby nie było to naprawdę ważne.

– To żaden kłopot – odparła Ilain, choć obrus był prezentem od Selii z okazji narodzin ich pierwszego dziecka. Spoglądała na tkaninę z prawdziwym smutkiem, gdy Arlen otworzył swój zestaw do kreślenia runów i wyjął wysłużony pędzel oraz słoiczek czarnej farby.

– Demony umysłu mogą powstać jedynie podczas Nowiu

– rzekł Arlen. – Ewentualnie noc wcześniej bądź noc później.

Z tymi słowy namalował wielki run na obrusie.

– Tego właśnie potrzebujecie, żeby trzymały się od was z daleka. W przeciwnym razie księżęta przetrząsną myśli i wspomnienia jak starą szafę.

– Czy można to jakoś włączyć w barierę? – spytał Jeph.

Arlen pokazał im, jak łączyć run z innymi. Dłoń trzymająca pędzel poruszała się pewnie i ani drgnęła. Jeph osobiście nauczył go tej sztuki i zawsze czuł dumę, gdy umiejętności syna zaczęły przewyższać jego własne.

– Unikajcie jakiegokolwiek ryzyka – tłumaczył Arlen. – Musicie uważnie śledzić kalendarz, a podczas Nowiu zawieszajcie sobie ten run na szyi, narysujcie go na kapeluszu albo przynajmniej na kawałku materiału, którym obwiążecie sobie czoło. Dzieci też!

– Demony nabierają rozsądku, gdy pojawiają się myślaki – dodała Renna. – Zaczynają współpracować, sięgać po broń i narzędzia, rzucać głazami.

– Na noc! – Jeph musiał zacisnąć nogi, by zapanować nad pęcherzem. – I co się wtedy robi?

– Najpierw należy ich wygonić ze swojej ziemi – odparł Arlen i zaczął rysować kolejne runy, tym razem większe i o wiele bardziej skomplikowane od wszystkiego, co Jeph dotąd widział. – Oto wielki run – opowiadał, nie przerywając rysowania. – Musisz uformować swoją posiadłość tak, żeby z góry przypominała ten symbol.

– Jak? – Jeph rozdziawił usta.

– Jeśli chodzi o skraj runu, wystarczą mury i płoty. – Arlen wskazał ostre zakończenia symbolu. – Dom i obora znajdują się tu. – Dodał punkciki w jego wnętrzu. – Żeby odwzorować te linie, możesz ułożyć kamienne ścieżki albo zasadzić krzaki. Można by tu wznieść szopę z nietypowym dachem. – Wskazał miejsce końcem pędzla. – I połączyć ją jakoś z płotem, im bliżej, tym lepiej. To wzmocni run.

– Plecy zaczynają mnie boleć na samą myśl o tym – rzekł Jeph.

– Tak, to mnóstwo pracy – zgodził się Arlen. – Ale pomyśl o tym, że kiedy ją skończysz, nie ujrzysz już nigdy demona na swoich ziemiach. Dzieciaki będą mogły biegać po podwórku po zmroku, a zwierząt nie będzie trzeba co noc zamykać w oborach.

– Jesteś pewien, że można skonstruować tak wielki run i nie popełnić przy tym błędu? – spytał Jeph.

Arlen wyjął ze swojego zestawu linijkę i zaczął nakładać na rysunek siatkę kwadratów.

– Podziel podwórze w podobny sposób i dopasuj wszystkie elementy ze sobą. Zbuduj też wieżę na dachu, żeby wszystko widzieć z góry.

Jeph przyjrzał się projektowi. W obrębie wielkiego runu

dostrzegał znajome sobie symbole wpisane w większą całość.

– I twierdzisz, że już to wypróbowałeś gdzie indziej?

Arlen pokiwał głową.

– W Angiers na tym modelu wzniesione są całe osady. Poszczególne linie wytyczone są przez ulice – powiedział, po czym wyciągnął rękę i położył na ramieniu Jepha. Był to niemalże ojcowski gest, którego starszy mężczyzna nigdy by się po swoim synu nie spodziewał. – Chcę, żebyś się tym zajął, tato. Zrób to najszybciej, jak umiesz, i pokaż pozostałym. Zbierzcie radę i rozdajcie wszystkim wzór runu umysłu. Niewykluczone, że w ten sposób uratujecie życie wszystkich mieszkańców Potoku.

Jeph położył dłoń na ręce syna.

– Zajmę się tym. Przysięgam na słońce.



Wyschnięta Selia nadal czuła mrowienie w dłoniach, gdy wracała na czele milicji do Ryneczku. Jej członkowie udawali się do domu po spokojnym, nieobfitującym w przygody patrolu. Już dawno rozprawili się ze wszystkimi okolicznymi rutyniarzami, a nocne patrole z wolna wykańczały włóczęgi. Tej nocy natrafili na raptem jednego demona, którego Selia osobiście przebiła włócznią.

Skóra na jej dłoniach była teraz jędrniejsza niż kiedyś, a wszystkie zmarszczki się wygładziły. Nawet twarz wydawała się o wiele młodsza, nie licząc kilku oznak jej wieku w okolicach oczu i ust.

– Chętnie już wrócę do siebie, jeśli nie masz nic przeciwko, Mówczyni – oznajmił Lucik Boggin, gdy zbliżyli się do drogi wiodącej do Pagórka Bogginów. W zadumie

gładził włócznie. Podobnie jak inni uzależnił się już od zastrzyków mocy, które dawała magia.

– Tak, idź do domu i odpocznij trochę – odparła Selia. – I bądź wdzięczny za cichą noc. Jeden Stwórca wie, że nie ma ich wielu.

– Przez ponad trzysta lat modliliśmy się o tak spokojną noc – rzekł Opiekun Harral, który nie nosił włóczni, ale na zakrzywionej lasce wyrzeźbił runy uderzenia i obrony. Był ogromnym mężczyzną, który potrafił złapać demona za gardło, poderwać go nad ziemię i rozbić czaszkę. Mimo że był dla otchłańców straszliwym przeciwnikiem, nigdy nie widziano, by stracił nad sobą panowanie na skutek zastrzyków magii.

– Tak, spokojna noc dobrze nam wszystkim robi. – Lucik skręcił w boczną drogę, a mężczyźni i kobiety z Pagórka Bogginów udali się w ślad za nim.

– My też już ruszymy do siebie – oznajmił Ferd Młynarz. – Trzeba się odmeldować.

– Jasne, przecież stary Wieprz nie może czekać! – uśmiechnęła się Selia i pożegnała ich skinieniem głowy. Rusco Wieprz rzadko kiedy wyjeżdżał z milicją w noc, ale zatrudniał ludzi, którzy w jego imieniu zasilali jej szeregi.

– Ciekawe, czy potracą im z pensji, jeśli nie przywiozą mu jakiegoś półzywego otchłańca – odezwała się Coline Trigg.

Pytanie w istocie było zasadne. Wieprz sam nie stawał do boju, ale uzależnił się od magii demonów tak jak reszta. Powszechnie wiadomo było, że jego ludzie zwozili mu otchłańce, by mógł w nie wbijać włócznie i kraść w ten sposób odrobinę ich mocy dla siebie. Było to niebezpieczne zadanie, lecz Rusco dobrze za to płacił.

– Wieprz pozbył się tyłu siwych włosów, co ja – odparła Selia. – To ci dopiero wyczyn, co?

– Takim jak Wieprz zawsze się wszystko udaje.

W słowach Zielarki kryło się odrobinę goryczy, ale nie żywiła do nikogo urazy. Coline nigdy nie brała udziału w walce i nadal garbiła się pod brzemieniem wieku, choć runy wojenne oddały innym młodość i sprawność. Mimo to brała udział w każdym patrolu i sięgała po swoje igły i maści za każdym razem, gdy ktoś odniósł ranę.

– Chcesz, żebyśmy ci przytrzymali otchłańca, pani? – spytała Lesa z Ryneczku. Dziewczyna miała dopiero dwadzieścia lat, magia uczyniła ją niezwykle silną. Pod skórą obnażonych ramion prześlizgiwały się twarde mięśnie, a dłonie, które zaciskała na włócznie, były pocięte drobnymi bliznami. Mimo to kryła się w dziewczynie również łagodność, a jej piękna, okrągła twarz...

Selia potrząsnęła głową i odwróciła się pospiesznie, by Lesa nie zauważyła, że się w nią wpatruje.

– To niezgodne z naturą – parsknęła Coline i zadarła nos. – Rodzimy się, starzejemy i umieramy. Oto prawdziwy porządek rzeczy. Może Stwórca chce, żeby jego wojownicy stali się silniejsi, nie jestem Opiekunem, żeby wnikać w Jego plany, ale przytrzymać otchłańca, żebym mogła zassać jego moc jak komar? Nie, to nie dla mnie.

– Nie wiesz, co tracisz. – Lesa wzruszyła ramionami.

– Dość tego – oznajmiła głośno Selia. – Czas na spoczynek, i to natychmiast! Po wschodzie słońca zawsze czeka praca, bez względu na to, co przynosi nam noc.

Pozostali członkowie milicji rozjechali się do domów, a Selia ruszyła samotnie przed siebie. Jeszcze nie tak dawno temu taka podróż napędziłaby jej niezłego stracha, ale mimo to Selia nadal zachowywała czujność, a magia wyostrzyła jej zmysły. Miała pod ręką włócznie, a runy wycięte w końskich kopytach mogły pogruchotać demonowi kości.

Cisza i spokój, które panowały w sercu osady, bynajmniej Selii nie odprężyły, a raczej przypominały o tym, że nadal

czekały na nią o wiele poważniejsze zmartwienia. Leżące na uboczu wioski i samotne gospodarstwa wciąż zmagaly się z demonami, nie mówiąc już o zagrożeniu, jakie stanowił Jeorje, stojący na czele Południowej Strażnicy.

Nie chcąc przysparzać innym ludziom trosk i zmartwień, jej ojciec oraz Opiekun Południowej Strażnicy utrzymali skandal sprzed lat w sekrecie, ale Jeorje o niczym nie zapomniiał. Selia wiedziała, że nie spocznie, dopóki wszyscy mieszkańcy Potoku Tibbeta nie będą nosić zapiętych pod szyję czarnych ubrań i co do joty przestrzegać jego surowych interpretacji Kanonu.

A ja oczywiście skończę przywiązana do słupa w środku nocy, pomyślała z goryczą.

Dotarła do swojego gospodarstwa, przekroczyła barierę i zabrała klacz do obórki za chatą. Zapaliła latarnię i dokładnie wyszczotkowała zwierzę, a potem napoiła je i nasypała ziarna. Potem udała się do chaty.

Lesa wyslizgnęła się spośród cieni, uśmiechając się psotnie, jakby właśnie ukradła ciasteczko. Była szybka – złapała Selię za szyję i przyciągnęła do siebie. Jej usta były miękkie i pachniały aromatyczną pomadką.

Selia odepchnęła dziewczynę i wciągnęła ostro powietrze, mając nadzieję, że zabrzmiało to jak dystyngowane oburzenie.

– Głupia dziewucho! Co ci, na Otchłań, strzeliło do głowy? A jeśli ktoś cię zobaczył?

– Mam to gdzieś! – Lesa znów chciała objąć Mówczynię, ale Selia pacnęła ją po dłoniach.

– Pewnie, jakżeby inaczej. Tymczasem pojęcia nie masz, jaki skandal by wybuchł, gdyby ludzie się dowiedzieli!

– Nikt mnie nie widział. Obeszłam całą okolicę, zanim się tu podkradłam. Mama niczego się nie domyśli, jeśli wrócę godzinę później. Mogłabym do ciebie wejść i...

Znów się zbliżyła, a Selia uświadomiła sobie, że serce

wali jej niczym młot. We krwi pulsowała witalność, a wyostrzone zmysły podsuwały coraz to nowe informacje. Czuła zapach Lesy i jej podniecenie. Ba, Selii zaczęło się to udzielać, a między nogami pojawiła się wilgoć, jakiej nie pamiętała od trzydziestu lat.

– Nie mogę cię bez przerwy brać do łóżka – powiedziała do Lesy. – Na noc, dziewczyno, jestem jakieś pięćdziesiąt lat starsza od ciebie!

Lesa wzruszyła ramionami, ułożyła dłonie na talii Selii i przycisnęła ją do ściany.

– Jak chcesz, możemy to zrobić tutaj. Nikt niczego nie zauważy.

Ściągnęła jej spódnicę, potem ukucnęła, a Selia, choć przeklinała się w duchu od najgorszych, ani myślała ją powstrzymać. Odwróciła się w stronę domu, a Lesa zmarszczyła nos, wiedząc, że wygrała. Wtedy jednak Selia wypatrzyła jakiś ruch w ciemnościach. Zesztywniała i odepchnęła dziewczynę od siebie, wyteżając wzrok.

Lesa zerwała się, czujna i gotowa do działania. Jej dłoń opadła na rękojeść runicznego noża przy pasie.

– Co to? Otchłaniec?

Selia pokręciła głową.

– Nie, przywidziało mi się. Uciekaj do domu.

– Ale... – Ton głosu Lesy przypomniał Selii o wieku młódki i tylko utwierdził ją w przekonaniu.

– Spotkamy się kiedy indziej. No, zmykaj.

Lesa zgarbiła się, jednak posłusznie odbiegła w mrok.

Selia odczekała, aż dziewczyna zniknie, a potem odwróciła się w stronę zalanego cieniami ganku i założyła ramiona na piersi.

– Może byś już wyszła, co?

W pierwszej chwili nie rozpoznała młodej kobiety, w mroku widziała jedynie jej odsłonięte nogi, ramiona i brzuch, pokryte malowanymi runami. Potem zauważyła,

że ma krótko przyciętą grzywkę i włosy splecione w gruby warkocz. Gdy Selia zauważyła jej drapieżne spojrzenie i runy pokrywające skórę, w pierwszej chwili pomyślała o Posłańcu, a wtedy błyskawicznie poukładała fakty.

– Renna Tanner powróciła do Potoku Tibbeta! – zawołała.

Renna podeszła bliżej, aż znalazła się w świetle rzucanym przez runiczną lampę.

– Już nie Tanner. Wyszłam za męża.

– Gratulacje – powiedziała Selia. – Za owego Posłańca, jak sądzę?

– Tak – skinęła głową Renna. – Nazywam się teraz Bales. Ciebie zaś przezywają Wyszniętą Selią, choć po tym, co właśnie ujrzałam, zaczęłam się zastanawiać, czy aby się nie mylą. Może wcale nie jesteś sucha, co?

Selia oparła dłonie na biodrach i postukała stopą w ziemię.

– Masz zamiar to rozpowiedzieć?

– Nie obchodzi mnie, kto się z kim całuje – odparła Renna. – Ludzi z miasta również to nie powinno obchodzić, to akurat jest pewne jak świt.

– Dzięki – rzekła Selia.

– Nie oczekuję od ciebie podziękowań – odparła Renna. – To raczej ja tobie powinnam dziękować. Prędzej mnie noc pochłonie, niż się zwrócę przeciwko tobie, Mówczyńi. Pamiętam, co dla mnie zrobiłaś. Stałaś po mojej stronie w chwilach, gdy moim najbliższym zabrakło do tego odwagi.

Selia poczuła ucisk w gardle.

– Zawiodłam cię.

Renna podeszła bliżej, a wówczas Selia ujrzała, jaka była piękna. Runy na skórze i przycięte włosy nad czołem nadawały jej wojowniczy wygląd, który przywodził na myśl Lesę.

– Gdzie tam – rzekła Renna. – Dałaś mi czas, żebym wszystko sobie poukładała w głowie. Dałaś mi czas, żeby Arlen zdołał po mnie przyjechać.

Selia zamarła, a wszelkie myśli o pięknie Renny opuściły ją w jednej chwili.

– Arlen? Arlen Bales? Chcesz mi powiedzieć, że ów przeklęty Posłaniec, który postawił Potok na głowie, to chłopak Jepha Balesa?

– Dokładnie tak – odparła Renna. – A to dopiero początek opowieści.

Selia westchnęła.

– Wejdź do środka, dziewczyno. Zrobię dla nas herbaty.



Jeph i Arlen siedzieli na ganku z dzbankiem piwa Bogginów. Scena wydawała się jak wycięta ze snu, co spotęgowała Renna, która zamieniła się w mgłę i znikła. Obudziło to szalony entuzjazm dzieciaków, których nie można było później zapędzić do łóżek, ale teraz wreszcie panowała cisza, przerywana jedynie cykaniem świerszczy i poskrzypywaniem bujanego fotela Jepha.

– Dziwnie tak usiąść na tym samym ganku po tylu latach i patrzeć na podwórze, jakby nic się nigdy nie zmieniło.

– Ale sporo się zmieniło, naprawdę sporo – stwierdził Jeph. – Pamiętasz, jak kiedyś co noc zerkałeś między okiennicami i szukałeś wzrokiem otchłańców? Dziś już ich tu nie znajdziesz.

– Tak, póki co. – Arlen upił łyk piwa, wpatrzony w dal.

Jeph odkaszlnął.

– Możemy w sumie pogadać teraz o tym otchłańcu, który

dopadł Silvy. Niełatwo ci pewnie patrzeć na miejsce, gdzie została zaatakowana, zwłaszcza że siedzisz dokładnie tu, gdzie ja wtedy siedziałem. Myślałem tylko o tym, żeby się nie poszczać ze strachu, a ty wyskoczyłeś, żeby ratować matkę.

– Niełatwo – przyznał Arlen i pociągnął kolejny łyk. – Ale jestem już starszy. Zwiedziłem świat i widziałem, co demony robią z ludzi. Widziałem ludzką bezsilność, widziałem przeświadczenie, że walka nie ma sensu.

– Jednak sam walczyłeś! – rzekł Jeph. – Miałeś jedenaście lat, a rzuciłeś wyzwanie demonom i zwyciężyłeś.

– Nie zwyciężyłem, jedynie zdołałem uniknąć śmierci – poprawił go Arlen.

– Nie pozwoliłeś, żeby zabiły ci matkę.

– Nie, to też mi się nie udało – westchnął Arlen. – Nie udało mi się jej ocalić. Przeżyła jedynie kilka dni dłużej, to wszystko.

– Ale mogła przeżyć – powiedział Jeph. – Gdybym tylko miał jaja i pognał prosto do starej Mey.

Arlen pokręcił głową.

– Też tak wówczas myślałem. Ba, przez całe lata tak myślałem. Oskarżałem cię o jej śmierć, nienawidziłem cię!

Jeph zacisnął mocno zęby na słowa Arlena. Przez ostatnie piętnaście lat nie raz widział oczami wyobraźni, jak duch jego syna ciska mu w twarz oskarżenia, ale teraz, gdy usłyszał je od syna siedzącego obok, poczuł się jeszcze gorzej.

– Od tamtego czasu widziałem wielu ludzi, którzy padli ofiarą demonów – ciągnął Arlen. – Gdybyśmy owej nocy mieli w osadzie Zielarkę z Zakątką, mama by przeżyła. Ba, nawet gdyby Coline Trigg знаła się wówczas na rzeczy jak porządna Zielarka z Wolnych Miast... Ale zanim dotarliśmy do Mey... – Arlen splunął przez balustradę. – Było już za późno.

– Nie było za późno, gdy twoja matka zawołała o pomoc!
– rzekł Jeph.

– Tak. – Arlen wpatrywał się w podwórze, popijając piwo.

– Nic mnie nie tłumaczy – mówił Jeph. – Ilain jest dobrą żoną. Kocham ją i dzieci, ale gdybym mógł cofnąć czas, wykreśliłbym zarówno ją, jak i dzieci ze swojego życia tylko po to, żeby móc odzyskać twoją matkę. Nawet jeśli musiałbym zginąć zamiast niej. Kochałem Silvy przez całe życie. Wiesz, że celowo psułem podkowy mojego konia...

– Żeby mieć pretekst, by ujrzeć ją u kowala? – dokończył za niego Arlen. – Mama uwielbiała opowiadać tę historię.

Jeph odkaslnął przez zdławione gardło i gwałtownie otarł oczy. Jego syn miał prawo go nienawidzić, a on nie miał zamiaru płakać i zmuszać Arlena do okazywania współczucia.

– Zawiodłem was oboje tej nocy – wykrztusił, gdy doszedł do siebie.

– Prawda – rzekł Arlen. – Nie będę cię okłamywał. Gniew na ciebie długo mi towarzyszył podczas moich wypraw. Zdarzało się, że słyszałem w głowie twój głos, zwłaszcza w chwilach, gdy chciałem się poważić na coś zuchwałego. Nienawidziłem tego głosu. Robiłem różne głupie rzeczy tylko po to, żeby cię rozdrażnić. Żeby zrobić temu głosowi na złość.

Jeph parsknął, a Arlen spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie śmieję się – wyjaśnił ojciec. – Tylko przypomniałem sobie, że czasem też słyszę głos ojca, tak samo jak ty. Wyzywa mnie od głupców, gdy tylko zacznę zbierać w sobie na coś odwagę.

Arlen rozparł się i znów upił łyk piwa.

– Może to już tak jest z ojcami i ich synami.

– Fakt – potwierdził Jeph.

– W zeszłym roku wróciłem do Potoku, bo chciałem rozliczyć się ze swoją przeszłością – powiedział Arlen. –

Miałem wówczas namieszane w głowie. Byłem przekonany, że stałem się czymś... czymś nieludzkim. Byłem gotów na śmierć i chciałem jedynie zrobić coś, żeby wyrównać rachunki, zanim pozwolę, żeby noc mnie pochłonęła.

– Na Stwórcę! – Jeph chciał wyciągnąć rękę i dotknąć syna, ale zawahał się, świadom tego, że gdyby Arlen ją odtrącił, nigdy by się z tym nie pogodził. – Nie dbam o to, co robiłeś ani czym się stałeś – powiedział zamiast tego. – Byłem świadkiem tego, co zrobiłeś dla swojej mamy, a potem dla Renny i całej osady. Jeśli ty nie jesteś człowiekiem, gdzie mamy szukać nadziei?

– Wszyscy przeżywają chwile słabości – rzekł Arlen. – Każdy z nas ma w sercu coś, co będzie dźwigać zawsze, nawet jeśli ludzie wokół nas o tym zapomnieli bądź nie mają pojęcia.

– Święta prawda – stwierdził Jeph. – Mijały lata, a wspomnienie tych kilku strasznych dni ani na moment nie zbladło, zupełnie jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

– Wiem. Tej nocy świat stał się dla nas jasny i sprecyzowany, choć dla każdego w inny sposób – powiedział Arlen. – Minęło sporo czasu, ale kiedy noc na powrót wdarła się na twoje podwórko, nie siedziałeś już beczynnym na ganku. Wracalem do Potoku z myślą, że każdy powinien stawać do walki, ale kiedy dowiedziałem się, co zrobiłeś dla Ren, uświadomiłem sobie, że byłem strasznym idiotą.

– Miałeś wszelkie powody, żeby żywić do mnie urazę – rzekł Jeph.

– Może i tak, ale żale i urazy jeszcze nikogo nie uczyniły lepszym człowiekiem.

– Racja. – Jeph rozluźnił się nieco i pociągnął długi łyk piwa. – Są jakieś szanse, że wrócicie na dobre, jak liczy na to Ilain? Dobrze by było, żeby dzieciarnia poznała brata.

– Byłoby wspaniale – odparł Arlen. – Na Stwórcę, nie

wiem, czy jest coś, czego pragnę bardziej, ale nie taki los pokazały mi kości. Tak po prawdzie to przybyłem tu, żeby się z tobą pożegnać.

– Pożegnać? – Jeph zamrugął.

Arlen podrapał się po karku.

– Jak by to powiedzieć... Obawiam się, że odzyskując dla nas runy wojenne, doprowadziłem do wybuchu wojny. Pora teraz ją zakończyć, bo lada moment zrobi się naprawdę nieprzyjemnie. Żałuję, że nie zdradziłem ci swojej tożsamości podczas ostatniej wizyty. Pożałowałem tego i wróciłem, żeby to naprawić.

Jeph, który już zaczynał się odprężyć, na nowo poczuł narastające napięcie.

– Nieprzyjemnie? Jak bardzo?

Arlen odetchnął, po czym uniósł rękę i wyrysował serię runów w powietrzu. Jeph uświadomił sobie, że kurczowo zaciska dłoń na kubku. Minęła dłuższa chwila, nim zmusił się do rozwarcia palców.

– Jak już mówiłem – podjął Arlen, gdy skończył – miejsca, w których ludzie stawiają opór, przyciągają uwagę wyjątkowo paskudnego gatunku demonów. Raz już nas zaatakowały, poniosły klęskę, a teraz szykują się, żeby wrócić w większej sile. Ja zaś ułożyłem szalony plan, żeby rzucić im wyzwanie na ich własnym terenie.

Jeph poczuł, jak zalewa go zimno, a parcie na pęcherz przybrało na sile. Zacisnął mocno nogi w nadziei, że Arlen niczego nie zauważy.

– Na ich własnym terenie?

Arlen wskazał ruchem głowy ziemię.

– Tam na dole.

– Na Stwórcę! – odezwał się Jeph. – Jak to w ogóle możliwe?

– Nie mogę ci tego powiedzieć – odparł Arlen. – Demony umysłu mogą ci wyssać umysł równie łatwo, jak ty

wyrywasz marchewkę z grządki. Im więcej ci powiem, tym bardziej narażę nasz plan na niebezpieczeństwo.

– Ren to nie przeszkadza? – pytał Jeph. – To, że wybierasz się... eeee... na dół?

Pomysł wydawał mu się nazbyt nedorzeczny, wręcz zbyt szokujący, by mógł w niego uwierzyć, ale przecież kwadrans temu na własne oczy widział, jak Renna rozpływa się i znika w ziemi. W porównaniu z tym słowa Arlena nie były aż tak wielkim zaskoczeniem.

– Nie mów ani słowa jej siostrze, ale Ren wybiera się ze mną – rzekł Arlen. – A oprócz niej jeszcze kilka osób.

– Zbierz armię! – zaproponował Jeph.

– Armie przyciągają uwagę. – Arlen pociągnął łyk piwa. – Biorę ze sobą tylu towarzyszy, żeby podołać zadaniu, ale wystarczająco niewielu, żeby udało nam się przemknąć niespostrzeżenie. Znaczą się mam nadzieję, że to wystarczy. Prawda bowiem brzmi tak, że nie mam pojęcia, czy biorę się do usuwania zgniłego korzenia, czy może próbuję otworzyć kopniakiem gniazdo szerszeni.

Jeph chciał się sprzeciwić. Chciał odwieść Arlena od pomysłu, chciał go poprosić, by wrócił do domu i rozpoczął bezpieczne życie. Patrzył na syna i słuchał ojcowskiego głosu w swojej głowie, który kazał mu zatroszczyć się o potomka.

Po chwili uświadomił sobie jednak, że strach o syna powoli odchodzi. Wiedział, że na całej ziemi nie ma takiej siły, która wybiłaby Arlenowi z głowy raz powzięty zamiar, ale być może Jeph jakoś potrafił dodać mu otuchy.

– Nigdy nie wiadomo, z czym przyjdzie się człowiekowi zmierzyć. Bywało, że umordowałem się ze zwykłym pniakiem tak bardzo, że dla odmiany chętnie dałbym się pokąsać. Z drugiej strony zdarzały się też roje, które wpadały posłusznie do worka i obywało się bez choćby jednego użądlenia. Pewne jest tylko to, że na własnym

gospodarstwie człowiek nie może pozostawić ani jednego, ani drugiego, bo będzie źle.

– Otóż to – rzekł Arlen. – Dzięki, tato.

– Wygląda na to, że każdego z nas czeka teraz robota iście dla niego stworzona – powiedział Jeph. – Naprawdę sądzisz, że któryś z tych demonów umysłu będzie chciał zagnieździć się w Potoku?

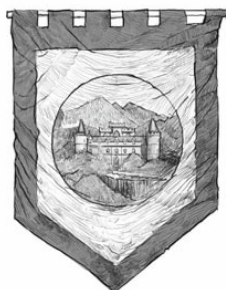
– To tylko kwestia czasu. – Arlen wzruszył ramionami. – Może dojdzie do tego w przyszłym miesiącu, a może za dziesięć lat, ale jeśli będziecie nadal zabijać demony, prędzej czy później ktoś do was zajrzy. Potok to ludna osada, a otchłānce dowiedziały się o was z moich wspomnień i wiedzą, że jesteście bezbronni.

– Co mamy z nimi począć? – spytał Jeph.

– To tylko demony, tato – rzekł Arlen. – Są bystrzejsze od innych i mają rozmaite sztuczki, ale sam zabiłem kilka z nich. Renna też, a żadne z nas nie jest Wybawicielem. Jesteśmy zwykłymi ludźmi z Potoku, tak jak ty i reszta. Skoro nam się udało, wy również dacie sobie radę.

Dopił piwo.

– Dość już beczynnego siedzenia. Noc nas dopadnie i rozszarpie, jeśli nie pokażemy jej zębów.



I9

Ścigani

334 ROK PLAGI

Wszyscy zginiemy! – zaskamlał Keerin, wpatrzony w dymiące ruiny fortu Euchora. Mury były rozbite, a na głazach widniały głębokie szramy pozostawione przez pazury. Wszędzie dookoła dawało się dostrzec ślady łap otchłańców. W powietrzu unosił się duszący smród spalonych zwłok przemieszany z ohydłą wonią demonich odchodów.

Elissa otworzyła usta, ale uprzedził ją mąż. Ragen złapał Keerina za pstrokatą szatę i obrócił ku sobie szarpnięciem tak potężnym, że niemal ściągnął go z konia.

– Powtórz to raz jeszcze, a nie będziesz się już musiał przejmować otchłańcami. Sam cię zabiję, a nikt, kto chodzi pod słońcem, nie będzie cię żałował.

– Każdy Minstrel powinien wiedzieć, że tak nie wolno gadać – odezwał się Yon. – Ty masz nam dodawać serca, a nie siać panikę. Lepiej naszykuj swoją lutnię, bo czeka nas długa noc.

Keerin spojrzał na Rębacza, jakby ten postradał zmysły.

– A na co niby, na Otchłań, przyda się moja lutnia pod gołym niebem nocy?

– Cóż, niech mnie noc pożre, jeśli wiem. – Yon udał, że trąca struny. – Rojer potrafił oczarować demony muzyką tak, że te w ogóle nas nie widziały!

– Ale jakoś nie ocaliło mu to życia, co? – warknął Keerin.

– Gadaj tak dalej, obszczymurku – Yon zacisnął pięść – a Ragen będzie się musiał ustawić w kolejkę.

Keerin odjechał na bok, jednak pozostali członkowie wyprawy słyszeli rozmowę i cały czas obrzucali zrujnowany fort nerwowymi spojrzeniami. Wyglądało na to, że mieszkańcy Zakątka spodziewali się wiele po Minstrelach.

Elissa podjechała do Keerina. Zajrzała do juków i wyciągnęła skórzany rulon, który dostała od Rozkołysanego Hary'ego.

– To dar od mistrza Gildii Minstreli w Zakątku – wyjaśniła i wyjęła z rulonu kilka kartek, które wręczyła Keerinowi. – Powiedział, że to muzyka, dzięki której każdy zdolny Minstrel będzie w stanie zapanować nad otchłańcami.

– Nonsens – rzekł Keerin, mimo to wziął od niej kartki i przejrzał je pospiesznie. Każda była zapisana rzędami osobliwych symboli, których Elissa nie potrafiła rozczytać, ale miała nadzieję, że dla niego okażą się zrozumiałe. – To niełatwe utwory. – Zerknął na zachodzące słońce. – Mam je opanować w parę godzin?

Na twarzy Elissy nadal panował spokój, ale Ragen widział, że traci powoli cierpliwość.

– Tak, chyba że chcesz wylądować w żołądku demona.

Lepiej bierz się do roboty.

Keerin szarpnął za wodze i ostro zawrócił konia, wyciągnął lutnię i skierował się ku fragmentowi przewróconego muru, gdzie usiadł i rozpoczął naukę.

– Dobra robota, moja droga – rzekł Ragen i zsunął się z siodła.

– Doprawdy nie wiem, jak ty chciałeś go zmotywować groźbami zabójstwa. – Elissa również zeskoczyła na ziemię i dała się mężowi pocałować w policzek.

– Nie miałem ochoty motywować go do niczego – odparł Ragen. – Chciałem tylko, żeby się zamknął. Sytuacja jest wystarczająco poważna i bez takiej gadaniny.

– Fakt – zgodziła się Elissa. – A więc jeśli chcesz przeżyć, żeby móc kiedyś o tym opowiadać, przestań grozić, a zacznij popychać do działania.

Ragen spojrział na żonę zaskoczony, ale po chwili pokiwał głową.

– Mądre słowa, Matko.

Elissa mrugnęła do niego, a potem razem weszli do fortu. W środku dym i smród były tak dławiące, że musieli zasłonić twarze mokrymi szmatkami, lecz Ragen chciał zajrzeć w każdy kąt, by się przekonać, czy ktoś nie przeżył.

Nie znaleźli nikogo. Na kamieniach zaschły bryzgi ludzkiej krwi, tu i ówdzie było widać sterty kości wystających z ciemnych, oleistych ekskrementów. Natknęli się też na zwęglone szczątki kilku otchłańców, ale pamiętali, że załoga fortu liczyła aż trzydziestu ludzi, co do jednego uzbrojonych w ognistą broń.

– Wygląda na to, że broń Euchora nie działa tak dobrze na demony, jak miał nadzieję – rzekł Ragen. Nie wydawał się bardzo zaskoczony.

– Zgadza się – przytaknął Yon. – Trzydziestu ludzi z bronią runiczną, nawet zaskoczonych przez demony, sprawiłoby im większy łomot niż ci tu.

Ragen spojrział na strzaskane mury.

– Nie ma co tu siedzieć. Nie naprawimy bariery przed zapadnięciem zmroku.

– Moglibyśmy się tu ukryć – zaproponowała Elissa. – Jeśli demony sądzą, że miejsce już uległo zniszczeniu, a my nakreślimy kilka runów dezorientacji i niewidzialności...

Ragen pokręcił głową.

– To mogłoby się udać, gdyby było nas kilka osób – rzekł.

– Nasza grupa jest jednak za duża i po zachodzie słońca zaroi się tu od demonów. Wywęszą nas, nawet jeśli nie będą mogły nas ujrzeć.

– Może przeniosły się w inne miejsce? – Elissa nie traciła rezonu.

– To tak nie działa – odparł Yon. – Otchłaniaki zjawiają się w tym samym miejscu co zeszłej nocy, a miejscowe będą się tu szwendać w nadziei na więcej żarcia.

– To prawda – zgodził się Ragen. – Demony często włóczą się wokół zniszczonych przez siebie osad. Czekają, aż zjawią się tam kolejni ludzie. Moim zdaniem lepiej jechać jeszcze jakąś godzinę najszybciej, jak się da, a potem rozłożyć kręgi w polu.

– Jechać naprzód czy wracać? – spytał Yon.

– Skoro demony atakują forty przydrożne, oba rozwiązania są równie złe – skrzywił się Ragen. – Ja zaś chcę wrócić do domu.

– Nie martw się – rzekł Yon. – Dowieziemy was całych i zdrowych.

– Ragen – odezwała się nagle cicho Elissa. Miała ściśnięte gardło. – A co, jeśli to nie był atak na fort? A co, jeśli demony wiedzą, że jesteśmy na szlaku, i eliminują miejsca, w których moglibyśmy się schronić?

– Nów już dawno minął – odparł Yon. – Myślaków nie ma.

– Nie potrzebowały demonów umysłu, żeby spróbować

nas dopaść na trakcie do Angiers – powiedziała Elissa.

Yon zadrżał i opuścił dłoń na stylisko topora. Ragen odwrócił się do żony.

– Masz rację, ale nie wiem, czy to cokolwiek zmienia. Póki co nie ma sensu zostawiać wozów i rzucać się naprzód ostrym tempem. Znam pewne miejsce na trakcie, skąd będziemy widzieć, jak nadchodzą.



Słyszając wrzaski otchłańców rozbrzmiewające kilka mil za nimi, Ragen nie miał już wątpliwości, że demony zastawiły na nich pułapkę.

– Miałaś rację, Liss – odezwał się. – Jesteśmy ścigani.

– W tej akurat sytuacji dałabym wiele, żeby się mylić – odparła jego żona.

Ragen otaksował wzrokiem obozowisko, które rozbili w najlepszym możliwym miejscu. Kusznicy z Zakątka mieli stąd doskonałą widoczność, a demony nie mogły tu znaleźć wielu gałęzi czy pni drzew do rzucania. Runy na wozach, które tworzyły krąg wewnętrzny, były silne, a Ragen, Elissa i Derek nadzorowali rozstawianie słupów, które tworzyły krąg zewnętrzny. Wszyscy troje wiedzieli jednak, że jeśli za atakiem w istocie kryje się jakaś inteligencja, nawet takie środki ostrożności, które chroniły Rageną przez trzydzieści lat niebezpiecznych podróży, mogły nie wystarczyć.

– Może trzeba było porzucić wozy i pędzić co sił ku kolejnemu fortowi – rzekł Ragen. – Albo wynająć większą eskortę po ataku na trakcie do Angiers.

– Równie dobrze mógłbyś żałować, że w ogóle wyjechaliśmy z domu – odparła Elissa.

W uśmiechu Ragena próżno było szukać wesołości.

– Bo czy Briar właściwie potrzebował naszej pomocy?

Elissa wzięła go za rękę.

– Błędy i pomyłki widać dopiero z perspektywy czasu.

Zwierzęta zgromadzone wewnątrz kręgu wozów zaczynały się niepokoić, słysząc wrzaski zbliżających się demonów. Rzenie koni zlewało się z desperackimi brzdęknięciami Keerina, który nadal zmagał się z nutami zapisanymi przez Rojera. Dźwięki jednak nie wywarły większego wpływu na najszybsze spośród demonów, polne i ogniste, które jako pierwsze zaczęły okrążać obóz. Ich ślepie płonęły w ciemnościach.

– Do śpiewu! – krzyknął Yon do uzbrojonych w kusze Rębaczy rozstawionych wzdłuż zewnętrznego kręgu. Ragen w skrytości ducha podziwiał spokój wojowników i wojowniczek z ich eskorty, którzy wspólnie zaintonowali „Niech płonie ogień w palenisku”.

Otchłańce nie rozpierzchły się, jak to miało miejsce w Zakątku, ale pieśń nie przypadła im do gustu. Ogniste demony plwały płomieniami, płonące krople rozplływały się po niewidzialnej magicznej barierze, a ich polni kuzyni z wrzaskiem rzucali się na nią i toczyli po ziemi, odepchnięci jej mocą.

Zwykle bestie odruchowo się cofały, gdy sieć runiczna buchała jasnością i zadawała im ból. Warczały wówczas i ostrożnie otaczały barierę, tu i ówdzie dokonując kolejnych prób.

Te jednakże były inne. Nacierają raz za razem, przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę, z furią i agresją szukając luk.

Ragen widział sieć za każdym razem, gdy aktywowały się runy. Moce poszczególnych symboli splatały się w mocną, trwałą barierę, której nie sposób było przebić, ale zbyt wiele atakujących otchłańców mogło wnet doprowadzić

do zwarć wewnątrz sieci. Potrzeba byłoby do tego dziesiątek uderzających jednocześnie demonów, ale co chwila nadciągały nowe i otaczały obóz. Ragen widział, jak przemykały między rozbłyskami.

– Przerzedzić je! – huknął Yon.

Brzęknęły cięgiwy, a ciężkie runiczne bełty wbiły się w najbliższe otchłānce, które padały martwe na ziemię bądź miotały się w konwulsjach, gdy tkwiące w ich ciałach pociski obracały ich magię przeciwko nim.

Dla obrońców była to satysfakcjonująca chwila, ale nie trwała długo, bo natychmiast pojawiły się kolejne bestie. Choć z natury były kanibalami, całkowicie zignorowały ciała zabitych pobratymców, z furią rzucając się na runy.

– Światło! – Ragen uniósł pióro.

Elissa i Derek, stojący w innych miejscach, poszli w jego ślady i wspólnie umieścili runy światła na niebie, które zamieniły noc w dzień. Demony wichrowe, które w ciszy krążyły nad obozem, zakreśliły i umknęły z wrzaskiem.

Ragen poczuł rozpacz na widok rozmiarów atakującej ich hordy. Za plecami demonów ognistych i polnych traktem nadciągały drzewne i kamienne, niosąc gruz ze zniszczonego fortu. Bariera runiczna powstrzymywała je przed wdarciem się na teren obozowiska, ale nie mogła zatrzymać rzuconych głazów, a gdyby te uszkodziły słupy runiczne i osłabiły barierę...

– Kuszniczy! – zawołał Yon. – Celować w kamieniaki!

Ragen zawahał się, próbując porównać zasięg kusz z odległością, na którą otchłāniec mógł posłać swój pocisk. Kamienne demony słyneły z przerażającej siły i rzucały na wiele jardów, ale zasięgiem ustępowały kuszom eskorty. Te jednak nie były w stanie zatrzymać nadciągających potworów. Te same bełty, które przebijały ich mniejszych pobratymców, teraz odbijały się od pancerzy bądź niegroźnie wbijały między płyty, bardziej irytując

otchłańce, aniżeli sprawiając im ból.

Jeden z nich, olbrzym z kilkoma syczącymi, skwierczącymi bełtami w klatce piersiowej, znalazł się w odległości rzutu. Zamachnął się, by cisnąć głazem wielkości skrzynki na jabłka.

Ragen nakreślił runy gorąca i uderzenia, ale znów włożył w zaklęcie zbyt dużo mocy i srebrne pióro wyleciało mu z ręki. Głaz jednak rozpadł się na kawałki, a razem z nim ramię potwora. Demon z dzikim rykiem złapał się za kikut, a Ragen z rozpaczą rozglądał się w poszukiwaniu pióra.

Inny spośród kamiennych szykował się do rzutu, a wtedy zareagował Derek. Mężczyzna zręcznie wyrysował run uderzenia, który wytrącił otchłańcowi głaz z ręki niczym piłkę.

Ragen klęczał i gorączkowo rozgarniał trawę, wciąż nie widząc pióra, podczas gdy drogą nadciągały kolejne kamienne. Następny przyszykował się do rzutu, ale Elissa czekała w gotowości. Wyrysowała run zimna i pchnęła moc w ramię demona, a gdy ten zamachnął się, by wyrzucić głaz, rozległ się potężny trzask i ręka z pociskiem zwała się na ziemię.

Ragen w końcu odnalazł pióro. Złapał skraj swego drogiego runicznego płaszcza, by bezceremonialnie oczyścić je z brudu. Gdy uniósł wzrok, kamień ciśnięty przez otchłańca trafił Gemę Rębacz prosto w pierś, wytrącając ją z szeregu. Wojowniczką padła na jeden z wozów, otwierając lukę w wewnętrznym kręgu.

Na noc... Ile ona miała lat? Była młodsza od Arlena, pomyślał z rozpaczą.

Wiedział, że runiczny pancerz dziewczyny mógł wytrzymać cios, ale nikt nie dałby rady przeżyć takiego zderzenia.

– No, teraz to już przesadzili! – huknął Yon. – Rębacze! Brać się za narzędzia!

Mężczyźni pochwycili za topory, kilofy i siekiery, rozszczepiając każdego niemądrego demona, który zbliżył się do bariery, a kobiety nadal strzelały z kusz, osłaniając walczących.

Dwa kolejne głazy wpadły między nich. Lary Rębacz zdołał się podnieść, wykorzystując stylisko topora jako podporę, ale jego brat Fil pozostał na ziemi, wijąc się w konwulsjach w strzaskanej zbroi.

Otchłānce skoncentrowały wysiłek na tym odcinku, aż w końcu jakiś kamień przewrócił jeden runiczny słup. Demony polne i ogniste runęły w tym kierunku, ale zastały ścianę tarcz Rębaczy. Yon i jego ludzie, rābiąc i siekąc bez wytchnienia, odparli atak.

Ragen rysował pospiesznie runy. Rozpruł klatkę piersiową kolejnemu kamiennemu demonowi, a głaz, który ten dźwigał, przygniōtł jego truchło. Satysfakcja Rageny nie trwała długo, bo inny otchłāniec poderwał pocisk i rzucił nim prosto w Poślāńca. Ledwie uskoczył w bok, a głaz wybił dziurę w burcie wozu i znikł po drugiej stronie, skąd dobiegł kwik zwierzęcia.

Spośród cieni wyskoczył polny demon, pędząc ku Yonowi. Elissa narysowała run chroniący przed tym gatunkiem i otchłāniec odbił się od niego niczym ptak, który uderzył w okno, a Yon zamachnął się i rozbił mu czaszkę.

Jakiś drzewniak runął na Lary'ego, a Elissa podpaliła go runem gorāca. Potwór zatoczył się, przenosząc płomień na trawy oraz krzaki, rozpraszając pobratymców. Nim ogień się rozprzestrzenił, Elissa ugasiła płomień runem zimna. Otchłāniec, biały od szronu, runął na ziemię.

Włoski na jej ramionach podniosły się, gdy wyrysowała run lektryki i posłała iskrę w stado polniaków gnających na Rageny. Trafione otchłānce padły w konwulsjach. Wiedziała, że za moment się podniosā, ale obrońcy zyskali w ten sposób kilka chwil wytchnienia.

Wtedy jednak na Elisę padł cień. Poderwała głowę i ujrzała spadający na nią kawał muru. Wrzasnęła i odskoczyła, gruz padł na słup runiczny, zmiażdżył go i potoczył się dalej. Minał ją w odległości ledwie cali, aż Elissa poczuła na policzku podmuch wiatru.

Wypadł na nią polny demon, który poruszał się tak szybko, że ledwie zdołała zasłonić się runem. Ten aktywował się w chwili, gdy potwór już rozwierał szczęki, i odrzucił go, ale impet wytrącił kobiecie pióro z ręki.

Elissa padła na kolana.

Muszę przywiązać pióro do nadgarstka, bo w przeciwnym razie nie ujrzę świtu, pomyślała spanikowana.

Kolejne potwory wdzierały się przez lukę w barierze. Kobieta sięgnęła do kieszeni, wydobyła sakiewkę i rozwiązała rzemyk, po czym rozsypała wokół siebie drewniane klaty z Zakątka. Każdy z nich miał wybite runy ochronne. Pojedyncza moneta była zbyt słaba, by w czymkolwiek pomóc, ale razem mogły dać jej czas na odnalezienie pióra.

Drzewniak szedł prosto na nią, wznosząc ramię niczym ogromną maczugę, lecz potknął się, gdy zaiskrzyły klaty pod jego stopami. Zatoczył się i padł na polniaka, który wpił w niego kły. Oba zaczęły się tarzać we wściekłej walce.

W zewnętrznym kręgu było już sporo luk i demony jeden po drugim przenikały do środka. Wojownicy z Zakątka porzucili kusze i zwarli się z wrogiem w walce wręcz. Topory, włócznie i tarcze spychały wroga, który wydawał się wciąż rosnąć w siłę.

W jednej z luk pojawił się skalniak, wymachując wielkim drzewem niczym maczugą. Elissa nagle natrafiła na swoje pióro i pospiesznie wyrysowała run zimna. Drzewo pokrył biały szron, rozpadło się podczas następnego zamachu, ale Ameer Planter, która oberwała w tarczę, ocalić się już nie

dało.

Nieoczekiwanie pozbawiony broni otchłaniec wydawał się zdezorientowany. Siwy Yon nie zawahał się jednak ani chwili, doskoczył do niego i wbił topór w wewnętrzną część kolana. W ślad za nim ruszyli inni – niektórzy rąbali demona po nogach, a inni osłaniali towarzyszy dzięki runom obronnym na drzewcach broni.

Kolejny polniak rzucił się na Elisę. Ta wyrysowała szybko magiczny symbol, ale linie w powietrzu były już niewyraźne – moc pióra powoli się kończyła. Szarżujący demon nie został więc zatrzymany, a jedynie zwolnił i impetem przewrócił Elisę na ziemię. Kobieta nie miała pancerza jak jej mąż czy Derek i wrzasnęła głośno, gdy pazury bestii rozorały jej ciało.

Nie miała też żadnej innej broni, zrobiła więc jedyną możliwą rzecz, podsunęta jej przez instynkt – wzniosła pióro i wbiła je w ślepie bestii. Był to desperacki ruch. Nie mogła przecież liczyć na to, że zdoła w ten sposób zabić demona, ale być może udałoby się go powstrzymać choć na chwilę, by ktoś z towarzyszy zdołał przybiec jej na pomoc.

Ale wtedy runy umieszczone wzdłuż pióra zamigotały, ożywione magią zawartą w demoniej krwi. Elissa instynktownie wbijała pióro coraz głębiej i przesuwiała palce, by móc aktywować pobieranie. Runy zajaśniały tak mocno, że kobieta musiała zmrużyć oczy. Do pióra wlewała się moc, odbudowując jego potencjał, a potem, gdy umieszczona w jej broni *hora* nie mogła już wchłonąć więcej, moc zaczęła wnikać w głąb ciała Elissy.

Jej rany zaczęły się goić. Huk w głowie ucichł, a w mięśniach pojawiła się siła, jakiej kobieta dotąd jeszcze nie doświadczyła. Pochwyciła demona mocniej i przyciskała go do ziemi, aż jego konwulsje osłabły.

Wtedy pióro zaczęło się rozgrzewać, a oczy kobiety zapiekły. Cofnęła się i odrzuciła demoniego trupa

kopnięciem, a potem poderwała się, uniosła pióro i rozpedziła watahę otchłańców gnających prosto na nią.



W tym czasie Ragen usłyszał głuchoe warknięcie i odwrócił się w chwili, gdy drzewny demon zamachnął się już na niego sękatym ramieniem. Runy ochronne rozjarzyły się na zbroi Posłańca, ale siła odrzutu pchnęła go na ziemię. Padł na plecy, przygniatając tarczę, którą miał do nich przytroczoną. Jego runiczna włócznia, wbita w miejscu, gdzie przed momentem stał, znalazła się poza jego zasięgiem, a pióro, choć kryło w sobie wielką moc, wydawało się kiepską bronią do walki z bliskiego dystansu.

Otchłaniec znów się zamachnął. Ragen przetoczył się na brzuch, by szpony demona odbiły się od runów na tarczy, po czym poturlał się dalej, usiłując ją jednocześnie uwolnić. W końcu się udało i mężczyzna wsunął rękę pod paski uchwytu.

Drzewniak warknął, pokazując rzędy zębów przypominających sztylety. Instynkt kazał Ragenowi uciekać, ale przecież liczyło na niego wielu ludzi.

Gdy demon zaatakował po raz trzeci, Ragen był już gotowy. Przechwycił opadające szpony na krawędź tarczy, a potem odepchnął bestię kopnięciem, uzyskując w ten sposób przestrzeń, by pospiesznie wyrysować run uderzenia. Magia posłała potwora na ziemię, a run ochronny przytwierdził go do ziemi i wyłączył z dalszej walki.

Polniak tłukł pazurami w tarczę walczącej nieopodal Nony Rębacz. Ragen nakreślił run zimna, a Nona bez wahania rąbnęła bestię tarczą w zamarzniete łuski i rozbiła

jej mostek.

Zdyszany Ragen rozejrzał się. Serce mu waliło. Zewnętrzna bariera mocno ucierpiała – powstało w niej tyle luk, że Rębacze nie dali rady ich załatać. Ich szeregi się rozproszyły, a walczący byli zbyt zdyszani, by śpiewać. Walczyli już o własne życie.

– Do wozów! – krzyknął Ragen, wyrysowawszy run dźwięku, by głos przebił się przez zamieszanie.

Wewnętrzny krąg również był naruszony, ale być może mógł jeszcze dać im chwilę wytchnienia i pozwolić się przegrupować.

Ci spośród Rębaczy, którzy mogli się poruszać, natychmiast posłuchali rozkazu i sprawnie przemknęli przez luki między wozami. Kobiety schroniły się jako pierwsze, a gdy znalazły się wewnątrz bariery, natychmiast uniosły kusze. Magia, którą wchłonęły podczas walki, pozwalała im naciągnąć kusze bez korb. Bez wahania słały bełt za bełtem w horde demonów, by osłonić odwrót mężczyzn.

Obawy Ragen, niestety, sprawdziły się i druga linia obrony nie wytrzymała długo. Któryś ze skalniaków pochwyił uszkodzony, załadowany po brzegi wóz, uniósł go nad głowę i cisnął na bok. Nocny Tancerz zerwał się z uwięzi i skoczył na otchłańca, przebijając go runicznym rogiem, ale w lukę wskoczyły polniaki.

Pojawił się Keerin, który z rozpaczą wygrywał kolejne takty na lutni, lecz najwyraźniej nie wywierało to na szarżujących demonach żadnego wrażenia. Dwóch Rębaczy skoczyło, by zasłonić Minstrela, ale wówczas z nieba opadł wichrzak i porwał jednego z nich w szpony.

Ragen wsunął stopę w strzemię Nocnego Tancerza i wskoczył w siodło.

– Kto tylko może, na koń i uciekać! Oczyszczę drogę na trakt!

Był to desperacki plan, ale Ragen chciał, żeby choć garstka z nich mogła przegonić atakujących i dotrzeć do świtu bądź dotrzeć do kolejnego fortu.

Wtedy jednak Ragen dostrzegł, jak gnający na Keerina demon zatrzymuje się jak wryty i umyka. Minstrel, niczego nieświadom, nadal grał swą melodię, ale jego muzyka nie była w stanie przebić się przez bitewny zgiełk. Słyszeli ją tylko ci, którzy znajdowali się w bezpośrednim sąsiedztwie.

Ragen wznosił pióro i narysował runy dźwięku nad głową herolda. Wygrywane przez niego zgrzytliwe nuty nagle spotęźniały i wstrząsnęły nocnym powietrzem, a wówczas rozległy się wrzaski demonów.

Efekt był tak potężny, że nikt nie mógł go przeoczyć. Otchłańce cofały się jak najdalej od Minstrela, a Rębacze natychmiast utworzyli wokół niego ochronny krąg, przesuwając rannych na tyły.

Muzyka Keerina niosła się w mrok. Demony polne i ogniste umykały najszybciej, jak mogły, a kamienne przytykały pazurzaste łapy do uszu i zataczały się, wyjąc, bezbronnie wobec ataków wyćwiczonych Rębaczy. Wysoko na niebie ich wichrowi pobratymcy uciekali z przeraźliwymi wrzaskami.

Pewność siebie Keerina rosła z każdą chwilą. Jego melodia zmieniła się i teraz zaczęła przyciągać otchłańce, które stawały się łatwymi celami dla kuszniczek. Gdy Keerin uznał, że znalazły się zbyt blisko, znów zmienił tonację, a wówczas demony rzuciły się do ucieczki.

Elissa już zajmowała się rannymi, a Ragen i Derek sięgnęli po pióra, by załatać dziury w barierze runicznej. Wyglądało na to, że być może uda im się przeżyć tę noc, a być może nawet osiągnąć wielkie zwycięstwo.

Wtedy jednak spadł na nich ogromny głaz. Wojownicy rozpierchli się na boki, a Keerin potknął się i przewrócił. Zdołał utrzymać instrument w ręku, ale muzyka urwała

się, a otchłańce natychmiast otrząsnęły się spod jej wpływu.

W lukę w barierze wtargnął ogromny polniak, wielki niczym koń i poruszający się szybciej niż nawet Nocny Tancerz w galopie. Jego głowa była pozbawiona uszu i gładka, a muzyka Keerina, który znów podjął grę, najwyraźniej nie wywierała na nim żadnego wrażenia. Inne demony zaczęły wrzeszczeć.

Jase Rębacz zastąpił polniakowi drogę. Był szybkim, zręcznym wojownikiem i wyprowadził celne uderzenie, ale rozpędzony demon wykonał płynny unik i zszedł mu z linii ciosu, a potem uskoczył w bok, wznosił się na tylne nogi i zamachnął łapą. Jego pazury miały dwie stopy długości. Głowa Jase'a wyfrunęła w powietrze i zakreśliła łuk, bryzgając krwią, a otchłaniec skoczył na Minstrela.

Ten spanikował. Przestał grać i rzucił się do ucieczki, choć widać było, że nie ma szans. Demon poruszał się błyskawicznie.

Elissa jednakże okazała się szybsza. Uniosła pióro, a w powietrzu pojawiły się srebrzyste linie, układające się w iskrowe runy. Pchnęła w zakłęcie moc i wtedy ku rozpędzonej bestii pomknęła błyskawica, która przewróciła ją na ziemię. Potwór rozpląnął się, ale zaraz odzyskał kształt i rzucił się w ślad za Minstrelem.

– Niech cię Otchłań, Keerin! – wrzasnął Ragen, gdy otchłańce na powrót zaczęły się zbierać wokół nich. – Graj! Graj dalej!

Jednocześnie uniósł pióro i obalił rozpędzonego zmiennokształtnego runem uderzenia, a potem tchnął moc w run zimna, by go zamrozić. Łuski demona pokrył szron, ale wtedy jego ślepia zajaśniały jak u ogniaka i szron począł topnieć.

Elissa wsparła zakłęcie męża swoim. Oboje okrążali demona i kreślili kolejne runy zimna, a Keerin znów podjął pieśń. Derek wzmocnił jego głos, a potem nakreślił run

uderzenia, który roztrzaskał zmiennokształtnego, jakby ten był ze szkła.

I wtedy bitwa dobiegła końca. Okruchy otchłańca dalej topniały, aż pozostała z nich jedynie jucha, cuchnąca i pozbawiona życia, a muzyka Keerina przegnała pomniejsze demony precz.

Minstrel grał jeszcze długo po tym, jak kręgi runiczne zostały naprawione. Grał, aż jego palce zaczęły krwawić, a wtedy zabandażował je i grał nadal. Dopiero gdy wstało słońce, wpelził na jeden z ocalałych wozów i padł nieprzytomny.



– Trzeba ułożyć poległych w potrzaskanych wozach, a potem je podpalić – oznajmił Ragen.

Yon spojrział na niego ze sceptycyzmem.

– Mamy ich tak po prostu zostawić? To nie w porządku.

– Cała ta przeklęta podróż jest nie w porządku! Ale skoro ścigają nas demony, nie możemy pozwolić na to, żeby martwi opóźniali żywych.

Yon splunął na ziemię.

– Masz rację.

Kilka godzin później byli znów na trakcie. Porzucili wszystkie wozy, nie licząc tego, na którym spał Keerin pośród skrzyń z bezcennymi *hora* z Zakątka. Pozostali członkowie ich oddziału, którzy wchłonęli mnóstwo magii demonów, pomimo nieprzespanej nocy nadal byli czujni i pełni sił, a ich rany znikły bez śladu.

Ujrzeni dym późnym popołudniem, na długo nim fort pojawił się w zasięgu wzroku. Ta placówka znajdowała się w nieco lepszym stanie niż poprzednia, ale w murze ziała

wyrwa.

– Na noc – szepnął Derek.

– Hej, tam w karawanie! – zawołał ktoś z wieży znajomym głosem.

– Hej, tam w forcie! – odkrzyknął Ragen i uderzył piętami w boki Nocnego Tancerza, po czym wysforował się naprzód i szybko pozostawił resztę z tyłu.

Żołnierz powitał Posłańca w bramie, a Ragen z zaskoczeniem skonstatował, iż go zna. Sierżant Gaims, który swego czasu pracował przy głównej bramie Miln.

– Mistrz Ragen! – zawołał Gaims. – Chwała niech będzie Stwórcy! Czy macie może Zielarkę w kompanii?

– Nie – odparł Ragen – ale sam przeszedłem część szkolenia, a wielu ludzi z naszej eskorty zna się na leczeniu ran zadanych przez demony. Co tu się wydarzyło?

– Otchłańce zaatakowały fort tuż przed świtem – rzekł Gaims, gdy Elissa, Derek i Yon dołączyli do Ragen. – Zupełnie się tego nie spodziewaliśmy. Demony atakują po zachodzie słońca lub w środku nocy, a nie kiedy niebo zaczyna jaśnieć! Zanim się zorientowaliśmy, mur został rozbity, a otchłańce wdarły się na dziedziniec. Otworzyliśmy ogień i powaliliśmy kilka pomniejszych demonów, ale większość z nich momentalnie zaleczyła rany. Te większe nawet nie zwróciły uwagi na kule.

– Na Stwórcę... – szepnęła Elissa.

– Zabarykadowaliśmy się w środku, ale otchłańce miały ze sobą zmiennokształtnego. Ten wybił dziurę w ścianie i przecisnął się do środka tak płynnie jak ciasto. Zaraz później był już wśród nas...

Gaims zadrżał.

– Ilu z was przeżyło? – spytał Ragen.

– I tu pojawia się zagadka – odparł Gaims. – Nie zabił nikogo.

Ragen zamrugał.

– Nikogo?

– Nie. – Gaims pokręcił głową. – Połamał nam broń, gryzł nas, chlastał i tłukł. Kilku z nas okaleczył, innych ciężko ranił. Wszyscy leżą nieprzytomni, ale jak dotąd nikt nie umarł.

– A jak to się stało, że ty jesteś cały i zdrowy? – spytał Ragen.

Gaims pobladł, co wystarczyło Ragenowi za całą odpowiedź.

– Uciekłeś.

Żołnierz spojrzał na swoje stopy.

– Schowałem się w piwnicy.

– Ty mały, tchórzliwy... – Yon podniósł zaciśniętą pięść, jednak Ragen powstrzymał go, unosząc dłoń.

– Każdy człowiek z odrobiną zdrowego rozsądku ucieknie przed zmiennokształtnym, Yon. Nie jesteśmy tu po to, żeby kogokolwiek osądzać.

– Fakt. – Yon rozwarł pięść. – Święta racja. Pozostawmy to Stwórcy.

– Kto tu dowodzi? – spytał Ragen.

– Porucznik Woron – odparł Gaims. – Ale kiepsko z nim.

– Biegnij więc i powiedz mu, że przybyła pomoc – polecił Ragen.

Gaims z wyraźną ulgą oddalił się od Yona i wbiegł do zabudowań. Drzwi były zdruzgotane potężnym uderzeniem, ale ściany wydawały się nietknięte.

– Spodziewałem się więcej po Górskich Włóczykach po tym, co ludzie w Angiers gadali przy piwie – rzekł Yon, gdy Gaims się oddalił. – Ten mały siurek nie mówi nam wszystkiego, zapamiętajcie moje słowa. Otchłańce nie zostawiają ludzi przy życiu.

– Nie atakują też przed świtem – dodała Elissa.

– Chyba że to te same demony, które uciekły przed muzyką Keerina – zaproponował Derek. – Być może chciały

nas pozbawić kolejnego schronienia, a dotarcie tu zabrało im w istocie resztę nocy.

– Co nie tłumaczy, dlaczego pozostawiły ludzi przy życiu – odparł Yon.

– Im wcale nie zależy na pozbawieniu nas schronienia – uświadomił sobie Ragen. – To pułapka.

Elissa pokiwała głową.

– Dwudziestu rannych w rozbitym forcie – rzekła. – Wiedzą, że nie możemy ich zostawić.

– A nie możemy? – spytał Derek.

Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Yon znów zacisnął pięść.

– Tym razem udam, że tego nie słyszałem, chłopcze.

Derek uniósł dłonie.

– Chcę pomóc tym ludziom tak bardzo jak wy, ale skoro demony chcą, żebyśmy coś zrobili, warto się choć zastanowić, czy naprawdę musimy się na to zgadzać.

– No to się zastanawiaj – odparł Yon. – Ale jeśli chcesz dać dyla, zrobisz to sam. Rębacze nie pozostawiają ludzi na pastwę demonów.

– Yon ma rację. – Elissa położyła dłoń na ramieniu Dereka. Ten odetchnął.

– Dobrze, w porządku. No to co robimy?

– Wprowadźmy wszystkich do środka – rozkazał Ragen.

– Wyrwę w barierze należy załatać słupami runicznymi. Znajdźcie jakieś wyjścia awaryjne. Obudźcie Keerina i wprowadźcie go na wieżę. A Elissa i ja porozmawiamy z porucznikiem.

– W porządku – rzekł Yon. – Zajmiemy się wszystkim.



Elissa z przerażeniem spoglądała na rannych. Przez ostatni rok naoglądała się mnóstwo krwi, co brutalnie uświadamiało jej, że ludzie to tylko delikatne istoty złożone z mięsa i kości.

– Cieszę się, że... że cię widzę... mistrzu – odezwał się porucznik Woron, który leżał na plecach przy ścianie. Oddychał ciężko, ze świstem, a każde wypowiedane słowo zdawało się odbierać mu siły. Demon wbił mu jego własną górską włócznię w brzuch tak głęboko, że końcówka bagnetu wystawała z pleców. Woron był blady, a jego twarz zrosił pot. Elissa nie mogła się nadziwić, że jeszcze żyje.

– Bałem się to wyciągnąć. – Gaims wskazał broń.

– Gdybyś to zrobił, ten człowiek już by nie żył – rzekł Ragen, a Elissa zadała sobie w myślach pytanie, czy demon celowo zostawił człowieka nadzianego na bagnet, żeby opóźnić jego śmierć. Czyżby były naprawdę tak inteligentne?

– Co możemy zrobić? – spytał Gaims.

– Nie wiem, czy w ogóle mamy jakieś pole manewru – odparł Ragen. – Mogę zszyć ranę czy przygotować okład na oparzenie, ale coś takiego...? Tu trzeba operować!

– Proszę, zróbcie coś! – odezwał się Gaims. – Nie możemy pozwolić porucznikowi na śmierć! Służę pod jego rozkazami już piętnaście lat!

– Może sięgnijmy po magię *hora*? – zaproponowała Elissa.

Gaims rozdziawił usta.

– Macie taką możliwość?

Elissa pokiwała głową, a wówczas Gaims całkiem się zapomniał i zmiażdżył ją w uścisku.

– Niech cię Stwórca błogosławi, Matko!

Ragen odkaszlnął, na co żołnierz cofnął się pospiesznie. Wówczas mężczyzna pochylił się ku żonie.

– Jesteś pewna, że nie karmisz go fałszywą nadzieją?

– Fałszywa nadzieja jest lepsza od braku nadziei – odparła Elissa i wyciągnęła grymuar z kręgami runów leczniczych, który otrzymali w Akademii Zielarek.

– Jeśli wyjmiesz ten bagnet i coś pomieszamy, ten człowiek umrze! – ostrzegł ją Ragen.

– Jeśli nic nie zrobimy, też czeka go śmierć – odparła Elissa. – A razem z nim zginiemy wszyscy, chyba że uda nam się jakoś postawić tych ludzi na nogi.

Zasłonili okna, a potem rozcięli ubranie porucznika i zdjęli jego zbroję. Ragen zdjął bagnet z włóczni, pozostawiając ostrze w ciele, podczas gdy Elissa oczyściła skórę wokół rany. Otworzyła księgę i ujęła srebrne pióro, by precyzyjnie wypisać serię runów przy ranie wlotowej i wylotowej. Jak dotąd wpuściła w nie jedynie odrobinę mocy przez stalówkę.

– Gotowa? – spytał Ragen.

– Nie – odparła Elissa. – Ale działajmy.

– Przytrzymaj go – przykazał Ragen Gaimsovi, a sam wyciągnął bagnet z ciała Worona. W chwili, gdy ostrze wyszło z rany, Elissa otworzyła stalówkę i pchnęła moc w wyrysowane runy. Te zajaśniały i zamigotały wokół ran, chciwie zasysając moc pióra. Po chwili artefakt wyczerpał swą moc, a runy zbladły. Po ranie pozostała jedynie zaczerwieniona blizna.

– To niezwykle. – W głosie Worona znów pojawiła się siła.

– Proszę nic nie... – zaczął Gaims, ale podparł porucznika, gdy ten zacisnął zęby i podniósł się do pozycji siedzącej.

– Dziękuję ci, Matko Elisso – rzekł Woron.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Elissa umieściła *hora* w srebrnym pudełku, po czym przez specjalny otwór wsunęła do środka pióro. Po uruchomieniu pobierania pióro zaczęło uzupełniać swą moc. – Zobaczmy teraz, czy uda się

uratować resztę twoich ludzi.



Elissa usłyszała, jak Keerin stroi lutnię, gdy wspięła się po stopniach na górę wieżyczki strażniczej. Zbliżał się zmrok, a ona pozbyła się większości *hora* zabranych z Zakątka, ale wszyscy żołnierze z załogi fortu byli gotowi do walki.

– Mistrzu Keerinie! – powitała go. – Jak się czujesz?

– Beznadziejnie, jeśli mogę mówić szczerze – padła odpowiedź.

– Obawiam się, że czeka nas kolejna długa noc – powiedziała Elissa i spojrzała na mężczyzn i kobiety uwijających się na murach fortu.

– Nieobce mi jest spanie za dnia i występowanie po nocach. – Keerin pocierał obandażowane palce. – Możesz liczyć na to, że dam z siebie wszystko.

– Nie mam co do tego wątpliwości – rzekła Elissa. – Zeszłej nocy dałeś koncert życia, ale dziś musisz przebić sam siebie.

Z tymi słowy wyjęła cienki kawałek demoniej kości, na której wyryto runy dźwięku, i wsunęła do lutni.

– Czy to... – zaczął Keerin.

– Tak – przerwała mu Elissa. – Nie wystawiaj tego na światło słoneczne, bo utraci swą moc i przypuszczalnie stanie w płomieniach.

Keerin rozdziawił usta i spojrzał na swoją lutnię niczym na ukochaną osobę.

– Może więc nie powinienem...

– Dziś wieczór wszyscy będziemy musieli podjąć ryzyko, Keerinie – powiedziała Elissa i wręczyła Minstrelowi aksamitną sakiewkę. – Pamiętaj więc, żeby wyciągnąć te

kości przed wschodem słońca. A teraz czas na koncert.

Keerin musnął struny, a dźwięk dosłownie wstrząsnął powietrzem. Zaskoczony Minstrel niemal upuścił swój cenny instrument, a Elissa musiała zasłonić uszy.

– Mam trochę wosku – powiedziała po chwili. – Wiesz, żeby zatkać nam uszy podczas gry.

– Nam? – zdziwił się Minstrel.

– Oczywiście. – Elissa wyjęła pióro. – Przecież ktoś musi cię bronić.

Naprawiona bariera runiczna zmusiła demony do powstania na zewnątrz fortu, a wówczas Górskie Włócznie otworzyły ogień. Ragen narysował runy na wielu pociskach i spoglądał z satysfakcją, jak buchają blaskiem, trafiając swe ofiary. Mniejsze otchłańce, gdy zostały trafione, nie regenerowały obrażeń tak szybko jak zeszłej nocy i nawet kamieniaki unikały skoncentrowanego ognia. Zresztą szybko się przekonały, że zasięg ich rzutu to zaledwie jedna trzecia odległości, jaką może pokonać wystrzelona kula, a w związku z tym nie wytrzymają długo w strefie ognia.

Te potwory, którym dopisało szczęście bądź były na tyle szybkie, by przedrzeć się przez ostrzał, uciekały, gdy tylko usłyszały muzykę Keerina. Przez długie godziny pod murami fortu trwał impas.

Niespodziewanie pojawił się skalny demon, który przedarł się przez nawałę ognia. Poruszał się tak szybko, iż nawet Górskie Włócznie nie mogły go trafić. Większość kul chybiła, a wówczas Ragen dostrzegł wielki głaz, który otchłaniec trzymał pod pachą. Uniósł swoje srebrne pióro, ale wyprzedziła go Elissa. Z wieży wystrzeliła struga mocy, a ziemia pod stopami bestii eksplodowała. Potwór zachwiał się i runął na ziemię, a głaz wypadł z jego łap, nie czyniąc nikomu krzywdy.

– Teraz! – krzyknął Ragen. – Póki leży!

Strzelcy Górskich Włóczni znali się na rzeczy

i błyskawicznie skupili ogień na głowie i korpusie demona. Próbował odpełznąć poza zasięg, ale wkrótce znieruchomiał.

– Niech żyje Matka Elissa! – krzyknął Ragen, a reszta obrońców zaczęła wiwatować.

Inny skalniak rzucił się na mury z kamieniem wzniesionym nad głową. Tym razem jako pierwszy zareagował Ragen, który szybko wyrysował run skały na jego drodze. Otchłaniec zderzył się z runem niczym rozpędzony człowiek ze ścianą. Magia rozjarzyła się i pchnęła demona na plecy. Ciężki głaz wylądował mu na łbie.

– Ha! – krzyknął, a na wieży rozległ się śmiech Elissy.

– Niech żyje mistrz Ragen! – zawołała.

Znów poniosły się wiwaty.

– Następny jest mój! – wykrzyknął Derek.

Ragen zaczynał już mieć nadzieję, że może tym razem uda im się przetrwać noc bez walki w starciu, ale zamiast jednego skalniaka, który zamarzył się Derekowi, pojawiło się sześć. Znów musieli zdwoić swoje wysiłki, by zatrzymać szturm. Kreślone w pośpiechu runy, jakże piękne i precyzyjne jeszcze chwilę temu, stały się mało wyraźne, a ciskane głazy zaczęły się przedzierać przez linię obrony. Niektóre trafiały w mury, inne przelatowały nad nimi, a Ragen wnet domyślił się, w co celują. Nakreślił run dźwięku.

– Porzućcie strażnicę! – krzyknął.

Muzyka Keerina urwała się jak ucięta nożem, a chwilę później w górę wieży uderzył głaz.

– Elissa! – wrzasnął Ragen, ale nie usłyszał odpowiedzi. Dotarli do schodów czy nie?

Ragen i Derek kreślili teraz runy z furją i rozpaczą, powstrzymując większość pocisków, jednak mimo ich wysiłków jeden głaz zdołał się przedrzeć i uderzył

w podstawę wieży, a ta zapadła się do środka.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Ragen wydał z siebie wrzask bezrozumnej furii. Kreślił runy gorąca i uderzenia, które na przemian eksplodowały w szeregach demonów, ale wróg wykorzystał to, że muzyka ucichła, i natarł ze wszystkich stron jednocześnie. Otchłańców było tyle, że ich liczba wnet przeciężyła barierę w kilku miejscach i bestie zaczęły się wdzierać do środka.

Ragen niemal się ucieszył, że może schować pióro i w zamian sięgnąć po włócznię i tarczę. Wściekłość dodała mu sił, gdy kłuł, kopał i spychał tarczą każdego demona, który wynurzył się zza murów.

Żołnierze Górskich Włóczy nie tracili czasu na przeładowywanie i pochwycili za bagnety. W sukurs przyszli im Ragen, Derek i Rębaczki. Na dziedzińcu Yon wraz ze swymi topornikami powstrzymywał otchłańce wdzierające się przez kolejną wyrwę, a Woron na czele kilku żołnierzy blokował inną. Jucha lała się równie gęstym strumieniem co krew, ale przewaga liczebna była po stronie potworów i Ragen wiedział, że porażka obrońców to jedynie kwestia czasu.

Uwagę Ragen przyciągnęła eksplozja na dziedzińcu. Odwrócił głowę, przekonany, że ogniaki musiały się wedrzeć do bunkra z amunicją, ale zamiast tego ujrzał dymiącą dziurę w zgliszczach wieży, z której właśnie wyłonił się Keerin. Jego głowa była owinięta zakrwawionym bandażem, ale znów zaczął grać, a demony na dziedzińcu wrzasnęły z przerażeniem.

Za nim pojawiła się Elissa z jarzącym się piórem. Ragen miał wrażenie, że odetchnął po raz pierwszy od zawalenia się wieży.



– Nie damy rady odpierać tych szturmów noc w noc! – Porucznik Woron był blady i spocony.

– Nie ma szans! – zgodził się Ragen. – O świcie ruszamy do kolejnego fortu.

– A jeśli demony również go zniszczyły? – spytał Derek.

– Wówczas ruszymy naprzód. Nie mam zamiaru dać się zapędzić w pułapkę jak ścigany nocny wilk.

Woron pokiwał głową.

– Rozkażę ludziom, żeby wzięli tyle amunicji i zapasów, ile uniosą.

Podniósł się, ale skrzywił i złapał za bok. Gaims podbiegł, by go podtrzymać.

– Odniosłeś ranę w walce? – spytała Elissa.

Woron pokręcił głową.

– Przypuszczam, że moja poprzednia rana jeszcze się nie zagoiła. Nadal mam wrażenie, jakby bagnet tkwił w plecach.

– Mogę obejrzeć? – odezwała się Elissa.

Porucznik zdjął napierśnik i podniósł koszulę. Brzuch Worona był spuchnięty, a blizna zaczerwieniona, ale nie ciekła z niej krew. Stan mężczyzny był daleki od całkowitego wyleczenia, jakie widziała w wykonaniu Zielarek z Zakątka, ale przecież studiowała ich sztukę zaledwie kilka tygodni. Wyrysowała więc na skórze kilka nowych runów i przekazała w nie nieco mocy ze swego pióra, czym zmniejszyła obrzęk.

– Spróbuj wypoczywać, kiedy tylko możesz – poleciła Woronowi, a on przytaknął i rzekł:

– Dziękuję, Matko.

O świcie Keerin znów ruszył do wozu z *hora*, gdzie miał zamiar zalec na resztę dnia, ale tym razem pożegnały go chóralne wiwaty Rębaczy oraz Górskich Włóczy. Elissa zauważyła ślad uśmiechu na twarzy Minstrela, a potem zasłoniła go opadająca plandeka.

Ich grupa dwukrotnie powiększyła swoją liczebność, a strach dodał im sił, dzięki czemu do kolejnego fortu dotarli już w południe.

Tym razem otchłańce nie pozostawiły nikogo przy życiu. Rozszarpały mury i zerwały bruk, by mogły się zmaterializować na dziedzińcu po zachodzie słońca.

Wyruszyli w dalszą drogę. Próba uczynienia tego miejsca zdatnym do obrony mijała się z celem.



Między Rzeczułką a Zagajnikiem Hardena wzniesiono wiele fortów. Demony zniszczyły sześć spośród nich, głównie te, które leżały daleko od miast i nikt nie mógł przyjść napadniętym z pomocą. W kilku miejscach Ragenowi i jego towarzyszom udało się natrafić na grupki niedobitków, ale zdarzało się, że otchłańce nie przepuściły nikomu.

Ich grupa powiększyła się już pięciokrotnie i co noc rozbijała niewielki, ciasny obóz, który osłaniała muzyka Keerina. Z początku gra herolda jedynie trzymała demony na dystans, ale szybko się przyzwyczajał do nut Bezpalcego i odkrywał w nich nowe możliwości. Talent Minstrela rozwijał się więc błyskawicznie, aż w końcu potrafił grać z siodła. Jego muzyka spowijała idących przez noc wędrowców niczym ogromny płaszcz niewidzialności, a otchłańce wkrótce gubiły się i przestawały ich ścigać.

Forty znajdujące się najbliżej miasta były nietknięte, a ich załogi nie miały pojęcia o atakach. Pomimo zeznań Worona i pozostałych oficerów dowódcy nie chcieli porzucić posterunków bez rozkazów z góry. Ragen pozostawił im więc wyraźne ostrzeżenia i kontynuował marsz, aż wreszcie dotarli do Zagajnika Hardena.

– Na noc! – Yon splunął z siodła. – Jakbym się zawziął, przeskoczyłbym przez ten ich mur.

Oczywiście w słowach Rębacza kryła się przesada, ale miał też sporo racji. Zagajnik Hardena był zwartą społecznością dużych rodzin rolniczych, liczącą około pięciuset dusz. Domostwa stłoczyły się za niespełna sześciostopowym murem z wysokimi słupami runicznymi. Ziemie uprawne otaczały osadę szerokim wachlarzem, osłonięte jeszcze niższym murkiem, wzmocnionym przez równomiernie rozmieszczone słupy. Ragen widział ich równe rzędy ciągnące się wzdłuż pól i chroniące przed atakami wichrowych demonów.

– Gdy jest ładna pogoda, widać stąd całą drogę do Miln. – Ragen wskazał dalekie góry i ogromne mury Wolnego Miasta, malutkie z tej odległości. – Odwiedziłem Zagajnik setki razy. Mieszkają tu dobrzy ludzie, choć nie wiem, czy udałoby się znaleźć dwóch, którzy nie są ze sobą spokrewnieni.

Dziwnie było usłyszeć śmiech starego człowieka z młodych ust Yona.

– Tak, wiem, jak to jest. Jeśli któraś z tutejszych panien szuka świeżej krwi, zapraszam do siebie!

Amon Grove, który piastował godność Mówcy osady od czasów, gdy Ragen pracował jako Posłaniec, czekał na nich przy bramach. Był starym człowiekiem i wspierał się drżącymi rękami na grabiach, którymi nie mógł się już posługiwać, ale Ragen pamiętał, iż miał bystry umysł.

Mimo to okazał się równie nieprzekonany jak dowódcy fortów.

– Zagajnik Hardena stoi tu od stu lat, Ragenie. Nie porzucimy dorobku całego życia tylko dlatego, że tydzień jazdy na południe stąd doszło do ataków demonów.

– A więc lepiej trzy razy sprawdźcie swoje runy, Mówco – poradził mu Ragen. – I niech Stwórca się o was troszczy.

– I o was – pokiwał głową Amon.



Gdy wreszcie dotarli do Miln, Keerin przypominał bardziej szkielet niż żywego człowieka. Pod zapadniętymi oczami malowały się wielkie sińce, a włosy zwisały pozlepiane w tłuste strąki. Pstrokata szata była popalona, podarta i brudna od krwi.

Mało kto z ich grupy nie odniósł żadnych ran. Skóra na ramieniu Yona przypominała plamę stopionego wosku po trafieniu ognistym splunięciem. Lary Rębacz utykał na jedną nogę. Cał Rębacz stracił oko, a jego żona Nona fragment stopy. Nawet Elissa nie wyszła bez szwanku – przez jej klatkę piersiową ciągnęły się trzy szramy, pamiątki po chłaśnięciu pazurami, które nieomal ją wypatroszyło.

Najbardziej jednak martwił ich stan Worona. Porucznik wyglądał o wiele gorzej niż Keerin, a w jego stolcu i moczu pojawiły się ślady krwi. Wyloty ran znów opuchły. Ragen spojrział na porucznika, ten zauważył jego wzrok i skinął mu głową, a potem nieoczekiwanie jego źrenice umknęły w tył, a on sam spadł z konia.

Ragen zeskoczył z Nocnego Tancerza i podbiegł do oficera, by sprawdzić jego puls. Nadal żył, choć był bardzo osłabiony.

– Zabierz go do naszej posiadłości i wezwij Zielarkę – poprosił Ragen żonę. – Ja udam się do pałacu i złożę meldunek księciu.

Keerin potrząsnął głową.

– Nie – rzekł. – Idź do domu i odpocznij. To ja jestem królewskim heroldem i czas, żebyśmy zajął się swoimi

obowiązkami. To ja złożę pierwszy meldunek Jego Księżęcej Mości.

Ragen uśmiechnął się.

– Pora, żebyś wreszcie opowiedział wszystkim o swoim męstwie.

– Nie mam już więcej ochoty opowiadać o czymś, co tak naprawdę nie jest moją zasługą. – Keerin potrząsnął głową. – Bez muzyki Bezpalcego i kamyka z *hora* Matki Elissy na nic bym się wam nie przydał, a i to by mi się nie udało, gdyby Rębacze i Górskie Włócznie nie zasłonili mnie własnymi pierściami.

Ragen ledwie poznawał człowieka, z którym kiedyś, wiele lat temu, udał się na wyprawę do Potoku Tibbeta.

– Jesteś pewien, że chcesz tam iść sam? Euchor może nie być szczególnie zadowolony...

– Nie sądzę, żeby po tym, przez co przeszliśmy w tym tygodniu, Jego Księżęca Mość był jeszcze w stanie mnie przerazić.

Z tymi słowy Keerin wyciągnął rękę, ale Ragen zacisnął dłoń na jego nadgarstku, przyciągnął herolda do siebie i uścisnął.

– Niech cię Stwórca prowadzi – dodała Elissa, która też go przytuliła.

– Duch Bezpalcego puchnie z dumy! – Yon grzmotnął Minstrela po plecach z taką siłą, że ten aż zakaszłał. – Nie wiem, czy Rojer dałby sobie radę równie dobrze jak ty.

– Cóż. W porządku – rzekł Keerin, skinął pozostałym i popędził konia. Ruszył w stronę pałacu wraz z ocalałymi żołnierzami Górskich Włócznie, a Ragen i Elissa poprowadzili wojowników z Zakątka do swojej wielkiej, otoczonej murem posiadłości na wzgórzu.

– Na noc! – W głosie Yona słyhać było podziw. – To tu mieszkasz? Przecież to forteca równie wielka jak twierdza pani Leeshy!

– Większa.

Mur wokół posiadłości Ragena był wysoki na piętnaście stóp i wzmocniony runicznym szkłem, a krył zielone ogrody, warsztaty kowali i Patronów Runów, domostwa służby i magazyny kryjące zapasy na dobry miesiąc. Patrząc na dorobek swojego życia, Ragen doszedł do wniosku, że jeśli przepowiednie Arlena się sprawdzą, jego przygotowania na nic się nie zdadzą.

– Matko! Ojczy!

Służący wybiegli na dziedziniec, ale wyprzedziły ich dzieci, które gnały teraz ku przybyłym, jakby ściagały je ogniste demony.

Ragen poczuł ucisk w gardle. Przez długie miesiące jemu oraz Elissie niemal przez cały czas groziło wielkie niebezpieczeństwo, ale świadomość, że dzieci są bezpieczne, dodawała sił. Ani na moment żadne z nich w to nie wątpiło, ale teraz, gdy ujrzał je pełne radości i energii, uświadomił sobie, jak wiele niepokoju w sobie nagromadził.

Ledwie zdołał zsiąść z konia, gdy Marya, która nie miała jeszcze dziesięciu lat, a już była równie piękna jak matka, wskoczyła mu w ramiona. Roześmiał się i przytulił ją tak mocno, aż zapiszczała, ale ledwie rozluźnił uścisk, a dziewczynka objęła go z całej siły za szyję. Naraz poczuł, jak jego nogi słabną. Opadł na jedno kolano i szlochał, tuląc ukochaną córeczkę. Dziewięć miesięcy, które spędził z dala od domu, wydawało mu się teraz wiecznością. Nie mógł sobie wyobrazić, jak trudne to było dla nich.

Mały Arlen, który w chwili ich wyjazdu miał sześć lat, podskakiwał w miejscu, gdy Elissa zsunęła się z siodła. Niczym mały gryzoń wskoczył matce w ramiona i wtulił się w jej pierś, a kobieta objęła go mocno. W oczach obojga pojawiły się łzy.

– Nic nam nie groziło – szepnął Ragen do ucha Maryi. – I przysięgam na słońce, że już tak będzie zawsze.

Reszta domowników zatrzymała się w odległości kilkunastu kroków, by nie przeszkadzać podczas powitania, aż pojawiła się Matka Margrit. Natychmiast zapędziła do pracy stajennych, a sama podeszła bliżej, by powitać gości.

– Poślij po Zielarki! – zawołał Ragen. – Najlepsze, jakie są! Naszą eskortę podejmiemy jako gości!

Potężna Margrit skinęła głową i rozesłała gońców, a potem podeszła do Elissy i Ragen. Odczekała, aż wypuszczą dzieci, a potem przygarnęła ich do piersi.

– Stwórcy niech będą dzięki, że już wróciliście! – szepnęła.



– Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta rana tak dobrze się zaleczyła, ale nie przestała krwawić w środku – oznajmiła pani Anet i zawiązała ostatnią nić z długiego ściegu, który biegł wzdłuż brzucha Worona. – Musiałam się przebić przez tkankę bliznowatą i naprawić uszkodzenia wewnętrzne. To cud, że on przeżył.

Woron leżał nieprzytomny, odurzony gazami, które wdychał przez maskę, zakrywającą mu nos i usta.

Elissa załamała rękę.

– To moja wina.

– Bzdura. A niby jak miałyby do tego dojść? – spytała Anet. Była mistrzynią Szkoły Zielarek i przypuszczalnie najwybitniejszą spośród swojego grona w Miln. Na ogół zajmowała się członkami rodziny książęcej oraz moźnymi i niełatwo było ją wyciągnąć z biblioteki, ale odwiedziny w posiadłości mistrza Gildii stanowiły wielki zaszczyt i wiązały się z niemałym honorarium.

– Wykorzystałam moc kości demona, żeby zasklepić ranę

– powiedziała Elissa. – I myślałam, że magia zaleczy również obrażenia znajdujące się głębiej.

Zielarka spojrzała na Elisę, jakby ta postradała zmysły, ale wiedziała też, że Elissa pochodzi z wysokiego rodu, a do tego jest bogata. Obie te cechy ułatwiały rozwój rozmaitych dziwactw.

– Zabandażować rany – rozkazała swoim uczennicom, a sama podeszła do zlewu i zaczęła myć dłonie i przedramiona. Na jej wcześniej nieskazitelnie czystym fartuchu widać było czerwoną linię pozostawioną przez ściekającą krew. – Cóż, bez względu na to, co się wydarzyło, wasz znajomy dojdzie z czasem do siebie. Przez kilka tygodni powinien pozostać w łóżku, a upłynie zapewne parę miesięcy, zanim będzie mógł chodzić.

Pobłażliwy ton Anet zirytował Elisę. Przez ostatni tydzień walczyła o życie przeciwko hordom otchłańców i nie życzyła sobie lekceważenia ze strony kobiety, która zapewne widywała demony jedynie w książkach.

– To nie wszystko – oznajmiła.

Stara Zielarka robiła wrażenie, jakby zaczynała tracić cierpliwość, ale Elissa nie dała jej czasu na reakcję i wyjęła srebrne pióro zza pasa.

– Z pewnością słyszałaś o wpływie, jaki wchłanianie magii wywiera na ludzi walczących z demonami.

Anet popatrzyła na pióro z powątpiewaniem.

– Nie wiem, jakie pomysły przywiozłaś z Zakątka, moja pani, ale tu, w Miln, wolimy opierać leczenie na nauce, a nie na runicznych sztuczkach.

– Porucznik Woron zawdzięcza życie twojej nauce – zgodziła się Elissa. – Ale pora poszerzyć horyzonty.

Zapadła już noc i Elissa przesunęła jedynie wyłącznik runicznego światła, by w pokoju zapadła ciemność. Uniosła pióro i wypisała nim serię srebrzystych runów w powietrzu, a potem pchnęła w nie moc. Krąg runów uniósł się

i wypełnił salę czystym, białym światłem.

Anet założyła ramiona na piersi.

– Może cię to zdziwi, ale widziałam już runy światła.

– Niewykluczone, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałas! – Elissa podeszła do łóżka, a uczennice Zielarki cofnęły się nerwowo, nie chcąc uczestniczyć w nabierającej tempa rozgrywce między nią a ich zwierzchniczką.

– Co ty wyrabiasz? – Anet podeszła do Elissy, gdy ta zaczęła zdejmować bandażę nałożone przez adeptki.

– Stawiam tego człowieka na nogi.

Anet złapała ją za rękę. Była siwowłosa, starszą panią, lecz jej dłoń była silna.

– Powiedziałam, że...

Elissa znów uniosła pióro i Anet urwała. Cofnęła się o krok, wpatrując się złowrogo w Elisę.

– Nie biorę na siebie odpowiedzialności, jeśli jego stan się teraz pogorszy!

– Patrz. – Elissa odwróciła się ku Woronowi. Trzymając pióro jak pędzel, nakreśliła długi rząd drobnych, połączonych ze sobą srebrzystych runów, które obiegiły ranę dookoła. Gdy krąg został zamknięty, Elissa przekazała weń moc. Zielarka i jej uczennice pochyliły się nad pacjentem, gdy symbole rozjarzyły się światłem.

– Co to, na mrok nocy, ma znaczyć? – szepnęła Anet.

Rana zasklepiła się w oczach, a po chwili nie było już po niej ani śladu. Nie było sińców, zaczerwienień czy blizn, a jedynie kilka zaschniętych plamek krwi i ciąg szwów na gładkiej, zaróżowionej skórze.

Naraz Woron gwałtownie wciągnął powietrze i otworzył oczy. Z ust starej Zielarki wyrwał się wrzask przestrawu, całkiem nieliczący z jej godnością.



20

Eskorta

334 ROK PLAGI

Podpisz tu. – Matka Jenya zdjęła kolejny dokument z nieskończonego na pierwszy rzut oka stosu i podsunęła Ragenowi. Elissa siedziała kilka kroków dalej przy własnym biurku i podpisywała podobne papiery. Dzieci w kąciku czytały w skupieniu.

– Ledwie minął dzień od powrotu, a znów siedzę po uszy w papierkowej robocie – jęknął Ragen.

Jenya parsknęła śmiechem.

– A to tylko te najpilniejsze sprawy! Czekam, aż dojdziecie do siebie po podróży. Wówczas przywiozę ci resztę!

– Na noc! – Ragen potarł twarz.

– Dobrze ci tak – oznajmiła Jenya. – W końcu zniknąłeś

prawie na rok!

Ragen odwrócił kolejną stronę i znów ujrzał znajomy podpis, który pojawiał się tak często, że zaczynał powoli odbierać mu spokój.

– Vincin.

Ten człowiek stał na czele Gildii, dopóki dziesięć lat temu nie został wyparty ze stanowiska przez Coba. Bynajmniej nie rozstali się jako przyjaciele.

Słyszając wypowiedziane przez Rageną imię, Jenya zamarła na moment, a on zrozumiał, że nadeszła chwila, której kobieta się obawiała.

– Miałam wam o wszystkim opowiedzieć, gdy będziecie już na bieżąco.

Ragen odłożył pióro.

– Nie ma więc na co czekać.

– Podczas waszej nieobecności Vincin przekonał wszystkich do nowych wyborów – wyrzuciła z siebie Jenya.

– W tej chwili to on zasiada na czele Gildii Patronów Runów.

– Syn Otchłani! – warknął Ragen. – Chciałaś zaczekać, aż dowiemy się wszystkiego na dworze?

– Nie obwinia się posłańca o złe wieści, mój drogi! – Elissa nawet nie uniosła głowy znad dokumentów.

Ragen odetchnął.

– Rozumiem, że sprawdziłaś, czy jego decyzja jest zgodna ze statutem Gildii?

– Oczywiście – rzekła Jenya. – Starszy Patron Runów, który cieszy się powszechnym uznaniem, ma prawo wnioskować o nowe wybory, jeśli mistrz Gildii nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków przez okres ponad sześciu miesięcy. Jego następcą przejmuje obowiązki do czasu powrotu oficjalnego mistrza, chyba że wygaśnie jego kadencja.

– Czyli z chwilą powrotu do miasta wracam na

stanowisko? – spytał Ragen. Pozostał mu prawie rok dwurocznej kadencji.

– Nie do końca – odparła Jenya. – Gildia musi zwołać zebranie, na którym nieobecny mistrz ogłasza swoją gotowość do powrotu na urząd, a obejmuje go, jeśli uzyska większość głosów. Do tego czasu urząd sprawuje Vincin.

– Zwołaj więc zebranie – rzekł Ragen, choć uświadamiał już sobie powoli, na czym polega problem.

– Tylko mistrz Gildii może zwołać zebranie bądź wezwać do głosowania – odparła Jenya.

Ragen zacisnął pięść.

– Skoro nie mogę zwołać zebrania, pchnij posłańca do każdego Patrona Runów w mieście. Niech się poniesie wieść, że wróciłem z informacjami, które całkowicie odmieniają przyszłość naszej Gildii.

– Natychmiast roześle umyślnych – rzekła Jenya. – A jakie to informacje?

– Poznaliśmy w Zakątku sekrety magii *hora* – odparła Elissa. – Wiemy, jak za pomocą kości demonów przekazywać runom moc, nawet jeśli w pobliżu nie ma otchłańców. Czasem nawet za dnia.

Jenya wpatrywała się w nią w milczeniu, jakby czekała na kolejną puentę, ale Elissa zamilkła. Odkaszlęła więc i stwierdziła:

– Jeśli to prawda, szykują się wielkie zmiany.

– To jest prawda – powiedział Ragen. – Ale nie oczekujemy, że ktokolwiek w to uwierzy bez dowodów.

Nawet Jenya wydawała się nieprzekonana, lecz nakreśliła notatkę na swojej tabliczce i oznajmiła:

– Zajmę się tym.

– Skontaktuj się również ze szklarniami – rzekł Ragen. – Czekają nas renowacja rezydencji.

Wyjął mapę, na której widniał wielki run, owoc wielu długich narad i dyskusji z Elissą. Magiczny symbol

obejmował zarówno ich rezydencję, jak i kwatery służby. Wiele innych budowli czekały poważne zmiany, ale nie dało się tego uniknąć.

Jenya spojrzała na mapę i otworzyła szeroko oczy.

– Chcecie... chcecie wyłożyć teren szkłem nasyconym mocą?

– Naładujemy je za pomocą *hora* – odparła Elissa. – Ale tak, taki jest plan.

– Zaczniemy jednak od farby – stwierdził Ragen. – I to natychmiast. Dzięki temu uzyskamy odpowiedni kształt, zanim rozpoczniemy pracę ze szkłem.

Jenya przyjrzała się symbolowi, a Ragen wiedział, że dokonuje już w głowie obliczeń.

– To będzie niesłychanie drogie przedsięwzięcie – oznajmiła.

– A my jesteśmy w posiadaniu niesłychanie wielkiej fortuny – odparł Ragen. – Nie chcę o tym dyskutować, Jenya. Wielki run ma powstać jak najszybciej. Otchłańce stają się coraz silniejsze i tylko czekać, aż zaatakują miasto. Musimy się przygotować, i to jak najprędzej.

Jenya pobladła, jednak wzięła plan do ręki.

– Tak, oczywiście.

Z dziedzińca dobiegły odgłosy zamieszania. Ragen uniósł głowę, a mały Arlen już podbiegł do okna.

– To Górskie Włócznie! – Podskakiwał i pokazywał żołnierzy.

Ragen i Elissa spojrzeli na siebie. Spodziewali się wezwania na dwór, ale nie asysty wojskowej. Podeszli do stojącego przy oknie chłopca, Ragen poczuł ucisk w brzuchu na widok maszerujących pięćdziesięciu Górskich Włóchni. Żołnierze z precyzją uformowali dwa szeregi, ciągnące się od bramy głównej po wejście do rezydencji, i zaprezentowali broń. Potem pojawił się książęcy powóz.

– To Keerin? – rzuciła Elissa.

Istniała wszak możliwość, że książę wysłał po nich swego herolda.

– Za mało krzykliwy – stwierdził Ragen. – Powozy Minstreli wyglądają, jakby ktoś je obrzygał tęczę.

Z rezydencji wylegli służący Rageny oraz Rębacze, ale powstrzymał ich kordon żołnierzy. Nic nie wskazywało na to, że zanosi się na konfrontację, lecz dało się wyczuć napięcie.

– Co tu się wyprawia, na Otchłań? – zastanawiał się Ragen.

Z powozu zeskoczył lokaj, rozłożył schodki, otworzył drzwi i podał urękawiczoną dłoń podróźnej, którą okazała się Matka Jone, ochmistrzyni księcia Euchora. Była to starsza pani o wiecznie niezadowolonej minie i usposobieniu otchłańca. Znana też była z tego, że nader niechętnie opuszcza rezydencję księcia. To, że wybrała się do nich z wizytą, nie rokowało dobrze.

– Jenya... – Elissa zerknęła na dzieci.

Kobieta zareagowała natychmiast i nie wdając się w dyskusję, zabrała Maryę i Arlena sprzed okna.

– Chodźcie, dzieciaki. Pani ochmistrzyni będzie omawiać interesy z waszymi rodzicami i nie życzy sobie, żeby dzieci pałętały jej się między nogami. Do pokojów!

Ragen ujął Elisę za rękę.

– To tylko pokaz potęgi. Euchor uwielbia rozdymać własne ego. Nie sądzę, żeby odważył się nam zagrozić.

– Po co niby miałyby to robić? – spytała Elissa.

W tej samej chwili podjechał drugi powóz, oznaczony herbem hrabstwa Poranka. Elissa zacisnęła dłoń na palcach Rageny z taką siłą, że aż zbieleły. Kobieta, która zeszła po stopniach na ziemię, okazała się bowiem hrabina Tresha.

Matka Elissy.



Elissa mocno zacisnęła dłonie, ujmując fałdy sukni, by dygnąć. Wolałaby stokroć bardziej mieć do czynienia z niewielką armią Górskich Włócznie niż z własną matką. Słowa księżnej Araine nieproszone pojawiły się w jej głowie: „Uważaj na każdy krok, gdy dotrzesz do domu”.

– Elisso, moja droga! – Hrabina Tresha rozłożyła ramiona. – Chodź i uściskaj swoją matkę!

Elissa odruchowo wstrzymała oddech, a przyczyną wcale nie był intensywny zapach ulubionych perfum matki. Kiedy po raz ostatni ta chciała ją objąć? W dzieciństwie? W głowie Elissy rozdzwiewały się dzwonki alarmowe.

– Bądź cicho i pozwól, żebym mówiła za ciebie, moja droga – szepnęła jej do ucha Tresha. – Jestem tu po to, żeby wszystko przebiegło jak należy.

Być może matce wydawało się, że te słowa przyniosą Elissie otuchę, ale one jeszcze bardziej wzmożyły jej niepokój.

Tresha była jedną z najpotężniejszych kobiet w Miln, jednak powagą i znaczeniem ustępowała Matce Jone. Chuda niczym trzcina ciotka księcia, choć liczyła sobie prawie siedemdziesiąt lat, trzymała się prosto. Miała na sobie tradycyjną suknię z długimi rękawami i wysokim kołnierzem, uszytą z materiału równie sztywnego jak jej usposobienie. Jak zwykle sprawiała wrażenie osoby, która właśnie przeżuła cytrynę.

– Ragenie, Elisso! – Skinęła ponuro głową. – Witajcie w domu.

Ragen, który nawet w chwilach największego stresu potrafił udawać odprężonego, uśmiechnął się szeroko.

– Zaiste zgotowałaś nam niezłe powitanie! Czy ci

żołnierze są tu po to, żeby oddać salwę powitalną?

– To jedynie eskorta, Ragen – odparła Jone.

– Czyżby Miln podczas naszej nieobecności stało się miejscem tak niebezpiecznym, że potrzeba pięćdziesięciu ludzi z ognistą bronią, żeby zapewnić nam bezpieczny przejazd?

– Oczywiście, że nie – odparła Jone. – Ale jesteście bohaterami, którzy wrócili z wojny. Na waszym miejscu traktowałabym tę eskortę jako gwardię honorową. To wielki zaszczyt.

– Byłbym o wiele bardziej zaszczycony, gdyby mi o tym powiedziano.

Za ich plecami wyrósł Yon, który zapewne wszedł tylnymi drzwiami.

– Wszystko gra? – spytał.

– O, a to zapewne kapitan Siwy Yon – oznajmiła Jone. – Miło mi cię poznać, kapitanie. Jego Książęca Mość życzy sobie również twojej obecności na porannej audiencji.

Yon zerknął na Ragenę, a potem odwrócił się ku Jone i założył ramiona na piersi. Mimo że ochmistrzyni była wysoką kobietą, zwalisty Rębacz był od niej o wiele potężniejszy.

– W porządku – powiedział.

Wydawało się, jakby rozmiary wojownika z Zakątka nie zrobiły na Jone żadnego wrażenia.

– Będziesz musiał oddać swoją broń straży pałacowej, zanim staniesz przed obliczem Jego Książęcej Mości. – Wskazała przewieszony przez plecy wielki topór.

– Prędeż mnie noc późre! – odparł Yon i w komnacie pojawiło się napięcie.

– Książę Euchor nie pozwala wpuszczać uzbrojonych wojowników z obcych księstw do swojej sali tronowej. – Uśmiech Jone stał się równie kwaśny jak jej mina. – Z pewnością nawet ty potrafisz to zrozumieć.

Yon gwizdnął. Strażnicy ochmistrzyni zdjęli broń z ramion, gdy pojawił się Lary Rębacz. Yon odpiął topór i oddał Lary'emu.

– Sam Wybawiciel nakreślił na nim runy – wyjaśnił Yon.

– Nie oddam swojej broni nikomu, kto nie pochodzi z Zakątka. – Jego uśmiech był równie pobłażliwy jak Jone, gdy dodał: – Z pewnością nawet ty potrafisz to zrozumieć.

Jone odkaszlęła.

– Tak, cóż. Ruszamy?

Wyszli na zewnątrz i przeszli wzdłuż groźnego szeregu Górskich Włóczy do powozów. Elissa spojrzała przez ramię na twarze przestraszonych służących. Oboje z Ragenem wyczuwali wśród nich napięcie i wiedzieli, że ludzie nie mają pojęcia, co począć, i czekają na sygnał od nich.

Gdyby okazali strach bądź niepewność, mogłoby dojść do rozlewu krwi, co Ragen rozumiał aż za dobrze. Szedł swobodnie i uśmiechał się, choć Elissa wiedziała, że w głębi duszy jest spięty jak rzadko kiedy.

Tresha dotknęła ramienia Elissy.

– Ty i Ragen wsiądźcie do powozu ze mną, moja droga – powiedziała i zerknęła na Jone. – Uzgodniłyśmy to zawczasu.

Elissa opanowała wzdrygnięcie wywołane dotknięciem matki.

– Matko, o co...

Kościste palce Treshy wbiły się mocniej w jej ramię.

– Kapitan Yon pojedzie z tyłu, gdyż w powozie wystarczy miejsca zaledwie dla czterech osób.

– Dla czterech? – spytała Elissa, a wówczas woźnica w liberii jej matki otworzył przed nimi drzwi powozu i w środku ujrzeli Dereka. Młody Posłaniec wyglądał niepewnie, pod jego oczami widniały ciemne plamy.

– To nie kłopot. – Yon z ulgą wdrapał się na siedzenie z tyłu, najwyraźniej ciesząc się w duchu, że ominie go jakiś

milneński dramat.

– Nie mamy wiele czasu – rzekła Tresha, gdy drzwi zostały zamknięte. – Macie wielkie szczęście, że dowiedziałam się o wszystkim w porę i dotarłam na czas, żeby dopilnować, czy Jone i jej ludzie zachowują się tak, jak należy. Gdyby nie moje przybycie, zapewne przeszukaliby rezydencję.

– Przeszukaliby nasz dom? – Ragen był wstrząśnięty. – Dlaczego? O co tu chodzi, na mrok nocy?

– Chciałem was ostrzec – oznajmił Derek – ale ludzie Brayana nie pozwolili mi na to. Od chwili powrotu przebywam w areszcie domowym.

– Aresztowali cię? – Elissa nie mogła uwierzyć. – Za co?

– Aresztowaniem bym tego nie nazwał – rzekł Derek. – Zamknęli mnie jedynie w komnatach ze Stasy i małym Jefem, a przy drzwiach i pod oknami umieścili strażników. Mogłem sięgnąć po swoje pióro, ale hrabia postawił całą straż w gotowości, a wszyscy jego ludzie mają broń ognistą. Gdybym próbował uciekać, zapewne komuś stałaby się krzywda.

– Dobrze, że tego nie zrobiłeś – stwierdziła Tresha. – I tak już popadłeś w niezłe tarapaty!

– Jakie znowu tarapaty, matko? – Elissa traciła cierpliwość. – Wróciliśmy zaledwie wczoraj. Cóż takiego, na Otchłań, moglibyśmy mieć na sumieniu?

– Euchor wie, że handlujecie runami wojennymi na giełdzie – rzekł Derek. – A po tym, jak się dowiedział, że Arlen Bales jest Naznaczonym...

– ...uznał, że świadomie zrobiliśmy z niego durnia – dokończyła za niego Elissa.

– Tak było? – spytała Tresha.

Elissa przyjrzała się hrabinie uważnie. Wobec kogo jej matka była lojalna? Z kim tak naprawdę trzymała? Nie było między nimi wielkiej miłości, a do tego nie ukrywała,

że nie przepadała za Ragenem. Czy rzeczywiście działała teraz w imieniu Elissy oraz dla jej dobra – choćby po to, by oszczędzić rodzinie wstydu – czy może służyła Euchorowi, który potrzebował kogoś, kto w wygodny sposób wycisnie z Elissy zeznania?

– Nie do końca. – Ragen wzruszył ramionami. – Prędzej czy później sprawa i tak miała wyjść na światło dzienne. – Spojrzał na Dereka i zapytał: – Co jeszcze wiedzą?

Nim Derek zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Tresha:

– Jeśli pytasz, czy Euchor wie o runicznej broni i runicznych zbrojach, które wyrabiałeś i sprzedawałeś w całym mieście, to odpowiedź brzmi: tak.

– Czyli musiał się tego dowiedzieć niedawno – rzekła Elissa. – Przeglądałam dziś rano zamówienia. Dostawy do Gildii Posłańców docierały regularnie i towar zostawał za każdym razem przyjęty.

– A niby dlaczego miałoby być inaczej? Nie złamaliśmy przecież żadnego prawa. – Ragen wpatrywał się w Dereka. – Jak on się o tym dowiedział?

Derek poczerwieniał i opuścił wzrok.

– A więc Stasy. – Elissa założyła ramiona na piersi.

Matka Stasy była żoną Dereka i kuzynką hrabiego Brayana. Brayan zaś był najbliższym doradcą Euchora i głową jedynej rodziny, która zgromadziła większy majątek niż Ragen i Elissa. Zainwestował ogromną fortunę w ognistą broń Euchora i bez wątplenia uważał broń runiczną za konkurencję. Co więcej, syn Brayana wziął za żonę najstarszą córkę Euchora, a dziecko z ich małżeństwa było powszechnie typowane do roli kolejnego księcia.

– To nie jej wina – rzekł Derek. – Raczej moja. Powinienem był bardziej uważać na to, co piszę w listach. Służący hrabiego czytają jej korespondencję i szukają informacji. Jest wściekła jak skalny demon.

Ragen odetchnął.

– Cóż, teraz nic już na to nie poradzimy. – Ukłonił się lekko Treshy. – Dobrze wiem, jaki wstyd okrywa rodzinę książęcą, gdy ktoś wytropi ślady po brudnych butach Posłańca na dywanie. Gdy tylko zakończymy sprawę związane z twoim spadkiem, Derek, będziesz mógł zbudować własny dom.

– Tak, bardzo mi się ten pomysł podoba – powiedział Derek. – Problem leży w tym, że hrabia trzyma Stasy i Jefa pod kluczem. Bez nich nigdzie nie jadę.

– Nie będziesz musiał – rzekła Elissa.

– Tak jakbym rzeczywiście mógł coś w tej sprawie zrobić – westchnął Derek. – Czy jest w tym mieście jakiś sędzia, który chciałby zadrzeć z przeklętym hrabią Brayanem?

– Nie jesteś tu sam, Derek – odparł Ragen. – I już nigdy nie będziesz. Wystarczy, że oznajmisz głośno i wyraźnie w przytomności dworu, że zabierasz swoją rodzinę i wprowadzasz się do mojej posiadłości. Jeśli Brayan się na to nie zgodzi, Gildia Patronów Runów nie będzie przyjmować od niego żadnych zleceń, dopóki nie zmięknie.

Derek rozdziawił usta.

– Jesteście gotowi zrobić coś takiego?

– Oczywiście, że tak, na Otchłań! – Elissa nie mogła się powstrzymać i obrzuciła matkę buntowniczym spojrzeniem.

– Jesteśmy rodziną.

– Nie jesteś już mistrzem Gildii, więc na razie to tylko pusta groźba – zauważyła Tresha.

Ragen obdarzył matkę żony chłodnym uśmiechem.

– Wkrótce się przekonamy.

– A więc wiedzieliście, że Arlen Bales jest Naznaczonym – Tresha powróciła do głównego tematu. – I celowo zatailiście tę informację?

– To nasz syn – rzekła Elissa. – W każdym calu, matko. Zupełnie jakbym go sama zrodziła.

– Powinniście przyjść z tym do mnie – parsknęła Tresha.

– Do ciebie? – Elissa wybuchła szyderczym śmiechem. – Matko, czy ty kiedykolwiek wzięłaś moją stronę w jakiegokolwiek sprawie? Na noc, nie wiem, czy i teraz jesteś po mojej stronie.

Tresha wydawała się autentycznie obrażona.

– Bez względu na to, co sądzisz, ty rozpieszczona, kapryśna smarkulo, zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej.

– Czy ta właśnie myśl przyświecała ci, gdy wyrzuciłaś mnie z rodziny? – warknęła Elissa. Kątem oka widziała, jak Ragen i Derek kulą się, przytłoczeni emocjami w wymianie zdań, ale nie miała wyboru. Musiała poznać prawdę. Musiała się dowiedzieć, kogo popiera jej matka, nim wysiądą z powozu.

– Powiedziałam ci, że czas zostawić wszystkie konflikty za sobą, gdy ukończyłaś Szkołę Matek – odparła Tresha.

– Tylko dlatego, że zależało ci na kolejnym głosie w Radzie Matek – parsknęła Elissa. – Ja zaś nigdy nie byłam zainteresowana uczestnictwem.

Tresha skrzyżowała ramiona.

– Teraz jednak trafiłaś do świata polityki, czy tego chcesz czy nie. Trafiłaś w sam środek burzy i jeśli chcesz ocalić życie i wolność, będziesz potrzebować mojej pomocy.

– Za jaką cenę? – Elissa nie zdołała się powstrzymać od pytania.

– O tym pomówimy później. – Tresha zerknęła na Ragen i Dereka. – Dziś jednak wystarczy mi, jeśli uwierzysz, że stoimy po tej samej stronie.

– Chcesz powiedzieć, że bez twojej interwencji zostaniemy aresztowani? – spytał Ragen.

– Nie sądzę, żeby miało do tego dojść – odparła hrabina. – Oczywiście pod warunkiem, że będziecie baczyć na słowa. Jesteście wszak bohaterami i mówi się o was w każdej

tawernie w Miln. Doszłoby do zamieszek na ulicach.

– Nie sądzisz? – zapytała Elissa.

Jej matka wzruszyła ramionami.

– Dopiero co wróciliście do Miln i już nigdy nie będziecie tak bezbronni i nieprzygotowani. Jeśli Euchor naprawdę się was boi, być może doszedł do wniosku, że to jedyny moment, żeby zakuć was w kajdany, zanim staniecie się zbyt potężni.



Ragen dostrzegł grupkę kobiet czekających przed wejściem do książęcej rezydencji.

– Póki co jesteś zdany na własne siły, Ragenie – rzekła Tresha. – Na razie spróbuj nie pogorszyć sytuacji i pamiętaj, że Matki starają się właśnie rozwikłać wasz problem.

Z tymi słowy Tresha i Jone oddaliły się, zabierając Elisę do komnat zajmowanych przez Radę Matek, a Ragen zadał sobie w myślach pytanie, czy przypadkiem ich kolejne spotkanie nie będzie miało miejsca na procesie sądowym.

Keerin czekał na Rageną, Dereka i Yona, by odprowadzić ich do sali tronowej. Minstrel na powrót przywdział swój dworski strój – tunikę oraz luźne spodnie w niebieskie i szare paski, na które narzucił płaszcz z czarnego aksamitu, spięty złotym łańcuchem z górskim herbem Euchora. Wnętrze płaszcza podbite było jaskrawym jedwabiem, dzięki czemu Keerin mógł jednym ruchem ręki zamienić stonowane barwy, które lubił Euchor, w jasne barwy Minstrela. Jego twarz była jednak równie poważna jak czerń płaszcza.

– Przykro mi z powodu tego zamieszania, Ragenie.

Przysięgam, nie miałem o tym wszystkim pojęcia!

Ragen zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– To nie twoja wina. Jak źle to wszystko wygląda?

Keerin rzucił okiem na ich zbrojną eskortę i ruszył przed siebie, prowadząc ku sali tronowej.

– Jego Książęca Mość jest... cóż, niezadowolony – powiedział cicho. – Będzie próbował cię zastraszyć, ale Rada Matek nie jest przekonana, czy istnieje wystarczająco wiele powodów, żeby wnieść oskarżenie. Chyba że sam powiesz coś, co cię pogrzyży.

– Skąd to wszystko wiesz? – szepnął Ragen w odpowiedzi.

– Dowiedziałem się paru rzeczy w domu – odparł Keerin.

Jego żoną była baronowa Cate, bogata wdowa i ważna członkini Rady Matek, choć z tego, co Ragen słyszał, małżeństwo do najszcześniejszych nie należało.

– Zaczekajcie tu – powiedział Keerin, gdy stanęli przed wielkimi wrotami prowadzącymi do sali tronowej Euchora.

Żołnierze Górskich Włóczy otworzyli je nieco, by wpuścić samego Minstrela.

– Mistrz Ragen, Posłaniec Derek oraz kapitan Siwy Yon z hrabstwa Zakątka! – oznajmił głośno.

– Róbcie to, co ja, i dajcie mi mówić – rzucił Ragen do towarzyszy. Wszedł do pomieszczenia statecznym krokiem, w żaden sposób nie zdradzając niepokoju.

Okiennice sali były szeroko otwarte i przez okna wpadały strumienie światła słonecznego, ani chybi po to, by doprowadzeni do ostateczności goście nie mogli sięgnąć po żadne magiczne sztuczki.

Na szczycie podwyższenia zasiadał sam książę Euchor. Był siwowłosym mężczyzną z wielką nadwagą, ale nadal sprawiał wrażenie takiego, który może gołymi rękami złamać człowiekowi kark. Mówiono, że gdy krasjański Posłaniec stanął przed jego obliczem i ogłosił, że Ahmann

Jardir jest władcą całego świata, Euchor osobiście pobił go do nieprzytomności, a potem obsikał leżące ciało. Miał na sobie podbity futrem błękitny płaszcz i szarą tunikę. Na szyi zawiesił ciężkie złote łańcuchy, a na jego palcach połyskiwały pierścienie. Na głowie zaś nosił złoty diadem.

Na lewo od tronu stał Opiekun Ronnell, który pełnił funkcję ksiązęcego bibliotekarza, a za jego plecami zgromadziła się grupa siwobrodych Opiekunów. Euchor nie kontrolował zakonu osobiście, ale ksiązęcy bibliotekarz, który służył jego rozkazom, był jednocześnie Opiekunem Biblioteki Ksiązęcej oraz katedry w Miln, a także zwierzchnikiem bractwa.

Hrabia Brayan, przywódca Gildii Górników i Gildii Bankierów, stał po prawej stronie, obok pozostałych mistrzów. Jego rzadziejące śnieżnobiałe włosy były krótko przycięte, a głębokie zmarszczki na kanciastej twarzy upodabniały ją do spękanego głazu. Towarzyszył mu szyderczo uśmiechnięty Vincin, którego szpiczastą, natartą olejkami bródkę przyprószyła siwizna. Rzadkie włosy zaczesywał do tyłu, a na krótkich, serdelkowatych palcach migotały pierścienie. Na piersi nosił z dumą broszę, która była oznaką mistrza Gildii Patronów Runów.

Obok niego Ragen wypatrzył człowieka, którego miał za najpewniejszego sojusznika w sali. Był to Malcum, mistrz Gildii Posłańców, mężczyzna o głowę wyższy od pozostałych i budzący respekt dzięki opasce na oku i bliznom na twarzy, pamiętce po ataku otchłāńca we wczesnych latach kariery. Był w ciężkim stanie, ale mimo to sam opatrzył swoje rany i dokończył trasę, po czym kontynuował karierę przez długie lata, aż przeniósł się do administracji.

Mistrzowie Gildii Sprzątaczy, Kupców, Żniwiarzy, Murarzy i Żebraków zbili się w ciasne grupki, przebierali nerwowo nogami, wyczuwając gęstniejące napięcie. Wielu z nich było winnych Ragenowi spore sumy pieniędzy.

– Witaj w domu, Ragenie! – oznajmił Euchor. – Zapewne słyszałeś już te słowa tysiąc razy od chwili, gdy przekroczyłeś bramy miasta, ale chciałbym powtórzyć, że całe Miln jest ci wdzięczne za usługi, jakie oddałeś nam na wojnie z Krasjanami.

Ragen uklonił się nisko.

– Czynisz mnie i moim towarzyszom wielki zaszczyt, książę. Znamy swoje obowiązki wobec ciebie oraz mieszkańców Wolnych Miast i zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

– Z fałszywą skromnością bynajmniej ci nie do twarzy, Ragenie – rzekł Euchor. – Powinieneś być dumny ze swoich osiągnięć. Wszak to jedyny powód, dla którego nie wtrąciłem cię jeszcze do lochu.

Euchorowi zależało na tym, by te słowa wzbudziły w gościach lęk. Yon w istocie napiął mięśnie, jakby szykował się do walki bądź ucieczki, ale Ragen się odprężył. Wiedział, że pora na nerwy przypada na czas przed zachodem słońca, tuż przed nadejściem zagrożenia. W ciemnościach, gdy demony stawały się czymś realnym, łatwiej było się skupić i działać.

– A z jakiego powodu chciałbyś mnie wtrącić do lochu, książę? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź. – Przecież zawsze byłem lojalny wobec Miln.

– Ale spiskowałeś przeciwko mnie z tym przybłądą z obcych krajów, którego tu przywlokłeś! – warknął Euchor. – Chcieliście mnie oszukać!

– Wydaje mi się, że pamiętam pewnego chłopaka, którego poznałem w Potoku Tibbeta, gdy zbierałem tam podatki w imieniu Waszej Książęcej Mości – stwierdził Ragen. – Nazywał się Arlen, a to przecież milneńskie imię.

Euchor poczerwieniał, a Ragen ucieszył się w duchu, że jego gęsta broda maskuje krzywy uśmiech. Książę zawsze popełniał ten sam błąd. Lubił, gdy jego ostrej krytyce

przysłuchuje się liczna publiczność, lecz był całkowicie nieprzygotowany na to, że człowiek, którego łaja na oczach wszystkich, znajdzie w sobie odwagę, by się odgryźć.

– Nie zdradziłeś mi, kim on naprawdę jest, podczas swojej wizyty na dworze rok temu! – naciskał Euchor.

Ragen rozłożył ręce i rozejrzał się wokół siebie.

– A któż z nas nie kryje rodzinnych sekretów? W czasach, gdy służyłem jako książećcy Posłaniec, dopuszczono mnie do wielu, a niektóre spośród z nich okazały się dużo poważniejsze. – Spojrzał z powrotem na księcia. – Arlen nie podburzał ludności. Nikogo nie okradł ani nie skrzywdził, a jego największym przewinieniem jest zniszczenie podłogi Waszej Książęcej Mości, za co z przyjemnością zapłacę.

– I tak też się stanie – zgodził się Euchor. – Zapłacisz również za bezwartościowe runy, które ten oszust mi sprzedał, działając w spisku z tobą.

– Bezwartościowe, Wasza Książęca Mość? – spytał głośno Ragen, a jego głos odbił się od wysokiego sufitu. – Gdyby nie te runy, ja i moi towarzysze nigdy nie wrócilibyśmy z Angiers. Gdyby nie te runy, mała wioska o nazwie Zakątek Drwali nie urosłaby do pozycji rywala każdego z Wolnych Miast w ciągu raptem dwóch lat. Gdyby nie one, Krasjanie nigdy nie opuściliby swojej pustyni.

– A twój uczeń sprzedał mi je drogo – rzekł Euchor. – Choć wcześniej oddał runy tobie, żebyś je wystawił na giełdzie.

Usilnie próbował dowiedzieć się czegoś nowego, ale Ragen nie miał zamiaru niczemu przeczyć.

– A o co Arlen prosił, Wasza Książęca Mość? Po tym, jak publicznie zagroziłeś mu, że twoi strażnicy przyduszą go do ziemi, żebyś mógł skopiować jego runy? Po tym, jak kazałeś mi wysłać Patronów, którzy zaczają się w cieniach i przepiszą każdy zauważony symbol?

Ragen słyszał już zewsząd nerwowe szepty i szuranie stóp. Mimo to kontynuował atak.

– Prosił jedynie o pomoc dla rizońskich uchodźców, której Wasza Książęca Mość z pewnością chciał udzielić. W to nie wątpię.

– Nie pozwolę, żeby ktoś mnie wrabiał w pomoc dla każdego nędzarza na granicy, Ragenie – warknął Euchor. – Dobrze zapłaciłem za te runy.

– Podobnie jak każdy Patron, któremu je sprzedałem – odparł Ragen.

Euchor zacisnął pięść.

– A więc przyznajesz, że próbowałeś mnie oszukać?

Ragen sięgnął po wszystkie zdolności aktorskie, by udąć urażonego.

– Niczego takiego nie zrobiłem, Wasza Książęca Mość! Legalnie wszedłem w posiadanie tych runów, a jako mistrz Gildii Patronów Runów i przewodniczący Giełdy Runicznej posiadam uprawnienia do wydawania grymuarów i produkowania magicznie wzmocnionych broni i zbroi.

– I zapewne zgromadziłeś niewyobrażalne bogactwo? – zadrwił Euchor.

Ragen rozłożył ręce.

– Wasza Książęca Mość, mogłeś handlować runami na giełdzie podobnie jak ja. Zdecydowałeś jednak, iż otrzymany grymuar zamkniesz w bibliotece, a swoich ludzi uzbroisz w ognistą broń.

– Broń ognista ocaliła Angiers! – wtrącił hrabia Brayan.

– Ze strachu przed nią Krasjanie nie sięgnęli po żadną zdobycz terytorialną na południe od Rzeki Granicznej.

– W rzeczy samej – zgodził się Ragen. – Ognista broń okazała się straszliwym orężem w walce z Krasjanami i Stwórcą jeden wie, że pustynne szczury zasłużyły sobie na surową lekcję pokory. Niemniej zważcie, że demony również rosną w siłę, a mądrość nakazuje naznaczyć

runami broń i pancerze Górskich Włóczy. Nadciąga kolejna wojna.

– Ba! – zadrwił Euchor. – Z tego, co wiemy, Krasjanie i Rębacze wycinają otchłańce tysiącami. Nic dziwnego, że te, które umkną spod ich ostrzy, zaczynają się niepokoić.

– Tu chodzi o coś więcej, Wasza Książęca Mość. – Ragen pokręcił głową. – Demony okazują teraz niecodzienną przebiegłość. Używają broni i korzystają z taktyki, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem, choć spędziłem dekady na szlakach. Co więcej, dane wywiadowcze zebrane przez hrabinę Leeshę z Zakątka sugerują, że jak dotąd widzieliśmy jedynie część tego, co wyrzuci z siebie Otchłań.

– Ta kobieta jest heretyczką – przerwał mu Euchor. – Opiekunowie Zakątka odzegnali się od naszej wiary i utworzyli własną Radę, a hrabina przekroczyła swoje uprawnienia, gdy mianowała tego głupca i apostatę Jonę Pasterzem. Oni czczą twojego nieżyjącego ucznia jako Wybawiciela, choć ten nikogo jak dotąd nie wybawił. Wywołał natomiast wojnę z pustynnymi szczurami i doprowadził do tego, że Plaga stała się jeszcze surowsza.

– To nie tak! – Yon wydawał się zaskoczony tym, że jego warknięcie odbiło się echem w tak wielkiej sali, ale jego twarz zhardziała, gdy wszyscy odwrócili się ku niemu.

Euchor uśmiechnął się.

– Proszę bardzo, kapitanie. Oświeć nas.

– Łatwo jest wyzywać od oszustów ludzi, których się nigdy nie poznało – oznajmił. – Łatwo jest siedzieć wygodnie w potężnej, chronionej runami twierdzy i oceniać. Nikogo z was nie było przy nas, gdy umarła nasza Zielarka i ludzie z Zakątka zapadli na zarazę. Nie było was, gdy rozpoczęły się pożary, a demony przebiły się przez barierę. Mieszkałem w Zakątku Drwali przez osiemdziesiąt lat i osobiście znałem każdego z trzystu czterdziestu siedmiu

ludzi, którzy byli mi sąsiadami. Jako stary kaleka patrzyłem, jak śmierć zabiera połowę z nich, a w ich domach i na naszych ulicach tańczą demony.

Zrobił krok naprzód. W jego głosie pojawiła się pasja, która przykuła uwagę wszystkich zebranych. Nawet Euchor milczał, pochłonięty przez opowieść.

– Stał jeszcze tylko Święty Dom i Jona przygarnął nas wszystkich. Miał złamaną nogę, ale nie spoczął ani na moment. Kuśtykał wszędzie na kulach i zajmował się chorymi niczym Zielarz. Mówił nam, że nie wszystko stracone. Że Stwórca ma plan. – Yon pokręcił głową. – Nie wierzyłem mu. Nikt mu nie wierzył. Byłem przekonany, że nastał mój ostatni poranek. Wtedy do miasta wjechali Arlen Bales z Leeshą córką Erny’ego i Rojerem z Gospody. Kazał nam przestać uzalać się nad sobą i wziąć się w garść. Powiedział, że jeśli staniemy do walki, możemy obronić naszą wieś. I dzięki niemu nadal żyjemy. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Nie wierzycie w opowieści Minstreli? Fakt, sam słyszałem jedną, w której mam ponoć dziewięć stóp wzrostu. Ale nie można zaprzeczyć, że w ciągu dwóch lat z osady, z której ocalało raptem dwieście dusz, staliśmy się hrabstwem, w którym mieszka więcej ludzi niż w każdym ze znanych mi Wolnych Miast.

W trakcie przemowy Yona Ragen przyglądał się uważnie ksiązęcemu bibliotekarzowi, który wydawał się zachowywać obojętność. Ragen szukał jakichś oznak, że słowa Yona do niego przemawiają. Że być może jest sojusznikiem, którego Arlen kiedyś spodziewał się w nim znaleźć.

– Pewnie nie wierzycie, że Arlen Bales jest Wybawicielem. Rozumiem i szanuję to. Gdybym nie ujrzał tego na własne oczy, sam też pewnie bym nie uwierzył. Ale widziałem dowód. Widziałem, jak Arlen wisi na niebie, jaśniejac niczym słońce, widziałem, jak ciska ogniem

i błyskawicami w pomiot Otchłani. Jeśli on nie jest Wybawicielem, na noc, nie wiem, kto miałby nim być.

Zewsząd dobiegły szmery rozmów. Ragen milczał, nie chcąc przeszkadzać ludziom w wyciąganiu wniosków. Euchor spojrzał na Ronnella, jakby oczekiwał, że ten podważy wiarygodność rozmowy, ale bibliotekarz wpatrywał się w podłogę, zatopiony w myślach. Starcy za jego plecami rozprawiali półgłosem.

Ragen zrobił krok naprzód i znowu zapadła cisza.

– Znałem Arlena Balesa lepiej niż wy wszyscy, ale teologię pozostawię Opiekunom, żeby mieli o czym rozprawić w swoich bezpiecznych, chronionych runami Świętych Domach. Spędziłem swoje życie na trakcie, śpiąc pod gwiazdami, i wyraźniej oceniam zagrożenie. To, że nazwiemy je Plagą, niczego nie zmienia. Mamy broń, dzięki której możemy podjąć z otchłańcami walkę. Powinniśmy włożyć tę broń w rękę każdemu człowiekowi, który potrafi ją unieść!

– A przy tym nabić sobie kabzę? – spytał Euchor. – Kontrolujesz zarówno popyt, jak i podaż, a więc wyolbrzymienie zagrożenia jest w twoim interesie. Możesz uważać się za szczęściarza, że nie skonfiskowaliśmy każdej sztuki broni, którą wykonałeś ze swoimi nielegalnymi runami.

Mistrz Malcum odkaszlnął cicho. Wszyscy spojrzeli ku niemu, a Euchor uniósł brew.

– Chciałeś coś dodać, Malcumie?

Mistrz Gildii Posłańców przyjął zaproszenie. Opuścił towarzystwo pozostałych mistrzów i stanął obok Rageny.

– Gildia Posłańców nabyła tę broń legalnie i zapłaciła za nią uczciwie, Wasza Książęca Mość. Najwyraźniej zapominasz, że ryzykujemy życie każdej nocy, kiedy dostarczamy twoje rozkazy, eskortujemy twoje karawany i umożliwiamy prowadzenie handlu w całym mieście.

Naciskaliśmy Waszą Książęcą Mość, żebyś podzielił się runami sprzedanymi ci przez Arlena Balesa, ale byliśmy zbywani dzień po dniu, choć ataki demonów na traktach przybierały na sile. Teraz wreszcie mamy broń, dzięki której możemy się skutecznie obronić, i na pewno jej nie oddamy.

Oblicze Euchora pociemniało, gdy usłyszał buntowniczy, zadziorny ton.

– Przyznajesz się więc do udziału w przestępstwie Ragen? – spytał cichym, niebezpiecznym głosem.

– Nie doszło do żadnego przestępstwa – rzekł Malcum. – Nabyliśmy runy legalnie na giełdzie i równie legalnie zamówiliśmy broń i zbroje w Gildii Patronów Runów. Nie masz prawa niczego konfiskować. Podejmij próbę, a będziesz miał przeciwko sobie każdego Posłańca w mieście.

Na dworze zapadła cisza pełna oszołomienia. Bez Posłańców najważniejsze służby miejskie zostałyby sparaliżowane i wszyscy obecni zostaliby uderzeni po kieszeni.

– To samo tyczy się Gildii Patronów Runów – dodał Ragen.

– Nie przemawiasz już w imieniu Patronów, Ragenie! – zadrwił Vincin. – Wyrzekłeś się tego przywileju w chwili, gdy opuściłeś urząd. To ja jestem teraz mistrzem.

– Mistrzem, który nie chce wezwać zebrania, żeby nie został na nim odwołany – zripostował Ragen. – Jestem ci wdzięczny, że zastąpiłeś mnie podczas mojej nieobecności, Vincinie, ale nie zdołasz długo mnie blokować. Prędeż czy później odzyskam pełnię władzy. To ja kontroluję giełdę, pamiętasz?

Vincin skrzywił się, ale Ragen miał rację. Vincin mógł na razie mnożyć proceduralne przeszkody, lecz wieści o powrocie Rageny już się rozniosły i wiedział, że

członkowie Gildii niebawem zaczną wywierać na niego nacisk.

– Dziś rano podpisałem dokumenty przyznające Derekowi dożywotnie stanowisko w zarządzie Giełdy Runicznej oraz dwadzieścia jeden procent tego, ile wart jest mój interes runiczny, szklarnie oraz magazyny. – Ragen szedł za ciosem. – Zaprosiłem także Dereka oraz jego rodzinę, żeby zamieszkali w mojej posiadłości do czasu, gdy wybudują własną.

– Życzliwa propozycja, Ragenie, ale całkiem zbędna. – Hrabia Brayan zmusił się do uśmiechu. Widać było, że informacja całkiem go zaskoczyła. – Zięciowi mojego kuzyna niczego nie brakuje w mojej twierdzy.

Derek zrobił krok do przodu.

– Dziękuję ci, mój panie, lecz o wiele za długo nadużywamy twojej gościnności. Natychmiast się wyprowadzimy, po czym rozpoczniemy poszukiwania nowego domu.

– Ta decyzja nie należy do ciebie – rzekł Brayan. – Stasy i Jef są szlachetnie urodzeni i przywykli do życia w luksusie, którego ty nigdy nie będziesz im mógł zapewnić.

– To moja żona i mój syn – oznajmił Derek.

Brayan odsłonił zęby.

– To młoda dziewczica, którą zgwałciłeś, i bękart, którego krew jest o wiele bardziej błękitna od krwi jego ojca. Może i zdołałeś ją jakoś przekonać, żeby za ciebie wyszła, i udało ci się podnieść o klasę wyżej, śmierdzielu jeden, ale nie jesteś jej godzien i nigdy nie byłeś. Gdzie byłeś, gdy twój syn dorastał? Szwendałeś się po świecie?

– Szwendał się? – Malcum założył ramiona na piersi. – A więc to tak postrzegasz pracę Posłańców, mój panie?

– Derek nie jest gwałcicielem – rzekł Ragen. – Masz doprawdy niezły tupet, skoro powtarzasz takie kłamstwa

na dworze książęcym!

– Nie pozwolę się zastraszyć ani mistrzowi Gildii, który znika na długie miesiące, ani zięciowi mojego kuzyna, który robi dokładnie to samo! – warknął Brayan. – Urządźcie sobie strajk, jeśli chcecie. Nie zapomnijcie jednak przekazać wszystkim swoim pracownikom, że ich zarobek przepadł przez nieszczęsną córkę barona, którą zmuszano do życia w luksusie we własnym domu.

– Rozpuszczaj tyle kłamstw, ile sobie życzysz, mój panie – parsknął Derek. – Ale nie będziesz więził mojej żony i mojego syna wbrew ich woli.

Hrabia Brayan warknął ze złością i odwrócił się ku księciu, jednak ten zamachał jedynie ręką, jakby próbował odpędzić smród.

– Oszczędź mi tych rodzinnych dramatów. Takimi sprawami zajmuje się Rada Matek. Udaj się do nich.



– Czy uczestniczyłaś w spisku Arlena Balesa wymierzonym przeciwko książęcemu tronowi? – Matka Jone, która krążyła po komnacie, zatrzymała się i spojrzała Elissie w oczy.

Przesłuchanie ciągnęło się od paru godzin. Matka Jone dopytywała o wszelkie szczegóły z życia Elissy, od dzieciństwa Arlena aż po doświadczenia Elissy z objętego wojną Lakton. Tresha przez cały czas siedziała w milczeniu obok córki, wyprostowana i z kamienną miną. Młotek Mówczyni dzierżyła Matka Cera, żona hrabiego Brayana.

Jone wreszcie dotarła do treści oskarżenia.

– Nie odpowiadaj – odezwała się Tresha i położyła dłoń na ramieniu Elissy, jakby była dzieckiem, które może uciec

na ulicę, a potem zwróciła się do pozostałych Matek: – Nie ma dowodów na to, że zawiązano jakikolwiek spisek.

Kilka pozostałych uczestniczek spotkania pokiwało głowami, inne się skrzywiły. Po raz pierwszy w życiu Elissa cieszyła się, czując dłoń matki na ramieniu. Miejsce, w którym spotykała się Rada, było niebezpieczniejsze od ciemnych zaułków miasta, a Tresha cieszyła się szacunkiem wszystkich zebranych. Ba, niektóre były wręcz posłuszne jej woli.

– Podtrzymuję. – Cera z kwaśną miną uderzyła młotkiem.

Miała to samo nastawienie co Jone, lecz choć łączył je wspólny cel, nie mogły łamać zasad i ustanawiać precedensów. Przynajmniej dopóki Tresha miała nieznaczną przewagę głosów.

– Oczywiście. – Jone wydawała się nieporuszona. Wiedziała, że ziarno niepewności zostało zasiane. – Pozwól więc, że inaczej sformułuję pytanie. Czy wiedziałaś, że Arlen Bales to Naznaczony, przed jego spotkaniem z księciem?

Tresha zacisnęła mocniej dłoń na ramieniu Elissy, ale ta wyprostowała się nieco bardziej. Bez względu na wszystko nie miała zamiaru okłamywać Rady czy też wypierać się Arlena.

– Tak – odparła. – Arlen Bales to mój adoptowany syn. Ujawnił przede mną swoją prawdziwą tożsamość wkrótce po powrocie do Miln.

Jej odpowiedź wywołała liczne szepty. Tresha nie wydawała się zadowolona, ale zmilczała.

– Czyli przyznajesz się do oszukiwania księcia?

– A niby w jaki sposób miałabym go oszukać? – odparła Elissa. – Jestem Matką z kupieckiej rodziny i nie ma dla mnie miejsca na dworze Jego Księżęcej Mości. Skoro nie uznano tam za stosowne należycie sprawdzić petenta przed

wpuszczeniem go na dwór, nie wiem, dlaczego ja mam ponosić za to odpowiedzialność.

– Doskonale – szepnęła Tresha i rozluźniła nieco zaciśniętą dłoń.

– Jednak twój mąż jest członkiem książęcego dworu, czyż nie? – pytała Jone.

Elissa dobrze wiedziała, dokąd zmierza ich rozmowa.

– Oczywiście.

– Czy mistrz Ragen był obecny w chwili, gdy Arlen Bales ujawnił swoją tożsamość?

– Nie – odparła Elissa.

Jone zmarszczyła brwi.

– Ale był świadom...

Tresha znów mocno zaciśnęła dłoń.

– Zastrzeżenie – odezwała się. – Nikt nie ma obowiązku zeznawać przed Radą przeciwko współmałżonkowi lub współmałżonce.

– Przypominając nam o tej zasadzie, sugerujesz, że Elissa w istocie ponosi winę – stwierdziła Jone.

– A ty, próbując umniejszyć jej znaczenie, pokazujesz, że nie masz tak naprawdę żadnych dowodów – zaripostowała Tresha.

Szmer rozmów przybrał na sile.

– Dość! – Matka Cera uderzyła młotkiem, wzywając do zachowania ciszy. – Matka Elissa nie będzie zeznawać przeciwko swojemu mężowi ani w jego imieniu.

– A więc to koniec na dzisiaj – oznajmiła Tresha, ściskając mocno ramię Elissy.

Cera wycelowała w nią młotkiem.

– To nie ty piastujesz rangę Mówczyni.

Na Treshy nie zrobiło to wrażenia.

– Nie, ale moja córka odpowiada na wszystkie pytania stawiane przez Matki od czterech godzin. Proponuję, żebyśmy zawiesiły posiedzenie Rady na dzisiaj i pozwoliły,

żeby Matka Elissa wróciła do rodziny, której nie widziała od wielu miesięcy. Pomnijmy, że dopiero co wróciła do miasta, niejednokrotnie narażając przy tym życie. Chyba że – odwróciła się ku oskarżycielce – Matka Jone, miast błędzić po omacku, chciałaby zadać jeszcze jakieś sensowne pytanie?

– Popieram – rzekła natychmiast hrabina Cate.

Inne członkinie Rady zgadzały się, że posiedzenie powinno już dobiec końca. Elissa widziała w oczach wielu kobiet, że sprawa bynajmniej nie została rozwiązana, ale udało się chociaż zyskać nieco na czasie.

– Dziękuję – powiedziała do swojej matki, gdy ruszyły w drogę powrotną do powozu.

– Chcesz mi podziękować? – spytała Tresha. – Przyjedź więc na herbatę do Halli Wschodzącego Słońca.

Elissa poczuła napięcie na samą myśl o wizycie w ich prastarej siedzibie w hrabstwie Poranka. A pomyśleć, że była tak blisko ucieczki...



– Syn Otchłani, tyle wam powiem – warknął Derek, gdy Euchor ogłosił przerwę i wszyscy mogli wyjść. – Żeby nazwać mnie gwałcicielem tylko dlatego, że pochodziłem z niższej klasy, gdy zakochała się we mnie siostrzenica hrabiego?

– Wszystko będzie dobrze. – Ragen objął go ramieniem. – Przecież Brayan nie ma powodu, żeby skrzywdzić Jefa i Stasy. Niedługo będzie po sprawie.

– Łatwo ci mówić! – stwierdził Derek. – Żeby się z nimi choćby zobaczyć, muszę się na powrót wkupić w łaski Brayana. Następnym razem nawet hrabina Tresha nie

zdoła mnie wyciągnąć z aresztu domowego.

– My nie blefowaliśmy – rzekł Malcum. – Poczta i dostawy dla Brayana zostaną wstrzymane do chwili ogłoszenia wyroku przez Radę Matek.

– Tak, ale kto wie co one tam ustalą! – westchnął Derek. – Żadna z tych staruszek nie dba o moją rodzinę. Zależy im tylko na tym, żeby wykorzystać skandal dla własnych potrzeb politycznych. Matka Cera może liczyć na wiele głosów. Współ z Jone mogą przegłosować nawet Treshę.

– Bez względu na politykę nie mogą przetrzymywać Matki wbrew jej woli – rzekł Ragen. – Gdy Stasy złożą zeznania, nie będą miały wyboru i będą musiały ją uwolnić.

– A więc nie pozwolą jej zeznawać – stwierdził Derek. – Znam Brayana. Najpierw Stasy zapadnie na tajemniczą chorobę i nikt nie będzie mógł się z nią widzieć przez jakiś czas. Potem przekupi kogoś „bezstronnego”, kto ją odwiedzi i zmusi do podpisania oświadczenia. Jeśli oddamy sprawę do sądu, będzie nalegał, żeby rozprawa odbyła się w jego hrabstwie, gdzie ma wszystkich sędziów w kieszeni. Zapewne nie zdoła rozprawy wygrać, ale będzie ją przeciągał przez długie miesiące, a nawet lata, a przy tym obróci każdego urzędnika przeciwko mnie. Przecież on jest arystokratą, a ja nie, a na to nikt nic nie poradzi.

– Jeśli sprawy zajdą tak daleko – powiedział Ragen cicho – sięgniemy po magię. Uśpimy wszystkich i wędzemy się do środka.

Ragen proponował drastyczne rozwiązanie, ale Derek wyprostował się, słysząc jego słowa.

– Sięgniemy po magię? – spytał Malcum.

– Możemy teraz zaoferować twoim Posłańcom o wiele więcej niż tylko runy – rzekł Ragen.

– Czyżby? – Malcum uniósł brew.

Ragen wyciągnął srebrne pióro z kurtki i wręczył Malcumowi, by Posłaniec je obejrzał.

– We wnętrzu znajduje się kość demona, która eksploduje, gdy wystawi się ją na światło słoneczne, ale teraz została osłonięta płytkami ze złota i innych metali, przez co utrzymuje swoją moc. Gdybym wstawił ci coś takiego w zbroję, ta odbiłaby pocisk z broni ognistej albo cios pięści skalnego demona. Gdybym ją wstawił w belt, ten przebiłby kamienny mur.

Malcum obejrzał pióro, a potem spojrział na Ragenę.

– Gdybym usłyszał to od kogokolwiek innego, uznałbym to za totalne bzdury i demonie ściervo.

– Gdyby te artefakty nie ocaliły nam życia na trakcie, sam bym w to nie uwierzył – odparł Ragen. – Co więcej, goszczę w posiadłości kilku Rębaczy, znakomitych pogromców demonów, takich jak Yon. Przeszkolą twoich Posłańców w walce runiczną bronią.

– Jasne – rzekł Yon. – Nie masz ci takich, którzy rąbią demony jak moi Rębacze. Z ochotą nauczę cię wszystkiego, co z kolei nam przekazał Wybawiciel.

– A więc to prawda – stwierdził Malcum. – W Zakątku uważa się Arlena Balesa za Wybawiciela?

– Pan Bales zawsze temu przeczył, ale kim mógłby być, jeśli nie Wybawicielem?

– Dobrym człowiekiem – odpowiedział Ragen. – Takim, który próbował wyświadczyć światu przysługę i uwolnić nas od demonów.

Malcum patrzył to na jednego, to na drugiego, a w jego oczach pojawiła się wątpliwość.

– To bez znaczenia. – Ragen wziął od niego pióro. – Liczy się natomiast to, że możemy wyposażyć i przeszkolić twoich Posłańców. Trakty stają się coraz bardziej niebezpieczne. W Wybawiciela wierzyć nie musisz, ale to lepiej weź na poważnie.

Malcum pokiwał głową.

– Rozpuszczę wieści. Możesz się dzisiaj spodziewać

niezłego tłumu.



2I

Hrabia małżonek

334 ROK PLAGI

Elissa oraz jej matka siedziały wyprostowane, z wysoko zadartymi podbródkami i spoglądały przez okna powozu, nie patrząc jednak na nic konkretnego. Między nimi zapanował pokój, ale Elissa wiedziała, że to krucha idea.

Wkrótce między wzgórzami pojawiła się Halla Wschodzącego Słońca i Elissa ponownie poczuła się jak dziecko, gdy powóz przejechał przez ogromną bramę rezydencji. Miejsce to istniało na długo przed Powrotem, podczas którego uległo częściowemu zniszczeniu, ale kilkaset lat później odbudował je pierwszy hrabia Poranka.

Na przyjazd Elissy wyległa cała służba, której przewodziła Matka Soren, przed trzydziestu laty

guwernantka Elissy. Ta zapamiętała ją sobie z punktu widzenia dziecka jako ogromną, potężną kobietę, ale teraz, w dostojnych latach starości, wydawała się drobna i krucha.

– Matko Elisso, droga moja! Witaj w domu! – Soren rozłożyła ramiona, a Elissa wpadła w nie i mocno ją uścisnęła. Matka Soren zawsze była wobec niej surowa, ale mimo to lepiej wywiązywała się z obowiązków rodzicielskich aniżeli Tresha. Wśród zgromadzonych Elissa dojrzała jeszcze wiele znajomych, uśmiechniętych twarzy, zarówno przyjaciół z dzieciństwa, jak i ulubionych służących. Ci ludzie byli dla niej rodziną bardziej niż matka i starsze siostry, które wydano za miejscowych baronów, gdy ona sama była jeszcze dzieckiem.

– Tęskniłam za tobą – rzekła Elissa. – Za wami wszystkimi.

Wtedy po schodkach zeszła Tresha, opierając się na wyciągniętym ramieniu woźnicy. Soren i pozostali natychmiast wyprężyli się na baczność i wbili wzrok przed siebie. Elissa i Tresha przeszły wzdłuż szeregu poważnych, kamiennych twarzy, a chwilę później znalazły się w salonie.

Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak, jak Elissa sobie zapamiętała – było wręcz sterylnie czyste i aż buchające runicznym ciepłem, bo hrabinie Treshy zawsze było zimno. Służący musieli opuścić pokój tuż przed ich wejściem, gdyż znad imbryka oraz dwóch precyzyjnie rozmieszczonych, napełnionych porcelanowych filiżanek unosiła się para. Cieniutkie kanapki oraz inne drobne przekąski ułożono we wzór na blacie czystego marmurowego stołu. Dwa kryształowe kieliszki tworzyły idealny trójkąt z wiaderkiem wypełnionym lodem, z którego sterczała parująca otwarta butelka rizońskiego letniego wina. Kieliszki były już pełne. Obok leżał wypolerowany do połysku dzwonek, po który mogły sięgnąć, gdyby czegoś potrzebowały.

Elissa uśmiechnęła się, rozpoznając robotę ochmistrzyni.

– Matka Kath jest starsza od Soren, ale wciąż kompetentna i niewidzialna – rzekła.

– Służący powinni być niewidzialni, chyba że czegoś ci trzeba. – Tresha zasiadła w swoim ulubionym fotelu. Na stoliku obok znajdował się porcelanowy talerz z ulubionymi kanapkami hrabiny i filiżanką z pewnością przesłodzonej herbaty z mlekiem. – Nie chcę, żeby kręcili się przy mnie dzień i noc – dodała.

Cóż za smutne, samotne życie, pomyślała Elissa, ale zachowała spostrzeżenie dla siebie. Sięgnęła po kieliszek z winem.

– Oczywiście bardziej cieszyli się z tego, że widzą ciebie niż mnie. – Tresha sięgnęła po niewielką kanapeczkę, którą umieszczono w umiejętnie złożonym papierku, by hrabina nie powalała sobie palców. Jadła niczym ptak, szybkimi, precyzyjnymi kęsami. Sam papierek kosztował więcej niż miesięczny zarobek przeciętnego służącego.

– Może gdybyś zadała sobie nieco trudu i nauczyła się ich imion, byłoby inaczej? – Elissa zdążyła już opróżnić kieliszek i sięgnęła po drugi. Matka uniosła brew, ale Elissa ją zignorowała.

– Znam ich imiona. – Tresha zmięła papierek. – Kto im płaci od tylu lat? Ale cóż ja tam wiem. Ty pozostawiłaś swoje dzieci pod opieką służby prawie na rok.

– To o to się tak złościysz? – spytała Elissa. – A czemu ci to sprawia różnicę? Przecież sama oddałaś mnie służbie na wychowanie.

Tresha karcąco machnęła dłonią.

– I spójrz tylko, co z tego mam.

– Nie interesowałaś się Arlenem i Maryą. Widywałaś ich tylko na obiedzie z okazji Przesilenia Letniego. – Elissa zachowała spokój, choć czuła, że matka sprawdza, jak daleko może się posunąć. – Nie chcesz chyba ni z tego, ni

z owego, żeby kręcili się przy tobie dzień i noc?

– Pewnie, że nie! – parsknęła Tresha. – Ale znam członków zarządów wszystkich wielkich akademii. Mogłabym...

– Zabrać ich na moment do siebie, a potem natychmiast wysłać do szkoły? – spytała Elissa. – Przecież nigdy nie chciałaś ich poznać. Ani ich, ani mnie.

Tresha ujęła filiżankę i podmuchała na gorącą herbatę. Elissa zamrugnęła.

– Nie zareagujesz? Ostatnim razem, gdy zwróciłam się do ciebie tym tonem, rozbiłaś mi talerz na głowie.

Tresha westchnęła i upiła łyk.

– Sporo to potrwało, ale jesteś już Matką. Nie mogę cię już traktować jak córki. Usiądź przy mnie.

Elissa spełniła prośbę. Przez chwilę czuła się jak podczas jazdy w powozie – popijała wino i wpatrywała się w nicość, podczas gdy jej matka w milczeniu pochłaniała miniaturowe kanapki. Gdy w drugim kieliszku nie było już ani kropli wina, Elissa wstała, by nalać sobie z butelki.

– Mogę zadzwonić po służbę – rzekła Tresha.

– Potrafię samodzielnie nalewać wino, matko. Można się nauczyć wielu rzeczy, gdy wychowuje cię służba.

Nie zamierzała raczyć matki kolejnymi złośliwościami, kąśliwe zdanie wyrwało jej się samo. Uświadamiała sobie powoli, że ma w sobie więcej z Treshy, niż jej się wydawało.

Brzęknięcie filiżanki odstawianej na talerzyk uświadomiło jej, że hrabina jest rozdrażniona.

– Ciesz się, że twój ojciec odszedł z tego świata i nie słyszysz, jak się do mnie odzywasz.

– Kiedy ojciec żył, nie musiałam tego robić – odparła Elissa.

– Oczywiście, że nie! – roześmiała się Tresha. – Twój ojciec był aniołem zesłanym przez Stwórcę. Podobnie jak twój adoptowany syn i Posłaniec, którego urokowi uległaś.

Czy tobie naprawdę się wydaje, że każdy bliski ci mężczyzna jest Wybawicielem, kochana?

Elissa parsknęła, ale nagle otworzyła szerzej oczy, gdy rozpoznała wzór na kieliszku.

– O, pamiętam te kryształ. Sądziłam, że każesz po nie sięgać tylko wtedy, gdy odwiedza cię jakiś arystokrata.

– Przecież jesteś arystokratką – rzekła Tresha.

– Inaczej mówiłaś, gdy wyszłam za Ragen! – rzuciła Elissa. – „Wyjdź tylko za tego brudnego wędrownego szczura, a cię wydziedziczę!” – zaskrzeczała z ironią. – „Szybko się przekonasz, czy odpowiada ci życie wśród kupców!”

– Nigdy tego nie zrobiłam – oświadczyła Tresha.

– Co? – Kieliszek Elissy zamarł w połowie drogi do ust.

– Nigdy cię nie wydziedziczyłam – wyjaśniła hrabina. – Nie podpisałam żadnych papierów. Wyobrażasz sobie ten skandal?

Elissa nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Zerknęła na trzymaną czarę. Czy ona już dopiła trzeci kieliszek wina?

– A więc chcesz mi powiedzieć, że przez wszystkie te lata...

– Żyłaś wśród kupców z wyboru – sprecyzowała Tresha.

– Jeśli chciałaś wrócić do domu, wystarczyło przyjść i przeprosić.

– Za co? – Elissa zgrzytnęła zębami. – Ragen to dobry człowiek! Wart dziesięć razy więcej od obu baronów idiotów, za których wydałaś moje siostry!

Tresha odstawiła talerzyk z filiżanką, wstała i wyprostowała się jak struna, choć była teraz niższa od córki.

– Masz rację – powiedziała.

– Że co? – spytała Elissa.

– Przepraszam – rzekła Tresha. – Ragen okazał się o wiele lepszym mężem, niż sobie wyobrażałam.

Elissa stała przez moment oszołomiona i nie odzywała się ani słowem, a potem rozejrzała się po salonie.

– Nic dziwnego, że chcesz, żeby nikt się przy tobie nie kręcił – oznajmiła. – Jeszcze ktoś by to usłyszał.

– Potrafię się przyznać do błędu. – Tresha strzepnęła pyłek z sukni. – Naciesz się tą chwilą, moja droga. Niewykluczone, że nie dożyjesz drugiej takiej.

Elissa pokręciła głową.

– Powinnaś była wiedzieć, że nigdy się nie wyrzekniesz własnej córki.

– Miałabym się ciebie wyrzec? – zaśmiała się Tresha. – Nie. Wydziedziczyć? Z pewnością.

– Nigdy nie chciałam być hrabiną – przyznała Elissa.

– Natomiast twoje siostry o niczym innym nie marzyły – odparła Tresha. – Szkoda tylko, że obie okazały się takimi półgłówkami. Nie pozwolę, żeby któraś z nich odziedzyczyła nasz tytuł. Chyba wolałabym, żeby wrócił do Euchora i został przekazany jakiemuś idiocie, któremu książkę jest winien przysługę. Jesteś jedyną z mojej krwi, która doszła do czegoś sama.

– Na Stwórcę, matko! – warknęła Elissa. – Nie możesz po prostu powiedzieć, że za mną tęskniłaś? Że chciałabyś poznać swoje wnuki? A może twoja duma jest równie wielka jak miejskie mury?

– Jeśli moją przyrównujesz do murów, to twoja osiągnęła rozmiary góry – rzekła Tresha. – Straciłyśmy wiele lat przez te nasze niesnaski, lat, których już nie odzyskamy. Magia być może wygładza zmarszczki wokół oczu, ale wiek mi ciąży. Jestem starą, umierającą kobietą, uwięzioną we własnych przyzwyczajeniach.

Elissa doznała szoku. Ujęła matkę za rękę.

– Co ty mówisz? Przecież ty chyba nie...

– No, dokończ to zdanie, proszę cię – zachichotała Tresha. – Powiedz to, co ci leży na sercu, a ja powiem ci

prawdę.

Wpatrywały się przez moment w siebie, a potem jednocześnie opuściły wzrok.

– O co chodzi? – spytała Elissa. – Widziałaś się już z Zielarką?

– Toczy mnie nieuleczalna choroba – odparła Tresha. – A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Największe umysły w Miln gościły już w Halli Wschodzącego Słońca i wracały do miasta, żeby przez miesiące przeszukiwać bibliotekę.

Podeszła do ulubionego fotela i usiadła.

– Nie ma na świecie kobiet bardziej wykształconych od milneńskich Zielarek – oznajmiła Elissa. – Ale to, czego potrafią dokonać, błędnie w porównaniu z osiągnięciami uzdrowicieli w Krasji i Zakątku.

Tresha pokręciła głową.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z magią demonów.

– To nie magia demonów – odparła Elissa. – To po prostu magia, która pochodzi z Otchłani, a demony tylko wykształciły umiejętność jej wchłaniania.

– Masz na to jakiś dowód? – Tresha uniosła brew.

– Jedynie poszlaki. Wciąż się uczymy i...

– Nie mam zamiaru być poddawana jakimś eksperymentom i oddawać swojej świętej duszy w zastaw! – oznajmiła Tresha. – Testuj swoje teorie na służbie, żebrakach czy rannych wojownikach, jeśli musisz, ale nie na mnie. Ja przeżyłam już swoje, Lissa, i jestem zmęczona. – Wyciągnęła rękę i zacisnęła kościste palce na dłoni córki. – Wasze imiona są na ustach wszystkich ludzi w Miln. Bogactwo to rzecz równie dobra jak stan szlachecki, a w Miln mało jest ludzi zamożniejszych od Rageny. Wystarczy garść monet i kilka machnięć piórem, a uczynię was oboje moimi spadkobiercami i nawet Euchor nie będzie w stanie mnie powstrzymać.

Elissa położyła dłoń na rękę matki, próbując ją ogrzać.

– Siostry by mnie znienawidziły!

– Ha! – zaśmiała się Tresha. – One już cię nienawidzą. Ciebie i mnie. Twoje siostry i ich chciwi mężowie potrzebują do życia nienawiści jak chleba. Wszystkich gorzej urodzonych od siebie nienawidzą za to, że są od nich gorsi, a tych sytuowanych lepiej za to, że są od nich lepsi. Nienawidzą zarówno słońca, jak i chmur. Nigdy nie oddałabym im Halli Wschodzącego Słońca. Nigdy nie powierzyłabym im pieczy nad mieszkańcami hrabstwa Poranka.

Elissa poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Usiadła.

– Będę... będę musiała porozmawiać z Ragenem...

– Oczywiście. – Tresha machnęła ręką, jakby odpędzała muchę. – Ale obie chyba wiemy, że musiałby być szalony, żeby odrzucić taką propozycję. – Upiła łyk herbaty. – Wierz mi, że o wiele łatwiej jest coś załatwić, gdy masz do dyspozycji własne hrabstwo. Weź to, co ci należne. Jeśli naprawdę zależy ci na tym mieście i na mieszkających w nim ludziach, będziesz mogła zrobić dla nich o wiele więcej na dworze księżęcym niż na waszej Giełdzie Runicznej.

Elissa instynktownie opuściła głowę i pogładziła srebrne pióro, które nosiła przy pasku. Czy mogła przyjąć propozycję matki? A może miała przed sobą inną przyszłość?

Tresha zauważyła jej ruch.

– Jeśli to cię nie interesuje, zgódź się chociaż po to, żebym mogła spędzić ostatnie miesiące życia ze swoimi wnukami.

Elissa uśmiechnęła się i nagle wszystko wydało jej się jasne.

– Jak sobie pani hrabina życzy!



Wielkie organy zaczęły dudnić, gdy Ragen dotarł na szczyt wzgórza, gdzie wznosiły się Biblioteka Książęca i katedra. Niebawem miała się rozpocząć „Pieśń o zmierzchu”, która oznaczała, że do ciszy nocnej pozostała jeszcze godzina.

Organy odzywały się o zachodzie słońca, o świcie oraz w południe. Skały otaczające katedrę na podobieństwo muszli koncertowej wzmacniały muzykę tak bardzo, że niosła się po całym mieście.

Biblioteka była jedną z nielicznych ocalałych budowli starego świata, a także jedyną biblioteką w Thesie, która nietknięta przetrwała Powrót i chroniła wiedzę w krainach palonych przez demony.

Uważny obserwator mógł wszędzie natknąć się na pozostałości starego świata, ale niewiele z nich było w ciągłym użytku w Wolnych Miastach. Każde dziecko wiedziało, że najwspanialszym spośród nich była Biblioteka Książęca w Miln, ale większość uczniów i Opiekunów, którzy pięli się po jej imponujących stopniach, była przyzwyczajona do jej widoku i nigdy nie widziała podobnych budowli.

Ragen był wyjątkiem. Widział Wielką Katedrę w Angiers. Widział Klasztor Nowego Świtu i Świątynię Horyzontu. Sharik Hora co prawda przewyższała ją rozmiarami, ale ustępowała Bibliotece Książęcej czystym, ascetycznym pięknem. Wzbijała się ku niebu na tle bliźniaczych skał, przypominając wszystkim, którzy się do niej zbliżali, że choć wiedza jest potęgą, pozostaje jednocześnie darem od jeszcze większej potęgi, która spływa z Nieba.

Mówiono, że prawdziwa moc Sharik Hora kryje się

wewnątrz jej murów, które dekorowano kośćmi poległych wojowników. Ragen, *chin*, nie miał prawa wstępu do środka, ale powątpiewał, czy kości mogły w jakikolwiek sposób równać się z bezcenną wiedzą skrywaną w Bibliotece Książęcej. To właśnie mądrość sprawiła, że Miln było największą potęgą w Thesie przez tyle lat.

Bibliotekę otaczał rozległy kampus, w którym mieściły się zarówno Szkoły Matek, jak i Zielarek oraz kilka innych instytucji naukowych. W podziemiach katedry, wgrzających się głęboko w głąb wzgórza, mieściła się Szkoła Akolitów.

Szczyt wzgórza nie był chroniony murami. Otaczały go natomiast wysokie kamienne pomniki Strażników – książąt, którzy rządziли Miln od czasu, gdy król Thesy zginął podczas Powrotu. Na ich tarczach i zbrojach oraz na ogromnych marmurowych postumentach wyryto potężne runy świątynne.

Runy świątynne różniły się od tych, którymi handlowała Gildia – były o wiele piękniejsze i bardziej złożone, a tworzone przez nie sieci dysponowały ogromną mocą. Runy tego typu potrafiły nie tylko powstrzymać demona, ale i oddać siłę, z którą napastnik w nie uderzył. Bywało, że obracały ją przeciwko niemu. Ragen był raz świadkiem, jak ognisty demon plunął na runy świątynne, lecz płonąca struga odbiła się od bariery i uderzyła go w pysk, zamarzając. Otchłaniec wrzasnął z przerażeniem i uciekł w noc. Powszechnie wiadano, że starannie wykonana bariera świątynna potrafiła zabić demona, który uparł się ją przebić.

Krąg rzeźb tworzył najbardziej nieprzeniknioną barierę w Miln i po upadku miasta wzgórze świątynne było dla wszystkich ostatnią nadzieją.

W tej chwili jednak rzeźby i kryjąca się w nich moc bladły w porównaniu z imponującą potęgą budzących się do

życia organów. Ragen, który zamierzał udać się prosto do biblioteki, odkrył, że nie może zrobić kroku, bo muzyka uwięziła go i zatrzymała.

Katedra była wypełniona wiernymi, a pojawienie się Ragena wywołało liczne szepty i spojrzenia. Matki, Zielarki i Opiekunowie udawali, że się w niego nie wpatrują, gdy mijał kolejne ławki. Żeby przed nimi uciec, pokazał swoją odznakę mistrza Gildii i dostał się dzięki temu na wysoki balkon, gdzie zasiadał organista. Widział stamtąd zatłoczone nawy i Opiekuna Ronnella, który kończył nabożeństwo.

Okazało się, że przy organach nie siedzi akolita ani nawet Opiekun, ale córka samego Ronnella, Matka Mery. Ragen przyglądał się jej palcom, które płynęły po rzędach klawiszy równie swobodnie jak wody potoku po kamieniach. Zzula buty, które stały pod ławką, i bosymi, zgrabnymi stópkami naciskała pedały.

W nawie gromadził się dźwięk, który wznosił się ku sklepieniu wysoko nad ich głowami, pomalowanemu na wzór górskiego nieba. Mery grała tę samą melodię, która od dziecka przeszywała jego ciało i wywoływała ciarki. Oczy Ragena zaszyły łzami, gdy uświadomił sobie, jak niewiele brakowało przez ostatnie miesiące, by już nigdy jej nie usłyszał.

Mery zakończyła grę i z czią zamknęła klawisze pod klapą. Nakładała buty, gdy podszedł do niej Ragen.

– Ależ to było piękne – powiedział.

– Mistrz Ragen! – Zaskoczona Mery podskoczyła i padła na ławkę. Jeden z jej butów wyfrunął w powietrze. Ragen złapał go, po czym uklęknął, by wsunąć go na jej stopę.

– Wystarczy „Ragen”, chyba że się upierasz, żebym nazywał cię Matką.

Mery pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Nie rozmawialiśmy od wielu lat

i nie chciałam popełnić nietaktu.

– Upływ czasu nie ma znaczenia – oznajmił Ragen. – Za młodu bywałam pod naszym dachem wystarczająco często, żebyśmy z Elissą uważali cię za rodzinę.

Mery zarumieniła się i opuściła wzrok.

– Dziękuję, mis... eee, Ragenie. Twoje słowa wiele dla mnie znaczą.

– A twoja muzyka wywołuje u mnie łzy w oczach – rzekł Ragen. – Tyle lat minęło, a nie zdawałem sobie sprawy, że to ty grasz.

– Zasiadam do organów jedynie podczas nabożeństw odprawianych przez ojca – odparła Mery. – Każdy akolita jest szkolony w muzyce, ale przyjmować pierwsze zlecenia wolno im dopiero w wieku czternastu lat. Ojciec zaś uczył mnie od dziecka, sadzając sobie na kolanach. Gdy zaczynaliśmy, nie mogłam nawet dosięgnąć pedałów.

– Lata ćwiczeń nie poszły na marne – oznajmił Ragen. – Słyszałem śpiew chóru w Świątyni Horyzontu i *dama* śpiewających modlitwy z minaretów Sharik Hora, ale nic nie wstrząsa ziemią i nie przeszywa słuchacza do żywego tak bardzo jak muzyka organów z Miln, gdy zasiada przy nich utalentowany muzyk.

– Dziękuję – odparła Mery.

– Przez wszystkie te lata słuchałaś, jak Jaik rzępoli bez ładu i składu – zachichotał Ragen. – Ależ to musiała być tortura!

– Musiałam ciągle przygryzać wargę! – Mery również się zaśmiała. – Ale dało mi to do zrozumienia, że Jaik tak naprawdę nie chciał zostać Minstrelem. Nie był taki jak Arlen, który musiał w coś wierzyć. Który musiał się przy czymś upierać.

Imię przerwało wesołość niczym powiew chłodnego wiatru. Z twarzy Mery znikł uśmiech.

– Co sprowadza cię do biblioteki? Widziałam prywatny

zbiór w twojej rezydencji. Wydawać by się mogło, że masz wszystko, co ci potrzeba.

– Przyszedłem tu, żeby się spotkać z twoim ojcem – rzekł Ragen. – Chciałem mu przekazać pewną przesyłkę.

– Mogę cię do niego zaprowadzić, jeśli chcesz – zaoferowała się Mery. – Do zmierzchu została raptem godzina, a założę się, że po tylu miesiącach wędrówki masz wielką ochotę nacieszyć się domem.

– W rzeczy samej – zgodził się Ragen. – Niemniej owa przesyłka ma charakter osobisty i muszę się rozmówić z twoim ojcem w cztery oczy. List został mi powierzony przez hrabinę Leeszę z Zakątka, a ja jako Posłaniec zobowiązałem się przekazać go tylko i wyłącznie do rąk własnych.

– Oczywiście. – Mery podniosła się. – Chodźmy więc.

Widział, jak dziewczyna myśli intensywnie nad tym, co właśnie usłyszała. Ryzykował, ufając nawet jej.

Gabinet Ronnella znajdował się nad zbiorami w sąsiadującej z katedrą bibliotece. Prowadziła do niego galeryjka z balustradą, znad której bibliotekarz mógł spoglądać na dziesiątki tysięcy tomów powierzonych jego pieczy. Ronnell jeszcze nie powrócił, a więc Mery wykorzystwała okazję, by wepchnąć Rageną do środka i zatrzaskać drzwi.

– Powiedziałeś, że wiadomość pochodzi od hrabiny Zakątka. Czy wiesz coś o losie Arlena? Coś więcej, niż można się dowiedzieć z oficjalnych komunikatów?

Nieoczekiwane emocje w głosie Mery odebrały Ragenowi pewność siebie.

– W zasadzie tak, ale nie mogę...

– Kto napisał ten list? – spytała ostro Mery.

– Mery, nie mogę...

– Kto? – przerwała mu.

W tej samej chwili do gabinetu wkroczył Opiekun

Ronnell, który spojrzał na Ragena z ogromnym zdziwieniem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał.

– Mistrz Ragen ma dla ciebie tajny list z Zakątka – oznajmiła Mery. Sposób, w jaki założyła ramiona, przywodził na myśl Elissę, gdy ta postanowiła się przy czymś uprzeć. – List, o którym nie wspomniał na dworze.

Ragen zerknął na dziewczynę i spytał:

– Czy możemy pomówić na osobności, Ronnellu?

Opiekun rozpoznał minę córki i pokręcił z rezygnacją głową.

– Nie mam przed Mery żadnych sekretów.

Ragen westchnął i wyciągnął zapieczętowaną kopertę z kieszeni kurtki.

– To list od Arlena Balesa.

Mery otworzyła szeroko usta, a oszołomiony Ronnell cofnął się o krok.

– Jak to możliwe? Słyszeliśmy, że spadł z klifu w walce z Ahmannem Jardirem! Czy on nadal żyje?

Ragen uniósł dłonie.

– Tego nie wiem. Ten list został napisany na krótko, zanim wyruszył na spotkanie z demonem pustyni, na którym miał mu rzucić wyzwanie. Dowiedziałem się, że napisał ich kilka na wypadek swojej śmierci. Powierzono je pani Leeshy, która z kolei oddała je mnie.

Ronnell wpatrywał się w list szeroko rozwartymi oczami, w których pojawił się pożądlivy błysk. W końcu przemógł się i sięgnął po pismo.

– Na noc! – krzyknęła Mery. Ronnell odruchowo cofnął rękę. – Jakby Arlen nie spowodował wystarczającego zamieszania! Teraz jeszcze wysyła listy z za grobu?

Ronnell ujął córkę za rękę.

– Być może najlepiej będzie, jeśli pozostawisz mnie i mistrza Ragen na moment samych – rzekł.

– Nie – odparła Mery. – Teraz gdy już wiem o liście od niego, nie spocznię, póki go nie zobaczę!

– Rozumiem – stwierdził Ronnell, ale mimo to zacisnął mocniej dłoń na ramieniu dziewczyny i poprowadził ją ku drzwiom. – Obawiam się jednak, że twoje przywiązanie do Arlena zaburza twoją umiejętność logicznego myślenia. Pozwól, żebyśmy...

Mery wyrwała się z jego uścisku.

– Prędeż mnie noc pochłonie! Spróbuj mnie stąd wyrzucić, a pójdę prosto do Jone! – Przeniosła wzrok na Ragen. – Bez wątpienia zarówno ona, jak i reszta członkiń Rady Matek będą chciały się dowiedzieć, dlaczego ty i Elissa nie wspomnieliście o tym liście podczas składania raportu na dworze.

– A więc jesteś gotowa ujawnić własny udział w owym rzekomym spisku? – skrzywił się Ragen.

– Co takiego? – Mery spojrzała na niego zaskoczona.

– Wiem, że Arlen spotkał się z tobą, zanim udał się do księcia – rzekł Ragen. – Opowiedział nam o tym.

Ronnell spojrzał na córkę.

– Czy to prawda?

Mery wbiła wzrok w gruby dywan.

– Myślę, że chciał się zobaczyć z Jaikiem, ale nie wiedział, że wzięliśmy ślub, i... Uciekł, gdy otworzyłam drzwi.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – spytał Ronnell.

– Tak mi przykro – szepnęła Mery. – Ja... ja goniłam go po ulicy. Udało mi się strącić mu kaptur, a wtedy ujrzałam, co ze sobą zrobił. On jest niespełna rozumu, ojcie. Widziałeś go przecież. Widziałeś, jak... jak się okaleczył. Wiesz, że wolałby mieszkać wśród demonów niż wśród ludzi. To szalenieć i na samą myśl o tym, że miałabym za niego wyjść...

– A mimo to go nie wydałaś – zauważył Ragen. –

Wydarzyło się to na wiele miesięcy przed tym, jak książę poznał jego prawdziwą tożsamość. Co twoim zdaniem zrobią, gdy się dowiedzą, że przez cały czas wiedziałaś o wszystkim?

– Czy ty grozisz mojej córce? – spytał ostro Ronnell, otaczając Mery ramieniem. Dziewczyna zaczęła szlochać.

– Oczywiście, że nie – odparł Ragen. – Ale to Świąty Dom Wiedzy, a więc rozmawiajmy ze sobą szczerze. Powiedziałaś przed chwilą, że ty i twoja córka nie macie przed sobą tajemnic, ale to chyba nie jest do końca prawda, co? Mery ukryła coś przed tobą, a ty nie pozostajesz jej dłużny.

Mery uniosła głowę.

– To prawda, ojcze?

Ronnell puścił ją i wyjrzał na galeryjkę, by mieć pewność, że w pobliżu gabinetu nie ma nikogo. Następnie zamknął grube, masywne drzwi ze złotodrzewa i wyciągnął stary klucz, który nosił przy pasku. Od ścian komnaty odbiło się echo szczęknięcia zamka.

Następnie Opiekun spojrział na córkę.

– Mnie również odwiedził – rzekł.

– Co? – Mery rozdziawiła usta.

– Po tym, jak spotkał się z księciem i zniszczył u niego podłogę – ciągnął Opiekun. – Arlen Bales odwiedził mnie tu, w tym pokoju. Powiedział, że przekazał już runy wojenne Ragenowi, a gdy zagroziłem, że ujawnię jego tożsamość, kazał mi iść z tym prosto do Jego Książęcej Mości. Wiedział, że tego nie zrobię, bo wówczas Euchor zapewne złamałby dane słowo i nie udzielił pomocy uchodźcom z Rizon.

– Nie postąpił z tobą uczciwie! – zachnęła się Mery. – Postawił cię w trudnej sytuacji.

– To prawda – stwierdził Ronnell. – Kazał mi wybierać, czy chcę się troszczyć o swoich wiernych, czy o dumę swojego pana. Musiałem zdecydować, czy chcę stać

w świetle Stwórcy, czy może skryć się w cieniach.

– Co nie czyni nas współwinnymi jego przestępstw! – dowodziła Mery, ale Ronnell pokręcił głową.

– Jego Książęca Mość zapewne dojdzie do innego wniosku, ale tak czy owak to, co zrobiłem później, zasługuje na miano poważnego przestępstwa.

Mery wpatrywała się w ojca, nie mówiąc ani słowa.

– Należący do Jego Książęcej Mości egzemplarz „Broni starego świata” nie został uszkodzony przez wodę kapiącą z sufitu – wyznał cicho Ronnell.

– Pamiętam tę chwilę – powiedziała Mery. – O mały włos nie utraciłeś stanowiska! Cały zastęp skrybów odtwarzał księgę przez ponad tydzień... Ojcze, nie mów mi tylko, że to ty...

– Oddałem mu ją – rzekł Ronnell.

– Dlaczego? – spytała ostro Mery.

– Bo on jest Wybawicielem! – Ronnell podszedł do biurka i złapał Kanon, spoczywający na piedestale. Otworzył księgę na zaznaczonej stronie i zaczął czytać: – „Albowiem będzie naznaczony na całym ciecie, a demony, nie mogąc znieść jego widoku, będą pierzchać przed nim przerażone”.

Ronnell zatrzasnął księgę i spojrzał na córkę.

– Ale to nie Stwórca go nazaczył – sprzeciwiła się Mery.

– Sam to sobie zrobił. Każdy z nas mógł sobie coś takiego zrobić!

– Ale nikt na to nie wpadł przed Arlenem Balesem – stwierdził Ronnell. – On był pierwszy.

Mery pokręciła głową.

– Wierzę w Kanon, ojcze. Wierzę w Plagę oraz w to, że kiedyś zjawi się Wybawiciel, ale prędzej dam się porwać Otchłani, niż uwierzę, że jest nim Arlen Bales.

– Powstrzymaj się od bluźnierstw w tym świętym miejscu! – warknął Ronnell, a Mery opuściła głowę. – Wiem, że ciężko ci się z tym pogodzić, ale o niczym innym

nie myślę od ponad roku i utwierdzam się w przekonaniu, że to prawda. Sercem i duszą wierzę w to, że Arlen Bales jest Wybawicielem, którego zesłał Stwórca, aby uwolnił nas od Plagi. Pomyśl tylko o cudach, których dokonał.

Nawet Ragen uniósł brew, słysząc te słowa.

– Jakich znowu cudach?

– Przetrwał noc pod gwiazdami jako młody chłopak i odrąbał ramię skalnemu demonowi!

– Słyszałam tę historię tysiąc razy od niego samego – rzekła Mery. – Ocalał tylko dzięki szczęściu, a w niebezpieczeństwie znalazł się jedynie przez własną głupotę.

– Przyniósł nam runiczne szkło i stworzył giełdę, którą rządzi Ragen – dodał Ronnell.

– W każdej wsi powstają inne runy – powiedziała Mery.

– Arlen jedynie je spisał, a potem sprzedał.

– Ocalił Zakątek! – ciągnął Opiekun. – Ludzie mówią, że wzniósł się ku niebu i ciskał błyskawicami z własnych rąk, ocalając tysiące ludzi.

– Ścierwo demonów i tyle – skwitowała to Mery. – Bujdy wygadywane przy piwie.

– I zabił demona pustyni!

– Jedyna pożyteczna rzecz, jakiej dokonał – stwierdziła dziewczyna. – Nie dość, że załatwił Krasjanina, to jeszcze sam przy tym zginął.

– Dość tego! – warknął Ragen. – Może i jesteś teraz Matką, Mery, ale zasiadałaś do posiłków przy moim stole na długo przed tym! Czy kiedykolwiek okazałem ci choć cień braku szacunku?

Mery pokręciła głową.

– Przepraszam... To było... to było nieuprzejme z mojej strony.

– To doprawdy mało powiedziane – stwierdził Ragen. – Przykro mi, że Arlen złamał ci serce, gdy wyjechał z Miln.

Nas jego wyjazd również pogrążył w rozpacz. Pamiętaj jednak o tym, jakim był człowiekiem. Nie pozwolę, żebyś rozpowiadała o nim kłamstwa.

Jego słowa wstrząsnęły dziewczyną i przez moment nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle uświadomiła sobie, że znalazła się w konflikcie lojalności. Jako Matka była związana z Radą, ale jako córka powinna dochować wierności ojcu. A wobec kogo powinna być lojalna jako Mery?

Ragen znów uniósł list.

– Chcecie nadal oddawać się spekulacjom, czy może mielibyście ochotę przeczytać jego własne słowa?

Ronnell ujął list i złamał pieczęć, a Mery przysunęła się bliżej. Ragen nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na to, jacy byli do siebie podobni, ale teraz, gdy przechylili głowę pod dokładnie tym samym kątem, ich podobieństwo wydało mu się wręcz niesamowite.

Lato, 333 Rok Plagi

Opiekunie Ronnellu!

Nie wierzę w Stwórcę i nigdy nie uwierzyłem w to, że otchłańce to plaga zesłana przez Niebiosa. Nigdy nie wierzyłem w to, że kochający nas Stwórca mógłby zesać na swój lud taki koszmar. W Wybawiciela też nigdy nie wierzyłem, gdyż czekanie, aż przybędzie ktoś, kto rozwiąże nasze problemy, prowadzi tylko do tego, że stają się one coraz poważniejsze.

Ostatnie lata sprawiły jednak, że w coś uwierzyłem. Dziś wierzę, że nadszedł czas, by ludzkość powstała. Wierzę, że możemy zniszczyć demony i odzyskać nasz świat.

Otchłańce wiedzą, że stajemy się coraz silniejsi. Wiedzą o tym i gromadzą siły. W następnych miesiącach czeka was niejedna zamieć i niejeden wstrząs. Wraz z Ragenem dysponujecie magią, dzięki której będziecie mogli się przed

nimi obronić, ale runy to nie wszystko. Do walki musicie przystąpić uzbrojeni w wiarę. W wiarę, iż należy odrzucić wszelkie różnice i zjednoczyć się przeciwko otchłącom. Wiarę, że każde ludzkie życie ma wielkie znaczenie, a walczymy nie tylko dla siebie, ale i dla tych, których musimy chronić.

Mój przyjaciel Rojer wynalazł sposób przepędzania demonów bez użycia runów. Jeśli Stwórca naprawdę istnieje i przemawia do kogokolwiek na tym padole, z pewnością wybrał sobie jego. Do listu załączam spisane przez niego nuty „Pieśni o Nowiu”. Naucz jej swój chór. Dzięki tej pieśni nawet słabi zyskują wielką moc. Sięgnijcie po nią, gdy nadejdzie Nów i zapadnie największa ciemność.

Jutro czeka mnie walka z Ahmannem Jardirem. Nie wiem, czy przeżyję, ale wierzę, że nie ma to znaczenia. To, co się rozpoczęło, jest bowiem o wiele większe ode mnie.

Arlen Bales

– Proszę. – Mery trąciła papier palcem. – Widzicie? To jego własne słowa. Żaden z niego Wybawiciel.

Ronnell pokręcił głową.

– Jego słowa są bez znaczenia. Wybawiciel to zwiastun zmian i nie może spełnić swojego zadania, jeśli będzie wierzył w to, co mówiono przed jego nadejściem. On się pojawił po to, żeby pokazać nam przyszłość.

– To przecież stek bzdur! – stwierdziła Mery. – Zamiecie? Wstrząsy? Magiczne chóry? Arlen zawsze karmił się złudzeniami wielkości, ale to już trochę za dużo. Nie mam zamiaru w to wierzyć.

– Myślisz, że to zbieg okoliczności, że demony ścigały nas na trakcie do Miln? – spytał Ragen. – To przypadek, że zniszczyły tyle fortów między Angiers i Miln, zabijając dziesiątki Górskich Włóczy? Zapytaj tych, którzy przeżyli, co usłyszeli w muzyce Keerina podczas tych nocy!

Mery przeniosła spojrzenie na ojca.

– Co masz zamiar zrobić?

– Najpierw porozmawiam z dyrygentem – oznajmił Ronnell. – Potem każę Opiekunom i akolitom zacząć używać nowych runów, których ich nauczyłem. A później...

– Spojrzał na list w swoich rękach. – Później zasiądę do pisania nowego kazania.



– Czy będziemy musieli z nią mieszkać? – roześmiała się Elissa, usłyszawszy ostrożne pytanie Ragen, który trawił zasłyszane rewelacje. – Nie, ale będziemy musieli się z nią regularnie widywać. Moja matka zachowa pełny tytuł oraz prawo do Halli Wschodzącego Słońca, a władza przejdzie na nas dopiero po jej śmierci. Wówczas zadecydujemy, czy chcemy się przenieść do dwustuletniej siedziby mojego rodu.

Ragen zrobił niemądrą minę.

– A wydawało mi się, że nie znosisz tego miejsca.

– Nie znosiłam matki – odparła Elissa. – Przez długie lata żyłam w przeświadczeniu, że Halla i ona są tym samym. Ale teraz...

– Będziemy mieli tytuły? – spytał Ragen.

Elissa uśmiechnęła się.

– Będziesz się tytułował mistrz Ragen, hrabia małżonek Poranka.

Mężczyzna gwizdnął cicho pod nosem.

– To mi się podoba! A czy matka może ci zostawić zwierzchnictwo nad Radą?

Elissa potrząsnęła głową.

– Może o tym zadecydować jedynie głosowanie, a więc

tym bardziej powinniśmy brać się do pracy.

– Całe szczęście, że Derek właśnie stał się bajecznie bogaty – westchnął Ragen. – Bo poza nim nie widzę człowieka, któremu mógłbym sprzedać naszą posiadłość.

Elissa objęła męża mocno i tuliła go do chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak? – odezwała się Elissa.

Weszła Margrit.

– Proszę o wybaczenie, przybyli właśnie Posłańcy.



– Dziękuję, że stawiliście się na moje wezwanie – rzekł Ragen, który kroczył wzdłuż szeregów ludzi zgromadzonych na dziedzińcu. Miał wrażenie, że ma przed sobą zdecydowaną większość Posłańców z Miln, a oprócz nich wiele młodych mężczyzn i kobiet z Gildii Patronów Runów. Malcum wiedział, co mówi. – O wiele za długo Posłańcy zmuszeni byli chować się za swoimi kręgami podróznymi – mówił. – O wiele za długo żyli ze świadomością, że jeśli demon przebije się przez runy, nie będą w stanie się obronić.

Widział wiele znajomych twarzy, w tym również towarzyszy, którzy już dawno wycofali się z interesu, ale teraz przyciągnęły ich plotki o regenerującej mocy magii. Wybrał więc jedną z włóczy, którą Elissa wzmocniła magią *hora*, wzniosł ją wysoko i uruchomił runy, które zalały blaskiem ciemny dziedziniec.

– Te dni należą już do przeszłości – oznajmił i uderzył włócznią w bruk pod stopami. W tłumie rozległy się okrzyki i westchnienia. – Każdy z was otrzyma runiczną broń i zostanie przeszkolony w walce. Trzymajcie ją blisko

siebie, gdy zapadnie noc, nawet jeśli śpicie za mocną barierą. Nie rozstawajcie się z nią nawet za murami Miln. Nawet w rodzinnych domach.

Dostrzegł, że nie tylko Posłańcy i Patroni Runów przybyli na wezwanie. Na uboczu stała grupka sceptycznie nastawionych Zielarek z panią Anet na czele, a w innym miejscu Keerin i jego uczniowie. Mimo ciszy nocnej przybył nawet Opiekun Ronnell ze starannie dobraną grupą Opiekunów i akolitów.

Nigdzie nie widział Matki Mery.

– Będziemy walczyć we własnych sypialniach? – spytała siwowłosa Posłańczyni o zbrązowiałej, pomarszczonej twarzy, od wielu lat na emeryturze.

– Niech nas przed tym Stwórca chroni – odparł Ragen. – Nie będę was też zmuszał, żebyście ruszali w noc szukać guza. Sam nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. – Wycelował jaśniejącą włócznią w swoją rezydencję. – Ale mury Miln nie tak dawno temu zostały przełamane, a demony stają się coraz silniejsze. Forty Euchora gasną jeden po drugim. Nie łudźcie się, otchłańce już tu zmierzają. Czekają nas zawieje i wstrząsy. Musimy się na nie przygotować.



22

Skraj przepaści Nie

334 ROK PLAGI

Tatuaze Briara już dawno się zagoiły, ale dłonie nadal swędziały, co nieustannie przypominało mu o runach kryjących się pod brudnymi szmatkami.

Zupełnie jakby mógł zapomnieć.

Próbował stłumić moc, którą emanowały. Owijał dłonie mocno, a w walce poległ na włóczni, ale mimo to za każdym razem, gdy uderzał demona, magia przenikała przez materiał i drzewce włóczni, po czym sączyła się w głąb jego rąk. Runy spijały ją chciwie, co wywoływało kolejne fale ekstazy, a Briar, który zaczynał się uzależniać, rzucał wyzwanie otchłaniakom, które w innych sytuacjach chętnie wyminąłby z daleka.

Za każdym razem, gdy pomyślał o tatuazach, do głowy

przychodziła mu Stela z Gospody i noc, którą spędzili w krzakowisku. Widział Stelę nagą i zbroszoną demonią juchą. Stelę na czworakach i klęczącego za nią brata Franqa.

Pokręcił głową.

Potrzeba mi czasu. Czasu i odległości. Nie będzie mnie szukać, gdy znajdę się daleko, pomyślał.

W głębi serca marzył, by za nim ruszyła. By go wytropiła, przydusiła, przypomniała, że należy do niej. Wiedział, że w pewnym stopniu zawsze będzie należał do niej. Ba, choć skrywał tę świadomość, czuł, że tego właśnie chce.

Otrząsnął się z zadumy i skupił na swoich obowiązkach. Jediną osobą, której zależało na Briarze po śmierci rodziny, był Opiekun Heath z Bogton. Po ataku Krasjan Dehlia, kapitan „Lamentu Sharum”, uczyniła ich obu honorowymi członkami swojej załogi. Powiedziała mu, że od tej pory to oni będą jej rodziną.

Nadszedł czas, by ta rodzina odzyskała wolność. Krasjanie nigdy nie zdobyli Lakton, a po rozbiciu wojsk Jayana Dokowisko było bardzo osłabione. Kapitan Qeran i jego korsarze władali na razie wodami jeziora, ale Briar wiedział, że Laktończycy mają zapasowe okręty. Gdyby więc udało mu się zdobyć odpowiednie informacje, Dokowisko zostałoby wyzwolone.

Postanowił zatem dowiedzieć się jak najwięcej przed powrotem do Lakton. Krył się w zaroślach wzdłuż traktów wiodących na południe i przemykał przez osady i wioski. Wypytywał ludzi, którzy dotychczas przekazywali mu informacje, przysłuchiwał się rozmowom na rynkach i w gospodach.

Większość wsi na trasie do Dokowiska znajdowała się pod kontrolą Zakątka, a na szlakach panował ożywiony ruch. Briar widział zarówno kupców z towarem, patrole

Rębaczy, jak i innych podróźnych. Hrabina Leesha agresywnie poszerzała swoje granice w odpowiedzi na wypady Wilków Everama.

Wilki były oddziałem krasjańskiej kawalerii pod dowództwem słynnego wojownika o imieniu Jurim. Formacja nigdy nie pozostawała długo w tym samym miejscu i po złupieniu jednej osady natychmiast ruszała w dalszą drogę. Jeśli dysponowali bazą, nikt nie znał jej położenia. Ba, trudno było nawet oszacować liczebność formacji. Niektórzy twierdzili, że Jurim dysponuje zaledwie dwiema setkami ludzi, podczas gdy inni utrzymywali, że jest ich ponad tysiąc.

Briar wypatrzył kilku Wilków nawet na ziemiach Zakątka. W trakcie długich miesięcy wojny wielu z nich stało się zręcznymi zwiadowcami, choć zdaniem Briara byli niezdarni i nazbyt głośni. Mógłby bez trudu podkraść się bliżej i ich pozabijać, ale nie potrafił zmusić się do rozlewania krwi w chwilach, gdy nie było bezpośredniego zagrożenia.

Lęk przed Wilkami sprawiał, że wsie po krasjańskiej stronie nadal wyznawały Everama. Dzięki Laktończykom armia najeźdźców nie była już tak liczna jak kiedyś, a w bitwie o Angiers Krasjanie ponieśli kolejne, o wiele większe straty, ale tych, którzy próbowali obalić miejscowego *dama* bez pomocy z Zakątka, szybko odwiedzały Wilki, a po ich wizycie pozostawały jedynie popioły i stygnąca krew.

Tymczasem ruch na drogach na krasjańskich ziemiach szybko malał. Kupcy pojawiali się coraz rzadziej, a *dama* nie pozwalali *chin* wędrować między osadami. Briar, zmierzający traktem Posłańców ku Północnemu Rozwidleniu, nie natrafił na żadnych podróźnych. Potem skręcił na wschód, by przeznaczyć kilka dni na dalsze przespługi. Zależało mu na tym, by nie wracać do Lakton

z pustymi rękami. Od czasu do czasu mijali go krasjańscy Posłańcy oraz zbrojne patrole, ale na ogół panowała cisza. Po tym, jak buntownicy księcia Egara zostali rozbici w bitwie o Dokowisko, wioskami na wschód od Północnego Rozwidlenia żelazną ręką zawładnęli Krasjanie.

Mimo że najeźdźcy rządzą surowo, Briar nie naliczył wielu *Sharum* w wioskach. Gdyby Laktończycy zaatakowali teraz, Krasjanie nie mogliby liczyć na posiłki znikąd.

Zawrócił więc i skierował się ku Dokowisku. Wciąż nosił w plecaku czarne szaty *Sharum*, więc mógł się przebrać i wślizgnąć do osady, by się rozejrzeć. Stamtąd mógł udać się na północ wzdłuż brzegów jeziora i dotrzeć do pewnej tajemnej zatoczki, którą bardzo lubiła kapitan Dehlia. Wystarczyło przesunąć pewien umówiony głąz, by Dehlia to zauważyła i posłała po Briara łódź.

Gdy szykował się, by zboczyć z utartego szlaku, jego uwagę przyciągnął samotny wędrowiec.



– Wkrótce zajdzie słońce – powiedziała Ashia Kajemmu.

Mówienie na głos nie należało do zwyczajów *Sharum'ting*. Przez ostatnie dziesięć lat posługiwała się głównie skomplikowanym językiem znaków głuchoniemych eunuchów, którzy służyli *dama'ting*. W końcu zarówno ona, jak i jej siostry włóczni miały być niewidzialne i niesłyszalne, a ich obecność miał zdradzać dopiero cios znienacka.

Niemniej Ashia nie była już tylko i wyłącznie *Sharum'ting*. Była matką, a do obowiązków matki należało nauczyć dziecko mówić.

– Będziemy musieli rozbić obóz! – oznajmiła, zastanawiając się, czy ktoś nie podsłuchuje jej z ukrycia i czy aby nie zdradziła zbyt wiele ze swoich planów. Dostrzegła jakiś ruch w zaroślach. Mógł to być jelen, padający cień bądź zgoła nic. Zasłona przylgnęła do jej twarzy, gdy wciągnęła powietrze przez nos, wężąc.

– Bóz! – powtórzył Kaji.

– Zgadza się, moje serduszko – odpowiedziała.

Swobodna pogawędka nadal wydawała jej się czymś nienaturalnym, ale w ten sposób Ashia mogła się lepiej zamaskować.

Damajah ostrzegała ją, że patrolujący trakty *Sharum* skwapliwie wykorzystają każdą podróżującą samotnie młodą kobietę, nawet jeśli będzie miała ze sobą małe dziecko. Niedołężna starucha podróżująca z wnukiem będzie jednak dla nich niewidzialna.

Ashia narzuciła więc na zbroję szorstkie czarne szaty *dal'ting*, by ukryć figurę, i zaczęła się garbić, żeby dodać sobie w ten sposób lat. Jej twarz oraz włosy znikły pod grubym czarnym zawojem, a makijaż wokół oczu dodał zmarszczek na gładkiej skórze.

Bliźniacze włócznie Ashii, złożone i zasłonięte materiałem, tworzyły ramę nosidełka dla Kajiego, które przytroczyła sobie do pleców. Mogła je wyszarpnąć w ułamku chwili i jednym ruchem nadgarstka wysunąć runiczne ostrza, ukryte w wydrążonych prętach.

Wypolerowana niegdyś do połysku tarcza z runicznego szkła została odpowiednio przemalowana, przez co nawet z bliska wyglądała niczym sfatygowany oręż z brązu. Niemalże każda krasjańska rodzina posiadała przynajmniej jedną taką tarczę, pozostawioną przez jakiegoś *Sharum* w rodzinie, który wyruszył na samotną ścieżkę. Zwisiała teraz z siodła, niegodna uwagi najpodlejszego złodzieja.

Klacz również została dobrana tak, by nie wzbudzać niepożądaney uwagi. Szmaty zawiązane wokół pęcin maskowały srebrne runy wyryte w kopytach. Nawet imię konia – Rasa – oznaczało „ukryta siła”.

Ashia wydawała się więc jedną z wielu setek kobiet, które błąkały się po mokradłach, owdowiałe dzięki głupocie księcia Jayana. Nie mając niczego, co można by zrabować, wędrowała przed siebie ignorowana zarówno przez bandytów, jak i patrole *Sharum*.

Przez pierwszych kilka nocy Damajah kontrolowała jej postępy, ale Ashia wkrótce znalazła się poza zasięgiem magicznych przedmiotów. Wiedziała, że za dwa dni dotrze do Krynicy Everama.

Wybrała teraz spłachetek suchego terenu niedaleko drogi i zerknęła na zachodzące słońce.

– Bóz! – powtórzył Kaji, gdy jego matka zsunęła się z siodła.

– Tak – zgodziła się Ashia. – Tu będzie nasz obóz. Ale co robimy najpierw?

– Konia! – odpowiedział natychmiast Kaji. Ćwiczyli to co wieczór.

– Tak – odparła matka. – Najpierw należy przywiązać konia.

Nie musiała sięgać po młotek. Precyzyjnym ciosem otwartą dłonią wbiła kijek w głąb ziemi, jakby chciała zadać ból samej Ala.

– A potem? Co robimy potem?

– Rąg! – zawołał Kaji.

Ashia uśmiechnęła się, rozkładając przenośny krąg. Dwie noce temu synek nie odpowiedział wojownicze na to pytanie, a zeszłej nocy zawołał „konia!”. Chłopczyk już dobrze ją rozumiał, a każdego dnia jego małe usteczka wypowiadały nowe słowa.

Ashia postawiła plecak i zaczęła układać kamienie

dookoła ogniska.

– Bóz! – zawołał Kaji, pokazując zebrane przez nią gałązki.

Sharum'ting podpaliła je rubinowym pierścieniem, w którym umieszczono cząstkę rogu ognistego demona.

– Ogień – powiedziała.

– Gień – zgodził się z nią Kaji, a Ashia znów poczuła dreszcz radości. Kolejne nowe słowo. I pasowało nawet do sytuacji, zważywszy na to, jaki dzień nastał.

Odwiązała Kajiego i wyjęła z nosidełka, by zmienić mu bido. Robiła to szybko i z wprawą, ani na moment nie przestając patrzeć mu w oczy.

– To dzień twoich urodzin – powiedziała i uniosła synka.

– Od nocy, kiedy przyszedłeś na świat, Ala wykonała pełen obrót wobec słońca Everama.

Rozchyliła szatę i uwolniła pierś.

Wśród drzew znów rozległ się cichy szelest. Ashia nie dała po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła. Karmiła synka, gruchając do niego cicho, ale całą swoją uwagę skupiła na miejscu, z którego dobiegł odgłos. Choć miała wzrok bystry jak u sokoła, nie mogła niczego wypatrzeć. Wyteżyła słuch, ale dźwięk się nie powtórzył.

To mogło być wszystko. Słońce jeszcze nie zaszło, więc na pewno nie miała do czynienia z demonem, ale mogło to być małe zwierzę. Spadający orzech. Podmuch wiatru. Cokolwiek!

Wtedy jednak zarejestrowała woń. Tę samą, którą wyczuła na trakcie. Czekwała nieruchomo, oddychając rytmicznie, i wyteżyła zmysły, lecz nie wykryła niczego, co sugerowałoby zagrożenie.

– Twoja matka wszędzie widzi wrogów – powiedziała w końcu do Kajiego, ale chłopiec już jej nie słyszał, ssąc pierś z zamkniętymi oczami. Ashia wyciągnęła jedno ze swoich miodowych ciastek na gęstym cieście, które

dodawały *Sharum'ting* sił, i zjadła je szybko. Gdy Kaji się nasycił, Ashia ułożyła go na kocu wewnątrz tarczy. Chłopczyk przeciągał się i wiercił, wreszcie uwolniony od ciasnego nosidełka, ale nie mógł wypaść poza krawędź kołyszącej się tarczy. Ashia w tym czasie zajęła się Rasą – należało wszak zdjąć jej siodło oraz rozczesać sierść.

Gdy skończyła, niebo już ciemniało. Do pojawienia się pierwszych *alagai* pozostał może kwadrans. Wyjęła więc Kajiego z tarczy i postawiła na nogi. Chłopczyk złapał się jej rękawa, ale po to, by nie stracić równowagi – nóżki bez trudu utrzymywały jego ciężar. Przez kilka następnych minut z radością dreptał po obozie, ciągnąc za sobą mamę.

– Konia! – zawołał na widok Rasy.

– Tak, to koń! – zaśmiała się Ashia.

– Gień! – krzyknął do płomieni.

– Tak, ogień. – Ashia uścisnęła jego rączkę.

– Bóz! – Pokazał mamie krąg.

– To runy! – oznajmiła Ashia i musnęła palcem magiczny symbol.

– Uny! – wykrzyknął Kaji.

Kolejny szelest. Ashia utrzymywała rytm oddychania, ale podniosła synka wysoko, aż ten pisnął z radości, i posadziła go przy ogniu w centrum obozu, a potem sięgnęła w głąb juków po starannie owinięte pudełko.

– Mam dla ciebie coś szczególnego, mój synku. To prezent na twoje pierwsze urodziny!

W środku znajdowało się miękkie żółte ciasteczko.

– Moja *tikka* upiekła dla mnie takie samo, gdy byłam małą dziewczynką, i nic nigdy nie smakowało mi bardziej. Teraz upiekła je dla ciebie.

Zaczęła śpiewać starą pieśń, którą zgodnie z tradycją zawsze intonowano na urodzinach dziecka. Wraz ze swoimi siostrami włóczy została przeszkolona w śpiewaniu i choć rzadko korzystała z tej umiejętności, nigdy nie czuła się

bliżej Everama, niż kiedy śpiewała swemu synkowi.

I znów rozległ się odgłos między drzewami. Runiczne monety, które nosiła na łańcuszku na czole, pozwalały jej już widzieć świat w świetle Everama, ale mimo to nie zdołała wypatrzeć w lesie żadnej istoty.

Jednak Ashia miała niezbitą pewność, że ktoś się tam kryje. Co więcej, zbliżał się do niej i wykonywał ruch w chwilach, gdy śpiewała wyżej, by zamaskować hałas. Spryciarz.

Nie wiedziała, kto to jest, lecz wydawało jej się, że nie chce wyrządzić im krzywdy. Po chwili dźwięki zaczęły się oddalać. Czyżby to szpieg, który udawał się, by złożyć raport zwierzchnikowi?

Po chwili wiedziała już, że zgrywa swoje kroki nie tylko z melodią jej śpiewu, ale także ze śpiewem ptaków, cykaniem świerszczy, krzykami nietoperzy i podmuchami wiatru. Żadne zwierzę nie było tak wyczulone na odgłosy nocy. Nie był to też demon. A więc kto? Któryś z Wypatrywaczy Krevakh, służący Asome? Czarownik *dama*?

A może to jeden z owych zmiennokształtnych? Ashia walczyła kiedyś z jednym z nich, wsparta przez Asome. Demon szybko otrząsał się nawet po najpotężniejszych jej ciosach, a sam atakował mocniej i szybciej. Wypuszczał coraz więcej odnóży, aż Ashia nie była już w stanie unikać ani parować wszystkich jego ciosów.

Tym, który go zabił, okazał się jej mąż, a Ashia nie miała pojęcia, czy udałoby się jej pokonać demona samodzielnie. Wszak jeden ze zmiennokształtnych zabił jej mistrza, Enkido.

Śpiewając, niespostrzeżenie wyjęła drzewca z runicznego szkła i skręciła je, by otrzymać długą laskę. Gdy skończyła, położyła ciastko przed Kajim. Ten wbił w nie wzrok.

– To ciastko – wyjaśniała synkowi.

– Ciatko.

– Zjedz je!

Ashia wyciągnęła rękę i odłamała kawałek. Ileż to czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni jadła ciastko *tikka*? Prawie dziesięć lat.

– O, proszę. W ten sposób – powiedziała i wsunęła sobie kawałeczek do ust. Był miękki, lepki i słodki, a smakował jak dzieciństwo. Jak szczęście i bezpieczeństwo. Ashia przypomniała sobie własną komnatę z poduszkami, pełną jedwabów, aksamitów i grubych dywanów, złotych kielichów oraz witraży. Przypomniała sobie puste rozmowy z młodymi kobietami, które istniały najwyraźniej tylko po to, by jej schlebiać. Przypomniała sobie życie, z którego została wyrwana i wtłoczona w ciasne ramy egzystencji pod pałacem *dama'ting*.

Kaji roześmiał się, naśladując matkę najlepiej jak umiał. Nabierał ciasto obiema rączkami i wpychał sobie do buzi, gubiąc więcej, niż zjadając.

Ashia znów się roześmiała. Nienawidziła Kajivah za to, że ta, nie zastanawiając się nad niczym, oddała ją oraz jej kuzynki Ineverze, a jeszcze bardziej za to, że wyrwała później Ashię z ich grona, by oddać Asome za żonę. Niemniej jeśli do wszystkich tych wydarzeń doszło po to, by teraz mogła usłyszeć śmiech Kajiego, była gotowa zaakceptować każdą chwilę cierpienia.

Przyglądała się, jak jej syn po raz pierwszy w życiu pałaszuje żółte ciastko *tikka*, ale mimo to nie zapomniała o szpiegu. Ashia i Kaji znajdowali się daleko od granic Lenna Everama, lecz nie na tyle daleko, by mogła czuć się bezpieczna. Szpieg nadal przebywał w pobliżu. Nadal czuła jego zapach.

Oczyściła lepkie rączki Kajiego i ułożyła go na kocyku wewnątrz tarczy. Wiedziała, że nawet jeśli runy zewnętrzne zawiodą, krąg ciągnący się wzdłuż krawędzi

będzie chronił synka na tyle długo, by zdołała do niego przypaść.

Uniosła zabrudzone bido dziecka.

– Tobie wolno załatwiać się wewnątrz kręgu, synku, ale obawiam się, że ja chyba nie powinnam. – Pocałowała go i dodała: – Wrócę za chwilę.

Dźwignęła się na lasce i szurając stopami, ruszyła przed siebie. Szła powoli, na wypadek gdyby szpieg nadal się jej przyglądał, aż znalazła się poza kręgiem światła. Wślizgnęła się za pień drzewa, a w chwili, gdy stała się niewidoczna, zrzuciła ciężką czarną szatę. Miała teraz na sobie tylko lekkie niczym piórko czarne jedwabie *Sharum'ting*, wzmocnione płytkami runicznego szkła. Uaktywniła *hora* ciszy i bezszelestnie wspięła się na drzewo, by skryć się wśród konarów.

Kaji jak zwykle gruchał do siebie. Większość dźwięków była pozbawiona znaczenia, ale Ashia skupiła się na ich brzmieniu. Wykorzystywała teraz taktykę prześladowcy i przesuwiała się tylko wtedy, gdy dźwięki stawały się intensywniejsze.

Przeskakiwała od pnia do pnia niczym koliber między kwiatami, aż okrążyła obóz i wniknęła między drzewa. Wtedy miała wreszcie szansę, by przyjrzeć się szpiegowi.



Briar stracił cały dzień, ale choć zdobyte informacje były ważne, nikt się go nie spodziewał w Lakton. Tymczasem miał inny dylemat: trakt nie był bezpieczny dla starej Krasjanki i małego dziecka. *Sharum* byli jego wrogami – musiał w to wierzyć – lecz przecież jego ojczyzna nie została najechana i zdobyta przez kobiety i dzieci.

Nieznajoma zaimponowała mu i wzbudziła nieco podejrzeń. Siedziała zgarbiona, jakby nie miała siły, by trzymać się prosto, ale mimo to spędziła cały dzień w siodle z dzieckiem na plecach, zatrzymując się, tylko by je nakarmić i przebrać. Choć nadciągał wieczór, nie okazywała ani odrobiny strachu – miast tego spokojnie znalazła odpowiednie miejsce z dala od drogi i rozłożyła obóz.

Krasjańskie kobiety były dzielne i twarde. W ich społecznościach wykonywały większość ciężkich prac. Prowadziły interesy, wznosiły budynki, zarzynały bydło i wychowywały dzieci. Z tego, co Briar wiedział, nie zajmowały się natomiast walką. Nie walczyły z innymi ludźmi, a z całą pewnością nie stawały do boju z demonami. Nieznajoma nie miała zresztą żadnej broni – zauważył jedynie sfatygowaną tarczę – a mimo to bez lęku szykowała się na nadciągającą noc. Nawet sam Briar odczuwał lekki niepokój, gdy zachodziło słońce, i chyba tylko dzięki temu wciąż jeszcze żył.

Kim była ta kobieta? Czy ów chłopczyk był jej synem? Wnukiem? A może jeszcze jedną sierotą tak jak Briar? Jeden Everam wiedział, ile kobiet i dzieci z rozbitych rodzin włączyło się po bezdrożach. Krasjanie zatopili bądź przejęli ponad połowę laktońskiej floty i żelazną ręką rządzą w wsiach, ale ponieśli przy tym ogromne straty. Czy nieznajoma zmierzała do Dokowiska w poszukiwaniu ojca chłopca?

A może ta kobieta pracowała dla sierocińca? Może była kimś w rodzaju Posłańca i dostarczała dzieci rodzinom, które były gotowe je przyjąć? Krasjanie zawsze troszczyli się o dzieci *Sharum*, którzy wyruszali na samotną ścieżkę, a poza tym po licznych bitwach musieli odbudować swą liczebność. Która rodzina odrzuciłaby zdrowego krasjańskiego chłopca?

Kiedy obca wyjęła malucha z nosidełka, Briar zrozumiał, że się pomylił. Nie miał pojęcia, kim jest ta kobieta, ale nie miał wątpliwości, że przygląda się miłości matki do dziecka. Przyglądał się scenie, sycąc się głosikiem chłopczyka, który wykrzykiwał rozmaite słowa, oraz odpowiedziami jego matki.

Ojcu Briara, Relanowi, zawsze zależało na tym, by jego dzieci wiedziały, kim są i skąd się wywodzą. Nauczył ich krasjańskiej mowy oraz rodzimych pieśni i tańców. Przekazał synom zasady *sharusahk* i szukał dobrych mężów dla córek.

Briar ostatnio często słyszał język swojego ojca, ale zawsze pobrzmiewał w nim gniew. Ta kobieta jednak przemawiała ze śmiechem i radością, dokładnie tak, jak zapamiętał to Briar Damaj. Zrozumiał wówczas, że ktoś, kto ma w sobie tyle miłości i potrafi przemawiać z taką radością, nie może być jego wrogiem. Kobieta wraz ze swym dzieckiem przypuszczalnie kierowali się ku Dokowisku, a Briar postanowił dopilnować, by dotarli bezpiecznie na miejsce, nawet jeśli miałyby go to kosztować jeszcze więcej czasu. Zdecydował, że będzie czuwał nad ich snem i odciągał od nich otchłaniaki.

Wówczas kobieta usiadła wraz z dzieckiem i nim Briar uświadomił sobie, co się dzieje, ta podała synkowi pierś. Briar poczuł, jak twarz zalewa mu gorący rumieniec. Odwrócił szybko spojrzenie, ale było już za późno. Obraz wgrzył się w jego pamięć i nie zniknął, choć Briar oddychał rytmicznie i próbował go stłumić i odepchnąć. Pierś młodej kobiety. Wiedział już też, dlaczego kobieta wydawała się większa niż w rzeczywistości – otóż pod wierzchnią szatą skrywała inną, również czarną, przypominającą pancierz *Sharum*. Wydawało się to jeszcze dziwniejsze od kobiety noszącej tarczę rodową, ale słyszał o takich przypadkach. Rozumiał już teraz, dlaczego nie bała się zachodu słońca.

Po chwili Briar usłyszał szelest jej szaty, co być może oznaczało, że dziecko już się najadło. Odważył się unieść głowę i ujrzał, że chłopiec pochwycił się matki i spróbował powstać. Trzymał się jej mocno, co rusz tracąc równowagę i potykając się, ale dzielnie przemierzał całe obozowisko, pokazując różne rzeczy i wykrzykując. Briar przysunął się bliżej, nie chcąc przegapić ani chwili.

Spacer zakończył się jednak chwilę później, a kobieta zabrała dziecko do ognia. Tam zaczęła śpiewać pieśń, której Briar nie słyszał od lat. Była to pieśń narodzin, chwająca Everama za dar życia.

Ileż to razy rodzina Briara śpiewała tę pieśń? Było ich siedmioro w domu Damajów.

Kobieta śpiewała czystym, przepięknym głosem i tylko koncert żon Bezpalcego towarzyszący jego pogrzebowi mógł się z nim równać. Briar dał się pochłonąć melodii i pozwolił, by otoczyła go niczym ciepły koc.

Wtedy przypomniały mu się głosy bliskich – chór jego braci i sióstr, niski bas ojca oraz żywy śpiew matki, która jak zwykle nadawała ton. Zaszlochał bezgłośnie i zamknął powieki, wyciskając zdradzieckie łzy tęsknoty. Próbował ponownie przywołać wspomnienie i usłyszeć ich raz jeszcze, ale to zniknęło niczym rozwiana strużka dymu. W piersi Briara narastał coraz silniejszy płacz rozpaczony i chłopak uświadomił sobie, że nie pohamuje go zbyt długo. Wstrzymując oddech, podniósł się i niespostrzeżenie odszedł najdalej, jak mógł, a wtedy oparł się o drzewo, osunął na miękką, mokrą ziemię i wybuchnął płaczem.



Ashia przyglądała się szpiegowi z niepewnością. Bez

wątpienia był za młody na *dama* i miał na sobie brudne szmaty. Nosił włócznię oraz tarczę, ale nie przypominał *Sharum*. Jego ubranie przywodziło na myśl te, które noszono na Północy, a co więcej, zostało natarte ziemią i sokami roślinnymi, by nikt nie zdołał wypatrzeć go w zaroślach, nawet gdy wzrok wspomagały runy. Z tej odległości Ashia widziała jednak, że mężczyznę otaczała silna magia, skupiona głównie wokół jego dłoni. Twarz miał tak brudną, że trudno było rozpoznać rysy. Czy to możliwe, że patrzyła na Krasjanina? A może był to ciemnowłosy mieszkaniec zielonych krain, który spędził zbyt wiele czasu na słońcu?

Któż to był? I czego chciał? I dlaczego, w imię Everama, płakał?

Trzeba go złapać i się dowiedzieć.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Ashia zacisnęła dłoń na drzewcu włóczni, nie wyciągając ostrza. Drugą ręką odwinęła nieco jedwabnego sznurka z wrzeczona przytwierdzonego do pasa. Wiedziała o miejscu z tyłu szyi, gdzie zbiegały się linie mocy. Młody szpieg, który siedział zgarbiony tak bardzo, że chował głowę między kolanami, tylko ułatwił jej zadanie. Precyzyjne uderzenie mogło go sparaliżować na wystarczająco długo, by zdołała opleść sznurem jego nadgarstki i kostki, a potem wrócić z jeńcem do obozu, nim Kaji zacznie za nią tęsknić.

Skoczyła cicha niczym wichrowy demon, ale szpieg w jakiś sposób zdołał ją zauważyć. W ostatniej chwili rzucił się naprzód i przetoczył po ziemi. Laska Ashii trafiła w wilgotną ziemię, gdzie siedział przed momentem.

„Wróg nie będzie czekał, aż go zaatakujesz” – uczył Enkido mową znaków.

Ashia wykorzystała impet skoku, by przetoczyć się w ślad za nim, i zdołała opleść jego kostkę. Szarpnęła, ale szpieg utrzymał równowagę i kopnął ją w twarz drugą stopą. Ashia poleciała w tył, puszczając sznurek. Młodzieniec wyrwał się bez trudu. Mógł wykorzystać przewagę, ale zamiast tego odwrócił się i zaczął uciekać.

Ashia runęła za nim. Szpieg skręcił w lewo, wbiegł dwa kroki w górę pnia drzewa, a potem wyskoczył w prawo, złapał się gałęzi i wciągnął na górę. Ashia nie dała się zmylić – młodzieniec wbiegał już po pniu drugiego drzewa, ale ona go doganiała, skacząc równie lekko wśród gałęzi, jak i on. Naraz dostrzegła lukę w listowiu i cisnęła laską, która trafiła młodzieńca dokładnie między łopatki.

Chłopak akurat sięgał po kolejną gałąź. Sparaliżowane ramię zwisło bezwładnie, a szpieg spadł na ziemię.

Ashia zeskoczyła w ślad za nim, rozładowując energię przewrotem w przód, a potem błyskawicznie rozwinęła więcej sznurka.

Niemniej szpieg również zrywał się już z przewrotu

i odwracał ku niej. Chciał ją odepchnąć kopnięciem, ale Ashia wyminęła je z łatwością i spróbowała narzucić pętlę na jego stopę. Był szybki – złapał sznurek, przyciągnął dziewczynę szarpnięciem i uderzył ją w twarz.

Ashia zbiła jego cios i próbowała go pochwycić, ale skóra szpiega była śliska od soków roślinnych. Wymknął się, nim *Sharum'ting* zdołała założyć mu pewny chwyt.

Oboje odzyskali równowagę, a wtedy szpieg rzucił się do ataku. Jego uderzenia i kopnięcia były celne i sprawne, ale nie zachwycaly techniką. Należały do najprostszych *sharukin*, które uczono dzieci i *chi'Sharum*.

Braki w technice szpieg nadrabiał jednak szybkością i umiejętnością reakcji. Pochwycił ramię atakującej Ashii, oplótł je jej własnym sznurkiem i skoczył między jej nogi. Ashia wykonała salto w przód, by odebrać mu inicjatywę i wykorzystać jego pomysł przeciwko niemu, ale szpieg po prostu puścił sznurek i uciekał w najlepsze.

Znów popędziła za nim, jednak oddalała się coraz bardziej od obozu. Kaji zaczął płakać i Ashia się zaniepokoiła. Nastąpiła już noc, a odgłosy walki mogły przyciągnąć *alagai*.

Ten młodzieniec był jednak zbyt niebezpieczny, by mogła pozwolić mu uciec. Przyspieszyła, a w biegu poderwała kamień z błota i rzuciła nim w uciekiniera. Trafiła tam, gdzie chciała – w miejsce, gdzie zbiegały się linie mocy po wewnętrznej stronie jego kolana. Noga natychmiast ugięła się pod nim i chłopak się potknął.

Tym razem się nie zawahała i rzuciła się do ataku. Kopła go, biła łokciami i pięściami. Skoro nie mogła związać chłopaka, postanowiła, że zmusi go do uległości. Szpieg był szybki i silny – odbijał jej ciosy, blokował, robił uniki, ale w końcu Ashii udało się go trafić raz, a potem jeszcze dwukrotnie.

Oszołomiony chłopak zatoczył się. Próbował się bronić,

ale kończyny nie słuchały jego poleceń, odrętwiały od uderzeń Ashii. Chciał coś powiedzieć, kiedy uderzyła go w gardło i zakrztusił się. To nie był czas na rozmowy. Złapała chłopaka za ramię i wykręciła je, chcąc zmusić, żeby uklęknął.

Nadal kaszłący szpieg odwrócił ku niej głowę i splunął cuchnącym sokiem w twarz. Ciecz zapiekła w oczy. Ashia cofnęła się, a szpieg wykorzystał okazję i odepchnął ją kopnięciem.

Gdy odzyskała wzrok, Kaji płakał już wniebogłosy, a szpieg znikł bez śladu. Ashia nabrała nieco lepkiego soku na palce i powąchała. Woń – podobnie jak i smród samego szpiega – przywodziła na myśl zioła, którymi *dama'ting* opatrywały rany zadane przez *alagai*.

Damajah kazała jej odnaleźć *khaffit*. Chciała też, by odszukała jej zaginionego kuzyna, którego rzekomo miała poznać po zapachu.

Co to wszystko właściwie oznaczało? Czy to możliwe, że ów włóczęga był zaginionym kuzynem Damajah? Ashii wydawało się to mało prawdopodobne. A jeśli tak, to co miała począć? Czy on dysponował informacjami, których potrzebowała? Był przyjacielem czy wrogiem? Czy powinna próbować się tego dowiedzieć, skoro miała Kajiego pod opieką?

W drodze powrotnej do obozu podniosła laskę. Płacz Kajiego przyciągnął uwagę bagiennego *alagai*, który włóczył się dookoła kręgu i próbował jego wytrzymałość. Runy wszyte w szaty Ashii czyniły ją praktycznie niewidzialną dla demonów, dzięki czemu wślizgnęła się za potwora, wysunęła jedno z ostrzy i wbiła mu je w plecy. *Alagai* zawrzasnął i szarpnął się dziko, ale Ashia nie puszczała. Wsysała magię w głąb swego ciała, aż runy na jej paznokciach skrzyły i syczały. Poczuli się niespodziewanie silna. Silna i szybka. W kilka chwil

zwinęła obozowisko, wsunęła Kajiego w nosidełko na plecach i ściągnęła szmatki zasłaniające runy wyryte na kopytach Rasy. Osobiście pomalowała je juchą *alagai*, dzięki czemu lśniły teraz dziko, gdy spoglądała na nie wzrokiem spotęgowanym przez moc runów.

Potem wskoczyła w siodło, mocno kopnęła końskie boki i pomknęła w noc. Tu i ówdzie Ashia natrafiła na samotne demony i celowo stratowała kilka z nich, by zaktywować runy na kopytach Rasy i zwiększyć moc oraz szybkość wierzchowca. Z tego samego powodu nałożyła biżuterię z *hora*. Kaji, ukojony rytmicznym tętentem kopyt, szybko zapadł w sen.

Dotarli do Krynicy Everama godzinę przed świtem, a wtedy Ashia zrobiła przerwę, by ponownie przebrać się za staruszkę. Wydawało jej się, że znów pochwyciła zapach szpiega, ale po chwili intensywnego węszenia doszła do wniosku, że chyba jej się zdawało. Żaden pieszy wojownik nie mógł nadążyć za Rasą. Ba, nawet wielu konnym by się to nie udało.

Trakty były pełne *Sharum* powracających z patroli oraz kupców przygotowujących się do otwarcia interesu, a Ashia, znów w szatach starej *dal'ting*, w tłumie stała się niewidzialna.

Ale szpieg, gdyby chciał za nią podążyć, z pewnością by się wyróżniał. Istniały więc tylko dwa rozwiązania – albo go w ten sposób zgubi, albo wywabi z ukrycia.



Briar biegł najszybciej, jak mógł, zygzakując między drzewami, przeskakując nad przeszkodami i przebiegając przez wodę. Ze wszystkich sił usiłował zredukować

przewagę, którą zdobyła owa przerażająca kobieta.

Stela z Gospody wydawała mu się straszna, ale przynajmniej się do niego odzywała, a on rozumiał jej motywację. Ta kobieta zaś poruszała się i walczyła jak *kai'Sharum* Wypatrywaczy. Czyżby była *Sharum'ting*? To dlaczego podróżowała z dzieckiem? Przecież to do siebie nie pasowało.

Nie miał pojęcia, kim ona jest, ale wiedział, że w regularnym starciu nie ma z nią żadnych szans. Była zbyt szybka i zbyt dobrze wyszkolona.

Wcześniej kierowała Briarem jedynie chęć opiekowania się niewinnymi podróżnymi na trakcie, ale teraz poczuł narastającą ciekawość. Czy ta kobieta była szpiegiem? Czy podróżowała z dzieckiem jedynie po to, żeby zmylić napotkanych ludzi? Żeby nikt się nie domyślił, na czym naprawdę polega jej misja? Ludzie z zielonych krain czasami sympatyzowali z krasjańskimi kobietami i próbowali wyzwolić je z więzów, z których te wcale nie chciały zostać uwolnione.

Przy odrobinie szczęścia tak znakomita wojowniczką mogłaby przeniknąć do wnętrza ruchu oporu i wymordować przywódców.

Kiedy nabrał pewności, że ją zgubił, zboczył z drogi i ruszył na skróty, by przeciąć jej drogę i wyjść w innym miejscu traktu Posłańców. Nie upłynęło wiele czasu, gdy znów ją ujrzał. Gnała na rozpędzonej klaczy, której kopyta rozbłyskiwały runiczną magią.

Nie miał pojęcia, kim jest ani czym jest, ale teraz po prostu musiał się tego dowiedzieć.

Musiał ostrzec ludzi, zanim komuś stanie się krzywda.

Począł, aż przejedzie obok niego, a potem wyruszył w ślad za nią.



Zgodnie z oczekiwaniami Ashii *Sharum* w Krynicy Everama całkiem ją zignorowali. Interesowanie się kobietami, które nie zajmowały się gotowaniem bądź nie mogły zaspokoić ich chuci, było poniżej godności *Sharum* i tak oto Ashia pokonała całą drogę aż do nabrzeża.

W Krynicy Everama kobiet i dzieci było więcej niż mężczyzn. Wielu spośród wojowników Jayana ściągnęło całe rodziny i wzniosło domy na ziemi wydzielonej im przez księcia, ale większość z nich wyjechała z nim na wojnę i już nigdy nie wróciła. Asome, który nie chciał zwracać niczyjej uwagi na fortecę swego poległego brata, nie kwapił się, by wysłać tu posiłki, w rezultacie czego główna osada Krynicy była jedynie cieniem miasta. Brakowało tam mnóstwa niezbędnych czynników, dzięki którym osada kwitnie i tętni życiem.

Władzę nad Krynica sprawował kuzyn Ashii Sharu, czwarty syn Wybawiciela. Wojowniczką ujrzała jego sztandar powiewający nad ratuszem, lecz minęła go bez słowa. Byli co prawda bliscy sobie jako dzieci, ale teraz Sharu, jako jeden z niewielu ludzi na wschód od Lenna Everama, mógł ją rozpoznać, a Asome zawsze dominował nad swymi młodszymi braćmi. Ashia wiedziała, że Sharu zdradzi ją bez wahania.

Zauważyła też, że jej kuzyn dysponuje nader skromnymi siłami. Gdyby doszło do skoncentrowanego ataku, nie wystarczyłoby mu wojowników nawet do ochrony ratusza.

Jedynym miejscem, które w istocie tętniło życiem, były doki. Po trapach prowadzących na pokłady statków przesuwiał się niekończący się strumień *chin* oraz *dal'ting*. Niektórzy spośród nich wnosili zapasy, inni sprawdzali

ładunek, katalogowali łupy czy sprzedawali żywność i napoje. Krasjańska flota była teraz tak liczna, że tylko część jednostek mogła cumować do brzegu.

„Poszukaj trzech sióstr” – poradziła jej Inevera po rzucie kośćmi. Podobnie jak wiele innych przepowiedni Damajah, również i ta nie miała wówczas sensu, ale wystarczyło rozejrzeć się po dokach, by Ashia zrozumiała przekaz.

Długi pomost, do którego mogło przybić nawet i pół tuzina jednostek, został zarezerwowany dla „Brazowej Włóczni”, okrętu flagowego Krynicy Everama, oraz dwóch jednostek eskortowych, „Brazowej Tarczy” i „Brazowego Pancernia”. Ich nazwy przypominały, że choć władzę nad Krynicą teoretycznie sprawował Sharu, swoją potęgę zawdzięczał tylko korsarzom *kha'Sharum*, którymi dowodził Mistrz Ćwiczeń Qeran. Na ich pokładach ciągnęły się równe rzędy skorpionów i proc, a na maszcie powiewała flaga z wielbłądzą laską Abbana. Mówiono, iż bez niego bitwa o Krynicę Everama zostałaby przegrana z kretelem.

Członkowie załogi nosili luźne spodnie z brązowego sukna, choć wielu z nich zdjęło koszule podczas pracy. Ashia wiedziała, że to grzech, lecz mimo to jej spojrzenie prześlizgnęło się po nagich ciałach. Jak dotąd mąż jedynie dwukrotnie zabrał ją do łóżka. Czyżby miał to być jedyny kontakt z mężczyznami, jakiego miała doświadczyć, nie licząc walk?

Ludzie przydzieleni do wacht sprawnie zajmowali się swymi obowiązkami, a ci, którzy mieli chwilę wolnego, trenowali *sharusahk* i walkę włócznią. Ashia musiała przyznać, że ich umiejętności robiły wrażenie. Qeran był wszak legendą – osobiście szkolił samego Wybawiciela, i nawet Enkido, jej mistrz i nauczyciel, wypowiadał się o nim z szacunkiem.

Ashia mogła się niespostrzeżenie wślizgnąć na pokład „Brazowej Włóczni” na wiele sposobów, ale nie było sensu

wspinać się czy pływać, skoro Kaji zapewniał dziewczynie idealny kamuflaż. Podeszła więc prosto do *kha'Sharum*, który pełnił straż przy trapie, a ten przyjrzał jej się uważnie. Nie miał nic wspólnego z obojętnymi, beztroskimi *dal'Sharum*, którzy włóczyli się po ulicach. Ten lustrował Ashię dokładnie, chcąc się przekonać, czy nie skrywa kontrabandy bądź nie stanowi zagrożenia.

Wygląd kobiety nie obudził w nim żadnych zastrzeżeń, a niemowlak na plecach dodał jej wiarygodności, którą trudno byłoby uzyskać dzięki ubraniu czy makijażowi. Strażnik szybko przekonał się, że staruszka nie stanowi niebezpieczeństwa, a wówczas zobojętniał.

– Nazywam się Hannali vah Qeran i jestem najstarszą córką twojego pana – skłamała Ashia. – Mój ojciec na pewno będzie chciał ujrzeć swojego najmłodszego wnuka.

Sharum uniósł lekko brwi i skinął na gońca, który szybko powrócił i oznajmił, że Qeran zezwala nowo przybyłej wejść na pokład. Nic dziwnego – wszak kości Damajah ujawniły, że Mistrz Ćwiczeń darzy Hannali wielkim uczuciem.

Wystarczyło, by przekroczyła próg, a Qeran zrozumiał w okamgnieniu, że nie ma przed sobą ukochanej córki. Mimo to nie powiedział ani słowa i machnął dwoma palcami, by odesłać towarzyszącego jej *Sharum*.

Ashia patrzyła, jak mężczyzna podnosi się i idzie ku niej płynnie, choć zamiast jednej nogi miał wygięte metalowe ostrze. Gdyby wstawiono mu drewnianą kończynę, utraciłby sprężystość, ale dzięki wynalazkowi Abbana poruszał się sprawnie i wykorzystywał spiralę w sztucznej nodze do długich skoków.

Nie było na świecie wielu *Sharum*, którzy mogliby z powodzeniem rzucić Ashii wyzwanie w *sharusahk*. Dziewczyna wiedziała, że mistrz stracił nogę, i nigdy nie umieściłaby go na tej liście, ale postawa kapitana ją

zaskoczyła. Uświadomiła sobie, że teraz trudniej go będzie przewrócić, a stalowa noga umożliwi mu rzeczy, o których inni wojownicy mogliby tylko pomarzyć.

Qeran otaksował Ashię baczным spojrzeniem.

– Nosisz zbroję pod szatą. Jeśli jesteś zabójczynią, pragnę ci podziękować za chwilę wytchnienia od niekończącej się papierkowej roboty. Odłóż dziecko i zakończmy to szybko.

Wygłosił te słowa swobodnym tonem, ale Ashia ujrzała w jego oczach, że nie rzuca słów na wiatr. Qeran odesłał swojego strażnika i był w pełni gotów samotnie, w ciasnej kabinie stawić czoła nieznannej napastniczce i ją zabić.

– Nie jestem zabójczynią – rzekła Ashia. – Jestem Sharum'ting Ka Ashia vah Ashan am'Jardir am'Kaji. Przybyłam z zadaniem wyznaczonym mi przez Damajah.

„Nie ukrywaj przed nim niczego” – poleciła jej Damajah po konsultacji z kośćmi, lecz mimo to Ashia poczuła narastające napięcie. Była gotowa walczyć i zabić Qerana, gdyby ten choć zagroził, że ujawni jej tożsamość. Rozejrzała się po kajucie w poszukiwaniu sposobów, by wykorzystać w walce niski sufit, ciasne ściany i liczne belki.

Qeran przestąpił z nogi na nogę, gotów na atak, ale założył ramiona na piersi.

– Znałem Ashię jako dziecko, lecz nie widziałem jej twarzy od czasu, gdy zabrano ją do pałacu *dama'ting* dziesięć lat temu.

Ruchem podbródka wskazał synka na plecach.

– Chcesz powiedzieć, że to Kaji asu Asome am'Jardir am'Kaji? Dziedzic Tronu z Czaszek?

Ashia panowała nad rytmem oddychania.

– Tak – odparła.

– Udowodnij to – rzekł Qeran.

– Jaki dowód zaspokoi twoją ciekawość?

Qeran uśmiechnął się.

– Nie znam twarzy Ashii, ale znałem dobrze Enkido. Był moim *ajin’pal*.

Ashia zamruwała. Jej mistrz stanowił integralny element pałacu *dama’ting* do tego stopnia, że nigdy nawet nie pomyślała o jego wcześniejszym życiu i o żonach oraz dzieciach, które zostawił, by służyć *Damaji’ting* Kenevah i poznać sekrety *dama’ting sharusahk*. O *Sharum*, których szkolił jako Mistrz Ćwiczeń.

O jego braciach. Wszak więź między *ajin’pal* była równie silna jak więzi krwi.

– Enkido był wielkim mistrzem. Co roku wybierał jednego *nie’Sharum* na swojego *ajin’pal* – rzekł Qeran. – Mistrzowi Kavalowi przypadł ten zaszczyt rok przede mną, co również uczyniło z nas braci. Słyszałem, że Kaval i Enkido zginęli wspólnie od pazurów *alagai*, zdobywając wieczną chwałę, podczas gdy ja szkoliłem *khaffit* w Lennie Everama.

Jego głos nawet nie zadrżał, mimo to Ashia usłyszała w nim smutek i ból. Z radością oddałby życie u boku braci.

Następnie Qeran spojrzał jej w oczy.

– Dlatego właśnie musisz ze mną walczyć, księżniczko. Jeśli zostałeś wyszkolona przez Enkido, szybko się zorientuję, a wówczas pomogę ci we wszystkim, czego będziesz chciała. Jeśli zaś nie... – Zerknął na Kajiego i dodał: – Daję ci słowo, że po twojej śmierci wychowam to dziecko jak własne.

Ashia poczuła, jak jej serce przesywa chłód, ale nie zawahała się i zdjęła plecak. Ułożyła go w możliwie najdalszym kącie w ciasnej kabinie, po czym zrzuciła grubą szatę *dal’ting* i stanęła przed nim w jedwabnej czerni *Sharum’ting*, wzmocnionej runicznymi płytkami. Wyciągnęła chustkę z białego jedwabiu i przykryła nią czarną tkaninę przesłaniającą jej twarz.

– Czynisz mi wielki zaszczyt, Mistrzu Ćwiczeń – rzekła

i ukloniła się.

Qeran odpowiedział jej ukłonem.

– Jeśli rzeczywiście jesteś Sharum'ting Ka, za którą się podajesz, to ja jestem zaszczycony.

Przesunął lekko stopę, przenosząc ciężar ciała na wygięte ostrze drugiej nogi, i uniósł ręce, przybierając pozycję do walki, którą Ashia i jej siostry włóczni przećwiczyły tysiące razy z Enkido. Dziewczyna płynnie uczyniła to samo.

„Nie ukrywaj przed nim niczego”.

– Zaczynaj – oznajmił Qeran.

Ashia rzuciła się do ataku, ale nie w tym kierunku, którego się spodziewał. Wskoczyła na taboret, odbiła się od ściany i wykonała obrót w powietrzu, by kopnąć mistrza w twarz. Ten jednak zareagował błyskawicznie – uniknął kopniaka, pochwycił Ashię pod pachę i obrócił się, wykorzystując jej własny impet, by grzotnąć ją pięścią w klatkę piersiową.

Ashia miała wrażenie, jakby młot rąbnął w napierśnik. Uderzenie wypchnęło jej powietrze z płuc. Padła na pokład, ale nie straciła rezonu i bez wahania wyprowadziła kopnięcie w kostkę Mistrza Ćwiczeń.

Qeran odskoczył poza zasięg, opadł na sztuczną nogę, a wtedy ukryta w niej sprężyna pchnęła go naprzód, prosto na dziewczynę, która zerwała się już na nogi. Zasypał ją gradem ciosów, lecz Ashia tym razem nie dała się zaskoczyć i bez wahania odpowiadała ciosem na cios. Qeran nie został wtajemniczony w sekrety *sharusahk dama'ting*, choć najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że Ashia próbuje wbijać palce, kłykcie, a nawet palce u nóg w punkty zbieżności na jego ciele. Na ogół udawało mu się wykonać unik bądź zablokować jej cios i zawsze kontrował serią potężnych ciosów. Ashia dawała z siebie wszystko, by pokazać, że nauki jej mistrza nie poszły w las. Odbijała

uderzenia Qerana i kontratakowała bez wytchnienia, nieustannie usiłując przebić się przez jego gardę.

Raz wydawało jej się, że zaraz go pokona. Cios dziewczyny trafił celu, jednak jej wyprostowane palce uderzyły w ukrytą płytkę pod szatą. Zrozumiała wówczas, że dała się wyprowadzić w pole. Szaty Qerana, podobnie jak jej własne, były wzmocnione płytkami runicznego szkła. Ashia wciągnęła powietrze, tłumiąc ból, i podziękowała w duchu Everamowi, że nie połamała palców.

Nie była w stanie osiągnąć takiej przewagi, by móc uderzyć w punkty zbieżności, skupiła się więc na częściach ciała, których trudniej było bronić. Ich pojedynek przerodził się w wojnę na wyczerpanie. Uderzyła Qerana pięścią, on kopnął ją kolaniem w brzuch. Chwilę później trafiła jego zdrowe kolano, po czym metalowe ostrze protezy o mały włos nie ucięło jej głowy.

Krok po kroku oboje rozpoznawali rozmieszczenie runicznych płytek przeciwnika i przenieśli ataki na słabiej chronione części ciała.

W końcu Ashia wymierzyła potężne kopnięcie w żebra Qerana. Mężczyzna wykazał się ogromnym refleksem i złapał jej nogę. Ashia wykonała obrót, by wyrwać się z jego uścisku, ale odsłoniła się w ten sposób. Mistrz Ćwiczeń stanął przed szansą, by grzotnąc Ashię w plecy, miast tego odepchnął ją od siebie.

Ashia nie zastanawiała się, dlaczego Qeran okazał jej tak wielką łaskę. Nie tracąc ani chwili, przetoczyła się po ziemi i zerwała na równe nogi poza zasięgiem jego ciosu. Wbiegła po półkach wbudowanej w ścianę biblioteczki i zamarła pod sufitem, gotowa do ataku z góry.

– Dość tego, księżniczko. – Qeran opuścił pięści i odstąpił od walki.

Ashia zeskoczyła lekko na podłogę. Oboje ciężko oddychali.

Mistrz Ćwiczeń uklęknął i przytknął czoło do podłogi.

– Jakie rozkazy przesyła Damajah? Czy wiadomo coś o posiłkach?

– Nie ma mowy o żadnych posiłkach – odparła Ashia. – Lenno Everama pograżyło się w chaosie, a Majah opuścili armię Wybawiciela. Zabrali swoich niewolników oraz łupy i udali się do Pustynnej Włóczni.

– Majah to psy! – Qeran splunął na podłogę.

– Mieli słuszny powód – odparła Ashia. – Moi kuzyni sięgnęli po *hora*, gdy mordowano *Damaji*, ale nawet z ich pomocą...

– Młody Maji nie miał szans z sędziwym Aleverakiem – dokończył za nią Qeran. – Trudno, żeby taki wynik starcia kogokolwiek zaskoczył.

– Majah zawarli pakt z Wybawicielem – rzekła Ashia.

– Wiem – odparł Qeran. – Widziałem, jak twój ojciec walczy z Aleverakiem o Tron z Czaszek, gdy ty byłaś jeszcze malutką dziewczynką, księżniczko.

– Nie wydaje ci się, że Majah mają słuszny powód do gniewu?

Qeran wzdrygnął ramionami.

– To *dama* uciekają się do morderstw. Wyzywają nas, wojowników, od dzikusów, ale zapominają przy tym, że *Sharum* awansują, gdy ich dowódcy giną w walce, a nie zostają przez nich zamordowani. W żaden sposób nie tłumaczy to jednak Aleverana. Nie powinien kraść wojowników i broni z armii Wybawiciela w przededniu *Sharak Ka*. Majah nie powinni uciekać po kryjomu, jak tchórze, i chować się za murami Pustynnej Włóczni.

„Nic przed nim nie ukrywaj”.

– A some próbował mnie zabić, Mistrzu Ćwiczeń – powiedziała Ashia. – Mnie, własną żonę. Matkę swojego syna. Gdy A some ruszył w kierunku tronu, Asukaji zarzucił mi garotę na szyję, a w tej samej chwili *dama'ting* Melan

i Asavi połączyły siły i podjęły próbę zabicia Damajah.

– Żeby zabić Damajah, potrzeba kogoś, kto jest mądrzejszy od Aleveraka – rzekł Qeran, a Ashia odniosła wrażenie, że jej słowa wstrząsnęły nim po raz pierwszy od chwili ich spotkania. – Może więc dobrze, że oczy księcia Asome są odwrócone od Krynicy Everama. Czy Damajah wysłała tu ciebie i Kajiego, żebyście się przed nim ukryli?

Ashia pokręciła głową.

– Szukam *khaffit*.

Qeran nie musiał nawet pytać, kogo Ashia miała na myśli.

– Nie mogę ci w tym pomóc, księżniczko. Długo chowałem nadzieję, że mój pan żyje, ale nikt o nim nie słyszał od czasu bitwy o Angiers. Syn Chabina to wszak pomysłowy, przedsiębiorczy człowiek. Gdyby znalazł jakiś sposób, żeby przekazać mi wieść, zapewne już dawno by to zrobił.

– Być może próbował – odparła Ashia. – Everam przekazał Damajah, że Abban żyje i znalazł się w rękach eunucha.

– Hasik! – Qeran zacisnął pięść. – Powinienem rozbić czaszkę temu wściekłemu psu, póki był szczeniakiem w *sharaj*.

– Opowiedz mi więc o jego siłach – rzekła Ashia.

– Ciężko będzie oswobodzić Abbana – stwierdził Qeran. – Klasztor Eunuchów znajduje się na wysokim wzniesieniu nad wodą. Trzy zbocza wzgórza to w zasadzie ostre klify, a dostępu od strony jeziora broni laktońska flota. Większy oddział może podejść jedynie wąską główną drogą. Kończy się mostami, które obrońcy mogą w każdej chwili zawalić. Najeźdźcy zaś są narażeni na ataki z dobrze krytych strzelnic.

– Czy Hasik kontroluje obszar dookoła fortecy?

Qeran wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj rozsyła zwiadowców po mokradłach, a gdy nie urządza rajdów, jego patrole sprawdzają jedynie obszar w promieniu pół dnia jazdy i zawsze wracają na noc.

– Czyli nie są aktywni w nocy?

Qeran splunął.

– Przekłęte Eunuchy wyrzekły się *alagai'sharak*. Na ich terenach aż gęsto od demonów, a ci głupcy nic z nimi nie robią. – Westchnął. – Wielu dzielnych wojowników zginie, próbując uratować jednego *khaffit*.

– Nie będziesz go ratować – rzekła Ashia.

Spojrzenie Qerana ochłodziło.

– Wydaje mi się, że źle odbierasz moją postawę, księżniczko. Nie ty tu dowodzisz. Sam Wybawiciel uczynił Abbana moim panem, a ja złożyłem przysięgę, że będę go chronił. Dopóki żyję i chodzę po Ala, ocalenie życia Abbana asu Chabin am'Haman am'Kaji będzie dla mnie ważniejsze od własnego życia i wszystkich innych rzeczy z wyjątkiem *Sharak Ka*. Ani ty, ani nawet Damajah nie zdołacie mnie powstrzymać.

W słowach Mistrza Ćwiczeń pojawiła się nowa groźba i Ashia odruchowo napięła mięśnie, na wypadek gdyby Qeran chciał znów rzucić się do walki.

– Sam zauważyłeś, że atak na klasztor pociągnie za sobą wielkie straty w armii Wybawiciela. Damajah również to przewidziała i wysłała mnie jako alternatywne rozwiązanie. Wkradnę się do fortecy Hasika i znajdę sposób, żeby bezpiecznie wydostać Abbana na wolność.

Qeran nie wydawał się przekonany.

– Twoje *sharusahk* nie ma sobie równych, dziewczyno, ale podaruj sobie bohaterską pozę. Skoro moi Wypatrywacze nie potrafią przeniknąć za mury, tobie też się to nie uda, zwłaszcza z dzieckiem na plecach.

– Damajah wyposażyła mnie w potężną magię – powiedziała Ashia. – Żaden Wypatrywacz nie umie

poruszać się tak cicho jak ja. Żaden z nich nigdy nie będzie równie niewidzialny, silny i szybki jak ja. Kaji może się drzeć wniebogłosy, a człowiek stojący krok ode mnie usłyszy to tylko wtedy, gdy będę tego chciała. Gładkie mury zaś to dla moich rąk i nóg jak szerokie stopnie.

– Mimo to nie zapomnij, że Hasik ma ponad tysiąc ludzi pod swoimi rozkazami – rzekł Qeran. – Torturowanych, okaleczonych, sadystycznych brutalni. Chcesz zabrać swojego syna, dziedzica Tronu z Czaszek, w takie miejsce?

– Jeśli chcemy osiągnąć zwycięstwo w *Sharak Ka*, musimy wspólnie podążać wzdłuż krawędzi Otchłani – odpowiedziała Ashia. – Tak przepowiedziała Damajah. *Alagai* szykują atak. Nie możemy dopuścić, żeby znów rozlała się czerwona krew.

– Nie unikniemy tego bez posiłków z Lenna Everama – rzekł Qeran.

– Miasto nie jest dobrze strzeżone – zgodziła się Ashia – ale przecież wróg nadpłynie wodą, prawda? A twoje okręty panują na jeziorze.

– Póki co – odparł Qeran. – Zdruzgotaliśmy ich flotę, a moi piraci prześladują ich linie zaopatrzenia. *Chin* cierpią głód, ale mają jeszcze kilka okrętów w zapasie. Co więcej, wiedzą, że armia księcia Jayana poniosła klęskę, a my jesteśmy zdani sami na siebie. Zaatakują, i to niebawem.

– W jaki sposób przesyłają tu swoich szpiegów, skoro patrolujecie linię brzegową?

– Przecież linia brzegowa ciągnie się przez wiele setek mil, księżniczko! – roześmiał się Qeran. – To nie oaza, którą człowiek przemierzy w ciągu dnia. Wystarczy oddalić się od brzegu, żeby szybko stracić ląd z oczu.

Ashia zadrżała na samą myśl o takiej ilości wody. Jak to możliwe, że coś tak świętego jak woda napełniało ją wielkim strachem?

– Ponadto Laktończycy mają zdrajcę na swoich usługach

– dodał Qeran.

– Opowiedz mi o nim – poprosiła Ashia, choć w głębi duszy już wiedziała, co zaraz usłyszy.

– To młody chłopak, wyrostek nieledwie – odparł Qeran.

– Drobnny, jak na wojownika, ale nie na tyle, żeby przyciągać uwagę. Porusza się jak pustynny zając. Jest nieprawdopodobnie szybki.

– Ale nie tak szybki jak ty? – Ashia wskazała metalową nogę Mistrza Ćwiczeń.

– Prawie go miałem – westchnął Qeran. – Jednak gdy się zbliżyłem, rzucił się do wściekłego ataku. Zna tylko podstawowe *sharukin*, ale szybkość i siła czynią z niego straszliwego przeciwnika, a przez brak formalnego treningu staje się nieprzewidywalny.

– Nie pokonał cię chyba? – W głosie Ashii pojawiła się wątpliwość.

– Nie do końca – przyznał Qeran z wyraźnym niezadowoleniem. – Nie walczył o zwycięstwo. Chciał tylko odciągnąć moją uwagę na tyle, żeby znów móc się rzucić do ucieczki. Wskoczył do wody pełnej demonów i dopłynął do burty laktońskiego okrętu.

– Zauważyłeś coś jeszcze, gdy znalazłeś się tak blisko niego?

– Cuchnął – rzekł Qeran. – Tak jak okłady stosowane przez *dama'ting* na rany zadane przez *alagai*. Jego skóra była nieco jaśniejsza od naszej, rysami również różnił się odrobinę. Słyszałem, że w jakiejś wiosce na północ stąd mieszkał krasjański dezertor, który nazywał się Relan am'Damaj am'Kaji. Jakies dziesięć lat temu zginął wraz ze swoją rodziną w pożarze, ale jeden z jego synów ponoć przeżył.

Damaj. Po plecach Ashii spłynął dreszcz. Wszak tak brzmiało miano, którym posługiwała się rodzina Damajah!

To on jest zaginionym kuzynem, zrozumiała.

Qeran podszedł do biurka i podniósł kartkę papieru z leżącego tam stosiku, po czym podał ją Ashii. Zobaczyła plakat, na którym oferowano sto tysięcy draki za złapanie zdrajcy żywcem i dziesięć tysięcy za jego głowę. Znajdowała się tam również podobizna chłopaka i Ashia musiała przyznać, że wizja artysty zgadzała się z rzeczywistością. To jego widziała na szlaku.

– Tym bardziej nie powinnam pozbawiać cię ludzi. – Ashia złożyła papier i wsunęła w fałdy szaty. – Jak daleko stąd leży ów klasztor?

– To prawie tydzień jazdy w trudnym terenie na północ. Droga jest pod obserwacją, a błoto na mokradłach tak gęste, że wojownik może złamać nogę równie łatwo jak jego wierzchowiec. Co więcej, żyje tam inna odmiana *alagai*. Ich plunięcie nie jest tak imponujące jak to w wykonaniu ognistego demona, ale pali i paraliżuje. Wielu posłanych na bagna szpiegów, w tym nawet doświadczonych Wypatrywaczy, nigdy już nie wróciło.

– Ja sobie poradzę – stwierdziła Ashia. – Użyczysz mi jakiejś mapy?

– Lepiej! – odparł Qeran. – Moje okręty flagowe zanadto rzucają się w oczy, ale po zapadnięciu zmroku mogę cię zabrać na mniejszy, mniej zauważalny okręt i pod osłoną ciemności wywieźć z portu. Moi ludzie wysadzą cię na skraju zasięgu patroli Hasika.

– Dziękuję, Mistrzu Ćwiczeń – odparła Ashia. – Wyświadczasz mi wielką przysługę.

– Byłaś kiedyś na łodzi? – spytał Qeran.

– W oazie w Pustynnej Włóczni – odparła Ashia i wbiła wzrok w podłogę. – Raz.

– Podczas obchodów twojej *Hannu Pash*. – Qeran pokiwał głową. – Byłem tam wówczas. Aż do ubiegłego roku była to również i moja jedyna wycieczka łodzią. – Pochylił się ku dziewczynie i dodał: – To jezioro w niczym nie

przypomina oazy. Fale ani na moment nie przestają kołysać okrętem, co wywraca żołądki zarówno *Sharum*, jak i *dama*. Widziałem, jak wielcy mężowie przypadali do burty i wymiotowali do upadłego.

– Mój mistrz przyzwyczał mi do znoszenia większych trudów – powiedziała Ashia.

– Być może. – Qeran pokiwał głową. – Otrzymasz kapitańską kajutę. Tylko dowódca jednostki będzie wiedział o twojej obecności, ale nie zdradzę mu twojej tożsamości. Przedstawię cię jako szpiega, a on nie będzie zadawał pytań. Siedź w kabinie, a załoga nie będzie nawet wiedzieć, że tam jesteś. Nie chcę ryzykować starcia z okrętami blokady, więc każę cię wysadzić w pewnej odległości na południe od klasztoru.

– Co pozwoli mi zbadać okolicę – rzekła Ashia. – I wybudować kryjówki na wypadek ataku *alagai* czy pościgu.

– Pościgu? – skrzywił się Qeran. – Myślałem, że potrafisz piąć się po murach cicho niczym cień?

– W drodze do środka klasztoru jak najbardziej – odparła Ashia. – Ale opuszczając go, będę wlokła za sobą grubego, okaleczonego *khaffit*.

Qeran zachichotał.

– Ech, dobrze wiem, ile waży to brzemię!



Godzinę przed nastaniem świtu Briar przyglądał się owej dziwnej kobiecie, jak zatrzymuje się na skraju Dokowiska i znów przebiera za staruszkę.

Ciekawe. Briarowi wydawało się z początku, że to podstęp, by wyprowadzić w pole mieszkańców zielonych

krain, ale wyglądało na to, że próbowała również zmylić swych rodaków.

Skręcił z głównego traktu, by ją wyprzedzić, i wkrótce natrafił na jeden z licznych strumieni wpadających do jeziora. Ściągnął ubranie, zwinął je w ciasny kłębek i upchnął w sakwie. Odwinął też brudne szmaty, którymi zasłaniał runy na dłoniach. Uderzenie i nacisk. Włócznia i tarcza Runoskórych.

Czy to Runoskóre były teraz jego plemieniem? A może Ragen z Elissą? Lakton? Zakątek? Rodacy jego ojca? Miał wrażenie, że ciągnie go naraz w tyle stron, że powoli traci świadomość tego, kim jest.

Na razie jednak mógł odłożyć te dylematy na bok. Na razie miał tajemnicę do rozwikłania.

Kontakt z chłodną wodą do przyjemności nie należał. Briar stał i oddychał rytmicznie, aż ciało przyzwyczaiło się do niskiej temperatury. Sięgnął po kostkę mydła i zaczął zdrapywać z siebie lepki sok z lubczyku oraz brud. Po zakończeniu przebrał się w wyciągnięte z torby czyste szaty *dal'Sharum*.

Nadal woniał lubczykiem. Zjadał go takie ilości, że zapach był wyczuwalny w oddechu, pocie, a nawet ślinie, ale dzięki grubym szatom Briar był w stanie w miarę go zamaskować.

Na skraju Dokowiska powstał bazar, który Briar poznał wszerek i wzdłuż. Gdy kobieta nadeszła traktem, chłopak przyglądał się straganom z pieczywem. Przypominał zwykłego *Sharum*, który szuka czegoś na ząb. Nieznajoma również niczym się nie wyróżniała – przeciętnie wyglądająca starsza kobieta z dzieckiem na plecach, zajmująca się porannymi zakupami. Rozmawiała wesoło ze sprzedawcami, pytała o to i owo, bez trudu wyłuskując informacje o osadzie i siłach Laktończyków.

Briar pokręcił głową. Nie przepadał za taką formą

przeprowadzania zwiadu. Wolał zakraść się, przyczać i słuchać. Nieznajoma zaś bez pośpiechu przemierzyła bazar, to zatrzymując się przy jakimś straganie, to znów zaglądając do sklepów, a Briar po chwili nabrał pewności, że zmierza w stronę doków. Postanowił więc ją wyprzedzić.

Chłopak znał doki równie dobrze jak swoje krzakowisko, lecz tym razem zauważył coś nowego. Przy wejściu na każdy pomost wisiał plakat z jego podobizną, oferujący ogromny majątek człowiekowi, który go złapie.

Widok własnej twarzy na liście gończym był swego rodzaju osiągnięciem, z którego Briar mógłby czerpać dumę. Kapitan Dehlia zasłoniła ściany kajuty na „Lamencie Sharum” plakatami oferującymi pieniądze za jej pojmanie i klaskała z zachwytem, gdy podczas któregoś rajdu jej ludzie zdobywali kolejny, oferujący jeszcze większą sumę.

„Ich nienawiść jest niczym miód na moje rany, Briar” – powiedziała mu kiedyś. „Niech więc się wściekają, skoro nie mogą mnie złapać”.

Briar jednak nie cieszył się z tego, że jest nienawidzony. Gdy próbował pomóc rodakom swojej matki, jednocześnie zdradzał pobratymców ojca. Niewykluczone, że w Dokowisku mieszkali jacyś jego krewni i nie czuł się dumny z tego, że będą go znali tylko jako kłamcę. Mimo to zerwał jeden z plakatów i schował pod szatą, nadal podążając za nieznajomą.

Kierowała się ku „Brązowej Włóczni”. Ku okrętowi kapitana Qerana.

Briar poczuł ukłucie lęku po raz pierwszy od chwili, gdy znalazł się w osadzie. Qeran napełniał go przerażeniem, zarówno na lądzie, jak i na wodzie. Nie słyszał nigdy o człowieku, który byłby bardziej niebezpieczny od niego.

Co gorsza, zamiast poznać jakieś odpowiedzi, Briar uświadomił sobie, że ma jedynie więcej pytań. Czyżby

nieznajoma była elitarnym szpiegiem, którego przysłano z Krasji, by służył Qeranowi? Jej kamuflaż był tak dobry, że mieszkańcy zielonych krain również bez trudu mogli się na niego nabrać. Gdyby dać jej więcej czasu, potrafiłaby wypracować sobie pozycję, z której mogłaby zabić niemal każdego.

Z drugiej strony mogła też spróbować zabić Qerana i rozpocząć walki o przywództwo.

Briar wślizgnął się pod opuszczony pomost i zrzucił z siebie ubranie, po czym upchnął je wraz z bronią, tarczą i sakwą w niewidocznym miejscu. Potem zsunął się do wody. Płynął równymi, energicznymi ruchami, prześlizgując się pod nosem strażników patrolujących plażę oraz pomost okrętów flagowych. Nawet żeglarze *Sharum* nie potrafili pływać, a większość z nich wolała nie patrzeć na wodę zbyt długo.

Nieznajoma kobieta szpieg nadal czekała na pozwolenie, by wejść na pokład, gdy Briar wspiął się po linie kotwicznej po zacienionej stronie wielkiego okrętu. Kapitan Dehlia nauczyła go wszystkiego o budowie typowych jednostek i sposobach na wykorzystanie ich słabych punktów.

Chłopak zdołał wcisnąć się przez niewielką kluzę do komory lin kotwicznych, której nikt nie pilnował. Stamtąd przedostał się do kabiny znajdującej się tuż pod kapitańską. W kołyszącym się lekko hamaku leżał jakiś żeglarz. Jego wachta przypuszczalnie dobiegła już końca i pochrapywał mocno. Nie obudził się, gdy Briar przemknął obok niego i wspiął się po wsporniku, by przycisnąć ucho do pewnego miejsca w suficie.

Metalowa noga zaszurała o pokład.

– Nosisz zbroję pod szatą – oznajmił Qeran nad jego głową.



23

„Lament Sharum”

334 ROK PLAGI

Ashia nie czuła takich sensacji w żołądku nawet w pierwszych miesiącach ciąży. Mogła spędzić długie godziny na belce pod sufitem, wykonywać salta i przewroty, od których Minstrelowi z zielonych krain zrobiłoby się niedobrze, i tańczyć na turlającej się kłodzie, ale teraz, na otwartej wodzie, poczuła się o wiele gorzej niż na deskach zakotwiczonego okrętu.

Nierówne, chaotyczne kołysanie kadłuba nie miało końca, przez co zmysł równowagi dziewczyny ulegał całkowitemu zaburzeniu. Jezioro, podobnie jak ciąża, bez litości przypominało jej, że choć dzięki szkoleniu mogła panować nad wieloma rzeczami, mnóstwo innych pozostawało tylko w rękach Everama.

Miała spore problemy z utrzymaniem się na nogach. Zamknęła oczy i stąpała w przód i w tył, próbując odkryć jakiś wzór w ruchu fal. Nie chciała zostać zaskoczona, gdyby podczas rejsu doszło do walki.

Na szczęście ryzyko było niewielkie. Ludzie Qerana odstawili ją na „Sprawiedliwość Everama” o zachodzie słońca, gdy intensywny blask promieni odbijających się od wody uniemożliwiał dostrzeżenie wielu szczegółów. Okręt okazał się niewielką, trzymasztową jednostką, smukłą i niebezpieczną, obsadzoną przez trzydziestu zahartowanych w bojach *dal’Sharum*. Nie był to ani wielki statek handlowy z przepastnymi ładowniami, ani też wartościowy okręt wojenny. I z daleka, i z bliska „Sprawiedliwość” nie wydawała się cennym łupem.

– Kapitan Rahvel opuścił swoją kabinę na czas podróży – rzekł Qeran. – To zasłużony Mistrz Ćwiczeń.

Te proste słowa padające z ust kogoś takiego jak Qeran miały wielkie znaczenie. Oddawał Ashię pod opiekę jednego ze swych najbardziej zaufanych ludzi, który miał zadbać, by nikt nie odkrył jej prawdziwej tożsamości. Załoga otrzymała rozkaz zostawiać posiłki przed drzwiami, a przeszkodzić jej mieli, dopiero gdy znajdą się blisko punktu docelowego.

Kaji znosił podróż jeszcze gorzej niż ona. Ashia spodziewała się, że kołysanie okrętu go ukoi, ale zamiast tego nieszczęsny chłopczyk straszliwie poblekł, a potem na nią zwymiotował.

– Be – wyszlochał, wtulony w jej ramię.

– Tak, moje serce, wiem. – Ashia ucałowała go w czołko.

– To wszystko przez ruch fal. Wkrótce się przyzwyczaisz, a potem poczujesz się lepiej.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Niemniej nie to było najgorsze. Przez niewielki bulaj, tak mały, że nawet Ashia nie zdołałaby się przez niego

precyzyjnie, widać było wodę, błyszczącą w blasku gwiazd. Wiele mil niekończącego się akwenu. Nigdzie ani śladu lądu.

Co więcej, co rusz dostrzegała refleksy w tafli, przypominające błyskawice wśród chmur. Za każdym rozbłyskiem przez okręt przechodziło drzenie.

To wodne demony testowały wytrzymałość runów chroniących kadłub.

Ashia walczyła z *alagai* każdej nocy, ale nie miała pojęcia o wodnych demonach. Wiedziała tylko, że to koszmarnie istoty uzbrojone w kły i macki, niewidoczne i niemożliwe do poznania. Nauczyła się pływać w basenach *dama'ting* i potrafiła wstrzymać oddech na dziesięć minut, ale to za mało, by stoczyć walkę. Nie potrafiła walczyć pod powierzchnią wody, nie była też w stanie razić demonów z daleka. Mogła tylko siedzieć, znosić kolejne napady torsji i mieć nadzieję, że runy wytrzymają. Kaji płakał głośno.

Everamie, modliła się. Dawco Światła i Życia. Dla Ciebie kroczyliśmy wzdłuż skraju otchłani Nie! Spraw więc, żebyśmy dotarli bezpiecznie do celu i ukończyli naszą misję.

Jakby w odpowiedzi, jeden z wielu kolczyków w uchu Ashii zaczął wibrować.

To Damajah, uświadomiła sobie.

Ashia zamarła. Była przekonana, że znalazła się daleko poza zasięgiem Inevery, i w głębi serca była z tego zadowolona. Po raz pierwszy w życiu czuła się bowiem w pełni odpowiedzialna za los własny i Kajiego.

Lekko drżącą dłonią przekręciła kolczyk, aż runy z kliknięciem znalazły się w odpowiednim ułożeniu.

– Damajah – pozdrowiła ją z szacunkiem.

– Nauczyłam się, jak zwiększyć zasięg twojego kolczyka – odezwała się Inevera. – Wymaga to jednak wielkiego skupienia oraz ogromnej magii. Nie będę tego robić często.

– Słyszę cię, Damajah, i rozumiem każde słowo.

– To dobrze – westchnęła Inevera. – Czekam na raport.

– Dotarłam do Dokowiska i spotkałam się z Mistrzem Ćwiczeń Qeranem – mówiła Ashia. – Sytuacja jest poważna. Największy żyjący Mistrz Ćwiczeń naszych czasów martwi się, że Laktończycy mogą spróbować odbić doki.

– Jestem tego świadoma – odparła Inevera. – Wydałam rozkaz wysłania posiłków.

– Ty o tym zdecydowałaś, Damajah?

– Sytuacja się tu mocno zmieniła i twój mąż nie ma tyle do powiedzenia, co wcześniej – rzekła Inevera. – Do czasu powrotu twojego wuja sprawuję pełną władzę nad Krasją.

Ashia zamrugwała. W jednej chwili zapomniała o swoim żołądku, chorującym dziecku i rozbłyskach w wodzie. Wieści ją oszołomiły.

– A więc... a więc wolno mi wrócić? – spytała cichutko.

Damajah milczała przez chwilę, aż wreszcie się odezwała:

– Musisz wykonać zadanie. Kości nie pozostawiają złudzeń. Możesz wrócić, ale tylko wtedy, jeśli wykonasz zadanie. W przeciwnym razie *Sharak Ka* zostanie przegrana.

– A więc z *khaffit* lub wcale – oznajmiła Ashia.

Wypowiedziała te słowa niczym przechwalający się *Sharum* i kiedyś zapewne popłynęłyby prosto z serca, lecz w jej umyśle wciąż rozbrzmiewały echem słowa Qerana: „Hasik ma ponad tysiąc ludzi pod swoimi rozkazami. Torturowanych, okaleczonych, sadystycznych brutali. Chcesz zabrać swojego syna, dziedzica Tronu z Czaszek, w takie miejsce?”.

Czy warto było poświęcić własne życie za *Sharak Ka*? Oczywiście. A Kajiego? Jeśli miałyby poświęcić Kajiego, by misja zakończyła się powodzeniem, wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Za nic w świecie nie mogła zdradzić synka.

Odruchowo przytuliła go mocniej.

– Gdzie teraz jesteś? – spytała Damajah.

– Na statku. W drodze do fortecy Eunuchów – odparła Ashia. – Za dwa dni wysadzą mnie na skraju zasięgu ich patroli i przeniknę przez ich linie obrony. Wślizgnę się do klasztoru i dowiem, czy *khaffit* jeszcze żyje, a jeśli tak, umożliwię jego ucieczkę.

– On żyje – rzekła Inevera.

Bez wątpienia kości zdradziły Damajah o wiele więcej, ale ta niechętnie dzieliła się swoją wiedzą, jeśli nie mogła w ten sposób nic zyskać. W ilu wizjach Ashii udawało się uciec z Kajim i *khaffit*? W ilu komukolwiek udało się uciec? Damajah za nic w świecie by jej tego nie zdradziła.

– A co z zaginionym kuzynem? – spytała Inevera.

– Wydaje mi się, że go znalazłam – odparła Ashia. – Ale nie wiem, czy można mu zaufać, i nie wiem, w jaki sposób miałby nam pomóc.

– Opowiedz mi szybko. – Głos Damajah zadrżał lekko. Uruchomienie magicznego kontaktu z osobą odległą o setki mil doprawdy wiele ją kosztowało.

– To Briar asu Relan am'Damaj am'Kaji – stwierdziła Ashia. – Jego ojciec to...

– Mój drugi kuzyn Relan – syknęła Inevera. – Kiedy zniknął, sądziliśmy, że zginął od szponów *alagai*, które porwały jego ciało.

– A tymczasem zdezerterował – wyjaśniła Ashia. – Udał się na północ z Posłańcem i zginął wraz z rodziną w pożarze dziesięć lat temu. Ludzie mówią, że jeden z jego synów przeżył, a teraz pracuje jako szpieg dla *chin*.

– A więc to ten mieszaniec, o którym pisał Qeran w swoich raportach? – odgadła Inevera.

– Ten sam – zgodziła się Ashia. – Natknęłam się na niego na trakcie. Zauważyłam, że mnie śledzi, podkradłam się więc i usiłowałam go pochwycić, ale... ale jakoś mi się

wymknął.

– I rozgryźł twój kamuflaż – zauważyła Inevera.

Ashia poczuła, jak zalewa ją gorący rumieniec. Niełatwo było przyznać się do porażki.

– Tak, Damajah. Ale podczas naszego krótkiego starcia jego zapach był... nie do pomylenia z żadnym innym.

– Cóż to za zapach? – spytała Inevera.

– *Alagai'viran* – odparła Ashia. – Demoniczny korzeń.

Inevera znów milczała przez chwilę, choć z każdą chwilą połączenie na tak wielką odległość stawało się coraz większym problemem.

– To znak od Everama.

– Znak czego? Pozostał daleko na trakcie. Nie mam pojęcia, co należałoby zrobić, żeby go znaleźć. Co więcej, nadal nie widzę powodów, żeby to robić.

Ashia usłyszała ciche szepty, których nie zrozumiała, po czym rozległ się grzechot toczących się kości.

– Nie musisz go szukać – rzekła Damajah. – On jest blisko, nawet w tej chwili.

– Kiedy znów go spotkam?

– Nie... nie mogę tego powiedzieć.

Nie możesz czy nie chcesz? – pomyślała Ashia.

– Musisz dokonać własnej oceny, siostrzenico – ciągnęła Damajah. – Podobnie jak ty, ów Briar ma rolę do odegrania w nadciągających wydarzeniach. Nie zabijaj go, dopóki jej nie odegra.



Ashia zajmowała się biednym Kajim przez resztę nocy, co uniemożliwiło jej medytację, a na godzinę przed świtem sama zapadła w sen.

Obudziła się tuż po wschodzie słońca, gdy kadłub okrętu przeszył jakiś wstrząs, a ona i Kaji wypadli z pryczy kapitana. Ashia odruchowo zasłoniła synka, przetoczyła się po podłodze i zerwała, oceniając zagrożenie.

Drzwi jej kajuty nadal były zaryglowane od środka. Wstrząs wskazywał na jakieś zderzenie, ale nie czuła dymu, nie wydawało jej się też, by okręt nabierał wody. Mimo to na dolnym pokładzie niosły się alarmowe okrzyki oraz szczęk oręża.

Zostali zaatakowani.

Zatańczyła, gdy pokład pod jej stopami znów zadrżał, ale nie straciła równowagi. Ich bulaj był ciemny.

Pospiesznie założyła czarną szatę, by upodobnić się do staruszki, i wsunęła Kajiego do nosidełka. Był blady i apatyczny, potrzebował świeżej wody i odpoczynku, jednak nie było teraz na to czasu.

– Bądź dzielny, mój synku – szepnęła do niego.

– Elny – zgodził się Kaji słabym głosem.

Włócznie miała ukryte w plecaku, ale dysponowała przecież inną bronią – nożami, szklanymi ostrzami do rzucania, którymi również można było zadać śmierć, choć w bardziej subtelny sposób.

Otworzyła drzwi i chciała wyrzucić na zewnątrz, lecz natychmiast je zatrzasnęła, gdy korytarzem przebiegło kilku *dal'Sharum*. Słyszała zamieszanie na głównym pokładzie. Gdy żeglarze znikli, Ashia ostrożnie wychynęła za nimi.

Ściany były zbyt blisko siebie, a sufit wisiał za nisko, by mogła przemieścić się niezauważenie, ale zdołała się jakoś ukryć za *Sharum* biegnącymi do bitwy. Na pokładzie wrzało ostre starcie. Do burty „Sprawiedliwości” dobił bowiem wielki laktoński okręt, z którego zeskoczyło pół setki wojowników *chin*, uzbrojonych we włócznie. Wspierali ich łucznicy, którzy celnymi strzałami przerzedzali obronę.

Ashia uniosła głowę i rozpoznała flagę, na której widnieli kobieta wpatrująca się w dal i płonący *Sharum* za jej plecami. Zostali zaatakowani przez legendarny „Lament Sharum”, którym dowodziła owiana złą sławą kapitan Dehlia.

Ashia ani myślała podążyć za *Sharum*, którzy bez namysłu rzucili się do walki, ignorując deszcz strzał. Sama rozejrzała się dokładnie i szybko zauważyła księżniczkę piratów.

Dehlia przewiązała czoło kolorową szarfą, ale nie zasłoniła ani twarzy, ani też włosów, które spływały jasnymi niczym piasek kaskadami po plecach. Towarzyszyło jej dwóch przybocznych, wysokich mężczyzn z długimi włóczniami, których zadaniem było osłanianie przywódczyni, osobiście prowadzącej atak.

Dehlia zeskoczyła na rozkołysany pokład, łapiąc równowagę tak łatwo, jakby zeskakiwała na podłogę sali treningowej. Ostrze jej krótkiego miecza było zakrzywione, dzięki czemu mogło pozostawiać długie, głębokie szramy w walce z bliskiego dystansu. W drugiej ręce trzymała podobny miecz, którego klinga poczerwieniała od krwi. Dwóch *dal'Sharum* leżało martwych za jej plecami.

Ashia wiedziała już, że opowieści na temat kapitan nie były przesadzone, niewykluczone natomiast, że nie przedstawiały całej prawdy. Chwała tej kobiety nie miała granic.

Kapitan Rahvel, łatwy do rozpoznania dzięki czerwonej przesłonie, walczył jednakże równie wspaniale. Odbijał wrogie strzały tarczą i ścinał każdego *chin*, który odważył się podejść bliżej. Zbroja zatrzymywała każde uderzenie, które prześlizgnęło się przez jego gardę.

Reszta załogi skupiła się wokół niego. Dzielni, zahartowani *dal'Sharum* zatrzymali szarżę wroga i zaciekle bronili każdej stopy pokładu. Gdyby nie łucznicy

chin, powstrzymaliby i dwa razy liczniejszy oddział, ale ostrzał był tak intensywny, że prędzej czy później musieli ulec, pomimo swych znakomitych umiejętności.

Niczym ostrze włóczyń Rahvel parł prosto ku kapitan Dehlii, niemalże od niechcienia zabijając każdego wojownika *chin*, który próbował go zatrzymać. Kapitan *chin* pokazała, że nie jest tchórzem, i skoczyła mu naprzeciw.

– On jest mój! – zawołała.

– Jestem Rahvel asu Najan am'Desin am'Kaji! – wykrzyknął w odpowiedzi Rahvel. Jego *Sharum* odsunęli się, wiedząc, że lepiej nie przeszkadzać mu w walce. Ashia już zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie nadszedł koniec owianej złą sławą pirackiej kapitan.

Krótką włóczyń Rahvela nie była zakrzywiona jak Dehlii, ale w jego rękach błyskała niczym igła doświadczonej szwaczki. Jego ciosy były szybkie i celne. Z początku Dehlia została zmuszona do parowania i cofnęła się o parę kroków, lecz zaraz zakręciła mieczem i przeprowadziła kilka szybkich wypadów. Rahvel odbijał każdy cios i nadal nacierał. Kapitan Dehlia okazała się szybka i zwinna, bez wątpienia zdobyła wielkie doświadczenie, ale Rahvel kontrolował przebieg starcia i spychał Dehlię ku kałuży śliskiej krwi na pokładzie. Potknęła się, a wówczas Rahvel wyskoczył, gotów do zadania śmiertelnego ciosu.

Powstrzymał go jeden z *chin*, który całkiem zapomniał o zasadach honoru i pchnął długą włóczyńią. Pancierz Rahvela zatrzymał jej ostrze, lecz niespodziewany atak zaskoczył Mistrza Ćwiczeń. Wszak Dehlia domagała się pojedynku, a on podjął wyzwanie i zgodnie z tradycją przedstawił się pełnym nazwiskiem. Ów wojownik, który wmieszał się w starcie i odebrał prawo do honorowej śmierci, okrył Dehlię wielką hańbą.

Wyglądało jednak na to, że *chin* miał na ten temat inne zdanie. Rahvel odwrócił się więc, ręką, na której nosił tarczę, złapał drzewce włóczni i przyciągnął wrogiego wojownika do siebie, po czym rozchlastał mu gardło. W tym momencie skoczył na niego drugi z ochroniarzy Dehlii. Rahvel zwrócił się ku nowemu przeciwnikowi, a wtedy Dehlia wykorzystwała sposobność, zahaczyła włócznią o brzeg tarczy Mistrza Ćwiczeń, odciągnęła ją na bok i wbiła mężczyźnie nóż w oko.

Rahvel odtrącił Dehlię kopnięciem, lecz drugi z przybocznych odnalazł lukę w jego pancerzu i wepchnął włócznię w bok Krasjanina. Sam zatoczył się z ostrzem Mistrza Ćwiczeń w piersi, po czym wojownik wyszarpnął broń *chin* i zakręcił nią, by odpędzić przeciwników. Potem złapał rękojeść noża Dehlii i powoli wyciągnął sobie z oka.

Obie załogi, które zamarły na moment, pochłonięte pojedynkiem dowódców, wznowiły bitwę, a na szeregi *Sharum* spadł nowy grad strzał. Dehlia okrążała zakrwawionego Rahvela i nadal próbowała przebić się przez jego gardę. Wokół nich trwała zaciepła walka.

Ashia zastanawiała się, czy się nie włączyć. Wciąż mogła stanąć u boku Rahvela i zabić kapitan piratów, ale wiedziała, że nie będzie to miało większego sensu. Mogła zabić Dehlię, lecz było to równoznaczne z końcem jej misji. Skazałaby na porażkę i siebie, i Kajiego.

Nie mogła walczyć, nie mogła też niespostrzeżenie wskoczyć do którejś z szalup i odpłynąć. Potrafiła co prawda pływać, jednak nigdzie w zasięgu wzroku nie było lądu. Skok do wody równał się więc również z samobójstwem i śmiercią Kajiego.

Czekała zatem i patrzyła, jak *chin* mordują lub zmuszają do poddania się ostatnich *Sharum*. Dopiero gdy Dehlia zadała Rahvelowi haniebną śmierć, wybiegła na pokład, zawodząc z rozpaczą. Piraci *chin* zamarli na widok

bezbronnej kobiety z dzieckiem. Nikt nie zatrzymywał Ashii, która podbiegła do umierającego Rahvela i padła przy nim na kolana.

– Everamie! – krzyknęła. – Prowadź mojego męża, zacnego Mistrza Ćwiczeń Rahvela asu Najan am'Desin am'Kaji samotną ścieżką, aby mógł wysłuchać Twojego boskiego osądu!

Kaji, nie wiedzieć, czy również wyprowadzony z równowagi, czy może zachęcony lamentem mamy, uderzył w głośny płacz. Ashia zaś nie przestawała tulić trupa.

Dehlia zawahała się, a potem postąpiła krok naprzód. Ashia dostrzegła ruch i drgnęła.

– Nie bój się – powiedziała Dehlia. – Nie skrzywdzimy ciebie ani twojego syna. Zabierzemy was do Lakton i będziemy dobrze traktować, być może lepiej niż kiedykolwiek wcześniej w twoim życiu. Nie będziesz już musiała zakrywać twarzy.

Zapłakana Ashia udawała, że nie rozumie, co Dehlia do niej powiedziała, udawała też strach, gdy patrzyła na zbliżającą się kobietę bez czci i honoru. Czy oni naprawdę uważali, że Krasjanki są tak głupie i uwierzą na słowo komuś, kto zabija jak zdrajca? Podobnie jak inne dzikusy *chin* Dehlia uważała, że noszony przez Ashię zawój to nie wyraz skromności wobec Everama, ale kajdany, z których należy ją uwolnić.

Najbezpieczniej dla niej i Kajiego byłoby poddać się piratom, jednak wyprawa do miasta na wodzie *chin* nie pozwoliłaby Ashii na ukończenie misji.

Patrzyła na Dehlię, która nadal się zbliżała. Za moment miała się znaleźć w zasięgu ciosu. W głowie Ashii pojawiła się kombinacja *sharukin*, dzięki której mogłaby pochwycić kapitan i zmusić ją do uległości, nim ta w ogóle zdałaby sobie sprawę z zagrożenia. Potem wyciągnęłaby ostrze z rękawa i przycisnęła do szyi kobiety na oczach całej

załogi.

Widziała, jaką lojalność załoga „Lamentu Sharum” okazała wobec swego dowódcy. Kapitan była dla nich ważniejsza niż honor i osąd Stwórcy. Za nic nie dopuściliby do tego, by jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Mogłaby w ten sposób zapewnić sobie i Kajiemu transport na stały ląd.

Jeszcze jeden krok...

– Pani kapitan! – zawołał ktoś.

Ashia zerknęła w kierunku głosu i ujrzała Briara Damaja, który przeskakiwał przez reling. Czyżby ukrywał się tam przez cały czas? Dehlia odwróciła się, a na jej twarzy błysnęło zdziwienie oraz wielka radość.

– Briar! – zawołała i przesadziła pokład w kilku susach. Złapała chłopaka i uścisnęła z taką mocą, że jego stopy oderwały się od pokładu. – Briar! Briar! Dzięki Stwórcy, że wróciłeś!

Ashia była gotowa zabić Dehlię, a potem przynajmniej przetrzepać skórę Briarowi, ale widok tak serdecznego powitania obudził w jej sercu ból i tęsknotę. Czy ktokolwiek choć raz tak bardzo się ucieszył, gdy ją ujrzał? Jedyne jej siostry włóczy, ale one były niczym ziarenka piasku na wietrze.

– Co ty tu robisz? – zapytała Dehlia.

– Qeran wysłał ten okręt z sekretną misją – odparł Briar ochryłym głosem. Jego słowa przypominały wręcz warknięcia. Ashia, mimo że znała thesański, ledwie go rozumiała.

– Jaką znów misją?

Briar na jedno uderzenie serca zerknął Ashii w oczy.

– Nie wiem. Ukryłem się pod pokładem, żeby się dowiedzieć.

Jeden z poruczników Dehlii, który właśnie zakończył przeszukiwanie statku, podszedł do kapitan i wyszeptał jej

kilka słów do ucha.

– W ładowniach nie ma niczego szczególnego – stwierdziła Dehlia. – Jedyne garść wojowników i żadnej broni miotającej. Wiesz, dokąd zmierzali?

– Do klasztoru.

– Chcieli przebić się przez blokadę?

Briar pokręcił głową.

– Chcieli posadzić łódź na wodzie tuż przed blokadą.

– Dlaczego? – spytała Dehlia.

Ashia poczuła narastające napięcie, ale Briar jedynie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Czekałem, aż zobaczę, kto się w tej łodzi znajdzie.

– Przykro mi, że przeszkodziłam ci w węszeniu, Briar – uśmiechnęła się Dehlia. – Ale dobrze, że znów cię mamy. Masz jakieś pojęcie, co oni planowali? Sądziłam, że nawet Dokowisko nie ma ochoty zabrać się za tego wykastrowanego potwora, który rządzi klasztorem.

Briar znów wzruszył ramionami. Celowo nie patrzył na Ashię.

– Tylko ich kapitan coś wiedział, a już nie żyje.

Dehlia zerknęła na Ashię.

– Może jego żona coś wie?

– Nic wam nie powie – rzekł Briar. – Zabiliście jej męża. Spodziewajcie się tylko tego, że jeśli ktoś zbliży się za bardzo, będzie chciała go zabić.

Piratka zmierzyła Ashię wzrokiem.

– Doprawdy? Cóż, myślę, że może uda nam się ją przekonać.

Arogancka suka, pomyślała Ashia.

Dehlia, choć ostrzeżona przez Briara, zupełnie nie doceniała Krasjanki. Tymczasem Ashia wciąż była w stanie wbić szklany pocisk w jej oko, zanim ktokolwiek zdołałby choć drgnąć. Zresztą należało jej się po tym, co zrobiła

Rahvelowi.

– Tak jak przekonaliśmy księcia Ichę? – spytał ostro Briar.

Dehlia wydawała się zaskoczona jego słowami.

– Briarze, to było co innego!

– A właśnie że nie – odparł Briar. – Wystarczy, że zdradzi, iż wie cokolwiek, a oprawcy nie przerwą, póki nie wyśpiewa wszystkiego.

– To przecież kobieta z dzieckiem! – rzekła Dehlia. – Nie pozwolę nikomu...

– Nie ty będziesz o tym decydować – przerwał jej Briar. – Dokmistrzowie oddadzą ją temu małemu człowieczkowi ze śrubami.

Dehlia założyła ramiona na piersi.

– Oni wyrządzili nam o wiele więcej zła, Briarze, i sam najlepiej o tym wiesz.

– Tak – zgodził się chłopak. – A ty zawsze powtarzasz, że jesteśmy od nich lepsi. Naprawdę tak jest?

– Dobrze – stwierdziła w końcu Dehlia. – Niech więc po prostu zostanie więźniem.

– I może wyślemy ją na wyspę więzienną? – zareagował ostro Briar. – Żeby była jedyną kobietą wśród dwustu głodujących *Sharum*?

– A więc co twoim zdaniem mam z nią począć, Briarze? Wrócić z nią do Dokowiska? – spytała Dehlia i teatralnie zasłoniła twarz dłońmi. – Och, Qeran, nie strzelaj! Mamy na pokładzie kobietę! Przywozimy ci ją, żebyś mógł narzucić na nią jeszcze kilka szat i nadal traktować jak niewolnicę!

– Oczywiście, że nie – odparł Briar. – Kapitan Rahvel ma w ładowni konia, na którym jego żona miała ruszyć w dalszą drogę. Wysadź nas na brzegu. Zaprowadzę ją do domu, a potem dam znać, że wróciłem, żebyście mogli posłać łódź.

Ashia nie wierzyła własnym uszom. Ile wiedział Briar Damaj? Po czyjej stał stronie? A może po własnej?

– Co takiego? – odezwał się któryś z marynarzy. – Teraz jeszcze konia mamy jej dać?

Wśród załogi poniosły się pomruki niezadowolenia.

– Zamknij się, Vick – warknęła Dehlia, a żeglarz zeszywniał. Kapitan rozejrzała się i dodała: – To samo tyczy się reszty z was. Jeśli ktoś jeszcze raz podzieli się opinią, o którą nie prosiłam, oberwie kopa w jaja, po którym same mu odpadną. – Następnie przeniosła wzrok na Briara. – Zupełnie mi się to nie podoba. Przecież dopiero co do nas wróciłeś!

– Tylko zajrzałem do Dokowiska! – Briar machnął ręką lekceważąco, jakby przeniknięcie przez linie obrony Krynicy Everama samo w sobie nie było wielkim wyczynem. – Wrócę, zanim się zorientujecie, że mnie nie ma.



Briar z niepokojem przyglądał się Krasjance. Nie znał jej prawie wcale, a mimo to dla niej okłamał kapitan Dehlię, jedną z jego niewielu prawdziwych przyjaciół.

– Dlaczego? – spytała po krasjańsku, by inni nie mogli zrozumieć.

Wypowiadanie słów w języku ojca nie przychodziło Briarowi łatwo.

– Naoglądałem się już dość tortur – stwierdził i ruchem głowy wskazał synka wojowniczkii. – Mały nie zasłużył sobie na życie wśród ludzi, którzy nienawidzą go za to, co zrobili jego rodacy. Wiem, jak to jest. Przechodziłem przez to przed wojną.

– Skoro mnie śledzisz, to już pewnie wiesz, że nie kieruję się do Krynicy Everama – powiedziała nieznajoma.

– Wiem – przytaknął Briar. – Masz coś do załatwienia w klasztorze. Mogę cię tam przemycić.

– Dlaczego? – Krasjanka ponowiła pytanie. – Dlaczego mi pomagasz? Dlaczego nie miałabym cię zabić, gdy staniemy na lądzie?

– Kogoś uwięzili w tym klasztorze, co? – spytał Briar. – I chcesz go wyciągnąć? Na tym też się znam.

– A wiesz, kogo tam więżą?

– A co to ma za znaczenie? – Briar wzruszył ramionami. – Nikt nie zasługuje na to, żeby go więziono.

Kobieta uniosła brew.

– Nawet *khaffit* Abban?

Briar zamarł. Znał to imię, podobnie jak każdy człowiek w Lakton. *Khaffit* szeptał trujące słowa do uszu krasjańskich przywódców. Ponoć to on opracował plan zagarnięcia osad na brzegu jeziora i był odpowiedzialny za późniejszą klęskę floty Lakton w bitwie o Dokowisko.

Czuł, że powinien powiedzieć o wszystkim Dehlii, i to zaraz. Mimo to ani drgnął. Przecież nic się nie zmieniło. Gdyby kobieta pozostała w rękach ludzi Dehlii, trafiłaby na tortury. Wpadłaby w ręce tego okropnego starego garbusa, który nosił szaty Opiekuna, nawet gdy zaciskał te swoje przekłete śruby.

Ale czy mógł jej zaufać? Briar nie miał pojęcia. Kiedyś wydawało mu się, że może obdarzyć zaufaniem Stełę, ale ona również okazała się o wiele niebezpieczniejsza, niż wydawała się na początku.

– Nie znam nawet twojego imienia.

Wokół oczu kobiety pojawiły się zmarszczki, lecz jej oblicze nadal zasłaniała tkanina, przez co nie mógł odgadnąć wyrazu twarzy.

– Ashia vah Ashan jiwah Asome am’Jardir am’Kaji. Mój

syn ma na imię Kaji.

– Jiwah Asome... – powtórzył Briar.

– Tak. – Ashia pokiwała głową. – Jestem żoną obecnego przywódcy całej Krasji, a to jest jego syn. Jesteśmy cennymi więźniami.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Briar. Miał wrażenie, że chce go sprowokować.

– Bo uważam, że gdybyś chciał mnie zdradzić, już dawno byś to zrobił – rzekła Ashia. – Ale myślę, że nie masz w sobie ducha zdrajcy.

– Nie znasz mnie – warknął Briar.

– Nie. – Ashia pokręciła głową. – Nie znam. Ale wiem, że to Everam doprowadził do naszego spotkania, kuzynie.

– Kuzynie? – Na twarzy Briara pojawiło się zaskoczenie.

– Moja teściowa to sama Damajah, Inevera vah Kasaad am'Damaj am'Kaji – wyjaśniła Ashia. – Kuzynka twojego ojca. Dziwny z siebie człowiek, synu Relana. Jest w tobie tak wiele z mieszkańca zielonych krain, ale masz w sobie ducha walki *Sharum* i niepojętą dla mnie dzikość.

Wyciągnęła rękę i złapała chłopaka za dłoń. Briar drgnął, lecz nie oswobodził ręki.

– Ale ciebie i mojego syna łączą więzy krwi i chcę cię lepiej poznać.

Minęła dłuższa chwila, nim Briar pojął jej słowa. Teściowa Ashii i kuzynka jego ojca? Kim w takim razie dla siebie byli?

„Ciebie i mojego syna łączą więzy krwi”.

Słowa Ashii rozbrzmiewały w głowie Briara, gdy spojrzał na bladego, apatycznego chłopczyka, który nadal odpoczywał w jej chuście. Kaji potrzebował odpoczynku, wody oraz opieki.

Ashia nie pomyliła się. Nie miał zamiaru jej zdradzić.



Briar poczuł, jak „Lament Sharum” wjeżdża na płyciznę i zatrzymuje się ze wstrząsem. Wraz z Ashią stali w ładowni w towarzystwie kapitan Dehlii i jej nowych przybocznych.

– Uważaj na siebie. – Dehlia podała mu wypchany plecak. – Spakowałam ci trochę jedzenia.

– Nie trzeba – odparł chłopak. – Mogę polować.

Dehlia zaoponowała.

– Jesteś przeraźliwie chudy, Briar. W środku znajdziesz więcej niż tylko jedzenie – powiedziała z uśmiechem. – Poświęć się dla kapitan Dehlii i zjedz trochę chleba z serem, co?

Briar uniósł brwi.

– Chleba?

– Tego z chrupiącą skórką – mrugnęła Dehlia. – Takiego, jaki lubisz najbardziej.

Briar uśmiechnął się szeroko i zarzucił plecak na ramię. Marynarze otworzyli wyjście z ładowni i opuścili trap.

– Ruszymy w drogę z odpływem, ale ty pewnie będziesz już wtedy daleko w drodze na południe – rzekła Dehlia. – Uważaj na siebie, bo otchłaniaki ostatnio dziwnie się zachowują tak daleko na północy.

Briar przechylił głowę.

– Jak to dziwnie?

– Pojawia się ich coraz więcej, a wśród nich gatunki, których nigdy dotąd nie widzieliśmy – odparła Dehlia. – Zabiły połowę naszych zwiadowców, ale oszczędzają zarówno klasztor, jak i podjazdy Eunuchów.

– Boją się ich runów? – spytał Briar.

Dehlia wzruszyła ramionami.

– Niewykluczone – odparła. – Ja jednak nigdy nie spotkałam otchłaniaka, który miałby na tyle oleju we łbie, żeby się bać.

Briar pokiwał głową.

– Będę uważał – obiecał.

Dehlia uścisnęła chłopaka tak mocno, że ten nie mógł złapać tchu.

– To dobrze, chłopcze, bo chcę, żebyś cały i zdrow wrócił do domu przed Nowiem.

– Wrócę. – Briar uścisnął Dehlię. Kłamstwo pozostawiło gorzki posmak w jego ustach. Potem ujął Rasę za uzdę i sprowadził po trapie na piaszczystą łachę. Ruszyli w stronę brzegu. Briar szedł zanurzony po pas, Ashii i Kajiemu w siodle nie groziło przemoczenie.

– Martwi mnie dziwne zachowanie *alagai* – powiedziała Ashia, gdy dotarli na brzeg i załoga „Lamentu” nie mogła już ich usłyszeć.

– Mnie też – odparł Briar. – Może chcą zająć klasztor?

– To by oznaczało, że interesuje się nim jakiś ksiązę demonów – rzekła Ashia. – I jeśli tak jest, zmierzamy ku wielkiemu niebezpieczeństwu.

– Przecież nie musimy – powiedział Briar. – Możemy po prostu odejść. Udać się do Zakątka czy do Fortu Rizon. Zapewnić Kajiemu bezpieczeństwo.

– Mów za siebie – odparła Ashia. – Ja i Kaji nie mamy wyboru. Bez względu na to, co mówi Damajah, chyba nigdy nie będę mile widziana w Lennie Everama.

– Znam to uczucie – rzekł Briar. – Ale w Zakątku...

– W Zakątku nie potrafili ochronić męża mojej siostry włóczni, która została wdową w wieku osiemnastu lat – przerwała mu Ashia. – Nie uchronili mojego mistrza, który zginął od pazurów *alagai*. Nigdy nie poczuję się dobrze wśród ludzi z Zakątka, gdyż wiem, ile mogliby zyskać, gdyby uwięzili mojego syna.

Briar wyrzucił ręce ku niebu.

– Ale świat jest wielki! Można zaszyć się w jakiejś małej wiosce albo udać się w góry i zbudować dla nas chatę! Wiesz, takie krzakowisko!

– Jak twój imiennik, który musiał chronić się przed nocnymi wilkami? – Ashia przechyliła głowę.

– Co? – Briar zatrzymał się jak wryty. – Przecież nikomu o tym nie mówiłem!

Była to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic Briara, cudowne wspomnienie po ojcu.

– Każde dziecko w Krasji zna historię o Briarze i krzakowisku – rzekła Ashia. – Jest też piosenka. Chcesz jej posłuchać?

Briar czuł się, jakby właśnie połknął kamień. Otumaniony potrząsnął głową.

– Dziś wieczorem zaśpiewam ją dla ciebie i Kajiego – obiecała Ashia. – A misję muszę wykonać. Nie mogę porzucić swojego ludu i schować się w lesie. Tak postępują samolubni *chin*, którzy już dawno temu wyparli Everama ze swoich serc. Mamy rolę do odegrania w *Sharak Ka*, i to już niedługo. Czeka nas wędrówka po krawędzi Otchłani i miejmy nadzieję, że Everam nas poprowadzi.



24

Pierwsze kroki

334 ROK PLAGI

Gdy tylko oddalili się nieco od jeziora, Briar poprowadził Ashię ku mokradłom, gdzie ujrzeli sędziwe, chylące się ku ziemi drzewo obrosnięte gęstym zagonem *alagai'viran*. Ziele zapuściło nawet korzenie w korze drzewa i wyrastało prosto z pnia.

– Tutaj – rzekł Briar.

Ashia pokręciła głową.

– To niemożliwe. Tu jest nazbyt wilgotno.

– Zaufaj mi – uśmiechnął się Briar.

Ziemia była miękka i zapadała się pod kopytami Rasy, ale Briar przemykał po niej niczym owad po wodzie, zostawiając jedynie ledwie zauważalne ślady. Gleba naokoło samego pnia, związana gęstą siecią starych

korzeni, była nieco twardsza i suchsza, ale na tak małym spłachetku wystarczyło miejsca tylko dla konia.

Briar przywiązał uprząż do pnia i zawołał:

– Chodź za mną!

Bez trudu wspiął się po pniu i szybko znikł wśród konarów. Ashia przez moment spoglądała za nim, po czym wzruszyła ramionami i poszła w jego ślady.

Briar nie wspiął się zresztą wysoko, gdyż masywne gałęzie zaczynały się rozrastać i dzielić tuż nad jego głową. Przypominały cztery ogromne palce, a miejsce, gdzie się zbiegały, wyglądało jak zagłębienie dłoni. Było tam wystarczająco dużo miejsca dla nich trojga, a gęste listowie i zagon lubczyku chroniły ich równie skutecznie jak każdy runiczny krąg.

Briar uśmiechnął się i zdjął plecak.

– I mamy chleb!

Jego uśmiech był zaraźliwy i Ashia parsknęła śmiechem. Zdjęła Kajiego z pleców i wyswobodziła z nosidełka. Choroba morska ustąpiła z chwilą, gdy zeszli na ląd, ale Kaji nadal był słaby, głodny i odwodniony.

Briar w milczeniu przyglądał się, jak Ashia zmienia synkowi brudne bido. Potem nakryła się szalem, odchyliła połą szaty i przysunęła dziecko do piersi. Młodzieniec aż podskoczył, niespodziewanie uświadamiając sobie, co zaraz nastąpi. Pospiesznie się odwrócił, a Ashia zamknęła oczy i zaczęła śpiewać:

*Nocny wilk przybył do krzakowiska,
szpony jak włócznie, kły niczym noże.
Nocny wilk przybył do krzakowiska,
lecz Briar bać się nie może.*

*Ciernie są długie
i nie jest ich mało,*

*kłują i ranią,
szarpią wilcze ciało.*

*Nocny wilk przybył do krzakowiska,
szpony jak włócznie, kły niczym noże.
Nocny wilk przybył do krzakowiska,
lecz Briar bać się nie może.*

*Wilk wił się i szarpał,
lecz gałęzie nie puściły.
Briar chwycił za kamień
i rzucił z całej siły.*

*Nocny wilk przybył do krzakowiska,
szpony jak włócznie, kły niczym noże.
Nocny wilk przybył do krzakowiska,
lecz Briar bać się nie może.*

Briar nie zdołał stłumić szlochu. Skulił się i objął ramionami kolana, drżąc na całym ciele. Ashia, nie wiedząc, jak zareagować, przestała śpiewać, a wyczerpany doznaniem Kaji zasnął wpity w jej pierś. Ashia delikatnie wyswobodziła sutek i ułożyła synka na tarczy, a kiedy odwróciła się ku Briarowi, ten już znikł.



Briar popędził w noc, lecz nie odbiegł daleko. Nie sądził, że śpiew poruszy go do tego stopnia, ale gdy Ashia zaczęła nucić, chłopak przypomniał sobie, że przecież zna tę piosenkę. Śpiewał mu ją ojciec. Jak mógł zapomnieć coś tak

ważnego? Równie dobrze mógł zapomnieć o wschodzącym słońcu!

– Błotko! – Uszczypnął się w pierś. – Nawet nie pamiętasz ich twarzy!

Krażył dookoła, zatrzymując się, by tu i ówdzie zająć się krzakowiskiem, a gdy ochłonął, wrócił do drzewa. Rasa nadal była osiodłana i skubała lubczyk.

W pierwszej chwili go to zaniepokoiło – wszak zwierzę pożerało jego system obronny! – ale koń musiał coś zjeść, a całemu krzakowisku przecież nie dałby rady. Niebezpieczeństwo było znikome, a podróżowanie z koniem, który pachniał lubczykiem, miało swoje dobre strony. Demony będą się trzymać od niego z daleka.

Koń parsknął, gdy Briar się zbliżył. Zwierzęta zazwyczaj za nim nie przepadały, a jemu po prawdzie było to całkowicie obojętne. Konie robiły się przecież nieprzewidywalne, gdy pojawiały się otchłaniaki, a Briar ufał swoim dwóm stopom bardziej niż czterem kopytom rumaka.

– Spokojnie, malutka – rzekł i pogładził Rasę po karku, a potem zdjął jej siodło i zaczął wyczesywać sierść.

– Przepraszam! – dobiegł z góry głos Ashii.

Briar nie przestawał pracować.

– Nie masz powodu, żeby przeproszać. Po prostu... po prostu zatęskniłem za rodziną i tyle.

– Rozumiem – ciche słowa Ashii spłynęły spomiędzy konarów. – Kiedyś też tak się czułam, ale uświadomiłam sobie, że tęsknię za domem, który nigdy naprawdę nie istniał.

– Mój istniał – odparł Briar. – Póki go nie spaliłem.

– Czytałam w raportach, że twoja rodzina zginęła w pożarze – rzekła Ashia. – Ale to przecież nie twoja wina.

– Moja, jak najbardziej. Sam rozpaliłem ogień. Sam go rozdmuchałem. Komina też ja zapomniałem otworzyć.

– To przypadek – stwierdziła Ashia.

– Zabiłaś kiedyś własną rodzinę przez przypadek? – spytał z goryczą Briar.

Przez długą chwilę nad jego głową trwało milczenie.

– Niecałą rodzinę.

Briar wdrapał się między gałęzie. Ashia spojrzała mu w oczy i nie odwracała spojrzenia przez chwilę. Nie chciała go przytulić i pocieszyć jak Dehlia czy Elissa, nie całowała go i nie obłapiała jak Stela. Po prostu patrzyła mu w oczy, obecna dla niego.

– Jesteśmy tu bezpieczni – oznajmił, gdy cisza zaczęła się przedłużać. – Dobrze by było odpocząć.

Wiedział, że Ashia aż się pali, by kontynuować misję. Prawdę powiedziawszy, on również, ale nie mogli myśleć tylko o sobie. Krasjanka pokiwała głową.

– Kaji jest nadal słabiutki. Będzie potrzebował dnia bądź dwóch na odpoczynek. I trochę twojego chleba z chrupiącą skorupką, jeśli będziesz chciał się podzielić.

– Pewnie – zgodził się Briar. – Mogę w tym czasie przeprowadzić zwiad. A potem?

– A potem ruszymy na północ – rzekła Ashia. – Czy... czy masz może jakieś inne krzakowiska po drodze?

– I to niejedno.

Klasztor Nowego Świtu od wielu miesięcy był główną kwaterą operacji laktońskich oddziałów, ale Briar nigdy nie czuł się dobrze za murami.

– *Khaffit* jest ciężki – powiedziała Ashia. – I kulawy. Będziemy potrzebować wielu kryjówek w drodze do Krynicy Everama. Przecież oprócz *alagai* będą nam również grozić Eunuchy.

Briar pokraśniał.

– Jasne. Da się zrobić. Trzeba będzie paru tygodni, żeby je porządnie przygotować.

– Przygotowanie to klucz do sukcesu. – Ashia

wypowiedziała słowa, które Enkido wbił im do głów z takim przekonaniem, że teraz uważała je za własne.



Kaji zaklaskał, gdy Briar wspiął się między konary. Po całonocnym odpoczynku na policzki chłopca znów wróciły rumieńce, odzyskał też energię i radość z życia.

– Mród! – oznajmił chłopczyk i zacisnął palce na nosie.

Ashia była przerażona, gdy jej synek zrobił to po raz pierwszy, ale szybko przekonała się, że to Briar nauczył go i słowa, i gestu. Zachichotała, gdy Briar zacisnął palce na własnym nosie.

– Smród! – zagęgał.

Kaji roześmiał się i znów zaklaskał.

– Chcesz wracać na konia? – spytał Briar.

– Nie – padła odpowiedź.

Było to ulubione słowo Kajiego. Zawierało w sobie moc, której na próżno szukać w innych, i posługiwał się nim niczym tyran.

– Czyli wolisz iść?

– Nie.

– Mama ma cię ponieść?

– Nie.

– Ja mam to zrobić?

– Nie.

– Chcesz tu zostać?

– Nie.

– A może głodny jesteś? – uśmiechnął się Briar.

Kaji się zawahał. Gdy Ashia zadawała to pytanie, miała na myśli swoje mleko, ale w ustach Briara oznaczało chleb.

– Lebek? – upewnił się.

Briar wyciągnął mały bochenek, lecz trzymał go poza zasięgiem malca.

– Chcesz trochę?

Ashia widziała rozterkę na twarzy Kajiego, który miał wielką ochotę dalej się sprzeciwiać, ale właśnie sobie uświadomił, że jest głodny. W końcu żołądek wygrał i chłopiec wyciągnął rączki.

– Cesz!

Widząc ich obu razem, Ashia czuła ucisk w sercu. Kto by pomyślał, że zdrajca pół-*chin* okaże się lepszym rodzicem dla jej syna niż jego własny ojciec?



Mokradła były rozległe, ale Briar dobrze je znał i prowadził po ścieżkach na tyle suchych, że nawet kopyta Rasy się nie zapadały. Mimo to często musieli przedzierać się przez gęstą roślinność, co wykluczało szybszą podróż. Ashia zeskoczyła z konia i szła obok Briara. W dusznym, gorącym powietrzu uwijały się roje komarów, które znikwały dopiero po zmroku. Ashia nie zdejmowała zasłony z twarzy, a Kajiego osłoniła ochronną magią.

Briar przeżuwał łądzkę *alagai'viran*. Ashia tak dalece przyzwyczaiła się już do jego zapachu, że rzadko kiedy zwracała na niego uwagę, ale na myśl o zjedzeniu choć liścia demonicznego ziała robiło jej się niedobrze. Briar zauważył wyraz jej twarzy i wyciągnął garść świeżych liści.

– Spróbuj.

Ashia pokręciła głową.

– Nie rozumiem, dlaczego ty to jesz.

Briar wzruszył ramionami i wrócił do żucia.

– Da się tym napęlić żołądek, gdy polowanie się nie

uda. Co więcej, odpędza otchłaniaki. Bywa, że te w ogóle cię nie widzą.

Ashia pamiętała ich pierwsze spotkanie. Szukała Briara za pomocą światła Everama, ale niczego nie zauważyła. Czyżby spoglądała w złe miejsce, czy chodziło tu o coś więcej?

Ciemność pod drzewami nie była całkowita, ale Ashia zdołała pobrać nieco magii zmagazynowanej w swoich *hora* i uruchomić runy widzenia na hełmie skrytym pod jedwabnym zawojem.

Świat wokół nich zapłonął magią. Jej blask był esencją życia, a tu, na bagnach, jaśniał szczególnie. Światło tętniło w jeziorkach, śpiewało pośród gęstej roślinności, wisiało wokół prastarych, pochylonych drzew. Nawet błoto mieniło się lekko, tętniąc życiem zbyt drobnym, by dało się je dostrzec.

Mimo to Briar, którego ciało, włosy i ubranie powalał sok z lubczyku, na ich tle wydawał się wręcz ciemny. Jego emanacja była tak słaba, że przywodziła na myśl umierającego człowieka.

Wyjątkiem były tylko oczy, które lśniły niczym u kota w środku nocy, zdradzając ogromną moc. Nie wiedzieć jak, demoniczny korzeń maskował magię chłopaka.

– Może jednak spróbuję? – oznajmiła Ashia.

Sięgnęła po łyżkę i ugryzła. Skrzywiła się, czując gorycz, ale w życiu nie tylko to jedno smakowało gorzko. Enkido nauczył wojowniczkę, jak znosić o wiele gorsze rzeczy.



Minął ponad tydzień, a Ashia, Briar i Kaji wędrowali od

jednego krzakowiska do drugiego. Niektóre okazały się tylko nieźle usytuowanymi obozowiskami, które oferowały dobrą widoczność, choć same były trudne do zauważenia. Inne zaś mistrzowskimi kryjówkami, które idealnie zlewały się z otoczeniem, dając wygodę, przestrzeń i bezpieczeństwo. Wszędzie rosło mnóstwo *alagai'viran*.

Ostatnie krzakowisko było polanką na niewielkim wzniesieniu. Podobnie jak wszystkie kryjówki Briara, w pierwszej chwili nie wydawało się niczym szczególnym. Wzgórek pozwalał odpocząć od błotnistych ścieżek naokoło i miał dobrą widoczność we wszystkich kierunkach, ale nie był na tyle wysoki, by sam w sobie przyciągał uwagę. Dopiero na szczycie Ashia zauważyła kolisty zagon demonicznego ziela, zbyt równy, by mógł być dziełem przypadku.

– Zazwyczaj po prostu kładę się i leżę – powiedział Briar.

– Otchłaniaki mnie nie widzą, ale ja widzę wszystko. Zresztą za dużo tu lubczyku. Nie podchodzą blisko.

– Mimo to rozłożę kręgi – rzekła Ashia. – Na tych mokradłach roi się od *alagai*. W Krasji nigdy nie ma ich aż tyle na niezamieszkałych obszarach.

– Tutaj też nie. – Briar pomógł jej rozłożyć krąg. – Nigdy dotąd tyle ich nie widziałem. Ogniaki, wichrzaki, wielkie skalniaki i drzewniaki. Rzadko tu zachodziły jak dotąd. Co ciekawe, niczego nie robią. Nawet nie polują. Snują się tylko to tu, to tam.

– Za dwa dni nastanie Nów – odparła Ashia. – Jeśli powstanie Alagai Ka lub któryś z jego książąt, odnajdzie armię czekającą na rozkazy. Dobrze by było znaleźć lepsze schronienie i tam przeczekać najciemniejsze noce.

– Znam takie miejsce. – Briar rozniecił ogień. – Trzeba trochę odbić od szlaku, ale jest tam bezpiecznie.

„Tu jesteśmy bezpieczni przed atakiem sił Nie” – opowiadał im Enkido o Podpałacu *dama'ting*, jednak

ukrywanie się za runami zawsze Ashię irytowało. Została wychowana i wyszkolona, by walczyć twarzą w twarz.

„Dobry *kai* to cierpliwy *kai*” – nauczał Enkido. Napastnik wygrywał bitwy, gdy miał możliwość wybrania miejsca i czasu na uderzenie. Podczas Nowiu nie było o tym mowy.

– Trzeba walczyć, kiedy nie ma innego wyjścia. – Briar napełnił kociołek wodą i wsypał do niego surowych liści lubczyku, po czym powiesił naczynie nad ogniem. Ashia wyswobodziła Kajiego i przysunęła do piersi. – A nie kiedy masz na to ochotę.

– Czy to aż tak widać w moich oczach? – spytała Ashia.

– Napatrzyłem się na takie spojrzenia – odparł Briar. – Napatrzyłem się na ludzi, którzy tylko się rwali do walki, bo nie mogli się doczekać tej, która ma kiedyś nadejść bądź nie.

– To sposób myślenia *Sharum*.

– Ale ja nie jestem *Sharum*. A Opiekunowie zawsze mówili, że należy dawać ludziom pokój.

– Ci, którzy dają pokój *alagai*, kończą rozszarpani na strzępy – stwierdziła Ashia.

– Walczę, gdy jestem zagnany w kozi róg – odparł Briar.

– Ale lepiej, żeby demony w ogóle nie wiedziały, że jestem w pobliżu.

Briar dodał zabiego mięsa, ale zupa z *alagai'viran* pozostała gorzka. Mimo to Ashia zjadła wszystko. Jeśli mieli zakończyć misję powodzeniem, potrzebowali każdej możliwej przewagi. Już czuła zapach demonicznego ziela w swoim pocie, oddechu i nawet w smaku mleka. Bała się, że Kaji nie będzie chciał jeść, ale chłopiec bywał na ogół zbyt głodny, by cokolwiek kwestionować.

Było już blisko do Nowiu, przez co demony wykazywały większą aktywność. Ashia widziała w świetle Everama, jak czają się w ciemnościach. Widok ich niewielkiego ogniska przyciągał uwagę potworów i choć większość zniechęcała się

na widok zagonów lubczyku, jeden przedsiębiorczy demon bagienny pochwycił gałąź i zaczął tłuc na prawo i lewo, kładąc rośliny niczym żniwiarz. Briar złapał tarczę i włócznię, po czym zerwał się na nogi.

– Zabijając go runiczną bronią, narobisz tylko hałasu – powiedziała Ashia. – I przyciągniesz inne.

– Tłukąc w runy, również zaalarmuje pozostałe. – Briar zawiesił tarczę na plecach. – Odciągnę go.

Ashia nie wątpiła, iż potrafi tego dokonać, ale w sercu czuła niepokój, który doradzał jej rozwagę. Postanowiła więc sięgnąć po metodę zgodną z filozofią Briara.

– Ja to zrobię – rzekła.

– Z Kajim w ramionach?

Ashia uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać „Pieśń o Nowiu”. Wraz ze swymi siostrami włóczni wykonywała tę pieśń tysiąc razy pod czujnym okiem nauczycielki *dama'ting*, ale brzmiała ona inaczej, gdy jej siostra śpiewała ją dla Shar'Dama Ka w dniu swego ślubu z Minstrelem z zielonych krain. Już wtedy Ashia wyczuła w pieśni wielką moc, a później poznała od swojej siostry więcej ukrytych w niej tajemnic. Wiedziała, że każdy wers miał własny rytm, własny ton i własną moc. Niektóre czyniły śpiewającego niewidzialnym dla demonów, inne je odpędzały, a jeszcze inne zadawały im ból bądź mieszały we łbach. *Alagai* wciąż znajdował się daleko, ale dla Ashii odległość nie stanowiła problemu.

Bagienny demon nadal przedzierał się przez gęstwinę *alagai'viran* i zbliżał do runicznego kręgu, gdy pieśń Ashii zaczęła go odpychać. Wówczas Krasjanka obróciła kamienie w naszyjniku, by wyzwolić moc kryjącą się w jego *hora*. Odpowiednie konfiguracje runów mogły uczynić wojowniczkę absolutnie niesłyszalną bądź ponieść głos daleko, mogły pomóc jej usłyszeć odgłosy z oddali lub też wyciszyć coś pobliskiego.

Pieśń nabierała mocy i spychała demona drogą, którą pokonał. Gdy *alagai* znalazł się poza kręgiem demonicznego ziela, Ashia rozpoczęła kolejny wers, który go zmylił, a potem dodała jeszcze jeden, który zamaskował ich obóz. Demon potrząsnął łbem. Wyglądało na to, że traci ich z oczu – rozglądał się, niczego nie dostrzegając, po czym odwrócił się i odszedł. Ashia śpiewała zaś coraz ciszej, aż zamilkła.

Briar wpatrywał się w dziewczynę z oszołomieniem.

– Widziałem już taką magię w Zakątku, na pogrzebie Bezpalcego. Śpiewały dwie Krasjanki.

Kaji zasnął, Ashia ułożyła go w tarczy niczym w kołysce.

– To moje kuzynki Amanvah i Sikvah. Wraz ze swoim czcigodnym mężem zostały dotknięte przez Everama, a ja jedynie muskam palcami powierzchnię ich mocy.

Coś przykuło uwagę Briara. Odwrócił się i wbił wzrok w ciemność. Ashia stanęła przy nim.

– Co się dzieje?

– Spójrz! – Briar wskazał drzewnego demona, większego i silniejszego od tych, które spotykano na mokradłach. – Ten otchłaniak lezie za nami.

– Jesteś pewien? – spytała Ashia.

Demon nie wydawał się nimi zainteresowany.

– Tak – odparł Briar.

Ashia zmrużyła oczy i przyjrzała się *alagai* w świetle Everama, by dostrzec, jak układa się wokół niego magia. Udawał obojętnego, ale jego aura mówiła coś innego. Potwora nie interesowało nic poza nimi.

– Chyba masz rację – zgodziła się Ashia. – Powinniśmy go zabić. Zostań z...

– Nie – rzucił Briar, który z włócznią w ręku wyskakiwał już z kręgu. – Ja się tym zajmę!

Ashia zacisnęła usta. Przyzwyczała się do tego, że to ona wydaje polecenia, ale Briar był samoistnym żywiołem. Co

więcej, choć wiedziała, gdzie ma patrzeć, po chwili straciła go z oczu wśród *alagai'viran*. Mignął jej tylko raz, gdy znikał między drzewami. Demon zaś w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że zauważył zniknięcie chłopaka. Nie było śladu ani w jego zachowaniu, ani też w aurze.

Po chwili w oddali rozległ się krzyk. Demon przechylił łeb, a potem odwrócił się i pognał w kierunku źródła dźwięku. Kilka oddechów później noc rozjaśniły błyski, a ciszę rozdarły wrzaski. Starcie miało miejsce zbyt daleko, by Ashia mogła cokolwiek dostrzec, ale błyski i wrzaski ciągnęły się, a w jej serce powoli wstępował lęk. Gdyby Briarowi udało się zaskoczyć demona, nawet wielkiego, powinien szybko się z nim rozprawić. Nikt nie był przecież na tyle szalony, by toczyć długi pojedynek z tak wielkim *alagai*. Demony wszak się nie męczyły.

Walka przedłużała się tymczasem w nieskończoność, Ashia poderwała się i machnęła rękami, by wysunąć ostrza swych krótkich włóczni. Jej mięśnie aż krzyczały. Chciała wyskoczyć i pomknąć na pomoc Briarowi. Chciała rzucić wyzwanie *alagai*.

Ale nie mogła pozostawić Kajiego, który leżał w środku kręgu. Co by się z nim stało, gdyby Ashia i Briar zostali zabici?

Walka nadal trwała i Ashia wreszcie podjęła decyzję. Sięgnęła po plecak, w którym nosiła dziecko. Jeśli czekała ich śmierć, zginą razem.

Naraz zapadła cisza. Ashia drżała, wpatrując się w ciemność. Dziesięć oddechów. Dwadzieścia. Podniosła plecak i zaczęła go zapinać.

– Ashia! – Briar wyłonił się z mroku. Szedł ścieżką wyciętą w lubczyku przez bagiennego demona. – To nie był zwykły otchłaniak. Musisz go zobaczyć.

Ashia zerknęła na Kajiego, który nadal spał w jej tarczy.

– Nie żyje?

– Tak – odparł Briar. – Droga wolna, ale trzeba się pospieszyć.

– Niech mnie Everam przeklnie!

Ashia uniosła swe włócznie i pochylona ruszyła w ślad za nim, aż dogoniła go przy drzewach.

– Briar! Na Everama, powiedz mi...

Briar odwrócił się ku niej. Stał po nawietrznej, ale mimo to chłodny podmuch wiatru nie przyniósł ani śladu zapachu demonicznego korzenia.

Kolejnego ostrzeżenia nie było. W okamgnieniu zmiennokształtny demon zamachnął się ramieniem, które błyskawicznie rozciągnęło się w mackę zwieńczoną rogowym ostrzem. Ashia odskoczyła w ostatniej chwili. Ocaliła ją zbroja. Nachodzące na siebie płytki z runicznego szkła odbiły cios, ale dziewczyna poczuła, jak warstwy jedwabiu, na których zostały naszyte, rwą się i pękają. Drugiego ciosu w to samo miejsce już by nie przeżyła.

Szkolenie wpojone przez Enkido natychmiast przyszło Ashii w sukurs. Wykorzystała pęd, jaki nadało jej uderzenie, by odtoczyć się poza zasięg demona i przybrać pozycję do walki. Poczowała wibracje, gdy macki dwukrotnie uderzyły w miejsce, gdzie znajdowała się jeszcze przed chwilą, ale unikała ich z wprawą. Krążyła wokół bestii, celując w nią ostrzami.

Wystrzeliła kolejna macka, Ashia ugięła się niczym palma targana wiatrem i chlasnęła ją ostrzami włóczni. Buchnęła jucha, a odcięty kikut padł na ziemię. Wojowniczką zaś przypadła bliżej i wbiła broń w tułów demona.

Ten zawył głośno, gdy magia zaczęła uchodzić z niego i wpływać w ciało dziewczyny. Ashia uniosła głowę, by ujrzeć, jak z jego ślepiów odpływa światło, ale potwór jedynie charknął i plunął na dziewczynę.

Ogniste plunięcie było jedną z najgroźniejszych broni

w arsenale *alagai*, gdyż oblepiało ciało niczym żywica, a paliło mocniej od pieca. Ashia instynktownie się cofnęła, choć runy na jej biżuterii rozgrzały się i zamieniły plunięcie w chłodny powiew.

Demon wykorzystał ten moment, by zmienić kształt. Ashia, wiedząc, że chwila wytchnienia zaraz się skończy, zerknęła w stronę wzgórz. Z przerażeniem ujrzała, że z okolicznych lasów wyłaniają się zatrważająco liczne hordy demonów. Te, które szły na czele, trzymały długie kłody i wymachiwały nimi, skutecznie kosząc zagon. Syczały ze złością, deptając po ściętych ziołach, ale nie poddawały się i zbliżały do Kajiego.

Ashia odwróciła się i popędziła w stronę wzgórza, bojąc się, że kiedy horda zgęstnieje, nie zdoła się już przecisnąć. Zdażyła zrobić zaledwie kilka kroków, gdy wokół jej kostki zacisnęła się macka i przewróciła ją szarpnięciem. Ashia, padając, wykorzystała energię szarpnięcia, by zamachnąć się długim ostrzem włóczni. Odrąbana macka zwisała martwa, Ashia strząsnęła ją i poderwała się, przybierając postawę obronną.

Zmiennokształtny był mniej więcej w postaci drzewnego demona. Zrezygnował już z macek swego wodnego kuzyna na rzecz potężnych ramion przywodzących na myśl konary. Stanowiły w istocie straszliwą broń, a wieńczące je pazury były niczym zaostrzone pale, ale ogromny *alagai* nie mógł nadążyć za drobną Ashią, której szybkość zwiększyła wchłonięta magia. Wojowniczką przemknęła między opadającymi szponami i przypadła bliżej demona, by wrazić w niego obie włócznie. Ostrza zaskrzyły magią, a Ashia poczuła, jak część mocy wpływa w jej ciało.

Miała ochotę na więcej, ale musiała się spieszyć. Wyrwała włócznie i odtoczyła się poza zasięg ciosów zmiennokształtnego, który zamachnął się z taką furją, że uderzył w siebie i zawył z bólu.

Udało jej się znaleźć kilka kroków bliżej Kajiego, gdy demon znów ją dopadł. Zmuszona była odwrócić się ku niemu, dostrzegła też, że inne opadły już krąg i testowały wytrzymałość runów. Magiczne refleksy przemykały wzdłuż bariery niczym krople rosy spływające po pajęczynach.

Zmiennokształtny zaatakował bez litości. Jego sękaty ramiona niespodziewanie rozgałęziły się i naraz zamiast dwóch pojawiły się cztery. Ashia nachyliła się pod jednym, uskoczyła przed drugim, sparowała trzecie, ale czwarte uderzyło ją w plecy. Zbroja wytrzymała cios, lecz dziewczyna poczuła, że przynajmniej jedno żebro pękło od siły uderzenia.

Demon natarł ponownie, jednak tym razem Ashia okazała się szybsza. Niczym w tańcu wyminęła wszystkie cztery spadające ramiona potwora i przygotowała się do miażdżącego kontrataku, gdy cztery ramiona nieoczekiwanie przerodziły się w osiem. Demon zawirował, a jego ramiona migały szybciej, niż oko mogło za nimi nadążyć. Ashia działała instynktownie – odbijała ramiona *alagai*, aż te zaczęły się ze sobą plątać, a sama cofała się, aż dotarła do demonów mrowiących się wokół kręgu. Te, które znajdowały się najbliżej, odwróciły się ku niej, a wówczas zmiennokształtny ponownie zaatakował.

Wojowniczką uświadomiła sobie, że pomniejsze *alagai* stoją nieruchomo i odcinają jej drogę. Nie miała więc wyboru i przystąpiła do wściekłego ataku. Chlastała demona i kawałek po kawałku rozrąbywała jego ciało. Zmiennokształtne potrafiły zaleczyć niemal każdą ranę, która nie była śmiertelna, ale nie mogły regenerować odrąbanych części ciała.

Może jednak Ashia była w stanie go zmęczyć?

Przez zgiełk bitwy przedarł się znajomy pisk. Ashia zerknęła za siebie i ujrzała Kajiego, którego rozbudziły ryki

demonów i trzask magicznych wyładowań. Chłopczyk rozkołysał tarczę i wyturlał się z niej, wciąż zakutany w kocyk.

A wówczas zrobił coś niezwykłego.

Wstrząśnięta i zarazem dumna patrzyła, jak Kaji po raz pierwszy w życiu staje na własnych nóżkach i chwiejąc się, rusza przez obóz, prosto ku rozbłyskującym runom.

– Uny! – zawołał, a Ashia nigdy dotąd nie poczuła tak wielkiego przerażenia.

Chwila nieuwagi słono ją kosztowała. Zmiennokształtny skoczył na nią i przygwoździł do ziemi. Ashia zmagала się z rozpaczą, ale mimo że jej siłę spotęgowała magia, nie była w stanie odrzucić o wiele cięższego od siebie potwora. Nie walczyła przeciw ze zwykłym, bezmózgim *alagai*. Ten potwór potrafił walczyć. Rozchyłał paszczę coraz bardziej, aż prawie pochłonął jej głowę. Na oczach wojowniczkę z twardniejących dziąseł wyrastały nowe rzędy zębów.

Ashia nabrała tchu i uczyniła jedną jedyną rzecz, która jej pozostała. Wrzasnęła.

Nie był to jednak krzyk przerażenia czy bólu. Jej wrzask zawierał w sobie najczystsza esencję z tego wersu „Pieśni o Nowiu”, który zadawał demonom fizyczny ból. Nie mogąc śpiewać jak należy, wyrzucała z siebie strumień ostrych, nieprzyjemnych nut i rozsiewała je dookoła siebie.

Reakcja potworów była natychmiastowa. Drzewne i bagienne rozpierzchnęły się i nawet zmiennokształtny poluźnił napór, instynktownie przyciskając kończyny do łba. Ashia straciła jedną ze swoich włóczni, próbując się wyrwać, ale zdołała odrzucić demona kopnięciem i ruszyła biegiem w górę zbocza, torując sobie drogę wrzaskiem. Wolną ręką zerwała zasłonę z twarzy i przesunęła runy na naszyjniku, dodając pieśni więcej mocy.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Pień drzewa, wyszarpnięty z ziemi równie łatwo, jak dziecko nabiera garść piasku, trafił Ashię w plecy, zanim dotarła do Kajiego. Uderzenie wybiło jej oddech z płuc, a gdy chciała nabrać kolejny, niemalże się nim udławiła. Pieśń się urwała.

Mimo to instynkt znów zadziałał. Wojowniczką odruchowo przetoczyła się, a zbroja zamortyzowała częściowo potężne uderzenie. Ashia szybko odzyskała równowagę i wylądowała tuż przed swoim synkiem, który kołyszając się, zmierzał ku tragedii.

Zmiennokształtny bezwzględnie wykorzystał ten moment. Skoczył na Ashię i znów przygwoździł ją do ziemi. Ashia odkaszlnęła i rozchyliła usta, ale demon zatkał jej macką, a potem uniósł odnóże i wysunął z niego pazury ostre niczym noże.

Wtem z jego podbrzusza wystrzeliło jaśniejsze magią ostrze włócznie, a Ashię obryzgała jucha. *Alagai* wrzasnęła i poluźniła nieco uchwyt. Ashia zdołała nabrać tchu, ale nie miała siły mu się wyrwać.

Jak spod ziemi pojawił się Briar, który wbiegł po plecach potwora i założył chwyt *sharusahk* na jego łeb. Dłonie chłopaka jaśniały od magii. Zmiennokształtny miotał się i kłapał szczęką, ale nic to nie dawało. Ashia widziała, jak potwora przeszywają spazmy bólu, gdy dłonie Briara słały kolejne fale miazdzącej magii przez jego czaszkę.

Ciało demona zaczynało zatracać kształty, a kończyny trzymające Ashię zwiotczały. Wojowniczką targnęła się i zdołała uwolnić, a wtedy złapała za włócznie i zaczęła go kłuć i rąbać, wykorzystując to, że potwór nie dawał już rady regenerować obrażeń.

Naraz za jej plecami strzeliła magia i rozległ się wrzask. Któryś z demonów rzucił się na Kajiego i oszołomiony odbił od bariery, a chłopiec zatoczył się i usiadł na pupę.

– Biegnij! – krzyknął Briar.

Kaji zaczął płakać, i zaraz przestał na widok nadbiegającej Ashii.

– Mama! – zawołał.

Znów się podniósł, tym razem z większą łatwością, i wyciągnął ku niej rączki. Ashia wskoczyła w krąg i wreszcie mogła go przytulić.

– Synku! Synku mój! Już jestem z tobą! – Ucałowała jego główkę. – Już jestem przy tobie!

Wepchnęła Kajiego w nosidełko i zarzuciła je sobie na plecy. Przekręciła drzewce ocalałej włóczni i przedłużyła ją o połowę, po czym złapała tarczę.

Naraz Briar krzyknął z bólu. Ashia ujrzała, że zmiennokształtny oplótł chłopaka macką zwieńczoną rogami. Z ciała demona buchały kłęby trującej pary. Nie mogąc dłużej wytrzymać naporu dłoni Briara, oderwał go od siebie i cisnął do wnętrza runicznego kręgu. Młodzieniec zaplątał się w połączone sznurem runy i niespodziewanie otworzył wielką lukę w ich systemie obronnym.

Zmiennokształtny wykorzystał tę chwilę, by przegrupować swoich podwładnych. Trzy inne demony utworzyły wokół niego kordon. Wypchnął z siebie włócznię Briara, a jego ciało na powrót stwardniało, ale Ashia nie miała wątpliwości, że jego magia przygasła. *Alagai* słabł.

Rasa zarżała z przerażeniem, gdy demony wtargnęły w lukę, po czym wyrwała z ziemi palik, do którego była przywiązana, stanęła dęba i pomknęła w noc. Przez moment wiele wskazywało na to, że uda jej się uciec, ale pół tuzina demonów zawróciło i pognało za nią. Dzikie rzenie rozrywanej na strzępy klaczy brzmiało niemalże po ludzku.

Jako pierwsze do kręgu wtargnęły dwa demony bagienne, ale Ashia rozprawiła się z nimi bez litości. Zepchnęła pierwszego z nich na drugiego, a wówczas dźgnęła drugiego włócznią w serce. Obróciła włócznię w ranie, by demon nie zdołał się zregenerować, a potem

tarczą odparła natarcie jego pobratymca. Jej włócznia tym razem wbiła się przez szczękę prosto w mózg.

Zmiennokształtny jednak dokładnie tego potrzebował. W chwili gdy Ashia była zajęta walką z bagiennymi demonami, on sam przybrał postać ich skalnego pobratymca i wypuścił skrzydła wichrowego. Wzbił się w powietrze i runął na wojowniczkę z góry. Zamachnął się zwieńczoną rogiem macką demona wodnego, a w jego pysku, uformowanym na podobieństwo ognistego, nabrzmiwało kolejne splunięcie.

Ashia widziała, że Briar pędzi ku niej, ale pamiętała, że chłopak stracił włócznię. To zaś oznaczało, że nie będzie miał jak powstrzymać demona, gdy ten go zauważy. Mimo to Briar nie zawahał się ani chwili – wskoczył do naruszonego kręgu, wyhamował przy Ashii, zawirował, porwał garnek znad ognia i chlusnął gotującą się zupą z lubczyku prosto w pysk demona.

Ten wrzasnął przeraźliwie. Jego ciało topniało i kipiało niczym wrząca smoła.

Oboje skoczyli do natarcia. Ashia odepchnęła tarczą kilka wijących się macek, a potem jednym cięciem odrąbała inną, o wiele grubszą, po czym odskoczyła. Briar wzniosł dłonie, jaśniejące wielką magią, i rąbnął zmiennokształtnego runem uderzenia w gardło. Potwór zakrztusił się ognistym splunięciem, ale chłopak ani myślał się zatrzymać. Przypadł jeszcze bliżej i uderzył dłońmi w jego uszy.

Potwór zatoczył się. Ashia rzuciła się przed siebie, dźgając i rąbiąc. Włócznia wirowała w jej dłoniach.

Jakiś torfowy demon zdołał podkraść się do niej od tyłu. Wyczuła jego obecność, gdy wyskoczył, ale nie zdołała w porę wykonać uniku. Kaji wrzasnął, na szczęście łuski z runicznego szkła, wszyte w mocny jedwab plecaka, odepchnęły cios *alagai*. Krzyk synka przyniósł Ashii ulgę,

bo wiedziała, że nic mu się nie stało. Natychmiast się odwróciła, rozpruła ciało demona włócznią i przewróciła go kopnięciem, a wtedy jego żywotne organy wylały się na ziemię.

Zmiennokształtny zdołał już się poderwać, a wtedy Briar cisnął jakimś woreczkiem prosto w rozwartą paszczę. Demon kłapnął szczękami. Zawartość sakiewki eksplodowała kłębami proszku zmielonego lubczyku. Ashia cięła potwora po gardle, a Briar przetoczył się w dół zbocza, by złapać własną włócznię.

Miejsce zabitych demonów zajęły następne. Briar cisnął włócznią i przygwoździł do ziemi jednego, który gnał prosto na Ashię i Kajiego, a potem poderwał broń zgubioną przez wojowniczkę i wbił ją w plecy zmiennokształtnego.

Ashia, która już odzyskała oddech, znów zaczęła śpiewać. Jej głos trzymał mniejsze *alagai* na dystans, a ona sama wraz z Briarem nacierali na zmiennokształtnego. Ten walczył zauważalnie wolniej. Zarówno regeneracja, jak i transformacje kosztowały go mnóstwo magii i Ashia widziała dzięki światłu Everama, że stawał się coraz ciemniejszy.

Mimo to nie ustawali w wysiłkach. Demon spróbował wzbić się do lotu, lecz Ashia wycięła wielką dziurę w skórzastym skrzydle i ciosem tarczy uderzyła w lekkie kości. Runy wyryte wzdłuż krawędzi tarczy zapłonęły i dziewczyna poczuła, jak te się kruszą i pękają. Drugie skrzydło opadło bezwładnie, a wówczas Briar wbiegł po nim, złapał wytatuowanymi dłońmi za rogi demona i szarpnięciem odciągnął jego łeb do tyłu. Wtedy Ashia zrobiła wypad i wreszcie zdołała przerąbać potworowi kark.

Pozostałe demony zamarły, gdy zmiennokształtny padł na ziemię i zaczął się roztopiać niczym mokre błoto.

Ashia wrzasnęła na *alagai*, a te się rozpierzchły.



Briar zwinął obóz, gdy na nocnym niebie pojawił się blask nadchodzącego dnia. Ashia nadal krążyła wokół kręgu, a jej wzmocnione runami oczy przenikały ciemności i mgłę w poszukiwaniu otchłańców. Wyglądało na to, że demony umknęły przed potęgą nadciągającego słońca, ale dwoje wędrowców nie miało zamiaru składać runicznego kręgu, nim słońce padnie na wzgórze.

Żadne z nich nie zmrużyło oka, choć odtworzyli barierę ochronną. Podczas walki ze zmiennokształtnym wchłonęli bowiem więcej magii, niż potrzebowali. Mięśnie Briara były twarde niczym liny okrętowe i aż kipiał energią. Miał wrażenie, że może zarzucić sobie Ashię i Kajiego na plecy i przebiec z nimi choćby sto mil.

Spał jedynie Kaji, który posapywał cichutko w nosidełku na plecach Ashii. Oddychał równo i głęboko, tak jak Relan, ojciec Briara, pokazywał swoim synom podczas lekcji *sharusahk*, a młodzieniec oddychał wraz z nim, wchłaniając spokój dziecka, by ukoić własne nerwy.

Zrobił kilka wypadów poza krąg, by pozbierać zdeptane przez demony zioła, którymi wypchał kieszenie i sakwy. Wyciskał z nich lepki sok, żeby później wetrzeć go w ubranie.

– Twoja kolej! – Podał kilka łądyżek Ashii.

Coraz lepiej odczytywał wyraz zakrytej tkaniną twarzy i widział, jak zmarszczyła lekko nos z obrzydzenia.

Briar bynajmniej się nie obraził. Ludzie zawsze zachowywali się wokół niego w ten sposób. Rzucali kamieniami i przezywali go Śmierdziel albo Błotko. Ashia nie była aż tak okrutna, ale nadal czuł od niej mydło, a jej szaty pomimo tygodni na mokradłach wciąż były czyste jak

suknie pani Leeshy. Nawet tu, w samym środku bagien, dawało się dostrzec, że wychowała się w pałacu.

Mimo to brakowało czasu na ceregiele. Briar potrząsnął wiązką liści.

– Otchłaniaki znają nasz zapach. Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zmylić trop.

Ashia westchnęła i wzięła od niego roślinki.

– Myślisz, że to się uda?

– Znam jeszcze kilka sztuczek. Czeka nas długi bieg, ale wieczorem będziemy mogli się schronić w bezpiecznym miejscu.

– Potrzebujemy takiego miejsca – odparła Ashia. – Wpływ Nowiu zacznie maleć dopiero za kilka dni. Wygląda na to, że nawet wąski rozek wzmacnia potęgę Nie.

Jej słowa brzmiały poważnie, jednak Briar nie stracił pewności siebie.

– To moje najlepsze krzakowisko. Jeśli otchłaniaki dopadną nas tam, to już nigdzie nie będziemy bezpieczni.

Ashia wpatrywała się w chłopaka przez chwilę, po czym podjęła decyzję i skinęła głową. Sprawnymi, wydajnymi ruchami rozgniała liście i wcierała lepki, cuchnący sok w każdy fragment swych szat, rujnując je na zawsze. Następnie postawiła Kajiego i wtarła jeszcze trochę soku w nosidełko, a nawet w kocyk. W tym czasie Briar zerwał najlepsze liście, po czym zmieszał je z orzeszkami, jagodami i odrobiną oliwy, szykując śniadanie.

– Czemu je zamaskowałeś?

– Co? – Briar uniósł głowę i ujrzał, że Ashia wpatruje się w jego dłonie, ponownie obwiązane szmatami.

– Twoje tatuaże – odparła dziewczyna. – Zasłaniasz je, bo się boisz, że poczuję się urażona?

Briar przypomniał sobie słowa Jarit, która powiedziała, że dla Everama tatuaże stanowią obrazę, ale nie potrafił zrozumieć dlaczego. Odwrócił się i ukrył dłonie przed

oczami Ashii.

– Nie podobają mi się i tyle.

– Ale dają ci moc – naciskała dziewczyna. – Sama nie wierzę w to, że stanowią obrazę dla Everama. Mój mistrz Enkido był wytatuowany od stóp do głów, a poza jedynym Wybawicielem nie znam mężczyzny okrytego większą chwałą.

– Zdobyłem je z niewłaściwych powodów – odparł Briar.

Obawiał się, że powiedział zbyt wiele, a Ashia zacznie go teraz wypytywać. Widział ogromną ciekawość w jej oczach, jednak uszanowała jego prywatność.

– Cóż za znaczenie mają powody? – powiedziała zamiast tego. – *Alagai* nie są w stanie znieść twojego dotyku, a twój honor nie ma granic.

Briar odwinął szmatki z jednej dłoni, by ze smutkiem spojrzeć na run.

– Naprawdę tak myślisz?

Ashia podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiem, że nie przepadasz za walką, Briarze Damaj, ale dla mnie i dla mojego syna wskoczyłeś na *kai* demona. Nawet jeśli nasze czyny nie mają świadków, zawsze przygląda nam się Everam. Na końcu samotnej ścieżki zostaniesz powitany z wielkimi honorami.

– Nie – odparł Briar. – Nigdy nie zdołam zadośćuczynić za to, co zrobiłem, bez względu na wszystko, czego dokonam.

– To, co przytrafiło się twojej rodzinie, nie było przecież twoją winą! – rzekła Ashia.

Briar odwrócił się od dziewczyny. Wiedział, że jeśli nie wyzna jej prawdy teraz, nie zrobi tego nigdy, mimo to bał się tego, co ujrzy w jej oczach.

– To była moja wina. Popełniłem błąd przy rozpalaniu ognia i zadymiałem cały dom.

Ashia milczała przez chwilę. Nazbyt długą chwilę. Briar

chciał wrzeszczeć, chciał pognać prosto w mgłę, chciał zrobić cokolwiek, byle tylko uwolnić się od jej niemego osądu, ale wtedy Ashia delikatnie zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

– To wszystko miało miejsce dziesięć lat temu, Briarze. Byłeś wówczas dzieckiem. Ponadto pomnij, że wszystko dzieje się na życzenie Everama.

– A więc Everam zażyczył sobie, żebym zabił własną rodzinę? – spytał Briar z niedowierzaniem.

– Możliwe. – Ashia wzruszyła ramionami. – A może wszystko to miało się tak czy owak wydarzyć, a on po prostu nie zareagował.

Briar wbił w nią spojrzenie.

– Dlaczego?

Ashia dotknęła jego twarzy.

– Gdyż nie ma niczego ważniejszego od Pierwszej Wojny. Everam wykuł nas oboje w bólu, żebyśmy stali się Jego bronią w walce z Nie.

– Po co więc mamy robić cokolwiek, skoro wszystko i tak jest zależne od woli Everama? – spytał Briar.

– Mój mistrz zwykł mawiać, że nasza odwaga dodaje Everamowi mocy. Wolna wola jest jedynym darem, który możemy Mu ofiarować, żeby wsparł Go w niekończącej się batalii przeciwko Nie. Everam prowadzi nas przez całe życie, ale to my decydujemy, czy jesteśmy nieustraszeni, czy być może tchórzliwi. To my decydujemy, czy walczymy, czy też uciekamy. Nasz wybór zaś – Ashia wyciągnęła rękę i dotknęła piersi Briara – rodzi się tu.



Jedwab, którym Ashia owinęła sandały, szybko namókł

wodą i błotem, gdy Briar wiódł ich sobie tylko znanymi ścieżkami przez bagna. Kluczył i zygzakował, bywało, że brnęli po pas przez wodę, by zamaskować swoje ślady.

Przed południem doszedł do wniosku, że wszystko przebiega zgodnie z planem, i wyprowadził ich na suchszy teren. Ashia nie miała pojęcia, gdzie się znaleźli, ale Briar bez wahania wybrał dalszy kierunek marszu. Około południa dotarli już do brzegów jeziora i podążyli dalszą drogą wzdłuż klifów.

Moc, która nagromadziła się w ich ciałach w trakcie walki ze zmiennokształtnym, wypaliły promienie słońca, ale Ashia zdawała sobie sprawę, w jak wielkim znaleźli się niebezpieczeństwie i nie narzekała na brutalne tempo narzucone przez Briara. Zawsze jej się wydawało, że ona i jej siostry włóczy są wyszkolone do znoszenia wielkich trudów, ale Briar Damaj zakasował je wszystkie. Pokonali wiele mil, nim słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi.

– Daleko jeszcze? – spytała w końcu.

Refleksy zachodzącego słońca na tafli jeziora były tak intensywne, że musiała mrużyć oczy, ale wiedziała, że niebawem nadejdzie zmierzch.

– To tam! – odparł Briar i pokazał jej na pozór niczym niewyróżniający się odcinek klifów, ciągnący się wiele jardów nad falami, które z hukiem uderzały o skały. Ashia w pierwszej chwili chciała wyrazić zwątpienie, ale na twarzy Briara nadal malowała się pewność siebie i dziewczyna miała nadzieję, że zaraz przedstawi jej kolejną spośród swoich niespodzianek.

Podszedł do skraju klifu, uklęknął i spojrzał poza krawędź.

– Tędy!

I zeskoczył.

Ashia zamarła i wpatrzyła się w miejsce, w którym stał jeszcze przed momentem, po czym przypadła do krawędzi

i wyjrzała. Kilkadziesiąt stóp niżej Briar zsuwał się po linie ze splecionych włókien *alagai'viran*, którą zamocował w szczelinie tuż pod krawędzią. Odbił się od ściany klifu, by rozkołysać się nieco, po czym znikł.

Ashia westchnęła i docisnęła paski plecaka, by mieć pewność, że Kaji jest bezpieczny, po czym pochwyciła linę i opuściła się w ślad za Briarem. Natrafiła na niewielką, niewidoczną z góry jaskinię, zamaskowaną gęsto rosnącymi pnączami *alagai'viran*, co w pierwszej chwili wydawało się dziełem natury. Wślizgnęła się do środka, a tam odkryła, że jaskinia jest o wiele obszerniejsza, niż wskazywało na to wejście.

Ściany i podłogę wyściełały wiązki suszonego demonicznego zieleńca, co zniechęcało każdego *alagai* do dłuższej inspekcji. Kamienne dno uniemożliwiało potworom materializację we wnętrzu jaskini, a jej wejście znajdowało się zbyt wysoko nad lustrem wody, by któryś z wodnych demonów mógł go dosięgnąć. Co więcej, było też na tyle wąskie, że wichrowy nie przecisnąłby się przez nie nawet ze zwiniętymi skrzydłami, o ile oczywiście wypatrzyłby je pod zasłoną z zieleńca.

– I co powiesz? – spytał w końcu Briar.

Ashia uśmiechnęła się do niego i zajęła się wyplątywaniem Kajiego z nosidełka.

– Jest idealne, synu Relana. Twoje umiejętności będą wychwalane równie głośno jak twój honor!

Briar uśmiechnął się i podszedł do pnączy, by rozsunąć je jak zasłonę w oknie.

– A nie widziałas jeszcze tego, co najlepsze – oznajmił.

Ashia odwróciła się, a widok odebrał jej dech. Patrzyła na bezkresne wody jeziora i horyzont, migoczący w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Niebo mieniło się fioletem, bielą i błękitem.

Kaji otworzył szeroko oczy i wskazał horyzont.

– To! To!

Chciał poznać słowo, które opisywało to, na co patrzy, ale Ashia się zawahała. Czy istniało słowo, którym można było należycie opisać taki widok? Samo „zachód słońca” wydawało się mało obrazowe.

Uklęknęła i postawiła synka obok siebie. Ułożyła dłonie na podłodze, a on uczynił to samo.

– To Everam, synku. Stwórca wszystkich rzeczy, Dawca Życia i Światła. To dla Niego żyjemy, dla Niego walczymy i dla Niego umrzemy.

Zaczęła Kajiemu śpiewać „Modlitwę nadchodzącej nocy”. Briar nie dołączył do niej, ale bystre uszy Ashii pochwyliły słowa, które szeptał pod nosem, jakby odnajdywał je w pamięci. Gdy modlitwa dobiegła końca, Briar pokazał północ.

– Tam wznosi się klasztor.

Ashia musiała wychylić głowę poza krawędź wejścia, ale wnet dostrzegła fortecę na wysokim wzniesieniu tuż nad wodą. W oknach jej wieży oraz na murach migotały światła. Inne dostrzegła na wodzie i domyśliła się, że to laktońska flota prowadząca blokadę.

– Jest ich aż nadto, żeby blokować doki – stwierdził Briar.

– Może chcą odbić fortecę? – spytała Ashia.

Poławiacze ryb byli liczni i bez problemu zdołaliby odbić doki i zaatakować klasztor, ale jego położenie sugerowało, iż ponieśliby przy tym ogromne straty.

– Może próbują wywabić okręty Qerana na północ? – stwierdził Briar.

– On nigdy nie da się na to nabrać – odparła Ashia.

Zabrała Kajiego w głąb jaskini, by przebrać go i nakarmić w ciepłym blasku światła Everama. Briar nie miał żadnych runów wokół oczu, a mimo to w niemalże całkowitych ciemnościach poruszał się równie swobodnie

jak w świetle dnia.

W milczeniu przygotowali kolację na zimno i zjedli, pogrążeni we własnych myślach. Kaji zasnął jako pierwszy, a po nim Briar, zwinąwszy się w kłębek w kącie jaskini. Oddychał spokojnie i równo.

Ashia zamknęła oczy, próbując zapaść w płytki sen, który był jednym z elementów jej szkolenia, ale sen nie nadchodził, choć dziewczyna czuła niewyobrażalne zmęczenie. Przed jej oczami co rusz przemykały nowe obrazy. Pierwszy krok Kajiego. Zmiennokształtny po przybraniu formy Briara. Rój *alagai* rozrywający Rasę na strzępy. Krąg demonów zbliżających się do jej bezbronno syna.

Miała wrażenie, że jej ciało staje się coraz cięższe, aż wreszcie opanował ją sen, o wiele głębszy, niż to planowała, w którym obrazy z myśli szybko przeobraziły się w koszmary pełne ochrypłych wrzasków i chlastających szponów.

Poderwała się nagle, całkiem rozbudzona. Znow usłyszała ów ochrypły wrzask. A więc to nie był sen. Czyżby *alagai* odnalazły ich kryjówkę? Jeśli tak się stało, o ucieczce nie było mowy. Musieliby się bronić w jaskini do świtu. Rozłożyli w progu krąg runiczny, a więc nie było to niewykonalne.

Chyba że ścigał ich kolejny zmiennokształtny.

Ashia sięgnęła po swe włócznie i podniosła się płynnie, Briar też już nie spał. Przemknął obok niej i wyjrzał poza wejście do jaskini, by zlokalizować źródło dźwięków. Ashia przywarła obok młodzieńca, gotowa do walki.

Rozbłysnęła magia. Wystraszony Briar sapnął i cofnął się gwałtownie, a naprzeciwko wejścia do jaskini zawisł wichrowy demon, który z trzaskiem rozrzucił skórzaste skrzydła i pochwycił prąd powietrza.

Coś oświetlało go od dołu, dzięki czemu był widoczny

i bez światła Everama. Ashia wyteńczyła wzrok i z przerażeniem uświadomiła sobie, iż wichrzak trzyma w szponach ognistego *alagai*, którego jaśniejące ślepie i pyśk opromieniały latającego pobratymca.

Uniosła włócznię, gotowa rzucić w demona, ale zawahała się. Przecież nie chciała rozstać się z bronią!

Niemniej chwilę później *alagai* trzepnął skrzydłami i odleciał, nieświadom ich obecności. Widzieli, jak wznosi się ku niebu i oddala od ich kryjówek.

Ashia i Briar cofnęli się w głąb jaskini. Nie odwracali wzroku od nieba, na którym pojawiały się kolejne wichrowe demony. Dziesiątki ich odbijały się od krawędzi klifu i unosiły w powietrze wraz z ognistymi.

– Cóż one, na Otchłań, robią? – szepnęła Ashia.

– Może walczą? – zaryzykował Briar. – Ogniaci nie dogadują się z innymi otchłaniakami, nie licząc skalników. Może chcą je wrzucić do wody?

Ashia pokręciła głową.

– Spójrz! Ogniste nawet się nie szamoczą, a wichrowe nikogo nie zrzucają. To jakiś fortel!

– Ale po co?

Odpowiedź na pytanie Briara stała się oczywista chwilę później, gdy idealna formacja wichrowych demonów zatoczyła łuk i pomknęła ku laktońskiej flocie. Ashia nakreśliła run w powietrzu.

– Everamie, chroń nas!

Wichrowe *alagai* złożyły skrzydła i runęły do lotu nurkowego, po czym nagle rozłożyły skrzydła, gwałtownie zakręciły i zaczęły upuszczać swych ognistych pobratymców na żagle.

Płótno tu i ówdzie buchnęło płomieniami, a demony ześlizgiwały się na dół, plując ogniem wokół siebie, rażąc żeglarzy i osprzęt. Następnie zrywały się i gnały po pokładach, zostawiając za sobą płonący ślad, po czym

zeskakiwały w fale.

Żaden z nich nie wpadł jednak do wody. Wichrowe demony, które kołowały w górze, rzucały się w dół i zręcznie wychwytywały skaczących ognistych kuzynów, a następnie wracały z nimi na klify. Ich udział w natarciu dobiegł już końca.

Wystarczyła chwila, aby było po wszystkim. Na pokładach miotali się płonący ludzie – niektórzy tarzali się po deskach, próbując na próżno ugasić płomienie, inni zaś wskakiwali do wody, nie pamiętając już o czających się tam wodnych demonach. Pozostali z rozpaczą usiłowali pomóc towarzyszom, ale ogniste pluniecie było lepką substancją i przywierało do wszystkiego, czego dotknęło. Tu i ówdzie podawano wiadrami wodę, to jednak tylko pogorszyło sprawę. Ogień demoniczny był bowiem tak gorący, że woda natychmiast zamieniała się w parę, a ogniste krople strzelały naokoło i raziły kolejne cele. Wkrótce jednostki laktońskie przypominały już ogromne pochodnie. Widoczne z odległości wielu mil płomienie przeżerały pokłady i powoli niszczyły runy na kadłubach, a wówczas pojawiły się wodne demony. Woda pieniała się i bulgotała, gdy wciągały okręty w głębiny. Płomienie gasły to tu, to tam.

– Co to było? – Twarz Briara opromieniał odległy ogień.

Ashia wyciągnęła rękę i uścisnęła młodzieńca. Nie wiedziała, czy próbuje pocieszyć jego, czy może siebie.

– *Sharak Ka* się rozpoczęła – powiedziała.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ

COPYRIGHT © Peter V. Brett, 2017
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2018

TYTUŁ ORYGINAŁU The Core

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-299-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Larry Rostant

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE za zgodą autora

MAPA ORAZ ARANŻACJA GRAFICZNA STRON 4, 5 black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJE Dominik Broniek

TŁUMACZENIE Marcin Mortka

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów

WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka





PETER V. BRETT OTCHŁAŃ

**Ludzkość musi stanąć do ostatecznej bitwy,
w której, jak się zdaje, nie ma żadnych szans.**

Próbując pokonać demony, Arlen i Jardir nieopatrznie doprowadzili do wydarzenia, które może wyznaczyć koniec wszystkiego – wyzwolili rój. Wojna jest coraz bliżej.

Razem z Renną porywają się na skrajne szaleństwo, wierząc, że ich poświęcenie da ludziom jakąkolwiek, choćby minimalną szansę.

Muszą zmusić księcia potworów, by zaprowadził ich do Otchłani, gdzie Matka Demonów rodzi nieprzeliczoną armię. Żadne z nich nie oczekuje, iż zdoła powrócić na powierzchnię.

Rozpoczyna się bitwa o wszystko.

Sharak Ka – ostatnia wojna przeciwko demonom.

NADCHODZI CZAS ROJU.



Polub nas na
facebooku

Wyłączny
dystrybutor



Spis treści

Karta tytułowa

Cykl demoniczny

Thesa – mapa

Więzienie

I jedno, i drugie

Olive

Hrabina Leesha

Ragen i Elissa

Wataha

Everam to kłamstwo

Eunuchy

Klasztor

Majah

Sprawy rodzinne

Czarownicy

Pozbawieni mocy

Ostatnia wola Arlena Balesa

Lanie

Powrót sióstr

Ukochana

Leśna Forteca

W domu

Ścigani

Eskorta

Hrabia małżonek

Skraj przepaści Nie

„Lament Sharum”

Pierwsze kroki

Karta redakcyjna

Okładka

Spis treści

Karta tytułowa	3
Cykl demoniczny	4
Thesa – mapa	5
Więzienie	7
I jedno, i drugie	18
Olive	36
Hrabina Leesha	49
Ragen i Elissa	84
Wataha	110
Everam to kłamstwo	157
Eunuchy	179
Klasztor	202
Majah	217
Sprawy rodzinne	237
Czarownicy	250
Pozbawieni mocy	267
Ostatnia wola Arlena Balesa	278
Lanie	310
Powrót sióstr	340
Ukochana	358
Leśna Forteca	414
W domu	434
Ścigani	465
Eskorta	501

Hrabia małżonek	531
Skraj przepaści Nie	554
„Lament Sharum”	592
Pierwsze kroki	612
Karta redakcyjna	644
Okładka	646